

ROMUALD KOPERSKI

PRZEZ SYBERIĘ NA GAPE

*Wszystkim Sybirakom,
dzięki którym szczęśliwie powróciłem do domu*

Bez wątpienia każda podróż oznacza pewną filozofie życia, jest jakby soczewką, w której ogniskują się nasze marzenia, potrzeby, niepokoje.

Podróż wyostrza spojrzenie, zwiększa dystans do problemów. To potrzeba konfrontacji z inną rzeczywistością, spotkania z innymi ludźmi. Wszystko jednak rozpoczyna się od marzeń, a te są przywilejem samotników. Powszechnie wiadomo, że wspólną cechą większości podróżników, alpinistów, grotolazów oraz innych osób w zaawansowanym stadium idiotyzmu jest fakt nieposiadania dostatecznej ilości pieniędzy, które umożliwiłyby im realizację planów.

Ostatecznie jednak nie ma to większego znaczenia, ponieważ osobowość tych ludzi oraz prześladowający ich demon włóczęgi sprawia, że wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi i tak wyruszają w nieznanne, nie dopuszczając przy tym myśli o niepowodzeniu swojej wyprawy.

Instynkt wędrowania jest silniejszy od nich samych i choć skazują się na ryzyko utraty życia, walkę z samotnością, nierzadko zimno i głód, to robią to poniekąd na własne życzenie i chyba w tym tkwi ich ogromna siła.

Człowiek nie jest w stanie prawie nic zrobić, gdy się coś takiego przeżywa. Zresztą nie jest to konieczne; rozważa spowodowałyby tylko zamieszanie. Sprawy toczą się same. Wszystko, co trzeba zrobić, ogranicza się do tego, by być gotowym do wyruszenia, gdy niewidzialna dłoń trąci cię lekko w plecy. Jeśli się temu poddasz, nie stawiasz pytań - jesteś bezpieczny - to nie mityczne bzdury.

Później dniami, tygodniami a nawet miesiącami człowiek się męczy, brnie niestrudzenie do przodu. Potem dochodzi do celu, jest miasto albo wieś, znów są ludzie, a z nimi wszystko, czego człowiek pragnął. Po chwili okazuje się to wszystko śmieszne, okazuje się, że bez tego można żyć doskonale. A potem znów się idzie do przodu...

Eskapady takie są w pewnym sensie również ratunkiem dla ludzi dostatecznie już zniechęconych do życia, sięgających po alkohol, papierosy, tabletki, pieniądze czy religie, pozwalają bowiem zagłuszyć dręczące ich poczucie beznadziejności istnienia. Podróże są porównywalne do działania narkotyku, aczkolwiek pozbawione jakichkolwiek niepożądanych skutków ubocznych. Chronią wiele osób przed obłędem i zaoszczędzają tym samym światu wiele niepotrzebnych zmartwień.

Początek mojej pasji był wręcz schematyczny. Pobudzająca wyobraźnię młodzieżowa literatura, w szczególności powieści Jacka Londona - wagabundy, okropnego podobno pijaka. Opisy przyrody, awanturnicze charaktery bohaterów sprawiły, że byłem jednym z nich... Oczami chłopięcej wyobraźni przemierzałem tysiące kilometrów pustkowień, budowałem w głuszy szałas, polowałem, walczyłem o życie... Fantazja poniosła mnie do

tego stopnia, że taskając na plecach uczniowski tornister wyobrażałem sobie, że niosę traperski plecak... Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że na osobowość moją padło nasionko, którego mechanizm wewnętrzny sprawił, że dopiero wiele lat później zakiełkowało, wyrosło i wydało owoc... Owocem tym stała się Syberia, którą przed kilku laty przemierzyłem całą od granicy fińskiej po Cieśninę Beringa, gdzie do Alaski tylko krok. Dlaczego Syberia? Krainą tą zainteresowałem się bez mała trzydzieści lat temu. Ziemia ta, nie ciesząca się dobrą sławą, opluwana przez ludzi, przeklęta przez pokolenia zesłańców, bardzo mnie intrygowała, pewnie dlatego, że była ogromna, a jej przyroda podobna była do miejsc z młodzieńczej literatury. Wyimaginowanym obrazem starałem się zobaczyć jej dzikość i nie kończące się przestrzenie. Syberia jednak przez długie lata była zamknięta i niedostępna dla ludzi z zewnątrz, długo więc musiałem czekać na spełnienie chłopięcych mrzonek, ponieważ dopiero siedem lat temu zobaczyłem ją pierwszy raz na jawie.

Przemierzając ją marszrutą odpowiadającą długości geograficznej na trasie samotnej ekspedycji samochodowej wiodącej z Zurychu do Nowego Jorku, ujrzałem rzeczywistość syberyjską, mieniącą się przepiękną przyrodą, bezkresem przestrzeni oraz niespotykaną szlachetnością zamieszkujących ją ludzi. Zauroczony światem z młodzieńczych marzeń, odnalazłem na nowo swoje JA i od tej pory wiedziałem czym zajmę się przez najbliższe lata. Poczulem się bowiem w pewnym sensie odpowiedzialny za sprawy, które w dzisiejszych czasach prawie nikogo już nie obchodzą. Opuszczając tę ziemię, wiedziałem, że do niej powrócę, aby uzupełnić opowieść o tej krainie, a przede wszystkim o ludziach ją zamieszkujących, o ich przemożnym pragnieniu przetrwania, poszukiwaniu szczęścia, miłości, znalezienia sobie miejsca na ziemi.

Wiosną 1998 r. zaplanowałem ponownie Syberię. Tym razem postanowiłem zobaczyć jej piękno marszrutą wiodącą po szerokości geograficznej. Nie będąc do końca pewny swojej kondycji finansowej, wybrałem najtańszą możliwość: arterią będzie Lena, a środkiem transportu gumowy ponton...

Przygotowania do wyprawy rozpocząłem od rzeczy najważniejszej, czyli środka transportu. W tym celu udałem się do grudziądzkiego Stomilu, a konkretnie do pewnej spółki, która zajmowała się produkcją gumowego sprzętu pływającego.

Prezes firmy, pan Janusz Radtke wysłuchał mnie z pełną zainteresowania życzliwością, jaką zazwyczaj poświęca się mówiącym idiotom, reklamie pasty do zębów i innym dziwnym zjawiskom nie z tej ziemi. Początkowo też odniósł się do moich planów sceptycznie.

Przywykłem do tego, że ludzie moje pomysły przyjmują negatywnie, więc dramat niezrozumienia przeżyłem z godnością. Jednak kiedy po półgodzinnej rozmowie prezes

zaprosił mnie do hali produkcyjnej, podświadomie wiedziałem, że łódkę otrzymam. I tak się stało - najważniejszą więc sprawę uważałem za załatwioną.

Kolejnym etapem przygotowań było zbieranie materiałów dotyczących rzeki. Lena jest największą wschodniosyberyjską rzeką, której długość wynosi ok. 4450 km, pewny więc bogatej literatury na jej temat, radośnie w podskokach pobiegłem do jednej z większych bibliotek. Optymizm mój jednak bardzo szybko przygasł, okazało się bowiem, że prócz paru pozycji o Syberii, w której wymienia się nazwę rzeki, nic konkretnego na jej temat nie ma. Udałem się więc do znajomych geografów, pracowników Polskiej Akademii Nauk w Toruniu. Tu dowiedziałem się, że z wyjątkiem banalnej charakterystyki, omawiającej rzekę i jej dorzecza, również niczego, co byłoby mi przydatne, nie ma. Otrzymałem wprawdzie najnowszą, bo wydaną w 1995 r., pięćsetstronicową pracę naukową dotyczącą Leny, ale była to rozprawa czysto naukowa, pełna różnych niezrozumiałych przeze mnie tabel i zestawień, w dodatku w języku rosyjskim. Zamieszczono w niej co prawda kilka czarno - białych fotografii, ukazujących rzekę na różnych jej odcinkach, ale jakość tych ujęć, porównywalna do gatunku fotografii prasowych z lat pięćdziesiątych, tak zimno i szaro przedstawiała krajobraz, że wręcz zniechęcała do odwiedzenia tego zakątka świata. Przyznam jednak *szczerze*, że powyższe fakty, zamiast mnie odciągać od zamiaru, podnosiły mnie wręcz na duchu, uzasadniały bowiem potrzebę mojej ekspedycji, czyniąc ją nawet w pewnym sensie odkrywczą...

Tydzień przed rozpoczęciem wyprawy głowę moją zaprzętał problem związany z wymianą pieniędzy w Rosji, obowiązywały bowiem w tym kraju środki płatnicze starej i nowej emisji. Obawiałem się, czy w miarę szybko będę je rozpoznawał na tyle, by nie paść ofiarą oszustwa.

Dwa dni przed wyznaczoną datą wyjazdu obawa moja nie była już tak silna, ponieważ wiedziałem już, że moje zasoby finansowe będą więcej niż skromne, wystarczające zaledwie na kupno chleba... Prysnał bowiem czar i marzenie o sponsorze, gdyż jak się okazało, nie odnosi się na tym polu sukcesów bez odpowiednich znajomości, a aby takowe mieć, należy albo ludzi żywić, albo ich bawić, albo szokować. Mnie z trudnością udaje się wyżywić rodzinę, jako hedonista bawić się i owszem lubię, a spowodować szok udało mi się tylko parę razy i to na osobie mojej zacnej żony.

Trzy dni później, będąc już na pokładzie rosyjskiego samolotu lecącego z Moskwy do Irkucka, żadnych obaw związanych ze sprawą już nie miałem. Nie posiadałem bowiem ani jednego rubla, ani też żadnej waluty uważanej w tym kraju za wymienialną. Byłem całkowicie bez pieniędzy! Do powyższego faktu przyczynił się bezpośrednio ciężar mojego bagażu jak i przepis obowiązujący na rosyjskich liniach lotniczych, mówiący o tym, że

sztuka bagażu pasażera nie może przekraczać trzydziestu pięciu kilogramów - ponton mój ważył ponad siedemdziesiąt! Stanowczo więc oświadczone mi, że łódka moja nie poleci!

- Trudno - takie są przepisy - motywował rosyjski urzędnik, robiąc przy tym minę człowieka, który, zdawałoby się, do połysku ma wyczyszczone sumienie. Jednakże twarz tego człowieka niezwykle wyraźnie świadczyła o charakterze i trybie jego dotychczasowego życia: pod przekrwionymi od gorzały podejrzliwymi oczkami zwisały mięsiste wory, świadczące o tym, że facet ma wątrobę na wierzchu; sieć głębokich zmarszczek pokrywała jego czerwoniutką twarzyczkę, a pod spiczastą brodą utworzył się tłusty podbródek, podłużny jak księżyc, co nadawało twarzy jakiś obrzydliwie lubieżny wyraz. Duże zmysłowe usta z obrzękłymi spękanyymi wargami odsłaniały mizerne resztki czarnych, prawie już przegniłych zębów. Ilekroć zaczynał mówić, bryzgał śliną na wszystkie strony. Okaz uczciwości! - W naftalinę go! W naftalinę - oddanego pracy, przepisowego człowieka - pomyślałem ze złością widząc przed sobą faceta śliniącego się na myśl o zarobieniu na lewo paru rubli. Niebawem jednak okazało się, że nie doceniłem jego właściwych potrzeb. Urzędnik nie miał na myśli - jak sądziłem - paru rubli, chciał dolary i to w takiej ilości, jakiej nie posiadałem¹.

Próbowałem wszystkich sposobów, by umieścić siebie wraz z pontonem w samolocie, nie pozbywając się przy tym niewielkiej sumy dolarów, które stanowić miały moje minimum - ot, tylko na chleb. Niestety, urzędnik był nieczuły - był nieczuły nawet wtedy, kiedy odwoływałem się do braterstwa broni, łączących nas słowiańskich korzeni, wyższych uczuć ludzkich i religijnych. Niestety, nic nie przemawiało do niego z wyjątkiem zielonego koloru banknotów...

Moje argumenty szybko się wyczerpały. Teraz mogłem już tylko wrócić z powrotem do Polski, a tego bardzo nie chciałem - nie miałem więc wyjścia - dałem w łapę wszystkie pieniądze, jakie posiadałem. W rezultacie ponton i bagaż załadowano do samolotu, a ja goły i wesoły oddałem się tym samym w ręce Opatrzności.

Samolot czekał na pasażerów hen daleko na betonowym pasie. Szliśmy grzecznie gęsiego, starając się nie hałasować, nie tłoczyć. A dookoła - na prawo lewo śpiewały odrzutowe silniki: wesoło, zadzierzycie, pełną dyszą... Śpiewały o dalekich, nieznanym krajach, o tej niepowtarzalnej radości, jaką człowiek przeżywa zawsze wtedy, gdy stoi na początku dalekiej drogi, u progu wielkiej trudnej sprawy.

Wciąż uroczyście, nie spiesząc się, nie czyniąc hałasu, wstępujemy po chwiejnych aluminiowych schodach do wnętrza samolotu, pół godziny później startujemy - po chwili olbrzymia Moskwa znika mi z oczu.

¹ W rzeczywistości chodziło o obowiązującą we wszystkich liniach lotniczych wysoką opłatę za wysoki nadbagaż.

Srebrzysty okręt powietrzny płynie i płynie naprzód, i wciąż nie może przelecieć przez ogromną Rosję! Przyjemnie jest z okien samolotu spoglądać na tę ogromną ziemię. Jakże zdumiewająco jest wielka i malownicza. Czego też na niej nie ma: są małe wioski i wielkie miasta, są gęste lasy i gładkie równiny, modre jeziora i żółtawe piaski, lodowate tundry oraz gorące pustynie.

Błysnęła i znikła pod skrzydłem błękitna odnoga Wołgi; piaszczyste przestrzenie Powołża ustąpiły miejsca lesistym okolicom przeduralskim. Jak srebrzysty wąż przepelzła dołem Karna, a po jej powierzchni rozciągnęły się długie tratwy, wyglądające jak zapałki wysypane przez psotne dzieci. Wreszcie Syberia - w tyle pozostał zadymiony Ural.

Można rzec, że z Europy wydostałem się niepostrzeżenie, ale Syberia od razu dała o sobie znać swym rozmiarem i skalą. Nagle w dole dostrzegłem olbrzymi szmat zaoranej ziemi, nie skażony ani jedną miedzą, ani poprzecznym rowem. Takie kompleksy trudno znaleźć w Europie, pociętej znacznie mniejszymi szachownicami pól. To co ujrzałem, było kawałem zaoranej ziemi wielkości około pięćdziesięciu tysięcy hektarów! Mógł on należeć do jakiegoś kołchozu² lub sowchozu³. Nie jest z tą Rosją aż tak źle, skoro się jeszcze aż tyle uprawia ziemi - pomyślałem. Jednak im dalej na wschód, tym mniej zaoranej ziemi, więcej widocznego jeszcze śniegu. Po półgodzinnym locie widać już tylko tajgę, zamarznięte jeziora i rzeki. Zima trzyma jeszcze Syberię w swych okowach.

Syberia z lotu ptaka wywiera na człowieka szczególne, podniosłe wrażenie. Bezmiar tajgi, wabiące przestrzenie. Syberia, olbrzymia i potężna, urzeka, Syberia bierze w jasyr.

Patrzę w dół i nadziwić się nie mogę, że przed czterema laty przemierzyłem ją samochodem - jakże w tym momencie wydało mi się to nierealne.

Robi się ciemno, samolot płynie na wschód, na spotkanie z nocą. Jedni pasażerowie drzemią, inni spoglądają przez iluminatory na gasnącą z każdą chwilą ziemię.

Irkuck przywitał mnie mrokiem i deszczem. Współpasażerów, przeważnie oczekiwanych przez bliskich, szybko pochłonęło spowite w ciemnościach nocy miasto. Nim się spostrzegłem, zostałem sam, z bagażem, którego w pojedynkę nie sposób było przenieść. Nie miałem nawet kopiejki na telefon - i tak zresztą nie miałem gdzie zadzwonić.

Był maj. Dla nas, mieszkańców strefy umiarkowanej, początek maja jest najpiękniejszym okresem wiosny. Wymawiane przez nas słowo maj kojarzy się nam z pierwszą delikatną zielenią trawy, z konwaliami i fiołkami, z jaskrawym słońcem i kolorowymi ubiorami dziewcząt. Ale maj na Syberii, maj na Północy, tam gdzie zamierzałem płynąć, to głębokie śniegi, to porywiste, przykre zawieje i nieoczekiwane

² Kołchoz - spółdzielnia rolnicza w ZSRR gospodarująca na ziemi państwowej oddanej w dzierżawę bezpłatnie. Członkowie mieli prawo do posiadania domu i określonego stanu inwentarza

³ Sowchoz - w ZSRR państwowe gospodarstwo rolne.

śnieżne wichry, to także ciężki pancierz lodowy, a w nim zakute rzeki i jeziora.

Witaj Syberio... - pomyślałem. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że choć do źródeł Leny było jeszcze ponad trzysta kilometrów, to trudy ekspedycji już rozpoczęły się naprawdę. Zmęczenie podróżą oraz sytuacja w jakiej się znalazłem, zdarła nieco lakier optymizmu i kolory fałszywie kreowanej przygody. Pocieszyłem się jednak, że nie ma powodu do smutku - przecież wreszcie jestem na miejscu, a obecna, trochę dziwna sytuacja jest tylko drobną, nieistotną niedogodnością. Nie zmieniało to jednak faktu, że do miejsca rozpoczęcia właściwej wyprawy było jeszcze ponad trzysta kilometrów.

Lena bierze początek na zachodnim skłonie Gór Bajkalskich, na wysokości dziewięćset trzydzieści metrów nad poziomem morza i zaledwie siedem kilometrów od zachodniego brzegu jeziora Bajkał. Uchodzi do Morza Łaptiewów, będącego częścią Morza Arktycznego, a jednocześnie należącego do zlewiska Oceanu Atlantyckiego.

Z Irkucka do źródeł można dostać się w dwojaki sposób: wynajętym helikopterem - co jest bardzo szybkie i wygodne, lecz niestety kosztowne - lub łodzią, którą należy płynąć wzdłuż północnego brzegu jeziora. Stało się oczywiste, że w mojej sytuacji wchodziła w rachubę tylko druga możliwość, a i ta wyglądała dosyć mgliście, gdyż nie posiadałem nawet drobnych funduszy. Miałem co prawda znajomych mieszkających w Listwiance, uroczej miejscowości nad Bajkałem, na których pomoc od początku liczyłem - na razie była noc, a ja głodny, bez grosza przy duszy koczowałem na lotnisku.

Nie wszyscy ludzie wierzą w cuda, ale każdy człowiek przynajmniej raz w życiu spotkał się ze zbawczymi sytuacjami, które trudno wytłumaczyć, a w które jeszcze trudniej uwierzyć. Jedni nazywają to szczęściem, inni opieką boską. Zwą jak zwą, rzeczy takie mają miejsce i nie tylko na kadrach kiepskich filmów amerykańskich. Rozmyślałem o tym jeszcze tej samej deszczowej nocy, siedząc przy suto zastawionym stole w mieszkaniu nieznanego mi wcześniej człowieka, z którym wiązały mnie wspólne znajomości z Polski. A było to tak: parę miesięcy wcześniej pokazywałem przezrocza z Syberii we wspomnianej już filii Polskiej Akademii Nauk w Toruniu. Po pokazie uciąłem krótką rozmowę z profesorem Mieczysławem Banachem, człowiekiem, podobnie jak ja, zakochanym w Syberii. Profesor na odchodnym wręczył mi karteczkę z adresem w Irkucku, informując, że gdyby stało się coś nieoczekiwanego, to mogę powołać się na znajomość i poprosić o pomoc. Przyznam, że bez entuzjazmu przyjąłem ową karteczkę, gdyż uważałem, że nad Bajkałem mam dostatecznie dużo własnych znajomych, niemniej kartkę z adresem wziąłem, gdyż tak po prostu wypadało. Włożyłem ją luźno do kieszeni spodni, o sprawie też natychmiast zapomniałem. Jakiś czas później przypadkowo odnalazłem w kieszeni ów zapisek i początkowo miałem nawet zamiar go wyrzucić, nie wiem dlaczego, ale nie uczyniłem tego.

Znoszony w kieszeni, pognieciony, nieczytelny już prawie świstek położyłem wśród innych nieistotnych drobiazgów na biurku.

W dniu wyjazdu na Syberię, a więc parę miesięcy później, ponownie karteczka z adresem wpadła mi w ręce. Przez chwilę zastanawiałem się co z nią zrobić, po czym ponownie bezwiednie włożyłem ją luzem do kieszeni, nie czyniąc sobie w związku z jej posiadaniem żadnych planów. Jednak paręnaście godzin później ociekający mrokiem i deszczem zimny Irkuck, stał się wystarczającym powodem, by sięgnąć do kieszeni i ostrożnie, z namaszczeniem wyciągnąć pomiętą kartkę. Cóż, samo życie - ludzie często liżą to, co najpierw opluli...

Dr Gennadij Owczynnikow, którego adres zapisany był na tym pogardzanym skrawku papieru, okazał się pracownikiem naukowym Rosyjskiej Akademii Nauk, a przede wszystkim wspaniałym człowiekiem. Parokrotnie gościł w Polsce na różnych sympozjach naukowych. O swych wjazdach po kraju nad Wisłą, opowiadał z fascynacją i nie ukrywaniem przejęciem. Często podkreślał o łączącej go przyjaźni z naukowcami z Polski, a w szczególności ze wspomnianymi już naukowcami z Torunia.

Oczywiście wcześniej nic nie wiedział o moim przyjeździe, jednak nie zrobił nawet miny zaskoczonego - promieniał wręcz z radości, że mu się na głowę zwałilem...

Następnego dnia przetransportowaliśmy bagaż z lotniska do instytutu, w którym mój wybawca pracował. Mając już zabezpieczony sprzęt, udałem się do centrum miasta, by zrobić kilka interesujących mnie fotografii. Mój gospodarz zajął się tymczasem krojeniem i suszeniem w piekarniku kilku bochenków chleba, które po wyschnięciu zamieniły się w suchary i od tej chwili stanowić miały mój zapas żywności na drogę. Ubolewał przy tym, że nie może mnie wyposażyć jak należy, ale od ponad roku nie otrzymywał należnych mu poborów, a co tym idzie, sam będzie wiązał koniec z końcem. Przyznam, że byłem wzruszony jego postawą. Obcy w sumie człowiek cały swój czas i swą energię poświęcił, by jak najwięcej mi pomóc. Szukał mapy, organizował transport i kogo mógł, pytał o warunki panujące na rzece. Nie wiem, jak by się wydarzenia potoczyły, gdyby nie to spotkanie i jego bezinteresowna, ofiarna pomoc.

Tego wieczoru przy kolacji tematem była Polska. Podczas rozmowy dowiedziałem się, że niedawno w telewizji rosyjskiej emitowany był reportaż o enklawie polskości na Syberii - wsi Wierszyna, oddalonej sto trzydzieści kilometrów od Irkucka. Gennadij był bardzo zdziwiony, że nic na ten temat nie wiem i oświadczył, że jutro załatwi samochód z instytutu, który mnie tam zawiezie.

- To żywa historia - musisz to zobaczyć, a tak przy okazji, nie wiem, czy wiesz, ale co dziesiąty mieszkaniec Irkucka ma bliskie powinowactwo z Polską - powiedział dumny ze

swej wiedzy o Polakach.

Na tych drogach konie boją się samochodów, a kierowcy boją się tych dróg. Konie kulą uszy i zwalają chłopów wraz z wozem do rowu, kierowcy zaś cały czas wsłuchują się czy z trzaskiem nie pęka resor.

Wzdłuż tych dróg stoją, smutnie wyciągając szyję, drewniane żurawie, stoją chałupki o oknach dotykających ziemi, jak starcy, którym wiek pomału przemyka powieki. Wzdłuż tych dróg siedzą przy wiadrach z kartoflami handlujący ludzie, ciągną się drewniane strzechy, bure, kostropate, nie przycięte jak nie ostrzyżone sztywne czupryny.

Kierowca doskonale zna całą trasę, nigdzie tu nie ma dla niego tajemnicy - oto w tym miejscu, gdzie świeże kwiaty leżą przy małym prawosławnym krzyżu, zabił się pewien gość, którego motocykl wjechał na spacerującą świnie... Fatalne to było zdarzenie i świnia do dzisiaj, kiedy idzie, jakoś zarzuca, widać kręgosłup ma uszkodzony.

Jedziemy i jedziemy, wokół pola, lasy, znów pola. Teren jest tu dość falisty, tak że chwilami las jak gdyby przelewał się przez drogę. Niekiedy od niej ucieka, innym razem znów podnosi się nagle i gwałtownie. Mijamy wioski - wszystkie takie same i tylko czarne napisy na białych tablicach dowodzą, że jedziemy wciąż naprzód, a nie kręcimy się wkoło. Wieś Kudarejka za nami, wieś Paramonowka przed nami, wokół czerwona ziemia obrosła trawiskiem. Widzę dwóch staruszków przy drodze, stoją w bezruchu niczym kamienne posągi, kiedy podjeżdżam bliżej, widzę, że jeden z nich trzyma w ręku słoik ze śmietaną. I znów pięć starych chałup, tylko nazwa nie taka jak przy poprzednich. Każdy kilometr oddala mnie od Irkucka, a zbliża do ostatniej polskiej enklawy na Syberii - wsi Wierszyna gdzie do dziś mieszka około pięciuset naszych rodaków.

Okolice Wierszyny, rzucone na mapę konturem przypominają niecą ogromną rozdeptaną żabę. Dookoła niezbyt wysokie, ale za to zwarte masywy górskie, gdzieniegdzie tylko przerywane niebieskimi wstążkami rzek. Panorama ściele się kuliście pomiędzy widocznymi na horyzoncie wysokimi zalesionymi górami, bezkresem tajgi na północy i Angary na zachodzie. Prześliczna okolica. Nieco dalej wielki zbiornik wodny - to Zalew Bracki. W bliskim sąsiedztwie wsi niemało ostępów o charakterze pierwotnym, nieprzebyte leśne bagna, prastare drzewostany.

Z Tichonowki do Wierszyny prowadzi piaszczysta, wyboista droga. Droga, podobnie jak ziemia, ma odcień głębokiej czerwieni, po deszczu zdaje się być jeszcze bardziej ciemna - prawie fioletowa.

Zauważam człowieka idącego wzdłuż drogi. Zatrzymujemy się - pytam ile do Wierszyny.

- Ot tam niedaleko - wskazuje ręką, skąd przyszedł.

- Wy z Wierszyny? - pytam.

- Nie, tylko w gościach był... - odpowiada człowiek wnikliwie mi się przypatrując. Po chwili dostrzega mój aparat fotograficzny, twarz mu jaśnieje - już wie, że rozmawia z jakimś korespondentem...

- Możecie wiele nie zrozumieć z tego, jak mówią tam ludzie - uśmiecha się chytrze mężczyzna.

- W tych stronach mówi się trochę innym językiem. To taka mieszanina rosyjskiego, polskiego i jeszcze jakiegoś innego polskiego, który tylko oni znają, trudno będzie się wam z nimi dogadać... - uprzedza.

- Oni zresztą sami też różnie mówią. Czasami na złość zwracają się do obcych po polsku, a czasami mówią po polsku do tych, których lubią... Na przykład kawaler wybierający się w niedzielę do dziewczyny będzie mówił po polsku, chcąc wydać się jak najbardziej eleganckim i bywałym. Tak też z jego polskim go przyjmą. Zresztą oni tak tu od zawsze mówią - skwitował, po czym uniósł rękę w pożegnalnym geście i ruszył w swoją stronę.

Z daleka na pierwszy rzut oka wieś wydaje się niewielka, ot tylko parę chałup, ale to tylko złudzenie, gdyż dopiero za zakrętem zaczyna się właściwa wieś - z prostą, szeroką ulicą. Na końcu wsi stoi drewniany kościółek postawiony gdzieś na początku stulecia; jego ujmująca skromność, czy też sam kolor drewna - delikatnie brązowy - przydał mu patyny wieków. Kościół ten tak naturalnie wrósł w krajobraz wsi i okoliczne krajobrazy, że wydaje się być budowlą, która stała tu od zawsze, wcześniej niż zbudowano tu pierwsze domy... Kiedyś codziennie odprawiano tu msze, teraz tylko raz na dwa tygodnie przyjeżdża tu z Irkucka ojciec Ignacy Pawlus - salwatorianin.

Małe wsie kojarzą się zwykle z obrazem senności i nudy. To trafne skojarzenie - tak jest w Wierszynie. Wszystko ma tu niewielkie rozmiary, nieproporcjonalnie do ludzkich tęsknot i pragnień. Małe konflikty rozdmuchane do wydarzeń, małe problemy będące tylko echem spraw dalekiego Irkucka czy nawet Czeremchowa. Pagórkowatymi drózkami Wierszyny do dziś przechadza się smutek nigdy nie zrealizowanych marzeń o wielkim świecie - *przecież* miała tu być druga Polska... Puste są kolorowe ławeczki przed domami, młodzież włóczy się w pojedynkę lub przystaje przed sklepem. Co można tutaj robić? Młodzi uciekają ze wsi, w której nie widzą perspektyw. Zostali tylko najbardziej wytrwali. Kiedyś dojeżdżali do pracy do innych miejscowości, niektórzy pracowali nawet w odległym Irkucku

- ale już od dawna ta droga uzyskania pracy została dla nich zamknięta, bowiem zarówno w Irkucku, jak w innych miejscowościach, borykają się ze swoim bezrobociem.

Nawet autobus, który kiedyś przyjeżdżał tu codziennie, teraz dojeżdża tylko w sobotę. Ludzie zwyczajnie się trują, walczą o byt, kłócą się, martwią, uśmiechają. Zwyczajne są te ich troski, nad miarę często dokuczliwe. Jest jednak coś, co wynagradza im tę sytuację - to tajga, góry i taki przepych natury, że dech z początku zapiera, a później, jak mawiają sami, na zawsze uszczęśliwia... Żyją po swojemu. Przynajmniej powietrze zdrowe. Nie ma trującego przemysłu.

Są tylko oni i natura, a jak gość pod ich dach zawita, to i flaszka samogonu zawsze się znajdzie...

Ogólnie już na pierwszy rzut oka widać, że ta polska wieś bardzo różni się od tych zazwyczaj widywanych na Syberii - jest po prostu inna. Wszędzie widać tu rękę gospodarza. Wkoło ład i porządek. Czasami odnosi się wrażenie, że to jakiś skansen, a nie syberyjska wioska oddalona tysiące kilometrów od Polski.

Różnokolorowe schludne domy, świeże firanki w oknach, porządek w obejściu

- nawet psy są tu jakby bardziej kulturalne, bo nie za głośno ujadają... Jest coś wzruszającego w tym polskim zakątku położonym na końcu świata, w tej mozaice kolorowych domów jak z bajki, zieleni wzgórz i czerwieni pól...

Syberia od wieków wielu Polakom kojarzyła się zwykle ze śniegiem, bezmiarem tajgi, katorgą i zesłaniem. Dla wielu z nich stała się drugą ojczyzną, dla której poświęcili swoje najlepsze lata, a często życie. Katorga i zsyłka pozostawiały niezniszczalne ślady w umysłach i sercach ludzi. Sama myśl o nich przejmowała grozą. Łączono tę grozę z całą Syberią, z jej nazwą i z wszystkim co jej dotyczyło. Do dziś martyrologia przesłania wszystko inne - dla wielu Syberia stała się wiecznym symbolem mąk i cierpień.

Syberia splotła się z dziejami Polski i Polaków, zwłaszcza w półtorawiekowym okresie rozbiorów. Za caratu zsyłano na Syberię do ciężkich robót i na tzw. osiedlenie. Pierwszą pisaną polską relacją o Syberii był rękopis Adama Kamieńskiego, żołnierza, który w 1657 roku został wzięty do niewoli i zesłany do Jakucji. Był to pod względem literackim niewiele warty manuskrypt, coś w rodzaju pamiętnika, który został przypadkowo odnaleziony w jednej z poznańskich bibliotek, na początku XIX wieku. Kolejny polski zapis, tym razem drukowany, pochodził z XVIII wieku. W 1707 roku dostał się do rosyjskiej niewoli Ludwik Siennicki. Zesłany do Tobolska, a później do Jakucka, spędził na Syberii wiele lat. Po powrocie do Polski, około roku 1722, opisał swoje przeżycia, które później zostały opublikowane w Wilnie. Obaj panowie w swych pracach szeroko opisywali życie i zwyczaje różnych ludów syberyjskich. Wynikało to z tego, że były to pojedyncze przypadki zsyłek, a sami zesłani nie byli brutalnie traktowani, a swe odosobnienie traktowali jako swoistą przymusową przygodę... Dopiero tragiczne skutki konfederacji barskiej

zapoczątkowały serię masowych zsyłek, z których największą datuje się na rólę 1863 kiedy to na katorgę zesłano na Syberię ponad 20 tysięcy Polaków. Wśród nich znaleźli się ludzie najrozmaitszych profesji, od rzemieślnika, architekta, lekarza, po naukowca włącznie. Długa jest lista tych ostatnich, których życie w odosobnieniu, zmusiło do poszukiwania nowych form bytu, nadających sens wygnańczej egzystencji. Listę postaci otwierają znakomitości: Benedykt Dybowski, Jan Czernski, Aleksander Czekanowski, Wacław Sieroszewski, Edward Piekarski i wielu, wielu innych ludzi nauki.

Na początku XX wieku rozpoczyna się dobrowolna emigracja ludności polskiej z rejonów Małopolski i Zagłębia Dąbrowskiego., To typowi osadnicy, głównie ludność chłopska. Warunki na pierwszy rzut oka przedstawiały się nie najgorzej; można było otrzymać 15 dziesięcin ziemi, 100 rubli bezzwrotnej zapomogi, zwracano koszty biletów kolejowych. Fakt, że mało kto otrzymywał ziemię nadającą się natychmiast do uprawy, gdyż przeważnie był to przydział ziemi zalesionej, którą trzeba było najpierw wykarczować. W tym samym czasie wielu Polaków dobrowolnie przenosi się do miast syberyjskich - chcą robić szybkie, dobre interesy. Część rzeczywiście się bogaci, większość jednak niestety zamienia się w nędzarzy. Wśród zesłanych i przesiedlonych szybko postępuje ztrata czystości języka. Władze rosyjskie nie muszą się wiele trudzić, naród polski sam na własne życzenie ztracał swą mowę. Jednak nie wszędzie tak było...

Wiejska szkoła jest jak główny dworzec wielkiego miasta; wszyscy mieszkańcy albo przez niego przeszli, albo przejdą. Wiejska szkoła to skarbnica wiedzy o historii, ludziach i zdarzeniach. Pytam więc o szkołę, a gdy uświadamiam ją mi, że są przecież wakacje, pytam o nauczyciela. W chwilę później goszczę już w najprawdziwszym polskim domu, domu, w którym mówi się najczystszą polszczyzną.

Ludmiła Wieżentas z domu Figura jest miejscową nauczycielką. Choć jest Polką z krwi i kości, sama uważa się za Sybiraczkę. Ma męża i troje dzieci.

Szkoła, w której uczy, jest jedyną szkołą na Syberii, gdzie uczniowie uczą się wszystkich przedmiotów w języku polskim. Mimo że szkoła oficjalnie jest szkołą rosyjską, język rosyjski traktowany jest tu jako język dodatkowy. To swoisty precedens, że pomimo wieloletnich prób zrusyfikowania miejscowej ludności, tak silnie przetrwała tu polskość. Wierszyna to ewenement na skalę światową, cos

w rodzaju kolonii, bowiem w chwili obecnej jest jedyną miejscowością poza granicami Polski, gdzie wszyscy mieszkańcy do dziś mówią po polsku.

Polacy z Wierszyny przyznają, że tak właściwie nie są typowymi zesłańcami

- część, owszem, za jakieś drobne przewinienia została tu przesiedlona, reszta natomiast zamiast szukać szczęścia w Stanach Zjednoczonych, poszukała go na Syberii.

Przyjechali tu latem 1910 r. - daleka to była droga z Krakowa, Czubrowic, Błędowa, słowem z Małopolski. Swoją nową ojczyznę początkowo nazwali Tubaczejewskij Uczastek, dopiero później przemianowano ją na Wierszyno, aż wreszcie na Wierszync. Zawsze byliśmy i czuliśmy się Polakami - powiadają. - Rosjanom nigdy nie udało się nas wynarodowić, na dowód czego niech będzie ten dziwny, niezrozumiały dla nich język, nasza ojczysta mowa, a właściwie dialekt małopolski z niewielką naleciałością gwary śląskiej. Ten język jest naszym prawdziwym paszportem, częścią naszej Polski, jest czymś, czego nie można nam zabrać - mówią.

Rodzinne strony. Komuż serce nie zabije żywiej na to wspomnienie? Przymknij oczy, a zobaczysz ulice i uliczki znane z wcześniejszych kroków. Tam był twój dom. Przypomnij uśmiech matki, godziny spędzone nad odrabianiem lekcji, pierwsze wagary i pierwszą miłość. Może park jeszcze szumi twoimi zwierzeniami. Pamiętasz? Ale czasem wszystko o czym myślisz, jest tylko płochą grą wyobraźni, żalem, że tak właśnie nie było. Tę sceptyczną prawdę mieszkańcy Wierszyny genetycznie odczuwają najboleśniej i najdotkliwiej na sobie. Ich dziadkowie opuścili rodzinne strony zbyt wcześnie, aby je mogli pokochać. Nie zdążyli nawet zapamiętać swego miasta, głosów jego ulic, blasku jego gwiazd. Dla żyjących obecnie w Wierszynie rodzinne strony dziadów to tylko mały punkcik na mapie gdzieś na południowych krańcach Polski. Taka mała oaza sentymentalnych imaginacji i podnieta dla wyobraźni. Czasami wieczorami płyną pieśni jak wody Wisły - melodie jakże dobrze wszystkim Polakom na świecie znane. Umarli dziadowie, lecz nie umarła ich mowa, nie umarły ich pieśni w Wierszynie.

Ludmiła jest wnuczką polskich osiedleńców, którzy przybyli tu z Czubrowic koło Olkusza. Urodziła się i wychowała w Wierszynie. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności w 1990 roku wyjechała na studia do Gdańska, które ukończyła w 1995 roku. Ma w Polsce wielu przyjaciół i znajomych.

- Nikt nie wierzył we wsi, że po studiach wrócę do Wierszyny - zwierza się Luda. - Wierzyłam tylko ja sama. Bardzo tęskniłam za domem. Śmieszne to, ale po nocach śniłam o domu, a patrząc na las koło akademika przy ulicy Polanki, roniłam łzy, wspominając swoją ukochaną tajgę... Cóż, każdy ma swój ideał doskonałego miejsca.

- Tak naprawdę ani przez chwilę nie myślałam, że wytrzymam do końca

- tęsknota za Syberią była tak silna, że liczyłam się z tym, że w każdej chwili przerwę studia i choćby na piechotę, ale wrócę do Wierszyny... Teraz jestem już mężatką, mam troje dzieci, ale wtedy byłam panną i jeszcze nawet nie znałam obecnego męża, nie wiem więc skąd się wzięła u mnie ta wielka tęsknota z: domem. Notabene nawet pracę magisterską postanowiłam napisać w Wierszynie dodam, że często przy świeczce, gdyż nie zawsze we

wsi było światło.

- Bardzo trudno opowiedzieć, opisać jak człowiek będący „innym” w mono litycznym społeczeństwie szybko musi dojrzewać - wspomina.

- Jak wcześnie musi brać za siebie odpowiedzialność. Za to co mówi, za to co robi, za to kim w ogóle jest. Ta inność sprawia, że każdy dzień, każda sytuacji - czy to nauka, czy tylko przejście przez ulicę - wymaga koncentracji fizycznej i intelektualnej. Jest rodzajem walki z życiem, z zewnętrżnością. Przynosi z; sobą zmęczenie, niejednokrotnie dotkliwe i wtedy człowiek odreagowuje stresem stara się uporządkować różne poplątane myśli, szukając zarazem swego miejsc; i recepty na szczęście - trudno gdziekolwiek być obcym.

- To, że wytrzymałam do końca, zawdzięczam tylko jednej osobie - mojemu promotorowi, który naprawdę otoczył mnie iście ojcowską opieką. Bez jego pomocy i dobrego słowa nie wytrzymałabym w kraju dziadków ani jednego roku. To prof. Józef Bachórz z Uniwersytetu Gdańskiego sprawił, że teraz jestem magistrem i mogę uczyć w tutejszej szkole. Będę mu za to wdzięczna do ostatnie! swoich dni.

- My Sybiracy jesteśmy trochę inni. Krainę tę zamieszkuje około stu dużych i małych narodowości. Odmienność zachowań, tolerancja, rodzinna poligamia sposoby polowań, obyczaje i zwyczaje, to tylko niektóre z elementów różniących naszą wielką rodzinę. Łączy nas jednak wiele więcej: surowy klimat, trudna codzienność, przede wszystkim wspólne wydarzenia historyczne. Te ostatnie sprawiły, że staliśmy się twardzi, a niedola i niedostatek, z jakimi się od zawsze spotykaliśmy, uczyniła nas wrażliwymi na wszelkie ludzkie nieszczęścia Sybiracy to nietuzinkowa społeczność, to ludzie wielkiego serca i honoru, którzy w skarbcach swych dusz noszą nieskończenie cenne rzeczy, a jedną z nich jest wrodzona potrzeba niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Na Syberii podróżni, pokrzywdzeni i głodujący tułacze wszędzie spotkają się z uprzejmości: i pomocą, w myśl zasady - dzisiaj w biedzie Ty, jutro mogę być ja. Jesteśmy ściśle związani z przyrodą, ze środowiskiem geograficznym, w którym żyjemy Nie sztukujemy życia letargiem, gdyż nie mamy na to czasu. Syberia to jedno z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie przemieszczając się długo można sycić się nostalgicznym pięknem krajobrazu, zanim zobaczy się jakiegokolwiek oznak ludzkiej obecności. Codzienność wymogła na nas hart, wytrzymałość, siłę woli i ostrożność. Życie na tej srogiej ziemi, gdzie brak jednej zapalki może decydować o życiu, to znaczy cały czas biec do przodu nie oglądając się za siebie...

- Często we wsi rozmawiamy o Polsce i zawsze dochodzimy do wniosku, że wcale nam nie żal waszego bogactwa i dostatniego życia. Na pewno żyjemy skromniej, ale za to ile mamy więcej spokoju i pogody ducha... A może to po prostu tak, że nie tęskni się do nieznanego.

- Byłam w Polsce akurat w latach przeobrażeń politycznych, zauważyłam, że wszyscy jak jeden od razu chcieli zostać bogaczami.

U nas w Wierszynie nic nowego poza tym, że ostatnimi czasy zaraz po Bajkale staliśmy się nie lada atrakcją turystyczną - coś w rodzaju ogrodu zoologicznego połączonego ze skansenem... Z roku na rok coraz więcej osób z Polski do nas dociera. Oczywiście nie mamy nic przeciwko odwiedzinom, ale mamy prośbę do przyjeżdżających, aby wreszcie zaczęli traktować nas normalnie, a nie jak jakieś więzione, nieszczęśliwe istoty.

- Dochodzi do tego, że ludzie przyjeżdżają tu po to, aby nam współczuć. *Siei* Wyobrażają sobie, że my straszliwie tu cierpimy, a ich przyjazd jest dla nas wielkim świętem, które zostanie nam w pamięci do końca życia. Ofiarowują nam, niczym Kolumb dzikim, jakieś świecidełka, lusterka, zapalniczki i lizaki... Myślą, że nas hojnie obdarowali i będziemy się tym cieszyć jak mały blaszką...

- Świat naprawdę nic o nas nie wie. Każdy przybysz znad Wisły obiecuje góry złota, namawia do powrotu do kraju, stara się nas pouczać, chce na siłę zmienić nasze życie. Ludzie nie rozumieją jednego, że Syberia dla Polaków tu mieszkających, to nasza mać... - po prostu nasza ziemia, z którą jesteśmy zrośnięci na dobre i złe, połączeni od kołyski aż po grób. Wielu z nas, szczególnie tych starszych, nie wytknęło nawet nosa poza Wierszynę, poza bezkresne obszary, rozciągające się wokół naszych domostw. Świat dla nas zaczyna się i kończy tu, gdzie ogarnia nas zewsząd bezmiar tajgi. My, którzy się tu wychowaliśmy, naprawdę nie możemy żyć bez miejsca urodzenia.

- Naturalnie nie zawsze w Wierszynie było kolorowo - wspomina Ludmiła. - Choć Polacy na tych ziemiach od początku lepiej gospodarowali, były czasy, może nie głodu, ale totalnej biedy. Wczesny stalinizm, początek lat trzydziestych. Wszystko trzeba było państwu oddawać. Starsi opowiadali, że raz na tydzień piekło się w domu czarny chleb, a raz w miesiącu kolchoz dawał z przydziału biały. Później tym białym zakąszano czarny, jak kielbasą... Niektórzy umierali od ostrego klimatu, innym udawało się przetrzymać najcięższe lata, niektórzy prowadzili życie ledwie wiążąc koniec z końcem, inni dorabiali się majątku. To były złe i okrutne czasy, które, mam nadzieję, nigdy już tu nie powrócą.

- A co nowego w Gdańsku? - zapytała chcąc prawdopodobnie zmienić już temat.

- W Gdańsku jak w Gdańsku - zawsze coś nowego...

Teraz z kolei ja opowiadałam, a Ludmiła słuchała. Wróciły wspomnienia; Luda pytała o miejsca, ulice i znajomych ludzi... Przy pożegnaniu wręczyła mi kartkę z gdańskimi adresami. - Proszę wszystkich ode mnie serdecznie uściskać - powiedziała.

Słońce skryło się już za lasem. Niebieskawozielone świerki ciemnieją, stają się na tle

czerwonej zorzy niemal czarne. Po seledynie nieba wędrują chmurki chłonec chciwie ostatnie blaski niewidocznego już słońca.

W Wierszynie wieczorna krzątanina. Ktoś gdzieś woła:

- Józek, a zajdź wieczorem „do maryniorza”.

- Przepraszam, kto tu jest marynarzem - zapytałem starszą niewiastę siedzącą na ławce przed domem.

- Jaki on tam marynarz - nigdy morza nie widział. To taki jeden, a przezwisko dali mu po żonie.

- Maryna jej...

- Oj chwata to kobitka, charakterna, jak trza, to i chłopca na plecach do domu przyniesie, no i... z tego poszedł „maryniorz” - czyli od Maryny.

- Zabawne to przezwisko - uśmiechnąłem się.

- Zabawne, zabawne, ale takich zabawności, to we wsi więcej...

- Ot, na przykład mówi się „idę do studziada”.

- A wzięło się to stąd, że któryś tam z pradziadów Antoniego miał nawyk zakłąć sobie przy lada okazji - „a do stu dziadów” - i to już przyłgnęło do następnych pokoleń - tu w Wierszynie czas niewiele zmienia - powiada uśmiechając się szczerze.

Idę dalej, rozmawiam z ludźmi - z wszystkimi po polsku! Jest Józek, Wojciech, Władek, Helena... Nawet hałaśliwie bawiące się dzieci wrzeszczą w dobrze znanym mi języku.

Dopiero teraz zwracam uwagę na to, że domy w Wierszynie stoją w pewnej odległości od siebie, a nie w zwartej zabudowie, jak u Rosjan. Daje to mieszkańcom pewną intymność, bowiem sąsiad sąsiadowi nie zagląda przez płot na podwórko.

Przedemną ściele się właśnie taki piękny malowany domek, zdawałoby się pachnący jeszcze farbą. U jego szczytu stos równo ułożonych polan. Dom otoczony jest ogrodem. Kwiaty, trawniki, jakieś drzewka. Dalej fasolka, pomidory, marchew, kapusta, a między nimi alejki wysypane drobnymi kamyczkami. Wydaje się, że wszystko co znajduje się w tym obejściu, ma zapach zieleni... Nie przywykłem do takiego widoku na Syberii. To widok wręcz teatralny, wszystko zdaje się być tylko rekwizytami... Nawet ludzie. Tak jak ta starsza niewiasta w kolorowej chustce, siedząca na ławce przed domem. Wydaje się, że gdyby odeszła z tego miejsca, w otoczeniu zostałaby dziura, jak po wyrwanym zębem...

Ludzie chodzą od domu do domu - powoli, powolutku... Nigdzie się nie spieszą, nigdzie nie zamierzają dojść. Siedzą na ławeczkach. Długo, bez ruchu, tak jakby wciąż myśleli o rzeczach minionych...

Chodzę po wiosce, przyglądam się domom, przyglądam się ludziom. Jacyś

staruszkowie zapraszają. - Chodźcie, herbatki popijemy - powiadają. Nie trzeba mnie długo namawiać. W chwilę później siedzę już w kuchni przy niewielkim stoliku ustawionym tuż przy oknie.

Dyskretnie rozglądam się wkoło. Dom jak każdy wiejski dom, tyle że zadbane. Tylko na stoliku tłok jak w teatralnej garderobie: lustro na podpórce, szczotka, cały zestaw grzebyków, garnuszek z masłem, maszynka elektryczna, stare zdjęcia. Dziadek powiada, że już nadszedł jego czas, czas kiedy można podsumować życie - zobaczyć co los dał, a co zabrał... Mówi, że już naszły go te dni, kiedy coraz częściej staje przy oknie i patrzy - bardzo długo patrzy. A za oknem wszystko jak ze Staffa...

Popijamy herbatę, płyną wspomnienia, oczy grają, ręce odtwarzają gesty wielkich aktorów... Miło posiedzieć w tym polsko - syberyjskim domu, ale cóż, komu w drogę... Dziękuję serdecznie za gościnę i ruszam w kierunku skraju wsi, gdzie czeka na mnie umówiony kierowca.

Idę przez wieś, wzdłuż chłopskich zagród, czuje jakiś dziwny niedosyt, może dlatego, że tak krótko tu byłem. Patrząc na domy, na ten kawałek Polski, oddalony tysiące kilometrów od stolicy... Ile domów, tyle scen, na których występują wspomnienia. W każdym stoją przy oknach ludzie, a za oknami wszystko jak u Staffa...

W drodze powrotnej nawala nam samochód. Na tych drogach konie boją się samochodów, a kierowcy boją się tych dróg... - nie możemy więc liczyć na żadną pomoc. Cóż - nie ma wyjścia, będziemy nocowali w tajdze. Kierowca już dobrze wie o tym, gdyż znosi gałęzie na ogień...

Niebawem pociemniało całkiem i wszystko wkoło stało się niewidoczne, tylko blask ognia jaśniał wśród drzew. Leżałem przy ogniu i długo wsłuchiwałem się w głos tajgi; niebawem ogarnęła mnie błogość...

Ranek był wilgotny i szary. Kierowca już krzątał się koło samochodu. Diagnoza - pompa paliwowa. Trzeba wymontować i z czegoś zrobić nową membranę...

Jest już wieczór, kiedy dojeżdżamy do Irkucka. Handel w hali targowej skończony, tylko opieszali pakują ostatnie tobołki. Na wyszczerbionych płytach chodnika dzieci tłuką orzechy... Stare drewniane domy ustawione wzdłuż ulicy Dzierżyńskiego pamiętają nie takie targi. Dwieście lat temu przyjeżdżali tu kupcy z całego świata. Domy ugięły się pod towarami. W niektórych z nich budowano nawet piwnice, by było dość miejsca na przeróżne bogactwa. Wesole i gwarno było w dawnym Irkucku, księgi miejskie niejedną ucieśzną i groźną historię z owych czasów przekazały. Taki właśnie Irkuck zastali dziadkowie Ludmiły, Heleny, Wojciecha i wielu tysięcy innych polskich zesłańców.

Dwa dni później rozpoczynam właściwą ekspedycję. I tym razem niezawodny

Gennadij przychodzi mi z pomocą. Samochód z instytutu wiezie mnie do miejscowości Listwianka, położonej nad jeziorem Bajkał. Jak już wspomniałem, mam tam znajomych, których poznałem przed czterema laty, kiedy to przez Syberię przemieszczałem się do Nowego Jorku.

Jadę szeroką i równą drogą nie mającą odpowiednika w promieniu setek kilometrów. Droga z Irkucka nad Bajkał ma swoją historię, którą warto w tym momencie przypomnieć. Swe powstanie zawdzięcza planowanej wizycie prezydenta Stanów Zjednoczonych, Dwighta Eisenhowera w ZSRR. W przygotowanym programie wizyty strona amerykańska wyraziła ochotę na krótki odpoczynek nad Bajkałem. Rosjanie wiedzieli, że niezagospodarowanie terenu przy jeziorze praktycznie wyklucza amerykańską zachciankę, ale nastrój ówczesnych dobrych stosunków dyplomatycznych sprawił, że nie wypadało gościom takiej drobnostki odmówić. Pomimo że do wizyty pozostał tylko miesiąc, władze radzieckie (Chruszczow - przyp. R. K.) zdecydowały się na natychmiastowe rozpoczęcie O budowy pięćdziesięciokilometrowego odcinka drogi z Irkucka nad Bajkał oraz ekskluzywnego hotelu w malowniczo położonym miejscu, koło miejscowości Listwianka.

Ściągnięto materiały budowlane z Zachodu i opierając się na „imperialistycznej” technologii ukończono budowę nawet przed ustalonym terminem. Z materiałów budowlanych dostępnych w ZSRR użyto do budowy tylko piachu i wody... Ile to wszystko musiało kosztować, należy spytać samego Pana Boga, gdyż Rosjanie na pewno do tego się nie przyznają. Pikanterii całemu wydarzeniu dodaje fakt, że delegacja amerykańska z jakichś tam przyczyn nad Bajkał nie dotarła...

Dzięki temu splotowi wydarzeń miejscowość Listwianka zyskała hotel oraz piękną drogę dojazdową, tym samym w przeciągu miesiąca stała się poważnym nadbajkalskim „kurortem”.

Tymczasem dojeżdżam do Listwianki i stwierdzam, że przez ostatnie cztery lata niewiele się tu zmieniło, poza tym, że jakiś pomysłowy biznesmen postawił tuż przy drodze dużą klatkę z trzema niedźwiedziami - pewnie od turystów pobiera opłatę za ich oglądanie.

W Listwiance już nie muszę liczyć jak dotychczas na samo szczęście - nie mam wyjścia - liczę na przychylność znajomych, z pomocą których zamierzam dostać się do przylądka Szarmłaj, skąd już tylko żabi skok do źródeł Leny.

Bez trudu odnajduję znajomych sprzed lat, dla których moje przybycie było wielką niespodzianką. Uściskaliśmy się jak przystało na starych dobrych znajomych, wspominając na gorąco moją poprzednią wizytę.

Rosjanie początkowo sądzili, że przyjechałem nad Bajkał na wczasy, lecz gdy pełen

obaw wyjawilem im cel mojej wizyty, prosząc o pomoc, odpowiedzieli krótko: - Jutro wszystko załatwimy, dzisiaj natomiast, jak nakazuje w takich wypadkach rosyjska tradycja, napijemy się do upadłego wódki...

Cóż mogłem na to poradzić? Jak postanowiono, tak zrobiono. W celu wygodnego wlewania w siebie alkoholu udaliśmy się do starej syberyjskiej chaty, tej samej, w której gościłem przed laty. Gospodarzem, jak wówczas, był Kazimierz, Rosjanin polskiego pochodzenia, którego we wsi nie wołano inaczej jak Polak...

Na stole pojawiły się butelki wódki bajkalskiej, a na zakąskę smaczna rybka omól, którą podano w postaci wędzonej, solonej i suszonej - do wyboru, do koloru - śmiali się Rosjanie...

Impreza zgodnie z tradycją trwała do późnych godzin nocnych i miała swój finał u miejscowego popa, którego w przyływie serdeczności i głębokiej wiary odwiedziliśmy po północy. Batuszka oburzony był faktem spożywania przez nas wódki, na dowód czego postawił na stole trzylitrowy słoje samogonu, dowodząc przy tym, że alkohol tylko w tej postaci jest zdrowy... Po opróżnieniu zawartości słoja oraz odśpiewaniu kilkunastu rosyjskich patriotycznych pieśni wszyscy zgodnie odeszliśmy w niebyt.

Kiedy nazajutrz otworzyłem opuchnięte oczy, zobaczyłem uśmiechniętą brodatą twarz patriarchy.

- Wstawaj - *podchmielić nada*⁴ - powiada. W chwilę później z sąsiedniego pomieszczenia doszedł do mnie miły znajomy gwar. Była to wczorajsza ferajna, jak się domyśliłem od jakiegoś czasu zażywająca leczniczo samogon. Okazało się, że wszyscy noc spędziliśmy na plebanii.

W Rosji jest wiele szanowanych do dziś obyczajów. Jednym z nich jest powinność gospodarza, który *raczył* gości alkoholem, do postawienia klina nazajutrz po pijaństwie. Przyznać trzeba, że jest to słuszna powinność. Nie ma też co się zbytnio dziwić, że akurat ta, jak rzadko która tradycja, przetrwała w Rosji do dziś...

Kiedy po chwili dołączyłem do towarzystwa, okazało się, że plan przetransportowania mojej wyprawy w okolice źródeł Leny jest już gotowy. Ktoś zaoferował łódź, ktoś inny beczkę benzyny. Ponieważ była ładna pogoda, a do celu ponad trzysta kilometrów, zapadła decyzja, by wyruszyć jak najszybciej. Wypiliśmy jeszcze za pomyślność przedsięwzięcia, a rozstając się ustaliliśmy za godzinę spotkanie na przystani, skąd zamierzaliśmy wyruszyć. Wielebny Ojciec jeszcze na odchodnym dobył z piwnicy słoje samogonu, który, jak określił, stanowić miał pociechę dla nas podczas długiego rejsu, ochronę od chłodu panującego na wodzie.

Jeziora Bajkał nie trzeba nikomu przedstawiać, jednak grzechem byłoby nie

4 z jęz. rosyjskiego - wypić klina.

wspomnieć o nim. Wiele, bardzo wiele pisano już o tym wielkim jeziorze i wszyscy jak jeden, którzy się do tego zabierali, niemal zawsze starali się poprzedzić swój opis jakimś bardziej uroczystym wstępem, jakimiś sformułowaniami, których gadaniem było już na początku, od razu, uprzytomnienie czytelnikowi, że temat obiektu tematu jest zupełnie niezwykły, niepowtarzalny, niemal fantastyczny całe pełni swych oryginalnych cech.

Pisano o Bajkale książki, artykuły, wiersze i rozprawy naukowe. Także w twórczości ludowej powstawały o nim legendy, nazywano go morzem, perłą Syberii, zachwycono się jego majestatem i tajemniczością, lękano się go jednocześnie. Ale najciekawsze jest między innymi to, że wszystkie te opisy są słuszne, bez względu na ładunek tkwiącego w nich często patosu. Mogą się one wydawać czasem przesadne i niech tak zostanie, bo Bajkał i tak pozostanie wieczny w literaturze i nauce, ponieważ jest unikatem w samej przyrodzie.⁵ Może wyda się to trochę nudne, ale wspomnę co nieco o tym przedziwnym cudzie natury:

„Jezioro leży pomiędzy masywem Sajanów Wschodnich, Wyżyną Mongolską i Płaskowyżem Leńsko - Angarskim. Bajkał jest swoistym kolosem. Jego wygląd można porównać do olbrzymiego, niebieskiego, mocno wykrzywionego półksiężyca, otoczonego z obu stron wysokimi masywami górkami. Długość jeziora wynosi sześćset trzydzieści sześć kilometrów, szerokość dochodzi do osiemdziesięciu, głębokość według najnowszych badań szacuje się na tysiąc sześćset trzydzieści siedem metrów, co czyni go automatycznie najgłębszym jeziorem świata. Bajkał jest zarazem największym zbiornikiem słodkiej wody na naszym globie, zawiera bowiem co najmniej jedną dwudziestą część jej ogólnego zasobu! Wiek jeziora szacuje się na dwadzieścia pięć milionów lat, co czyni go najstarszym jeziorem na świecie.

Brzegi Bajkału otoczone są górami. Skaliste szczyty, strome, porośnięte tajgą zbocza nadają brzegowi bajeczny, niespotykany nigdzie indziej charakter. Długość brzegów, na które składają się setki półwyspów i zatok, wynosi dwa tysiące sto kilometrów! Największe zatoki to Barguzińska, Czywyrkujaska, Porwał i Posolskij Sor. Największym półwyspem jest Swiatoj Nos. Na jeziorze znajduje się również jedna wielka wyspa - Olchon - oraz około trzydziestu niewielkich, skalistych wysepek, wśród których najbardziej znane są Wyspy Uszkanje leżące koło półwyspu Swiatoj Nos.

Bogactwo, różnorodność i oryginalność flory i fauny bajkalskiej nie dadzą się podciągnąć pod żadne kategorie porównań. W jeziorze żyje ponad 1500 gatunków zwierząt, z czego ponad 80% nie występuje nigdzie indziej. Brzegi porastają tysiące gatunków roślin, z których połowa ma charakter endemiczny, czyli właściwy danej okolicy. Osobliwości życia zwierzęcego w Bajkale oraz wyjątkowa oryginalność form wiążą się ściśle z geologiczną historią jeziora zbadaną przez polskiego geologa Jana Czerskiego. Grzechem byłoby tu nie

⁵ Ludwik Bazylow - *Syberia*.

wspomnieć o innym polskim badaczu Bajkału, mianowicie Benedyckie Dybowski, dzięki któremu świat poznał tę niespotykaną nigdzie indziej florę i faunę.

Jeziro od czasów swego powstania dwadzieścia pięć milionów lat temu, w charakterze rowu tektonicznego, nigdy nie było połączone z żadnym morzem i dzięki temu stało się tajemniczym „światem dla siebie”. Do dziś zagadką jest, skąd wzięły się w Bajkale foki, gatunek, który na co dzień występuje w Morzu Arktycznym. Z czasem ten największy zbiornik słodkich wód na kuli ziemskiej stał się potężną wylegarnią nowych form życia. Nadzwyczaj intensywnie przebiegały w nim procesy tworzące nowe gatunki. Doprowadziło to do niepowtarzalnej sytuacji polegającej na tym, że aż osiemdziesiąt procent form zwierzęcych nie występuje nigdzie indziej. W Bajkale endemiczne są nie tylko gatunki i rodzaje, lecz także podrodziny, a nawet rodziny.

Lasy otaczające jezioro roją się od wszelkiej zwierzyny, jak na przykład niedźwiedzie, jelenie, łosie oraz znane syberyjskie sobole. Generalnie dużo zwierząt zamieszkujących przybajkalską tajgę spotykanych jest także w Europie. Jednak te syberyjskie podgatunki różnią się nieznacznie wyglądem od swych europejskich kuzynów; są nieco większe, mają inną budowę ciała, niejednokrotnie odmienne zwyczaje. Okolice jeziora zamieszkują również zwierzęta charakterystyczne dla obszarów przybajkalskiej tajgi. To np. polatucha, burunduk, soból czy kołonok - łasica syberyjska.

Nadbajkalskie lasy to stare lasy. Ich wiek szacowany jest od dwustu do dwustu pięćdziesięciu lat. Starsze, lasy limbowe mają ponad trzysta lat. Spotyka się również okazy, szczególnie wśród modrzewi, które liczą nawet dziewięćset lat! Rekordem okazał się pewien modrzew, u którego doliczono się ponad tysiąc trzysta rocznych przyrostów!

Tajga okalająca Bajkał to stary borealny las iglasty, tzw. jasna tajga, składająca się z sosny pospolitej, świerka syberyjskiego, jodły syberyjskiej, kilku gatunków modrzewia (syberyjski, dahurski) oraz limby zwanej na Syberii cedrem. W okolicach jeziora niewiele można spotkać drzew liściastych; jest trochę brzozy, topoli i osiki. Co prawda nieco wyżej w subalpejskim piętrze Gór Bajkalskich występuje wiele gatunków brzoź, ale tylko niektóre z nich mają formę drzewiastą, pozostałe to krzewy, jak np. brzoza irkucka (gatunek endemiczny).

Pisząc o Bajkale nie sposób nie wspomnieć o czystej, przezroczystej wodzie, która ma kolor ciemnozielony i odznacza się aż nieprawdopodobnym stopniem przezroczystości, większym niż w jeziorach alpejskich. Co powoduje, że woda w jeziorze jest tak czysta? Biologowie wysunęli hipotezę, która jest chyba jedyną odpowiedzią na to pytanie. Otóż w jeziorze żyje drobniuteńki skorupiak (1,5 mm) o nazwie episzura, który występuje masowo w pewnych porach roku. Episzura odżywia się właśnie zabarwiającymi wodę

mikroorganizmami. Skorupiak ten przemieszcza się pionowo od warstw górnych do wielkich głębokości. Jego odnóża pokryte są drobnymi włoskami, które spełniają rolę sit filtrujących i oczyszczających przy okazji wodę całego Bajkału! Brzmi to niewiarygodnie, zdaję sobie z tego sprawę, ale przytaczam tylko stwierdzenia nauki, które usłyszałem goszcząc w Instytucie Limnologicznym Rosyjskiej Akademii Nauk, który ma swoją siedzibę właśnie nad samym Bajkałem w miejscowości Listwianka. - Miejscowi nie wyrażają naukowych pojęć, lecz gdyby ich spytać, to stwierdzą z dumą, że widać kopiejkę leżącą na głębokości 30 m...

Woda w jeziorze jest niestety bardzo zimna. To za sprawą masy i wielkiej bezwładności termicznej. Średnia temperatura wody wynosi 4 stopnie C. Nieco cieplejszą można spotkać jedynie latem przy ujściach dużych rzek i w małych, płytkich zatokach. Obowiązuje jednak zasada, że każdy, kto pierwszy raz odwiedzi jezioro, musi się obowiązkowo w Bajkale wykąpać. Brrr...

Szukający sensacji dziennikarze rozpowszechniają na świecie opinię o katastroficznym zanieczyszczeniu Bajkału, spowodowanym obecnością nad jeziorem kombinatu celulozowo - papierniczego w Bajkalsku. To kompletna bzdura - woda w Bajkale jest w dalszym ciągu niezwykle czysta. Wybudowany przy zakładach system oczyszczalni w pełni chroni wody Bajkału.⁶ Owszem, w przeszłości były lata, kiedy do jeziora wraz z rzeką Selengą wpadały ścieki z całego ośrodka przemysłowego Ułan - Ude, powodując zakłócenie równowagi ekologicznej południowej części Bajkału. Obecnie wraz z kryzysem ekonomicznym Rosji na szczęście praktyki te ustały. Nie bez znaczenia dla jeziora są również przemiany ustrojowe. Obecnie rzeczywistość rozum kontroluje czyn i ochrona tego cudu natury stała się rzeczywistym faktem.

Do Bajkału trafiają wody ponad pięciu tysięcy rzek z obszaru położonego na południe i południowy wschód od jeziora. Bezpośrednio do jeziora, według najnowszych obliczeń, wpada czterysta sześćdziesiąt rzek⁷, największą z nich jest wypływająca z Gór Changajskich w Mongolii rzeka Selenga; wypływa natomiast tylko jedna - Angara⁸ - dopływ Jeniseju. W jej górnym biegu spadek wynosi aż cztery metry na kilometr, co sprawia, że od przełomu z wód Bajkału aż po widnokrąg pozostaje wolna od lodu nawet w najtęższe mrozy. Przez całą zimę gości tam niezliczone mrowie ptactwa wodnego, rozbrzmiewające gwarem w ciche noce. Obliczono, że gdyby do Bajkału nie dopływała woda, a tylko uchodziła w takim tempie jak przez Angarę, to opróżnianie jeziora trwałoby 380 lat!!!

Autonomiczną ludnością terenów przy jeziorze są Buriaci. Historia tego typowo

⁶ Międzynarodowe instytucje zajmujące się ochroną środowiska wyrażają nadal (2004) inną opinię niż Koperski.

⁷ Najczęściej jednak podaje się liczbę ustaloną przez J. Czernieckiego: trzysta trzydzieści sześć.

⁸ Wypływa koło wspomnianej miejscowości Listwianka.

azjatyckiego ludu sięga neolitu, a więc już klimatu przyrody zbliżonych do stanu obecnego. Jak udowadniają współczesne wykopaliska, zanim pojawili się tam Buriaci, okolice Bajkału były bezkresną, mroźną tundrą, wśród której żerowały stada reniferów, żubrów i mamutów. Naród buriacki wykształcił się, jeżeli tak można nazwać, z różnych mongolskich plemion napływających z południa nad „Wielkie Świąte Morze”. Najliczniejsi z nich to: Echirycci, Bałagaci, Chondogorcy oraz Chorińcy.

Typ urody buriackiej jest bardzo odmienny od europejskiej; szerokie, krótkie twarze, płaskie nosy, skośne wąskie oczy, czarne włosy, brak zarostu na twarzy. Ideałem piękności człowieka u Buriatów jest szeroko - krótka twarz, czarne włosy, ciemna barwa skóry. Buriatki zapytane, czy podobają im się Polacy, odrzekły, że nie, bo mają twarze wąskie „jak sobaczyje mordy”, włosy „jak szołk” czyli jedwab, a do tego wyłupiaste oczy jak u sowy... Cóż, szkoda, że nie podobamy się Buriatkom.

Pierwsi Rosjanie dotarli na te tereny dopiero w XVII w. Rosyjskie metody podboju Syberii nie były porównywalne z amerykańskimi sposobami cywilizowania Dzikiego Zachodu. Plemionom koczowniczym pozostawiono dużą część samorządności. Buriaci do dziś zachowali autonomię. Tak zwane dumy stepowe przetrwały nawet czasy komunistyczne. Sami Buriaci też się niewiele zmienili; trudnią się hodowlą koni i bydła, rybołówstwem, łowiectwem i zbieractwem. Z reguły prowadzą osiadły tryb życia. O gościnności tego narodu nie wspomnę - do dziś obowiązuje tu konsekwentnie przestrzegana zasada: „Gość w dom - Bóg w dom”. Jednakże ile by na ten temat pisać, to zawsze będzie mało. Dlatego też polecam każdemu, aby wybrał się na wycieczkę w ten zakątek świata.

Brzeg zacierał się szybko w pyle wodnym wzburzonego południowym wiatrem jeziora. Wicher ten od wieków w porze wiosennej, porywistymi uderzeniami zrywał ze szczytów Gór Bajkalskich wirujące kłęby śniegu i ciskał nimi w wodę. Na wysokim urwisku, tuż za Listwianką, widać jak gwałtowne podmuchy zmiatają biały całun, odsłaniając wilgotne poszycie tajgi. Nawet bez podstawowej wiedzy o meteorologii można zauważyć, że wiatr wiejący wysoko jest o wiele silniejszy niż wiejący w dole, tuż przy wodzie.

Płynęliśmy w czwórkę: Kazik, Tolek, Sasza i ja. Po kilku godzinach żeglugi wzdłuż wybrzeża dotarliśmy do dwóch leżących koło siebie niewielkich zatok: Piaszczystej i Babuszki. Pierwszą z nich ograniczają dwa ogromne występy skalne, przypominające z kształtu dzwonnice i dlatego noszące nazwy Wielka i Mała Dzwonnica (ros. *Bolszoi i Małyj Kołokolnyj*). Wielka Dzwonnica oddziela Zatokę Piaszczystą od Babuszki, którą z przeciwnej strony ogranicza skała Dziad. Celowo zwracam uwagę na ten precudowny zakątek jeziora, ponieważ obie zatoki są chyba najbardziej ulubionymi miejscami, do

których ciągną przebywający nad Bajkałem turyści.

- Na tych wodach trzeba się spieszyć, wiem coś o tym - powiedział głośno Kazik, starając się przekrzyczeć warkot pracującego na wysokich obrotach silnika.

- Dalej we Wrotach Olchońskich może być jeszcze gorzej - kontynuował. - jak zawieje sarma⁹, to możemy do brzegu nie zdążyć - straszyl, choć wiedział, że o tej porze roku wiatr ten nie występuje.

Wrota Olchońskie to mały przesmyk między zachodnim brzegiem Bajkału a znajdującą się na nim wyspą Olchon. Za tym naturalnym zwężeniem (2,5 km) rozpoczyna się tzw. Małe Morze. Jest ono szeroko otwarte ku północy, a od strony południowej łączy się z jeziorem przez wąską cieśninę nazwaną Wrotami. W tym miejscu wpada do Bajkału niewielka rzeka Sarma, na obszarze której powstaje właśnie ów wiatr o właściwościach przerażającego, szalonego huraganu. Prędkość jego dochodzić może do sześćdziesięciu metrów na sekundę. Co prawda sarma zrywa się w porze chłodnej, na przełomie jesieni i zimy, ale jezioro ma w zanadrzu jeszcze kilka innych lokalnych wiatrów jak: *kultuk*, *wierchowik*, *barguzin*, które mogą powstać w każdej chwili i w przeciągu krótkiego czasu zamienić jezioro w piekło...

U Nad szeroki Bajkał nadciągnął zmrok. Zawleczony mgiełką horyzont nieco się rozjaśnił. Łańcuch gór ciągnący się wzdłuż brzegu i ginący hen w dali stał się wyraźnie widoczny. Chmury gdzieś znikły; niebo przystroilo się w granat przetkany wielkimi syberyjskimi gwiazdami.

Ciemne sylwetki gór zbliżały się w milczeniu ku lewej burcie. Chwilę później wychylił się spoza nich księżyc i rozświetlił srebrną poświatą ich poszarpane szczyty. Gdzieś w pobliżu sennie plusnęła ryba.

- Wspaniała noc - westchnął Kazik. - Spójrzcie jaka piękna droga na jeziorze...

Istotnie przez Bajkał biegł coraz bardziej zwężający się księżycowy szlak. Wcale nie był srebrzysty jak na innych morzach czy jeziorach, lecz wyraźnie miał odbłask miedzi. Prawdopodobnie przyczyna tego zjawiska była szczególna właściwość bajkalskiej wody.

Powstałe za łodzią fale usiłowały zmaćić i zatrzeć księżycowy szlak, za wszelką cenę oderwać go od rufy, ale daremnie - szlak ciągnął się za łodzią jak lina holownicza, na której umocowany był przeciwległy brzeg, całe niebo, cały świat.

Następnego dnia około południa minęliśmy leżącą po prawej wyspę Uszkanje. Teraz Kazik, pełniący cały czas rolę sternika, skierował łódź w kierunku brzegu. Kiedy minęliśmy przylądek Szarmłaj, daleko na brzegu zauważyliśmy drewniane chaty leśnictwa Pokojniki, które, jak się później dowiedziałem, są zarazem bazą naukową Rezerwatu Bajkalsko - Leńskiego. Od Rosjan dowiedziałem się, że teren, na którym stoją chaty, ma dość

⁹ Nazwa wiatru występującego na jeziorze Bajkał.

charakterystyczną nazwę - Brzeg Burych Niedźwiedzi... Skąd się wzięła nazwa, nie muszę chyba nikomu tłumaczyć. Podpłynęliśmy bliżej. Teraz już wzdłuż brzegu przemieszczaliśmy się w kierunku odległej o niecałe dwa kilometry stacji meteorologicznej Słonecznaja. Właśnie niedaleko stacji znajdowała się przełęcz Sołnciepad, skąd było tylko kilka kilometrów do celu naszej podróży - do rzeki Leny.

Po kilkunastu minutach dobiliśmy do piaszczystego brzegu. Byliśmy przemarznięci i zmęczeni bezsennością spędzoną na brzegu przy ognisku. Zanim jednak wyruszyliśmy do oddalonej o siedem kilometrów Leny, zgodnie z radą popa pokrzepiliśmy się połową zawartości słoja. Od razu zrobiło się cieplej i raźniej. Bagaże załadowaliśmy na plecy i gęsiego ruszyliśmy w drogę. Zamierzaliśmy dojść do nurtu rzeki, tam pozostawić bagaże, po czym już bez obciążenia wzdłuż potoku dojść do źródeł rzeki.

Szliśmy pod górę w milczeniu, każdy pogrążony w swoich myślach. Słyszeć było tylko łamanie gałęzi pod nogami i szelest naginanych gałęzi drzew, które z regularnością zegarowego wahadła bujały się jeszcze chwilę po naszym przejściu. Szedłem za Kazikiem. Przesuwałem wzrok po jego postaci od głowy po stopy. Miałem wrażenie, że w tajdze porusza się bardziej elastycznie niż pozostali. Cała jego postura była jeszcze jednym kształtem w tym fantastycznym rojowisku roślinnym, wypełniającym mroczne wnętrza dziewiczego świata, w który się zagłębialiśmy. Za nami zamykała się szczelnie tajga, widzialność wkoło była ograniczona. Wędrowaliśmy przez sosnowo - modrzewiowy las od czasu do czasu mijając jakieś skały o dziwnych, fantastycznych kształtach. Nieco wyżej weszliśmy w tajgę pełną brodaczek - pajęczynowych porostów zwieszających się z gałęzi modrzewia. Porosty te nadawały tajdze niesamowity, wręcz bajeczny wygląd.

Po jakimś czasie wyjąłem kompas, aby sprawdzić kierunek. Idący za mną Sasza, gdy zobaczył co zamierzam zrobić, powiedział od niechcienia - *nie nada, najdiotn*¹⁰. Jak *nie nada*, to *nie nada*. Schowałem więc kompas i przez dalszą drogę myślałem tylko o tym, dlaczego *nie nada*. Wątpiłem przy tym, aby Rosjanie kiedykolwiek tędy szli i znali drogę, skąd więc pewność Saszy, że znajdziemy bez problemu rzekę?

Po około godzinnej wspinaczce weszliśmy w lasotundrowy krajobraz. Uderzyła mnie wręcz gwałtowna zmiana krajobrazu. Tak jakbym raptem wyszedł z gęstego lasu na polanę. W chwilę później wspinaliśmy się już strefą górskiej tundry z nielicznymi porastającymi ją krzakami brzozy. Teraz z kolei szliśmy po jakimś kamiennym osuwisku. Od czasu do czasu idący w pewnej odległości przede mną Rosjanie wymieniali kilka słów. Nie rozumiałem, co mówią, ale w brzmieniu ich głosów zauważyłem wzrastający niepokój. Pewnie pobłądzili - pomyślałem. Szliśmy teraz prędzej, coś ich niepokoiło. Zaczęliśmy się pięć pod bardziej jeszcze stromą górę. Rytm mojego serca gwałtownie wzmógł się. Wkrótce mój oddech stał

10 Z jęz. rosyjskiego - nie trzeba, znajdziemy.

się tak krótki, jak oddech psa gończego. Zimny pot ściekał mi wzdłuż pleców i piekł pod powiekami. Miałem wrażenie, że serce wysunęło mi się z piersi i powoli, ale nieustannie wznosi się do gardła. Wreszcie weszliśmy na równinę i serce wróciło na swoje miejsce. Dotarliśmy na wierzch pokrytych jeszcze śniegiem Gór Bajkalskich. Odetchnąłem z ulgą. Zziajani przysiedliśmy na bagażach. Na Rosjanach, choć taskali ważący kilkadziesiąt kilogramów ponton, wspinaczka nie zrobiła najmniejszego wrażenia, przynajmniej na to pozowali. Wiem jednak, że było im też bardzo ciężko, gdyż na pewnym odcinku wspinaczki zaprzestali nawet kłać, nie dawało im to już żadnej satysfakcji, a Rosjanin tylko wtedy przestaje kłać, kiedy zdaniem jego gorzej być już nie może...

Niebawem wyjaśniło się, co w trakcie wędrówki spowodowało tak gwałtowny niepokój wśród moich przyjaciół. Okazało się, że na brzegu pozostał słoik z zawartością, został ot tak na piasku, na widoku...

Na moje pytanie, dlaczego nie przejmują się faktem pozostawienia łodzi z silnikiem bez opieki, odpowiedzieli, że łodzi nie waży się nikt tknąć, ale bimber jak znajdą, to z pewnością wypiją... Choć prawdopodobieństwo, że ktoś jeszcze prócz nas przebywa w okolicy było znikome, to jednak fakt pozostawienia samogonu bez opieki był tak silny, że przeradzał się w niepokój. Podejrzewam, że gdyby na brzegu pozostała beczka alkoholu, przyjaciele moi dostaliby pomieszania zmysłów i jedynie śmierć byłaby w stanie ich od tej udręki wybawić...

Bliskość wymarzonej rzeki sprawiła, że stałem się już niecierpliwy jak dziecko w wigilijny poranek. Rosjanie szybko odgadli moje myśli.

- Idź już szukać swojej rzeczki - powiedzieli.

Ustaliliśmy więc, że Rosjanie pozostaną na miejscu z bagażami, a ja tymczasem odnajdę rzekę, po czym wzdłuż potoku dojdę do jej źródła, następnie zejść niżej szukając przy okazji dogodnego miejsca do wodowania łodzi.

Wziąłem mapę i kompas, i czym prędzej, jakby w obawie, że mnie ktoś ubiegnie, oddaliłem się w kierunku porośniętego drzewami zbocza. Kiedy zniknąłem już im z oczu, przystanąłem, dobytek mapę, ustaliłem azymut i już spokojnie powędrowałem dalej. Niecałą godzinę później przegrodziła mi drogę płynąca po

kamieniach wąska bystrzyca. Poczulem, że podskoczyło mi gwałtownie ciśnienie - to była Lena!

Aby nie tracić czasu czym prędzej ruszyłem w górę, wzdłuż jej potoku. Idąc zauważyłem dziwne zjawisko. Woda wypływała z kamienistego zbocza, następnie wyłobionym w twardym śniegu krętym przesmykiem niosła się wartko, by po kilkudziesięciu metrach ponownie wpłynąć pod ziemię. Za każdym razem wydawało mi się,

że wypływająca spod ziemi woda to już właściwe źródło. Lecz nie - woda znów wpływała pod ziemię. Nieco dalej, jakby ciekawa tego co przed chwilą zobaczyła, znów wypłynęła, po czym powtórnie się schowała. Jeszcze kilkakrotnie, jakby niezdecydowana kryła się i wynurzała, po czym ostatecznie, płytkim kamienistym potokiem, pomknęła w dolinę. Nie wiem dlaczego, ale byłem wręcz pewien, że źródła tej jednej z największych rzek świata są jeszcze wyżej. Szedłem więc dalej.

Wreszcie mój trud został wynagrodzony. Odnalazłem bowiem drewnianą zimownię oraz prowadzącą od niej w górę rzeki wyraźną ścieżkę. Domyśliłem się, że ścieżka zaprowadzi mnie prosto do miejsca, gdzie jest właściwy początek rzeki. I nie myliłem się. W chwilę później doszedłem do drewnianej kapliczki stojącej przy *źródle*, rzeki. Prawdę mówiąc inaczej wyobrażałem sobie to źródło. Czytałem, że Lena bierze swój początek w Górach Bajkalskich... A tu prawie żadne góry - wysokość nieco ponad dziewięćset metrów, drzewa jak w jakimś parku. Wkoło przebijające się ze śniegu różnobarwne porosty, gdzieniegdzie zarośla limby karłowatej oraz sterczące gdzieś pojedyncze wysokie drzewo. Samo źródło też jest jak nieźródło, bowiem Lena wypływa, a więc bierze swój początek, z niepozornego, małego jeziora.

Postałem chwilę w zadumie ciesząc się z pierwszego osiągniętego celu, po czym po własnych śladach ponownie podążyłem w dół rzeki.

Zimna bystra woda i kamieniste dno wyglądają niegościnnie, strumień bez ustanku drąży i rzeźbi podłoże. Rzeka tworzy małe kaskady przeciskając się pomiędzy większymi kamieniami. Energię czerpie z siły ciężenia, która sprawia, że wszystko co znajduje się na ziemi, jest przyciągane w dół. Idąc zacząłem zastanawiać się, jak właściwie rodzą się rzeki. Nie jestem hydrologiem, ale na chłopski rozum wygląda to tak: W górach istnieją duże ilości wody unieruchomione przez kilka miesięcy w postaci śniegu lub przez dziesiątki, a nawet setki lat w postaci lodu. Wiosną woda deszczowa i woda z roztopów spływają tworząc potok. Woda oczywiście wsiąka również w grunt i tak jak w tym przypadku wypływa w postaci źródeł. Zdaję sobie sprawę, że na pewno proces tworzenia się rzek jest bardziej skomplikowany, ale w przybliżeniu zapewne tak to wygląda. Bez wody życie na Ziemi nie mogłoby ani powstać, ani się rozwijać. Niektórym planetom nadano nazwy od ich koloru - ze względu na ilość występującej wody, Ziemia zasłużyła sobie na miano błękitnej planety. Trzy czwarte jej powierzchni pokrywa woda, lecz ludzie w dalszym ciągu nie zdają sobie sprawy, że słodka woda stanowi tylko małą część wszystkich zasobów wodnych, mikroskopijną kroplę, skarb, który trzeba za wszelką cenę ochronić. Bolesny jest fakt, że od najdawniejszych czasów człowiek traktuje rzeki jak śmietnik, tym wygodniejszy, że wiosną wszystko zabierają wezbrane wody. Cóż - skutek tej działalności jest już znany.

Minąłem miejsce, w którym doszedłem do rzeki. Jeszcze ponad dwie godziny schodziłem w dół, szukając głębszego miejsca, by móc zwodować łódź, ale Lena, choć płynęła parometrowym korytem, była tak płytka, że ponad wodę wystawały nawet małe kamienie. Tutaj nie popłynę - pomyślałem. Później rozważyłem wariant pieszej wędrówki korytem rzeki. Zamierzałem ciągnąć ponton za sobą, ale zdałem sobie sprawę, że rzeka może być tak płytka jeszcze przez wiele kilometrów i trący o kamienie ponton ulegnie zniszczeniu. Woda do złudzenia przypominała bardziej potok deszczowy niż płynącą rzekę. Robiło się coraz później, więc pomyślałem o czekających na mnie Rosjanach. Zatrzymałem się niezdecydowany co robić dalej? Trzeba wracać i coś wspólnie postanowić.

- Cóż, wracamy do Listwianki, do Leny musisz dojechać z innej strony - oznajmili Rosjanie, kiedy podzieliłem się z nimi spostrzeżeniami. Mieli kwaśne miny i wcale nie starali się tego ukryć. Chwycili jednak za bagaże i ruszyliśmy z powrotem w stronę jeziora. Tym razem nie szliśmy w milczeniu, gdyż przyjaciele spekulowali, czy pozostawiony na brzegu bez opieki słój z samogonem jeszcze stoi. Odgrążali się przy tym, że jeśli tak, to go zaraz opróżnią do dna, jeśli nie, to w najbliższej miejscowości zamienią mój gumowy ponton na gorzałę... mnie zaś na Lenę wyekspedują na drewnianej tratwie...

Słój z zawartością stał niewzruszenie tam, gdzie go przed kilkoma godzinami pozostawiono. Wrócił dobry nastrój i świat stał się po chwili kolorowy. Nawet początkowo daremna w oczach Rosjan eskapada zamieniła się teraz, ich zdaniem, w wysoko kształcącą podróż, niosącą za sobą wiele dobrego dla ludzkości...

Nie upłynęliśmy tego wieczoru daleko. Po około dwugodzinnej podróży Anatol zaproponował nocleg w niedalekiej wiosce Koczerikowa, gdzie miał znajomych z okresu swojej pracy w kołchozie rybackim. Sasza z Kazikiem nie oponowali, więc wypadało mi tylko przytaknąć głową, bo cóż mogłem mieć do powiedzenia w takiej sytuacji.

Z rozmowy z mieszkającymi w wiosce Buriatami dowiedziałem się, że tak naprawdę to dopiero sto kilometrów dalej głębokość rzeki pozwala na swobodne płynięcie łodzią. Na siłę można, ale po co? - przekonywali. Nie było więc innej rady, jak z całym majdanem wrócić do Irkucka, skąd następnie autobusem udać się do oddalonej o ponad trzysta kilometrów miejscowości Harbatowo, a stamtąd do wsi Biriułka, przez którą przepływa Lena.

Następnego dnia wróciliśmy szczęśliwie do Listwianki. - Nastrój miałem nie najlepszy. Po pierwsze - nieudana próba wejścia na rzekę, po drugie - miałem wyrzuty sumienia, że na darmo fatygowałem znajomych, którzy nie dość, że stracili czas, to jeszcze pieniądze, gdyż ze względu na sytuację, w jakiej się znalazłem, w żadnych kosztach nie partycypowałem.

Rosjanie, widząc moją nietęgą minę, pocieszali mnie jak mogli, tłumacząc nawet, że była to dla nich wielce przyjemna wycieczka, fakt zaś chwilowego niepowodzenia mojej wyprawy tłumaczyli mającym nastąpić szczęśliwym finałem podróży. Przekonywali mnie, że to, co się źle zaczyna, zawsze dobrze się kończy...

Całe swoje życie przeżyłem spokojnie dzięki wielkiemu optymizmowi, ale teraz tu, osiem tysięcy kilometrów od domu, bez pieniędzy, a co za tym idzie możliwości swobodnego poruszania się, poczułem się naprawdę bardzo nieswojo. Wszystko dookoła w jednej sekundzie stało się szare i nieprzyjazne.

Zły nastrój jednak nie trwał długo. Już po godzinie dowcipkowałem i śmiałem się ze swojej głupoty. Zdałem sobie sprawę z własnej ułomności, bo tylko skończony kretyń, bez grosza przy duszy może zechcieć świat zawojować... Na razie w ubogiej wiosce syberyjskiej trwała zbiórka pieniędzy, bym miał na bilet autobusowy i tym samym dotarł wreszcie do rzeki.

Nazajutrz z Kazikiem wcześniej rano wyruszyliśmy z osady do Irkucka. Godzina była wczesna, uliczki osiedla były jeszcze puste. Mocno pachniała czeremcha skropiona nocną rosą. Spokojnie drzemał w górskiej kolebce potężny Bajkał. Na przeciwnym brzegu Angary mrugały i gasły stopniowo światła portu i stacji kolejowej Bajkał.

Nie widząc jeszcze wschodzącego zza gór słońca, stałem się świadkiem zdumiewającego zjawiska: po niebie i po wodzie jeziora płynęły dwie jasne zorze zbiegające się na horyzoncie.

- Czegoś podobnego nie zobaczysz nigdzie - gorąco zapewniał mnie Kazik.
- Tylko woda Bajkału dzięki swej lustrzanej przezroczystości może tak odbijać niebo.

Stałem jak sparaliżowany, nie mogąc się ruszyć z miejsca - obraz był niezapomniany, niepowtarzalny! Po chwili, jakby na pożegnanie, Bajkał jeszcze raz zadziwił mnie niezwykłym widowiskiem: z kamiennych wrót Angary wypływały na jezioro potężne, dziwaczne zwały mgieł. Były podobne do wielkich białych żaglowców, do legendarnych karaweli z powieści Aleksandra Greena.

Staliśmy w miejscu jeszcze dosyć długo, ale białe żaglowce wciąż płynęły i płynęły po Bajkale; bezszumne w długiej karawanie, sunęły po powierzchni jeziora i nie dotarwszy do przeciwnego brzegu, topniały w promieniach słońca, które wytoczyło się ponad szczyty otaczających jezioro gór.

Na dworcu autobusowym w Irkucku powtórzyła się znana mi historia z moskiewskiego lotniska. Oczywiście znów chodziło o mój ponadwymiarowy, ciężki bagaż. Tym razem moim oprawcą była kobieta ubrana w szykowny mundur, podobny do galowych uniformów, jakie noszą kosmonauci. Pojawiła się w autobusie chwilę przed jego planowym

odjazdem uzbrojona w notes i krótkofalówkę. Owa pani była dyspozytorem dworca autobusowego i do jej obowiązków należała odprawa każdego autobusu wyjeżdżającego w trasę. Odprawa ta polegała na kontroli biletów, sprawdzeniu ich z przyniesionym przez siebie zestawieniem kasowym oraz podpisaniu stosownych kwitków upoważniających kierowcę do rozpoczęcia jazdy. Czym naraziłem się tej miłej osobie, nie wiem do dziś, a dokładnie było to tak: Kiedy autobus podjechał na wyznaczone stanowisko, udałem się do kierowcy i zapytałem go, gdzie mógłbym złożyć mój nietypowy bagaż. Wyjaśniłem przy tym iż posiadam bilet, lecz nie mam pieniędzy, aby za nadwagę zapłacić. Kierowca, zorientowawszy się, że jestem nietutejszy, zapytał tylko skąd pochodzę, po czym nie robiąc wielkich ceregieli otworzył bagażnik, gdzie mój dobytek złożyłem, sam zaś usłużnie zająłem miejsce w autobusie. W chwilę później pojawiła się wspomniana mundurowa dama. Chociaż siedziałem w głębi wozu, jej nóżki obute w mocno zabłocone obuwie przywędrowały prosto do mnie. Radzieccy uczeni już dawno wynaleźli pastę do czyszczenia butów, dziwiłem się więc, że wynalazek ten nie dotarł jeszcze do kręgów kulturowych w jakich obracała się ta dama.

- Co pan przewozi i dlaczego przepłaca pan kierowcę? - zapytała od razu groźnie, nie żądając ode mnie nawet biletu. Następnie, nie robiąc sobie z mojej usilnej próby złożenia rzeczowego wyjaśnienia, zaczęła coś pisać w swoim służbowym notesie. Kiedy skończyła, podała mi swe bazgrały do podpisu. Oświadczyłem wówczas, że nie potrafię przeczytać bardziej niezgrabnego od niej samej odręcznego pisma, tym samym nie mogę go podpisać, a co się zaś i tyczy pana kierowcy i rzekomej łapówki, to sam bym chętnie od niego wziął co nieco rubli, gdyż dać mu nie miałem co... Ma się rozumieć, moja wypowiedź nie zrobiła na mundurowej damie najmniejszego wrażenia, a ponieważ spotkała się z odmową podpisu, poleciła bym natychmiast opuścić pojazd wraz z ukrytymi bagażami. Teraz dopiero się zakotłowało, bowiem do akcji wkroczył milczący dotąd kierowca, który od początku obserwował całe zdarzenie. Na początek śpiewnie zaklął pięknie, tak jak tylko Rosjanie pięknie kląć potrafią, po czym już nieco ciszej obrzucił damę w mundurze stekiem wyzwisk. Cała wiązanka była długa i nie wszystko z jej treści rozumiałem, wyłowilem tylko słowa *bladź i suka...* Następnie podszedł do mnie i poprosił o bilet, po czym w milczeniu opuścił autobus i nerwowym krokiem udał się w kierunku kas dworcowych. Widząc, że moja dyskusja z kobietą nie ma już sensu, wyszedłem z autobusu, usiadłem na ławce i czekałem na powrót kierowcy. Wrócił po paru minutach, wręczył mi równowartość ceny biletu, po czym ku mojemu zdziwieniu zamiast wydać mi bagaż i odjechać, podszedł do stojącej opodal przystanku ciężarówka i z jej kierowcą wdał się w rozmowę. Domyśliłem się, że jestem obiektem ich rozważań, gdyż rozmówcy co chwila spoglądali w moją stronę. W

chwilę później wrócił, bez słowa otworzył bagażnik i wyjął moje manele. Kiedy odbierałem od niego rzeczy, zmrużył oko i szepnął: do zobaczenia za miastem. Wsiadł do wozu i odjechał. W tym momencie zjawił się koło mnie uśmiechnięty kierowca ziła, szczerząc w uśmiechu swe srebrno - złote zęby mruknął: *ot bladź*¹¹, po czym chwycił leżące na przystanku bagaże i z lisim uśmiechem na twarzy podreptał przodem do stojącej opodal ciężarówki. Widać było, że bardzo spodobał mu się pomysł kierowcy autobusu. Całe zdarzenie obserwowała mundurowa dama i dopiero kiedy ruszyliśmy w przeciwnym kierunku niż odjeżdżający autobus, spokojnym, pełnym władzy krokiem oddaliła się w kierunku budynków dworcowych, nie będąc do końca świadoma siły męskiej wyobraźni.

Kiedy dojeżdżaliśmy do rogatek miasta, już z daleka zobaczyłem stojący na poboczu autobus, którego kierowca dla usprawiedliwienia swojego postępu udawał, że coś majstruje przy silniku. W chwilę później załadowaliśmy na powrót mój bagaż, podziękowaliśmy zachwyconemu akcją kierowcy ziła i ruszyliśmy w drogę. Nieliczni pasażerowie, w większości skośnoocy Buriaci, z owacją przyjęli moje powtórne pojawienie się w autobusie. Teraz, kiedy już poczuli się swobodnie, zaczęli głośno komentować całe zdarzenie, obrzucając przy tym mundurową damę stekiem najrozmaitszych wyzwisk. Przypomniało mi to do złudzenia naszą rodzimą scenę polityczną, kiedy to drugorzędni politycy rozkrzyczeli się bardzo wtedy, kiedy już bez obawy wolno było mówić...

Na pierwszym przystanku kierowca ponownie sprzedał mi bilet, gdyż - jak tłumaczył - obawiał się po drodze kontroli.

Jechaliśmy teraz szeroką, płaską doliną z rzadka napotykać na ślady bytności człowieka. Nie był to teren całkowicie wyludniony, gdyż co jakieś parędziesiąt kilometrów można było zobaczyć oddaloną nieco od głównej drogi mniejszą lub większą buriacką wioskę. Wyglądały jednakowo. Stojące blisko siebie, pochylone ze starości drewniane domy, szczątki butwiejących ogrodzeń - wszystkie z daleka wyglądały jak stare, zapomniane antyczne cmentarze... Kierowca nigdy nie wjeżdżał między domostwa. Zatrzymywał się na poboczu opodal wsi i to tylko na żądanie skośnoockich pasażerów, po czym odwracał się, patrzył na pozostałych, szacując ilu jeszcze pozostało i obojętnie ruszał dalej w bezkresną stepową krainę, aby po godzinnej jeździe znów zatrzymać się w pobliżu następnego antycznego cmentarza...

Tak naprawdę tych ostatnich jest w okolicy bardzo mało. Dawniej na terenach zamieszkiwanych przez Buriatów cmentarze nie występowały zbyt licznie. By rozrzucone w stepie rzadko, podobnie jak wsie zamieszkane wyłącznie przez Rosjan z sekty staroobrzędowców. Rdzenni mieszkańcy tych terenów, Buriaci nigdy nie grzebali zmarłych. Nieboszczyków wywożono na step i tam po prostu ich pozostawiano. Psy i wilki rozrywały

11 W jęz. rosyjskim - potocznie prostytutka.

nieboszczyka na części, wrony i kruki dokonywały reszty. Przyznać trzeba, że Buriaci mieli pojęcie o ekonomii... Droga zmierzała ku widocznym na horyzoncie zalesionym górcom. Step przechodził w tereny coraz bardziej zadrzewione. Najpierw pojawiły się niewielkie sosny, później syberyjskie modrzewie. W dolinach rosły pichty, podobne nieco do naszych świerków, a nad małymi potokami gęste zarośla tworzyły łoża z poszyciem rozmaitych chaszczy.

Wreszcie po około pięciogodzinnej jeździe dojechaliśmy do miejscowości Harbatowo. Kierowca zarządził tu półgodzinną przerwę w podróży. Pasażerowie, szczęśliwi, że wreszcie mogą zapalić papierosa, szybko opuścili autobus. Kiedy zamierzałem również wysiąść, kierowca dał mi znak abym pozostał, informując mnie, że niedaleko stąd mieszka jego znajomy, który zawiezie mnie nad sam Lenę. Brzmiało to jak bajka - zawiezie mnie nad samą Lenę... - dźwięczało mi jeszcze w uszach...

Ruszyliśmy w kierunku widocznych w oddali zabudowań. Po drodze ze baczylem zardzewiały, pogięty drogowskaz, który był jeszcze w miarę czytelny. Poczulem lekki dreszczyk emocji, przeczytałem bowiem - BIRIUŁKA 26 kir. Byłem więc blisko celu.

Niebawem dojechaliśmy do jakichś zabudowań. Przed pobliskim domem zobaczyłem mężczyznę, który już z daleka gestem zapraszał nas do domu. Widać po autobusie poznał, kto w gościnę przyjechał. Ponieważ kierowca nie miał z wiele czasu, pospiesznie podszedł do zapraszającego i w pośpiechu, wskazując na mnie, wyjawiał mu powód odwiedzin.

- Proszę bardzo, zaraz pojedziemy - usłyszałem z boku i nowa fala szczęścia załapała mi serce. Więc naprawdę niebawem miałem znaleźć się nad wymarzoną rzeką! Wyładowaliśmy moje toboły, podziękowałem kierowcy, który machnął tylko ręką, dając do zrozumienia, że nie ma za co. Niebawem autobus odjechał, a nowo poznany mężczyzna zaprosił mnie do domu.

Kiedy przy herbacie opowiedziałem o swoich przygodach i nieudanej próbie wejścia na Lenę, gospodarz się zadumał, po czym jako rekompensatę za mój trud zaproponował podwiezienie mnie traktorem jak najdalej w górę rzeki. Chodziło mu o to, bym mógł zgodnie z założeniem rozpocząć spływ jak najbliżej źródła. Po obiedzie natychmiast wyruszyliśmy w drogę. Po dwóch godzinach walki z błotem i tajgą dojechaliśmy do niezamieszkanego miasteczka o nazwie Dubowka, leżącej ok. osiemdziesiąt kilometrów od źródła. Rzeka w tym miejscu miała około trzydziestu metrów szerokości i mniej więcej pół metra głębokości. Ponieważ było już dosyć późno, postanowiłem, że dopiero następnego dnia z tego miejsca rozpocznę swą wymarzoną podróż. Pożegnałem się z kolejnym dobroczyńcą, który pełen obaw o moją skórę życzył mi dużo, dużo, bardzo dużo szczęścia...

Zostałem sam. Usiadłem na brzegu, spojrzałem na płynącą bez pośpiechu rzekę i pomyślałem - nareszcie! Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że słowo nareszcie jest tylko banalnym stwierdzeniem, nie mającym w ogóle żadnego uzasadnienia. Każdy bez wyjątku podróżnik kończąc kosztowne, nerwowe i czasochłonne przygotowania do wyprawy mówi: nareszcie koniec... Nic bardziej błędnego, gdyż właśnie ten przysłowiowy koniec oznacza właśnie początek wielkiej niewiadomej, jaką jest każda podróż. Patrzyłem na otaczającą mnie bezkresną tajgę, patrzyłem na przesuwaną się pomarszczoną wiatrem wodę i jako romantyk mogłem się tylko czuć szczęśliwie zgubiony wśród tej potężnej otaczającej mnie przyrody. Pomyślałem też o tym, że rzeka ta od tej chwili stanie się moim domem, i że muszę mieć sporo szczęścia, aby nie stała się moim grobem...

Wiosna pod tę szerokość geograficzną jeszcze nie zawitała. Choć był już maj, w którym przywykliśmy do drzew oblepionych kwieciami, tu - osiem tysięcy kilometrów na wschód - królowała jeszcze zima. Przyroda jeszcze trwała w stanie anabiozy. Wiał przeraźliwie silny wiatr, a z nieba padał na przemian to deszcz to śnieg. Noc spędziłem w niezamieszkanym chacie, których było w wiosce kilkanaście. Rano, choć na zewnątrz siąpił deszcz, wyniosłem cały bagaż na brzeg i zacząłem składać łódź. Po godzinie byłem znów gotów do drogi, lecz w tym czasie zaczął padać mokry śnieg, później obudził się wiatr i z nieba lunęła rzęsista ulewa. Rzeka sieczona deszczem wyglądała jakby była chora na ospę. Nakryłem wszystko pokrowcem, a sam pośpiesznie schroniłem się w chacie. Koło południa wiatr ucichł i spoza chmur wyjrzało słońce. Wykorzystuję ciszę, jaka zapanowała w przyrodzie i woduję łódkę. Pozostały bagaż planowo układałem w łodzi, by wszystko miało swoje miejsce i było w każdej chwili łatwo dostępne. Stworzyło to doskonałą okazję, by jeszcze raz zobaczyć swój dobytek, który przez najbliższe miesiące decydować miał o powodzeniu wyprawy. Choć nie należę do ludzi, którzy przywiązują dużą wagę do komfortu wyposażenia, to jednak widok tego, co w tak wielkiej podróży miało być niezbędne i potrzebne zgasił na chwilę moją radość. Niewątpliwie wyglądałem w tym momencie, jak człowiek z tragedii antycznej, któremu chodzi o element cierpienia, ratujący jego klęskę przed śmieśkością... Nie sposób wymienić, czego nie posiadałem a posiadać powinienem. W skład mojego wyposażenia wchodził namiot, śpiwór, nóż, siekierka, sprzęt wędkarski, sprzęt fotograficzny, kompas, mapa, mała latarka i dwadzieścia cztery chemiczne zapalniczki zwane gorącymi kubkami. Zapasy żywności uzupełniała jeszcze paczka kawy, herbata, sól, cukier i suchary z czterech chlebów.

Listę zamykały cztery pudełka zapalek, metalowy kubek i mały garnek do gotowania wody. - Szczęśliwej podróży, szaleńcze - pomyślałem.

Kiedy odepchnąłem się od brzegu i zobaczyłem, że wykradam Syberii pierwsze

metry, ogarnęło mnie na powrót poczucie radości i zarazem dumy. Widok przesuwanego się brzegu utwierdził mnie, że po raz kolejny, wbrew zdrowemu rozsądkowi, przeciwnościom finansowym i opiniom specjalistów, doprowadziłem do rozpoczęcia wymarzonej podróży.

- Płyń! - krzyknąłem głośno, a głos mój uleciał echem wśród wysokich brzegów porośniętych tajgą. Oddalałem się teraz od wtopionych w spłowiąły błękit, ostro majaczących na horyzoncie Gór Bajkalskich, zakrzepłych w lód, wyniosłych, dalekich już, obojętnych.

Powoli zaczynam przyzwyczajać się do nowego środowiska, uczę się rzeki, wyczuwam zdolności manewrowe łódki. Popełniam mnóstwo błędów, co odbija się na pracy moich mięśni.

Nurt spływającej ze stoku rzeki jest dosyć wartki, częste zakola sprawiają, że z niego wypadam, nie potrafię jeszcze analizować zachowania płynącej wody na podstawie rzeźby terenu. Nie ma to jednak większego znaczenia, jeszcze się nauczę, ważne, że płynę w dół do celu. Po kilku godzinach mijam parę chat stojących na prawym brzegu, widać, że są niezamieszkane, ciekaw jestem, z jakiego powodu ludzie je opuścili. Jest wieczór, więc mógłbym zatrzymać się tu na nocleg, jednak jestem tak zauroczony nowymi przeżyciami, że mam ochotę jeszcze parę godzin spędzić na wodzie. Późnym wieczorem znajduję odpowiednie miejsce na nocleg. Wyciągam łódkę do połowy na brzeg i rozbijam pierwszy na tej wyprawie obóz. Brak mi jeszcze wprawy i wszystkie czynności zabierają mi mnóstwo czasu. Kiedy kończę, jest już ciemno, z wrażenia nie czuję głodu, zagrzebuję się w śpiwór i natychmiast zasypiam. W nocy budzi mnie zimno promieniujące od ziemi, to brak karimaty, zastępuję ją kufajką, którą podkładam pod posłanie.

Kolejne dwa dni zasadniczo nie różnią się od siebie. Lekki wiaterek, na przemian trochę deszczu, śniegu, słońca. Uczę się żeglugi, improwizuję braki wyposażenia, odzwyczajam się od domowych wygod.

Dzisiaj rzeka wypłynęła z górzystych wąwozów na pozbawioną drzew niedużą równinę. Pomimo że teren jest płaski, odnoszę wrażenie, że nurt jest w tym miejscu bardziej wartki, tak jakby woda wstydziła się swojej nagości i czym prędzej chciała się skryć wśród widocznych w oddali zalesionych gór. Płynąc przez tę niewielką równinę, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że następny podobny krajobraz ujrzę dopiero dwa tysiące kilometrów dalej... Po południu wzmógł się południowy wiatr, co korzystnie wpłynęło na ilość pokonywanych kilometrów. Minąłem trzy niedaleko leżące od siebie małe buriackie wioseczki i w oddali zauważyłem dużą mięścinę rozlokowaną po obydwu stronach rzeki. Była to miejscowość Kaczug.

Bilans nie był za dobry, wynikało bowiem, że w ciągu trzech dni pokonałem dystans stu kilometrów. Jak tak dalej pójdzie, to w ciągu trwającego krótko lat; nie dopłynę do Jakucka - pomyślałem.

Obawy moje miały niebawem już konkretne uzasadnienie, gdyż wiatr zmieni gwałtownie kierunek. Wiało teraz z północy i to ze zdwojoną siłą. Ponton zatrzymał się w miejscu, a przy większych podmuchach pomimo silnego nurtu nawet przesunął się pod prąd. Chwyciłem więc za wiosła - byle do wioski. Miotany wiatrem i falą po godzinie dopłynąłem do celu. Przed sobą ujrzałem kipieli wodną przetaczającą się pod mostem pontonowym. Nurt w tym miejscu był o wiele silniejszy, gdyż wpadająca opodal rzeka Anga spiętrzyła wodę na rzece. Miałem więc obawy, czy przy tak niesprzyjających warunkach uda mi się bezpiecznie przepłynąć między ciasno ustawionymi pływakami, zwisającymi zeń drutami i łańcuchami. W ostatnim momencie, po lewej stronie tuż przed mostem zobaczyłem pomalowany na czerwony kolor dom. Skierowałem więc łódkę w tym kierunku.

Gdy już wyszedłem na brzeg, zobaczyłem idącego w moim kierunku mężczyznę. Kiedy zbliżył się do mnie, spojrzałem na jego twarz i oniemiałem z wrażenia. Człowiek ten był kapka w kapkę podobny do mistycznego mnich; Rasputina. Głębokie wąwozy żłobiące jego twarz czyniły ją na swój sposób podobną do zrytego kawałka piaszczystego gruntu, który od dawna nie spodziewał się zostać czymś jasnym i pięknym. Owalny kształt głowy, długie zaniedbań włosy, zarośnięta bujnie twarz, wszystko to sprawiało, że podobieństwo było uderzające pod każdym względem. Rozbawiony tym porównaniem wyglądałem widocznie na zbyt wesołego, gdyż przybysz, gdy tylko odpowiedział na mój pozdrowienie, zapytał dlaczego się z niego śmieję. Kiedy wytłumaczyłem mi powód mojej radości, wykrzywił twarz jakby nie umiał wypowiedzieć jakiej myśli; po chwili grymas znikł i twarz jego rozjaśniała w szerokim, szczerbatym uśmiechu. Widać było, że pojęcie fałszywej godności było mu obce.

- Sierioża - przedstawił się, wyciągając rękę na przywitanie.

Był bardzo zdziwiony moim pojawieniem się we wsi, lecz kiedy mi wytłumaczyłem skąd się wzięłem i jaki jest cel mojej podróży, twarz jego spoważniała; rozejrzał się wkoło jakby czegoś szukał, po czym ruchem ręki wskazał na stojący opodal pomalowany na czerwono dom.

- Tam pracuję, chodźmy napić się herbaty - powiedział.

Ponieważ byłem zziębnięty, zaproszenie przyjąłem z przyjemnością. Nakryłem pokrowcem łódź i podążyłem za nim.

Jak się niebawem okazało, czerwony budynek pełnił rolę motelu dla przejeżdżających tędy kierowców, a mój „Rasputin” pracował w nim jako człowiek do wszystkiego:

pilnuj, przynieś, pozamiataj...

- Przy tej pogodzie i tak dzisiaj dalej nie popłyniesz - powiedział, kiedy znaleźliśmy się w ciepłej izbie stanowiącej jego stróżówkę; zanim się woda zagotuje, przyniesiemy twoje rzeczy, zanocujesz u nas - zaproponował.

- Dziękuję, ale mam namiot, poza tym nie mam pieniędzy - oponowałem.

- Pieniądzy? - zdziwił się „Rasputin”, nikt nie żąda od ciebie pieniędzy. I tak cały gościniec pusty; siedzę sam i się nudzę, będzie nam we dwoje różnie - tłumaczył. - Idziemy, przytaskamy twoje graty - powiedział i nie czekając na moją zgodę ruszył przodem.

- Cóż, niech będzie, przenocuję w hotelu... - pomyślałem i grzecznie pocłapałem za nim.

Wieczór spędziliśmy przy butelce wódki, kartoflach i suszonej, mocno przesolonej rybie. Sierioża znał okolice, pytałem więc o ciekawe miejsca, a on z przejęciem opowiadał. Dowiedziałem się, że parę kilometrów dalej w dół rzeki rozpoczynają się czerwone skały i przepiękne krajobrazy, że do pierwszej jako takiej cywilizacji mam ponad pięćset kilometrów, po drodze kilkanaście wiosek, z których większość jest już niezamieszкана. W jednej z nich oddalonej o piętnaście kilometrów - Szyszkynie - zobaczyć można liczące kilka tysięcy lat rysunki naskalne.

Najbardziej jednak zaskoczyła mnie informacja, że w Kaczugu znajduje się stocznia budująca tankowce! A raczej znajdowała się, ponieważ od kilku lat w związku z kryzysem zakład stoi i nic się w nim nie wytwarza. Informacja ta była tak nieprawdopodobna, że wódka stanęła mi w gardle, postanowiłem więc na gorąco tę informację sprawdzić.

Zapytałem więc podchwytliwie jaką drogą owe tankowce wydostają się ze stoczni, gdyż to mnie najbardziej frapowało. „Rasputin” popatrzył na mnie jak na człowieka z innej planety, na której tankowce transportuje się kolejają... Wodną - odparł - innej nie ma. Widząc jednak malujące się na mojej twarzy niedowierzanie, wyjaśnił, że jednostki miały możliwość opuszczenia stoczni tylko wczesną wiosną, kiedy poziom wody podnosi się o parę metrów. Z jego relacji wynikało, że nawigacja na górnej Lenie, czyli na odcinku Kaczug - Ust - Kut, jest możliwa wiosną przez około dziesięć dni w roku!

Choć brzmiało to już bardziej wiarygodnie, to jednak do końca nie mogłem sobie wyobrazić jak w takiej malej, zapadłej mieścinie można budować tankowce... które na dodatek później jako gotowe, samodzielnie spływają po płytkiej, mającej pięćdziesiąt metrów szerokości rzece...

Następnego ranka po śniadaniu składającym się z ziemniaków i suszonej ryby Sierioża na potwierdzenie swoich wczorajszych wywodów zaprowadził mnie na poddasze, skąd z okna roztaczał się widok na stocznię. Przyznam, że aż oczy przetarłem ze zdumienia,

kiedy zobaczyłem wyróżniającą się bielą nadbudówki stojącego w doku piętnastotysięcznika! Więc była to szczerza prawda! W Kaczug zapadłej syberyjskiej dziurze, buduje się tankowce! Stocznia istniała, materiał budowy dowożono transportem kołowym z Irkucka, ludzie mieli pracę i wieś jako tako egzystowała.

- Ten już nigdy nie spłynie - powiedział „Rasputin”, wskazując na nowy, gotowy do drogi tankowiec; trzy lata będzie jak stoi, teraz nawet pieniędzy paliwo do niego nie mają; zgnije jak wszystko w tym kraju - dodał ukazuj w uśmiechu bezzębne dziąsła.

Okolo południa wiatr nieco przycichł, więc natychmiast postanowiłem rusz w dalszą drogę. Sierioża proponował, abym jeszcze parę dni został i przeczekać złą aurę, ale byłem uparty, chciałem jak najszybciej płynąć w dół rzeki, by dotrzeć do celu, a w rezultacie do domu...

Lena od miejscowości Kaczug wije się między górami. Wysokie brzeg porośnięte tajgą, miejscami strome i urwiste, zbudowane z czerwonego piaskowca przy czym ułożenie płyt jest tak prawidłowe jakby było dziełem rąk człowieka

Woda toczy się głębokim wąwozem pod licznymi skalnymi nawisami, aby iluś tam kilometrach rozlać się szerokim, usianym zielonymi wyspami korytem. Jej dzikie piękno zdumiało mnie fantastycznością. Brzegi nieustannie zbliż; się do siebie i oddalają, ale zbocza są wszędzie wysokie, niemal pionowe. Ich wysokość dochodzi czasem do 30 metrów. Szeregi kształtnych sosen i świerk(czepiają się urwisk, groźnie też sterczą ostre bryły nawisające nad rzeką. Ściany z czerwonego piaskowca wyraźnie kontrastujące z zieloną ścianą taj występują na przemian z szarymi masywami granitowymi, tworząc tym samym malowniczy, niezapomniany krajobraz. Zapewne wiatr i woda nadały kształt temu niespokojnemu krajobrazowi wilgotnych osuwisk i rozczapierzonych skał przypominających pokrojone kromki chleba. Wszystko to nadało okolicy bajeczny i niezwykle charakter. Chyba po raz pierwszy oglądam tak cudowną rzeź krajobrazu.

Jestem w miejscach, które przez większość dziejów ludzkości pozostaw; poza zasięgiem człowieczej wyobraźni. W kraju niesławnych zdarzeń, jednakże pięknej przyrody. Syberia to nieskończona przestrzeń, otoczenie wyzwala ją w człowieku niesłychaną energię. Patrząc na tę rzeczywistość zdałem sobie sprawę, że od momentu, w którym powstała nasza planeta nic się zasadniczo w tym miejscu nie zmieniło. Niszczący wszystko w imię ulepszenia świata człowiek nie zdołał jeszcze tu zainstalować swych wynalazków. Patrząc na mijane brzegi i myślę, że pewnie w odległych czasach ziemię tę zamieszkiwały odziewające się w skóry dzikie plemiona, których członkowie łowili ryby w tej rzece, zapewne też nie starali się świata ulepszać, gdyż posiadali już życiodajny ogień, który im wszędzie towarzyszył...

Wiatr zerwał się prosto z północy, już wczoraj nie było dobrze, ale dziś to prawdziwe piekło. Dmie przejmujący północny wiatr, ostry jak kolce jeża, niedostatecznie silny, żeby łamać drzewa, dość jednak silny, by uniemożliwić spływ i dokuczliwie szczypać skórę, kiedy zwróci się do niego twarzą. Czarne chmury przewalają się dokładnie nad korytem rzeki, poza nią po prawej i lewej czyste skąpane w słońcu niebo. W ciągu paru minut utworzyła się wysoka, krótka fala, na której ponton podskakiwał jak piłka do gry w tenisa. Dalsza żegluga stała się niemożliwa; nie pomogła nawet rzucona dryfkotwa; łódź powoli, lecz skutecznie przemieszczała się z powrotem w górę rzeki. Chwyciłem więc za wiosła i skierowałem dziób w kierunku brzegu. Ledwo stanąłem na wygładzonych kamykach brzegu, kiedy rozpętało się piekło zamieci; wszystko co przeżyłem dotychczas, wydawało się być niczym. Grube płatki śniegu, które na przekór zasadom grawitacji ulatywały do góry w niebo, sprawiały wrażenie jakby same z siebie wybuchały. Szalejący wichur dusił mnie, wciskał oddech z powrotem do płuc, przygniatał jakimś przeogromnym ciężarem. Trwało to kilkanaście minut, po czym wiatr gwałtownie ucichł i po chwili zza strzępów odchodzącego na południe czarnego tumanu przebiło się słońce. Chwilę jeszcze trwałem w przysiadzie kurczowo trzymając w rękach linę cumującą ponton, wreszcie wyprostowałem się i po raz pierwszy zapytałem siebie - co ja tu właściwie robię? Tajdze nie jest potrzebny mój ciepły oddech, mruczy tylko - kto ci kazał tu przyjeżdżać? Nie zapraszano przecież ciebie, nikt cię tutaj nie pocieszy...

Wieczorem mijam Wiercholeńsk, niedużą osadę położoną u stóp wysokich, porośniętych tajgą gór. Nic szczególnego, charakterystyczna syberyjska wioska. Stojące jeden koło drugiego drewniane domy, przed którymi piętrzą się stosy drewna opałowego. W wiosce słychać typowe odgłosy wieczornej krzątania: pobrząkiwanie wiader, ryczenie krów, szczekanie psów i pisk rozbawionych dzieci. Kobiety noszą wodę z rzeki, mężczyźni przygotowują sieci do nocnego połowu, ktoś piłuje drzewo.

Nieco dalej zauważam otuloną rusztowaniem cerkiew i malarzy pokrywających ją białą farbą, która swą świeżością w poświacie zachodzącego słońca, ostro kontrastuje z zielonoszarym otoczeniem. Sterczący ponad dachami wsi wysoki maszt antenowy świadczy, że mieszkańcy mają dostęp do radiostacji, a co za tym idzie - łączność ze światem. Ludzie widząc mnie przerywają na chwilę pracę, po czym nieco zdziwieni, już obojętnie powracają do swych zajęć. Ostrożnie przepływam pod starym pływającym mostem, który łączy ze sobą piaszczyste dukty, wylaniające się z otchłani tajgi. Wtapiam się powoli w wilgotną, wieczorną mgłę, patrząc na oddalające się z każdą minutą domy, na siwy ciepły dym unoszący się pionowo z kominów...

Zapada zmierzch, niebo zaciąga się niskimi chmurami, siąpi drobny deszczyk, czas

więc znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg. Zauważyłem, że codziennie popełniam ten sam błąd, polegający na tym, że staram się płynąć jak najdłużej; później robi się ciemno, a ja bezskutecznie próbuję znaleźć w miarę suche miejsce, by rozbić namiot. Dzisiaj sprawa ma się podobnie. Jest już noc, pływam od brzegu do brzegu i za każdym razem wydaje mi się, że właśnie to miejsce, które teraz widzę po przeciwnej stronie, jest idealne. Jednak gdy tam dopływam, okazuje się, że to „idealne” miejsce jest trzęsawiskiem, na dodatek tak miękkim, że strach postawić na nim nogę. Szukam więc dalej. Po jakimś czasie wreszcie odnajduję wymarzone miejsce i po omacku rozstawiam namiot. Jestem głodny, zziębnięty i mokry. Gdy już się ze wszystkim uporam, czuję już tylko znużenie i mam ochotę na sen. Wskakuję w śpiwór, parę głębokich wdechów, po czym wsuwam do wewnątrz głowę, by zagrzać się oddechem. Niebawem przestrzeń pomiędzy materiałem i twarzą zaczyna promieniować dobroczynnym, rozkosznym ciepłem, które stopniowo przenika mi do serca i wzrusza do łez. Ale teraz, kiedy jest już tak rozkosznie ciepło, czeka mnie jeszcze jedna ciężka próba. Ciężki, mokry stos ubrania leży z boku. Gdybym go tak zostawił, znalazłbym rano bryłę lodu i nie miałbym w co się ubrać. Z nie ukrywaną męką układam wilgotną odzież wzdłuż ciała, otulam szczelnie głowę górną częścią śpiwora, wysuwając na zewnątrz tylko nos i usta. Nocna toaleta gotowa - teraz mogę już spać. Ogarnęła mnie błogość. Gdzieś w górze brzmiała wieczysta pieśń powietrza, dalekie i bezgłośnie, nie milkące niby - granie. Nadsluchiwałem długo, aż wreszcie jakieś drganie zaczęło mi mieszać myśli. Była to pewnie symfonia toczących się nade mną światów, śpiew przez nie intonowany...

Wysunąłem nos przez szparę. Jest jeszcze ciemno. Ale od wschodu przejaśnia się już lekko. Czas wstawać i płynąć dalej. Brr... Z bólem powoli opuszczam ciepły śpiwór. Ale na wszystko jest sposób, więc teraz szybko wyskakuję z namiotu i biegiem pędzę nazbierać drewna na opał. Po chwili czuję, że jest już lepiej - rozgrzałem się trochę biegiem. Teraz już spokojnie mogę rozpalić ogień i zagotować wodę, w tym czasie zaś zwijam namiot i ładuję dobytek do pontonu.

Słońce wstaje szybkimi skokami, podrywając się w górę, jak gdyby spieszno mu było wynurzyć się nad czubki sosen, by oświetlić górzystą okolicę ciągnącą się stąd na północ, aż po sam Jakuck.

Zjadam przygotowane w pośpiechu skromne śniadanie; tradycyjna zupka w proszku i kawałek chleba; pijam kawę i już jestem gotowy do drogi.

Gdy tylko wskoczyłem do łodzi, jak na zawołanie zerwał się wiatr; poranny wilgotny podmuch wiosny, powietrza przesyconego majowymi zapachami. Co za uczucie! Oddycham głęboko i zdaje mi się, że rytm mego oddechu zgodny jest z rytmem wiatru. Przez chwilę złudzenie było tak silne, że czułem jakbym był jego częścią; płynący ponton sprawił, że

wydawało mi się, że szybuję z nim tuż nad powierzchnią wody i za każdym oddechem unoszę się jakby wyżej... Tak mi się oczywiście zdawało. Przymknąłem oczy; wyłączyłem się z rzeczywistości i moje myśli stały się tak nieświadome, jak oddech mój, jak płynąca woda. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że można mieć delikatność odczuwania, nie będąc wariatem...

Wreszcie poranna szarość się przetała; niebo zrobiło się błękitne i srebrzyste; słońce popatrzyło przyjaźnie na tajgę. Niosło to za sobą coś radosnego; nie było ciemnych, złowrogich chmur, nie było deszczu ze śniegiem, nie było wiatru przenikającego przez ubranie. Niebo stało się jednostajnie granatowe, czyste; wysoko nad moją głową drżały smugi fioletowych promieni słonecznych. Na kamienistych brzegach uwijały się na swych cienkich, dziwnych nóżkach piskliwe kuliki. Początkowo cieszył mnie ich radosny głos, później był mi, delikatnie mówiąc, obojętny, aż wreszcie stał się zmorą. Te małe siwe ptaszki, o cienkim, świdrującym w uszach głosie, zamykały dzioby chyba tylko w trakcie jedzenia, ale i tego nie byłem pewien. W niektórych najwidoczniej przyjaznych im miejscach było ich tak wiele, że ptasi harmider słyszalny był z odległości paru kilometrów. Nic nie było słyhać, tylko ich cienki, przeraźliwy pisk. Żyłem nadzieją, że dokuczliwe ptaszyska trochę się uspokoją, gdy zakończy się czas wiosennych godów, tym bardziej, że hałasowały nawet w nocy. Na razie w świergocie, ale za to z uczuciem szczęścia, że nie wieje, rozkoszowałem się otaczającą mnie naturą.

Cóż za raj, bezludzie, dziewicza okolica, świecące słońce i ja wpisany w to prześliczne otoczenie. Gwałtowna zmiana aury sprawiła, że dopiero teraz bez stresu w miarę dokładnie rozglądam się po okolicy. Chociaż duch przygody pchnął mnie daleko od rodzinnego ogniska, to jednak odnoszę wrażenie dziwnej błogości; po raz pierwszy od dłuższego czasu właśnie w tej głuszy, z dala od cywilizacji zamieszkał we mnie spokój. Pomimo że jestem sam i podświadomie czuję winę polegającą na wyrzeczeniu się rozsądku dla uczucia przygody, to jednak ta mistyczna męka samotności nie działa na mnie przygnębiająco; ma ona w sobie niemal coś fantastycznego. Tylko od czasu do czasu okrutna świadomość przypomina mi moje obecne położenie, a zwłaszcza brak zapasu żywności. Nie tracę jednak z tego powodu humoru i tłumaczę sobie zaraz, że właśnie to ubóstwo dotychczas pomagało mi niejednokrotnie. Biedny inteligent jest przecież lepszym obserwatorem od bogatszego. Biedak dla przykładu musi na każdym kroku uważać, śledzić podejrzliwie słowa i zachowania ludzkie, toteż jego uczucia i myśli pracują intensywniej. Biedny i głodny inaczej patrzy na otoczenie go słuch, wzrok i odczuwanie stale doskonali się; tym samym widzi inaczej otaczający go świat; nabywa w ten sposób doświadczenia za cenę ran, jakie odnosi.

Rzeka jest płytka, więc ilekroć spojrzę za burtę, to widzę przesuwaną się pod

pontonem kamieniste dno. Roślinność wodną Leny stanowią mchy i glony, które natura tak zaprojektowała, że potrafią utrzymać się na skałach i kamieniach. Stwarzają one podłoże dogodne do rozwoju licznych bezkręgowców, którymi odżywiają się ze smakiem ryby, a nawet ptaki, jak na przykład pluszcz, okrągły krep1 ptaszek, łatwy do rozpoznania po białym napierśniku. Ten mały stwór z rodziny wróblowatych licznie występuje w górnym biegu rzeki. Zauważyłem, że trzyma się wód o szybkim nurcie. Dziwne to ptaszysko nie boi się pływać, nurkować i chodzić po dnie rzeki w poszukiwaniu codziennej porcji larw chruścików, widelic i jętek. Potrafi pozostawać pod wodą około piętnastu sekund. Widać, że jest doskonale przystosowany do wodnego trybu życia - ma nieprzemakalne pióra skrzydła pod wodą służą mu za wiosła, a ogon za ster.

Dzisiaj gdzieś na wysokim stoku po prawej stronie przebudził się z zimowego snu strumień; nigdzie nie zwlekając pędził teraz w dół błotnistą, wzdętą falą, gnany przemożną chęcią jak najszybszego spotkania się z nurtem Leny.

Wszystko wskazywało na to, że królująca przez osiem miesięcy zima definitywnie ma się ku końcowi. Jednak panujące w nocy minusowe temperatury, jak i leżący tu i ówdzie śnieg, przypominały, że syberyjska zima nie tak łatwo oddaje swe królestwo, że trudno jest się jej pogodzić z odejściem.

Także dzisiaj około południa przeleciał pierwszy klucz dzikich gęsi, co prawda wysoko, ale przeleciał. A gęsi nigdy nie oszukują ani siebie, ani innych. Leciały z głowami zwróconymi na północ, ogonami zaś na południe, znaczyło to, że wiosna przyszła i już pozostanie. Całe powietrze wokół zdawało się żyć ich głosami, szumem ich skrzydeł. Później nastąpiła cisza, jednak po jakimś czasie nadleciały następne klucze. Zauważyłem, że dzikie gęsi nie zawsze tworzą w locie klucz w kształcie litery „V”. Czasem może być to litera „W” lub nawet „Z”. Istnieje wytłumaczenie tworzenia takich kluczy. Przywódca grupy musi zająć miejsce na czele klucza - lot na tej pozycji wymaga olbrzymiego wysiłku. Gęsi lecące z tyłu korzystają z tunelu aerodynamicznego wytwarzanego przez ptaki lecące przed nimi, jednym słowem jaka kondycja poszczególnych osobników, taki układ klucza.

Rzeka i jej dolina to wyraźne punkty orientacyjne i ulubione trasy przelotów wielu ptaków wędrownych, które mogą się tu zatrzymać i zaspokoić głód. Od tysiącleci rzeki i potoki kształtowały krajobraz, drążąc niezliczone doliny; mniejsze czy większe, często gościnne dla ludzi i zwierząt tworzyły jakby od zawsze szlaki wędrówek, z których do dziś korzysta wszystko, co żyje.

Co się zaś tyczy dzikich gęsi, to wiedziałem, że nie zjem dzisiaj ociekającej tłuszczem pieczeni, zdawałem bowiem sobie sprawę, że ptaki niestety nie wylądają na Lenie, gdyż w doborze miejsca na odpoczynek dzikie gęsi są aż nadto wybredne. Wybór ten jest oparty na

ściślejszych regułach. Po pierwsze - miejsce musi być przede wszystkim niezamieszkane i z dala od lasu i innych przeszkód, które utrudniałyby obserwację terenu, gęsi bowiem w trakcie popasu wystawiają czujne straże. Po drugie - roślinność stanowiąca pokarm ptaków musi w danym miejscu występować w znacznej ilości, ponadto w pobliżu musi znajdować się oddalony od lasu odpowiednio duży obszar wody, na którym ptaki bezpiecznie spędzą noc. Jak widać, gęsi są bardzo wymagające. Niestety Lena w górnym swym biegu warunków określanych przez gęsi nie spełniała, a co za tym idzie będę płynął dalej głodny...

Oczywiście wzdłuż rzeki wędrują nie tylko ptaki - wędrują oczywiście ryby. Co prawda żadnej jeszcze nie złowiłem, ale jestem pewien, że te chłodne przejrzyste i dobrze natlenione wody doskonale odpowiadają łososiom, pstrągom i innym gatunkom ryb wiodącym wędrowny tryb życia. Z potoku do oceanu, z oceanu do rzek, aby dotrzeć na tarło w górny bieg rzeki ryby muszą przemierzyć tysiące kilometrów i pokonać wszystkie przeszkody niezależnie od tego czy stawia je natura, czy człowiek. Ach - cieknie mi już ślina na myśl o tych wspaniałych wędrujących rybach...

Nauczyłem się już z daleka odróżniać poszczególne dźwięki zwiastujące określone rzeczy. Codziennie poznaję coś nowego. Na samym wstępie przed kilkoma dniami zapoznałem się z odgłosem nadciągającej wichury. Jeszcze na długo zanim podmuch powietrza docierał do mnie, dało się słyszeć niski ton, przypominający swą niską, jednostajną barwą startujący w oddali samolot odrzutowy. Dźwięk ten był tak do złudzenia podobny do pracy silnika odrzutowego, że początkowo myślałem, że znajduję się w pobliżu lotniska wojskowego, z którego co chwila startują samoloty. Jednak po kilku wietrznych dniach zorientowałem się wreszcie, że coś za dużo w okolicy znajdowało się tych lotnisk...

W przyrodzie wszystko jednak ma swoje wytłumaczenie. Płynąca głębokim wąwozem rzeka sprawiała, że wiatr jeśli wiał, to zawsze wzdłuż jej osi, a mianowicie z przodu lub z tyłu. Gdy wietrzysko szalało, głęboka dolina działała jak tuba, z której wydobywał się niski, potężny dźwięk. To wszystko, a fakt, że dźwięk ten początkowo kojarzył mi się ze startem odrzutowca, niech osądzą już psychiatrzy...

Kolejnym omamem słuchowym, jaki mnie prześladował, był dźwięk wysokoobrotowego silnika, jakiego zazwyczaj używa się przy łodziach motorowych. Tak jak poprzednio, kiedy to w pobliżu znajdowało się wiele lotnisk wojskowych, tak teraz mnóstwo motorówek kręciło się w okolicy...

Po kilku dniach wnikliwego śledztwa doszedłem do wniosku, że jednak jestem zdrowy na umyśle, a rzekome motorówki, to efekt akustyczny toczącej się po kamieniach w oddali wody, konkretnie zaś wpadających do głównego nurtu płytkich, nastroszonych kamieniami potoków. W pierwszym i drugim wypadku złudzenie występowało, tylko

wówczas, kiedy to źródło dźwięku znajdowało się bardzo daleko. Wysokie, zalesione góry, pionowe ściany skalne, wszystko to sprawiało, że w głuszy powstawały nieznane mi wcześniej niesamowite efekty dźwiękowe. Nie pierwsze i nie ostatnie były to złudzenia, z każdym jednak dniem byłem bogatszy przynajmniej o kilka doświadczeń.

Niebawem okazało się, że byłem jednak przedczesnym optymistą sądząc, że przykre doświadczenia z pogodą już się skończyły, bowiem już po południu wzmógł się wiatr i na horyzoncie pojawiły się nadciągające z północy chmury. Wiatr szedł koronami drzew, giał je i targał. Rozhuśtana tajga szumiała odgłosami Wzburzonego morza. Cóż, nie było rady, chcąc płynąć, chwyciłem za wiosła i choć z trudem, to jednak przemieszczałem się w dół rzeki. Zrozumiałem już, że w czasie najbliższych miesięcy właśnie wiatr będzie tym najważniejszym czynnikiem ustalającym tempo mojej podróży.

Wiatr można łatwo zdefiniować. Chodzi tu o ruch powietrza, jaki wynika z różnicy ciśnień w atmosferze. Różnice w ciśnieniu powietrza dążą do wyrównania, powodując ruch mas powietrza w kierunkach poziomych - to właśnie jest wiatr. Na powierzchni ziemi obowiązuje reguła (Buys Ballota), mówiąca o tym, że człowiek ustawiający się plecami do wiatru ma na półkuli północnej obszar o niższym ciśnieniu nieco na lewo przed sobą, zaś obszar o wyższym ciśnieniu nieco w prawo za sobą. Oznacza to, że na półkuli północnej wiatry w wyżu wieją zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a w niżu w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Klimat kontynentalny, a więc ten, w którego zasięgu się znajdowałem, ma tę właściwość, że w porze wiosennej centrum wyżu, czyli wysokiego ciśnienia, ustala się właśnie na północy. Biorąc pod uwagę fakt, że masy powietrza przemieszczają się zawsze z miejsca o wysokim ciśnieniu w kierunku niskiego, wnioskowałem, że wyprawie mojej będą w większości towarzyszyły wiatry północne, a co za tym idzie, zamiast podziwiać przyrodę siedząc wygodnie w pontonie, będę zmuszony wiosłować lub stać na brzegu i czekać na zmianę kierunku wiatru. Co prawda istnieją jeszcze inne wiatry tzw. lokalne, do których zaliczamy bryzę morską i lądową, wiatry z gór i dolin, te ostatnie na pewno będą miały niemały wpływ na moja wyprawę, ale na razie wiało z północy i nie było na to rady. Dopiero pod wieczór wiatr osłabł i przez postrzępione chmury przedarły się promienie słoneczne.

Powietrze stało się szarobłękitne, las powoli nasiąkał nocą jak bibuła atramentem, zaraz robi się ciemno, trzeba się pospieszyć, aby za dnia jeszcze rozłożyć obozowisko. Pomimo zmiennej pogody dzień okazał się bardzo dobry, gdyż jak wynikało z mapy, przebyłem dzisiaj rekordową liczbę kilometrów - ponad pięćdziesiąt.

W nocy prawie w ogóle nie spałem. Najpierw coś dużego chodziło koło namiotu, później nadszedł z północy cyklon połączony z porywistymi ulewami. Zmoczony, zziębnięty

całą noc czuwałem nad łodzią, dopiero kiedy dniało i przeszedł deszcz, wszedłem do miotanego porywami wiatru namiotu. Leżałem rozciągnięty jak sztywny trup i nie mogłem zasnąć. Ręce obolałe od wiosłowania zamieniły się w dwie bryły roztopionego ołowiu, czułem jak gorączka ogarnia całe ciało. Mieszały mi się rzeczywistość i urojenia. Nie wiem, czy w ogóle spałem tej nocy, czy może do rana leżałem z otwartymi oczami, nie widząc nic, tylko te urojenia.

Ocknięcie się było prawie tak samo ponure jak nocne mary. Wysuwam nos na zewnątrz. Nad rzeką wznoszą się opary mgły. Deszcz nie pada, ale chmury są niskie i czarne. Trzeba wstawać, ruszać w drogę, niezmordowanie, uparcie do przodu. Choć dzielnie przeciwstawiłem się fizycznym trudnościom, to jednak w duszy nastąpiły chwile apatii. Chwilami wszystko widziałem na innej płaszczyźnie. Zacząłem sobie wyrzucać, że dotychczas marnowałem życie, że wszystko zaniedbałem. Wracałem do dzieciństwa, wczesnej młodości, analizowałem wybory, których musiałem dokonywać, a które są wyborami doskonale powtarzającymi się, nie zawsze trafnymi. Chodzi tu o kwestie zwykłe, trywialne, o określenie rzeczywistości wobec innych ludzi, tych najdroższych i najbliższych. Po co żyłem, co robię teraz, dlaczego walczę o przetrwanie i wegetuję. Jak długo będzie to trwało? Jak się skończy?

Zapasy żywności kurczą się w zastraszającym tempie. Świeże powietrze i wysiłek fizyczny sprawiają, że jestem wiecznie głodny. Dotychczas jadłem gorące kubki dwa razy dziennie. Jedno opakowanie na śniadanie i taką samą porcję chemii na kolację, co razem dawało litr jako tako pożywej strawy. Teraz, kiedy zostało tylko dziesięć opakowań, muszę zmniejszyć rację żywnościową o połowę i trochę z tego powodu cierpię. Człowiek głodny zaczyna wierzyć w cuda, więc całymi dniami obserwuję brzegi w nadziei, że jakimś jeleniowi czy łosiewi przyjdzie szczęśliwa myśl do głowy, by urozmaicić mój jadłospis, ale jelenie i łosie nie odgadują moich pragnień, nie dostrzegam ani jednego. Nawet gdyby jelenie czy łosie okazały się domyślne, to fakt nieposiadania przeze mnie broni sprawiłby, że zwierzęta te w pogardzie pokazałyby mi swoją najjaśniejszą część ciała... Również próby urozmaicenia menu rybami minęły się z celem, gdyż podłoże Leny na jej górnym odcinku ma specyficzny skład mineralny, który nie jest zbyt korzystny dla ryb, przeto stworzeń tych jest bardzo mało, więc gdybymłożył, że ryby będą stanowić podstawę mojego żywienia, to musiałbym sterczeć godzinami na brzegu lub odławiać je siecią, której nie posiadałem. Płynąłem głodny, mając nadzieję na lepsze jutro i choć oczywiste jest, że nadzieja nie tuczy, to jednak nią żyłem. Być może należałoby tu wprowadzić różnicę pomiędzy nadzieją opartą na tym, co prawdopodobne, oraz taką, która opiera się na tym, co konkretnie możliwe. Każdy ma naturalnie nadzieję, że nigdy nie spadnie mu na głowę kawałek meteorytu i jest

rzeczą nader prawdopodobną, że nigdy do tego dojdzie. Taka nadzieja nie odgrywa jednak w życiu głównej roli. W moim przypadku jest rzeczą jak najbardziej prawdopodobną, że niebawem zaspokoję głód, a utrzymująca się szansa na to, że jest to jeszcze możliwe, sprawia, że dzieją staje się bardzo silna i ważna.

Od kilku już dni płynę, wykorzystując siłę swoich ramion. Każdy metr wydarty Syberii okupiony jest drogo. Ukształtowanie terenu oraz zatory lodowe dole rzeki sprawiły, że nurt znacznie osłabł, miejscami rzeka praktycznie stała, generalnie występował niewielki spad, lecz miejscami pochylenie dna stawało się niemal poziome i wtedy rzeka rozlewała się tworząc podłużne, stojące jezioro. Nie tak wyobrażałem sobie potężną rzekę w jej górnym biegu. Najmniejszy wiaterek z północy sprawiał, że płynąłem w przeciwną stronę lub w najlepszym przypadku stałem w miejscu. Nie na wiele zdawała się dryfkotwa, nurt był za słaby, a może po prostu dryfkotwa miała za małą średnicę. Kiedy w Kaczugu Sierioża opowiadał, że „Lena dopiero płynie od Kireńska, nie bardzo chciałem w to wierzyć, teraz jednak wiem, że miał rację, i już pozostało mi tylko wierzyć, że rzeczywiście Lena ruszy z kopyta zasilona silnym nurtem wpadającej do niej Kirengi. Na razie miałem do dyspozycji dwa wiosła i nadzieję, że pokonam jeszcze siedemset kilometrów, tyle bowiem dzieliło mnie od Kireńska.

Wielogodzinne wiosłowanie sprawia, że wieczorami mam problemy z rozprostowaniem dłoni, uformowały się tak, jakby były stworzone tylko do wiosła. Dają znać o sobie braki w wyposażeniu. Brak ciepłej odzieży, a przede wszystkim żywności, nie wspominając o kochanej kawie... Dni stają się bardzo podobne do siebie. Wiele czynności robię już rutynowo. Nauczyłem się już żeglugi, potrafię czytać wodę, wykorzystuję każde zakole rzeki. Praktyka robi swoje: okazało się, że nawet kamienne przemiały, których jest na rzece mnóstwo, stwarzają możliwość szybszego płynięcia, gdyż początkowo spiętrzają wodę, która później ze zdwojoną siłą mknie dalej. Trzeba tylko wiedzieć, w którą przetokę wpłynąć, więc całą moją uwagę skupiałem na tym, aby jak najrzadziej moczyć wiosła w wodzie.

Słońce ociągając się podryfowało na zachód, żadna chmura nie odbijała i nie rozpraszała jego promieni; ciemność zapadła więc jak silnie skręcony nieprzejrzysty woal. Lecz jeszcze po północy światło wytrawiało na niebie zarysy zachodniego horyzontu, świetlny refleks sprawił, że rzeka w oddali była jasna i mieniła się wszystkimi barwami tęczy, później jednak zmatowiała jakby pokryła ją warstwa oleju. Po chwili zjawisko ustało; rzeka i niebo zlało się w jedno.

Nad tajgą stanęła bezkresna kopuła zimnego, cichego powietrza; ani śladu mgły, ani jednego pasma chmur. Nie ma księżyca ani wiatru. Po raz pierwszy od mego przybycia na

Syberię widzę niebo usiane gwiazdami, które wyglądają jak iskry z ogniska. Czuję się jakbym był gdzieś tam, skąd biorą początek wszystkie gwiazdy, a nie w zapadłym, odległym miejscu Rosji. Droga Mleczna, obłoczny zwiastun dalekich i zimnych obcych światów, wyglądała jakby w osobliwy sposób skupiła się w niej nieskończona przestrzeń. Jej daleki blask unoszący się nad rzeką, sprawiał wrażenie jakby miniaturowe gwiazdy wisiały tuż nad pasmem wyłaniających się z mroku gór; jakby ich światło było świeże, a nie przesiane przez setki tysięcy lat świetlnej wędrówki poprzez międzygalaktyczny i międzygwiazdny pył. Bliżej Ziemi przepływają przez niebo fale zgęszczonego, zimnego powietrza, to za ich sprawą gwiazdy to wyłaniają się z pustki, to znów znikają. Tajga w blasku gwiazd szara i zimna, zatrzymała w cichym przejmującym mrozie wiosenne strumienie spływające ze stoków, które w bladej, srebrzystej poświacie znieruchomiały i lśnią jak kryształ. Wreszcie ogień dogasa, czuję chłód, wchodzę więc do namiotu i zagrzebuję się w śpiwór. Leżę zapięty po sam nos. Nie mogę zasnąć, oczy mam ciągle otwarte, myśli pracują intensywnie. Myślę, że nieuchronnie napłyną tu kiedyś pogrążeni w swoich żalonych kłótniach ludzie, a wraz z nimi niepotrzebne wynalazki, narzucone granice, wysypiska śmieci, pasy startowe i szamba. Wiecznie rozwarta gęba ludzkości sprawi, że ludzie wydobędą bez opamiętania z ziemi wszystko co posiada jakąkolwiek wartość, później, gdy zyski ustaną, wycofają się pozostawiając po sobie jedno wielkie gnojowisko. Czuję zdecydowaną odrazę w stosunku do praktyk epoki, w której wypadło mi żyć, do idiotyzmów i zakłamania wielkich rządzących tym światem.

Kolejna burza rozpełtała się dziś rano, wiatr szaleje, miota się w dzikich nagłych nawrotach gniewu i rozpacz. Nie sposób więc ruszyć się z miejsca. Wszedłem z namiotu i bezradnie rozejrzałem się po okolicy. Spojrzałem na niebo i już na pierwszy rzut oka widzę, że dzisiaj nie uda mi się pokonać ani jednego kilometra. Ołowiane, pozbawione blasku niebo, silny północny wiatr, deszcz na przemian ze śniegiem. Wszystko dookoła jest mokre; ziemia jest szlamowata i napęczniała od wilgoci. Wszedłem na powrót do namiotu i ułożyłem się wygodnie na posłaniu w nadziei, że zasnę i w błogim śnie przeczekać zła aurę. Lecz sen jak na złość nie przychodził; leżałem więc i wpatrywałem się w miotane podmuchami wiatru zielone płótno namiotu. Och, gdybym miał teraz prymus na benzynę; zagotowałbym wodę i zaparzył herbatę - już czułem ustach jej smak. Zapewne promieniujące od płomienia ciepło przy okazji

Ogrzałoby chłodne, wilgotne powietrze wewnątrz mego schronienia, stwarzając tym samym miłą, przytulną atmosferę. Jednak urządzenia tego nie miałem, nie miałem również najmniejszej ochoty opuścić namiotu, by udowodnić sobie, że potrafię w tych warunkach rozpaść ogień - mój stan fizyczny jeszcze takich poświęceń nie wymagał. Siedziałem więc

zziębnięty w namiocie w nadziei, że lada chwila się wypogodzi i popłynę dalej.

Po paru godzinach wiatr zelżał i wnet jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ustał wszelki ruch powietrza, lecz deszcz niestety cały czas padał; ciemne, ciężkie, nasiąknięte wodą chmury zawisły nieruchomo nad rzeką i wyglądało na to, że długo pozostaną w miejscu. Znad zalesionych gór unosiły się prosto w niebo kłęby pary przypominające gęsty, siwy dym. Odnosiło się wrażenie, że tajga płonie. Przed laty, kiedy zapragnąłem zostać pilotem samolotowym, zagłębiłem się to tajniki meteorologii. Teraz wiedza ta mogła zaprocentować poza lotnictwem, bowiem na podstawie obserwacji można było bez trudu zdefiniować prognozę pogody na najbliższe godziny. Nie była ona najlepsza, gdyż wszystkie znaki na niebie wskazywały na to, że znalazłem się w zasięgu frontu stacjonarnego - fachowo zwanego zokludowanym. Padał deszcz i mógł jeszcze padać wiele dni. Do zjawiska takiego dochodzi wówczas, kiedy w wyniku różnych prędkości przemieszczania się frontów ciepłego i chłodnego masy te stykają się ze sobą. Ruch powietrza maleje, a nawet staje na pewien czas w miejscu, powodując długotrwałą pogodę deszczową. Strefa zachmurzenia może sięgać do dziesięciu kilometrów wysokości, tysiąca kilometrów długości oraz tyle samo szerokości! Każdy przyzna, że ogrom zjawiska mówi sam za siebie.

Jednak opad nie miał prawa stanowić o kontynuowaniu podróży, zatrzymać mógł mnie tylko przeciwny wiatr, którego w tym momencie nie było, więc aby nie tracić cennego czasu ubrałem się w nieprzemakalny strój, zwinąłem wbrew rozsądkowi mokry namiot, załadowałem dobytek do pontonu, po czym całość nakryłem nieprzemakalnym pokrowcem. Na złość sobie i całemu światu, zamiast śniadania napiłem się zimnej wody z rzeki, po czym siadłem okrakiem na przykryty pokrowcem bagaż i jak na jednogarnym wielbłądzie, ze śpiewem na ustach ruszyłem w dół rzeki.

Padający długo deszcz sprawił, że rzeka wezbrała i nurt był niczego sobie. Z radością patrzyłem na przesuwane się dość szybko brzegi i myślach porównywałem je do szybkości chodu człowieka. Wyglądało na to, że gdybym chciał z taką prędkością przemieszczać się po brzegu, musiałbym biec truchtem. Byłem szczęśliwy. Deszcz okazał się niczym w porównaniu z perspektywą czekania na brzegu. Płynąłem na północ i to było w tym momencie najważniejsze.

Spowita we mgle rzeka, ociekające deszczem drzewa sprawiły, że dominującym kolorem dnia stała się szarość. Byłem głodny, lecz nie miałem nic do jedzenia poza kilkoma zupkami w proszku, których nie sposób zjeść na sucho. Nie wypadało również rozpalać ognia na gumowym pontonie... Och, gdybym miał prymus na benzynę...

W tajdze chce się jeść. To prawda, że Sybirak, człowiek obyty z tajgą, nie zginie w

niej z głodu nawet kiedy straci swój cały dobytek. Wie bowiem, że w tajdze rosną warzywa i owoce, co prawda w stanie dzikim, różniącym się nieco od tych widywanych w sklepach, ale za to bezpłatne i w dużych ilościach. Asortyment jest duży: jagody, grzyby, borówki, czarne i czerwone porzeczki, dziki czosnek zwany mangirem i cebula. Niektóre z nich spełniają wieloraką funkcję, jak; np. bruśnica, znana u nas jako borówką, która w porze dojrzewania zastąpi kompas, gdyż czerwienieje najpierw od południa. Można więc przeżyć, pod warunkiem jednak, że jest na to odpowiedni miesiąc. Niestety, moje suchary dawno zjadłem, chemiczne zupki miały się ku końcowi, a dary tajgi jeszcze nie zakwitły. Płynąłem zatem głodny, nie miałem nawet cukierka, którym mógłbym choć na chwilę oszukać głód. Posiadałem za to wielkie, nieprzebrane zapasy wody...

Zmierzch szybko nadchodził, a ja do końca nie byłem zdecydowany co robić; czy szukać miejsca na nocleg, czy płynąć dalej. Perspektywa rozbijania mokrego namiotu i nurzania się w wilgoci nie bardzo przypadła mi do gustu, poza tym nie uśmiechało mi się rozpalanie ogniska; gałęzie były mokre, a z takiego ognia pozyskuje się więcej dymu niż ciepła. Nie miałem też ochoty na rąbanie drewna. W ogóle tego wieczoru na nic nie miałem ochoty. Brak decyzji sprawił, że zanim się obejrzałem, zrobiło się ciemno i to jakby ostatecznie przesądziło o tym, że będę płynął nocą. Ku mojej radości opad wyraźnie osłabł, lecz chmury dalej wisiały nisko nad ziemią. Pomimo że niebo pokrywały chmury, które jak gruba pierzyna zapobiegały wypromieniowaniu ciepła, to jednak noc zapowiadała się bardzo chłodna, a może nawet mroźna. Nie zwlekając aż całkowicie zapadną ciemności, dobytek z plecaka ciepłą odzież, a właściwie wszystko co do ubrania posiadałem. Teraz kolejno nakładałem wszystko na siebie; od najcieńszej koszulki po grubą bluzę. Po chwili byłem już gotowy do stawienia czoła zimnej nocy i rzece.

O zmroku na zmatowiałym horyzoncie odcinają się sylwetki porośniętych tajgą gór. Wiatr nawiał nad nie mroźny tuman, nadając im złudną gładkość i wysokość. Lodowate mgły unoszą się znad całej rzeki przesłaniając ją, niczym jakąś zaginioną drogę ze starej baśni. Gdy tak płynąłem wpatrując się w otaczającą mnie noc, temperatura powietrza spadła grubo poniżej zera; wpadające do rzeki strumyki cichły jeden za drugim. Niebawem wszystko jakby zamarło; widać było tylko ciemne linie brzegów i jaśniejącą nieco wodę.

Na kamiennej wysepce znajdującej się na środku rzeki zauważyłem siedzące stadko kaczek. Siedziały nieruchomo, jak wykute z kamienia. Nurt sprawia, że płynę dokładnie w ich kierunku, zbliżam się niewidzialny w panujących ciemnościach. Lecz gdy jestem już całkiem blisko, jeden z ptaków, najwidoczniej samiec przeżywający wiosenny napływ hormonów, wydaje głośne, krótkie - kwaak! I nagle wszystkie kaczki kołyszającym się powolnym krokiem ruszają w stronę wody i wskakują do niej. Widzę jak rozcinają

piersiami metaliczną wodę, szybkie niczym kutry torpedowe, wreszcie zaniepokojone moją bliskością głośno podrywają się i odlatują w dół rzeki. Jeszcze chwilę w mroku słychać łopot ich skrzydeł. Do zobaczenia za godzinę - pomyślałem...

Znów nastała zimna cisza i prócz cichego szmeru przetaczającej się gdzieś kamieniami wody nie było nic słychać. Nocny chłód daje się mocno we i. Pomimo że w sumie jestem dostatecznie grubo ubrany, to jednak wiejący lekki wiaterek oraz brak ruchu sprawia, że po kilku godzinach zeszywniałem i ledwie poruszałem nogami. Około drugiej w nocy pragnienie ciepła było już tak duże, że tym razem miałem już dostatecznie silną motywację by dopłynąć do brzegu, nazbierać drewna i rozpaść ognisko. Wiedziałem, że leżące na brzegu drewno było mokre, jednak w głębi lasu spodziewałem się znaleźć dużo suchego, nadającego się na opał materiału. Po chwili dotarłem do brzegu, wyciągnąłem do połowy ponton z wody, po czym prawie po omacku przy świetle małej latarki wszedłem w spowitą ciemnością nocy tajgę.

Kiedy znalazłem się wśród drzew, zrobiło mi się trochę nieswojo. Wydawało mi się teraz, że każde drzewo przemawia na wietrze innym głosem: słyszę drgania, Westchnienia, szepty i przeciągłe jęki. Później nastała cisza i słyszałem tylko bicie własnego serca. Och, jednak bezpieczniej było na łodzi - pomyślałem. Stąpałem ostrożnie po miękkich poduszkach mchu pokrytego kruchą trzeszczącą warstwą śniegu, który roztopił się i znowu zamarzył. Co chwila stawałem i nadśluchiwałem, sam nie wiem co chciałem usłyszeć, po prostu czułem się diabelnie nieswojo. Miałem wrażenie, że moje kroki są słyszalne bardzo daleko, że hałas przebudzi jakieś złe licho śpiące w mroku tajgi. Wreszcie coś kazało mi stanąć w miejscu.... W tajdze działy się rzeczy niewidzialne, utajone za dnia. Usiłowałem otworzyć uszy, na oścież rozerwać duszę i ciało, by ten szum, co przenika powietrze, przeniknął całą moją istotę, nie napotykając żadnej przeszkody w moim ciele, ciele człowieka z miasta, który uparł się, aby poznać tajgę nocą... Ruszyłem dalej. Wiatr powoli ożywił się i na powrót las i noc zaczęły trzeszczeć, gwizdać i szeptać. Wtem jakiś dziwny nieokreślony dźwięk dotarł do moich uszu. Stałem jak sparaliżowany, automatycznie wstrzymując oddech. Po chwili dotarł do mnie słaby, lecz wyraźny głos. Gdzieś ze wzgórza słychać było biadolenie jakiejś chyba ptasiej rodziny. Nie był to dźwięk radosny, właściwy ptakom polującym gromadnie, ale żaloszny, osamotniony głos, jak krzyk jastrzębia. Doznania zmysłowe, jakie mnie teraz nawiedziły, sprawiły, że nie czułem już zimna, było mi wręcz gorąco. Uznałem więc z ulgą, że rozpalanie ognia jest bezcelowe i w podskokach wróciłem na brzeg. Dopiero kiedy znów znalazłem się na rzece, odetchnąłem z ulgą. Ponton dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Ale ze mnie bohater - pomyślałem. Po chwili, jakby na dokładkę, jakieś duże nocne ptaszysko nadleciało tuż nad moją głowę, aby sprawdzić, co tu

robię; ciekawe, czy broniło swego niegościnnego terytorium, czy też chciało się przekonać, czy jestem już martwy i czy nadają się do jedzenia.

Ranek był wilgotny, szary i bez ptaków. Dzień urozmaicony deszczem bijącym z rozdartego nieba w rzekę z takim impetem, że często nie wiedziałem, gdzie jest góra, a gdzie dół tego płynnego świata. Strome gliniane brzegi lśniły od wody, gęste chmury zwisały nisko, nigdzie nie było śladu promieni słońca. Gdzie się podziały dni, kiedy każdego ranka z pąka słonecznego rozkwitał krąg ciepła na ziemi? Poczulem śmiertelne zmęczenie i głód. Od dwóch dni nic nie miałem w ustach. Szumiało mi w uszach, zaczynało mi się kręcić w głowie.

Wychyliłem się przez burtę i na długą chwilę zanurzyłem twarz w chłodnej, czystej wodzie. Zdawało mi się, że spłukuję z siebie zmęczenie, podniecenie i to straszne napięcie nerwów, z którym żyłem ostatniej nocy. Woda działała jak łagodny środek uspokajający. Ach, gdyby w ten deszczowy, zimny dzień człowiek miał coś do zjedzenia! Ach, gdyby choć odrobinę suchego, starego, niepotrzebnego już nikomu chleba! Taki prześliczny, nieduży kawałek, który można by znaleźć w każdym gdańskim śmietniku, choćby twardy, byleby można go podgryzać teraz tu, na rzece...

Płynąłem myśląc o takim suchym, twardym, niepotrzebnym już nikomu chlebie, który można by właśnie teraz jeść... Myśl o chlebie sprawiła, że nie wiadomo dlaczego na chwilę owładnęło mną wrażenie wesołego ranka. Poczulem ogromne zadowolenie i bezwiednie zacząłem nucić półgłosem. Za moment duszy mojej nie przesłaniał już żaden cień. Przed oczami miałem kawałek suchego, starego chleba, w sercu miałem kawałek suchego, starego chleba, zamiast w duszy miałem suchy, niepotrzebny nikomu stary, twardy chleb...

Pozwalałem działać na siebie przypadkowym bzdurnym rzeczom, które jawiły się na mojej drodze i przepadały za chwilę... Czas płynął, płynąłem ja. Zachciało mi się wreszcie spać, byłem wykończony i zimne dreszcze przenikały mi przez plecy. Wtulilem głowę w ciepły kaptur, za moment poczułem, że powieki mi się zamykają, nie broniłem się...

Gdy się obudziłem, dookoła było tylko siwe, brudne niebo, brudna matowa i niezmiennie szara tajga. Lodowate zimno przeszywa mnie od stóp do głowy, kurczy ręce, nogi, wygina tors, mrozi krew w żyłach. Nie ma nic prócz tajgi, wody, nieba i złych myśli. Po raz kolejny w życiu uświadamiam sobie, że człowiek jest biedny i słaby, i w porównaniu z potęgą przyrody zupełnie nic nie znaczy. Och posiedziałoby się teraz w ciepłym mieszkanku, ale mieszkanka nie ma, a jak człowiek w ciepłe domu siedział, to tego w ogóle nie doceniał... Taka właśnie durnowata jest natura człowieka. Cóż było robić? - oszołomiony, przemarznięty chwyciłem za wiosła. Machałem nimi zapamiętale, a w

przerwach pocierałem rękoma kończyny odrętwiałe z zimna. A w ogóle nie lubię mrozu i chłodu, bo właśnie przez ziąb apostoł Piotr zaparł się Chrystusa... A było to tak: Noc była zimna i Piotr podszedł do ogniska, a przy ognisku grzała się opinia publiczna... Opinia publiczna pytała Piotra o Chrystusa, a Piotr się zapierał. Piał kogut... W Palestynie nie ma silnych chłódów i z pewnością jest tam cieplej niż na Syberii. Gdyby tamta noc była ciepła, Piotr nie podchodziłby do ogniska, a kogut piałby bez powodu, tak jak pieją wszystkie koguty, a w Ewangelii nie byłoby ironii. Dobrze, że Chrystusa nie ukrzyżowano tu, na Syberii; klimat jest tu straszny, kontynentalny, mrozy i zawieje; uczniowie Jezusa pchałoby się całymi tłumami do ognisk, a ponieważ tych ostatnich tu mało, staliby w kolejkach, by móc się zapierać... Ja się również z zimna zaparłem, ale nogami o dno pontonu. Dalej więc za wiosła - byle do przodu, byle w dół rzeki.

Głos psa, który usłyszałem, był dla mnie tym samym, czym dla rozbitka jest widok ziemi. Zwiastował bowiem obecność człowieka. Gdzieś za kolejnym zakrętem było psisko i od czasu do czasu smutnie poszczekiwało. Echo powtarzało jego głos, który był dla mnie w tej chwili najpiękniejszym słyszalnym dźwiękiem. Wnioskowałem, że jest to zwierzę domowe, ponieważ zdziczałe, podobnie jak wilki, nie szczekają. Zresztą w tym momencie nie sprawiłoby mi to różnicy, nawet gdyby się okazało, że jest to pies pokojowy... Nabrałem powietrza w płuca i zagwizdałem głośno, jak tylko umiałem. Kiedy ostry dźwięk przetoczył się echem po okolicznych wzgórzach, po chwili usłyszałem to, czego bardzo oczekiwałem - chóralne psie ujadanie. Więc nie myliłem się! Za kolejnym zakolem znajdowała się wioska! Byłem tego pewien, szczekało bowiem co najmniej dziesięć psich pysków... Pospiesznie wyjąłem mapę, z której wynikało, że prawdopodobnie dopływam do miejsciny o nazwie Petrowo.

Po kilkunastu minutach ujrzałem na prawym brzegu skupisko drewnianych domów z białymi eternitowymi dachami. Lśniący bielą na tle szarozielonego lasu eternit wyglądał w tej głuszy dziwnie i nienaturalnie. Ale nie to w tym momencie było ważne, czy biel pasuje do otoczenia, czy nie. Istotne było, że przede mną znajdowała się wioska, na pewno zamieszкана, o czym świadczyły niezbitnie szczekające psy oraz znajdujące się na brzegu łodzie. Właśnie łodzie były tym najważniejszym dla mnie wyznacznikiem obecności człowieka. Niejednokrotnie już wpatrywałem się z tęsknotą w stojące daleko na brzegu zabudowania, lecz kiedy do nich dopływałem, ze smutkiem stwierdzałem, że to dawno opuszczone domostwa, w pobliżu tych domów nigdy nie stały łodzie. Jest oczywiste, że dla Sybiraka żyjącego nad rzeką łódka znaczy tyle, ile znaczył koń dla kowboja zamieszkującego amerykańską prerię.

Prąd rzeki natychmiast wydał mi się stanowczo za wolny, więc aby jak najszybciej

dotrzeć do domostw, chwyciłem ochoczo za wiosła. Byłem podniecony, czułem miłe, łagodne dygotanie ciała. Och, jak delectowałem się widokiem wioski! Dreszcz radości przeszywał mnie na wskroś. Więc nie do końca jest źle; tu i ówdzie w bezkresie zamglonej tajgi żarzy się kilka małych ognisk; na tysiącach kilometrów tej wielkiej ziemi, wśród utrapień i radości, pomiędzy złem a dobrem, ciepłem i zimnem toczy się jednak powolne życie człowieka.

Kiedy dopłynąłem do zabudowań, od razu zwróciłem uwagę na wyróżniający się od pozostałych pachnący nowością drewniany, piętrowy budynek. Dom stał na niewielkim wzniesieniu, oparty jakby o ścianę tajgi. Jego forma architektoniczna nie była typowa dla domów spotykanych na Syberii, swym stylem, ze specyficznymi, ukośnymi, stromymi dachami, przypominała raczej domy budowane na Podhalu. Nie to jednak było ważne - był dom i tylko ten fakt w tym momencie się liczył.

Widok domostwa, a przede wszystkim widok dymu unoszącego się z komina, zahipnotyzował mnie na moment. Później poczułem głód bardziej niż kiedykolwiek, przypomniało mi się bowiem, że już od dwóch dni nic nie jadłem...

Trzeba działać - przemknęło mi przez myśl. Zaplanowałem, że udam się do domostwa i w celu nawiązania znajomości zapytam o drogę. Pomysł jednak momentalnie padł, gdyż uświadomiłem sobie, że trudno będzie mi spytać, gdzie znajduje się najbliższa rzeka... Zrezygnowałem więc szybko z tego kretyńskiego pomysłu. Ponieważ dalej nic mi nie przychodziło do głowy, postanowiłem po prostu pójść i poprosić gospodarzy o gotowaną wodę. W najgorszym wypadku zaparzę sobie herbatę, w najlepszym zaproszą mnie do domu - marzyłem. W chwilę później dobiłem do brzegu, przywiązałem łódź, po czym nieśmiało ruszyłem w kierunku zabudowań. Kiedy dotarłem do ogrodzenia, koncert psiego szczekania oznajmił moje przybycie. Po chwili z niewielkiej szopy znajdującej się w obejściu wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna, liczący nie więcej niż czterdzieści wiosen. Rozejrzał się zdziwiony wkoło, starając się zobaczyć co tak zaniepokoiło psy. Po chwili dostrzegł mnie stojącego pod płotem, uniósł rękę w powitalnym geście i ruszył w moim kierunku. Kiedy nieśmiało wyjawiałem mu cel mojej wizyty, prosząc jedynie o gotowaną wodę, twarz jego wykrzywiła się w lekkim, przyjaznym grymasie. Natychmiast otworzył furtkę i gestem zaprosił mnie do zagrody.

Wszedłem i rozejrzałem się dookoła. To co zobaczyłem, sprawiło, że oniemiałem wręcz z wrażenia. Poczuję się, jakbym wszedł do jakiegoś skansenu, a nie w gospodarskie obejście na terenie Rosji. Panował tu raczej niespotykany w tym kraju ład i porządek. Całość zabudowań gospodarczych tworzyła obwód zamknięty: dom, drewniana bania, stodoła, obora. Większa część pokryta była dachem, tak, że po kąpielu w bani do domu

można było w śniegu lub deszczu przejść suchą nogą. Obejście lśniło czystością. Opodal stał duży, przestronny dom, budowany starą sztuką ciesielską na zrąb z oknami na przestrzał na cztery strony świata. Z kuchnią, wędzarnią i komorą. Zwierzyzny, ptactwa i ryb było w okolicy pod dostatkiem, tylko wędzić, solić, suszyć. Opodal domu, koło obszernego ogrodu warzywnego, stały cztery identyczne budy dla psów. Schronienia czworonogów były tak schludnie i pomysłowo wykonane, jakby gospodarz budował je dla siebie i od czasu do czasu na przemian w każdej z nich mieszkał. Były to miniatury stylowych domów spotykanych na Syberii z wszystkimi wygodami i dodatkami. Każde ze zwierząt miało swój prywatny wybieg i jak się domyślałem - najlepsze kąski, które znajdowały się na wyciągnięcie łapy...

Gospodarz nie miał nic przeciwko moim ciekawskim spojrzeniom, bacznie jednak przypatrywał się mojej twarzy, jakby starał się odgadnąć co właściwie myślę. Po chwili uśmiechnął się zadowolony i od niechcienia powiedział: - .Chodźmy do domu, nie będziemy przecież stali na dworze.

Teraz dopiero zauważyłem, że był dumny ze swego obejścia, a jeszcze bardziej z wrażenia jakie na mnie wywarło.

- Mamy gościa - oznajmił głośno, kiedy przez obszerny, zdobiony rzeźbą ganek weszliśmy do sieni.

Z kuchni wyłoniła się postać młodej, uśmiechniętej kobiety. Kiedy mnie ujrzała, stanęła jak zamurowana i uśmiech na jej twarzy nagle znikł. Domyśliłem się, że spodziewała się kogoś znajomego, a tu taka niespodzianka. Odruchowo bezradnie popatrzyła po sobie, jakby trochę zakłopotana niestosownym do okoliczności strojem, jednak szybko doszła do siebie i na powrót uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Proszę wejść dalej i się rozgościć. Mam na imię Wiera - powiedziała, wyciągając z daleka rękę na powitanie.

- A ja Aleksy - przedstawił się teraz również gospodarz.

- Proszę, wchodź do środka i czuj się jak u siebie w domu - dodał wyraźnie rozbawiony sytuacją.

Podziękowałem serdecznie za zaproszenie, po czym zgodnie ze zwyczajem panującym na Syberii, przed wejściem do środka zdjąłem buty, pokłoniłem się ikonom i zająłem wskazane miejsce przy stole. Z ciekawością przyjrzałem się wnętrzu.

Ogromny piec z policą, czyli miejscem do spania, ogrzewający kuchnię i sąsiednią izbę, zajmował trzecią część pomieszczenia. Jego konstrukcja była funkcjonalna i dostosowana do długich zimowych chłódów. Na wysokości ramion znajdowała się *ruska pieczka* gdzie zapewne raz w tygodniu gospodyni piekła chleb. Poniżej był właściwy

piekarnik, czyli głęboki otwór z blachą i fajerkami do gotowania, który zakrywało się blaszaną zasłoną. Na samym dole prawie na całej długości pieca była wielka wnęka, w której można wyhodować pisklęta lub suszyć drewno na opał. Wreszcie na górze wspomniana obszerna półka do spania, gdzie wygodnie mieściły się cztery osoby.

- Przepraszam, ale mam jeszcze trochę pracy na zewnątrz. Nie potrwa to długo, ale muszę skończyć, co zacząłem - powiedział Aleksy. Włożył zdjętą uprzednio czapkę i wyszedł na podwórze.

- Na razie zrobię herbatę - powiedziała Wiera. - Później zaś, kiedy przyjdzie Aleksy z dziećmi, wspólnie zjemy kolację. Będzie też czas na miłą pogawędkę - dodała, stawiając imbryk na ogniu.

- Nie chciałbym robić kłopotu, ja właściwie tylko po wrzątek, zaraz ruszam dalej - odpowiedziałem nieśmiało.

- Dalej? Po nocy? Ależ w ogóle nie ma mowy. Zanocujesz u nas - jak widzisz dom mamy duży - powiedziała z dumą i tonem nie dopuszczającym raczej sprzeciwu.

Byłem zziębnięty, głodny i zmęczony, więc specjalnie nie oponowałem, burknąłem co prawda coś na modłę, że nie chciałbym robić kłopotu, ale niezbyt głośno i bez przekonania. Perspektywa kolacji i noclegu w ciepłej izbie wydawała mi się sennym, wręcz nierealnym marzeniem.

Podczas gdy gospodyni zajęta była swoimi sprawami, dyskretnie rozejrzałem się po chacie. Szczerze powiem, że byłem zaskoczony idealnym, wręcz muzealnym porządkiem. Meble kuchenne, choć było widać, że są leciwe, były starannie odnowione, pokryte jasnoniebieską farbą lśniły, jakby dopiero przywieziono je ze sklepu. Z kuchni prowadziły drzwi do *górnicy* - obszernej gościnnej izby. Wzdłuż jej ścian wyłożonych kilimami stały stare rzeźbione ławy, przed nimi obszerny stół. W jednym z narożników, na specjalnie zrobionej półce stały święte obrazy, tryptyk składający się z trzech ikon i żarząca się przed nim mała lampka - *lampatka*. Chociaż cały wystrój domu był skromny, wszędzie panował ład i porządek, widać było, że każdą rzecz w tym domu szanowano i we właściwy sposób pielęgnowano.

Był to prawdziwy dom, dom pełen ciepła, dźwięków i zapachów, dom, w którym czuło się atmosferę miłości i zażyłości.

- U dobrego gospodarza, gdzie oczy spojrzą, tam jest coś do zrobienia - powiedział Aleksy, wchodząc do domu w towarzystwie dwóch nastoletnich córek.

- Przepraszamy, że nie gościmy ciebie tak jak należy, ale mieliśmy do ukończenia pilną robotę - za kilka dni jadę do Irkucka sprzedać plon naszej kilkumiesięcznej pracy, więc jak to na finiszu bywa, jest do dokończenia mnóstwo rzeczy. Ale póki żona wszystkiego

nie przygotuje, pójdźmy na brzeg, zabierzesz, co potrzebujesz i zabezpieczymy twoją łódkę, byśmy mogli spokojnie posiedzieć przy stole - dodał.

Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, wyjąłem z łodzi parę potrzebnych drobiazgów, a pozostały dobytek, jak zresztą każdej nocy, nakryłem pokrowcem. Ponton dodatkowo przywiązałem jeszcze jedną liną i już mogliśmy wracać do domu. Aleksy jednak nie do końca ufał mojemu zabezpieczeniu, przywołał do siebie psa i rozkazał, aby ten siedział i pilnował mojego sprzętu. Przyznam, że trochę mnie rozbawił pomysł gospodarza sądzącego, że pies będzie warował całą noc, ale nie oponowałem i nawet w duchu trochę się śmiałem z tego pobożnego życzenia. Co prawda, kiedy odeszliśmy, pies bez sprzeciwu pozostał na brzegu, ale uważałem, że to kwestia minut, kiedy ponownie zjawi się w obejściu.

- Żyjemy z tajgi - powiedział Aleksy, kiedy ponownie znaleźliśmy się w obejściu. Chodź, pokażę ci jaką pilną robotę mamy do dokończenia - powiedział prowadząc mnie w kierunku dużej drewnianej szopy.

Kiedy weszliśmy do środka, oniemiałem z wrażenia. Od ziemi aż po sklepienie usypana była olbrzymia góra dużych, suchych szyszek. Pierwszy raz w życiu widziałem taką ich ilość w jednym miejscu, lecz szczerze mówiąc nie rozumiałem w jakim celu ktoś na Syberii zbiera te wszechobecne, nieużyteczne pozostałości zeszłego roku.

Aleksy rozkoszował się moją niewiedzą, świadczył o tym lisi, chytry uśmieszek na jego twarzy, lecz wcale nie kwapił się z wyjaśnieniami. Moja zakłopotana mina wyraźnie sprawiała mu przyjemność. Wreszcie dał za wygraną i chcąc ukrócić moje męki, wskazał drzwi drugiego pomieszczenia.

Tutaj czekał mnie kolejny cios. Zobaczyłem bowiem kilkutonową hałdę czarnej ziarnistej kawy... Tego było już za wiele, ponieważ wszystko stało się nagle sprzeczne z sobą. Było mi wiadome, że na Syberii nie rośnie kawa i nie istnieje tradycja jej picia, poza tym skąd takie ilości tego ziarna tu w Petrowie, zapadłej syberyjskiej mieścinie? Przemysł? Mafijny magazyn? A może zapasy na zimę? - różne niedorzeczne myśli biegały mi po głowie. Trwałem dalej w punkcie wyjścia, nie znalazłem bowiem sensownego wytłumaczenia dlaczego w głuszy syberyjskiej zmagazynowano tyle bezużytecznych szyszek i ziaren kawy...

Wreszcie Aleksy, widząc mój wyraźny niedorozwój syberyjski, z politowaniem w głosie wycedził: - To są orzeszki cedrowe...

- Orzeszki cedrowe - powtórzyłem ze zdziwieniem, a wzięło się ono, ponieważ parę tygodni wcześniej spacerując po targowisku w Irkucku widziałem mnóstwo kramarzy handlujących rzekomą kawą... Nawet przez chwilę się dziwiłem skąd taka moda na kawę,

skąd tyle pełnych jej worków. Małpują Zachód - pomyślałem i nie zaprzętałem sobie więcej tym głowy. Faktem jednak jest, że nawet z bliskiej odległości orzeszki do złudzenia przypominają ziarnistą paloną kawę, są ciemnobrązowe, podobnego kształtu i takiej samej wielkości. Skąd więc mogłem wiedzieć, że kawa na irkuckim bazarze to po prostu smaczne pożywne orzeszki cedrowe...

- O zaletach tych nasion opowiem ci przy kolacji - mruknął Aleksy, a teraz pokażę ci mój zimowy urobek, tylko się nie przestrasz - żartował prowadząc mnie przez podwórze do kolejnego swego składu.

Szopa, do której weszliśmy, była pełna różnorodnych skór i futer. Aleksy z dumą po kolei je demonstrował. Czego tu nie było - od czarnych, olbrzymich skór niedźwiedziach poprzez rysie, wilki, sobole do maleńkich skórek z popielic. Niektóre z okazów Aleksy darzył szczególnym uznaniem, pokazywał je ze wszystkich stron opowiadając z przejęciem okoliczności ich pozyskania. Patrząc na entuzjazm gospodarza uświadomiłem sobie siłę pasji łowieckiej, trzymającą myśliwych w niewoli ich zajęcia. Właśnie chyba ta pasja daje im wytrwałość, która sprawia, że znoszą trudy polowania, mrozy, niewygody, głód i bezludzie. Trudno było na pierwszy rzut oka określić ilość trofeum, ale jestem pewien, że aby je wszystkie odwieźć do Irkucka, Aleksy będzie musiał wynająć dużą ciężarówkę z przyczepą.

- Kolacja na stole - usłyszeliśmy głos Wiery stojącej na progu. Aleksy właśnie chciał jeszcze czymś się pochwalić, lecz na wieść o posiłku mruknął tylko *jutro* i poczapaliśmy do domu.

Szaniegi, czyli pierogi z mięsem, grzybami i jajkami, draniki - kotlety ziemniaczane oblane gęstą śmietaną, przyrządzone dokładnie wg receptury znanych nam kotletów mielonych, z tą różnicą, że mięso zastąpiły starte na grube paseczki ziemniaki, szczy - kapuśniak na mięsie, twaróg ze śmietaną i czeremszą, czyli solonym dzikim czosnkiem, dzban kompotu z bruśnicy - popularnej na Syberii czerwonej borówki, na deser fioletowa legumina na oleju, przyrządzona z mielonych suszonych owoców czeremchy, czyli czarnego bzu. Najprawdziwsze syberyjskie menu, dymiące i pachnące, stało już na bielutkim wyściełającym stół obrusie. p

Wiera i córki zasiadły do stołu ubrane odświętnie, tylko ja i Aleksy w brudnych ciuchach trochę nie pasowaliśmy do tego istic pałacowego akcentu.

Zabraliśmy się za jedzenie. Posilaliśmy się w milczeniu, wszystko było wysmienite. Mój wygłodniały żołądek pochłaniał porcję za porcją - wszystkiego po trochu. Najbardziej jednak smakowały mi gorące draniki przyprawione na ostro, oblane zimną, gęstą śmietaną. Pomyślałem, że jak szczęśliwie wrócę do Polski, to będę je jadał codziennie na śniadanie...

Od czasu do czasu Aleksy rozlewał cło kieliszków mocną owocową nalewkę, sporządzoną z krasnej smorodiny, czyli dzikiej czerwonej porzeczki. Według niego nalewka ta wspaniale działała na siły vitalne, a przede wszystkim zapobiegała wszelakim chorobom. Oczywiście - jak kilkakrotnie podkreślał - ułatwiała trawienie...

Kiedy wreszcie skończyliśmy jedzenie, dziewczęta uprzątnęły ze stołu i zgodnie z obyczajem rosyjskim podały *czaj*¹², do tego słodkie pszenne bułeczki, oraz nieodzowne przy picciu herbaty warenie, czyli konfitury z różnorodnych leśnych owoców.

Od dawna nie miałem tak obfitej biesiady. Po jedzeniu ogarnął mnie nastrój spokojnego dosytu, tak spokojnego, że przez chwilę zmorzyła mnie senność i już myślałem, że lada chwila wyrznię głową o syberyjską zastawę... Lecz jakby w ostatnim momencie głos milczącego dotychczas gospodarza przerwał moje znużenie.

- Jesteśmy czelidonami, czyli Sybirakami z dziada pradziada. Moi przodkowie to Buriaci, a Wiery - Chakasi. Niewiele jednak nas to różni, ponieważ obie narodowości wywodzą się od wspólnych przodków - Mongołów. Wiera trochę głośniej krzyczy, ale to nie jej wina, tylko jej przodków - żartował Aleksy. - Tak czy inaczej z krwi i kości Sybiracy - dodał.

- W Petrowie mieszkamy od dwudziestu lat.

- Nie, nie w tym domu - zachnął się, gdy spostrzegł, że rozglądam się po pomieszczeniu.

- Najpierw mieszkaliśmy w starym domu, ten buduję od trzech lat, chociaż sam nie wiem jak liczyć czas budowy, ponieważ pracuję przy nim tylko od kwietnia do października, zimę co roku spędzam w tajdze, bo tu w głuszy każdy, kto ma ręce i nogi, poluje - dodał.

- Żyje nam się nieźle, nie narzekamy, ale wiesz - największą satysfakcją mam z tego domu. Konkretnie zaś z faktu, że jest od początku do końca dziełem moich rąk. Rąk, a nie pieniędzy... - podkreślił.

- Jak każdy, kto aktualnie buduje, Aleksy na dobre rozgadał się o swym domu. Opowiadał o trudach budowy, o własnym projekcie i o tym, że jedynym narzędziem, jakim się posługiwał przy budowie, była siekiera. Ku mojemu narastającemu przerażeniu zagłębił się w szczegóły, z których zapamiętałem tylko to, że do łączenia ze sobą elementów drewnianych nie użył ani jednego gwoźdźca.

Szczerze jednak przyznam, że dom i całe obejście od początku zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie. Sam Aleksy również urósł w moich oczach, gdyż pokazał co może zrobić człowiek mający do dyspozycji rosnące w lesie drzewa, siekierę i dwie ręce.

- Życie tu nie przypomina idylli, jest co prawda w pewnym sensie romantyczne, ale zarazem ciężkie i niebezpieczne - kontynuował Aleksy.

12 Z jęz. rosyjskiego - herbata.

- Szczególnie sroga jest zima. „Sorowiki” - mrozy przekraczające minus czterdzieści stopni - potrafią bardzo utrudnić życie, a jak wiesz, są na Syberii miejsca, gdzie temperatura spada do minus sześćdziesięciu i więcej stopni. Słynny biegun zimna znajduje się niedaleko stąd, w Jakucji. Z kolei lato, choć krótkie, jest bardzo upalne, żar stoi w miejscu i człowiek nie ma czym oddychać.

- Przywykliśmy do tego, bo się tu urodziliśmy, więc nie mając innego wyboru, traktujemy to jako normalność. Ale dzięki tym trudom ludzie żyjący w tajdze mają inne podejście do natury.

- Mawia się, że Sybiracy szacunek do przyrody wysysają z mlekiem matki. Jest w tym powiedzeniu dużo prawdy, tajga bowiem to wielka księga przyrody, w której człowiek niestety zapisany jest tylko małymi literkami. Trzeba dużo czasu, by nauczyć się tę księgę czytać, a jeszcze więcej, by ją zrozumieć.

- W tym roku mija dwadzieścia pięć lat, jak zawodowo poluję, a jeszcze spotykam się w tajdze z rzeczami niezrozumiałymi, które może kiedyś pojmem, albo i nie. Myślę, że tylko Bóg wie wszystko, my ludzie całe życie musimy się uczyć - stwierdził z powagą godną filozofa.

- Dzisiaj młodzi nie zawsze szanują stare myśliwskie obyczaje. Dawniej człowiek bardziej był świadom swojej spójni ze światem zwierzęcym, kiedy zabił zwierza, to długo nad ubitą sztuką lamentował, usprawiedliwiał się przed nią, że musiał to zrobić. Wierzono bowiem, że po śmierci każdy może się wcielić w jelenia czy wilka. Dziś wystarcza, że wypije się stakan¹³ wódki i zje kawał tuszy z pierwszej ubitej w sezonie zwierzyny, to niektórym wystarcza - dodał z nie ukrywanym oburzeniem.

- W tajgę ruszam w połowie października, mam tam cztery zimownie, czyli domki myśliwskie z piecem i narami do spania. Pierwsze trzy miesiące są najlepsze, ale nie każdego roku jest tak samo, uzależnione jest to od tego, czy w danym roku obrodzą orzeszki cedrowe, czy nie.

- Mój rejon łowiecki nie jest za duży, w tydzień obejdiesz go pieszo... Ma jednak wielką zaletę: wszędzie prócz sosen, świerków i modrzewi rosną cedry, czyli limba syberyjska mylnie nazywana przez wszystkich cedrem. Cedr bowiem na Syberii nie występuje, to piszący książki przemianowali kedr na cedr. Ale prawdę mówiąc, wszyscy w Rosji limbę zwą kedrem, więc można spokojnie pominąć to botaniczne przekłamanie - stwierdził Aleksy z dumą znawcy.

- Jak już wspomniałem, na moim uczastku¹⁴ rosną kedry, a gdzie kedry, tam orzeszki cedrowe, które są smakołykiem większości zwierząt.

13 W jęz. rosyjskim - szklanka.

14 Z jęz. rosyjskiego - pot. odcinek, rewir.

- W pobliżu miejsca gdzie rosną, skupia się swoisty łańcuch pokarmowy. Pod Śniegiem zachowuje się mnóstwo szyszek ze smacznymi orzeszkami, na które zlatują się wszystkie zimujące w tajdze ptaki, a gdzie ptaki, tam rysie, gronostaje, kuny, lisy i sobole. Na drzewach zaś królują popielice, są lata, że ściągają tu tysiącami, nie wiem skąd wiedzą o urodzaju. Nawet niedźwiedź drzemie zimą w pobliżu kedrów, gdy się obudzi, jest głodny, więc bez trudu znajduje norę smużki, małego pasiastego gryzonia, rozkopuje ją swymi potężnymi pazurami i wyjada zgromadzone przez nią zimowe zapasy.

- Stan swojego posiadania znam już w pierwszych dniach sezonu. O śladach bytowania niedźwiedzi świadczą ślady pazurów na drzewach, w ten sposób miś znaczy swe terytorium, natomiast ptasie pióra, kosteczki i skórki wiewiórek wskazują na obecność zwinnego sobola. Gdzie orzeszki, tam i dziki, na które t kolei czatuje ryś i rosomak. Nie wspomnę o łosiach i jeleniach, a gdzie zwierzyna płowa, tam wilki i tak w kółko. W tajdze każdy ma swojego prześladowcę.

- Jestem myśliwym starej daty, nie zakładam sideł, może to głupio zabrzmie, ale jest to sprzeczne z wpojonymi mi przez ojca zasadami. Łowca musi zwierza podejść, musi go przechytryć, być mądrzejszym od jego instynktu - potrzask nie daje zwierzęciu szans - potrzask jest głęboko nieetyczny...

- Co prawda poluję z psami, bez nich nie zarobiłbym na utrzymanie domu i rodziny, ale pies to co innego, to pomocnik myśliwego, potrzask zaś uważam za barbarzyński atrybut skąpego amerykańskiego trapera...

- Pies to osobny rozdział Syberii. Żaden z wynalazków człowieka nie zastąpi nam psa. Jego węch jest tysiąc razy lepszy niż człowieka. Psy i ich wytrzymałość przekracza to wszystko, co można ogarnąć wyobraźnią. Na przykład potrafią przy czterdziestu stopniach przebiec ponad czterdzieści kilometrów. Bez psów ludzie mieszkający w niektórych północnych rejonach skazani byłiby na zagładę. Czy wiesz, że nawet w dzisiejszych czasach dobry pies jest warty samochodu? Sam mam cztery psy, ale żadnego bym nie wymienił nawet na samolot - zaśmiał się Aleksy.

- Ułożenie psa do polowania to wielka sztuka i nie każdy czworonóg się do tego nadaje. Niektóre można ułożyć tylko na wiewiórki, inne zaś na dzika czy niedźwiedzia. Są też tropiciele, to wyselekcjonowane sztuki posiadające węch ponadprzeciętny, a przeciętny pies, jak wspomniałem, czuje tysiąc razy lepiej niż człowiek. Zwierzę musi rozumieć człowieka. Za każdym razem kiedy czegoś od niego wymagam, zastanawiam się, czy on w ogóle mnie rozumie, czy wie czego od niego żądam i czy potrafi to wykonać. Każdy normalny pies rozumie z samego dźwięku kilkadziesiąt słów i to niezależnie od intonacji głosu. Kiedy powiem mu, co ma robić, po pysku widzę kiedy rozumie, kiedy nie. Jak

rozumie, to może do woli gonić, tropić, wystawiać czy według polecenia tylko płoszyć. Lecz kiedy kładę palec na usta, pies zamiera w bezruchu, wie że nie można szczekać, bo nie wolno zdradzić swojej obecności.

- O psach mógłbym jeszcze opowiadać kilka dni, zwierzęta te nigdy mnie nie zawiodły, a nawet kilkakrotnie ratowały mi życie - dodał z należnym psom szacunkiem.

- Ale wracając do orzeszków cedrowych.

Stanowią one nieodłączny składnik syberyjskiego menu. Obłupane z łusek, zmiażdżone, zalane wrzątkiem, uzyskują smak i konsystencję tłustej śmietany. Zmieszane z wodą zastępują mleko. Można wyrabiać z nich masło, olej oraz inne produkty, jak nadzienie do ciast, kiedy zmiesza się je z miodem. Zawierają wszystkie składniki potrzebne człowiekowi do życia: białko, cukier, tłuszcz i inne. Nawet zdawałoby się nic niewarte łupiny mają zastosowanie w medycynie syberyjskiej, gdy zaleje się je spirytusem, to po kilku dniach otrzymuje się gęstą maść na dolegliwości mięśniowo - stawowe.

- Wiera często robi chałwę cedrową. Przepis jest prosty - wystarczy zmiażdżyć pół kilograma orzeszków i zalać przypalonym cukrem. To wszystko - mniem, mniem - robił miny Aleksy.

- Ale na razie, dawaj, wypijmy jeszcze po jednym...

Grubo po północy zakończyliśmy biesiadę. Aleksy zaprowadził mnie na piętro, gdzie przygotowany był dla mnie pokój.

W pomieszczeniu roznosił się zapach żywicy, która ociekała po świeżych, grubych sosnowych balach stanowiących zarazem ścianę i konstrukcję domu. W rogu pod oknem stało przygotowane dla mnie drewniane łóżko zasłane świeżą pościelą, która, zresztą jak wszystko w tym pomieszczeniu, pachniała żywicą.

Podszedłem do okna, chcąc zobaczyć swój dobytek pozostawiony na brzegu, lecz noc była ciemna, wszystko zlało się w czerń; zauważyłem tylko nieco jaśniejszy od nocy połysk rzeki. Byłem zmęczony, perspektywa snu pod dachem w prawdziwie królewskim łożu sprawiła, że w duchu modliłem się, aby ta noc trwała wiecznie...

Położyłem się, lecz mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Leżałem na wznak z otwartymi oczami wpatrując się w ciemność i myślałem o różnych rzeczach: mojej podróży, o sobolach uganiających się za wiewiórkami, o rosomakach polujących na dziki i podejmującej mnie rodzinie, która szczęście swe znalazła z dala od cywilizacji, pośrodku bezkresnego zielonego oceanu. Niebawem obrazy zaczęły się rozmywać, aż wreszcie królowa noc wzięła mnie w swe ramiona...

Nazajutrz jeszcze przed śniadaniem poszedłem nad rzekę, by sprawdzić czy Wszystko jest na swoim miejscu. O dziwo, przy łódce zastałem pozostawionego wczoraj

przez Aleksego psa. Niczego nie podejrzewając ochoczym krokiem zbliżyłem się do swojego pontonu, aż tu nagle niskie wrrrr... dobywające się z gardzieli zwierza, który w postawie niezbyt przyjaznej, pokazuje mi swoje gotowe do akcji kły.

Na nic zdała się moja perswazja, że to, czego kolega kudłaty właśnie pilnuje, naprawdę należy do mnie - burek był niezjednany i przy każdej kolejnej próbie choćby spojrzenia na łódź, marszczył nos i warczał złowrogo.

Cóż, dałem za wygraną i wycofałem się z powrotem do obejścia. Kiedy przy śniadaniu wspomniałem o incydencie, Aleksy jakby od niechcenia powiedział tylko: - Tak, to dobry pies...

Widziałem, że był dumny ze swojego brysia - twarz gospodarza promieniała z zadowolenia.

Aleksy miał bardzo złożoną, ale zarazem ciekawą osobowość. Zauważyłem, że ilekroć temat rozmowy schodził na sprawy dotyczące natury, natychmiast poważniał i z całym szacunkiem podchodził do zagadnienia. Obojętnie czy sprawy dotyczyły niedźwiedzia, trawy, czy biedronki. Wszystko co się tyczyło Życia w kniei, było aż nadto brane serio. Do przyrody podchodził profesjonalnie. Był typem mędrca. Mędrzec to nie to samo co uczony. Mędrzec nie stwarza teoretycznych systemów, nie interesuje go suchy bezosobowy opis zjawisk, refleksja nad naturą rzeczywistości splata się u niego zawsze z refleksją etyczną. Nierzadko Spotykamy typ profesora, który wie wszystko i nie potrafi nam powiedzieć niczego. Z drugiej strony można spotkać w syberyjskiej głuszy Aleksego... który wie w porównaniu do profesora niewiele, ale opowiada z taką znajomością rzeczy, że przepełnia ją swoim JA i osobistym zaangażowaniem. Jego opowiadanie staje się interesujące, podobnie jak on sam. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że przesadzam, porównując wiedzę Aleksego do profesorskiej; jest bowiem pewne, że o praktycznym życiu w tajdze Aleksy wie więcej niż wszyscy profesorowie do kupy wzięci...

Po śniadaniu podziękowałem gospodarzom za cudowną gościnę i już zamierzałem ruszyć w drogę, lecz Aleksy przypomniał sobie raptem, że jeszcze ma coś ciekawego do pokazania. Wyszedł na zewnątrz, a kiedy po chwili wrócił, jego chytry wyraz twarzy świadczył o tym, że znów zamierza coś spsocić.

- Zgadnij co to za zwierzę? - zapytał, kładąc na stół głowę denata. Przyjrzałem się uważnie i oniemiałem z wrażenia. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem podobnego stwora...

Przede mną leżała duża głowa podobna do zajęcej, z tym że o wiele większa, niż miewają szaraki, była wielkości cielęcej. Ciemnobrązowa, nakrapiana jasnymi plamami. Morda nietypowa, jakaś krótka, nieforemna. Brak poroża, ale za to z górnej szczęki jak szable zwisające w dół dwa dziesięciocentymetrowej długości kły. Czegoś takiego w życiu

nie widziałem; ni to sarna, ni to koń; do niczego nie dało się denata porównać.

Aleksy ponownie delektował się moją niewiedzą, w końcu grając na zwłokę, zamiast stosownego wyjaśnienia powiedział: - W styczniu ustrzeliłem. Dopiero po dłuższej chwili zlitował się nade mną i wykszusił:

- To kabarga - prehistoryczne zwierzę, relikw z zaginionej fauny, które, choć bardzo rzadkie, uchowało się jeszcze w niedostępnych, górzystych rejonach przybajkalskiej tajgi. Aleksy dodał też, że strzela tylko jedną sztukę co parę lat, a robi to ze względu na cenną zawartość gruczołu piżmowego, której w farmacji używa się do sporządzania jakiegoś specjalnego leku.

- Komu w drogę, temu czas - powiedziałem, serdecznie dziękując za gościnę. Kiedy żegnałem się z żoną gospodarza, zapytała z troską, czy aby mam wystarczająco dużo produktów żywnościowych na drogę. - Ależ oczywiście wystarczająco - skłamałem, ponieważ wstyd mi się zrobiło, że taki zagraniczny gość, a cały jego majątek to kilka chemicznych zupek.

Dzięki Bogu kobieta uznała, że chleba w tajdze nigdy za dużo i na odchodnym wcisnęła mi do rąk dwa wielkie bochny świeżego, swojskiego chleba. Życie mi ratujesz - pomyślałem.

Aleksy chciał mi podarować skórę z niedźwiedzia, lecz była tak duża, że nie mieściła się w pontonie, więc by cokolwiek dać mi na drogę, przyniósł parę kilogramów orzeszków cedrowych i najładniejszą z posiadanych skórkę z sobola...

Kiedy odprowadził mnie na brzeg, uściśnął moją dłoń, szczerze spojrział mi w oczy i powiedział: - Dziękuję bardzo, że nas odwiedziłeś...

Do dziś wspominam tych ludzi i jak długo będę mógł, tak długo będę o nich opowiadał. Nie społeczeństwo, nie naród, nie rasa, tylko poszczególny, pojedynczy człowiek jest najwyższą miarą wszystkiego. On jeden - z włóknami własnej duszy, z chrząstkami swego sumienia...

Zgiełk dochodzący z wioski oddalał się coraz bardziej, wraz z wodą płynęła cisza odmierzana rzadkimi uderzeniami wiosła. Daleko za rufą pozostało gościnne Petrowo wraz z psującymi krajobraz eternitowymi dachami.

Znów czuję zapach igliwia, słaby wiatr niesie go nad rzeką. Po chwili dołączają kolejne wiosenne zapachy, jestem nimi odurzony, moje płuca napełniają się niespotykaną nigdzie indziej mieszanką wiosny...

Raj! Odkładam wiosła, wyciągam się wygodnie w pontonie, przymykam oczy i oddaję się we władanie naturze. Teraz zapach i ciche odgłosy tajgi sprawiają, że w głowie maluje mi się mapa otoczenia.

Syberia to osobliwe miejsce, to kraina, która potrafi wiele wyrazić. Najważniejsze na Syberii, to wczuć się w atmosferę miejsca, wtopić się w otoczenie. Wtedy wszystko zaczyna się toczyć wolniej, dzięki temu można zauważyć niezrozumiałe dotąd rzeczy.

Otoczają mnie formy, które są wynikiem milionów lat ewolucji, formy na wskroś dziewicze, nie tknięte jeszcze ręką człowieka. Czuję się wyróżniony, że mogę oglądać tę piękną, dziewiczą przyrodę; bezkresne zalesione wzgórza, rzekę nitką wijącą się między nimi.

Jednak nie odczuwam przesadnej radości ani głębokiego smutku, bo wiem, że kiedyś te połacie tajgi zamienią się w milionowe miasta i przemysłowe gnojowiska. Ze to się kiedyś, jak wszystko co dobre, nieuchronnie skończy, gdyż współczesny świat jest brudnym piekłem i ludzie potrafią wszystko zgnoić. Przemykam oczy i widzę buldożery niwelujące teren, widzę jak wszystko umiera; jak wszystkiego będzie trzeba żałować. I dopiero w tym momencie pojąłem, na czym polega nędza i głupota tego wszystkiego, co ludzie dotąd napisali o ochronie przyrody, o cywilizacji i o ludzkiej przyszłości.

W przeciągu czterech i pół miliona lat ewolucji powstała nasza planeta i jej zasoby naturalne¹⁵. Człowiek nieomal zniszczył to wszystko w ciągu zaledwie stu pięćdziesięciu lat, co stanowi sekundę w historii kosmosu; Z powierzchni ziemi znikły prawie wszystkie wielkie lasy. Większość wód jest zanieczyszczona - wymarło wiele gatunków zwierząt. Roztrwoniliśmy paliwa stałe, zatruliśmy życie w morzach i oceanach. Nasza planeta w szybkim tempie zamienia się w pustynię. Na domiar złego w ciągu dwudziestu ostatnich lat zaczęliśmy dewastować powłokę chroniącą nasze życie - warstwę ozonową. Od tej chwili z każdym rokiem niszczymy coraz więcej ozonu, a na Ziemię dociera coraz więcej szkodliwego promieniowania słonecznego. Dlatego też oglądając tę piękną Ziemię nie odczuwam przesadnej radości ani głębokiego smutku, żyję dostatecznie długo na tej planecie, aby zrozumieć, że nigdy nikomu nie uda się niczego przekazać, że sprawa ochrony środowiska, to sprawa obwarowana przez wszystkie możliwe siły, otoczona ciemnością i murami, tak jak ja w tej chwili otoczony jestem lasem.

To prawda, że głupiemu szczęście sprzyja. Dotąd bardzo wiele ciężkich wykroczeń przeciw naturze uszło nam płazem. W końcu całą Europę ogołociliśmy z wielkich borów i puszczy praktycznie bezkarnie, wiele gatunków zwierząt, nie mówiąc już o roślinach, wytępiiliśmy nie powodując kataklizmu. Ale, o czym wie każdy hazardzista, im dłuższe pasmo powodzenia, tym prawdopodobniejszy jego kres, tym okrutniejszy, im wyżej podnosimy stawkę po każdym powodzeniu. Tragedia polega na tym, że owocami dotychczasowych wygranych podzieliliśmy się nadzwyczaj niesprawiedliwie i nieprzewidująco.

15 Pomyłka jednego rzędu wielkości, wiek Ziemi obecnie ocenia się na ok. 4,5 miliarda lat.

W przyrodzie nie ma sytuacji, aby jeden gatunek wytepił drugi. Tylko my, ludzie, jesteśmy wyjątkiem - niszczymy wszystko. Zatraciliśmy zależność drapieżnika od ofiary. Wiek odkryć dobiega końca, czyżby rozpoczął się wiek zniszczeń? Wszystko na to wskazuje, gdyż już teraz możemy dostrzec oznaki naszej umiejętności zakłócania równowagi w zegarze przyrody.

Klimat naszej Ziemi uważamy za darmowy podarunek. Wydaje się nam, że nasza planeta od końca ostatniej epoki lodowej wypracowała sobie stały plan pogody i stabilności środowiska. Budujemy porty i ogromne miasta wzdłuż obecnej linii brzegowej, nawet pasy startowe dla samolotów budujemy na kierunkach przeważnie wiejących wiatrów. Ludzkie siedliska sytuowane są w zależności od obecnych warunków atmosferycznych, poziomu morza, kierunków wiatru i prądów morskich, które z kolei są określane i regulowane przez obecne rozmieszczenie lasów tropikalnych, pustyń, lodowców i wybrzeży morskich. Co będzie jeżeli zmieni się jeden z tych podstawowych składników ekosystemu? Na pewno ludzka przyszłość będzie inaczej wyglądała, niż sobie teraz to wyobrażamy.

Naturalne środowisko ciągle ma władzę nad człowiekiem i musimy się nauczyć, jak funkcjonuje zegar przyrody, w innym przypadku, próbując nasza planetę ulepszyć, rozłożymy ją na kawałki.

W przyrodzie musi występować równowaga i chyba jest to jedyne wytłumaczenie dla faktu, że w miarę coraz to nowych wynalazków i odkryć głupiejemy coraz bardziej. Patrząc na świat z gumowego pontonu, dryfującego gdzieś daleko na końcu świata, daleko poza wyobraźnię przeciętnego Europejczyka, czy tym bardziej Amerykanina, można pokusić się o parę stwierdzeń, stwierdzeń, które pewnie nie przyszyłyby mi do głowy podczas poobiednie) drzemki w wygodnym fotelu. Tu, w głuszy syberyjskiej tajgi świat wygląda inaczej, dopiero tu człowiek dowiaduje się ciekawych rzeczy...

Od kiedy latamy w kosmos, inaczej potrafimy już spojrzeć na wszechświat; odkryliśmy, że i my jesteśmy jego nieodłączną częścią, że wyszliśmy z niego drogą historii, która w niewyobrażalnie odległej przeszłości doprowadziła do powstania nas. Wiemy też na pewno, że będzie się ona ciągnęła daleko poza nas, w przyszłość, w której już nie weźmiemy udziału.

Z biegiem lat również rozumniej postrzegamy religię i wiarę. Wiemy już, że nauki przyrodnicze tłumaczą świat zupełnie inaczej niż na przykład chrześcijaństwo. Generalnie jednak głośno nie kwestionujemy istnienia Boga, odkryliśmy bowiem już dawno, że świat, który postrzegamy wokół siebie i do którego należymy, nie może być wszystkim, co istnieje. Wiemy, że żyjemy w rzeczywistości niedoskonałej, nie zakończonej, niewytłumaczalnej samej z siebie. Moje przemyślenia nie są atakiem na religijny obraz świata, nie zagrażają

wierze. Są tylko próbą przełamania nawyków myślowych.

Odkąd my, *homo sapiens*, posiadliśmy umiejętność myślenia i mówienia, odtąd bezustannie rozglądamy się dookoła, szukając tej wielkiej siły, która nas stworzyła i dała nam ręce zdolne chwycić i wytwarzać przedmioty. Nie dociera do nas - i słusznie zresztą - że rodzaj ludzki jest tak po prostu czystym tworem natury. Bo skąd niby ta natura miałaby taką moc, żeby z królestwa zwierząt stworzyć człowieka z całym jego umysłem i ciałem. Prawda, że ludzki rozum łatwiej akceptuje teorię ewolucji niż wiarę w Stworzenie, ale jedno jest pewne - zanim powstaliśmy, natura miała albo jakiś nadludzki Stwórca dał jej - tę moc i umiejętność, by jedna żywa komórka zmieniła się i rozrosła do rozmiarów czegoś, co potrafi grać na fortepianie, budować komputery, konstruować statki kosmiczne. Istnieje więc coś, co jest Absolutem, coś, do czego nigdy nie dotrze rozum ludzki ani nauki przyrodnicze czy też religie. Dlaczego? Ponieważ w tym czymś znane nam prawa natury już nie działają.

Nasuwa się więc pytanie - a co z Bogiem? Nie ma wątpliwości co do pragnienia obecności Boga, lecz wiarę we wszechmocnego należy wreszcie inaczej zrozumieć - pojąć ją taką, jaką jest. Jako wyraz tęsknoty dręczonego lękami człowieka do ochraniającego go ojca. Bo czyż w rzeczywistości człowiek od początku do końca nie stworzył sobie sam swego Boga? Stworzył go, a jakże, za swój człowieczy obraz i podobieństwo, po to, by go potem umieścić w niebie i czuć się przez niego stamtąd po ojcowsku ochranianym. Istnienie troszczącego się o nas ojca pozwala nam nabrać upragnionego sensu życia, nie mówiąc już o tęsknocie do życia po śmierci, bez którego nie mogłaby zresztą egzystować Żadna religia.

Pogląd ten ma dziś coraz więcej zwolenników szczególnie u osób świątłych, dla których religia jest zjawiskiem wytłumaczalnym, za pomocą jej funkcji społecznej. Bowiem dla ludzkiej potrzeby szczęścia każda religia stwarza nierealny świat, obiecuje to, co w istniejących warunkach społecznych nie może być człowiekowi dane. Poza tym religia ma jeszcze jedną niezmiernie ważną funkcję - jest niezwykle skutecznym narzędziem władzy.

Religijność jest zjawiskiem kulturowym, które przekracza indywidualną wiedzę. Ku uciesze żyjących z religii stwierdzę, że jest raczej pewne, że ta charakterystyczna cecha człowieka ni stąd, ni zowąd nagle nie zniknie. Są jednak pewne granice.

Z przerażeniem patrzę, że to, co niegdyś wynikało z głupoty, stało się udziałem oświeconego rozumu. Dziś powrócono do tego, od czego przez całe wieki uciekano. Powrócono superszybkim odrzutowcem i uznano za olbrzymie osiągnięcie właśnie to, że uciekano na piechotę, a powrócono nowoczesnym samolotem... Myślę tutaj o chrześcijańskim rozumieniu człowieka i przyrody, które do dnia dzisiejszego jest naznaczone przekonaniem, że cały wszechświat obraca się wokół człowieka, że w historii

zbawienia chodzi jedynie tylko o człowieka, z wyłączeniem wszystkich innych stworzeń, które widzę w tej chwili - tu na tej syberyjskiej rzece.

Sto miliardów galaktyk, każda wielkości układu naszej Drogi Mlecznej, a jednocześnie przekonanie, że los tego kosmosu zależy od biegu rzeczy na tej jednej planecie! Ba, nawet ostatecznego wyniku końcowego całej dotychczasowej historii kosmicznej upatruje się na tle dzisiejszego człowieka! Myślę, że w tej kwestii długo jeszcze nie nastąpią żadne zmiany, gdyż w zrozumieniu tego absurdu jeszcze przez dziesiątki lat będą przeszkadzały fałdy sutanny - tak głęboko tkwią w nas korzenie!

A można przecież inaczej. Żadna religia na kuli ziemskiej nie ucierpiała od tego, że w wyniku naukowych obserwacji Układ Słoneczny okazał się tworem, który można w pełni opisać za pomocą fizyki. Nikt też nie widzi powodu, aby nasz układ planetarny przestać uważać za część boskiego dzieła stworzenia tylko dlatego, że udało nam się zrozumieć jego zachowanie na podstawie praw natury. Po cóż więc to całe średniowiecze, dlaczego w obliczu postępu nauk trzeba powtarzać ów błąd? Czy ludzie, którzy wierzą w Boga (podobnie jak ja), sądzą, że wynika z tego bezwzględne zobowiązanie zaprzeczania prawom przyrody - możliwości wyjaśnienia procesów życiowych? Czy ludzie ci zdają sobie sprawę z tego, że tym samym pomniejszają sferę stwórczego działania Boga, w którego wierzą?

Słyszy się często zdanie, że „nowoczesny” człowiek jest materialistą, racjonalistą, którego interesuje wyłącznie świat doczesny; że jest mniej religijny niż jego przodkowie, że nie wierzy w istnienie jakiejś przekraczającej go rzeczywistości. Wszystko to prawda, lecz w tym wypadku wina leży po stronie samego kościoła, który niezmiennie od wieków współczesnym światłym ludziom proponuje obumarłe formy mitologiczne minionych epok. Skamieniałości - kamienie zamiast chleba. Ale najgorsze z tego jest to, że kiedy ta niejadalna strawa bywa odrzucana, kapłani podnoszą głośny lament, że widocznie głodu nie ma.

Moim skromnym zdaniem głód jest i to bardzo silny, bowiem człowiek nieustannie szuka sensu swojego bytu, a o tym, że to prawda, niech świadczy nieznanym dotąd rozwój różnorodnego sekciarstwa. Jest wręcz niewiarygodne, do jakich ofiar „nowocześni” ludzie są gotowi i jakim skrajnie zidiociałym wymaganiom bez wahania się poddają. Kto wytłumaczy, czego oczekują członkowie sekt i popełniający straszliwe masowe samobójstwa w Gujanie, Szwajcarii, Kanadzie czy USA? Temat na pewno jest złożony, ale upraszczając go można powiedzieć, że lodobójcy odczuwają nieodpartą potrzebę religijności; oczekują jakiegokolwiek wyższego sensu swego istnienia. Kościoły nic nie oferują, albo oferują to, co staje nie do przyjęcia już przez przeciętnego inteligenta. Mam tu na myśli wiele opisów krążących w katolickich pismach, w których wierzącemu

chrześcijaninowi Obiecuje się na przykład konkretne „ciało zmartwychwstania”, zdolne do unoszenia się, do telekinezy lub innych ponadnaturalnych wyczynów. O wartości tych publikacji nie ma co dyskutować. Zresztą w większości przypadków nie są one produktem samego kościoła, ale - co gorsza - są przezeń tolerowane, a tak naprawdę lepiej by było, gdyby kościół tego rodzaju szmiry umieszczał na indeksie, zamiast autoryzować je swoją pieczęcią. Może wreszcie hierarchowie zrozumieją, że współcześni ludzie oczekują czegoś więcej niż zabobonnych ofert.

Na początku dwudziestego pierwszego wieku wyraża się niepokój spowodowany niedostateczną gotowością kościoła do oderwania się od średniowiecznego obrazu świata, obiektywnie już przestarzałego. Coraz bardziej jednak wyraża się niepokój zachłannością materialną dostojników kościoła katolickiego, ich pychą i oraz monopolem na rację. Dlaczego tak małoduszności wśród tych, którzy są przekonani, że posiadli nienaruszalną i ostateczną prawdę? Treści wiedzy minionych pokoleń szybko się starzeją. Bez znaczenia stało się dla nas to, w co kiedyś wierzyli alchemicy i astrologi, magiczni znachorzy i szarlatani. Zawartości indywidualnych mózgów mają - i to bez żadnego wyjątku - ograniczony czas przechowywania. Wynika z tego, że w większości przypadków dawna wiedza jest wiedzą przestarzałą.

Nie jestem teologiem i w żadnym wypadku nie przypisuję sobie prawa do rozpatrywania konkretnych wniosków, które w tej sytuacji mogłyby wyniknąć. Chcę tylko powiedzieć, że z perspektywy gumowego pontonu świat naprawdę wygląda zupełnie inaczej. Najbardziej jednak cieszy mnie fakt, że jestem niezależnym, wolnym od wszelkich układów człowiekiem, który kiedy zechce, może mówić o rzeczach, o których inni szepczą ze strachu. Zresztą każdy ma swój rozum, swoje sumienie i swoją optykę patrzenia. Moje sumienie uważam za uczciwe i zdrowe. Dlatego też bez średniowiecznych tortur przyznam się, że nie czuję się chrześcijaninem, gdyż nie mogę spełnić tego, czego wymaga ode mnie chrześcijańska wiara. Jezus bowiem mówił, że bliźnimi są wszyscy ludzie i że wszystkich ich należy kochać jak siebie samego. Nawet wrogów! Z całą odpowiedzialnością wyznaję, że nie stać mnie na to. Niektórzy ludzie są mi obojętni, a inni tak wstrętni, że jestem zadowolony, kiedy dowiaduję się, że szlag ich trafił. Są też tacy, których lubię, a nawet Kocham. Poza tym siebie Kocham bardziej niż tych, których uznaję za bliźnich. Dziś, gdyby trzeba było coś zrobić ryzykując własną skórą, nie biorę w tym udziału. Co prawda, kiedy byłem młodszy, robiłem to czasem dla sportu lub na złość swoim wrogom. Z powyższego wynika, że nie jestem dobrym chrześcijaninem i wcale się za takiego nie uważam. Jednak chrześcijaństwo upośledziło mnie nieco, wyrobiło bowiem we mnie przesadne poczucie winy. Ciągłe kazano mi przepraszać Boga. Dlatego do dziś czuję się winien wszystkich zbrodni, wszystkich

gwałtów oraz kazirodtwa; ja wywołałem wszystkie nieszczęścia, wymyśliłem wszystkie zbrodnie, zdeptałem wszystkie prawa. Czuję się winny rozpętania wszystkich wojen, które zlały krwią ziemię; inicjatorem wszystkich rzezi, sprawcą wszystkich niesprawiedliwości. Jestem katem, inkwizytorem, sygnatariuszem wszystkich wyroków śmierci: przez ścięcie, powieszenie, spalenie na stosie, łamanie kołem, obdzieranie ze skóry, utopienie, truciznę i głód; ja jestem wynalazcą męczarni, tortur psychicznych, siewcą podejrzeń, świadomym organizatorem wszystkich obsesji, każdego terroru zbiorowego i indywidualnego; jestem winien wszystkich zbrodni i każdej z nich osobno - ja Romek Koperski...

Od kilku dni około południa słyszę przelatujący wysoko samolot. Chmury przesłaniają mi widoczność, ale po pracy silnika poznaję, że to AN - 24. Domyślam się, że leci prosto do Zigałowa, gdzie zapewne znajduje się rosyjski odpowiednik VOR¹⁶. Jestem tego pewien, ponieważ im bardziej zbliżam się do tej miejscowości, słyszę coraz więcej samolotów nadlatujących z różnych stron. Tym razem jestem pewien, że nie jest to złudzenie powstałe przez wpadające do Leny rzeczki...

Dzisiaj zauważyłem dziwne pływające zwierzę - ciemnobrązowe, ni to wydra, ni to pies, choć z pyska do tego ostatniego bardzo podobne. Stwór wyglądał co najmniej dziwnie - był wielkości dużej nutrii, miał długi ogon służący mu za ster. Początkowo myślałem, że to wydra, ale gdy zwierzę podплыło bliżej, stwierdziłem, że to coś innego, całkiem brązowego i bardziej od wydry głupiego.

Zwierzę zachowywało się aż nader nieostrożnie. Z wyrazem uśmiechu na pysku podplywało z ciekawością do pontonu, chwilę przypatrywało się uważnie, po czym z pluskiem dawało nura i natychmiast wypływało z drugiej strony.

Zabawa trwała ponad pół godziny, zwierz w ogóle nie czuł respektu, a jego głowa zawsze znajdowała się w zasięgu mojego wiosła...

Długo przypatrywałem się stworzeniu, ale do niczego znanego mi nie mogłem go porównać - wiem tylko na pewno, że nie była to wydra, gdyż ta ostatnia jest cała szara, a to dziwadło było ciemnobrązowe. Parę dni później dowiedziałem się, że stwór nazywa się andatra i jest rodem z Ameryki Południowej, skąd przed pięćdziesięcioma laty został przywieziony i eksperymentalnie zasiedlony na Syberii. Eksperyment udał się nadzwyczajnie. Andatra rozmnożyła się błyskawicznie, zdziesiątkowała wiele gatunków ryb i zwierząt, gatunek ma się dobrze, ryby zaś nie. Jak widać z powyższego przykładu, radzieccy uczeni nie tylko potrafili odwracać biegi rzek...

Pod wieczór dopływam do zniszczonego mostu pontonowego. Most łączy dwa piaszczyste dukty wylaniające się z otchłani tajgi. Wkoło, jak okiem sięgnąć, żywej duszy, tylko góry i tajga. Nieco dalej na prawym brzegu zauważam ruiny drewnianego domu oraz

16 Wielokierunkowa radiolatarnia o bardzo wielkiej częstotliwości.

stojący przy nim wysoki maszt antenowy. Za budynkiem Sterczy wrak starego zisa¹⁷; widać stoi już tu bardzo długo, gdyż z pozbawionych szyb otworów okiennych wyrastają dwie dorodne brzoźki. Staram się domyślić przeznaczenia budowli; może to wartownia pilnująca mostu, może to jakiś punkt etapowy, a może to ruiny komendantury jakiegoś stalinowskiego gułagu? W tej części kraju wszystko jest możliwe.

Do Zigałowa pozostało nie więcej jak dwadzieścia kilometrów. Cieszę się już na spotkanie z cywilizacją. Rzeka płynie dość wartko, postanawiam więc jeszcze godzinę płynąć. Lecz jak to zwykle bywa, z planowanej godziny zrobiły się trzy. Nim się obejrzałem, było już ciemno. Co prawda, słońce dopiero co zaszło za las i tam jeszcze świeciło gamą intensywnych kolorów, lecz w dole panował już zmrok, jaśniej połyskiwała tylko woda. Temperatura spadła szybko w okolice zera, nieoczekiwanie nadciągnął zimny i przenikliwy wiatr. Czym prędzej dobiłem do brzegu i po omacku prawie rozbiłem namiot. Nie miałem już na nic ochoty, znużenie odebrało mi apetyt, tylko ciepły śpiwór był mi w tym momencie bliski. Dopływam w okolice Zigałowa. Miejscowości Rudowka, Gołownowka, Tututą, Kuzniecowska stanowią całość - dziwię się więc, co za kretyn nadał tyle nazw.

Chyba że chodziło o współzawodnictwo... Po obu stronach rzeki widzę ludzi łowiących ryby - jedni wędkują, inni stawiają sieci. Ostrożnie przepływam pod kolejnym mostem pontonowym, przede mną wyrasta wysoka, szara skała, przed skałą ostry zakręt w lewo i już po chwili na horyzoncie majaczy „metropolia” Zigałowo.

Zigałowo, podobnie jak Kaczug, okazuje się wsią budującą tankowce... Właśnie mijam stojące na pochylniach nowe, zardzewiałe już jednostki, które w tym roku w dół rzeki już nie popłyną, gdyż wiosenna woda opadła, a następna będzie dopiero za rok... Ze zdziwieniem patrzę na stumetrową, krętą rzekę i wiele bym dał, aby zobaczyć jak Rosjanie tymi tankowcami spływają w dół rzeki.

Wieś widać też już dogorywa; szeregi identycznych, bezdusznych domów, bezludne błotniste ulice, puste skwery z różnymi pomnikami - chyba rewolucjonistów. Wszystko trwa w martwocie, bez wyrazu, jak twarze nielicznych ludzi łowiących nad rzeką ryby.

Lena ciągnie swe leniwe wody wielkim łukiem w lewo. Bez entuzjazmu mija ostatnie zabudowania, za którymi jakby radośniej wpływa pomiędzy porośnięte lasem wzgórze.

Bez żalu patrzę na malejące z każdą chwilą domy i ociekające rdzą tankowce. Trochę zmieniły mi się plany, gdyż zamierzałem zatrzymać się we wsi, ale nie wiem dlaczego zabrakło mi odwagi - coś kazało płynąć mi dalej, więc jak zawsze w takich przypadkach nie opierałem się intuicji, ale teraz trochę, bo przecież chciałem porozmawiać z ludźmi.

Faktem jest, że niezbyt zachęcająco wyglądają na Syberii tego rodzaju miejscowości; wszystkie jak jedna zaniedbane - brud, smród i ubóstwo. Nie chcę generalizować, ale

17 Radziecka ciężarówka wyprodukowana w Zakładach Imienia Stalina.

praktycznie stanowi to pewną regułę: czym większa miejscowość, czym więcej w niej zakładów produkcyjnych, tym ohydniej wszystko wygląda. Gdzie spojrzeć, tam pełno porzuconych fabryk, magazynów, kolchozów i baz transportowych. Zapomnianych wielkich ciężarówek, niepotrzebnych nikomu traktorów, kombajnów i dźwigów. Pośród tego bałaganu stoją rzędy jednakowych, bezdusznych domów, mieszkańcy obojętni już na wszystko, przyzwyczajeni do tego wszechobecnego brudu.

Za Zigałowem Lena jeszcze przez parę kilometrów płynie prostym odcinkiem. Na brzegach pomiędzy drzewami pojawiają się znaki nawigacyjne. Niewielkie białe tablice stoją parami wskazując tor wodny pływającym tu jednostkom. Już wiem, że pożytek z nich jest niewielki - potrzebne są tylko przez jeden tydzień w roku. Niemniej stoją dumnie, informując, że od Zigałowa rzeka jest żeglowna...

Od czasu do czasu widzę popularne na Syberii zimownie, czyli drewniane domki myśliwskie. Mam ochotę zanocować w takim, ale kiedy je mijam, jest przeważnie zbyt wczesna pora aby już zakładać obóz. - Płynę więc dalej. Domki te to nie jakiś tam sobie wymysł wygodnych myśliwych, tylko wymóg, tak potrzebny jak ciepłe ubranie w zimie. Niejednemu już uratowały życie. Na Syberii, gdzie przez osiem miesięcy w roku króluje ostra zima, gdzie temperatura spada grubo poniżej czterdziestu stopni, dłuższe przebywanie w tajdze bez schronienia skończyłoby się tragicznie - ludzie zamarzaliby na śmierć. W zimowniach nie ma hotelowych wygod; jest duży żelazny lub gliniany piec, drewniany stół i prycza. Wyposażenie nader skromne. Lecz każdy, kto wejdzie do środka, może liczyć na to, że zawsze znajdzie suche zapalki, drewno, nierzadko machorkę, a nawet coś do jedzenia. Niepisany kodeks syberyjski stanowi, że każdy, kto z zimowni korzysta, sprzęta po sobie, gromadzi opał dla innych, pozostawia coś od siebie - nie wiadomo bowiem, kto, kiedy i w jakim stanie tu zawita. Może się zdarzyć, że ktoś ostatkiem sił się tu dowlecze, a wtedy jedna pozostawiona przez ciebie zapalka stanowić może o życiu. Zimownie są również najlepszymi miejscami, gdzie można zostawić wiadomość o sobie: kiedy nocowałem, dokąd i po co poszedłem, w jakim kierunku się oddaliłem - w tajdze obowiązuje ochrona danych osobowych...

Dzisiejszy dzień jest słoneczny i bezwietrzny. Płynę przez obudzoną wiosennym słońcem tajgę. Wkoło koncert ptasich głosów, słyhać strumienie wpadające do rzeki. Tysiące nowych dźwięków i zapachów wypełnia powietrze - tak chyba wygląda biblijny raj. Coś chwyta człowieka za serce, gdy patrzy na otaczającą dziewiczą naturę. W takich spokojnych dniach człowiek się odpręża, zaczyna myśleć o bliskich, wpada w melancholię.

Jak już wspominałem na samym początku, każda większa podróż oznacza filozofię życia; jest jakby soczewką, w której ogniskują się nasze marzenia, potrzeby i niepokoje.

Niekonwencjonalne wypadki i związane z tym niewygody zwiększają dystans do wszelakich problemów, do nic nie znaczących pierdoł, jakże Zaprzatających nasze codzienne życie. Bycie w pewnego rodzaju niebezpieczeństwie, które stwarza podróż, wyostrza zmysły, powodując tym samym nienasycenie egzystencji i co za tym idzie - głód *życia*. Tego chyba najbardziej podróżnikowi potrzeba - właśnie tego głodu. A tak na marginesie, każdy globtroter jest po trosze ; psychopata, lecz nie w ujemnym znaczeniu tego słowa, bowiem słowo psychopata niekoniecznie musi oznaczać degradację psychiczną czy kompletne zwichnięcie (charakteru. Podróżnicy są najmniej szkodliwymi psychopatami, społeczeństwo na ich bzikach nic nie traci, wręcz przeciwnie - zyskuje; przecież tylko dzięki nim mamy w Europie kawę i herbatę...

Ludzie i narody tracą na innych postaciach; tych gładkich, chodzących w ładnie skrojonych garniturach. Od tych postaci nie wymaga się zbytnej fachowości - wystarcza, aby potrafiły ładnie mówić i wiele obiecywać. Chodzi Oczywiście o pseudopolityków. Ludzie ci co innego mówią, co innego robią, a tak w ogóle to załatwiają swoje interesy zasłaniając się szczytnymi ideami. Tracą na nich ludzie pod każdą szerokością geograficzną. Pociągają tylko to, że z roku na rok coraz ciężiej jest tym politykom dochodzić do władzy. Dziś bowiem aby zdobyć sobie wyborców, nie wystarczy tylko znać ich oczekiwania, trzeba jeszcze umieć je spełnić, a do tego potrzebny jest już rozum. Dobrze wiemy, że nie wszyscy uśmiechający się politycy go mają.

Powszechnie wiadomo, że na świecie brakuje już bogactw naturalnych, brakuje świeżego powietrza, ale za to nie brakuje idiotów. U nas ich dostatek... Idiotyzm od zarania dziejów towarzyszy ludzkości. W naszej rzeczywistości jest on wszechobecny: w rodzinie, w urzędach, w zakładach pracy, w sklepach, na ulicy, w mediach itd. Jednak najbardziej i najefektowniej uzewnętrznia się on na arenie politycznej. Cechą charakterystyczną idioty - polityka jest niezdolność do czynu, paraliżująca działanie nadmiarem refleksji oraz uczucie władzy i pseudomądrości, blokujących mu skutecznie rozum. Jednak największą głupotą, jaka może w polityku tkwić, to jego przeświadczenie o własnej doskonałości. Cechuje to przeważnie polityków młodych, tych, którzy do niedawna w ogóle nie wiedzieli co to jest polityka. Jeśli porównamy pracę np. inżyniera czy satyryka z pracą polityka, uderzy nas przede wszystkim brak kryteriów. Od satyryka, który napisał utwór nie śmieszący, nie zechcemy słuchać wyjaśnień natury historiozoficznej. Inżynier nie może się tłumaczyć, że most przez niego zbudowany zawalił się z powodu „racji stanu” czy „tajemnicy państwowej”. Zastanówmy się więc, jakie są kwalifikacje polityka i jaki jest sprawdzian jego kompetencji.

Powierzając motorniczemu tramwaj, badamy, czy nie jest daltonistą. Lekarz musi

zdawać egzamin przed wybitnymi fachowcami nim dane mu będzie prawo leczenia. Pilot samolotowy co pół roku staje przed psychiatrą, który bada, czy człowiek, któremu powierza się życie innych ludzi, przez ostatnie sześć miesięcy nie zidiociał. Dlaczego więc losy narodów powierzane są jednostkom czy grupom ludzi, którzy demagogią, sprytem i wolą władania doszli do znaczenia politycznego? Skoro jednak szczycimy się już wolnością i demokracją, warto może się pokusić i zażądać, aby ludzie, których wybieramy, ujawnili nam stan swojego ducha psychicznego.

Oj, co by się wtedy okazało! Ano to, że polityk P jest obciążony dziedzicznie, a co za tym idzie, delikatnie mówiąc, niezrównoważony psychicznie, polityk Y myślał, że Picasso to włoska restauracja, a polityk X posiada niecelujący wynik testu na prawdomówność oraz poważne zaburzenia osobowościowe. Drobne na pozór badanka, a jaka jasność sprawy dla wyborców. Może gdyby takie badania zastosowano przed laty, nie doszliby do władzy panowie Hitler i Stalin. Może w dzisiejszych już czasach skończyłoby się odwieczne szukanie kozłów ofiarnych, aby w okresach niepowodzeń gospodarczych lub politycznych odciążyć własną odpowiedzialność wskazując na imaginowanego sprawcę zła. Skończyłoby się wreszcie rozszarpywanie manekina w miejsce żywego winowajcy. Polepszyłoby się może ludziom bez domu, bez przydziału, balansującym gdzieś na krawędzi społeczeństwa, walczącym tylko o konieczne minimum egzystencji, o wewnętrzne poczucie wartości, wolności i godności, Obserwując naszą teraźniejszą rzeczywistość polityczną, aż się nie chce wierzyć, że politycy, którzy pierwotnie nie byli wrogami, stali się nimi dopiero, kiedy dano im władzę do ręki. Jestem pewien - władza zmusza do wojny.

Wydawałoby się, że historia wyprowadziła nas już z okresu wielkich polityków, których wielkość oznaczała rozmiar klęsk i idiotyzmu. Niejedno już pokolenie było świadkami i ofiarami niedorozwoju i głupoty polityków.

Nasuwa się pytanie - czy przyjdzie kiedykolwiek taki dzień, kiedy porażki te uświadomią rządzącym własne ograniczenia? Osobiście w to nie wierzę. Rozumu nie można zastąpić patriotycznymi hasłami i niespełnionymi obietnicami, przeciętnemu człowiekowi zagwarantować należy przynajmniej to, aby chociażby w minimalnym stopniu orientował się, czy żyje w piekle, czy też w krainie śmiechu. Nie jest sztuką opowiedzieć o wodzie na podstawie opisu pustyni. Od las samych zależy, aby w czasach rakiet międzyplanetarnych i komputerów przestali nami rządzić średniowieczni inkwizytorzy, znachorzy, wróżbici i szamani polityczni. Może kiedyś wreszcie również w polityce zawita rozum kontrolujący czyn - wiem, że to pobożne życzenie. Patrząc na rodzimą scenę polityczną dalekiej Syberii, z gumowego pontonu, patrzę przez pryzmat swoich odczuć i doświadczeń, i dochodzę do wniosku, że umysły Polaków są zawsze w stanie furii. Wielki

intelekt mojej nacji marnotrawi się w ohydnych i głupich kłótniach drugorzędnych polityków i trzeciorzędnych teologów. Ciekawe gdzie oni wyszukują te wszystkie obrzydliwości? Scena polityczna, która powinna składać się z mężów stanu, przetkana jest gęsto nalotem drobnych miernot, węszących i w ogólnym harmidrze, jakiegoś ruchu dla siebie. Gdy wspomnę o tym, dławi mnie straszliwy smród, ohydny, cierpki i tłusty, mdlący, niemal dotykany fetor zgnilizny... Jakże pasują do tego stwierdzenia słowa piosenki:... z daleka od debili, którzy zamieniają Polskę w kicz. Rządzą nami fanatycy, których najgorszą wadą jest szczerłość, a rozmowy z niektórymi z nich ujawniają przepaście, jakich żadna literatura nie ośmieliła się zgłębić. Czy w porównaniu z tym wszystkim zdziwaczały trochę podróżnik może zaszkodzić światu?

Ja - choć mam zdecydowaną odrazę w stosunku do praktyk epoki, w której wypadło mi żyć - jestem dalej poczciwym, sentymentalnym, naiwnym głupkiem, wierzącym, że za dobro zostanie nam odplacone dobrem, ale gdybym miał się drugi raz narodzić, postępowałbym chyba tak samo - tak samo wierzyłbym, że za dobro zostanie odplacone dobrem. Człowiek musi być po trosze naiwny i szalony, inaczej nigdy nie będzie wolny. Ja wolność cenię ponad wszystko i dlatego nie odczuwam obawy przed stwierdzeniami i słowami, które cokolwiek stwierdzają - a w ogóle czyż nieciekawe ma przemyślenia głodny człowiek na pontonie ?...

Wreszcie spotykam pierwszych ludzi na wodzie. Płyną drewnianą motorową łodzią do Zigałowa, gdzie znajduje się jedyny w okolicy sklep. Stajemy burta w burte. Kiedy podczas rozmowy wynika, że nie posiadając broni nocuję w tajdze - żegnają się znakiem prawosławnego krzyża...

- Przecież tajga pełna niedźwiedzia - przekonują. Według nich moje samotne włóczenie się po syberyjskiej kniei jest wręcz samobójstwem, gdyż niedźwiedzie o tej porze roku są szczególnie agresywne. Głód sprawia, że nie boją się nawet ognia, a co dopiero człowieka. Podobno już w tym roku w okolicach Zigałowa zanotowano parę tragicznych spotkań. Przy rozstaniu radzą mi nocować tylko w wioskach i czym prędzej zrezygnować z tej niebezpiecznej wyprawy.

- Nawet my miejscowi nie chodzimy samotnie w tajgę, mamy karabiny i towarzyszy nam zawsze pies - krzyczeli jeszcze, oddalając się w przeciwnym kierunku.

- Dobre sobie - pomyślałem - zrezygnować z wyprawy - jakie to proste - zrezygnować! Sytuacja jednak wyglądała wręcz odwrotnie - właśnie aby przeżyć musiałem płynąć dalej. Co się zaś tyczy niedźwiedzi, to nie bardzo dałem wiarę tym opowieściom - zobaczyli obcego i postanowili go postraszyć - pomyślałem.

Rzeka skręcała ostrym zakolem ku słońcu, które właśnie kryło się za pobliskimi

wzgórzami. Rzadka mgielka zaczęła spowijać rzekę. Na górze królowało jeszcze światło, w dole tuż przy wodzie nastawał już mrok. Woda zmieniła barwę - wyglądała teraz jak niebieska hartowana stal.

Dzisiaj postanawiam wcześniej rozbić obóz, gdyż ostatnie doświadczenia dowiodły, że płynięcie do nastania całkowitej ciemności nic nie daje. Rozglądam się więc bacznie na lewo i prawo w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Nie jest to wcale proste; brzeg jest albo kamienisty, albo stromy, albo grząski - szukam więc dalej. Po chwili ciemnieje już na dobre. W oddali tuż nad czubkami drzew na siarczonym tle widać kolumny zbitych chmur, gdzieś jeszcze światło przebija się przez korony drzew, tworząc na wodzie majestatyczną plątaninę cieni.

Wreszcie znajduję odpowiednie miejsce; trawiasty nie za wysoki brzeg, na pierwszy rzut oka w miarę suchy. Wyładowuję z łódki namiot, śpiwór oraz torbę z resztkami jedzenia. Dziś nie muszę się spieszyć, bez pośpiechu więc rozpalam ogień, wstawiam wodę, a w tym czasie rozbijam namiot. Tajga szykuje się powoli do snu, ale wieczór wcale nie zapowiada się spokojny.

Gdzieś w pobliskich zaroślach usadowił się słowik. Nie zrażony moją obecnością, jakby na złość zaczął głośniej wyśpiewywać swe miłosne pieśni. Opodal na brzegu uwijały się piszczące kuliki. Hałaśliwe te ptaszki odbywały chyba jakieś gody, gdyż bardzo śmiesznie się zachowywały. Najpierw jak szalone biegały po kamienistym brzegu, później niespodziewanie się zatrzymywały, po czym równo, jakby w rytm jakiejś muzyki, kiwały głowami do samej ziemi. Wyglądało to tak, jak gdyby komuś się kłaniały. Trwało to chwilę, po czym znów biegały, piszczały, przystawały i ponownie się kłaniały.

Daleko ponad tajgą świsnęła słonka. Poświst powtórzył się bliżej, jednocześnie do mych uszu dobiegło chrapnięcie. Dziwne, że ten o wiele przecież mocniejszy głos słyhać było dopiero z tak niewielkiej odległości. Następna słonka poczwórnym chrapnięciem zaznaczyła swój powietrzny szlak. Przez moment wydawało mi się, że ten długodzioby ptak leci prosto na mnie. Płynął lotem nierównym, trochę swoim, trochę jak nietoperz, trochę jak motyl, czyli po prostu tak jak lata słonka...

Wieczorem, jakby na deser, przepiękny zachód słońca. Słoneczna kula długo wisiała nad horyzontem. Wreszcie, zdecydowawszy się, szybko stoczyła się za kraniec ziemi, pozostawiając po sobie pęk złocistych, rozpiętych jak wachlarz promieni, które upodobniły niebo do olbrzymiej muszli. Słońce staczało się coraz niżej i niebo stawało się coraz ciemniejsze; pojawiły się pierwsze kropki gwiazd. Lecz wyraźnie zarysowana muszla wciąż jeszcze wisiała nad światem, później drgnęła, zatrzepotała, rozbłysła od wewnątrz delikatnym różowym światłem i łagodnie zapadła się, unosząc za sobą ostatnie chwile

kończącego się dnia. Nastąpiła noc i wszystko wkoło stało się niewidoczne, tylko blask ognia jaśniał na brzegu. Hałaśliwe kuliki nieco się uspokoiły, ale słowik nieprzerwanie snuł swą miłosną opowieść.

Siedziałem przy ognisku i wpatrywałem się w ogień. Pomyślałem, że ma on wielką czarodziejską moc, która każe wszystkim wpatrywać się weń. Ogień na Syberii ma szczególne miejsce i znaczenie - to wręcz kult.

Przed czterema laty, kiedy przemierzałem Syberię, w dalekiej Jakucji spotkałem dwóch poszukiwaczy złota. Zgodnie z obyczajem zaprosiłem napotkanych mężczyzn na wspólną wieczerzę. Rozpaliliśmy ognisko i jak zwykle w takich sytuacjach rozlaliśmy do metalowych kubków pół litra wódki. Kiedy usiedliśmy przy ognisku i już zabieraliśmy się do kolacji, wtedy obaj jak na komendę wylali do ogniska połowę rozlanej do naczyń wódki. Widok ten nie wróżył nic dobrego - Rosjanin wylewający wódkę... Czy aby czymś ich nie obraziłem? Nic jednak się nie stało. Rosjanie, jak gdyby nic, zgodnie wypili to co pozostało i przekąsili chlebem, który najpierw powąchali. W chwilę później w ognisku wyładował okazały kawał mięsa. No teraz to już się zacznie - pomyślałem. Lecz również nic się nie wydarzyło. Rosjanie pozostałe mięso nadziali na patyki i piekli obracając nad ogniem. Wtedy to dowiedziałem się o starym syberyjskim zwyczaju dzielenia się z ogniem.

- Ogień daje tobie ciepło - powiadali. - Na ogniu przyrządzasz swoje potrawy, ogień chroni cię też przed dzikimi zwierzętami. Ogień w tajdze jest twoim największym sprzymierzeńcem. Dlatego należy o niego dbać i go szanować. Żaden człowiek tajgi nie rozpocznie jedzenia, zanim się z ogniem nie podzieli. Tak jest tu od wieków - mówili.

Później opowiadali o zwyczaju zabezpieczania ognia przez odchodzących z postojów, tak aby po kilku dniach, kiedy powrócą, mogli ponownie go rozniecić.

- To nieważne, że masz dużo hubki i zapalek przy sobie - upominali. - Bywa tak, że możesz wszystko stracić, a wracając na ostatnie miejsce postoju wskrzesisz ponownie życiodajny płomień.

- Może być też, że inny człowiek, potrzebujący na tym odludziu pomocy, trafi na twoje ostatnie miejsce postoju i to mu uratuje życie - mówili z szacunkiem i powagą.

Obiecałem im wtedy, że podporządkuję się temu zwyczajowi, że od tej chwili będzie to dla mnie jak amen w pacierzu. I stało się - od tamtego czasu zawsze dzielę się z ogniem.

Było już grubo po północy kiedy położyłem się w namiocie. Zасыpiając myślałem jeszcze, że już niedługo nie będzie czym dzielić się z ogniem... Głodny będzie ogień, głodny będę ja...

Słowik, który przez całą noc siedział na pobliskim drzewie, wypełniając swym śpiewem czyste, chłodne powietrze, odleciał, gdy nastał świt. Zaległa cisza równie głęboka i

tajemnicza jak tajga, która rozciągała się tysiące kilometrów po obydwu stronach rzeki. Wczorajsze cienie na brzegu zaczęły znowu skupiać się pod ścianą lasu i wokół drzew, rozpościerając na ziemi koronę z gałęzi i postrzępione czubki drzew.

W nocy zmarzłem okrutnie. Promieniujący od ziemi chłód był tak silny, że nie pomogła mi nawet rozłożona pod śpiworem kufajka. Lecz to nie wina kufajki, tylko mojego wyposażenia, a właściwie niedomówienia - w myśl zasady, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada - przed ekspedycją brałem od ofiarodawców to, co mi dawali i w ten sposób stałem się właścicielem śpiwora o nazwie „Sahara”, który był przeznaczony dla turystów udających się na gorącą pustynię...

Podobnie konstrukcja ofiarowanego mi namiotu świadczyła o tym, że projektowano go z myślą o upojnych, upalnych nocach. Tak więc kiedy w nocy wiało, a wiało dosyć często, czułem się jakbym spał w tunelu aerodynamicznym, a nie w namiocie. W praktyce oznaczało to ciągły, bezpośredni kontakt z przyrodą i klimatem syberyjskim.

Dzisiaj na śniadanie zjadłem ostatnią chemiczną zupkę. I tak na długo wystarczyły. Teraz do jedzenia pozostała mi tylko resztkę chleba, który otrzymałem w Petrowie oraz kilka kilogramów orzeszków cedrowych, które od początku postanowiłem za wszelką cenę dowieźć do Polski, aby wyhodować z nich sadzonki. Biorąc pod uwagę położenie geograficzne oraz porę roku, naprawdę miałem mało żywności, lecz na razie nie zaprzątałem sobie tym głowy. Szczęśliwy byłem, że płynę, że nie wieje paskudny północny wiatr.

Jest zimny ranek. Zauważyłem, że znalazłem się w jakimś chłodniejszym rejonie, gdyż na brzegach leży jeszcze sporo zeszłorocznego śniegu. Brrr... Albo mi się wydaje, albo naprawdę ciągnie od niego chłodem. Po jakimś czasie wewnątrz tajgi wypełnia powolutku perłowa jasność. Bagienne niewysokie sosenki wyłaniają się leniwie z mroku całe wilgotne, matowosrebrzyste. Słońce przedziera się przez unoszącą się nad wodą mgiełkę i złoci wszystko dookoła. Wreszcie i na mnie padają pierwsze promienie ciepła. Czuć duszącą wilgoć odtajanych drzew, słyszę zgiełkliwy wrzask przebudzonych ptaków.

Płynę powolutku, gdyż nurt nie jest za silny, ważne jednak, że w ogóle jest; nie muszę więc maczać wiosł w wodzie. Brzeg wolno się przesuwa, z przyjemnością więc wygrzewam się w porannym słońcu, z ciekawością obserwuję otoczenie. Cisza panuje tak przeogromna, że słyhać tykanie zegarka, uderzenie pulsu w skroniach, nie mówiąc już o biciu serca, które zdaje się rozbrzmiewa echem wkoło... Zresztą możliwe, że są to wszystko urojenia akustyczne, a w uszach po prostu dźwięczy cisza.

Po chwili jednak dobiega z oddali jakiś wyraźny dźwięk. Powtarza się, milknie, znów powraca uparcie. Co to u licha? Wstrzymuję oddech i nad słuchuję. Kiedy bliżej

podpływam, nie mam już wątpliwości - daleko przede mną, w głębi lasu tokuje głuszec. W jednej sekundzie odzywa się we mnie instynkt łowiecki - ale okazja, muszę go podejść!

Natychmiast kieruję się w stronę brzegu i po chwili najciszej jak tylko potrafię ruszam w kierunku odzywającego się od czasu do czasu głosu.

Idę powoli i ostrożnie na głos... Odległość jest jeszcze znaczna, że można podchodzić bez pieśni... Zresztą mokry, topniejący śnieg głuży kroki. Wiem, że zwilgotniałe trawy nawet nie zaszeleszczą, przemoknięte na wylot gałązki nie zdradzą trzaskiem stąpanie skradającego się człowieka... Pieśń głuźca słyhać już teraz zupełnie wyraźnie. Stary to musi być gracz, ledwo skończy jedną zwrotkę, już zaczyna następną. Kłapie dźwięcznie i dobitnie, treluje z zajadłym pośpiechem, strzela głośnym korkiem, aby zakończyć zgrzytliwą nawałą dźwięków niepodobną do żadnych innych, zbyt trudnych do powtórzenia - głuchą pieśnią.

Wykorzystując sztukę ptaka, którą przejawia on w czasie tej ostatniej zwrotki - szlifowania, posuwam się krótkimi cichymi susami naprzód. Jeszcze kilka minut i jestem już blisko tokującego koguta.

Pieśń brzmi teraz ostro, wyraźnie wypełnia dźwiękiem okoliczną tajgę. Ale co to, gdzie się podział grający głuszec? Bezradnie rozglądam się wkoło, przeglądam karłowate sosenki kolejno jedna po drugiej - przecież nie sposób przegapić w rzadkich gałęziach tak wielkiego ptaka. Patrzą, patrzą - głuźca ani śladu.

W czasie następnej pieśni decyduję się przesunąć o dwa kroki w bok. Może stamtąd widoczność będzie lepsza... Teraz głuźca korkuje. Daję więc susa i równocześnie zamieram w bezruchu, kamienieję... Tokujący ptak znajduje się teraz w odległości zaledwie piętnastu metrów. Gra na ziemi. Jakże mogłem nie dostrzec czarnej sylwetki tak wyraźnie odcinającej się od bieli zeszłorocznego śniegu.

Stoję w miejscu zupełnie odkrytym, ale głuźca jest tak roztokowany, że nie ludzi mnie zupełnie i śpiewa dalej. Drobi przy tym w miejscu, przesuwa się dostojnie wśród kęp, tnie śnieg rozczapierzonymi na bok skrzydłami. Szyję ma zgrubiałą, brodę nastroszoną, wachlarz rozwiera półkuliście na całą szerokość.

Teraz dopiero z bliska przypatruję się dokładnie całemu przedstawieniu. Wydawać by się mogło, że suche kastanietowe dźwięki ptak wydaje, uderzając dolną częścią potężnego dzioba o górną. Tymczasem tak nie jest. Głuźca, kłapiąc, otwiera orli, żółtawy dziób szeroko i ruszając zabawnie grdyką, przelyka jakby niewidoczne zbyt wielkie jagody.

Wtem co to? - nieopodal zaszumiały skrzydła, miękko, pieszczotliwie odezwała się kura. Z łopotem usiadła na sosence strącając zeń deszcz kropli wody. Kogut podskoczył, trzasnął gromko skrzydłami, a potem zaczął biegać gorączkowo, pośpiesznie zataczając

maleńkie koła i ósemki. Klapał przy tym i klapał nie kończąc pieśni. Pomyślałem, że teraz bez problemu rąbnąłbym go kijaszkiem po łbie, ale wnet się opanowałem. Zbyt oryginalny i niecodzienny jest widok tokującego ptaka. Szkoda byłoby przerwać uciészne i pełne uroku zaloty koguta i kury. Zresztą nie umierałem jeszcze z głodu... Oczekiwałem w bezruchu co będzie dalej. Raptem głuszec poderwał się z łomotem, naleciał wprost na kurę, niemal stracił ją z gałęzi. Oba ptaki poszybowały jeden za drugim, wzbiły się zgodnie nad tajgę, przepadły w zamglonej oddali. No i śniadanko odleciało - pomyślałem.

Dziś około południa spodziewam się dopłynąć do miejscowości Ust - Iłga, gdzie do Leny wpada dosyć duża rzeczka, a może nawet rzeka, trudno to mi teraz określić na podstawie mapy. Wiem tylko, że ów ciek nazywa się Iłga.

Na Syberii jest ciekawa reguła, polegająca na tym, że miejscowości leżące w pobliżu ujścia rzek mają w nazwie nazwę wpadającej rzeki. I tak np. Irkuck leży koło ujścia Irkutu, Kireńsk koło ujścia Kirengi, Ust - Kut koło ujścia Kuty itd. Nawet w nazwie bardzo małej miejscowości jak Ust - Iłga można odczytać, że leży ona w pobliżu ujścia Iłgi.

W praktyce oznacza to, że na Syberii każda miejscowość rozpoczynająca się od wyrazu „Ust” leży nad rzeką lub chociażby rzeczka. Widać, że w przeszłości nie zaprzętało sobie specjalnie głowy nadawaniem wyszukanych nazw.

Zgodnie z założeniem, około południa wyłaniają się zza zakrętu białe eternitowe dachy - to Ust - Iłga. Sięgam po mapę i ze zdziwieniem stwierdzam, że przez ostatnią dobę pokonałem ponad pięćdziesiąt kilometrów. Wcale niezły wynik - wręcz rekord.

Dotychczas udawało mi się przepłynąć nie więcej jak czterdzieści. To prawda, że nabrałem już nawyków, że potrafię już czytać rzekę. Do tego znajdujące się na brzegach znaki nawigacyjne doskonale pomagają w żegludze, gdyż na ich podstawie wiem, gdzie znajduje się główny nurt, a gdzie płycizny. Wszystko to sprawia, że płynę szybciej.

Miejscowość Ust - Iłga leży po lewej stronie jakby na rozwidleniu rzek, nieco z dala od koryta Leny. Nad skupiskiem jasnych dachów wyraźnie wyróżnia się złota kopuła cerkwi. To dowód, że wieś jest bardzo stara. Tuż przed wioską do Leny wpada Iłga, takiej samej wielkości rzeka, z tym, że płynąca jakby szybciej. Można by więc rzec, że wieś leży nie nad Leną, tylko nad Iłgą. Wieś z daleka robi wrażenie zadbanej, widać też, że wcale nie jest tu aż tak biednie. Na dużej równinie pomiędzy dwoma rzekami pasie się okazałe stado krów, a nieco dalej widać biegający tabun koni. Dalekie odgłosy jeżdżących traktorów świadczą, że wieś żyje i ma się dobrze - widocznie jest tu dobry gospodarz.

Och, jak przyjemnie choć z daleka popatrzeć na domy - żal mi trochę, że znów oddalam się od ludzi.

Dzisiaj jest pierwszy od wielu dni słoneczny dzień. Opanował mnie w związku z tym

bardzo pogodny nastrój. Świat zupełnie inaczej wygląda w czystych, jasnych promieniach słońca. Tego samego zdania są też ptaki, szczególnie kukułki i dzięcioły, gdyż je najczęściej słychać. Kukułki praktycznie kukają przez cały Czas, staram się je dostrzec, ale pozostają niewidoczne, wiem jednak, że musi być ich bardzo dużo, gdyż naprawdę bez przerwy kukają.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z krukami i jastrzębiami. Ptaki te praktycznie zawsze są widoczne. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie pałają do siebie miłością. Dzisiaj byłem świadkiem swoistej walki powietrznej, w której brały udział dwa kruki i jastrząb. Nie wiem o co poszło, ale widać było, że jastrząb miał na coś ochotę, jednak czarne ptaki były wyraźnie temu przeciwnie. Walka toczyła się dość długo, ptaki głośno wrzeszczały i wzajemnie się atakowały, robiły przy tym najrozmaitsze ewolucje podobne do figur akrobacji samolotowej. Nie poznałem jednak finału sporu, gdyż ptaki w ferworze walki poleciały w górę rzeki.

Jakże cudownie jest obserwować niezmaconą niczym przyrodę - pomyśleć, że wystarczy odrobina dyskrekcji, aby to wszystko zobaczyć.

Ciekawostką jest, że wszystkie ptaki zamieszkujące Syberię są nieco odmienne od swych krewnych zamieszkujących na przykład Europę. Kruk mieszkający na Syberii ma inne zwyczaje od europejskiego, do tego różni się pewnymi cechami w budowie ciała i upierzenia. Również jego psychika jest odmienna. Kruki syberyjskie są bardziej agresywne od swych europejskich pobratymców - z upodobaniem na przykład atakują psy i dzieci, co zresztą często w okolicach zamieszkałych przez ludzi przesądza o ich losie.

Po południu minąłem niewielką, chyba niezamieszkaną miejscowość Mołodieźnyj. Mała miejscina, której ze względu na wysoki brzeg nie sposób było zobaczyć z rzeki. Nieco dalej za wioską, po prawej stronie zauważyłem szereg dziwnych budowli. Kiedy podpłynąłem bliżej, ujrzałem rzędy drewnianych baraków stojących na dużej leśnej polanie. Od razu domyśliłem się cóż to za obiekty - przed sobą miałem najprawdziwszy sowiecki łagier. Ponieważ poblizu baraków nie zauważyłem żadnego ruchu, z ulgą stwierdziłem, że jest niezamieszkały...

Nieco dalej na brzegu zobaczyłem zbudowaną z długich bali prowizoryczną keję, przy której stał przechylony, na wpół zatopiony, służący do transportu więźniów statek. Ktoś spyta - skąd ta pewność, że statek służył do transportu więźniów? Zaraz tłumaczę: jednostka, a raczej długa płaskodenna barka, nie posiadała bowiem ścian i dachu, a wszystko co wystawało ponad burty, wykonane zostało z grubej, żelaznej kraty. W środku świeciły pustką zniszczone rzędy drewnianych ławek, których ustawienie świadczyło o tym, że więźniowie zmuszeni byli siedzieć jeden za drugim - tak jak siedzi się w tramwaju.

Domyśliłem się, że łagier przestał istnieć prawdopodobnie latem, było więc za płytko, aby łajba mogła na powrót spłynąć w dół rzeki. W ten sposób nabrało sensu powiedzenie - nosił wilk razy kilka...

Momentalnie zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w jednym z miejsc, o których dotychczas tylko czytałem. Ciekaw tego co zobaczę, bez namysłu skierowałem ponton do brzegu.

Syberia to nie tylko przepiękne krajobrazy i miejsca, gdzie nie stanęła ludzka noga. To również ziemia niesławnych zdarzeń. Splotła się z dziejami wielu narodów, nie tylko w historycznym okresie, kiedy za caratu zsyłano do ciężkich robót i na tzw. zsyłkę, lecz również wiele lat później, kiedy już świat nie wierzył lub nie chciał wierzyć w możliwość przesiedlenia całych narodów. Przeklęta przez miliony ludzi, których wieziono pod strażą do odległych miejsc zsyłki, gdzie w strasznych warunkach żyli w ziemiankach, lepiankach, barakach, wyniszczani głodem, chłodem i katorżniczą pracą. Wielu straciło życie na „niehumanitarnej ziemi” i większość z nich do dziś nie ma swojego nagrobka na żadnym cmentarzu. Syberia to wielka mapa bólu. Na przestrzeni tysięcy kilometrów od Uralu po Cieśninę Beringa jeszcze do niedawna były miejsca gęsto usiane charakterystycznymi drewnianymi wieżyczkami, wokół których rozpościerały się tereny ogrodzone drutem kolczastym.

Wszedłem pomiędzy szpecące krajobraz ruiny obozowych baraków. Niektóre z nich zachowały się w bardzo dobrym stanie. Nieco dalej zauważyłem ziemianki. Wejście do każdej z nich zamykała żelazna krata. Zajrzałem do środka. W mroku zauważyłem rzędy piętrowych drewnianych pryczy - więc tutaj spali ludzie... Kiedy wzrok przyzwyczał się do panujących ciemności, zwróciłem uwagę na wykonane z okorowanych pni masywne stropy. Wyglądały tak świeżo jakby wczoraj je tu postawiono - ociekały jeszcze żywicą. Świadczyło to niezbicie, że ziemianki wykopano nie aż tak dawno. Później dowiedziałem się, że istotnie łagier o nazwie Gołodnyj Mys funkcjonował jeszcze w latach siedemdziesiątych.

Nietrudno domyślić się przeznaczenia poszczególnych budowli. Budynek komendantury, pozostałości agregatu prądotwórczego, tartak, magazyny, baraki mieszkalne, wszędzie duże ilości złomu, części od jakichś maszyn. Po drugiej stronie jakieś sztolnie - pewnie coś tutaj też wydobywano. Wkoło, niczym pomniki ludzkiego okrucieństwa, sterczą w tajdze pozostałości obozowego ogrodzenia. Dla przypadkowego obserwatora bardzo dziwnie musi wyglądać drut kolczasty wkomponowany w potężną ścianę bezkresnej tajgi. Ale z drugiej strony, czy był tu kiedykolwiek przypadkowy obserwator?

Dość długo szwendałem się po łagrze, robiłem fotografie, myślałem o ludziach,

którzy tu przebywali. Niektórzy, ci najbardziej niepewni jutra, znaczyli swoją obecność - na drewnianych belach wyrte daty, inicjały, życzenia...

Pomyślałem, że nieraz snuł się tu smutny dym nad tajgą. Choć dziś trawą porosły już ślady życia, to czuć było tu jeszcze ludzką pamięć, pamięć ludzkich istnień.

Kiedy odpływałem, miałem mieszane uczucia. Jeszcze wiele dni później, patrząc na wysokie, porośnięte tajgą góry, rozmyślałem, że te same góry i tę samą tajgę zza krat oglądali płynący na zsyłkę więźniowie. Ciekawe o czym myśleli...

Obecnie w Polsce dużo mówi się o zbrodniach stalinowskich. Zgadzam się z tym, trzeba o tym mówić, trzeba wszystkim na świecie pokazać do czego zdolny jest totalitaryzm i kretynizm polityków. Niech będzie to przestroga i zarazem nauką dla wszystkich narodów, aby teraz i w przyszłości z wielką rozważą wybierali swych przywódców. Niech jednak emocje nie górują nad prawdą. Jest pewna grupa pewnych polityków, która poniesiona falą idiotyzmu udowadnia niegłupiemu przecież narodowi polskiemu, że łagry sowieckie były o wiele gorsze od hitlerowskich obozów koncentracyjnych!

Urodziłem się dziesięć lat po wojnie więc nie miałem możliwości bycia więźniem ani w jednych, ani w drugich. Co prawda do mojego przyjścia na świat po części przyczynił się Adolf Hitler, gdyż to za jego sprawą poznali się moi rodzice. Oboje bowiem znaleźli się w tym samym obozie koncentracyjnym...

Do dziś nie wiem czy wypada panu Hitlerowi być za to wdzięcznym, mieszane mam co do tego uczucia. Jednak jeśli miałbym kierować się prawdą i tylko prawdą, to jestem mu ogromnie wdzięczny, co jednak nie znaczy, że pochwalam to co robił. Jak już wspominałem, urodziłem się w czasach kiedy sprawy te były jeszcze tematem codziennych ludzkich rozważań, dlatego też już jako dziecko wiele podsłuchałem o komorach gazowych i innych metodach uśmiercania. Moją edukację dotyczącą obozów koncentracyjnych mogę uważać za dość obszerną i dokładną, ponieważ mój bliski wuj dla odmiany przebywał w obozie sowieckim. Przeżył wiele, często o swej niedoli opowiadał, a ja z opowiadań tych już jako dziecko wiedziałem, że w łagrach sowieckich więźniowie siedzieli w nieludzkich warunkach o głodzie i chłodzie, ale nie byli katowani, nie byli uśmierceni gazem ani rozstrzeliwani.

Każdy więc rozumny człowiek przyzna, że obóz bez komór gazowych jest o wiele lepszy od tego, który ma te urządzenia. Oczywiście przyjmując, że istnieje pojęcie lepszy.

Tak czy inaczej, okres, w którym żyjemy, zostanie kiedyś przez przyszłe pokolenia nazwany okresem ironii. Nic dziwnego, że w naszych czasach ludzie tęsknią do średniowiecza, którego ideały już dawno wyśmiano i zdemaskowano, tak jak będą wyśmiane i zdemaskowane kiedyś nasze czasy i nasze ideały. Czasy, w których uczonym

głoszącym prawdę odmawia się miejsca na cmentarzu tylko dlatego, że śmieli targnąć się na świętość przesądów i zabobonów, do których przyrośliśmy nierozzerwalnie i bez których żyć nie potrafimy. Czasy, w których słowa tracą sens, stają się narzędziami zakłamania i fałszowania rzeczywistości. Wreszcie czasy, w których w polityce i kościele wartość słowa upadła do tego stopnia, że każde słowo uważane jest za pułapkę. Cóż - szlachetna porcelana i kryształy nie wydają szlachetnego dźwięku, kiedy rzuca się nimi o ścianę...

Prawie codziennie mijam brzegi usiane szczątkami ludzkich siedzisk. Ponuro sterczące ślady niespełnionych marzeń, nieudanych przedsięwzięć. Okna bez szyb, pozostałości sprzętu codziennego użytku, które nie sposób było zabrać ze sobą. Gdzieniedzie wśród rozwalonych chat widać dym; to dowód na to, że tli się jeszcze jakieś tajemnicze i mizerne życie, że snują się tam jakieś resztki tragicznego i straszego majestatu. Tu na tym bezludziu robi to niesamowicie przykre wrażenie. Jednocześnie odnoszę wrażenie, że w zgliszczach tych jeszcze teraz kręci się jakaś energetyczna siła, pamiętająca ciepło pomieszczeń, zapachy przyrządzanej strawy, radość i smutek mieszkających tu przed laty ludzi. Ciekawe kiedy i gdzie odeszli stąd ku swojej kolejnej niewiadomej? Jest jednak pewne, że w okalającej zgliszcza tajdze na zawsze zapisała się ich przeszłość.

Jestem zmuszony coraz częściej chwytać za wiosła. Rzeka miejscami rozlewa się tworząc jakby podłużne jezioro. Wystarczy więc lekki północny wiaterek, aby ponton popłynął z powrotem w górę rzeki. Nie tak wyobrażałem sobie bądź co bądź górską rzekę.

Trudy podróży stają się już namacalne. Wieczny głód, wysuszone, popękane od wiatru ręce, bóle kręgosłupa spowodowane niewygodną, siedzącą pozycją. W sumie to żadne dolegliwości, ale codzienny szesnastogodzinny pobyt w małym pontonie zaczyna być już dla mnie trochę nieprzyjemny. Coraz częściej kusi mnie, by odpocząć gdzieś na brzegu, zaleczyć odniesione rany, ale nie mogę - brak wyposażenia oraz dostatecznej ilości żywności nie pozwala mi nigdzie zatrzymać się na dłużej. Zresztą przede mną jeszcze cała Syberia - mam uzasadnione obawy, czy w ogóle zdążę dopłynąć do ujścia przed zimą.

Czasami jednak świadomie pozwalam sobie na labę. Właśnie dziś zobaczyłem liczne miejsce; zakole rzeki, piaszczysta, otoczona szumiącymi sosnami, słoneczna plaża. Pomyślałem, że jeszcze zdążę dopłynąć do końca rzeki - dzień w tę czy we w tę nie może przecież odegrać wielkiej roli - długo się nie zastanawiałem i wbrew zdrowemu rozsądkowi skierowałem łódkę do brzegu.

Położyłem się na ciepłym piasku. Leżałem kwadrans bez ruchu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a wierzchołki drzew lasu kołysały się tuż nad moją głową rytmem wolnego walca. Niebo było poza zasięgiem mego wzroku, wznosiło się daleko ode mnie, na

ziemi czuć było ciepło, szum drzew, cichy plusk wody. Przymknąłem oczy i słyszę wyraźnie jakąś muzykę, wielką orkiestrę rozpoczynającą jakąś smutną uwerturę. Coś nie brzmi i orkiestra od nowa rozpoczyna grane przed chwilą takty. Melodia się powtarza, jest bolesna i przejmująco smutna, niczym jęk tej ziemi, jej pot, krew, jęk ziemi tęsknej do światła, odkąd ziemia, ziemią, nie kończący się jęk...

Głośnie krzaaa przerywa smutną uwerturę. Budzę się z nieplanowanej drzemki i rozglądam się nieprzytomnie wkoło. Wszystko po staremu, łagodnie szumi wiosenny wiatr, gdzieś na pobliskim drzewie kłóć się kruki. Chciałem jeszcze chwile poleżeć, ale zrobiło się nieco chłodniej, słońce powoli chowało się już za korony otaczających rzekę drzew.

W pierwszym odruchu chciałem jeszcze popłynąć parę godzin, ale natychmiast zrezygnowałem z tego zamiaru - dziś odpoczywam - odpoczynek mi się należy. Ponieważ do zachodu pozostało jeszcze parę godzin, postanawiam, że dziś urządzę sobie dobre i wygodne spanie. Ostatnie noce bardzo dały mi się we znaki, chłód bijący od ziemi sprawiał, że co chwila się budziłem, w związku z czym wiecznie byłem przemarznięty i niewyspany. Dzisiaj wreszcie miało być inaczej. Wziąłem siekierę i ruszyłem między rosnące opodal krzaki. Tutaj znajdował się materiał na moje posłanie. Wyszukałem i wyciąłem około dwudziestu rozgałęzień w kształcie litery „Y”, które zaostrzyłem w dolnej części, żeby łatwo wchodziły w ziemię. Następnie wyciąłem dziesięć dwumetrowych badyli i już miałem komplet na całą konstrukcję traperskiego łóża. Teraz wbiłem rząd dziesięciu widlastych kołków, odmierzyłem dwa duże kroki i wbiłem drugi szereg przygotowanych widełek. Przestrzeń pomiędzy rzędami wysłałem grubą warstwą gałązek sosnowych i mchem, co zapewniało doskonałą izolację. Na wierzch, dokładnie w przeciwległe rozwidlenia, położyłem przygotowane drągi, w ten sposób powstało solidne i sprężyste łóżko. Teraz wypadało tylko zrobić materac z mchu, położyć go na wierzch i już można było postawić na to wszystko namiot. Mały namiot typu igloo, jaki posiadałem, idealnie nadawał się do tego, gdyż został tak fabrycznie skonstruowany, że po rozłożeniu można było go dowolnie przenosić w każde miejsce. Po niespełna godzinie dziwna budowla była już gotowa. Teraz tylko rozpaść w pobliżu wejścia ognisko i już wszystko gotowe, by w królewskim komforcie wyspać się do woli.

Kiedy wreszcie położyłem się wygodnie, pomyślałem, że tak naprawdę wcale nie jestem tu sam. Dookoła drzewa olbrzymy, widać że bożego siewu - limba, sosna, świerk, modrzew, i wiele, wiele innych. Prawdziwy leśny ocean od milionów lat rządzący się swymi prawami. W oceanie tym nic nie dzieje się bez przyczyny, nawet martwe zbutwiałe drzewostany żyją - dają bowiem schronienie wszelakiemu robactwu i wielu ptakom, którym zarazem służą za żerowisko. Widać tu też ptasie osobliwości, jak na przykład kowalik,

znany z tego, że potrafi za pomocą błota pomniejszyć do swoich rozmiarów wejście do gniazda. Ptak ten, podobnie jak dzięcioł, umie wtykać owoce w szczeliny kory, żeby dziobem wydobywać z nich nasiona. Ten ostatni korzysta z rogu obfitości jakim są dęby, dzięcioł doskonale wie, że na jednym drzewie można znaleźć do pół miliona gąsienic. Również hałaśliwa, pospolita w ogrodach sikora modraszka jest częstym gościem przybrzeżnych drzew. Jej małe piskłeta będą musiały zjeść około dziesięciu tysięcy gąsienic, zanim staną się zdolne do lotu. Ogólnie więc na bezludnym brzegu panuje niezły harmider.

Wieczorna pora to również czas żerowania wodnych zwierząt - od czasu do czasu widać je pływające i nurkujące w rzece. Po drugiej stronie w spokojnej zatoce pływają dwie wydry. Ssak ten jest żywym wskaźnikiem czystości i bogactwa środowisk wodnych. Wydra jest znakomicie przystosowana do życia w wodzie - ma jedwabiste nieprzemakalne futro, płetwowate łapy i ogon służący jednocześnie za system napędowy i ster. Jest bardzo zwinna, w pogoni za rybami potrafi pozostawać w zanurzeniu przez kilka minut. Wydra w rzece znajduje się na samym wierzchołku piramidy pokarmowej. Wybierając do jedzenia gatunki najliczniejsze w danym miejscu lub czasie, zapobiega ekspansji pewnych kategorii ryb. Wydra jest żarłoczna, ale dokonywane przez nią „spustoszenia” nie są znów tak wielkie, gdyż eliminuje ona głównie ryby drapieżne, żywiące się narybkami. Poza tym odgrywa istotną rolę sanitarną, ponieważ usuwa osobniki chore i słabe. Wydra jest niezaprzeczalnie królową syberyjskich rzek...

Leżałem i wsłuchiwałem się w cichnące z każdą chwilą dźwięki wieczoru. Po chwili przygasł ogień i wreszcie nastąpiła cicha noc, tak cicha, że tylko było słyhać odległy strumień wpadający do rzeki. Plejada gwiazd na czystym niebie i księżyc zalały tajgę odblaskiem innych światów. W fantastycznym krajobrazie wszystko zdawało się żyć inaczej, prawdziwym swoim życiem. Znikły sosny i modrzewie, drzewa stały się spójne z jednakową jedwabną księżycową rosą. Sen jak na złość nie nadchodził, wstałem więc i dołożyłem do ognia. Siedziałem wpatrzony w płomień i myślałem o życiu, o tym, że tak naprawdę jest niewesołe i do tego bardzo krótkie.

Kiedy się ponownie kładłem, na skraju olbrzymiej szarej kopuły nieba jaśniało już wąskie pasmo świtu, a nad moją głową mrugała ostatnia gwiazda. Świeże poranne powietrze napawało poczuciem rzeźkości, budziło gorące marzenia i wywoływało pragnienie śmiałych czynów. Dzieje się tak zawsze, gdy po długiej i nużącej nocy przeżywa się znów niewypowiedziany cud wczesnego poranka, cud narodzin nowego dnia.

Kiedy obudziłem się, słońce stało już wysoko na niebie. Spojrzałem na i zegarek i oniemiałem - było pół do jedenastej! Więc jest jednak dużo prawdy w przysłowiu - jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Prawda - spałem wyjątkowo długo i wyjątkowo spokojnie.

Niechętnie wygrzebałem się z ciepłego śpiwora. Niebyt długi sen sprawił, że opanowało mnie niczym nieuzasadnione lenistwo. Pomimo słońca dzień był chłodny, więc z podwójną przyjemnością rozpałem ogień. Z przykrością natomiast rozstałem się z wygodną pryczą, której nie sposób i było taskać z sobą, z drugiej strony wiedziałem, że już długo tak nie pościę, gdyż zbyt czasochłonne byłoby codzienne budowanie podobnego łoża. Zwinąłem namiot, zapakowałem wszystko do pontonu, zaparzyłem herbatę i zadowolony z życia z dymiącym kubkiem usiadłem na brzegu.

Magia samotnej włóczęgi. Nie pojmie tego ten, komu nie dane było połykanie przestrzeni w pojedynkę. To nieważne, że bez pieniędzy i żywności. Nie to jest ważne. Stwórca dał człowiekowi jedno dobrodziejstwo - samotność. Myślę, że to właśnie samotność daje wewnętrzne poczucie wolności i godności. To dzięki niej można żyć na własny rachunek, według reguł ustalonych przez siebie samego. Samotny człowiek sam stanowi o sobie, sam sobie wymierza sprawiedliwość, sam decyduje o wszystkim. Jestem pewien, że tylko dzięki samotności można opisać miłość. Człowiek ma w życiu cztery podpory: dom, w którym mieszka, pracę, którą lubi, ludzi, z którymi świętuje lub bieduje, wreszcie ziemię, na której stoi jego dom. Każda z tych rzeczy jest równie ważna. Jeżeli któraś zacznie kuleć, wali się powoli cały świat.

Tylko w oczach dziecka świat wygląda jak cudowny dar; rozświetlony, pełen życzliwości. Im jednak dalej od narodzin, tym jaśniej wschodzące słońce oświetla jego upadek i ruinę... Dlaczego tak się dzieje, zastanawiano się od zawsze i chyba jedna tylko odpowiedź jest tu trafna - bo pomieszało się dobro i zło. Dziś, niestety, dobro w czystej postaci uważane jest za słabość, zło natomiast za siłę.

Odepchnąłem się od brzegu, a szybki nurt momentalnie porwał ponton i uniósł w dół rzeki. Jak już wspomniałem, dzień jest chłodny, ale wyjątkowo piękny. Wszystko dookoła w słońcu, tylko daleko na widnokręgu ściele się jeszcze sinawa mgła - to ziemia taje po nocnym przymrozku. W świetle promieni słonecznych ożyły góry otaczające rzekę, lecz najładniejszy wydaje się pobliski skraj brzożowego lasu. Teraz konary świecą najjaśniejszą bielą. Umajone pastelową zielenią drzewa mienią się bielą, jakbym oglądał je przez filtr polaryzacyjny. Po chwili wszystko się zmienia w opałowy błękit, na początku mieniący się srebrzyście i dopiero dalej wpadający w zieleń, zaraz potem zielony ton pogłębia się i staje się niemal czarny - to słońce skryło się za chmurę. Teraz cień jak upiór biegnie wzdłuż gór otaczających rzekę, okrywa ziemię szarością, lecz po chwili cień znika, na powrót rozjaśniają się brzozy, teraz stoją prosto, niczym świąteczne chorągwie na białych drzewkach.

Zapatrzony w grę subtelnych światła i cieni przez chwilę zapominam, gdzie się

znajduję, dopiero ciemne chmury na horyzoncie na nowo uprzytomniają mi, gdzie jestem. Godzinę później w łodzi jest już pełno wody i błota, jest zimno, a co gorsza - wszystkie znaki na niebie wskazują na to, że prędko nie przestanie padać. Wcale mnie to nie przeraża - pada to pada - ostatecznie od tygodni już moknę. Jaką przyjemnością jest deszcz na wodzie, wie przeciętny wczasowicz, który wybrał się na przejażdżkę kajakiem po jeziorze, z tym tylko, że ja już od tygodni marznę i moknę. Jednak dziś mam już wszystkiego dość!

Są dni, w których każdy wędrowiec pyta sam siebie - po co to wszystko? Pytam i ja. Zastanawiam się, ile tysięcy kilometrów dzieli mnie od domu. Dziś po raz pierwszy dociera do mnie, że z tym soplem lekko przesadziłem - Syberia to jednak nie jest odpowiednie miejsce na wariacką przygodę. Wreszcie mam pełną świadomość, że jestem bez żywności, ciepłej odzieży, bez głupiego prymusa na benzynę, na którego zakup po prostu nie było już pieniędzy. Dziś Syberia jest zła, zła jest tajga, zła jest rzeka, złe są ponure myśli... Nie trwa to długo, po chwili sam już się pocieszam. Nie jestem wprawdzie szczęśliwy, ale jestem tylko nieszczęśliwy, a to co innego niż na przykład pogrążony w depresji. Trudno mi ująć w eleganckiej stylistycznej formie dokładną różnicę pomiędzy określeniami „nieszczęśliwy”, a „pogrążony w depresji”, ale dla każdego jest jasne, że „nieszczęśliwy” to niewątpliwie coś łagodniejszego, niż „pogrążony w depresji”. Nieszczęśliwy jest ten, kto płacze, człowiek pogrążony w depresji utracił już zdolność płaczu.

Pod wieczór na moment przestało padać, ale wiedziałem, że to tylko złudzenie, że za chwilę zacznie od nowa. Ledwo o tym pomyślałem, a już powierzchnia rzeki stała się gładka, niczym morze oliwy. Wokół tajga znieruchomiała w ciszy. Tylko z daleka majaczyły niebieskawe sosny okalające widnokrąg. Słońca nie było. Niebo wisiało szare, brudne i wkrótce zaczął padać zimny deszcz, jednostajny, gęsty, jeden z tych, co potrafią lać godzinami, a nawet całymi dniami. Płynąłem skulony, zziębnięty, obojętny już na wszystko. Odwieczny las, zaśmiecony przez głązy, korzenie i zwalone drzewa trzymał mnie teraz w uścisku - masz głupku swoją wolność i niczym nie zakłóconą piękność...

Usiłowałem odgadnąć brzegi i zakręty rzeki. Wszystko tonęło w szarości i mgłach, wśród których to zjawiały się, to znikwały kształty. Sądząc po odległości, w jakiej po każdym zakręcie ukazywały mi się brzegi rzeki, orientowałem się, że staje się ona coraz szersza.

Mijam okrągłe wyspy pokryte wschodzącą trawą - jedna, potem dwie, cztery. Mnożyły się z godziny na godzinę. Po każdym zakręcie wpatrywałem się w powierzchnię wody, szukając nurtu. Nie czuło się go ani nie widziało.

Deszcz łamał lustro wody w tysiące okruszyn, zamazując jej falowanie. Zrobiło się ciemno, nastąpiła noc, teraz odróżniałem tylko kontury otaczającego mnie terenu.

Wtem cóż to! Fatamorgana? W oddali na lewym brzegu, nieco u góry, widzę i słabo

żarzące się światło. Przecieram oczy, by pozbyć się złudzenia, lecz światło nadal świeci, niewyraźne jest, lecz świeci. Po chwili jednak deszcz zamiata po wodzie nową falą - złudzenie znika, światło gaśnie i nie pojawia się więcej.

Wezbrana deszczem rzeka płynie wartko, nurt niesie ponton i obraca nim, niczym na karuzeli. Raptem ni stąd, ni zowąd spostrzegam na spowitym ciemnością brzegu kontury domów. To nie złudzenie! Wysoko na skarpie stoją obok siebie drewniane stare domy. - Pewnie kolejna niezamieszкана wieś - przemknęło mi przez myśl i czym prędzej skierowałem łódź do brzegu. Po chwili dziób pontonu zarył się w piasek, a ja gnany perspektywą nocy pod dachem, czym prędzej wdrapywałem się na wysoki, ociekający wodą śliski brzeg.

Kiedy wreszcie stanąłem na górze, z pobliskiego domu dobiegł mnie skrzyp otwieranych drzwi i po chwili zobaczyłem stojącego w nich лыsego, rosłego mężczyznę.

Zaskoczenie zdawało się być obopólne, lecz po chwili uświadomiłem sobie, że skoro człowiek ten wyszedł przed dom, to znaczy, że musiał mnie już wcześniej zauważyć.

Wielkolud kuląc się przed sieczącym deszczem, pospiesznym gestem zapraszał mnie do środka. Zawahałem się na moment, zaskoczony bądź co bądź nową sytuacją, ale po chwili posłusznie, jak owieczka idąca na rzeź, podążyłem za mężczyzną w głąb domu.

Parotygodniowe życie w dziczy sprawiło, że perspektywa bycia jakiś czas w domu była silniejsza od strachu i zdrowego rozsądku, poza tym byłem głodny i od początku po cichu liczyłem na to, że dostanę tu coś do jedzenia.

Dopiero kiedy znalazłem się w ciemnej sieni, obleciał mnie lekki strach - a może zaraz mnie tu zakatrupią? - pomyślałem. Nic się jednak nie wydarzyło, nikt na mnie nie czatował z siekierą w ciemnym korytarzu, bez przeszkód przeszliśmy przez kilka pomieszczeń, aż wreszcie znaleźliśmy się w obszernym, ciepłym pokoju.

Izba była mroczna, czuć było buchające z pieca ciepło oraz zapach nafty i palonej machorki. Gospodarz postawił na stole osmaloną lampę, kopcila teraz prosto w sufit, a mętne jej światło robiło wrażenie rozlanej oliwy. Dopiero teraz przyjrzałem się jego twarzy. Była poczerniała i wychudła, jakby osmolona; zapadnięte policzki, mocno spłaszczony nos. Twarz nic specjalnego nie wyrażała, wydała mi się tylko trochę upiorna, ale zapewne było to złudzenie spowodowane kiepskim oświetleniem.

Rozejrzałem się wkoło. Już na pierwszy rzut oka widać było, że bałagan jest tu nieziemski. Pomieszczenie wyglądało jakby przed chwilą eksplodował tu granat. Czego tu nie było: kowadło kowalskie, łopata, sidła na zwierzynę, chomąto dla konia i wiele innych najróżniejszych rzeczy.

Pod oknem stał stół, na którym wały się resztki jedzenia - obierki od ziemniaków i

pozostałości po jakiejś rybie. Nieco z boku znajdował się mebel przypominający kredens; zza jego nieczyszczonych od wieków szyb widać było metalowe kubki, jakieś miski i talerze oraz poźółkłe z brudu i starości szklane musztardówki. Opodal, na gwoździu wbitym w ścianę wisiała reszta sprzętu kuchennego: tarka do jarzyn, tłuczek do mięsa, sito oraz dziurawa zardzewiała chochla.

Pod ścianą obok wejścia stał duży żelazny piec. Widać, że właśnie on w tym domu był najważniejszy. Hajcowało się w nim niemiłosiernie, jego metalowe ściany były czerwone od żaru. Nie wiem ile wynosiła temperatura powietrza, powiem tylko, że z ledwością oddychałem, a z mojej mokrej odzieży wydobywały się kłęby pary, jak ze starej, nieszczelnej lokomotywy...

Stojące w przeciwnych rogach stare drewniane łóżka świadczyły o tym, że izba służy również za sypialnię. Zwróciłem uwagę na zbutwiałe, stare, słomiane materace. Przyznam, nie wyglądały zbyt zachęcająco, ale dla umęczonego człowieka nie miało to zasadniczo istotnego znaczenia. Za oknem walił deszcz przewalała się wichura; ciepło oraz dach nad głową - to w tym momencie było najważniejsze i to właśnie miało istotne znaczenie.

Gospodarz gestem wskazał mi miejsce przy stole, po czym „głośno przywołał kogoś z głębi domu.

Uwaga! Jest ich kilku - pomyślałem. Po chwili z sąsiedniej izby wyłoniła się postać drugiego mężczyzny. Widać było, że jest o wiele młodszy od wysokiego. Wysoki coś szepnął wchodzącemu; zdanie było urwane i nie zrozumiałem sensu, jednak domyśliłem się tylko, że mężczyźni zorientowali się, że mają do czynienia z obcokrajowcem.

Stali teraz w milczeniu, nie wiedząc, co począć. Zapanowała złowroga cisza, tylko słabe światło lampy naftowej poruszało się cieniem po ich zarośniętych, zatroskanych, jak mi się wydawało, twarzach.

Byłem czujny, bowiem żaden z nich nie wyglądał na tyle zachęcająco, abym w normalnych warunkach miał ochotę zawrzeć z nimi znajomość.

Niezręczna sytuacja trwała dobrą chwilę. Zaraz się zacznie - pomyślałem i ostrożnie, by przedwcześnie nie budzić podejrzeń, przesunąłem rękę w kierunku noża zamocowanego z tyłu przy pasku. Odetchnąłem, kiedy wyczułem jego obecność. Zrobiło mi się nieco raźniej, jednak w dalszym ciągu bacznie obserwowałem mężczyzn starając się ocenić ich zamiary oraz posiadany przez nich oręż. Uspokoilem się nieco, widząc, że nie mają w rękach ostrych narzędzi. Widocznie później mnie zabiją - pomyślałem....

- Co stoisz, pacanie? Nie widzisz, że gościa mamy? - odezwał się raptem wysoki.

- Dalej nastawiaj wodę, przynieś kartofle i rybę - dyrygował nie spuszczać ze mnie oka.

- Nie róbcie sobie ze mną kłopotu, chwilę odpocznę i zaraz popłynę dalej - wydusiłem z siebie z ulgą, gdyż w tym momencie perspektywa moknięcia na deszczu wydawała mi się rajem w porównaniu z gościna u tych dwóch niebezpiecznych typów.

- Zobacz, Siergiej, gość mówi po naszymu - odezwał się wyższy, wyraźnie ucieszony.

- Dawaj - leć no szybko po te kartoszki, gość widać głodny - dodał, uśmiechając się pod nosem.

- Oj, biada mi - pomyślałem i zacząłem się rozglądać nad możliwością brawurowego skoku przez zamknięte okno...

Młody coś bąknął, po czym ruszył ku drzwiom, a przechodząc obok mnie lekko się z uśmiechem uklonił.

Teraz to już zupełnie zgłupiałem - nie jest chyba aż tak źle, skoro bandziory się kłaniają - pomyślałem. Tymczasem starszy, ośmielony biegiem wydarzeń, podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

- Iljicz jestem. Niestety, tak mnie nazwali - bo to na cześć Lenina. Wtedy była taka moda, wszystkich dziwnie nazywali - powiedział, uśmiechając się szczerze.

- To jeszcze nic - kontynuował. - Moje siostry to dopiero imiona dostały... Starszą nazwano Rewa, a młodszą Łucja. Razem dało to słowo Rewolucja. Oj, gdyby głupota bolała... - śmiał się.

- A teraz, kiedy się już poznaliśmy, ściągaj to mokre ubranie, bo się tu zaparzysz. Nie martw się, zaraz coś do jedzenia uszykujemy, w chacie biednie, ale głodu nie ma.

W tym momencie, jakby na potwierdzenie słów Iljicza, do izby wszedł Siergiej taskając pełen gar wyciągniętych z kopca kartofli. Bez słowa dorzucił drewno do pieca, zalał ziemniaki wodą, po czym postawił wszystko na ogniu. Następnie sięgnął po wielki aluminiowy imbryk, z leżącego opodal worka dobył coś ciemnego, wrzucił to do czajnika, zalał wodą i postawił na drugim palenisku.

Ogromnie byłem ciekaw co też gotuje się w tym czajniku, lecz nie było czasu na zgadywanie. Zrobiło się cicho, więc domyśliłem się, że teraz gospodarze czekają na moje opowiadanie.

W dużym skrócie opisałem swoje przygody, wspomniałem o poprzedniej wyprawie i celu tegorocznej podróży. Pokazałem też książkę, jaką napisałem o Syberii. Co prawda nic z niej nie przeczytali, ale z zainteresowaniem obejrzeni kolorowe fotografie. Opowiadałem jeszcze chwilę, a mężczyźni siedzieli i słuchali w milczeniu. Kiedy skończyłem, starszy powiedział *maladiec*, po czym wstał i podał mi rękę. Lody zostały przełamane, poczułem że mnie zaakceptowali i że nic mi tu już nie grozi.

Teraz moi domniemani bandyci odzyskali mowę i w przejściu na przemian

opowiadali. Poinformowano mnie na wstępie, że wioska, do której dopłynąłem, nazywa się Surowo, a Iljicz i Siergiej są jej jedynymi mieszkańcami. Okazało się również, że starszy i większy to ojciec, a młodszy to syn. Żyją sami, gdyż mamusia przed laty odeszła drogą, którą wszyscy z tej ziemi odchodzą. Z ich relacji wynikało, że leży teraz metr pod ziemią, tuż za wioską, w tajdze. Młodszy nie był jednak tego do końca pewien, gdyż twierdził, że cmentarz w zeszłym roku wilki i lisy rozkopały...

- Tu się urodziłem i tu umrę - powiedział Iljicz, stawiając na stole miskę gorących, pachnących ziemniaków.

- Dużo już w życiu przeszedłem i wiem jedno: wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Być może w życiu najważniejsze jest to, aby każdy trzymał się przeznaczonego mu miejsca, właściwego kierunku, i nie błąkał się po bezdrożach, gubił i plątał, miotając się w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Człowiek i tak niczego nie znajdzie ponad to, co zostało mu w niebie zapisane.

- Wieś jest umarła, wieś niczyja - powiada. - Wszystko zastygło i jakby na zawsze znieruchomiło. Nic prócz ludzi nie ubyło, ale i nic nie przybyło, i jakby nawet nie zamierzało przybywać.

- Ale dajcie czas, dajcie ręce, a wszystko ożyje i odbuduje się. Człowiek już w swym życiu napatrzył się na rozmaite rzeczy - na nieszczęścia, na nędzę i na zniszczenia - człowiek wszystko zniesie i wszystko odbuduje - dodał.

- Młodemu powiadam zaś: Co tu po tobie, jedź do miasta, tu nie masz przyszłości, ale on na to, że miasto nie dla niego, tu ma co jeść, ma przyrodę, ciszę i spokój. Zresztą jeden z naszej wioski pojechał przed laty na budowę do miasta; zarobił pieniądze i to nawet duże, ale w końcu za sprawą tychże dużych pieniędzy zapił się na śmierć. Samo życie.

- Prawda jest taka, że ci, co odeszli stąd do miasta, z biedaków zamienili się w nędzarzy; tu zawsze było biednie, ale głodu człowiek nigdy nie zaznał. Tajga i rzeka nie da z głodu umrzeć, ale miasto - tak - dodał cicho.

Odruchowo spojrzałem na siedzącego nieruchomo Iljicza i przyznam, że jego pełna filozofii wypowiedź zrobiła na mnie wrażenie. Siedział sztywny w bezruchu, jak jakiś skamieniały posąg, tylko blask lampy oświetlał jego nieruchomą, stężałą w wyrazie obojętności twarz. Widać było, że myśli o tym, co przed chwilą powiedział.

Zrobiło się cicho i słychać było tylko bijący o szyby deszcz i wesoło buzujący piecu ogień. Naftówka nieco przygasła i teraz wyraźnie widziałem z okna sieczoną deszczem płynącą w dole rzekę. Wiatr zerwał się gdzieś z wysokich i przez długą chwilę wszystkie drzewa tajgi ugięły się pod jego naporem. Potem, jak to bywa wiosną na Syberii, nastąpiła chwila ciszy i gdzieś na niebie zobaczyć można było świecące gwiazdy. Byłem

szczęśliwy, że siedzę z tymi ludźmi w ciepłej izbie i z okna patrzę na połyskującą rzekę, deszcz i obojętną na Wszystko ciemną ścianę tajgi.

Ciekawi są Sybiracy i ciekawe jest ich rozumienie świata. Wydaje mi się, że tylko ten naród potrafi dostrzec nadzieję nawet wśród najbardziej przerażających ruin.

Iljicz miał rację. - ...Dajcie ręce, a wszystko ożyje - słowa jakby z Ewangelii wzięte - byłbym przysięgł, że już kiedyś w jakimś kościele je słyszałem.

- Jedz rybę, nie żałuj sobie - częstował ojciec, a syn bezceremonialnie kładł przede mną co większą sztukę. Przyznam, że nie żałowałem sobie. To nie było jedzenie, to było żarcie. Brałem z gara kartofel za kartoflem, maczałem w gęstej, chłodnej śmietanie i jadłem łapczywie, tak łapczywie, jak potrafią żreć dzikie zwierzęta i wygłodniały ludzie.

Bez żenady brudnymi rękoma rozrywałem słoń suszoną rybę i pakowałem do pełnej jeszcze buzi. Ktoś powie - chamstwo, brak kultury - można przecież jeść inaczej. Owszem, można, ale tu, na Syberii wcale nie trzeba...

Po kolacji składającej się generalnie z ziemniaków i solonej ryby nastąpiła pora na tradycyjną w Rosji herbatę, a tej gospodarze już od bardzo dawna nie mieli, więc kiedy z dumą oświadczyłem, że zaraz przyniosę ją z łodzi, myślałem że z radości mnie wycalują. Bo dla Rosjanina czaj to świętość i misterium.

Niebawem po izbie rozniósł się zapach parzonej herbaty. Popijaliśmy ją z metalowych kubków, gorącą, pachnącą, słodzoną konfiturami z czarnej porzeczki.

W chwilę później dowiedziałem się, co młody wrzucał do czajnika. Okazało się bowiem, że od prawie roku piją cziagę... Cziaga to nic innego, jak dobrze znany nam Czczot; czarna narośl często widywana na brzozie. Proszę nie mylić cziagi z hubą, gdyż ta ostatnia jest grzybem; czczot to taka czarna kula rosnąca na brzozie.

Wywar z cziagi smakiem i kolorem przypomina prawdziwą herbatę. Jak mnie zapewniano na Syberii, mikstura ta ma działanie lecznicze, leczy nawet raka w początkowym jego stadium. Przyrządzenie tego wywaru jest bardziej niż proste - wystarczy do wrzątku wrzucić umytą w zimnej wodzie cziagę i pogotować dziesięć minut. Efekt jest taki, że nawet znawcy trudno odróżnić smak cziagi od smaku herbaty.

Jak się podczas dalszej podróży okazało, domostwo w Surowie nie było jedynym, w którym pito ten wywar; u schyłku XX wieku niemal cała Syberia popijała cziagę...

Siedzieliśmy syci przy stole, niby obcy, a zarazem bliscy sobie. W sumie człowiekowi mało potrzeba, aby zbliżył się do drugiego człowieka, szczególnie gdy istnieje jakaś wspólna nić, jakieś wydarzenie łączące ludzi - może być to nawet banalna rzecz, na przykład wycieczka, czy wspólne oczekiwanie na nienadjeżdżający długo autobus. Kiedy jesteśmy nieszczęśliwi, silniej odczuwamy nieszczęście innych; uczucie nie rozprasza się, lecz skupia.

W życiu dostatnim człowiek siedzi naprzeciw drugiego człowieka i nie wie, co go boli, on też nie wie, co boli ciebie, i tego żaden nigdy się nie dowie. Tu, w syberyjskiej głuszy wszystkich łączy jedno - przemożna chęć przetrwania. Dlatego, choć byliśmy w sumie sobie obcy, siedzieliśmy zgodnie połączeni w jedno ciało. Ja rozumiałem ich troski, oni wiedzieli, co mnie gryzie.

Jest w człowieku coś, czego nie można określić i zbadać, o czym nie ma najmniejszego pojęcia nauka. Jeśli chodzi o tę ostatnią, to jest bardzo wdzięcznym zajęciem, pod warunkiem, że od początku zdamy sobie sprawę, że tego, co najcenniejsze, nigdzie nie uczą.

Chyba właśnie tego wieczoru przyszło olśnienie. Po czterdziestu latach włóczęgi po wertepach życia dotarło wreszcie do mnie, co w życiu jest najważniejsze: to zdrowie, dach nad głową, ciepło, bliska osoba i cokolwiek do jedzenia. To wszystko, nic więcej. Wszyscy cierpimy na jedno wielkie nieporozumienie. Wydaje nam się mianowicie, że z chwilą kiedy będziemy mieli pieniądze, będziemy żyli szczęśliwie. Bzdura, nic bardziej złudnego. Spójrzmy wkoło - wszyscy urządzają się na tym świecie, jak gdyby mieli żyć wiecznie. Ludzie ogarnięci są „zarazą własności”, nie zdają sobie sprawy z tego, że życie upływa w mgnieniu oka, że nic nie jest własnością człowieka, że ze sobą na ten świat nic nie przynieśli i nic z niego nie niosą. Człowiek tak naprawdę posiada tylko to, co jest w nim. Ale człowiek to nie wierzy. Zagoniony robieniem pieniędzy wyrzekł się piękna i życia - woli wierzyć w kryształowe pojęcia niż w ludzką glinę.

Wystarczy spojrzeć na ruiny dworów i zamków otoczonych murami. Ich właściciele też chorowali na „zarazę własności”, a teraz w większości przypadków nie pozostały po nich nawet kości, gdyż rozwlekli je inni ludzie szukający bogactwa właśnie w ich grobach.

Nie ludźmy się więc, że przez posiadanie majątku pozostanie po nas pamięć. Nic z tego. Po naszej śmierci ludzie będą jeszcze chwilę mówić, później zapomną, nie oszukujmy się, pogrzebią nas w pamięci równie szybko, jak pogrzebią w ziemi nasze ciała. Nasz ból, nasza miłość, wszystkie nasze pragnienia odejdą razem nami i nic nie zostanie po nich, nawet puste miejsce, bo pustych miejsc na Ziemi nie ma.

Spójrzmy wkoło - wszyscy bez wyjątku, czy to inżynier, czy profesor, biskup, czy rzemieślnik - wszyscy jak jeden zrobią wszystko, by osiąść pieniądze. Myślą przy tym, że właśnie wtedy, gdy już będą je mieli, skończą się ich troski, że życie pędzi dalej toczyć się w szczęściu i zdrowiu. Wszyscy spalają się w gonitwie za pieniądzem nie zdając sobie sprawy, że go nie dogonią, a jeśli nawet będą go mieli więcej niż inni, to i tak wszystko na nic, bowiem w życiu doczesnym więcej nie zjedzą i więcej nie wypiją.

Dochodzi do śmiesznych sytuacji, kiedy obserwuje się zdawałoby się mądre,

wykształcone osoby, które życie swoje poświęciły na przykład produkcji uszczelek.

Od tej pory właśnie przysłowiowa uszczelka stała się celem ich życia, zagnieździła się w każdej komórce, w każdej części rozumu i duszy, stała się ich powołaniem, ich misją życia. Nieważne, że nie ma czasu dla rodziny, nie ma czasu na przeczytanie książki, nie ma czasu na wypoczynek - jest za to czas na robienie pieniędzy, na produkcję uszczelek.

Nie mam nic przeciwko jakiegokolwiek produkcji, w tym uszczelek, jednak ludzie nie dajcie się zwariować - korzystajcie z życia, życie godnie i wygodnie, i nie próbujcie sobie i innym tłumaczyć, że ta pogoń jest chwilowa, tylko do osiągnięcia jakiejś pozycji. Oświadczam wam, że ta pogoń nie jest chwilowa, będzie trwać do końca waszego życia, i im więcej będziecie posiadali, tym szybciej jeszcze będziecie biegali. To choroba, to nałóg gorszy od alkoholizmu i narkomanii łącznie.

Bogactwo w większości przypadków stanowi podstawowe źródło przepotężnej siły, siły rozmnażania się głupoty, miernoty i banału. Człowiek sprzedaje swój czas, swoją pracę, wreszcie swoją godność za cenę posiadania rzeczy, które w większości przypadków są mu zbędne. Nie wspomnę już o sferze istnienia, sferze własnego JA swojej istoty.

Posiadanie majątku wchłania Kategorię Istnienia. Posiadacz domu z basenem i drogiego samochodu żyje w stałym stresie posiadania, spala całą swą energię, by zachować to, co już ma.

A co ma? Trochę cegieł i kupę rdzewiejącego z każdym dniem metalu. Nawet prosty robotnik, nieważne czy to w ustroju socjalistycznym, czy kapitalistycznym, zawsze jest i będzie tragiczną ofiarą bogactwa, oszustwa i wyzysku. Przekształca on bowiem samego siebie, swoje istnienie w siłę roboczą, we własność, którą dobrowolnie lub z konieczności sprzedaje zawsze ze stratą, aby w formie rozreklamowanych tandetnych produktów ją odzyskać, znowu się sprzedać i tak w kółko.

Nie oponuję w tym momencie przeciwko idei pracy, którą uważam za jeden z najważniejszych przejawów ludzkiej natury. Chcę tylko powiedzieć - opanujcie się ludzie, wasze życie jest krótkie i nic nie zdołacie zabrać ze sobą do grobu.

Problemy wszystkich ludzi we wszystkich czasach są zasadniczo identyczne, a wszystkie one dają się rozwiązać wtedy i tylko wtedy, gdy człowiek mocno chce, mocno wierzy, mocno kocha.

Zdaję sobie sprawę, że piszę językiem nie z tego świata, wiem też, że prawda zawsze stawia duży opór. Niewiele też spodziewam się zmienić, jednak właśnie w tej syberyjskiej głuszy mam takie, a nie inne przemyślenia, dlatego też szczerze o nich piszę, w nadziei, że może pomoże to komuś otworzyć oczy i trzeźwo spojrzeć na ten zwariowany, nieprowadzący donikąd, dziwny pod każdym względem świat.

Naftowa lampa stojąca na stole dawała już tylko złudzenie światła. Przyznam, że zrobiło to specyficzną atmosferę, nie wiadomo dlaczego, ale nawet rozmawialiśmy ściszonymi głosami. Rozmawialiśmy o rzece i życiu w tajdze, i jak to bywa w trakcie rozmowy o Syberii - temat zszedł na niedźwiedzie.

Po chwili włosy zjeżyły mi się na głowie! Dowiedziałem się bowiem, że parę dni wcześniej na jednej z okolicznych wysepek niedźwiedź rozszarpał dwóch ludzi, którzy stawiali tam sieci. Choć mieli ze sobą broń, zaskoczenie było tak duże, że nie zdołali oddać ani jednego strzału.

Świadek zdarzenia opowiadał, że najpierw bestia rzuciła się na starszego i jednym ruchem potężnej łapy urwała mu głowę, młodszy, choć dzierżył w rękach karabin, stracił panowanie nad sytuacją i rzucił się do ucieczki. Nie na wiele jednak się to zdało, gdyż niedźwiedź paroma susami dogonił go i powalił na ziemię. Ponieważ przy życiu pozostał pies, niedźwiedź uznał go za niewygodnego świadka i psina, choć również próbowała czmychnąć, podzieliła smutny los swych panów.

Przyznam, że mrowie przeszło mi po plecach, gdy słuchałem o tej tragedii. Może jednak ktoś nie dać wiary tym opowieściom, no bo jak to, był pies i nie ostrzegł szczekaniem? Ano nie ostrzegł, bo pies bardziej niż człowiek ma wyrobiony instynkt samozachowawczy.

Opowiadano mi później przy innej okazji jak to pewnego razu chodził misio po wiosce, a wszystkie psy, na jego widok pochowały się w budach. Co tam robiły? Milczały i nawet nie oddychały...

Resztę wieczoru zajęły opowieści o zwyczajach niedźwiedzi, o tym, że ociężałe to na pozór zwierzę potrafi z łatwością dogonić jelenia czy łosia, że pływa, i nawet chętnie nurkuje. Najbardziej jednak przerażała mnie informacja, że misio potrafi skradać się w bardzo bliskiej odległości, a robi to tak sprytnie i cicho, że nie słyhać ani jednej łamanej gałązki... Nie docenia się sprawności niedźwiedzi; co roku kilkunastu ludzi ginie lub zostaje okaleczonych przez te zwierzęta. Najważniejsze, to zrozumieć zachowanie zwierząt - powiadali Sybiracy. Powodem agresji niedźwiedzi nie jest wrodzona nienawiść do ludzi, atak jest ich naturalnym zachowaniem, sposobem jakim walczą o przetrwanie. Nie należy więc dzielić niedźwiedzi na dobre i złe, wśród nich nie ma morderców i przyjaciół ludzi - Zwierzęta postępują tak, jak nakazuje im instynkt. Niedźwiedzie atakują wszystko, co zdaje im się bezpośrednio zagrażać. Szczególnie bronią strefy ciągnącej się mniej więcej sto metrów wokół nich - każdy, kto przekroczy tę granicę, zostanie zaatakowany, gdyż taka jest natura tych zwierząt. Niedźwiedzie żyją w okrutnym świecie, większość czasu spędzając samotnie w poszukiwaniu pożywienia. I choć mają kły i pazury, to jednak podstawę ich

diety stanowią zioła, korzenie, owady i larwy oraz jagody. Mięso jadają wówczas, gdy tych ostatnich nie ma. Przyjęło się uważać, że najbardziej niebezpieczne są wiosną oraz późną jesienią, gdyż właśnie to ostatnie polowanie przed zimowym snem może zadecydować o przeżyciu długiej syberyjskiej zimy. Dlatego też o tych porach roku raczej nie gotuj przy namiocie - misie mają świetny węch, a problemy zaczynają się wówczas, gdy niedźwiedź zaczyna ludzi kojarzyć z pokarmem - ostrzegali. Opowiedzieli przy tym o pewnym przypadku, w którym głodny miś wdarł się nocą do namiotu i porwał śpiącego myśliwego wraz ze śpiworem. Rankiem odnaleziono tylko częściowo pożarte ciało.

Przyznam, że w tym momencie byłem szczęśliwy, że siedzę w chacie, obiecałem też sobie, że nigdy już nie będę gotował przy namiocie... Pomyślałem też, że dzieciom nie powinno się dawać do zabawy małych pluszowych niedźwiadków.

Większość ludzi, szczególnie w krajach cywilizowanych, uważa niedźwiedzie za potulne, puszyste zwierzątka, niestety, dla wielu znajomość ta okazała się śmiertelną pomyłką.

Rozmawialiśmy do trzeciej nad ranem. Kiedy układaliśmy się zmęczeni do snu, śpiewały już w tajdze ptaki. Ułożyliśmy się do snu w jednym pomieszczeniu. Ja wyciągnąłem się na jednym starym łóżku, ojciec z synem na drugim.

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem wpatrując się w jaśniejące z każdą chwilą przedmioty, słyszałem równe oddechy śpiących już Sybiraków. Wiedziałem, że tych ludzi, choć ich bardzo krótko znam, wspomnę po latach jak najbliższą rodzinę. Zresztą w tamtych dniach oni byli moją rodziną...

Obudził mnie odgłos krzątania. To Iljicz kręcił się po części kuchennej. Był w trakcie przygotowywania śniadania i głośno nadziwić się nie mógł, że tak długo można spać... Nie omieszkał przy tym oznajmić, że zdążył już wyprowadzić na pastwisko konia i wydoić krowę. Chciałem zapytać, czy zdążył się już wys..., ale się opanowałem.

Spojrzałem na zegarek - było wpół do ósmej. Wyjrzałem przez okno. Deszcz przestał padać, było jednak mglisto i mokro. Oj, pospałoby się jeszcze, przecież nie ma gdzie się spieszyć...

Po śniadaniu składającym się ze śmietany i pieczonych dla odmiany ziemniaków, młodszy zaprosił mnie na zwiedzanie wsi. Śmiał się przy tym, że jest jego prywatną. Dopiero teraz zobaczyłem wioskę w pełnej krasie i przyznam, że aż westchnąłem z wrażenia. To wioska jakby z bajki wzięta; dookoła wysokie, porośnięte lasem góry, w dole malowniczo zakosami płynąca rzeka. Wieś zdaje się być ręką mistrza wkomponowana w otaczającą przyrodę. Na pewno gdyby wioska znajdowała się bliżej cywilizacji, byłaby znanym z piękności kurortem. A tak cóż - puste domy, pusta stara drewniana cerkiew.

Szliśmy wzdłuż opuszczonych domów, pootwieranych na oścież wiejskich bram. Rozjeżdżoną niegdyś przez chłopskie furmanki wiejską drogę porasta trawa - to nieomylny znak, że nic tędy nie jeździ, że nikt tędy nie chodzi.

Wieś była wyludniona, lecz wszystkie domy były w idealnym wręcz stanie; wyglądały tak, jakby toczyło się w nich życie, jakby ludzie tylko na moment gdzieś wyszli i mieli zaraz powrócić. Weszliśmy do jednego z nich. Spodziewałem się zastać puste, opuszczone pomieszczenia, a tu - o dziwo - prawie wszystko na miejscu. Stoją stoły, krzesła, są piece, szafy, łóżka, gdzieś w kącie walają się stare książki. Młody, widząc moje zdziwienie, wytłumaczył mi, że wyjeżdżający nie mieli możliwości zabrania ze sobą dobytku - brali tylko to, co mieli najcenniejsze, co zdołali udźwignąć. Więc tylko pozamiatać, umyć podłogę, nanosić drewna z tajgi i mieszkać.

Pomyślałem o wszystkich ludziach mających dosyć miasta, zgiełku i kłopotów, jakie niesie za sobą cywilizacja; o chorych, znerwicowanych i wszystkich tych, którym się nie poszczęściło, którym dotychczasowe życie na tyle obrzydło, że potrzebują zmiany. Pomyślałem - szkoda, że nie wiecie o takich miejscach, gdzie wszystko czeka gotowe, gdzie wystarczy wejść, by rozpocząć wszystko od nowa... Kiedy wracaliśmy, wszedłem jeszcze do cerkwi. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem, że wszystko, jak Bóg przykazał, zostało na swoim miejscu. Nawet kilka ikon wisiało jeszcze na ścianach. Nie dotarli tu jeszcze rabusie pomyślałem, wiedząc, że przez ostatnie lata przemycono na Zachód około dwudziestu milionów ikon!

Prawosławie na Syberię dotarło wraz z Rosjanami dopiero około XVII wieku i tak naprawdę nigdy nie zakorzeniło się na dobre.

Natomiast historia prawosławia, jako odrębnego wyznania, sięga V wieku naszej ery, kiedy to na Bliskim Wschodzie chrześcijanie zaczęli tworzyć zamknięte (wspólnoty narodowe. W połowie tego wieku sobór chalcedoński wykazał już, że chrześcijaństwo ma dwa odmienne nurty: rzymski (zachodni) i grecki (wschodni). Sprzyjało to powstaniu na Wschodzie drugiej „stolicy świata” - Konstantynopola. Mimo to jeszcze przez trzy stulecia - do soboru nicejskiego - chrześcijaństwo i otrzymywało formalną jedność.

Podstawą doktryny religijnej prawosławia są teksty Pisma Świętego. Podkreślana jest skłonność człowieka do dobrego działania; zbawienie można osiągnąć zarówno w życiu pozagrobowym jak i wiecznym. Prawosławna teoria głosi, że Bóg Wszechmiłosierny przebaczy kiedyś wszystkim, nawet szatanowi.

Prawosławie, w odróżnieniu od wyznania rzymskokatolickiego, nie ma jednego ośrodka decyzyjnego. Jest ich piętnaście, choć honorowe zwierzchnictwo sprawuje ekumeniczny patriarchat Konstantynopola.

Liczba wyznawców prawosławia na świecie wynosi ponad sto sześćdziesiąt milionów ludzi. Największe na świecie skupiska wyznawców prawosławia są w Rosji, na Ukrainie, Białorusi, a także w Grecji, Jugosławii, Rumunii i na Cyprze. Około dziesiątej przejaśniło się nieco, więc postanowiłem ruszyć dalej. Kiedy się zegnałem, Iljicz wręczył mi pięciolitrowy słój z konfiturami. Była to czarna porzeczką.

Wzbraniałem się, tłumacząc, że nie zjem tak dużo, a konfitury się popsują. Prosiłem, aby przełożył mi troszeczkę do mniejszego słoika, a resztę schował dla siebie, lecz Iljicz był innego zdania - zapewnił mnie, że zjem wszystko, a konfitury na pewno do tego czasu nie sfermentują. Nie wypadło inaczej, więc dla świętej zgody wziąłem pełen kilkukilogramowy słój.

Pożegnanie było smutne. Jest coś uśpionego w człowieku, co się budzi w czasie rozstania. Są też różne rozstania: na krótko, na długo i na zawsze. Właśnie te ostatnie, choć czasami głośno niewypowiedziane, mają coś nieuchwytnego, coś, co każe zegnającym się przyjąć powagę i potraktować rozstanie na serio. Co prawda

nic było specjalnego powodu do płaczu, ale jakaś nutka śpiewała - szkoda, że się więcej nie zobaczymy.

Odepchnąłem ponton od brzegu i jeszcze raz pokiwałem na pożegnanie. Wezbrana ostatnimi deszczami rzeka zabrała mnie momentalnie. Przesuwał się brzeg, przesuwały się opuszczone chaty. Dziś wierzę, że w tych chatach mieszka Bóg i że nigdy stamtąd nie odszedł. I będę w to wierzyć nawet wtedy, jeśli Rosję spotka dziesięć nowych nieszczęść, bo tylko tam go czułem... Bogate stroje, strzeliste wieże, złote ołtarze - to tylko symbolika kościoła. Bóg jest gdzie indziej, Bóg jest na marginesie, gdzie smutek, gdzie bieda, choroba, często gdzie uzależnienie. Mówiąc słowami Marcina Lutera: „Nie powinniśmy szukać Boga tam, gdzie pragniemy Go znaleźć, lecz tylko tam, gdzie sam raczy nam się

Tego dnia bacznie przypatrywałem się tajdze, wypatrując w jej gąszczu niedźwiedzia. Starąłem się przy tym nie zbliżać zbyt do brzegu, gdyż teraz już wiedziałem, że misio jest świetnym i lubiącym wodę pływakiem. Wiedziałem, że nastrój jest chwilowy, że jestem jeszcze świeżo pod wrażeniem wczorajszych opowieści. Śmiałem się sam ze swojej spóźnionej ostrożności, od tygodni bowiem smacznie spałem w namiocie. Lecz strach, który włóczył się gdzieś między drzewami, o którym starałem się nie myśleć, istniał, jednocześnie jednak tkwił we mnie głupi przesąd, że niebezpieczeństwo tak długo nie istnieje, jak długo nie dopuszczam go do swojej świadomości. Tajga jednak nie wydawała mi się już tak przyjazna. Wieczorne zachodzące słońce oświetlało tylko prawy brzeg, lewy długo wcześniej pogrążał się cieniu zbocza - wydawał się zimny i nieprzyjazny. Wbrew temu, zawsze jeśli było to możliwe, zakładałem obóz po stronie zachodniej, ponieważ

następnego dnia mogłem liczyć na ciepłe promienie wschodzącego słońca, które po mroźnej nocy nagrzewały namiot, wstawanie więc nie było już tak nieprzyjemne. Lecz teraz nie mroźne noce, lecz niedźwiedzie najbardziej zaprzętały mi głowę.

Noc była ciemna. Przez powłokę chmur nie prześwitywała żadna gwiazda. Było tak cicho, że słyszałem najlżejszy szelest zarośli. W chwili niebezpieczeństwa zaczynamy widzieć inaczej. Zwłaszcza w nocy. Widzimy nie tylko oczyma, ale całą swoją istotą, wszystkimi nerwami i wszystkimi fibrami ciała. Wydaje się nam, że widzimy nawet szmery, że nawet nasze usta słyszą i widzą. Cała moja uwaga napięta była do ostateczności, a zmysły działały precyzyjnie jak nigdy dotąd. Byłem przygotowany na wszystko i zupełnie nie czułem strachu. Pomimo że byłem sam, samotność nie działała przygnębiająco, miała w sobie niemal coś mistycznego. Spałem tej nocy zaledwie parę godzin. Byłem bardzo zmęczony, a mimo to budziłem się często. W namiocie królowała odstrasząca wilgotna noc. Zdawało mi się, że słyszę jakieś szmery, a w krótkich chwilach półsnu majaczyło mi, że uciekam gnany przez sapiącego niedźwiedzia. Wreszcie przestrzeń wokół mnie zaczęła wypełniać się światłem, zielony materiał namiotu zaczął nabierać coraz to jaśniejszego odcienia zieleni. Słońce zapewne przylegało już do soków roślinnych, do żywicy, do wilgotnych liści, do drzew przegniłych, a zarazem żywych. Wychodząc z namiotu zastanawiałem się, czy aby na pewno niedźwiedzie polują w nocy...

W przeciągu godziny pokonuję aż siedem i pół kilometra. Widocznie stąd porządny spad. Nie cieszę się jednak zawczasu, gdyż niejednokrotnie już płynąłem szybko, a później godzinami wiosłowałem. Dziś około południa spływam koło miejscowości Orlinga. Jest to duża, tętniąca życiem osada, w której, jak się niebawem dowiedziałem, jeszcze do niedawna funkcjonował nawet port lotniczy. Miejscowość jest naprawdę spora, są tu ulice, a raczej wyboiste wertepy z nazwami, które widoczne są nawet z rzeki. Nazwy takie jak wszędzie: Lenina, Gagarina, Marksa, Puszkina...

Unoszony wartkim nurtem mijam dużą stację meteorologiczną, straż pożarną oraz nowy piętrowy budynek szkolny. Ponieważ do miejscowości Ust - Kut wielkiej syberyjskiej cywilizacji, pozostało tylko około stu pięćdziesięciu kilometrów, a więc około trzech dni drogi, z obawy, że takich oryginalnych wsi nie będzie po drodze, postanawiam zwiedzić niecywilizowaną Orlinę...

Moje obawy miały podstawy. Przed czterema laty, kiedy jechałem przez Syberię terenowym land - rowerem, mijałem po drodze bardzo ciekawe miejsca. Wręcz wychodziłem z niedobrego założenia, że jeszcze podobne później zobaczę, szkoda więc było mi czasu na zatrzymanie się i fotografowanie...

Niestety, później już takich ani podobnych nie było - w ten sposób straciłem dużo

prześlicznych ujęć. Podczas tej wyprawy nie zamierzałem podobnego błędu powtórzyć. Skierowałem więc ponton do brzegu.

W centralnym miejscu, niedaleko biur Rady Osiedla Orlinga wisiał plan osady: proste ulice, przedszkole, szkoła, którą widziałem z rzeki, poczta, biura kołchozu zajmującego się wyrębem lasu, klub, sklepy, garaże, stacja pomp, piekarnia - wszystko, co jest potrzebne w normalnym życiu, wszystko jak u ludzi. Ulice rzeczywiście były proste i szerokie; w swoim czasie pilnowano bezwzględnie, aby chałupy budowane były wzdłuż wytyczonej linii. Ale na tym kończył się cały porządek; owe nie po wiejsku szerokie ulice rozjeżdżone były ciężkimi maszynami i przypominały jakiś niezmierny pejzaż.

Każdej wiosny podczas roztopów ciężarówki i traktory z drewnem ubijały na nich błoto na czarną, pianistą śmietanę, która ciężkimi falami rozlewała się na boki i potem falami zasychała, przekształcając się w kamienne grzędy, tworząc dla ludzi w podeszłym wieku nie do przebycia góry. Każdego roku Rada Osiedla zbierała po kilkadziesiąt rubli od obejścia na drewniane chodniki, które zresztą każdego roku układano.

Corocznie w porze wiosennej zwoziło się drewno z lasu, a wtedy po nowo ułożonych chodnikach pozostawały tylko szczapy, gdyż właśnie po nich najlepiej wlekło się kłody. Latem nikt nie miał czasu, by zrobić nowe chodniki, bowiem brygada trotuarowa według planu wychodziła do pracy przed zimą.

I tak nowe chodniki, nie zdeptane niczyją stopą, leżały do wiosny pod grubą powłoką śniegu, a wiosną od nowa zwoziło się drewno - i znów bezmyślnie niszczone chodnik, jeżdżąc po nim traktorowymi gąsienicami, ciągnąc po nim nie pocięte kłody. I nie pomagały ani żadne zarządzenia, ani nakazy - w dalszym ciągu jeżdżono po chodnikach, piłowano je i rąbano.

Ludzie zwyczajnie się trują, walczą o byt, kłócą się, martwią, uśmiechają. Żyją po swojemu. Przynajmniej powietrze zdrowe. Nie ma trującego przemysłu. Drewno jest ich głównym utrzymaniem.

Zrobiłem kilkanaście fotografii, porozmawiałem z kilkoma osobami. Wszystkie bez wyjątku kręciły głowami, kiedy opowiadałem im skąd i dokąd płynę. Kilka proponowało abym zrobił przerwę w podróży, zapraszały nawet mnie do siebie. Szkoda, że nie mam czasu pomieszkać sobie z ludźmi...

Płynę jakby trochę szybciej, a może tylko tak mi się zdaje. Zawsze jak do Leny wpada jakaś rzeka, to mi się tak zdaje. Teraz do Leny wlały swe wody aż dwie rzeki - Orlinga i Kuchma, więc chyba rzeczywiście płynę nieco szybciej. Krajobraz zasadniczo się nie zmienia, tylko brzegi od czasu do czasu są inne. Tuż za wioską piaszczyste, obnażone przez erozję brzegi wykorzystują jaskółki brzegówki. Budują one gniazda, do których prowadzi

tunel o długości około jednego metra. Jest ich tu cała kolonia, więc brzeg wygląda jak jedno duże sito. Właśnie karmią pisklęta, koło gniazd panuje więc prawdziwy harmider. Aż dziw bierze, że setki goniących za owadami ptaków nie zderzą się w locie, że każdorazowo potrafią odnaleźć właściwy otwór prowadzący do gniazda. Niezglobione są tajemnice mózgu jaskółki...

Późnym popołudniem dopływam do składającej się z czterech domów miejscowości Tarasowo. Leży ona na prawym brzegu rzeki, zaś po lewej stronie, niedaleko od siebie, do Leny wpadają dwie kolejne rzeczki - Niżna i Wierchna Kytyma. Właśnie do jednej z nich podpłynąłem, aby nabrać zimnej, kryształowej, prawdziwie źródlanej wody.

Cisza, kłująca w uszy cisza. Kiedy jednak spojrzałem na wodę, zrozumiałem, że na brzegach łączących się tu rzek drzewa od dawien dawna przewracają się bez ostrzeżenia... Ptaki nie zakładają tu gniazd, doskonale bowiem wiedzą, że bobry nikogo nie informują o zakończeniu swojej pracy. Wkoło pełno ogryzionych pniaków i powywracanych, moczących konary w wodzie drzew.

Nie ulegało wątpliwości - w okolicy roiło się od bobrów. Wymagania siedliskowe bobra czynią zeń częstego gościa dopływających do Leny różnych rzek i rzeczek. Warunek pierwszy - czysta woda, warunek drugi - podmokłe lasy. Ten roślinożerca żywi się roślinnością zanurzoną w wodzie - korą i miękkim drewnem. Technika ścinania drzew przez bobry jest doskonale rozwinięta. Grube drzewa obgryza się pod odpowiednim kątem, mniejsze zaś podgryza, tworząc szek przypominający zatemperowany ołówek. Bobry są ostrożne, więc zawsze bają, by pracować zgodnie z przepisami BHP. Przy pierwszym znaku pęknięcia drzewa bóbr odsuwa się szybko, by nie zostać przywalonym przez padający pień. Umiejętność tę, podobnie jak umiejętność nurkowania, wysysa z mlekiem matki. Obserwowałem właśnie bobra jedzącego gałąź. Przednie łapy bobrów przypominają do złudzenia ludzkie ręce. Dzięki nim bóbr może chwytać przeróżne przedmioty. Jednak jego najprecyzyjniejszym narzędziem są zabarwione na pomarańczowo siekacze. Zęby te posiadają dużą wrażliwość, umożliwiając bobrowi dokonanie zadań wymagających znacznej precyzji, takiej jak na przykład okorowanie gałęzi, nie pozostawiając na niej najmniejszego zadrapania. Zęby bobra mocne. Górne służą do podważania drewna, natomiast dolne odcinają jego kawałki. Dzięki czemu bóbr może obgryzać nawet najtwardsze gatunki drewna. Bobry są płochliwymi zwierzętami. Na znak jakiegoś zagrożenia natychmiast się zanurzają, bowiem bóbr tylko pod wodą czuje się zupełnie bezpiecznie. Po zaczerpnięciu powietrza zwierzę może pozostawać pod wodą nawet do piętnastu minut. Bobry świetnie pływają, używając swojego płaskiego ogona jako napędu i steru.

Przystosowanie do życia w wodzie umożliwia życie na dowolnej szerokości geograficznej. Wystarczy, że będą miały obszar porośnięty drzewami i akwen umożliwiający nurkowanie. Czynniki klimatyczne nie odgrywają istotnej roli.

Bobry to również czyszcioszki. Po wyjściu z wody zwierzę przystępuje do dokładnego czyszczenia futra. Jego przednie łapy doskonale się do tego nadają. Pierwszy palec z zakrzywionym pazurem używany jest do czyszczenia pyska i miejsc wokół oczu. Następnie bóbr, przytrzymując jedną łapą futro na brzuchu, czyści je drugą. Do wykonania toalety na brzuchu bobry używają tylnych łap. Podwójny pazur drugiego palca spełnia rolę grzebienia. Nogi bobra są stosunkowo krótkie i czasem zwierzę nie może dosięgnąć pewnych części ciała. W takiej sytuacji pomocą służą inni domownicy, a wspólna higiena znacznie wzmacnia więzy rodzinne.

Bobry to świetnie zorganizowana społeczność. Codzienne czynności są jasno przydzielone każdemu członkowi rodziny - inna sprawa, że bardzo sprawiedliwie, bowiem poza jedzeniem samce nie robią niczego... Całą pracę tonują samice, z tego też względu właśnie one odgrywają dominującą rolę w rodzinie.

Samice wybierają miejsce, gdzie powstaną żeremia, miejsca, gdzie na świat wyjdą młode. Również samice osobiście budują żeremia - stopniowo, dokładnie wytrwale.

Stawianie budowli na wodzie jest dosyć praktyczne. Woda stanowi zabezpieczenie przed atakiem wrogów, zapewnia transport drewna, a co najważniejsze, wystarcza błota do zatykania dziur. Wszystkie te czynniki są niezwykle ważne, poważ żeremia to wielkie budowle, które mogą mieć od czterech do dwudziestu siedmiu metrów średnicy.

Jak widać, samice odgrywają w tym społeczeństwie niezwykle ważną rolę. Gdy jej nagle braknie, przeważnie rodzina przestaje istnieć.

Od wieków bóbr był łowiony dla cennego futra, mięsa dozwolonego w dni postne i pizmowej wydzieliny zwanej strojem, której przypisywano właściwości znicze. W Europie bóbr niemal wyginął. Czynna ochrona oraz liczne w ostatni czasie zasiedlanie bobrami nowych terenów, doprowadziły do znacznego zwiększenia liczebności tego zwierzęcia. Cieszy fakt, że tu, na Syberii nie zdołano go jeszcze wybić. Jego obecność zawsze będzie związana z urozmaiceniem krajobrazu.

Ciężkie chmury przesłoniły słońce i groźna cisza zawisła nad tajgą. Wiatr złowroźnie zadął od północy. Ptaki ucichły i odlatywały w bardziej osłonięte miejsca. Byłem pewien, że zwierzęta, które akurat znajdowały się w gąszczu sosnowym, zaczęły schodzić niżej w kierunku rzeki. Smużki nie oddalały się swoich nor, gotowe dać nura we wnętrza ziemi, ledwie się spełni groźba odciągającej szalonej burzy. Zapewne tylko łosie i wędrownie wilki uważały za stosowne dalej przedzierać się przez chaszczę tajgi.

Pierwsze krople deszczu zaczęły się razem z wiatrem. Wichura zapierała dech w piersiach i brutalnie miotała wyciągniętym do połowy na brzeg pontonem, temperatura gwałtownie spadła i nie byłoby to zbyt przykre, gdyby nie szalejący wiatr.

Nie wiem, co mnie podkusiło, ale nagle zapragnąłem sfotografować ten straszliwy szkwał. Niebawem jednak gorzko tego pożałowałem, gdyż wyciągnięta z futerału lustrzanka momentalnie zamokła i teraz przez wizjer kamery widziałem tylko coś, co przypominało gęstą, szarą mgłę. Wiem, że zachowałem się jak prawdziwy amator, gdyż owszem, można fotografować deszcz, ale trzeba robić to szybko, a nie godzinami w strugach wody szukać odpowiednich ujęć. Przyznam, że zdenerwowałem się bardzo całym tym zdarzeniem, gdyż nie posiadałem drugiego aparatu fotograficznego, a bez niego uważałem, że ekspedycja, jak i całe przedsięwzięcie przebycia Syberii traciło sens.

Teraz czekałem, aż skończy się burza i na powrót wyjdzie słońce, w nadziei, iż zdoła osuszyć aparat. Nie było rady, trzeba było wierzyć i próbować.

Niebawem wiatr osłabł i ustała ulewa. Słońca jeszcze nie było, ale już prześwitywało przez rzednącą z każdą chwilą chmury. Ruszyłem dalej w dół rzeki. Po godzinie odparował obiektyw i znów czułem się szczęśliwy. Niebawem wypłynąłem na długi, ciągnący się po horyzont zalesiony odcinek i wtedy dojrzałem na lewym brzegu stojące koło siebie dwa domy. Spojrzałem na mapę, ale nie znalazłem w tym miejscu żadnej nazwy miejscowości. Wiedziałem tylko, że znajduję się około piętnastu kilometrów za Tarasowem.

Kiedy podpłynąłem bliżej, zauważyłem stojącą na brzegu łódź. Była to informacja, że ktoś tu mieszka.

W niecały kwadrans później siedziałem z kubkiem gorącej herbaty przy buzującym piecu. Dom składał się właściwie z jednej dużej izby, która pełniła rolę kuchenną, mieszkalną, sypialną i zarazem magazynową. Pośrodku stał duży gliniany zapiecek, który dzielił izbę na dwie części: kuchenne - jadalną oraz mieszkalno - sypialną. Prawie wszystko, co się w pomieszczeniach znajdowało, zostało wykonane z drewna. W części kuchenne - jadalnej stał wielki drewniany stół z masywną ławą do siedzenia; widać było, że mebel nie służy tylko do spożywania posiłków; jego blat nosił wyraźne ślady świadczące o tym, że wykonywano na nim niejedną pracę warsztatową; zresztą w jednym z rogów sterczało wkręcone na stałe duże ślusarskie imadło. Na ścianie wisiały narzędzia, sieci oraz różnego rodzaju pułapki na zwierzęta.

Część mieszkalno - sypialną również była zagracona. Stał tu jakiś stary silnik do łodzi motorowej, pod oknem piętrzyły się skrzynki z przygotowanymi do sadzenia ziemniakami. Stojące na środku wielkie, stare, drewniane łóże bardzo nie pasowało do przechowywanych tu przedmiotów.

Moimi gospodarzami okazało się starsze małżeństwo, które, jak podkreślało, mieszkało tu od zawsze. Opowiedzieli, jak przybyli tu przed laty z okolic Bracka. Podobno ponad miesiąc przedzierali się przez tajgę taszcząc z sobą sanie ze skromnym dobytkiem i workiem soli. Dlaczego tu przybyli? Bo się kochali, a ojcowie zabraniali im tej miłości...

Najgorsze, jak opowiadali, były początki. Wczesną wiosną wykarczowali trochę lasu, pobudowali dom, trochę posiali w ogródku. Następnego roku wykarczowali więcej i zaczęli uprawiać pole. W latach sześćdziesiątych dobrze zarobili na skórkach - kupili łódź, krowę, swego czasu był nawet koń. Wcale nietęskno im do ludzi, zresztą od czasu do czasu odwiedzi ich jakiś myśliwy, czy tak jak ja, ktoś, kto jest w drodze. Najwięcej pracy jest wiosną i latem; trzeba a narąbać, kartoszki zasadzić i zebrać, pozbierać i przerobić grzyby, jagody, my i porzeczki; wszystkiego trzeba dużo, bo zima jest długa, a temperatura od października do marca ustala się równo na minus czterdzieści stopni... Kiedy się żegnałem, dziękując za gościnę, po raz kolejny ostrzeżono mnie ;d głodnymi jeszcze niedźwiedziami...

Jeżeli kiedykolwiek będziecie płynęli lub jechali po zamarznętej Lenie, nigdy nie przegapcie osady Kuknuna. Leży ona dokładnie sto kilometrów przed Ust - It, na lewym brzegu rzeki. Na dokładnej mapie jest oznaczona jako opuszczona wieś, ale nie dajcie się zwieść - Kuknuna żyje i ma się bardzo dobrze, jak żadna okoliczna wieś. Cała osada to raptem trzy domy i trzy rodziny, ale za to co za domy, co za ludzie.

Domy stoją na dużym wzniesieniu oddalonym około pięćdziesięciu metrów od rzeki. Nie jest to zbyt duża odległość, jednak pewnego dnia mieszkańcy Kuknuny doszli do wniosku, że do wody mają zbyt daleko...

Podumali, podumali, wreszcie wybudowali sobie kanał łączący domostwa rzeką i prywatny port na dodatek... Stoją tam teraz ich motorowe łodzie.

Pamiętam, był już późny wieczór, kiedy tam dopłynąłem. Jeszcze nie zdążyłem się zebrać z łódki, a tu patrzę, idzie w moim kierunku jakiś rosły człowiek w kozackiej czapie. Zanim otworzyłem usta, by się przywitać, on pierwszy się kłania i mówi, że chata jest już przygotowana... Ale numer, pewnie mnie z kim innym pomylili - pomyślałem i już chciałem wyjaśnić, lecz człowiek w kozackiej czapie chwycił już za mój plecak i pomaszerował jak gdyby nic przodem.

Po chwili weszliśmy do niewielkiej chatki stojącej nieco na uboczu. Chata miała może dwa metry na cztery, dwie prycze, piec i stół stojący pod oknem. Nie różniła się wiele od tradycyjnych zimowni stojących gdzieś w tajdze, była jednak bardziej przytulna i zdecydowanie czystsza.

Dopiero teraz wykrztusiłem, że ja to tak właściwie tylko po drodze, że mam namiot...

- Wiemy, że po drodze, widzieliśmy cię z daleka na rzece - odparł człowiek w

kozackiej czapie.

- Bo widzisz - ta chata jest właśnie specjalnie dla takich jak ty - co w drodze wycodził, sądząc zapewne, że ma do czynienia z niedorozwojem umysłowym...

- Zaraz napalę w piecu, byś miał ciepło, a tymczasem chodź, zjesz jeszcze w domu kolację.

Ponieważ było już późno i nie chciałem robić swoją osobą specjalnego zamieszania, skłamałem, że właśnie niedawno jadłem, w związku z czym serdecznie dziękuję za zaproszenie. Może innym razem...

- Wobec tego napalę ci tylko w piecu - powiedział człowiek w kozackiej czapie i wyszedł z chaty.

Pożałowałem teraz, że wyskoczyłem z tą kolacją, gdyż głodny byłem jak pies, ale cóż, słowo się rzekło, było już po ptakach.

Parę minut później otwierają się drzwi od chaty, patrzę, a w drzwiach stoi wielka, najprawdziwsza ruska baba...

- Co znaczy, że jadł kolację? - pyta bez ceregieli.

- Niegłodny, to wiadomo, ale syberyjski obyczaj nakazuje uszanować gospodarza.

- Idzie zaraz ze mną do domu - tu nie ma, że kolację jadł, będzie jadł, będzie jadł jeszcze jedną, bo tu taki zaszary obyczaj, i niech spróbuje się tylko obrazić - wyrecytowała jednym tchem, obróciła się na pięcie i pomaszerowała przodem. Powiało grozą, więc by się nie narażać tej wielkiej, groźnej babie, posłusznie podreptałem za nią do domu.

Godzinę później siedziałem na powrót w moim domku i przez okno patrzyłem na płynącą w dole rzekę. Świecił księżyc, noc była zimna, trawa pokryła się szronem.

Jak przestronna wydała się ta izba, jak poczciwa, ciepła, przytulna, macierzyńska i wesoła, a nawet piękna, z pniakami drzew ułożonymi tak ściśle koło siebie, że nie widać prawie żadnej grudki ziemi. A jak czysta! Byłem suchy i syty, w piecu buzował ogień. Pomyślałem, że nikt mi nigdy nie uwierzy, że dziś jadłem jajecznicę na kolację...

Obudził mnie jakiś szmer. Otwieram oczy, patrzę, a człowiek w kozackiej czapie grzebie przy piecu.

- Spij - jeszcze jest wcześnie, napalę ci tylko, ażeby było ciepło - powiada ściszym głosem. Patrzę na zegarek, jest piąta rano, na dworze jest jeszcze szaro. Rzeczywiście, można jeszcze trochę pospać, zamykam więc oczy i ponownie zasypiam.

Budzę się dopiero około dziewiątej i nieprzytomnie zwlekam się z pryczy. Wtem patrzę i oczom nie wierzę. Chyba jeszcze śnię - na stole stoi śniadanie...

Chleb, masło, szczypior, twaróg, pięć jajek dla odmiany ugotowanych na twardo i cały dwulitrowy słojej gęstej, zimnej śmietany. Oni naprawdę poszaleli i na pewno mnie z

kimś innym pomylili - pomyślałem.

Godzinę później, kiedy się żegnałem i dziękowałem za gościnę, człowiek w kozackiej czapie zaproponował, abym pozostał u nich do trzeciej po południu, gdyż o tej godzinie żona będzie chleb z pieca wyciągać. - W drodze dobrze mieć ze sobą świeże bochny chleba - radził.

Oj, wiedziałem ja, wiedziałem, że dobrze mieć ze sobą świeże bochny, ale coś się we mnie zablokowało, nie mogłem, coś mi nie pozwalało brać więcej od ludzi. Gdybym chociaż mógł zapłacić lub coś w zamian zostawić, a tu nic, po prostu nic...

Podziękowałem za pamięć, udając że mi naprawdę spieszo. Na odchodnym ucałowałem serdecznie wielką, groźną babę, która w jednej sekundzie stała się czerwona jak rak.

Dzisiaj popołudniową herbatę wypilem na cmentarzu - tak się przytrafiło. Po paru godzinach żeglugi, korzystając z tego, że było w miarę pogodnie, postanowiłem zrobić sobie przerwę na ciepłą herbatkę. Płynąłem właśnie wzdłuż go brzegu i wypatrywałem odpowiedniego miejsca, takiego, aby rozpałcić ogień i wygodnie się wyciągnąć na trawie. Już z daleka zauważyłem dogodne miejsce do lądowania; niski brzeg i ładną trawiastą polankę. Po chwili znalazłem się na brzegu i jak zawsze w takich przypadkach - hajda do lasu po drzewo.

Dopiero kiedy wpadłem między drzewa, zauważyłem, że znalazłem się na cmentarzu... Co prawda bardziej się zdziwiłem, niż wystraszyłem, bo cmentarzy generalnie się nie boję, nie wierzę też w duchy, diabły i życie pozagrobowe. Skąd tu w głuszy cmentarz? - kłębiło mi się w głowie. Nie znalazłem jednak żadnej rozsądnej odpowiedzi, więc nabierałem drewniek, a na rozpałkę wziąłem z grobu jeden wieniec, ponieważ był suchy. Kiedy nastawiłem już wodę, z ciekawości dobyte mapę i dosłownie zbaraniałem. Znajdowałem się we wsi Bojarsk... Zaraz, zaraz, a gdzie domy?... Po chwili jednak wszystko się wyjaśniło - trzymałem mapę do góry nogami... Wioska z domami znajdowała się nieco za zakrętem po przeciwnej stronie rzeki.

Po herbacie i krótkim odpoczynku przepравиłem się na drugą stronę do wsi. Wieś Bojarsk leży dokładnie na zakolu rzeki. Można powiedzieć, że Lena wielkim łukiem w prawo otula wieś. We wsi standard. Droga wyściełana po kolana błotem, poczta podparta drągiem, zabity dechami wiejski klub, dwa nieczynne sklepy. W sklepach ponoć jest podstawowe zaopatrzenie, są jednak zamknięte, bo nie ma kupujących - miejscowy sowchoz nie wypłacił pieniędzy od ponad roku.

Jeżeli jednak znajdzie się bogacz, który chciałby zrobić zakupy, po prostu wyciąga sklepową z domu, ta otwiera sklep i wtedy można nawet cały towar kupić. Najczęściej

pożądane towary - papierosy i gorzałę - sklepowa po prostu trzyma w domu i bezpośrednio stąd nimi handluje.

Trochę ciężko jest się odnaleźć ludziom w nowej, wolnorynkowej rzeczywistości, Szczególnie tym, co pracowali w sowchozie.

Dawniej obywatel pasący państwowe krowy nie musiał się troszczyć o zbyt wiele. Sowchoz dał mięso, śmietanę, masło, dzieciom tornistry, zeszyty i książki do szkoły, na zimę ubrał całą rodzinę w kufajki. Pensję można było przepić w dniu wypłaty i ją przepijano. Pieniądz i tak nigdy nie był w obiegu, ponieważ w większości sowchozów i kołchozów leżących z dala od większych ośrodków miejskich nie wypłacano po prostu pieniędzy - należne pensje zapisywano ludziom na tak zwane książki. Taka książeczka to jak karta bankowa; można było na nią wszystko kupić, zapłacić za usługę lub nawet kupić bilet na samolot. Z biletami w ogóle była jeszcze prostsza sprawa, gdyż jeśli już ktoś od święta musiał gdzieś jechać, to po prostu władza ludowa fundowała mu tę podróż.

Pokręciłem się trochę po wsi, porozmawiałem z różnymi ludźmi. Podowcipkowałem nawet z pewną miłą starszą panią, urodzoną jeszcze w czasach cara, która tak w kokietowaniu się rozpędziła, że oświadczyła, że chętnie dalej popłynie ze mną.

Powiedziałem wówczas, że jeżeli w ogóle wezmę ze sobą jakąś damę, to musi ona być tłusta i koniecznie dużo ważyć, abym w ekstremalnych warunkach mógł ją po prostu zjeść... Oczywiście nie na raz, bo nikt nie jest w stanie zjeść stu kilogramów mięsa. - Resztę trzymałbym na później w śniegu...

Babinka w lot pojęła, o co biega i oświadczyła, że w takim wypadku ze mną nie popłynie, gdyż jest stara i za sucha, w związku z tym nie nadaje się nawet jako kości na zupę... Przekomarzaliśmy się jeszcze dobrą chwilę, później poproszono mnie do chaty i poczęstowano herbatą z konfiturami.

Przyznam szczerze, że miła atmosfera panująca w wiosce sprawiła, że miałem ochotę pozostać tu parę dni, ale jak zwykle było mi spieszno, a szkoda, ponieważ mieszkali tu fajni, sympatyczni ludzie, a i sama osada była bardzo malowniczo położona u stóp wysokich, porośniętych tajgą wzgórz.

Kiedy wieczorem tego dnia dopływałem do miejscowości Omołoj, usłyszałem za sobą warkot motorówki. Po chwili wyłoniła się zza zakrętu i skierowała prosto w moją stronę. Po chwili łódź zwolniła i wolno podpłynęła do mnie.

Kogóż to diabli niosą - pomyślałem, ale już po chwili rozpoznałem - był to syn gospodarza, u którego spędziłem ostatnią noc.

Kiedy tylko stanęliśmy burta w burcie, chłopak natychmiast wyłączył silnik.

- No, wreszcie was dognałem, ale daleko odpłynęliście, będzie z pięćdziesiąt

kilometrów - powiedział podekscytowany.

- Ojciec kazał wam chleb dowieźć, bo wam jeszcze daleko do domu. Matka zaś dała jeszcze trochę śmietany i szczypioru - zaraz przeładujemy - powiedział i przez burtę podał mi pięć bochnów świeżego chleba, naręcz szczypioru oraz kilkilitrowy słoje gęstej śmietany.

- Aha, jeszcze coś od wujka Jury - tylko uwaga, bo mocne jak diabli - śmiało się podając butelkę jakiegoś alkoholu.

Teraz to już mnie zatkało na dobre. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, jak mam się zachować. Kim ja byłem dla tych ludzi, że tak się o mnie troszczyli?

Przecież nawet nie wiedzieli jak mam na imię, również ja nie miałem pojęcia jak się nazywają - po prostu widzieliśmy się tylko krótką chwilę... Ciemniało już, więc młodemu spieszno było z powrotem do domu. Nieśmiało dodał: - szczęśliwej wam drogi, odpalił silnik i na całej mocy popłynął z powrotem w górę rzeki.

Dopiero po chwili ocknąłem się z doznanego szoku. Oj, jaki ja głupi! Zaraz zacząłem wyrzucać sobie, że zachowałem się jak ostatni kretyn, gdyż nawet dowiedziałem się, jak się ci ludzie nazywają. Nie pomyślałem, aby od młodego wziąć adres, a swoją drogą, to wujka Jury, który dał flaszkę, w ogóle na oczy nie widziałem...

Siedzę teraz na brzegu i zjadam się pachnącym, świeżym chlebem. Znowu otrzymałem w samą porę. Nie wiem, co mam o tym myśleć - w głowie mam zupełną pustkę. Dopiero później przychodzą refleksje, staram się zrozumieć zachowanie tych ludzi. Kim są i co im każe opiekować się drugim człowiekiem? Może to prawdziwi święci, a może to po prostu prawdziwi ludzie - nigdy się tego nie dowiem.

Proces historii, zwany przez nas ewolucją, jeszcze się nie zakończył i znajdzie swój naturalny koniec dopiero wtedy, gdy wytworzy u ludzi rozum, który będzie w stanie objąć prawdę całego kosmosu - a to wydaje się nie będzie nigdy możliwe. Na razie nieświadomie raczkujemy dalej. Stawiamy małe, niezdarne kroczki, stawiamy też nowe bariery, granice i mury - klasyfikujemy ludzi pod względem możliwości, religii i koloru skóry. Tak naprawdę to mało kto zdaje sobie sprawę, że te wszystkie granice to o kant dupy potłuc, bowiem człowiek to kosmos - co znaczy więc Arab, Żyd, Polak czy Murzyn?...

Obecnie panuje na świecie pewna fobia - cały świat uważa, że szerzy się antysemityzm. I cóż z tego - czym się panowie przejmujecie - przypomnijcie sobie pewien dowcip: Byli faraonowie i Żydzi. Faraonowie wymarli - Żydzi pozostali. Byli inkwizytorzy i Żydzi. Inkwizytorzy wymarli - Żydzi pozostali. Byli naziści i Żydzi. Naziści wymarli - Żydzi pozostali. Byli komuniści i Żydzi. Komuniści wymarli - Żydzi pozostali. W moim rodzinnym Gdańsku jest pewien duchowny, i Żydzi...

Jak wynika z historii, wszyscy się już na tej nacji przejechali. Dobrze im tak. Adolf

Hitler wyrzucał profesorów Żydów i niewiele przez to osiągnął. Profesor Żyd wykładał w niedalekiej Brukseli, a wpływ jego na sprawy Rzeszy był o wiele większy niżby uczył w Berlinie - wiadomo, zagraniczne autorytety zawsze mają przewagę nad krajowymi. I niestety, panowie narodowcy, choćbyście nie wiem co bili, nadal będzie istniała obca literatura i nauka, sztuka i dziennikarstwo, radio i film, i całe bogactwo życia, od którego nie można się dziś w Europie oddzielić, będzie też istniało pomieszanie rasowe i wzajemne wpływy kulturalne, bo taki jest bieg przyrodniczy rzeczy. Mądry człowiek wie, że wszyscy ludzie w Europie muszą być ze sobą w jakiś sposób spokrewnieni i to niejednokrotnie. Każdy człowiek ma przecież miliardy przodków, a ludzi dawniej było mniej niż dzisiaj. Proste wyliczenie wskazuje, że ci przodkowie musieli być wspólni. Niestety, pomimo odkryć i osiągnięć naukowych ludzkość nie jest wcale mądrzejsza. Toczy się wojny, których stroną nie są pojedynczy ludzie - walczą będący u władzy, walczą religie, walczą kultury. Dwudziesty wiek był świadkiem największego w dziejach ludzkości ludobójstwa, wszystkie popełniali zaślepieni dyktatorzy i fundamentaliści. W wieku dwudziestym pojawił się nowy zmysł - pieniądz. Pomieszały się wartości i pojęcia. Weszliśmy w dwudziesty pierwszy wiek mordując się wzajemnie i goniąc za pieniędzmi. Dziś mają miejsce rzeczy, które nie śniły się największym mędrcom.

Ponad osiemset milionów osób cierpi z głodu lub niedożywienia; ponad miliard nie ma dostępu do usług medycznych i wody pitnej, nie mówiąc już o edukacji. Dwa miliardy ludzi nie ma w domach elektryczności, a osiemdziesiąt procent ludności świata jest pozbawionych dostępu do telekomunikacji, dającej dostęp do nowych technologii, informacji i komunikacji. Tylko sto trzydzieści miliardów dolarów potrzeba, by każdy biedny na świecie miał dach nad głową, zdrową żywność i zapewnione warunki sanitarne. Tych pieniędzy nie sposób znaleźć, ale osiemset - dziewięćset miliardów dolarów rocznie świat wciąż wydaje na zbrojenia! Zabijanie jest nikczemnością, ale z drugiej strony ilu ludzi z tego żyje...

Nawet tu, na gumowym pontonie widać, że przyszłość niestety nie daje nadziei. W większości bogatych krajów nie rodzą się już dzieci. W Afryce zaś dwie trzecie ludności świata cierpi biedę absolutną. Średnia wieku nie przekracza tam piętnastu lat. Ciekawe czy wszystkowiedzący tego świata mają jakiś konkretny projekt dotyczący dwudziestego pierwszego wieku?

Często zastanawiam się nad słowem „dobro”, nad słowem „świętość”. Wszyscy mają tego pełne gęby. Część ludzi uważa, że świętość i dobro są rzeczami absolutnymi. Myślę, że tak nie jest, bo na świecie nie ma niczego doskonałego - wszystko jest względne, w tym świętość i dobro.

Prawdziwi święci rzadko składają ręce, nie nazywają siebie świętymi i nie uważają się za takich. Co więcej, myślę, że nie jest rzeczą godziwą starać się być świętym - widzieć w świętości cel, do którego się zmierza. Jeżeli czynimy z własnego życia źródło dobra dla innych ludzi, jeśli uważamy to za świętość, jest to zbieżność pojęciowa, a wynika z tego to, że nie powinniśmy żyć w intencji zostania świętymi. Przeciwnie, zdrowiej jest wcale o tym nie myśleć, bo uporczywe pragnienie zostania świętym łatwo się w naszym poczuciu spełnia, to znaczy łatwo jest nabrać przeświadczenia, że oto posiadliśmy iswiciuśc. Takie przeświadczenie widzimy na przykładzie niektórych hierarchów kościoła - nadyma nas pychą, poczuciem wyższości nad rodzajem ludzkim, wreszcie daje nam prawo, aby pogardzać i pomiatać innymi. Pewne jest to, że ci, którzy uważają się za świętych, są dalej od świętości niż ci, którzy się za świętych nie uważają. Tak naprawdę tylko ci są wśród świętych, którzy wcale o świętość nie dbają.

Świat jest tak skonstruowany, że w materii bytu wszystko jest ściśle z sobą związane. Każdy z nas, każda istota ludzka jest częścią wszechświata. Nie jest, jak powszechnie się uważa, częścią niezależną, bo gdyby kogoś z nas wyjąć z tej niezmierzonej całości, to całe dzieje wszechświata wyglądałyby inaczej. Każdy z nas ma jakąś misję w tym przeznaczeniu, nawet dziecko, które w godzinę po urodzeniu umiera, ale tak naprawdę to wcale nie wiemy jaka to misja. Aby to wiedzieć trzeba by boskiego umysłu, który widzi całość. Nie wiemy więc jaką misję mieli Hitler, Stalin, Einstein czy Chopin. Zadajemy sobie pytanie, czy świętych jest więcej wśród wierzących, czy wśród sceptyków, niewierzących, czy niepewnych. Przyjmując, że Hitler był katolikiem, policzyć tego oczywiście niepodobna. Ale można pokusić się o odpowiedź tymczasową, opartą zarówno na obserwacji, jak i na doświadczeniu. Mogłoby się wydawać, że wśród pobożnych chrześcijan można częściej spotkać świętość, gdyż głęboko wierzący są bardziej wyczuleni na samą sprawę świętości, więcej o niej słyszeli, więcej czytali. Mają świętość w swoim słowniku w swoich zasobach duchowych. Pewnie to prawda, ale prawda tylko w połowie. Druga połowa jest taka, że z tych samych powodów pobożnie wierzący wystawieni są na pokusę nieudoświętości, świętości biurokratycznej, naładowanej pychą i hipokryzją, samozadowoleniem z osiągniętego wtajemniczenia w prawdę, gdyż tylko oni przecież wiedzą co to jest Trójca Święta, a inni tego nie wiedzą... Tak naprawdę oni też nie wiedzą - nikt nie wie - nawet sam papież! Z wspomnianego samozadowolenia w prostej linii rodzi się kłamstwo i nienawiść, wśród nich właśnie jest więcej takich, którzy mniej starają się, aby bliźniemu służyć, a bardziej o to, aby zostać ciętymi. Tragiczne to, ale swoją pobożność przyprawiają kłamstwem i nienawiścią. Tak więc biorąc pod uwagę powyższe, sądzę, że święci są zarówno wśród wierzących, jak i niewierzących. Ja natomiast mogę śmiało powiedzieć -

święci obdarowali mnie dziś chlebem...

Do Ust - Kut, mojego pierwszego etapu podróży, pozostało już tylko dwa dni drogi. Czym bliżej miasta, tym więcej wiosek. Było już ciemno, kiedy znalazłem się w pasiołku Omolój.

Ponieważ było późno, nie chciałem już pałętać się po tajdze, postanowiłem więc, że noc spędzę we wsi. Wyszedłem na brzeg, wyjąłem namiot i już zabierałem się do rozstawiania, kiedy nagle pojawił się jakiś człowiek.

- A ty skąd się tu wzięłeś? - pyta bez ceregieli.

- Płynę w dół rzeki, jest noc, chcę tu przenocować - odpowiadam.

- Zaraz widać, żeś nietutejszy, na Syberii we wsi nie sypia się w namiotach, nocuje się zawsze w chacie. Namiot dobry jest do spania, ale w tajdze.

- Ale ja tu nikogo nie znam - próbuję wytłumaczyć.

- Na Syberii nie trzeba nikogo znać - tu świętość nakazuje obcego nakarmić i przenocować. To żadna łaska, to obowiązek.

- Zostaw to wszystko, nikt ci tu nic nie ukradnie, ewentualnie nakryj to przed psami. Dawaj, idziemy do domu.

- Mam na imię Tolek, wołają na mnie smarczyk, bo jestem miejscowym spawaczem., ale we wsi od pół roku światła nie ma, więc nie spawam, nie dowieźli ropy i agregat stoi. A jak stoi, to ja nie mam roboty, więc aby przeżyć, muszę łapać ryby. Łowiłem na brzegu, widziałem jak płynąłeś. Ale nie martw się prądem, w domu mam naftówkę, zresztą ty pewnie zmęczony.

- Trochę zmęczony - odparłem, ale mam flaszkę i na pewno nie pójde przedzej spać, póki jej nie wypijemy.

Na dźwięk słowa flaszka Tolek przyspieszył kroku i niebawem weszliśmy do tonącego w ciemnościach domu.

Tolek mieszkał wraz ze starym, chorym ojcem. Gdy wchodziliśmy, ten słabym głosem spytał - kto tam?

- Na noc przyprowadziłem - odpowiedział Tolek i nastąpiła cisza. Ponieważ dom składał się z jednej izby, przedzielonej zapiekiem, usiedliśmy przy stole w części tak zwanej kuchennej.

- Już drugi miesiąc umiera - powiedział Tolek, kiedy wypiliśmy po trosze wódki.

- Był w szpitalu, ale tam nie mają lekarstw, nie mają nawet pacjentom co dać jeść, więc kazali zabrać do domu. Zresztą to rak, więc i tak choróbsko nieuleczalne.

- Poza tym dobrze się stało, człowiek powinien w domu umierać, wśród swoich, nie gdzieś u obcych.

- Bóg da, to umrze szybko, nie będzie się męczył biedaczysko - powiedział, nalewając kolejną rundę.

W chwilę później procenty zadziałały i Toluś się rozmarzył, powróciły wspomnienia. Opowiadał, że jeszcze nie tak dawno, bo za komuny, dwa razy w tygodniu lądował w Omolaju helikopter. Można było się zabrać do Osietrowa, albo kazać sobie coś przywieźć.

Co kilka lat obowiązkowo jeździło się na wczasy. Zawsze nad Morze Czarne, bo tam długo ciepło. Stać nas było na wszystko, bo Sybiracy zarabiali dwa razy tyle co w Moskwie. Było więc za co szaleć...

A teraz - ryba z rzeki została, nie ma co wypić, nie ma co palić... Ale jest nadzieja, warto więc żyć...

Niebawem skończył się mocny bimberek i grzecznie jak dzieci poszliśmy spać. Przyznam, że miałem trochę w czubie. Tolek rozłożył się gdzieś w izbie, ja położyłem się na podłodze w kuchni.

Rano nie miałem żadnych poalkoholowych dolegliwości. Byłem wręcz wypoczęty - co znaczy świeże powietrze i dobry, nie skażony chemią alkohol!

Tolek już kręcił się po domu. Kiedy zobaczył, że się obudziłem, przyszedł do kuchni i siadł na ławie.

- Przed chwilą umarł, jeszcze jest ciepły - powiedział bezdusznym głosem, jakby chodziło o coś zupełnie banalnego, a nie ludzką śmierć.

- Bóg łaskawy, że go w porę zabrał, gdyby dłużej żył, strasznie by cierpiał, zresztą kto wie, ile naprawdę cierpiał. Cierpienie jest przecież nieprzekazywalne - powiedział.

- Chodźmy, odprowadzę cię nad rzekę. Mam dzisiaj mnóstwo spraw do załatwienia...

Tysiąc kilometrów pustkowia to albo bardzo mało, albo bardzo dużo. Zależy jak na to patrzeć. Jeśli kończysz podróż, to bardzo dużo, jeśli jednak do celu podróży zostało ci ponad trzy tysiące kilometrów, to ten tysiąc, co przebyłeś, jest niczym. To dopiero uwertura przed właściwym, długim spektaklem.

Nie koniec jeszcze drogi długiej, samotnej, głodnej i przeraźliwie zimnej drogi, gdzie jeszcze wszystko może się zdarzyć. Ale nie martw się wędrowcze i pamiętaj zawsze o tym, że wszystko na tym świecie można zmienić, jednego tylko nie można - losu człowieka nie da się zmienić. I jest jedno tylko w tym życiu pewne, a mianowicie to, że go nie przeżyjemy. Każdy z nas prędzej czy później znajdzie się w krainie, o której Hamlet powiada, że jest tylko milczeniem. Więc nie martw się na zapas - co ma bowiem wisieć, nie utonie...

Zbliżam się do Ust - Kut. Jutro wpłynę do portu, sumuję więc pierwszy etap mojej podróży. Wspominam przebytą drogę, wspominam tych kilka oddalonych od siebie wiosek. Myślę o ludziach, których spotkałem, ludziach niesamowitych, ludziach jakże wielkiego

serca. Syberia dla nich, to po prostu ich ziemia. Są z nią zrośnięci na dobre i złe, połączeni z nią od kołyski aż po grób. Wielu z nich nie wytknęło nawet nosa poza bezkresne obszary, rozciągające się wokół ich domostw. Świat dla nich zaczyna się i kończy w tej części Syberii, gdzie ogarnia ich zewsząd bezmiar tajgi. Syberia to jedno z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie przemierzając się, długo można sycić się nostalgicznym pięknem krajobrazu, zanim zobaczy się jakiegokolwiek oznaki ludzkiej obecności.

Poznanie człowieka nie da się pogodzić z życiem poświęconym polityce. Niektórzy panowie dziennikarze mają niestety to nieszczęście, że natchnienie, czyli dar twórczy wypływa z najmniejszej szlachetnej i czystej części ich osobowości. Wypływa z tego, co w nich samych tkwi, z tego, co przez całe życie starają się wymieść z zasięgu swojej świadomości - słowem z niedorozwoju, który sprawił, że nic w życiu nie doświadczyli, że nic o nim nie wiedzą, bo nie uczyli się tego na studiach. Wszyscy oni na własne nieszczęście odkrywają, iż bohaterowie ich paplaniny rodzą się z ciemności... Czasami zastanawiam się, gdzie oni wyszukują ten cały śmietnik obrzydliwości.

Często oglądam w telewizji reportaże o Syberii, wszystkie, jak jeden, szare, bezbarwne, wszędzie sensacja stoi przed prawdą - pokazuje się tylko śmieci. Nie widziałem nigdy ładnego ujęcia, jakiegoś kadru ukazującego piękno tej ziemi. W filmach o Syberii tonie się w gównie i błocie, a najbardziej eksponowane jest ujęcie rozwalonego syberyjskiego sracza...

Przed sześcioma laty, kiedy pisałem pierwszą książkę o Syberii, wspomniałem, że wierzę w to, że niedługo zobaczę jakiś prawdziwy reportaż, z treści którego wyniknie, że na Syberii owszem żyje się biednie, ale w sumie to piękna kraina, pomimo że biednie, spotkać można wspaniałych, bezinteresownych ludzi. Nic z tego. Rosja nie jest teraz w modzie, w modzie jest dobroduszość i mądrość Ameryki... Minęło sześć lat, w ciągu tego okresu piękna tej ziemi nie pokazał żaden reportaż, żaden film.

Na niebieskiej płaszczyźnie rzeki panuje spokój. Wszystko dookoła jest nieruchome, jakieś nieludzkie, nieodwracalne, odwieczne. Nad otaczającymi rzekę wzniesionymi górami niebo jest jasne, oczyszczone przez harcujący tam w górze wiatr. Tylko jeszcze na północy czarny kottun opada na surowe szczyty gór, ponure wały niestopniałego do końca śniegu. Tu na dole ani odrobiny wiatru. Świat inaczej wygląda w czystym, ciepłym świetle promieni słonecznych.

Okolo południa zrobiło się tak ciepło, że pierwszy raz zdejmuję z siebie odzież, siedzę teraz w samych kąpielówkach, a moje ciało chłonie witaminę D3.

Niesie to za sobą coś radosnego i niewytłumaczalnego zarazem. Przecież dwa dni temu były jeszcze mrozy.

Jest dzisiaj jeszcze jeden powód do radości. Dopływam bowiem do cywilizacji; jeszcze dziś będę w Ust - Kut, największym porcie rzeczonym Rosji. Choć właściwa nazwa portu brzmi Osietrowo, celowo nazwałem go Ust - Kut, gdyż próżno na mapie szukać Osietrowa. W ogóle sprawa wygląda o wiele bardziej skomplikowanie, wiem to chyba jedyna miejscowość na świecie, którą można nazwać stosownie środka transportu jakim się tu dotarło.

I tak, jeżeli dopłynąłem tu statkiem, to dopłynąłem do Osietrowa; jeżeli wysiadłem z pociągu, to zobaczę napis informujący, że wysiadłem na stacji Lena; gdy dojechałem tu samochodem lub autobusem, to znalazłem się w mieście Ust - jut. Nazwy trzy, a miejscowość jedna. Na razie do Ust - Kut jeszcze kilkanaście kilometrów, w chwili obecnej dopływam do wioski Turuka.

Czuć już bliskość miasta. Ruch jak na bazarze. Wzdłuż brzegów sporo niosących plecaki ludzi. Wiem, że to nie turyści, tylko mieszkańcy okolicznych wiosek wracający z zakupów w mieście. Turuka bowiem to nie jakaś tam wioseczka, jakich tysiące zagubionych w tajdze, lecz wieś z traktorami, motocyklami samochodami. Z pewnością więc dochodzi tu jakaś droga.

Pierwszy upalny dzień sprawił, że cała wieś wyległa nad rzekę, aby zrobić ranie. Wszędzie piorą, nie ma ani jednego wolego pomostu. Gdzie spojrzeć, pochylone przy tarach kobiety, na brzegach drewniane balie z wypłukaną bielizną, kręci się też sporo wędkarzy, młodzi, starzy, dzieci, nawet młode dziewczęta - wszyscy łowią tu ryby.

Za wioską przeprawa promowa - stary, mały holownik i jakaś zardzewiała barka. Przewożą ludzi, samochody, motocykle i traktory. W chwilę później zauważam, że dojazdowa droga prowadząca do wsi znajduje się po drugiej stronie rzeki. Nieco dalej po lewej stronie wpada do Leny Turuka, za jej ujściem, aż do samego miasta, czyli ponad dziesięć kilometrów, rozciągają się tereny wypoczynkowe, czyli słynne rosyjskie dacje.

Rosyjskie dacje to osobliwa kraina szczęścia i radości. W czasach ZSRR posiadali je tylko zasłużeni działacze. Po upadku imperium nowa władza natychmiast zdała sobie sprawę, że szybko nie wyżywi narodu, więc aby naród zaczął sam się żywić, postanowiono każdemu mieszkańcowi miasta dać troszeczkę ziemi. Wydzielono tereny za miastem i każdy dostał określony kawałek pola, na którym natychmiast posadził ziemniaki.

Później każdy zapragnął postawić sobie drewniany domek, a wraz z nim, na wzór rosyjskich zagród, wysoki drewniany parkan.

Nastąpiło pospolite ruszenie, coś na wzór gorączki złota. Natychmiast wzięto się do pracy, lud zaczął odmierzać ziemię. Całe zastępy uzbrojone w piły i siekiery wyruszyły po drewno do lasu. Gdzieniegdzie nawet zawiązano komitety. Ściągnięto z wojska traki i dla

wszystkich mieszkańców miasta rżnięto drewno. Jak grzyby po deszczu, pod okiem domorosłych architektów, powstały konstrukcje godne dwudziestego pierwszego wieku... Nie macie pojęcia, jakie gusta mają nowobogacy mieszczenie. Tego nie da się opisać, to trzeba zobaczyć. Budowle są różne: parterowe, piętrowe, a nawet dwu - i trzypiętrowe. Niektóre podobne są do cerkwi, inne do cmentarnych kaplic. Osobliwe jest to, że każda z nich stoi na powierzchni pięciu metrów kwadratowych, bo takie ustanowiono przepisy.

W ten sposób w ostatnich latach na terenie całej Rosji powstały tysiące drewnianych osiedli, określanych przez wszystkich jako dache.

Płynę właśnie wzdłuż takiego osiedla zbudowanego przez mieszkańców Osietrowa. Jest sobota, więc lud pracujący odpoczywa. W każdej zagrodzie dymi ognisko - to jedyny sposób, aby pozbyć się śmieci. Słychać piły rżące drewno, szczekające psy i płaczące dzieci. Jedni myją samochody w rzece, inni tuż obok łowią ryby, niektórzy, ci odporniejsi na zimno, kąpią się już w rzece. Przed domkami nastawione na cały regulator radia i magnetofony. Z każdego dobywa się rosyjska wersja disco - polo. Jeden wielki zgiełk i bałagan. Echo niesie się hen po okolicznych górach, nikomu to jednak nie przeszkadza, bowiem dziś jest sobota i mieszkańcy Osietrowa odpoczywają...

Lena zakręca szerokim łukiem w prawo, z lewej strony nieco dalej wpada do niej bystra Kuta, kończą się dache, rozpoczynają się pirsy portowe.

Osietrowo jest bardzo ważnym węzłem komunikacyjnym na Syberii. Tu krzyżują się nieliczne na Syberii drogi, dochodzi odnoga kolei transsyberyjskiej, rozpoczyna się wschodni odcinek BAM - u, czyli Bajkalsko - Amurskiej Magistrali. Jednym słowem, stąd wszystkie towary wędrują w głąb Syberii i odwrotnie, tu przeładowuje się syberyjskie bogactwa naturalne, które wędrują do centralnej Rosji.

Po obu stronach rzeki stoją ludzie, przeważnie łowią ryby, widzę też stojące motocykle i samochody. Choć nie powinienem jeszcze triumfować, jestem dumny z siebie, chyba dlatego, że cywilizacja, do której udało mi się dotrzeć, jest pewną dotykalaną wykładnią przebytej drogi.

Jest wczesny wieczór, kiedy wpływam między zabudowania portowe. Widzę dźwigi i magazyny stojące wzdłuż nabrzeży. Nieco dalej tuż przy samej rzece osiedle mieszkaniowe, składające się z betonowych wieżowców i bloków.

Ciepły letni wieczór sprawia, że nad wodę wyległo całe miasto. Jedni spacerują, inni kucają z wędkami, są też tacy, którzy piją gorzałę przy ryczącej muzyce płynącej z tranzystorów.

Szczekające psy, jeżdżące samochody i motocykle, krzyk rozbawionych dzieci, wszystko to powoduje, że nad rzeką panuje ogólny zamęt.

Płynę dalej nie zaczepiany przez nikogo. Mijam olbrzymie barki przystosowane do przewozu węgla i stojące przy nich wielkie, wysokie na kilka pięter holowniki.

Prawdę mówiąc, nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki jest ten port, gdyż z mapy, jaką posiadałem, to nie wynikało.

Nabrzeża, dźwigi, bocznice kolejowe i magazyny ciągną się wzdłuż rzeki na ugości prawie dwudziestu kilometrów! Cały port jest jakby przedzielany blokami mieszkalnymi - pewnie mieszkają w nich dokerzy. Wszystko to tworzy osobliwy kompleks portowo - mieszkaniowy.

Najbardziej jednak okazały jest budynek Dworca Rzecznego. Biały - z daleka wypominający pałac prezydencki w Waszyngtonie. Ciekawe skąd przywieziono ściany tej budowli? Widzę napis na ścianie: „z świętem zwycięstwa”, obok jakiś pomnik, chyba nie Lenina, bo facet stoi z założonymi rękoma...

Przy kejach stoją duże statki, są tak duże, że pasowałyby bardziej do bezkresu oceanu niż do szerokiej na kilkaset metrów rzeki. Nie słychać jednak głosów pracującego portu, pracy dźwigów, nawoływań dokerów. Port zdaje się wymarły - kryzys gospodarczy sprawił, że największa flota rzeczna świata stoi rdzewieje.

Przepływam pod wysokim mostem drogowym, później kolejowym, po lewej mijam stocznię, po prawej zaś duży basen portowy, w którym widzę wielki statek wycieczkowy. Nie zatrzymuję się w ogóle. Jest noc, kiedy opuszczam port; jestem szczęśliwy, że znów jestem blisko ciszy i natury.

Na niebie pojawiło się nieśmiałe lśnienie. Przedświt zamienił się w świt, później nastał ranek. Spoza porannej mgiełki ukazał się czerwony rąbek słonecznej tarczy. Opanowało mnie uczucie, o którym już wspominałem: człowiek płynie dniami, tygodniami, niestrudzenie dąży do celu, a później jest miasto albo wieś, znów są ludzie, a z nimi to wszystko, czego człowiek pragnął, do czego płynął - po chwili jednak okazuje się to wszystko śmieszne - okazuje się bowiem, że bez tego można żyć doskonale... A potem znów płyniesz dniami i tygodniami...

Noc spędziłem przy ognisku tuż za Osietrowem, naprzeciw miejscowości Jakurim. Noc była bardzo ciemna, obawiałem się więc po omacku płynąć, gdyż w okolicy portu z wody wystawało mnóstwo różnorodnego złomu. Celowo też nie zmrużyłem oka tej nocy, gdyż wraz z brzaskiem zamierzałem ruszyć w dalszą drogę, aby jak najprędzej wydostać się z tego portowego piekła. Teraz widzę, że miałem rację spędzając noc na brzegu. Dzień odsłonił zeszpecony przez człowieka krajobraz. Na brzegach walają się przeróżne śmieci, kartony, szmaty, butelki, leży dużo zardzewiałego złomu. Widać, że nikt tu nie dba o ochronę środowiska i estetykę tym bardziej. Krajobrazy syberyjskie są przepiękne, pod

jednym jednak warunkiem, a mianowicie, że nie tknęły ich ludzkie ręce...

W dół rzeki płynie wielki tankowiec. Jest tak pełen, że przez burty przelewa mu się prawie woda. Patrząc na kolosa i na wąską, krętą rzekę, i nadziwić się nie mogę, jak można tym kolosem pokonywać liczne na tym odcinku ostre zakręty.

Chociaż opuściłem już port, to jednak nie rozstałem się z szeroko pojętą cywilizacją. Wzdłuż rzeki, aż do miejscowości Kazarki ciągnie się szutrowa droga, którą na okrągło jeżdżą ciężarówki. Każda z nich wzniesła tumany kurzu, który praktycznie nie opada, kiedy więc spojrzę na lewą stronę, wydaje mi się, że brzeg po tej stronie płonie.

Zauważyłem, że pojawił się jakiś gatunek mew, który nie występował w górnym odcinku rzeki. Nie były to duże ptaki, trochę większe od gołębi. Niemniej bardziej hałaśliwe, pewnie dlatego zwróciłem od razu na nie uwagę. Teraz muszę to odkrycie zapisać w jakiejś ptasiej encyklopedii: mewy takie a takie występują na terenie Syberii od Morza Arktycznego do miejscowości Ust - Kut i ani kilometra dalej...

Od Osietrowa tor wodny na rzece wytyczają już boje; czerwone po lewej, białe po prawej. Na brzegach stoją nabieżniki, bez nich nie mogłaby się odbywać żegluga. Miejscami tor wodny ma nie więcej niż dwadzieścia metrów. Zadziwiające jak pokonują go olbrzymie tankowce i masowce, które widziałem stojące w porcie.

Nic nie pozostało po wczorajszym cieple - dziś znów płynę w ciepłej kufajce. Niebo pokryte jest ciemnymi chmurami, wieje, silny, mroźny, zachodni wiatr. Wiatr jest sprzyjający, więc przemieszczam się dość szybko.

Po jakimś czasie rzeka skręca w prawo i zakurzona droga znikła gdzieś otchłani tajgi. Na brzegu ujrzałem tablicę - 3559 km - to dokładna odległość dzieląca mnie od ujścia rzeki. Chyba nigdy tam nie dopłynę - pomyślałem.

Po południu zaczął siąpić drobny kapuśniaczek. To żaden deszcz - pomyłem. Jednak godzinę później byłem już cały mokry, a do tego dopiero wtedy dobre się rozpadało. Przemokłem więc do suchej nitki, wszystko, co miałem łódce, ociekało wodą. Błąd mój polegał na tym, że kiedy zaczęło siąpić, nie włożyłem w porę nieprzemakalnego stroju, uważałem bowiem, że lecący z nieba kapuśniaczek to przecież żaden deszcz. Nic bardziej złudnego, gdyż właśnie taki niewinny kapuśniaczek zmoczy bardziej niż jednostajny deszcz. Nie ma w tym nic strasznego, ale nieprzyjemne jest wieczne przebywanie w wilgotnej odzieży, najważniejsza jednak w tym wszystkim jest psychika. Godzinę później zerwał się wiatr i lało już jak z cebra, a ja, zmoczony jak kura, byłem już tak obojętny i wszystko, że na złość naturze wiosłowałem ile sił w rękach i darłem się na całe gardło, aby deszcz pocałował mnie w d... Żałuję, że prawdopodobnie nikt nie oglądał tego spektaklu z brzegu.

Pod wieczór usłyszałem jakiś ryk i moment później zza zakrętu wypadł pędzący

prosto na mnie wodolot. Ponieważ rzeka w tym miejscu nie była szersza niż dwieście metrów, ile sił w ramionach zacząłem wiosłować w kierunku brzegu. Nie wiem, czy załoga w strugach lejącego deszczu mnie widziała, czy nie, wiem tylko, że wodolot przemknął jak burza pozostawiając po sobie wysokie fale. Ale kogut - pomyślałem, gdyż w związku z sytuacją przypomniał mi się kawał o kurze i czołgu... Nie miałem pojęcia co to za typ wodolotu, zdążyłem tylko odczytać napis „Zaria”. O tym, że nie był to kogut, tylko kogucik, przekonałem się nieco później w okolicach Jakucka, kiedy o mało nie staranował mnie wysoki na kilka pięter wodolot klasy Meteoryt. Na razie nie wiedziałem jeszcze o istnieniu takiego kolosa, byłem wręcz zaskoczony prędkością „Zarii”, bowiem ledwo co umknąłem jej sprzed dziobu. Sytuacja ta sprawiła, że od tej chwili każdy wodolot nazywałem bandytą... Od tej chwili miałem na rzece wroga...

Ciemniało już zupełnie, kiedy dojrzałem wielki tankowiec płynący w górę rzeki. Był to niesamowity widok - kolos płynący strugą... Statek był pusty, płynął, jak się domyślałem, po załadunek. Brak balastu sprawił, że był całkowicie wynurzony, ściana wystającej ponad wodę stali podkreślała jego wielkość.

Najbardziej zastanawiało mnie jak taki kolos pokonuje liczne wąskie i ciasne zakręty, które gdzieś tam były tak wąskie, że wydawałoby się, że zostały wytyczone specjalnie dla mojego pontonu. Dopiero później dowiedziałem się, że te długie stalowe kolosy nie posiadają w ogóle steru, a sterowanie nimi odbywa się za pomocą dwóch śrub napędowych o zmiennej geometrii łopat. Przyznać trzeba, że Rosjanie jak chcą, to potrafią wszystko do swych potrzeb dostosować.

Niechcący stałem się sprawcą wypadku - a było to tak: kiedy mijał mnie omawiany tankowiec, załoga wyległa na mostek, aby przyjrzeć się, cóż to za idiota pływa po rzece w taki deszcz. Pamiętam, że ostro sobie dowcipkowali ze mnie. Pomyślałem wtedy - panowie, patrzcie lepiej przed siebie, bo zaraz zaryjecie ryjem w brzeg...

Jeszcze śmiechy na mostku nie ustały, kiedy nad otulającą rzekę tajgą rozległ się trudny do opisanego dźwięk. Tony stali z łoskotem tarły o kamienie. Statek zboczył z wąskiego toru wodnego i wszedł na kamienistą mieliznę. Echo poniosło przez okoliczne góry ten straszliwy dźwięk, jestem jednak pewien, że wszędzie skojarzono go z odgłosem nadciągającej burzy. Cóż, nie należy śmiać się z pana Koperskiego - pomyślałem.

Pewny świetnego przedstawienia natychmiast wyszedłem na brzeg. Na tankowcu zakotłowało się jak w mrowisku, w które ktoś nieopatrznie wsadził kij. Wszyscy biegali jak opętani, włączono zewnętrzne głośniki skąd płynęły wykrzykiwane do załogi rozkazy.

Silniki zaczęły pracować na „cała wstecz”, lecz nie na wiele to się zdało; dno było kamieniste, a kamienie nie dawały się wypłukać. Przedstawienie trwało do nocy, wreszcie

dano za wygraną, wyłączono silniki i zapalono światła pozycyjne. Niebawem wszelki ruch na tankowcu zamarł, słychać było tylko pracujące agregaty.

Postanowiłem zostać w tym miejscu na noc, uważałem bowiem, że pracujące na tankowcu agregaty skutecznie odstraszą niedźwiedzie...

Byłem cały przemoczony, wszystko wkoło było mokre, nie było też z czego rozpalić ognia. Siedząc więc w wilgotnym namiocie po raz kolejny pomyślałem, że dobrze by było mieć przy sobie prymus na benzynę...

Następnego dnia wciąż jeszcze padało. Kiedy rano odpływałem, na tankowcu jeszcze nic się nie działo - liczono widocznie na to, że padający deszcz podniesie poziom wody i uwolni statek.

Okolo południa dopłynąłem do wsi Tajura, leżącej na prawym brzegu, tuż przy ujściu rzeki Tajury do Leny. Co prawda, do następnej miejscowości o nazwie Nowoselowa miałem tylko parę kilometrów, to jednak nie byłem pewien, czy wieś jest jeszcze zamieszkała, a następną miejscowość spodziewałem się spotkać dopiero kilkadziesiąt kilometrów dalej. Postanowiłem więc zajrzeć do wsi, trochę odpocząć i ewentualnie w jakiejś chacie się osuszyć.

Tajurę zlokalizowano na wzgórzu. Roztaczał się stąd prześliczny widok na porośnięte tajgą góry oraz na łączące się z sobą dwie rzeki - Lenę i Tajurę. Domy we wsi ustawiono w kształcie szerokiej litery V, dlatego część mieszkańców mówiła, że mieszka nad Leną, inni, że nad Tajurą. Widać było, że wieś ma nieźle, świadczyła o tym ilość stojących na brzegu łodzi oraz stosy świeżego drewna poukładanego przed każdym domem.

Znów znalazłem się w niezręcznej sytuacji, ponieważ nie wiedziałem co robić, aby się zbytnio nie naprzykrzać, a jednocześnie posiedzieć trochę w jakimś miłym, przytulnym domu. Wreszcie wpadłem na prosty pomysł - wszedłem do pierwszej z brzegu chaty i z miną idioty zapytałem jak nazywa się ta wieś.

- Ano Tajura - zachodźcie dalej, widzę żeście w drodze, pogrzejcie się trochę, powiada starszy człowiek, siedzący w kuchni przy stole.

- Dziękuję, nie chciałbym przeszkadzać, ja tylko chciałem zapytać...

- Siadaj i nie gadaj; napijemy się czaju.

- Skoro czaju, to nawet chętnie, bo mokro i chłodno na dworze - powiadam iż bez specjalnego zaproszenia siadam przy obszernym stole. Po chwili do izby wchodzi gospodyni i już z progu pozdrawia jakimś świętym przywitaniem, coś modłę, że Bóg mnie tu przysłała.

Nie Bóg, tylko deszcz i głód - pomyślałem, jednak wnet zdałem sobie sprawę, w myślach bluźnię, a to już było wielkim nietaktem wobec mieszkańców tego domu.

Wszędzie na Syberii picie herbaty jest pretekstem do częstowania jedzeniem, wszyscy Sybiracy doskonale o tym wiedzą, ale w formule zaproszenia nigdy się nie mówi o jedzeniu, tylko - chodźcie, napijemy się herbaty. Tak było też tym razem.

Po chwili zastawiono stół, jakby podejmowano księcia. Chleb, masło, wędzona ryba, peklowane mięso oraz jakaś zielenina. Ma się rozumieć, gospodyni przyniosła również herbatę, która była tylko pretekstem do wystawienia tej uczyty.

Czyż nie jestem szczęśliwcem? Znów siedzę w chacie, na stole jest jedzenie, w piecu słychać buzujący ogień.

Pomyślałem o tych wszystkich nieszczęśliwych w Polsce, którzy czują się biedni, pomimo że w ogóle nie wiedzą, co w dosłownym znaczeniu oznacza słowo bieda. Pomyślałem o tych nędznych gospodyniach, które mając w domu chleb, masło, ziemniaki, tłuszcz, jajka - mówią, że w domu nic nie ma do jedzenia, wreszcie pomyślałem o tych wszystkich, którzy mając w kranach wodę, sracz pod dachem, mówią, że mają ciężkie warunki mieszkaniowe. Rzeczywiście, my Polacy jesteśmy biednym narodem, naprawdę biednym...

- Ot, tak żyjemy sobie - powiada gospodarz pomiędzy kęsami chleba.

- Teraz jest tu spokój, dawniej, kiedy statek za statkiem szedł sznureczkiem, więcej bywało u nas ludzi. Wożono, handlowano, wszyscy mieli pracę. Co drugi we wsi to doker. Oni to dopiero zarabiali - mieli tyle pieniędzy, że nie zawsze wiedzieli co z nimi zrobić.

- Cztery razy dziennie kursował wodolot do miasta - dziś już w ogóle nie kursuje, czasem tylko zatrzyma się ten płynący z Kireńska, ale bardzo rzadko - tylko gdy ktoś ładnie poprosi.

- Ale nie narzekamy, biedy nigdy u nas nie było. No, może w latach trzydziestych było nieco skromniej.

- W rzece jest trochę ryby, resztę znajdziesz w tajdze. Kto głodny tu, to z własnej winy.

- Mamy tu latem takich sąsiadów, Tunguzów z Górnej Tajury. Oj, gdyby oni nie pili - byliby milionerami. Mieszkają tu tylko latem, w zimie zaś w Aukumie, opuszczonej wsi leżącej w górnym biegu Tajury. Właściwie to tej wioski już nie ma - stoi tam tylko jedna chata, ta, w której zimują. Polują całą zimę, latem zaś ze względu na bliskość sklepu zjawiają się u nas we wsi i przepijają wszystko, co zimą upolowali. To świetni myśliwi, żaden Rosjanin, Jakut czy Buriat im nie dorówna, we krwi mają tajgę i polowanie. Ale co z tego, wszystko przepijają. Doszło do tego, że nie przyjmują już nawet pieniędzy. Jeżeli więc chcesz okazjnie nabyć skóry sobola czy czarnego lisa, musisz zapłacić butelkami wódki. Żadnej innej waluty nie uznają. No, może czasami jak wódki zabraknie, zgodzą się na

bimber, ale mówią, że ich skóry są prawdziwe, więc chcą za nie prawdziwej wódki.

- Kiedykolwiek zajdziesz do nich, to piją. Podobno są trzeźwi tylko zimą, gdy polują, ale tego nikt nie może zaświadczyć, gdyż przez zimę ich tu nie ma, więc nikt nigdy ich trzeźwych nie widzi.

- Miesiąc temu, podczas wichury przewróciła się na ich dom olbrzymia sosna. Zgniotła dach i zatrzymała się w kuchni. Tunguzom drzewo w kuchni nie przeszkadza, cieszą się nawet, że nie muszą po drewno na dwór wychodzić. Mieszkają dalej tak, jakby się nic nie stało.

- A tak w ogóle to nie ma Tunguzów... Chodzi mi o nację. Tak po prostu się utarło, bo było ich nazywać łatwiej. Tunguzi to nic innego jak Eweni i Ewenkowie, żyjący nad rzeką Tunguzką, tą samą, gdzie w pobliżu spadł ten wielki meteoryt - dodał.

- Co wobec tego jedzą ci Tunguzi, skoro cały czas piją? - zainteresowałem się.

- Co jedzą? Tunguzi wszystko zjedzą, a jak im się nie chce wychodzić z domu na ryby lub polowanie, to nawet swojego kota zarzną i zeżrą...

Chociaż życie Tunguzów bardzo mnie zainteresowało, nie wypadało ciągle pytać, więc teraz ja z kolei opowiedziałem nieco o sobie, swojej wyprawie, o życiu w Europie i Ameryce.

Mówiłem ogólnikami, tak aby wiedzieli o czym mówię. Nie wymądrzałem się na temat Internetu, kuchenki mikrofalowej czy telefonii komórkowej...

Fajnie się gwarzyło i siedziało w ciepłym pomieszczeniu, ale cóż, komu w drogę, temu czas. Kiedy wychodziłem, gospodyni wcisnęła mi jakieś zawiniątko. To na drogę - powiedziała.

Kiedy odszedłem nieco od chaty, odwinąłem pakunek. W środku znajdował chleb, cebula i jakaś wędzonka. W gardle mnie ścisnęło - skąd w tych ludziach dobroci?

Kiedy szedłem w kierunku rzeki, po drodze zauważyłem chatę myśliwych. u, w którym spędzali lato Tunguzi, miał tylko jedno okno, reszta zabita była dechami. Gdyby mi nie powiedziano, nigdy bym się nie domyślił, że ktoś może mieszkać w takiej ruinie. Zresztą samo określenie dom jest w tym momencie błędne, to coś wyglądało jak rozgnieciony nogą karton po butach - Tunguzom jednak to nie przeszkadzało.

Nie wiem, co strzeliło mi do głowy, ale postanowiłem odwiedzić Tunguzów, ciałem na własne oczy zobaczyć najlepszych myśliwych na świecie...

Zapukałem głośno, ale nikt nie odpowiedział, w środku panowała cisza. Nacisnąłem więc drzwi, które - jak większość drzwi na Syberii - okazały się otwarte. Gdy wszedłem do środka, uderzył mnie smród godny najwykwintniejszej meliny. Tunguzów zastałem w niebycie. Dwóch leżało nieprzytomnych na podłodze, eden spał przy stole. Ci z podłogi

bardzo ciężko oddychali, był to znak, że wszystko w porządku, że jeszcze żyją. Śpiący przy stole głośno chrapał i wyglądał chyba najzabawniej, gdyż głową oparty był o blat, a ręce zwiślały mu bezwładnie prawie do samej ziemi.

Na stole walały się butelki po wódce i resztki jakiegoś jedzenia. W jednej butelek była jeszcze połowa zawartości - widać już jej nie zmogli.

Chciałem się już wycofać, gdyż Tunguzi byli wyraźnie nie do rozmowy, lecz n śpiący przy stole coś usłyszał i niespodziewanie podniósł głowę. Popatrzył raz na mnie nieprzytomnym wzrokiem, takim, jakim mogą patrzeć tylko pijacy psychole, po czym na powrót oparł głowę o stół. Coś jednak do niego dotarło, gdyż gwałtownie się zerwał na równe nogi, z przerażeniem spojrzał na mnie zapytał, skąd tu przybyłem...

W tym momencie zrozumiałem jego strach i sens pytania, zdałem sobie bowiem sprawę, że od stóp do głowy byłem żółty - ubrany byłem bowiem w żółty, nieprzemakalny kombinezon. Zrozumiałem wnet, że ten kombinezon Tunguzowi kojarzyć się musiał z kosmosem...

- Z daleka, z innej planety - odpowiadam, a Tunguz z coraz większym przerażeniem wytrzeszcza oczy.

- Przybyłem tu, aby napić się trochę waszej wódki, a potem zabrać was ze sobą do kosmicznego zoo znajdującego się na innej planecie - wypaliłem, śmiejąc się ze swojego pomysłu.

Powiedziawszy to wzięłem ze stołu butelkę i duszkiem wypilem parę łyków. Tunguz patrzył, przecierał oczy, marszczył czoło, wreszcie zaczął coś bełkotać i począł budzić leżących na ziemi. Zrozumiałem, że przedstawienie skończone i trzeba się czym prędzej ewakuować.

Kątem oka jeszcze raz spojrzałem na Tunguza i z ulgą zobaczyłem, że zupełnie zgłupiał i nie orientuje się w czasie. Patrzył teraz na mnie tak, jak się patrzy na zjawy; patrzył z otwartym, bezzębnym śpiwnikiem, wytrzeszczonymi oczami i jęzorem wywalonym na wierzch.

- Idę uruchomić statek kosmiczny, zaraz po was wrócę - powiedziałem, po czym spokojnie opuściłem chatę.

Kiedy w chwilę później płynąłem w dół rzeki, tarzałem się śmiechu. Raz po raz miałem napady śmiechu, ilekroć wyobrażałem sobie Tunguza opowiadającego kompanom spotkanie z pijącym kosmitą... Tego wieczoru czas upływał mi bardzo przyjemnie.

Niebieska połowa nieba styka się czarną tuż nad moją głową. Obie jakby na chwilę znieruchomiały z wysiłku. Po chwili falują nieznacznie, wreszcie lekko wirują w koło, przesuując się tam i z powrotem. To wiatry na górze walczą ze sobą.

Na początku maja wszystkie wąwozy i obniżenia terenu dorzecza Leny pękają w szwach od nadmiaru wody. Później, kiedy pierwsza woda spłynie, rzeka staje się tak anemiczna, że wydaje się, że tylko cud może sprawić, by odzyskała zdrowie i życie.

To nie do wiary, że w niektórych miejscach jedna z największych rzek świata zamienia się w długie, niekończące się jezioro. Woda bowiem zamiast płynąć - stoi w miejscu. Nie mam wyjścia, więc wiosłuję uparcie, ale wiosłowanie jest zajęciem nudnym, a ponadto wymaga wysiłku, a to już nie bardzo mi się podoba. Bo niby dlaczego miałyby mi się podobać? Gdybym chciał wyrabiać sobie mięśnie, nie musiałbym przyjeżdżać na daleką Syberię, chodziłbym po prostu na siłownię. A tak chłodno, głodno, daleko do domu, a do tego jeszcze to przekłete wiosłowanie. Aby urozmaicić sobie tę monotonię życia, zabawiam się stopniując wysiłek poprzez liczenie ruchów wiosłami.

Najpierw trzydzieści machnięć i minuta odpoczynku. Następnie trzydzieści pięć i minuta przerwy, później czterdzieści i tak dalej, i tak dalej, aż do stu - później przerwa i zabawę rozpoczynam od nowa.

Są jednak chwile, że ze złością składam wiosła i wmawiam sobie, że nie będę wiosłował, bo gdyby bozia chciała, abym wiosłował, to zamiast dłoni wyrosłyby mi płetwy... Później jednak ponton staje w miejscu, a ja po chwili uporczywie poczynam wiosłowanie od nowa.

Kiedy indziej tak się zasadziłem, że postanowiłem wiosłować od zakrętu rzeki następnego. Trwało to przeszło pół godziny, ale dopiąłem swego. Z jedzeniem nie jest najgorzej. Mam jeszcze konfitury z czarnej porzeczki, trochę śmietany i całe dwa bochenki chleba, z czego jeden świeży, który otrzymałem w Tajurze. Pewnie nie na długo to wszystko wystarczy, gdyż apetyt mam wilczy, ale na razie nie widzę potrzeby, aby żałować sobie jedzenia - nie zanosi się więc, abym miał tu, na Syberii umrzeć z głodu.

Czasami aż sam się dziwię, skąd płynie ten mój optymizm. Jestem osiem tysięcy kilometrów od domu, nie mam grosza przy sobie, na dobrą sprawę nie wiem, co wydarzy się jutro czy choćby za godzinę. Nie wiem, kiedy dopłynę do celu, nie wiem, czy w ogóle tam dotrę, a o powrocie do domu boję się wręcz myśleć - bo niby jak i za co miałbym wrócić. Mam ciekawie zbudowaną psychikę, chyba jednak brak mi jednej klepki. Tak, dziś jestem pewien - brakuje mi jednej klepki.

Za Osietrowem charakter rzeki zasadniczo się nie zmienił. Lena dalej wije się między górami porośniętymi tajgą. Więcej jest natomiast zamieszkanych wiosek, chociaż nie brakuje też opuszczonych domostw. Jakoś makabrycznie wyglądają te ostatnie.

Dzisiaj obliczyłem, że przemieszczam się po Syberii ze średnią prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Płynę różnie, czasami cały dzień bez przerwy, czasami krócej,

ponieważ zatrzymuję się w miejscach, które mnie interesują, lubię zwłaszcza kręcić się po stojących tu i ówdzie starych siedliskach ludzkich, przyglądam się im w skupieniu, starając wyobrazić sobie czasy ich świetności, patrzę na piece, które dawały ciepło i gotowały strawę, zgaduję zastosowanie niektórych nieznanych mi przedmiotów. Szczególnym pietyzmem darzę stare meble, pozostałości naczyń kuchennych, porośnięte trawą narzędzia rolnicze, ciekawi mnie wszystko, co wydaje się opowiadać o życiu mieszkających tu przed laty ludzi.

Wcale nie trzeba patrzeć na ruiny wielkich zamków, aby zadumać się nad przemijającym nieubłagane czasem. Każde ruiny, nawet ruiny chłopskich chałup, przypominają, że nic nie jest wieczne, że w skład naszego życia wchodzi również śmierć. Nie bójmy się, ona nikogo nie ominie.

Dzisiaj pierwszy raz od czasu rozpoczęcia ekspedycji ugryzł mnie komar. To wielkie wydarzenie, gdyż obudził się mój największy syberyjski wróg. Nie muszę chyba nikomu mówić, co oznacza komar i Syberia, wiem, że od tej chwili owad n będzie mi utrudniał życie.

Pogoda jest kapryśna. Jest trochę słonecznego lata, deszczowej wiosny i mroźnej zimy - wszystkiego po trochu. Pomny ostatniej deszczowej przygody, teraz już przy pierwszej kropli z nieba zakładam swój kosmiczny, nieprzemakalny strój. Ponieważ w ciągu dnia na przemian występują wszystkie pory roku, cały czas ubieram się i rozbieram.

Mijam malownicze Nazarowo oraz skupisko pięciu wiosek z przewodnią nazwą Markowo. Używam określenia „przewodnią” ponieważ pozostałe wsie to: Górne Markowo, Dolne Markowo, Środkowe Markowo i jeszcze jakieś tam bzdurne Markowo...

Ludno tu i gwarno, wzdłuż rzeki ludzie łowią ryby, jeżdżą motocykle i traktory, pasą się krowy i konie.

W pierwszym Markowie na lewym brzegu mieszka chyba jakiś wielki bogacz - na samym skraju wsi postawił sobie wielką murowaną willę. Kilka kilometrów dalej na drugim brzegu piękna murowana szkoła. Cegły w tej części Rosji są niezwykle rzadkie, od wieków wszystko, co się tu stawiało, budowano z drewna. Dziwię się więc, skąd tutaj tyle cegły. Mijam wreszcie ostatnie zabudowania, z ciekawością przyglądam się zniszczonej białej cerkwi stojącej na prawym brzegu. Parę kilometrów dalej kolejna wieś po lewej stronie - to Matwiewa. Zapamiętałam ją z tego powodu, że wieś leżała na bardzo wysokiej skarpie. Jednak nie wysoka skarpa utkwiała mi w pamięci, tylko śmieci, które od lat wyrzucano z góry prosto do rzeki. Całe zbocze po sam dół pokryte było butelkami, puszkami, szmatami i innymi śmierdzącymi odpadkami. Zaraz za wsią duży port drzewny. Tu też nie ma gospodarza. Na brzegu gnijące stosy nikomu niepotrzebnej już papierówki, nieco z boku

tysiące metrów sześciennych porosłego już zielskiem drewna - wycięto las, choć tak naprawdę nikomu nie było potrzebne drewno...

Boty, Basowo, Gołowskoje - to kilka z kilku tysięcy osad na Syberii, z których pozostały tylko nazwy - życie dawno z nich uszło. Stoją nagie, odsłonięte i martwe. Rzadko w którym ogródku cieszy oko brzoźka czy inne drzewko. Ludzie przyjechali tu na chwilę rąbać las, nie zamierzali pozostać tu na dłużej, nie stawiali nawet płotów. Wiejska błotnista droga bez żadnych przeszkód hałasowała i zaglądała im do okien. Z rozmaitych kolchoźnianych decyzji o zadrzewianiu nic nie wynikało, bo jak wyrąbuje się co roku wiele setek hektarów tajgi, odsłaniając wszystko na prawo i lewo, to zrozumiałą rzeczą jest, że o sadzeniu drzew się nie myśli.

Powiedz mi, co robisz, a powiem ci, kim jesteś... Wystarczy jedno słowo *lespromcholz*¹⁸ - przemysłowe półprodukty drzewne. Ta nazwa wiele tłumaczy. Rąbanie lasu, to nie to samo co coroczne ścinanie zboża, kiedy co roku czynności powtarzają. Las wytnie się, a na nowy trzeba czekać dziesiątki lat. Co potem? Potem zbieraj się i w drogę. Zostawiasz domki, obórki i ulubioną łaźnię¹⁹ zostawiasz groby przodków i własne przeżyte lata, i hajda traktorami, żarówkami lub na piechotę tam, gdzie las jeszcze został. I znów po prostu zaczynasz wszystko od nowa - dlatego też nikt nie stawia tu płotów.

Patrzę na opuszczone chaty, na milczące wsie, bez szczekających psów, bez ludzi stojących na brzegu. Gdzieniegdzie widać wyróżniające się wielkością ruiny w nich kiedyś mieściły się biura *lespromcholzu*...

Po południu w dół rzeki popłynął wodolot nazwany przeze mnie bandytą. Tym razem nie było zaskoczenia, ponieważ ryk jego turbin słyszałem już z daleka. Załoga na mój widok w geście pozdrowienia włączyła syrenę, ja również im pokiwałem i tak się zapoznaliśmy. Tego samego popołudnia spotkała mnie inna, może trochę mniej przyjemna przygoda: usłyszałem daleki odgłos motorówki płynącej w górę rzeki. Nie widziałem jej jeszcze, ponieważ była za zakrętem. Dźwięk z każdą chwilą narastał, a ja byłem ciekawy, kto i dokąd płynie. Niebawem oprócz pracującego na wysokich obrotach motoru usłyszałem ożywione męskie głosy, które było słyhać bardzo wyraźnie, gdyż mówiący starali się przekrzyczeć warkot silnika. Parę minut później łódź wypłynęła zza zakrętu i w całkiem bliskiej odległości minęła mnie. Spojrzałem na płynących i prawie z wrażenia zdrętwiałem - w łodzi siedziało czterech typów o twarzach żywcem wziętych z kroniki kryminalnej. Ich brudne i poszarpane ubrania oraz niemyte i nieogolone twarze strasznie kontrastowały brzydotą z okolicznym pięknym, wiosennym krajobrazem.

Na mój widok bandyci zamilkli na chwilę - zauważyłem, że również zostali

18 W ZSRR przedsiębiorstwo przemysłu drzewnego.

19 Rosyjska łaźnia - sauna.

zaskoczeni - jednak po chwili jeden z nich powiedział głośno do pozostałych: - Chłopaki, to inostraniec!²⁰

Teraz czułem ich wzrok na sobie, było w tym coś niesamowitego, czułem się jak baran, na którego patrzą cztery głodne wilki... Nic jednak się nie wydarzyło i łódź z bandziorami popłynęła dalej i wnet znikła za zakrętem. Teraz słyszałem cichnący z każdą chwilą warkot oddalającej się łodzi. Odetchnąłem z ulgą.

Raptem co to? Nie słychać silnika. Nastąpiła cisza - bardzo złowroga cisza... Po chwili jednak ryk wysokoobrotowego silnika na powrót rozdarł panujący spokój. Teraz z każdą chwilą stawał się bardziej słyszalny. Domyśliłem się, że bandziory zawracają.

Płyną! Trzeba się gdzieś schować - przemknęło mi przez głowę. Ale gdzie? Na brzegu? Pod wodą? Na jakąkolwiek zabawę w chowanego było już za mało czasu. W jednej sekundzie stało się dla mnie jasne, że zakapiory zawróciły tylko po to, aby mnie po prostu zabić i ograbić. To już koniec! Nie mam szans; jest ich czterech i na pewno są uzbrojeni, przecież tu każdy ma karabin...

Śmierć od kuli to dobra śmierć, gorzej, jeśli będą chcieli mnie utopić... Trzeba walczyć, w walce zawsze śmierć szybsza, więc tym samym lepsza. Jak się pierwszy rzucę na nich z nożem, to szybciej mnie zastrzelą - pomyślałem.

Już wypłynęli zza zakrętu, widzę ich brudne twarze; nic nie wyrażają, a właściwie wyrażają śmierć - tak, to zawodowi mordercy, żadnemu nawet oko nie drgnie, jak będą mnie uśmiercać. Takich gdziekolwiek spotkać, to prosić tylko o łagodną śmierć. Lecz ja ich nie będę prosił, jeden z nich na pewno pójdzie ze mną, za rączkę do nieba...

Byłem już przygotowany do odparcia ataku. Między nogami leżała siekiera, a w rękawie ukryty miałem myśliwski nóż. Teraz tylko wybrać odpowiedni moment i dalej, hajda na wroga!

Widać, że bandyci nie pierwszy raz grabili kogoś na wodzie, bowiem najpierw minęli mnie w przyzwoitej odległości, przypatrując się mi dokładnie, po czym zawrócili i teraz wolno pod prąd do mnie podpływali. Nie chcieli mnie taranować, gdyż obawiali się, że zamokną im moje dolary...

Gdy byli już całkiem blisko, jeden wstał i sięgnął po leżące na dnie łodzi wiosło. Aha - pomyślałem - zaplanowali najpierw wiosłem mnie ogłuszyć, tak jak głuszy się przed zarżnięciem świnię...

Akcja potoczyła się błyskawicznie. Gotowałem się już do odparcia ataku, kiedy raptem ni z tego, ni z owego silnik ich łodzi wskoczył na najwyższe obroty. Dziób zadarł się gwałtownie, łódź przechyliła się i ruszyła do przodu mijając mnie w bardzo bliskiej odległości. Stojący z wiosłem bandzior zachwiał się jak akrobata stojący na linie, po czym,

²⁰ W jęz. rosyjskim - obcokrajowiec.

nie odzyskując już równowagi, z głośnym krzykiem wpadł do wody. W ostatnim momencie odruchowo chwyciłem za wyciągnięte w moim kierunku wiosło. Trzymałem teraz je, a na drugim końcu nurzał się w wodzie uczepiony za nie bandzior. Teraz ja byłem panem sytuacji, wystarczyło bowiem przyciągnąć bliżej drania i siekierą rozłupać mu głowę...

Do dziś nie wiem, co drania uratowało, ale chyba głośny śmiech pozostałych bandziorów, którzy pomimo że nie mogli dać sobie rady z wyjąłym silnikiem, tarzali się ze śmiechu na dnie pędzącej łodzi.

Teraz ich łódź jakby w szaleńczym tańcu zataczała wielkie kręgi, podskakując gwałtownie na wytworzonej przez siebie fali. Ja tymczasem wiedziony jakimś dziwnym instynktem, podciągnąłem bandziora do pontonu i zacząłem wiosłować w kierunku pobliskiego brzegu. Po chwili pozostali skierowali pędzącą łódź w tym samym kierunku i tuż przed samym brzegiem unieruchomili silnik odcinając mu dopływ paliwa. Pęd, z jakim się jeszcze poruszali, sprawił, że łódź zaryła dziobem głęboko w piach i bandyci o mało z niej nie powypadali.

Po chwili dopłynąłem do brzegu. Mój domniemany oprawca wygramolił się wody, a bandyci chwycili rzuconą im linę i wyciągnęli mój ponton na brzeg, śmiali się przy tym do rozpuku.

- Ot durak - kto ci kazał wstawać? - natrzęsali się z ociekającego wodą kompana.

- Trzeba było siedzieć, wiesz przecież, że gaźnik się od czasu do czasu zacina, tak gdyby nie inostraniec, już by było po tobie - rechotali.

Ich humory nie osłabiły mojej czujności, zauważyłem jednak, że większą uwagę poświęcają swojemu przemokłemu kompanowi, a mnie, przyszlą swą ofiarę, zupełnie ignorują. Zamiast więc natychmiast na mnie napaść i pozbawić mnie życia, bandyci zabrali się za rozpalanie ognia. Nie wiadomo dlaczego, zamiast mnie z lubością rabować, zaczęli zbierać drewno na ogień.

Teraz dopiero przyjrzałem im się z bliska. Byli to młodzi chłopcy, nie liczyli więcej niż po osiemnaście lat. Byli strasznie zapuszczeni, to fakt, jednak teraz z bliska, spoza brudnych, nieogolonych gęb widać było jeszcze dziecinne, zatroskane oczy. Nie taki diabeł straszny jak go malują - pomyślałem.

Tymczasem ogień już się palił, a przemokły domniemany bandzior stał przy ognisku i dygotał cały z zimna. Kompani nie odpuścili mu ani na chwilę. Co prawda z troską w głosie, ale za to cały czas mu docinali. Wreszcie i pechowiec zaczął się śmiać sam z siebie.

Żal mi się zrobiło trzęsącego się z zimna nieboraka, podszedłem do łódki wyciągnąłem z plecaka zupełnie nową, nieużywaną kurtkę i założyłem mu ją na plecy. Teraz ja wybuchłem śmiechem, gdyż odczytałem napis mieszczący się na kurtce: Katolicka

Rozgłośnia - Radio Plus.

Skąd znalazła się ta kurtka u mnie w plecaku, zaraz wyjaśnię: Parę dni przed wyjazdem na Syberię spotkałem się z kolegą, który jest redaktorem Radia Plus w Gdańsku. Kolega ów podarował mi wówczas wspomnianą kurtkę, która była świetnej jakości, ale była zbyt delikatna, aby sprostać syberyjskim wymaganiom. Ponieważ dużo nie ważyła, zabrałem ją z sobą, z przeznaczeniem na prezent dla potrzebujących ludzi. Teraz tu, w syberyjskiej tajdze znalazł się potrzebujący, więc w zwykłym ludzkim odruchu mu ją podarowałem. Niech się Radio Plus nie gniewa.

Jak już wspomniałem, wyglądało to prześlicznie! Zakapior z gębą, za którą mógłby dostać dożywotni wyrok, ubrany w świętą prawie kurtkę... Oczami wyobraźni widziałem go maszerującego w procesji po ulicach Gdańska.

Oczywiście, mój śmiech nie uszedł uwadze złoczyńców; domyślili się nawet, że śmieję się z napisu umieszczonego na kurtce, teraz domagali się, aby im przetłumaczyć, co tam śmiesznego jest napisane.

Nie wiedziałem, jak im wytłumaczyć powód mojego śmiechu, więc na odczepnego powiedziałem, że jest tam taki żartobliwy napis: Jestem pies na baby...

- Cha, cha, cha! - rozległo się po okolicy. Widać napis na kurtce bandziorem również przypadł do gustu.

W chwilę później gotowała się już woda, na ruszcie leżały złowione przez bandziorów ryby, a zakapior ubrany w „Katolickie Radio” kroił chleb.

Moje ciemne typy okazały się sympatycznymi chłopcami, ale określenie zakapiory tak bardzo pasowało do ich fizjonomii, że pomimo iż nie zasługiwali na takie miano, dalej ich tak nazywałem.

Podczas jedzenia, a później picia herbaty sporo się wyjaśniło. Było przy tym wiele powodów do śmiechu.

Na Syberii nie można być prawdziwym mężczyzną, jeżeli nie łowi się ryb i nie poluje. Dlatego też moje zakapiory od czterech dni przebywały w tajdze. Chłopcy pochodzili z wioski Krasnojarrowo, leżącej trzydzieści kilometrów stąd w dole rzeki. Popłynęli w górę, bo prócz łowienia ryb chcą coś ustrzelić, a z dala od wioski kręci się więcej zwierza. Teraz w kilku miejscach postawili sieci, wieczorem je wybiorą, wieczorem też będą polowali. Ma się rozumieć - mieli ze sobą karabin.

Płynęli właśnie w górę rzeki sprawdzić zastawione wcześniej sieci, kiedy zobaczyli mnie wiosłującego w dół rzeki. W pierwszej chwili nawet się wystraszyli, dopiero „Katolickie Radio” po pontonie poznał, że jestem obcokrajowcem. Początkowo nie mieli odwagi podpłynąć, ale ciekawość zwyciężyła, bo przecież niecodziennie płynie Leną

obcokrajowiec... Nie byli tylko pewni, czy się ze mną porozumieją, dlatego podpływali w milczeniu.

Teraz ja opowiedziałem, jakie zrobili na mnie wrażenie, że cud sprawił, że „Katolickie Radio” nie dostał siekierą przez łeb...

Śmiechu było co niemiara, a „Katolickie Radio” tłumaczył, że podniósł wiosło tylko po to, byśmy mogli się wzajemnie złapać.

Zbliżał się wieczór, więc postanowiłem zostać w tym miejscu na noc. Zakapiory obiecały, że przez noc będą wyciągać ryby z sieci i nie będą na mnie napadać...

Ciekawą jest rzeczą, jakie durne skojarzenia ma człowiek cywilizacji; człowiek zaszczuty, zastraszone, bojący się własnego cienia. Człowiek potrafiący określić drugiego człowieka tylko miarą siebie samego - miarą społeczeństwa w jakim się wychował. Mam tu na myśli moją błędną ocenę, jaką wystawiłem tym ludziom.

Widać z tego wyraźnie, że to właśnie ja, człowiek cywilizacji, obracam się wśród zakapiorów i bandziorów, których wygląd mam zakodowany w głowie. Dlatego też bez najmniejszego wysiłku zakwalifikowałem bogu ducha winnych ludzi jako niebezpiecznych bandziorów. Jedynym kryterium, którym się kierowałem, a które jest błędne - i w ogóle nie tłumaczy mojego postępowania - jest wygląd ludzi, konkretnie niechlujny ubiór i nieogolone twarze. Uświadomiłem sobie w tym momencie swoje ograniczenie umysłowe, bo właściwie w większości wypadków zło, z którym się stykam na co dzień, chodzi właśnie czysto ubrane i ogolone.

A chodzi, wystarczy popatrzeć wkoło. Nie trzeba szukać bandziorów na Syberii, jest ci ich u nas dostatek.

Wraz z niedawnymi przemianami społecznymi bandytyzm stał się w Polsce chorobą społeczną, wypaczającą i zagrażającą życiu. Zbyt długo zachwycaliśmy się durnymi amerykańskimi filmami kryminalnymi, nie widząc, jak na naszych oczach rodzi się nasze własne zło, nasz rodzimy bandytyzm. Od wielu tysięcy lat żyjący na świecie popełniają zbrodnie. Zabijają, rabują, podpalają, gwałcą i kradną. Każda z tych zbrodni ma przyczynę. Każda zbrodnia ma swoją specyficzną „moralność”, pewne kategorie oceny, dające się jakoś zaszeregować nawet wtedy, kiedy są straszne i wrogie człowiekowi. Głodujący zabija sytego, aby utrzymać się przy życiu, mąż zabija niewierną żonę; ludzie zabijają broniąc swej godności i honoru, zabijają z rozpacz, wściekłości lub w obronie swojego życia - w tej czy innej dającej się ocenić sytuacji. Nie ma sensu wymieniać i cytować. Lecz każda z tych zbrodni ma swą „filozofię i moralność” - czynnik usprawiedliwienia, którym operuje morderca.

Nie wchodzę tu w dziedzinę zbrodni popełnianych przez zbrojeńców lub obłąkanych

- zbrodni patologicznych. Zbrodnie popełniane w Polsce nie mają wspólnego z patologią. Nie mają także nic wspólnego z owymi „racjami moralnymi”, w imię których zabija się człowieka.

Młodociani mordercy nie potrafią odpowiedzieć na pytanie: dlaczego zabijali? Włosy stają dęba, kiedy dowiadujemy się, że uczniowie szkoły podstawowej zamordowali, gdyż chcieli zdobyć trochę pieniędzy na zabawę i drobne przyjemności. Zjawiska rodzą się z przyczyn, przyczyny rodzą się z potrzeb, potrzeby konieczności. Cóż zmusza młodych ludzi, by mordowali? Nie nędza, nie głód. Nawet nie potrzeba wyzycia się. Wszystkie te zbrodnie zdradza atmosfera. Atmosfera bezideowości, nudy, marazmu, moralnej nędzy, braku zainteresowań, dostatecznej opieki, wreszcie głupawe filmy kryminalne, gdzie gangstera kreuje na bohatera.

Nasuwa się pytanie, ile jesteśmy w ogóle warci jako społeczeństwo, kiedy możemy dać sobie rady z grupą wyrostków. Niech wreszcie się ktoś obudzi i uświadomi ludziom, że nawet w stadzie wilków panuje porządek - co więc znaczą mowy polityków, że wzrost przestępczości jest związany z przemianą ustroju.

Popełniamy błąd za błędem, nie wystarczy bowiem mówić o tym. Trzeba działać. Dlaczego jesteśmy obojętni wobec tych czy innych zaobserwowanych wykroczeń przeciw praworządności? Nasza obojętność - gdy z daleka patrzymy na chuligana - zrodziła w wielu poczucie bezkarności, daje grunt mniemaniu, że silny da sobie zawsze radę.

Młodzieniec, który bezkarnie awanturuje się w szkole, jutro zaczepi nas na ulicy, pojutrze stać się może mordercą, jeśli będzie działał nieujarzmiony, w poczuciu własnej bezkarności. Tu nie pomogą nowe mundury policyjne, nie pomogą kamery zainstalowane na ulicach ani skomputeryzowane samochody. Tu pomoc możemy tylko my sami, jeśli sami obudzimy się z moralnej drętwoty.

Patrząc na tych moich bandziorów siedzących przy ognisku i myślę, że to właśnie oni mogliby być tymi złoczyńcami, zabijającymi dla niewielkiej ilości pieniędzy. Zresztą mogliby zabijać dla czegokolwiek, co posiada jakąś wartość, gdyż to właśnie oni nigdy niczego w życiu nie posiadali. Ale oni nie zabijają i nie kradną, gdyż wywodzą się z innego społeczeństwa, oni choć z biedy, ale wynieśli inne wartości z domu. Tu, na dalekiej Syberii, gdzie zapalka stanowi czasami o bycie, życie uczy pokory i nie ma w tym społeczeństwie miejsca dla bandytów i złodziei. Prokuratorów jest tu dwóch - są nimi wilk i niedźwiedź...

Ich rówieśnicy na Zachodzie, a więc i w Polsce, już dawno przeżyli wszystko, co przeżyć może młody człowiek. Poczawszy od szkoły, gdzie się uczyli religii, na narkotykach i dziwkach w burdelach skończywszy. Są wysokiej klasy młodzieńcami. Mają komputery, jeżdżą nowymi samochodami i aby się najeść do syta nie muszą tygodni spędzać w lesie.

Nie jest wcale prawdą, że o młodzieży, jej życiu i troskach mówi się ostatnio mało. Na temat młodych ludzi piszą pedagodzy, działacze społeczni, rodzice, przechodnie z ulicy, pisze wreszcie sama młodzież o sobie.

Pisano, że młodzież się nudzi, że brak jej opieki. Wszyscy wysuwają wnioski i radzą, również niezawodny jak zwykle kler znalazł przyczynę istniejącego zjawiska w niedostatecznej bojaźni Bożej.

Radzono co dalej robić. Koncepcje były rozmaite, od słusznych do piramidalnie bzdurnych. Pod adresem pewnej części tej młodzieży wytacza się potężne zarzuty: że chuligańska, bandycka i bezideowa. Wszyscy są zgodni co do jednego - jest źle.

Szumu dużo, a problem kończy się zawsze tak samo, czyli ogranicza się do informowania społeczeństwa o kolejnych mordach, gwałtach, kradzieżach i innych tego rodzaju ciekawych wydarzeniach dnia codziennego.

Uważam, że nie do końca doceniono jeszcze, w jakich warunkach naprawdę wyrasta nasza młodzież. Nie chodzi tu tylko o wartości materialne, lecz rzędu moralnego.

Śmiem twierdzić, że młodzież polska, jak i zresztą młodzież wielu krajów Europy, żyje jeszcze w ciężkich i trudnych warunkach. Składa się na to wiele przyczyn: ponura spuścizna komunizmu, przemiany gospodarcze, staroświecka nie religijna, wreszcie i rodzina, najbliższe otoczenie jakże często skłócone politycznie i światopoglądowo. W wielu wypadkach brak więc młodym ludziom chęci do zajęcia jakiegokolwiek stanowiska.

Nie rozumie się u nas tego, że młodzież boi się szarości życia, nie rozumie strachu przed przemijaniem młodości, przed brakiem dobrych wspomnień, radości, szczęścia. Nikt też nie starał się nawet uświadomić młodym ludziom, że rzeczywistości nie istnieje takie szczęście, jakie pokazują reklamy telewizyjne. Wreszcie zapomniano zupełnie poinformować młodych ludzi, że życie jest tylko ścieżką i drogą do śmierci i nic więcej...

Prawdę mówiąc, nie rozumie się w końcu najważniejszej rzeczy, a mianowicie, że ta młodzież nie za bardzo miała skąd wziąć dobre wzorce. Pragnę w tym momencie zaznaczyć, że używając słowa młodzież, nie generalizuję zagadnienia. Myślę o młodzieży będącej, można rzec, poza nawiasem, choć w rzeczywistości nawiasy takie nie istnieją - myślę o tej młodzieży, której nareszcie trzeba pomóc. Budujemy nowe, wielkie, europejskie życie. Budujemy wielkie bazyliki, banki i gmachy ubezpieczalni, ale dlaczego młodego człowieka, który do dziś dnia błąka się poza życiem i często poza prawem, budujemy takimi małutkimi rzeczami - człowiekowi trzeba pomóc w osiągnięciu piękna i prawdy.

W nocy kilkakrotnie budził mnie odgłos płynącej motorówki, to moi bandyci wyrwali to w górę, to w dół rzeki, opróżniając zastawione wcześniej sieci. Byli tacy głośni, że byłem pewien, że prócz ryb nic więcej nie przywiozą do domu...

Rano bez pośpiechu rozpałiłem ogień, zaparzyłem herbatę i posiliłem się resztką chleba. Kiedy zabrałem się za zwijanie namiotu, usłyszałem znajomy z odgłos motorówki płynącej w dół rzeki. Domyśliłem się, kto płynie, więc zawczasu nastawiłem wodę na herbatę. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po chwili chłopcy wypłynęli zza zakrętu, nie zatrzymując się pomachali mi tylko na pożegnanie i pognali w dół rzeki. W ostatnim momencie zobaczyłem zwisającą i burtę głowę dorodnego łosia.

Jednak dopięli swego, będzie we wsi święto - pomyślałem, po czym załadowałem wszystko do pontonu i ruszyłem ich śladem.

Opuściwszy strome zbocza, rzeka wkroczyła w dolinę. W miarę jak przybywa wody, a spadek się zmniejsza, rzeka zwalnia bieg, wije się teraz po dnie doliny wysłanym swoimi osadami, ale nurt jest wszędzie jednakowo słaby.

Moje bandziory przestrzegły, że od Makarowa aż po sam Kireńsk wody rzeki praktycznie stoją w miejscu. Przygotowałem się więc na niemały wysiłek - będzie do wiosłowania ponad sześćdziesiąt kilometrów.

Rzeka płynie leniwie, wypełniając wodą całe swe koryto, często zmienia trasę przepływu i w ten sposób powstają wyspy. Zauważyłem, że teraz jest ich mniej niż w górnym biegu.

Próbuję łowić ryby, ale bezskutecznie, rzucam również spinningiem, ale zamiast ryb wyciągam tylko glony. Mają rację miejscowi, mówiąc, że w górnym odcinku trzeba łowić siecią. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, gdyż wielokrotnie widziałem po drodze łowiących na wędkę - pewnie jednak nie łapali okazałych sztuk. Wszędzie jednak toczy się życie, a że każdy gatunek wybiera sobie siedlisko stosownie do potrzeb, to już inna sprawa.

Zauważyłem, że w miejscach gdzie prąd jest powolny, cząsteczki osadów łatwo opadają na dno, tworząc podłoże dogodne do rozwoju różnorodnych roślin wodnych. Zielony, ciągnący się włosieńcznik należy do gatunku najliczniej spotykanych. Ma liczne nitkowate liście podwodne, które leniwie falują poruszane prądem wody. W strefie słabego nurtu żyje też wiele larw owadów. Najpospolitsze są chruściki, jętki i widelnice. W zakolach przy brzegach widać ślizgające się nartniki, uganiające się za owadami, które nieszczęśliwie upadły do wody.

Dawne zakola rzeki przemieniły się w starorzecza, stając się dogodnymi siedliskami wielu zwierząt. Widzę jak jastrząb poluje w tych spokojnych wodach, pewnie w okolicznych drzewach ma gdzieś gniazdo.

Przybrzeżny las składa się z charakterystycznego gatunku wierzby zwanej iwą. Ich cienkie pnie dają słaby opór prądowi, a rosnąc szybko, potrafią w ciągu krótkiego okresu regenerować uszkodzenia brzegów powstałe podczas powodzi. Nieco dalej rosną olchy. One

z kolei utrzymują się dzięki swoim potężnym korzeniom. Dopiero później, w najwyższej części brzegu, najmniej narażonej na zalewanie, występują inne gatunki, takie jak wiąz, jesion, sosna, limba i świerk.

W przyrodzie każde środowisko czemuś służy. Widać, że rzeka nie jest tylko strugą wody między dwoma brzegami. Jest złożonym, nieco chaotycznym środowiskiem, rodzajem wielkiej układanki, w której każdy klocek odgrywa swoją rolę. Drzewa ochraniają brzegi, odnogi i starorzecza, te z kolei są wylęgarnią pożywienia dla ryb, ptaków i innych zwierząt.

Po południu zauważyłem stojącą przy prawym brzegu łódź. Już z daleka poznałem, do kogo ona należy. Kiedy podpłynąłem bliżej, z pobliskiego wysokiego brzegu rozległ się donośny gwizd. Spojrzałem i zobaczyłem stojącego na skarpie zakapiora, który dawał mi wyraźne znaki, abym dobił do brzegu.

- Gdybym tu nie czekał, minąłbyś wioskę, jej nie widać z rzeki - powiedział, kiedy wygramoliłem się na brzeg. - Idziemy, we wsi już wszyscy na ciebie czekają.

- Nie mam czasu, by się gościć - oponowałem, ale bandzior w ogóle nie słuchał moich wywodów. Chwyił za ponton i silnym szarpnięciem wyciągnął go z wody.

- Jutro popłyniesz dalej, dzisiaj napijemy się wódki i pogadamy - opowiemy i też coś niecoś o sochatym...

Nie wiedziałem kto to sochaty i w sumie nie miałem specjalnej ochoty na gościnę, ale zakapior nie dawał za wygraną. Chwyił za moje manele i ruszył przodem.

Kiedy wdrapaliśmy się na stromy brzeg, zobaczyłem małą wioseczkę leżącą opodal w dolinie. Wioska różniła się nieco od innych spotykanych w okolicy swą nieregularną zabudową. Domy nie stały w jednym szeregu, były rozrzucone między wysokimi drzewami; odnosiło się wrażenie, że wieś pobudowano w jakimś starym parku.

Po chwili weszliśmy do jednej z chat, gdzie przywitał nas „Katolickie Radio” w towarzystwie kilku mężczyzn i kobiet.

- Witamy na Syberii - odezwał się starszy człowiek, jak się okazało ojciec młodzieńca.

- Słyszeliśmy już dawno, że jakiś inostraniec płynie. Widziano cię w Osietrowie, jak przepływałeś koło dworca rzeczno.

- Wczoraj siostra przyплыnęła „Zarią” i opowiadała, że widziała cię już niedaleko. A tu rano chłopak przychodzi i powiada, żeś mu kurtkę podarował.

- Jest piękna, tylko ten napis taki - o tych babach, ale co tam, tu i tak nikt tego nie przeczyta...

- Zapraszamy - siadaj do stołu, zaraz wypijemy za spotkanie, a później zobaczymy co z sochatym...

W dalszym ciągu nie wiedziałem, co ma do tego wszystkiego sochaty, w ogóle nie miałem pojęcia co to za jeden i co może chcieć ode mnie. Zżerała mnie ciekawość, ale nie pytałem, postanowiłem zaczekać i osobiście od sochatego wszystkiego się dowiedzieć.

- Za twoje zdrowie - powiedział gospodarz i wychylił jednym haustem zawartość metalowego kubka.

- Wasze zdrowie - odpowiedziałem i choć nie miałem na to ochoty, również do dna wypilem zawartość metalowego naczynia - tak po prostu trzeba.

Zawsze wszystkim znajomym powtarzam: jeżeli ktoś wybiera się na Syberię, a nie może pić wódki lub nie daj Boże jest abstynentem, to niech lepiej siedzi w domu. Nic tu po nim, nikt nie będzie go szanował. Pewnie, krzywda mu się tu nie stanie, ale będą na niego patrzeć tak jak patrzy się na wielkie dziwadło.

To obyczaj, a obyczaj na Syberii jest prawem, takim samym jak prawo karne, z tym tylko, że niezwykle starannie przestrzegany. Więc drogi gościu nie staraj się nigdy wymigiwać od picia, bo zostanie to źle odebrane. Później, już po którejś rundzie możesz udać pijanego, nikt nie będzie ci wlewał siłą, ale póki inni jeszcze w miarę wyglądają, musisz łykać nie zawsze pierwszego gatunku gorzałę...

- To skandal, że jeszcze nie ma sochatego - grymasił już lekko podpity ojciec. - Zaraz wypijemy całą wódkę zanim się go doczekamy.

- Nie awanturuj się, zaraz pójde i zobaczę - powiedziała gospodyni, po czym włożyła chustę na głowę i wyszła z domu.

Kiedy wróciła, po domu rozniósł się zapach pieczonego mięsa. - Ot i jest sochaty - powiedziała, stawiając pieczeń na stole. Dopiero teraz pojąłem, że Sybiracy łośia zwa sochatym.

Las rąk sięgnął po gorące jeszcze mięso. Każdy radził sobie jak mógł. Niektórzy skądś dobyli noże, inni odrywali kawały mięsa po prostu rękami. Ja miałem swój nóż myśliwski, ten sam, którym chciałem zakatrupić stojącego przy mnie młodzieńca. Odkroilem więc sobie słuszny kawał i zjadalem, mlaszcząc, jak wszyscy wkoło.

Następnie wzniesiono kolejny toast. Był chyba „za zdrowie” jakiegoś przodka, co go niedźwiedz pożarł. Później z minuty na minutę robiło się coraz weselej.

- Ot maładiec! - klepał ojciec syna po plecach. We mnie się wrodził - taki myśliwy.

Teraz po raz kolejny kazano moim bandziorem zdać relację z kilkudniowego wypadu w tajgę. Opowiadali więc, jak stawiali sieci, jak mnie spotkali, jak „Katolickie Radio” o mało nie utonął, wreszcie jak rankiem zaskoczyli sochatego przepływającego się przez rzekę.

Opowieściom towarzyszyły śmiechy i pochwały. Później zaczęły się śpiewy i dopiero wtedy zaczęło się prawdziwe pijaństwo. Wniesiono bowiem do izby kanke z alkoholem,

stojącą dotychczas w sieni...

Obudziłem się wśród innych na podłodze. Pozostali kompani jeszcze smacznie spali. Nie czułem zapachu w pomieszczeniu, ale musiał być on nieszczególny, ponieważ wszyscy, jak jeden, zdjęli buty do snu, a na dodatek niemiłosiernie się ślinili i chrapali. Pamiętam też, że ktoś wieczorem napalił w piecu, gdyż bał się, że w nocy pomarzniemy... Później obudził się jeden ze starszych. Rozejrzał się wkoło nieprzytomny, po czym zaczął nogą budzić pozostałych, mówił przy tym: wstawaj, job twoju mać - wódka na stole...

I tak zaczęło się od nowa. Wreszcie około południa udało mi się wyrwać z chaty. Pamiętam jeszcze, jak wszyscy mnie na brzeg odprowadzili, i że „Katolickie Radio” ponownie wpadł do wody, kiedy próbował odepchnąć ponton od brzegu.

Tego dnia nie upłynąłem zbyt daleko, minąłem jakąś niezamieszkaną miejscinę, po czym zaszylem się głęboko w tajdze. Spać - było to jedynym moim pragnieniem. Niedźwiedzie tego wieczoru były mi zupełnie obojętne...

Obudziłem się w środku nocy. Suszyło mnie niemiłosiernie. Chcąc nie chcąc wygramoliłem się ze śpiwora i podreptałem nad rzekę po wodę. Świecił księżyc, było jasno jak w dzień, ale za to zimno jak podczas polarnej nocy. Ziemię pokrywał szron, który srebrzył się w poświacie księżyca, wyglądało na to, że temperatura spadła poniżej zera.

Kac męczył mnie niemiłosiernie, dopadłem więc do wody jak wielbłąd, który zeszedł Saharę... Po chwili zrobiło mi się nieco lepiej, poczułem jednak, że jestem na nowo pijany... Było mi okropnie zimno i wstrząsały mną drgawki, więc czym prędzej nabrałem wody na zapas i pędem wróciłem do namiotu.

Zakopałem się ponownie w ciepły śpiwór, starając się jeszcze zasnąć, ale sen nie nadchodził i do świtu bardziej drzemałem niż spałem.

Ranek był okropny, odchorowywałem jeszcze alkohol. Czułem się rozbity i było mi strasznie zimno. Dopiero kiedy nazbierałem drewna i rozpałem ogień, zrobiło się nieco weselej. Woda, którą przyniosłem w nocy, zamieniła się w lód - to niesamowite, jest przecież połowa czerwca, a parę dni temu był upał.

Nieobliczalna jest aura Syberii.

Jezioro Lena - tak powinien nazywać się akwen, na którym się teraz znajdowałem. Dlaczego? Ponieważ nazwa „rzeka” wskazuje na to, że woda płynie, a ta, na której się w tej chwili znajdowałem, stała po prostu w miejscu, i czasami nawet się cofała... Wiosłowałem więc, a od wiosłowania bolały mnie ręce, gorzko też żałowałem, że w ogóle się tu znalazłem. Dlaczego nikt mi wcześniej w Polsce nie powiedział, że ta rzeka to jezioro... Nie tak przecież wyobrażamy sobie wypływające z gór rzeki. Jediną pociechą była informacja, że już od Kireńska rzeka ta naprawdę płynie.

Jak już wspomniałem, pogoda na Syberii jest nieobliczalna. Parę godzin później „jeziro” Lena przestało być jeziorem. Teraz zamieniło się w smoka siejącego północnym wiatrem; zimnym, obrzydliwym i silnym. Wiało teraz z niespotykaną dotychczas siłą. Stojąca do tej pory woda zamieniła się w kipiel, wzdłuż brzegów gromadziła się biała piana. Wyrzuciłem dryfkotwę, by nie cofać się, jednak wiatr był tak silny, że nie na wiele to się zdało. Powstała na skutek wiatru krótka fala sprawiła, że podskakiwałem na wodzie tak jak piłka pingpongowa na stole do gry. Ponton początkowo sztormował w miejscu, po czym siłą wiatru zaczął się powoli cofać w górę rzeki. Nie było wyjścia - za wiosła i do brzegu. Po chwili na dodatek runęła z nieba rześista ulewa. Co mnie jeszcze tu czeka? - pomyślałem zrezygnowany.

Chce się krzyknąć i tupać nogami. Chce się kłąć i zarazem płakać ze złości, ale nic nie można zrobić - jedno co pozostaje - to moknąć, czekać i marznąć. Syberia ma głęboko w nosie twoje plany. Bywa tak, że rankiem wsiadasz zadowolony do łodzi, a już po godzinie znów stoisz na brzegu, bo wieje wiatr nie z tego kierunku co trzeba.

Ale na szczęście jest w człowieku coś, co pozwala mu przeżyć wszelkie niedogodności i szykany. To coś, to determinacja - nieobliczalny staje się wówczas człowiek. Zaciskam zęby, chwytam za wiosła i dalej do przodu. Nie będzie Niemiec pluł mi w twarz... nie będzie wiatr i deszcz stał mi na drodze...

Sztormuję więc tak, jak sztormuje statek na morzu - dziób to unosi się, to opada. Nie wiem, czy w ogóle płynę, czy stoję w miejscu. Wydaje mi się jednak, że brzegi wolno się przesuują. Jestem wściekły na cały świat, później wściekłość ustępuje i zaczynam nawet śpiewać - wiem, to pierwsze objawy obłądu.

Po paru godzinach mijam spowite w deszczu Makarowo, tuż za wsią rzeka zakręca wielkim łukiem w lewo. Łuk jest ostry i ciągnie się długo, ma prawie piętnaście kilometrów. Wiatr ciągle gdzieś mnie spycha, płynę więc jak pijany - od brzegu do brzegu. Nie czuję głodu, nie widzę urwistych brzegów zbudowanych z czerwonych skał - widzę tylko pawęż pontonu i napis „Delta Grudziądz”. Pod wieczór wiatr nieco cichnie, mgła się podnosi, ale deszcz nie przestaje padać. Na zachodniej stronie nieba widać sporą błękitną szparę, przez którą słońce śle skąpe promienie, ale szczyty pobliskich gór giną jeszcze w gęstych czarnych chmurach; chmury te skrywają wszystkie okoliczne wierzchołki. Nie pomógł nic opad - nurt w dalszym ciągu jest słaby, nie mam więc wyjścia i cały czas wiosłuję.

Czuć już bliskość miasta. Do Kireńska jest już niedaleko, może ze trzydzieści kilometrów. Jak okiem sięgnąć, widać domy. Wioska praktycznie stoi przy wiosce, każda też inaczej się nazwa. Zastanawiam się, po co tyle nazw, skoro domy stoją w jednym ciągu? Dochodzę do wniosku, że chyba komuś kiedyś chodziło o statystykę, konkretnie zaś o ilość

wiosek na Syberii - stąd tyle tu nazw co chałup...

Tego wieczoru rozbijam namiot na niewielkiej wysepce naprzeciw pięknej, zielonej skały. Jestem głodny, ale prócz marmolady nie mam już nic do jedzenia. Zjadam więc trochę słodkości i popijam wodą z rzeki - głód oszukany, więc chyba do Kireńska nie umrę, a później zobaczymy.

Ranek jest bezwietrzny i dość chłodny. Rzeka stoi w miejscu, wiem jednak, że już za parę kilometrów popłynie, wiem też, że wraz z nią popłynę ja.

Dziś nie muszę się spieszyć, muszę się umyć i posprzątać w pontonie, tak abym z gracją wpłynął do portu. Ciekawe, czy orkiestra już stroi instrumenty?

Rozkładałam wszystko na piaszczystym brzegu, myję dokładnie podłogę w łodzi, później czyszczę z błota każdą posiadaną rzecz i na powrót układam wszystko w łodzi. Na końcu robię drobną przepierkę, po czym sam dokładnie się myję. Teraz już mogę się pokazać ludziom.

Najgorsze są ostatnie kilometry. Płynę, płynę i dopłynąć nie mogę. Mijam olejne wioski. Jest ich sporo, a każda wydaje się być tą ostatnią, za którą jest już miasto. Po południu coś się w niebie popsulo, gdyż niemiłosierny żar leje się z góry. Jest tak gorąco, że wszystko zamarło w ciszy, nawet ptaki ucichły gdzieś się pochowały. Z daleka zauważam na wzgórzu antenę telewizyjną, więc do Kireńska już niedaleko, jednak miasta jeszcze nie widać. Mijam port drzewny, znajdujący się na lewym brzegu, później długi klif z czerwonego piaskowca. Rzeka wielkim łukiem zakręca w prawo. Wtem tuż nad moją głową przelatuje samolot. Widać, że dopiero oderwał się od ziemi, silniki pracują na całej mocy, chowa podwozie. Ciekawe dokąd leci, może na północ, tam, dokąd płynę?

Rzeka jeszcze zakręca wielkim łukiem w prawo. Wreszcie przede mną otwiera się upragniony widok - osiedle mieszkaniowe i zabudowania portowe. Po prawej mijam port lotniczy, nie widzę go z rzeki, ale rozpoznaję po światłach podejścia, wieży i ogrodzeniu z koleczastego drutu. Powoli zbliżam się do centrum. Płynę teraz wzdłuż ulicy wysadzonej starymi drzewami, ludzie siedzą na brzegu, łowią ryby, gdzieś grupki mężczyzn piją gorzałę. Nie słycać wielkomiejskiego gwaru, jest całkiem kameralnie.

Wieczorem cumuję przy przemysłnym pontonie spełniającym rolę dworca pasażerskiego. Jestem w Kireńsku! Wychodzę na brzeg, siadam na ławce i dopiero teraz czuję przyjemne zmęczenie. Patrzę na stojące w rzędzie tankowce, zalesione wzgórza i wielką pionową skałę, kierującą rzekę pod ostrym kątem w prawo.

Dawniej dworzec pasażerski w Kireńsku znajdował się w okazałym, piętrowym budynku przy ulicy Lenrabocznych, opodal miejsca, w którym obecnie stoi platforma służąca za przystań. Niestety, czasy świetności minęły, dworzec wraz z restauracjami i pięknym

holem zabito dechami, a nieliczne statki pasażerskie przepływające przez Kireńsk cumują teraz przy wspomnianym pontonie.

Ma się rozumieć, miejsce to nie jest centralnym punktem Kireńska, lecz można je za takie uznać, ponieważ tu gromadzi się całe życie kulturalne miasta. Tu znajduje się hotel, stołówka, redakcja miejscowej gazety, przeróżne kramy i sklepy. Również tu, pośród starych drzew stoją ławki, na których dniem i nocą przesiadują różni panowie mający wieczną i nieodpartą ochotę coś wypić. Właśnie oni pierwsi, a nie burmistrz z orkiestrą, powitali mnie w Kireńsku.

Pierwszy przywitał mnie Sasza, którego bliscy zwa Sania. Sania jest alkoholikiem i niczym zjawa krąży od wschodu do zachodu słońca po różnych zakamarkach Kireńska. Jest wszędzie tam, gdzie spodziewa się, że można dostać coś do picia. Nie można go jednak spotkać nocą, bo już pod wieczór, przepojony trunkami zasypia, gdzie popadnie. Dzisiejszy wieczór podobno jest wyjątkowy, gdyż za dnia nikt w Kireńsku nie pił gorzały... Kiedy Sasza zauważył mnie płynącego na zagranicznym pontonie, od razu w ustach poczuł smak wódki. Teraz, kiedy dowiedział się, że nie mam gorzały ani pieniędzy na jej zakup, zdawał się być przerażony, w jego oczach pojawił się wyraz męczącej rozterki. Jednak już po chwili twarz jego rozjaśniała, doszedł bowiem do wniosku, że już sama moja obecność w Kireńsku będzie dla niektórych mieszkańców doskonałą okazją do napicia się wódki, więc i on coś z tego też dostanie. Od tej chwili już na krok mnie nie odstępował, licząc na to, że przy mnie prędzej czy później i tak napije się gorzały. I wcale się nie pomylił, bowiem już w chwilę później podszedł do mnie człowiek i przedstawił się jako komendant przystani...

Przybyły zapytał, skąd się tu wziąłem i co zamierzam dalej. Odpowiedziałem, że płynę w dół rzeki i chcę w Kireńsku pozostać do jutra.

- To się dobrze składa, mam dzisiaj służbę, więc uczcijmy twój pobyt w Kireńsku i napijmy się wódki...

Stojący w pobliżu Sasza westchnął z ulgą i aby podkreślić swą ważność w przedsięwzięciu wtrącił szybko, że nie mam zarezerwowanego hotelu, i że właśnie on - Sania - będzie gościł mnie u siebie...

Komendant milczał przez chwilę, trawiając słowa Saszy, po czym spojrzał na niego pobłaźliwie i poprosił, aby ten natychmiast zamknął mordę, gdyż w innym wypadku on mu ją zamknie. W chwilę później miłym głosem zaprosił mnie i Saszę na płynającą platformę spełniającą rolę dworca rzecznego.

- Mamy tu dwie wolne kajuty, są co prawda zarezerwowane dla załóg wodolotów, ale dzisiaj żadna z nich nie nocuje, więc nocleg masz z głowy - powiada.

- A teraz chodźmy, rozgościsz się, ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia, a ty

Sasza masz tu pieniądze i biegaj zaraz po wódkę...

Parę minut później jadłem już smażone ziemniaki, które, jak się okazało, komendant miał w słoiku. Domyśliłem się, że owe ziemniaki usmażyła mu do pracy żona i przyznam, że miałem nawet skrupuły zjadając jego kolację. Poprosiłem oczywiście, aby zjadł ze mną, ale kilkakrotnie zapierał się, że nie jest głodny, więc dałem mu wreszcie spokój i sam wszystko zjadłem.

Komendant przedstawił się jako emerytowany kapitan, który pilnując nocą przystani, dorabia do swej skromnej kapitańskiej emerytury. Był to dryblas o chwiejnym chodzie i nieproporcjonalnie małej głowie, która jak niewygodny ciężar tkwiła mu na długiej, zbyt wiotkiej szyi. W żadnym wypadku nie mogłem wyobrazić sobie tego człowieka w mundurze kapitańskim²¹.

Teraz odpoczywałem po jedzeniu i delektowałem się kapitańskimi opowieściami... Zauważyłem tylko, że kapitan kiedy mówi, z trudem trzyma prosto głowę. Widać było, że robi to wielkim wysiłkiem woli. Gdy tylko się w swych opowieściach zapędził za daleko, na przykład o szalejących sztormach, broda lienacka, ciężka jak ołów opadała mu na piersi. Widać było, że aby dźwignąć z powrotem musiał zebrać wszystkie siły. Wysiłek ten rozpałał do czerwoności go bladą twarz, deformując starcze, a równocześnie infantylne rysy, typowe dla fizjonomii debila.

Jestem pewien, że już wtedy coś mi się nie zgadzało, gdyż poczułem raptem, że powinienem opuścić przystań, ale zdałem sobie sprawę z faktu, że muszę i zostać do jutra, gdyż bez żywności nie dam rady kontynuować podróży. Postanowiłem więc noc spędzić z komendantem, a od samego rana pójść po prośbie...

Wielokrotnie pytano mnie, czy nie wstydzilem się zebrać na Syberii. Pytali to przeważnie młodzi nowobogacy, ci, którzy zachłyszeli się życiem, swoją urodą, mądrością i swym bogactwem.

Ponieważ wszelkie objawy kretynizmu zawsze stanowiły dla mnie wspaniałe studium, odpowiadałem im usłużnie.

Są na świecie kraje, w tym Polska, gdzie słowo włóczęga czy żebrak budzi pogardę. Lecz Rosja, a w szczególności Syberia, jest tym zakątkiem Ziemi, gdzie słowo to budzi współczucie, litość i wyrozumiałość. Rosjanie bowiem wiele przeżyli i wiedzą, że życie różne płata figle i każdy w jednej chwili może stać się włóczęgą. Pieszono na przełaj, po wertepach, wzdłuż rzek i kolejowych torów snują się włóczędzy, zwani tu białozębami. To ludzie tajgi i gościńca, wędrujący przez noce i dni, padający z głodu i pragnienia. Tu wszyscy wiedzą, że każdy w każdej chwili może stać się człowiekiem proszącym o chleb i wodę; człowiekiem,

21 Nazajutrz dowiedziałem się, że swą paromiesięczną służbę w leńskiej flocie zakończył w stopniu młodszego marynarza. Powód - niedorozwój umysłowy!

dla którego życie ma tylko jeden wymiar - wymiar dnia dzisiejszego. Na Syberii przyjęło się, że ludzie mieszkający przy głównych traktach na progach swych łomów lub w specjalnych otworach w ścianach wystawiają na noc jedzenie. Pomagają tym samym biedakom nie mającym swego miejsca w społeczeństwie.

Osobiście marzę o tym, aby wszyscy ludzie zrozumieli, że żebracy nie przeszkadzają nikomu - chcą tylko przetrwać. To najzwyczajniejsi ludzie, którzy próbują tylko jakoś żyć.

Nie wstydzę się żebrania, bowiem uważam, że jest ono zajęciem, które najbardziej zbliża człowieka do Stwórcy. Jest działaniem samozachowawczym, jest jedną z najbardziej skutecznych dróg poznania samego siebie. Mało tego, uważam, że wielu młodych ludzi, tych z tak zwanych dobrych domów, pozbawionych wszelkich trosk materialnych, powinno od czasu do czasu publicznie żebrac, traktując ową żebraninę jako ćwiczenie czysto duchowe. Ma się rozumieć, aby to żebranie miało swój zamierzony sens, zebrane w ten sposób pieniądze powinny być oddane prawdziwym żebrakom, inwalidom, rencistom, którzy codziennie pełzają po naszych ulicach w poszukiwaniu jakiegokolwiek wsparcia.

Ktoś powie: Nigdy nie mógłbym żebrac. Bzdura! Każdy głodujący wyciągnie rękę, a jeśli tego jeszcze nie zrobił, to znaczy, że jeszcze nie jest naprawdę głodny. Jestem pewien, że człowiek niezdolny do żebraniny jest nieodwracalnie skazany na przeciętność, zepchnięty ku bramom wielkiego Imperium Głupoty...

Co się zaś tyczy komendanta przystani, to wcale nie miałem mu za złe tego bądź co bądź małego kłamstewka, dotyczącego jego kapitańskiej przeszłości. Każdy przecież chce być ważny i zauważony, to normalny składnik ludzkiego życia. Każda bowiem świadomość jest w taki czy inny sposób pochodną świadomości kłamliwej, a konkretnie kłamliwej istoty ludzkiego języka.

Prawda przekazywana za pośrednictwem mowy jest zawsze względna, częściowa, zależna od okoliczności, jest fragmentem fragmentu, echem echa. Stąd też u dobrych mówców, w szczególności u duchownych, rozwinęła się tendencja umysłu do budowy jak najdelikatniejszych złożonych przyrządów w celu określenia prawdy. Nikt nie ma pojęcia ileż pomysłowości zużywa człowiek na opracowanie tego swoistego oprogramowania mózgu.

Dlatego w świecie słów, w którym żyjemy i w którym wszystko jest оголоcone z rzeczywistości przez krwiożercze siły mowy, najwyższą formą poznania jest - milczenie. Ale przecież życie zmusza nas do mówienia, do mówienia bez końca! Tak, to prawda, ale wiemy, że samo milczenie jest również słowem.

Pozostaje nam jedynie świadomość, że kłamiemy bez przerwy, cokolwiek mówimy, nasz język wyraża nie to, co jest naprawdę. Kłamiemy, ale i mowa okłamuje nas, odziera z

istoty naszego istnienia, sprawia, że jesteśmy огоłoceni do granic niebytu, że kryjemy w sobie próżnię; że umieramy wraz z każdym wypowiedzianym słowem i ta śmierć jest zniewagą życia, absolutną ironią wobec niego...

Tymczasem istota kłamstwa jest ironiczna, a więc ironiczna jest również istota mowy i tak w kółko. Wszystko co mówię, jest kłamstwem. Twierdzenie jest kłamstwem i przeczenie jest kłamstwem. Cokolwiek można powiedzieć o czymkolwiek - jest kłamstwem. Dlatego też z łatwością przyjąłem do wiadomości, że mój komendant, oddający mi w geście przyjaźni swoje pieczone kartofle, jest najprawdziwszym kapitanem, tym samym, który od lat sztormuje na niespokojnych leńskich wodach...

Sasza przyczołgał się po godzinie, akurat wtedy, kiedy zwątpiliśmy już, że jeszcze się kiedykolwiek pojawi. O dziwo przyniósł ze sobą dwie nienaruszone butelki wódki. Ledwie zdążył je postawić na stole, zwałił się z hukiem na podłogę gwałtownie zaczął chrapać... Przyznam, że pierwszy raz w życiu widziałem taki sposób zasypiania. Kapitan widać nie takie sceny oglądał, więc machnął tylko ręką sięgnął po butelkę. Widać jemu również było spieszno na podłogę, gdyż na raz siał zawartość butelki! Ledwo wypiliśmy, komendant sięgnął po drugą flaszkę... przyznam, że w takim tempie jeszcze nigdy nie piłem. W ciągu niecałych pięciu minut wypilem duszkiem pół litra wódki!

Parę minut później zezem już patrzyłem na kiwającego się we śnie komendanta - pomyślałem, że w świecie korupcji i marazmu nieskończona szlachetność szuka obrony w brzydocie, okaleczeniu i deformacji. Bóg bowiem poraził komendanta ogniem czystości, wybrał go, następnie okaleczył fizycznie, nadając mu powierzchowność krety, którą on obnosił z nabożeństwem, nazywając siebie kapitanem...

Obudził mnie gwar panujący na pokładzie. Spojrzałem na zegarek. Była piąta rano. Patrę - jestem sam w kajucie, po moim kapitanie ani śladu, gdzieś przepadł.

Zaciekawiony hałasem wyszedłem na zewnątrz, aby sprawdzić co się dzieje przy okazji zobaczyć, czy stoi jeszcze moja łódka.

Patrę - stoi, a przy niej kilkunastu mężczyzn z karabinami z ciekawością zagląda do środka. Co u licha, trupa zobaczyli? - pomyślałem. W chwilę później wszystko się wyjaśniło. Dżentelmeni z bronią okazali się myśliwymi oczekującymi a wodolot, a przypadkowa zbiórka koło mojej łódki to tylko prosta ciekawość, spowodowana nietypowym wyglądem mojego pontonu. Niecodziennie przecież Kireńsku cumują takie łódki...

Jak wynikło z rozmowy, okoliczni myśliwi zostali postawieni w stan gotowości bojowej w związku z niespotykaną dotychczas agresją niedźwiedzi. Chociaż normalnie w czerwcu obowiązuje okres ochronny, to jednak tego roku skądś się tych niedźwiedzi za dużo nabrało, są głodne i agresywne - podobno w okolicy zjadły już kilku ludzi... Dziś

właśnie wyrusza w dół rzeki ekspedycja karna, stąd aż taki ruch na przystani.

Kiedy myśliwi dowiedzieli się, że sypiam na brzegu, mieli nietęgą minę. - bardziej niebezpieczne od rosyjskiej ruletki - powiadali. Okolice Kireńska, jak żadne inne w Rosji, obfitują w misie. - Sypiaj na wyspach lub we wioskach radzili, a jak natkniesz się na jakąś padlinę, to szybko zmykaj, bo jest więcej też pewne, że w okolicy jest już niedźwiedź. Dopiero po rui, około lipca, kiedy w tajdze będą pierwsze jagody, możesz czuć się nieco bezpieczniej - niedźwiedzie a wówczas spokojniejsze i odchodzą w głąb tajgi - upominali. - Kiedy będziesz płynął w dół, wstąp do nas - łatwo nas znajdziesz - mieszkamy w domku myśliwskim, dokładnie przy ujściu rzeczki Czai do Leny. Koniecznie zajrzyj do nas. Jak będziesz trzymał się prawego brzegu, na pewno zobaczysz naszą zimownię. Uważaj też na te kudłate cholery, do tej pory i tak miałeś niesamowite szczęście - powiadali.

Po chwili zza zakrętu wyłonił się wodolot płynący z Osietrowa. Nawet nie cumował, podpłynął tylko do platformy, zabrał ludzi i natychmiast całą mocą swych potężnych silników popłynął w dół rzeki. Myśliwi jeszcze pokiwali na pożegnanie, później gestami dali do zrozumienia, że mają pół litra i czekają na mnie przy ujściu Czai. Nie muszę chyba pisać, że po tych niedźwiedziach wieściach zrobiło mi się nie do śmiechu. Czyżbym rzeczywiście miał takie szczęście, czy też wszyscy uparli się, aby mnie straszyć niedźwiedziami?

Mój kapitan przepadł bez wieści, wszędzie go szukałem, zaglądałem nawet pod pokład. Nic, kamień w wodę. Zacząłem się już obawiać, że może w pijackim amoku wpadł do wody i się utopił, ale kiedy około ósmej rano przyszedł jakiś człowiek i przyniósł mi smażone kartofle w słoiku, wiedziałem, że stary wilk rzeczny jeszcze żyje...

- To od komendanta na śniadanie - powiedział, po czym, wyraźnie unikając rozmowy, szybko odwrócił się na pięcie i opuścił przystań.

Więc wszystko w porządku - spadł mi kamień z serca. Kapitan żyje i pewnie i tylko dogorywa w domu. Swoją drogą, nadziwić się nie mogłem, że pomimo iż był wczoraj w wyjątkowo odlotowym nastroju, pamiętał o tym, że mnie tu zostawił, a nawet zadbał, bym nie był głodny. Ciekawa społeczność ci Sybiracy. Podczas kiedy zjadałem kapitańskie kartofle, myślałem gorączkowo jak tu zdobyć żywność na dalszą część podróży. Zdawałem sobie sprawę, że prócz słoja marmolady i kromki suchego chleba nic już nie miałem do jedzenia. Nie miałem też najmniejszego pojęcia, jak się mają sprawy w dole rzeki. Zdawałem sobie sprawę, że od tej chwili rzeka z każdym kilometrem będzie szersza i coraz rzadziej będzie można spotkać ludzi. Nie będzie już, tak jak w okolicach Kireńska, domu koło domku, wioski koło wioseczki. Wiedziałem również, że na owoce tajgi - maliny, porzeczki, jagody - jest jeszcze za wcześnie. Pozostawały co prawda ryby, ale aby je łowić, należało stać na brzegu, a ja nie miałem na to czasu. Poza tym do ryb, jako źródła

podstawowego utrzymania podchodziłem, bardzo sceptycznie, ponieważ jak dotąd niewiele ich złowiłem, bo jak już wspominałem, w górnym biegu Leny ryby występują w znikomych ilościach. Podobno poniżej ujścia Kirengi jest ich więcej, ale tylko podobno. Jedno co było pewne to to, że musiałem w Kireńsku za wszelką cenę zdobyć co nieco żywności.

Po długim namyśle, dotyczącym strategii pozyskania potrzebnych mi artykułów, udałem się do miejscowej redakcji, gdzie redaktorowi naczelnemu gazety przedstawiłem swój problem, obiecując za pomoc w pozyskaniu żywności wykonanie minirecitalu fortepianowego dla dowolnej publiki.

Redaktor Włodzimierz Norko okazał się bardzo życiowym facetem, ponieważ zanim zaczęliśmy uzgadniać gdzie i kiedy, na biurku redakcyjnym postawiono tacę pełną smażonych ziemniaków i pół litra gorzały... Po wypiciu paru szklanek wódki redaktor Norko nie widział już celowości organizowania z tego tytułu koncertu, abym do końca nie poczuł się żebrakiem, z litości nade mną postanowił uprzedzić paru nudzących się znajomych, którzy mieliby ochotę w milczeniu wysłuchać mojego minirecitalu... Do tego, aby mieć czyste sumienie względem mieszkańców Kireńska, na pierwszej stronie ukazało się ogłoszenie: Wczoraj na gumowym pontonie przyłynął do Kireńska światowej sławy pianista. Jutro o godzinie dwunastej w auli szkoły muzycznej odbędzie się koncert - w repertuarze utwory amerykańskie i rosyjskie. Wstęp jeden kartofel...

Ponadto ustaliliśmy stawkę: bez względu na frekwencję godzina grania - pięć kilogramów ziemniaków. Nazajutrz koło południa w miejscowej szkole zebrała się ładna garstka ludzi. Przy aplauzie zebranych zagrałem kilka standardów amerykańskich i oczywiście kilka melodii rosyjskich. Owacjom nie było końca... Po imprezie udaliśmy się do redakcji, gdzie w towarzystwie znajomych redaktora wyliśmy jeszcze parę butelek wódki. Podczas tego miłego wieczoru dowiedziałem się, że tydzień wcześniej na ulicach Kireńska zastrzelono niedźwiedzia...

Noc spędziłem w redakcji. Nazajutrz pan redaktor Norko zapragnął pokazać i miasto. W tym celu zadzwonił do „Białego Domu”, który okazał się siedzibą władz i poprosił o samochód z kierowcą. Prośbę swą motywował chęcią pokazania miasta wybitnemu zagranicznemu dziennikarzowi... Parę minut później pod redakcją stała już służbowa wołga. Redaktor naczelny wziął pół litra na drogę ruszyliśmy na przejażdżkę.

Miasto Kireńsk ma prawa miejskie od dwustu dwudziestu czterech lat. Powstało, jak większość miast na Syberii, jako zimowisko kozackie. Miasto położone jest niezwykle malowniczo, leży bowiem na niewielkim wzgórzu, zewsząd otoczone wodą, tajgą i górami. To rzeki Lena i Kirenga sprawiły, że do niedawna Kireńsk był jedynym w Rosji miastem - wyspą, obecnie rozbudował się i leży po obu stronach Leny. Lecz tak naprawdę - jak

mawiają mieszkańcy - jest tylko jeden Kireńsk, ten, który leży na prawym brzegu. To co jest po drugiej ronię, nie jest przez mieszkańców uznawane za miasto. To tylko - jak mawiają - port i parę bloków mieszkalnych. Rzeczywiście, na drugiej stronie widoczne były tylko dźwigi i rząd srebrzących się w słońcu wielkich tankowców, które w związku kryzysem gospodarczym, zamiast pływać, stały przy kejach.

Dwudziestotysięczna ludność do dziś mieszka w starym Kireńsku, otoczonym ze wszystkich stron wodami Leny i Kirengi. Prawdę mówiąc, miasto od kilku lat i przestało być już wyspą, gdyż za sprawą jakiejś durnej decyzji zasypano niewielki kanał łączący ze sobą te dwie rzeki.

W okresie nawigacyjnym, pomiędzy lewobrzeżną a prawobrzeżną częścią kursują wahadłowo aż trzy promy. Dwa towarowe, którymi można przewozić ciężarówki i autobusy oraz pasażerski, gdzie od czasu do czasu pozwalają również przewieźć motocykl. Zimą problemu nie ma, ponieważ ludzie i samochody przemieszczają się na drugą stronę po lodzie. Ruch na rzece jest spory, gdyż większość mieszkańców mieszka w starym Kireńsku, a pracuje w nowym. Trochę inaczej ma się sprawa wczesną wiosną i późną jesienią, kiedy lód jest za cienki, by po nim chodzić. Wielu ludzi zostaje wówczas uwięzionych, nie mogą bowiem dostać się z pracy do domu i odwrotnie. Zmuszeni są przez to do kilkudniowego oczekiwania: jesienią - zanim lód dostatecznie stężeje, wiosną - kiedy wreszcie zejdzie kra i zaczną kursować promy. Ale ta niedogodność trwa tylko kilka dni w roku, więc nie ma o czym mówić.

Kireńsk ma też jedną ulicę wyłożoną asfaltem... To ulica Komarowa, łącząca centrum miasta z oddalonym nieco portem lotniczym. Pozostałe ulice są żwirowe lub błotniste; nie muszę chyba dodawać, że strasznie wyboiste. Ogólnie atmosfera miasta jest na pół wiejska. Drewniane domy stojące jeden koło drugiego, inwentarz chodzący po ulicach, sterty drewna opałowego przed domami. Nikt tu nie przejmuje się statusem miejskości. Także w Kireńsku, zresztą tak jak na całej Syberii, wszyscy mieszkańcy zajmują się pokojową uprawą i warzyw... W służbowych gabinetach i w mieszkaniach na parapetach zamiast geranii i fikusów stoją skrzynki z cebulą, pomidorami i ogórkami. Niektórym, tym z fantazją, udaje się nawet wyhodować dwie lub trzy cytryny na małym drzewku.

Najpierw pojechaliśmy do wschodniej części miasta, skąd widać zlewające się z sobą wody Leny i Kirengi. Postaliśmy trochę na wysokim brzegu; roztaczał się stąd widok na łączące się ze sobą rzeki - spokojną Lenę i bystrą Kirengę. Muszę przyznać, że bardzo malowniczo z góry to wyglądało, gdyż rzeki mieniły się różnymi kolorami: Lena wiła się błękitną wstęgą, a pędząca Kirenga - granatową. Następnie wzdłuż Kirengi zawróciliśmy w kierunku miasta. Po chwili zajechaliśmy pod okazały piętrowy budynek z czerwonej cegły. -

To najstraszliwsze miejsce w Kireńsku - powiedział redaktor Norko, wskazując na będący w remoncie budynek.

Przez cały okres powojenny znajdowała się tu siedziba NKWD a później KGB. Niby to nic specjalnego, bo przecież w Rosji nie było miasta bez takiego budynku, ale ten tu, w Kireńsku, na zawsze pozostanie w ludzkiej pamięci.

- Sześć lat temu, więc już po pierestrojce, postanowiono ten budynek adaptować na szkołę. Już w pierwszych dniach ekipa remontowa natknęła się i dziwną ścianę działową, nie istniejącą na planie budowlanym. Po jej zburzeniu dokonano makabrycznego odkrycia. W niewielkim pomieszczeniu znaleziono ponad pięćdziesiąt ludzkich szkieletów.

- Śledztwo w tej sprawie niczego nie wykazało. Wiadomo tylko, że ludzi tych zamurowano żywcem...

- W jakich latach to się stało? - zapytałem.

- Tego nikt dokładnie określić nie potrafi. Pewne jest tylko, że były to czasy czystek stalinowskich.

Przyznam, że nie mieściło mi się to w głowie, że tu, w Kireńsku, zapadłej syberyjskiej mieścinie, przed laty było aż tak wielu wrogów klasy robotniczej, że władza ludowa w obawie o szczęście narodu zmuszona została tych niebezpiecznych reakcjonistów zamurować... To kolejny przykład na to, że nie ma rzeczy, której nie mógłby zrobić człowiek z drugim człowiekiem w imię polityki, religii czy też zgoła innej urojonej rzeczy. Bo dla każdego duchownego czy też polityka życie drugiego człowieka jest święte, jednak tylko wówczas, kiedy zgadzamy się z jego politycznymi czy religijnymi poglądami. W innych przypadkach jest mu wręcz obojętne. Patrząc na to wszystko, dochodzę do wniosku, że my ludzie jesteśmy najgłupszymi stworzeniami na naszej planecie.

Później pojechaliśmy jeszcze do centrum miasta, aby zobaczyć park z pomnikami Lenina i Żukowa oraz siedzibę władz miejskich, która mieściła się w zabytkowym budynku, do złudzenia przypominającym Biały Dom w Waszyngtonie. W sumie w przeciągu piętnastu minut z krótkimi przerwami na parę łyków gorzały zwiedziliśmy prawie całe miasto.

Kiedy wróciliśmy do redakcji, zastaliśmy tam bardzo złe wieści. Nienotowany dotychczas kataklizm powodzi nawiedził miejscowości położone w dole rzeki. Jak wynikało z relacji, miasto Leńsk praktycznie przestało istnieć - zostało zmiecione powierzchnią ziemi. Spustoszenia dokonała nie tylko fala powodziowa, ale w dużej mierze spływająca wraz z wodą piętrząca się kra. Jak wynikało z relacji świadków, nad ranem, kiedy miasto jeszcze spało, poziom wody gwałtownie odniósł się aż o dwanaście metrów! Przyczyna? Zator lodowy poniżej miasta, informacje były niekompletne, ale wszystkie środki przekazu

mówiły o ofiarach wielkiej tragedii.

W Kireńsku zawrzało! W redakcji natychmiast powstał sztab kryzysowy. Odnosiło się wrażenie, że to nie oddalona o tysiąc kilometrów powódź, a wojna, ludzie biegali, pytali, przynosili odzież, żywność i różne rzeczy codziennego użytku. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż nikt nie nawoływał do żadnej zbiórki na rzecz powodzian. Widać Sybirakom nie potrzeba mówić tego, co jest oczywiste.

Widziałem, co ludzie przynosili i aż łza zakręciła mi się w oku. Nie będę wymieniał, gdyż nie o to chodzi, ale w tym momencie zrozumiałem, że nie jest sztuką dać, jak się ma - sztuką jest podzielić się z bliźnim wtedy, kiedy samemu się nic nie posiada.

Czym przy tych prostych ludziach są wszystkie organizacje charytatywne i ich prezesi w klimatyzowanych samochodach? Kim są tak naprawdę - jakże chętnie filmowane przez telewizję - różnorakie księżniczki i słynne aktorki, wypełniające swą życiową nudę pracą charytatywną?

Owszem, zgadzam się, że jest to szczytne, co robią, ale w porównaniu z tymi ludźmi, którzy sami nic nie mają, a jeszcze potrafią się tym niczym podzielić, blado wygląda ta ich książęca dobroć. Słowem, jedna wielka obłuda, bo - jak i, wspomniałem - nie sztuka dać, jak się ma...

O Rosji najwięcej do powiedzenia mają ludzie, którzy kompletnie nic o tym kraju nie wiedzą, ba, nawet w nim nie byli. Dlatego też pozwolę sobie jeszcze raz co nieco wspomnieć o tym narodzie. Pisałem o tym w poprzednich moich wydaniach książkowych i albumowych, napiszę również w tej i będę również pisał w następnych, tak długo, dopóki moje pisanie będzie ktokolwiek czytał. Wyobrażenie mieszkańców Zachodu o Rosji jest przeważnie jedno. Jest to kraj zła, a żyjący w nim ludzie mają czerwone oczy, czerwone charaktery, obrzmiałe od alkoholu twarze i czynią zło, gdzie tylko mogą. Taki obraz Rosjanina był potrzebny Zachodowi przez długie lata zimnej wojny i niestety długo jeszcze pozostanie w świadomości przeciętnego półinteligenta żyjącego na zachód od Moskwy. Zresztą do niedawna można było wypisywać o Rosji co się chce, bo to, o czym pisano, było daleko za żelazną kurtyną i nikt się nie kwapił, by osobiście cokolwiek sprawdzić i zakwestionować. Czasy się zmieniły i teraz można już i samemu wybrać się w podróż na Wschód i zobaczyć, jak jest w rzeczywistości. Mało kto jednak decyduje się na taką podróż, bo ludzie się boją. Boją się tego, co przeczytali w gazetach. A tam wyraźnie jest napisane, że napadną nas w biały dzień i flaki nam wyprują. Za co? Za jednego dolara... Więc lepiej tam nie i jechać, pewniej obejrzyć to wszystko na szklanym ekranie: zbrodniczą działalność mafii rosyjskiej, kolejki przed sklepami, żebrzących ludzi i stare, bezzębne baby i mówiące o biedzie... To wszystko co przeciętny człowiek wie o Rosjanach i Rosji. Nie znalazła się

bowiem jeszcze żadna ekipa filmowa, która by pojechała do Rosji i nakręciła film o przepięknej przyrodzie, o tym, że owszem, jest biednie, ale ludzie. Są dobrzy i jak mogą pomagają sobie nawzajem.

Film taki nie powstał z prostej przyczyny - byłby niesprzedawalny. Ludzie nie chcą znać prawdy. Prawdą jest, że w Rosji jest bieda, ale wiedza o biedzie jest wiedzą jałową. Prawdą jest też, że mafia kontroluje gospodarkę, ale co ma do tego przeciętny obywatel? Mafia to nie Rosja, podobnie jak tłumy narkomanów na ulicach Zurychu to nie Szwajcaria. Przebyłem Syberię wzdłuż i wszerz, i to dosłownym znaczeniu. Podczas syberyjskich ekspedycji spotkałem różnych ludzi, różne kategorie społeczne i zawodowe. Przedstawiciele odmiennych kultur narodowości. Przebywałem wśród nich, jadłem z nimi z jednej miski i nierzadko łem z nimi wódkę. Dlatego, proszę mi wierzyć, zło, o którym piszą gazety które pokazują filmy, jest celowo wyolbrzymione, a ludzie niesprawiedliwie sądzeni. Wbrew ostrzeżeniom, jakie przed wyjazdem zewsząd otrzymywałem (w tym w ambasadzie rosyjskiej), nikt na mnie nie napadł i nikt mnie nie okradł, domniemanych bandytów nie zwabił drogi samochód pełen różnych „skarbów” ani duży, rzucający się z daleka w oczy napis, informujący o celu podróży („New York”). Nie zwabił ich też, piękny ponton i moje bogate „zachodnie” stroje.

Okazało się więc, że wszechobecni bandyci, którzy z rozkoszą wypruwają flaki, by zdobyć jednego dolara, pogardzili kilkoma tysiącami dolarów, które głuszy syberyjskiej tajgi mogłyby stać się łatwym łupem. Nawet mafia, która chętnie morduje dla przyjemności, zamiast mnie zakatrupić i doszczętnie ograbić, naprawiła mi samochód, a później przez dwa dni gościła u siebie... Powiedzenie „Gość w dom - Bóg w dom” jest na Syberii rzeczywistością. Gdyby nie to, nie przebyłbym przed laty tej bezkresnej ziemi i teraz nie płynąłbym tą przepiękną wielką rzeką.

Filmujcie dalej, panowie filmowcy, rozwalone stare sracze, bo tylko to jest dla was piękne i niechaj żaden przypadkiem się nie pokusi o to, by przejechać obiektywem po krajobrazie, bo ludzie nie chcą oglądać pięknej Syberii...

Jednak w dalszym ciągu jestem naiwny i wierzę jeszcze, że wezmę pewnego dnia do ręki gazetę, w której przeczytam artykuł mówiący o tym, że Rosja jest krajem pięknym i dziewiczym, że każdy z nas może coś dla siebie tam odkryć, że ludzie żyjący tam są biedni, ale zawsze gościnnie nas podejmą i pomocy udzielą. Do późnej nocy pomagałem w redakcji w sortowaniu i pakowaniu paczek dla powodzian, które następnego dnia miały odlecieć samolotem gdzieś w okolice Leńska. Do dziś z prawdziwym podziwem wspominam tych prostych ludzi, ich niespotykaną życzliwość i wrażliwość na czyjaś krzywdę. Sądzę, że potrzebę niesienia pomocy bliźniemu naród ten ma w genach, bo nie ma chyba innego

wytłumaczenia dla faktu jak dobroduszni potrafią być ci ludzie. Faktem również jest, że poza Żydami nie ma narodu na świecie, który by aż tyle w życiu wycierpiał, i kto sam nie zaznał biedy i upokorzenia, nigdy nie będzie w stanie zrozumieć nieszczęścia drugiego człowieka.

Nazajutrz wczesnym rankiem opuściłem miasto, mając kilogram cebuli, dwa chleby i kilka kilogramów ziemniaków. Żegnał mnie spowity w porannej mgle Kireńsk, redaktor Norko i trzeźwy już komendant przystani...

Jeszcze jeden, jeszcze dwa ruchy wiosłami i wreszcie czuję, jak porywa mnie i silny prąd wpadającej do Leny Kirengi. Złożyłem wiosła i usiadłem wygodnie w łódce. Nie potrafię teraz opisać tego, co czułem, kiedy patrzyłem na szybko przesuwane się brzegi. Lena pędziła w dół jak oszalała, a na jej grzbiecie wreszcie pędziłem ja!

Wpadająca do Leny bystra Kirenga sprawiła, że wąskie koryto rzeki pękało teraz w szwach. Zwielokrotniona masa wody wytworzyła silny, porywisty nurt, który unosił mnie w szaleńczym tempie. Szybko w niepamięć poszły dolegliwości ostatnich tygodni, związane z zimnem, strachem i głodem. Nieprzyjemne wspomnienia mają coś dobrego: udowadniają, że jest się szczęśliwym, nawet jeżeli przed chwilą sądziło się, że jest inaczej. Szczęście bowiem polega na gradacji. Kto zdaje sobie z tego sprawę, rzadko podda się uczuciu całkowitego nieszczęścia. Innymi słowy mówiąc, najszczęśliwsi są ludzie, którzy nie mają żadnego i powodu, by czuć się szczęśliwymi.

Jakże piękny potrafi być świat. Zapewne nie wiedziałbym o tym, gdyby Lena od samego początku tak szybko płynęła - tak promieniałem ze szczęścia, jakbym już dopłynął do samego celu. Na podstawie czasu i przebytych kilometrów określiłem prędkość z jaką się przemieszczam. Jest ona wręcz kosmiczna, wynosi bowiem około dwunastu kilometrów na godzinę.

Od kilku dni panują już nieziemskie upały. Co prawda, na wodzie jest nieco chłodniej, ale wystarczy na chwilę wyjść na brzeg, aby natychmiast zapragnąć i odwiedzić Eskimosów...

Tuż za Kireńskiem, po lewej stronie rozpoczyna się ciąg pięknych stromych skał, które często dochodzą do samej wody. Po prawej schowana za drzewami wieś w Bubnowka, nieco dalej, również po lewej stronie, wielka góra. To Czambałowa Skała, która przez długie lata eksploatowana była przez mieszczącą się w Kireńsku, cegielnię. Niedaleko za Bubnowka, po prawej, mijam duży basen portowy. Niby nic ciekawego, a jednak, bowiem basen ten został wykuty w litej skale. Jest gorąco, żar leje się z nieba. Najchętniej rozebrałbym się do naga, ale boję się, że słońce mnie spali, więc by się ochłodzić, maczam w wodzie koszulę, po czym nakładam ją na siebie. Nie na wiele to się zdaje, gdyż po dziesięciu

minutach koszula jest już sucha i ponownie trzeba ją zmoczyć. Rzeka płynie bardzo szybko, więc jakby od nowa uczę się żeglugi. Teraz właśnie zakręca szerokim łukiem w lewo, ustawiam i więc rufę w kierunku prawego brzegu i od czasu do czasu wiosłuję; powoduje to, że utrzymuję się w ten sposób w samym środku nurtu. Mijam Meinowo, piękną wioskę leżącą tuż nad wodą. Wieś skąpana jest w słońcu i zieleni; stojące w rzędach domy robią wrażenie ładu i porządku, zresztą z rzeki sama osada wygląda nie jak byle syberyjska wieś, tylko jak położony nad rzeką ekskluzywny ośrodek wczasowy. Opodal wsi, tuż nad wodą pasie się duże stado krów. Widać m również upał daje się we znaki; część stada weszła do rzeki, inne, te mniej odważne, korzystają z cienia jedyne drzewa stojące na łące. Krajobraz jest piękny i niezwykle zróżnicowany. Góry, woda, łąki, kształtne kolorowe skały, ciemna ściana lasu. Parę kilometrów dalej widzę duży port rzeczny. To Aleksjewsk. Z daleka widać stojące przy drewnianych pirsach duże tankowce, masowce i jakieś holowniki. Naprzeciw portu po drugiej stronie rzeki pną się ku niebu olbrzymie białe skały. Tu znów krajobraz zmienił się nie do poznania. Góry, woda, liczne zielone wyspy, statki, skały - wszystko to do złudzenia przypomina szwajcarskie widoki. Czuję się, jakbym znajdował się koło Lucerny na jeziorze Vierwald Statter See, a nie w głębi Syberii.

Szlak wodny jest doskonale oznakowany. Są boje wytyczające tor wodny, na brzegach stoją wielkie tablice nawigacyjne, tak zwane nabieżniki. Przyznam, że nadmiar znaków nawigacyjnych mnie rozprasza. Ilekroć zbliżam się do jakichś przeszkód wodnych, mam dylemat, czy płynąć, trzymając się oznakowanego toru wodnego, czy też skierować ponton na skróty, co czasami może być niebezpieczne, ponieważ gdzieniegdzie wystają z wody metalowe elementy wraków. Zawsze jednak dochodzę do wniosku, że tylko na skróty - nie jestem przecież tankowcem, a Lena nie jest już potokiem.

Jak już wspomniałem, dawno nie byłem taki szczęśliwy. Miałem dwa bochny chleba, cebulę i kilka kilogramów kartofli. Ale nie tylko to było powodem mojego szczęścia. Za mną pozostała złośliwa, stojąca w miejscu rzeka; za mną pozostały śnieżyce, wichury, deszcze i mrozy. Bystry nurt rzeki sprawił, że pierwszy raz uwierzyłem w to, że chyba zdołam dopłynąć do celu. Jak widać, miałem więc powody, by czuć się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Na horyzoncie pokazało się coś białego. To kołchoz Ałymowka zaświecił swymi białymi eternitowymi dachami. Wieś żyje z hodowli koni, gdyż wielki tabun ciągnie się samopas wzdłuż rzeki. Konie nie były w najlepszej kondycji fizycznej; były chude jak mały chore na gruźlicę i ledwo powłoczyły nogami. To efekt zimowania w stajni. Byłem jednak pewien, że po soczystej wiosennej trawie szybko dojdą do siebie.

Jestem w przyjemnym szoku; w ciągu godziny pokonałem dziesięć kilometrów!

Obliczam więc, kiedy dotrę do Witimia, kiedy dotrę do Leńska i Jakucka... Oczywiście zdaję sobie sprawę, że moje obliczenia to dzielenie skóry na niedźwiedziu, gdyż byle wiaterek może spowodować, że będę dniami stał na brzegu, ale na razie świetnie się bawię i nie mogę sobie odmówić przyjemności liczenia.

Podeksytowany obliczeniami i przebytymi kilometrami postanowiłem dzisiaj całą noc, aby sprawdzić możliwe dobowe osiągi. Pod wieczór dobijam do brzegu, niedaleko wioski Bańczykowo; zamierzam przed trudami nocy zaparzyć herbatę i nieco rozprostować kości. Po chwili nad rzekę przyszło dwóch mężczyzn z wędkami. Ucieliśmy krótką pogawędkę, z której wynikało, że niedaleko stąd znajduje się wioska o nazwie Czugujewa, gdzie urodził się i wychował jeden lis najwybitniejszych okulistów na świecie - profesor Fiodorow. Aż mnie zatkało, gdyż o sławie profesora i jego moskiewskiej kliniki słyszałem już przed laty. Podziękowałem więc za wiadomość, wskoczyłem do łódki i z nadzieją niesamowitych wrażeń popłynąłem w dół rzeki. Jakież wielkie było moje rozczarowanie, kiedy jakiś czas później ujrzałem rodzinną wieś profesora.

Wieś była niezamieszкана i przedstawiała się nader żałośnie. Pochylone w agonii domy, zbutwiałe resztki ornamentów zdobiących w przeszłości budynki; pozostałości jakichś narzędzi, gdzieniegdzie samotnie sterczące ku niebu kominy. Cisza, wkoło żywego ducha...

Przysiadłem na jakimś pieńku i jeszcze raz popatrzyłem na te zgliszcza. To nie do wiary, że tu, wśród tych domów dorastał jeden z najwybitniejszych i najbogatszych ludzi świata - profesor Fiodorow. W tym momencie pomyślałem o innych wielkich, których wydała ziemia rosyjska - tych, którzy do dziś są autorytetami na skalę światową. Tu wyrosli wielcy pisarze, poeci, wielcy muzycy, nie wspomnę już o nauce.

Na przykład Dostojewski. Dla wielu artystów na świecie literatura rosyjska właśnie w Dostojewskim sięgnęła najwyżej. Pisarzy podobnych do Turgieniewa, Czechowa, nawet do Lwa Tołstoja Zachód miał; Dostojewski nie był podobny do nikogo, był jedyny. Wszystko, co wyszło spod pióra Dostojewskiego, jest tylko podobne do Dostojewskiego. Nie ma drugiego pisarza, który by tak zafascynował Zachód. O nikim Zachód nie pisał z równym nabożeństwem. Bohaterowie Dostojewskiego weszli do literatury zachodniej i żyją tam po dzień dzisiejszy, nie jako postacie czcigodne, posypane naftaliną, lecz jako postacie, których problemy pozostały palącymi problemami żywych. Sam Dostojewski o Zachodzie przez całe życie pisał z pogardą i nienawiścią - lżył Turgieniewa za to, że ten się korzył przed Europą - na cały Zachód patrzył jak na koniuszek swojej ogromnej ojczyzny. i Śmiało mogę powiedzieć, że cała historia literatury ostatniego wieku jest historią dochodzenia i odchodzenia od Dostojewskiego. Jako o niedościgłym mistrzu pełnym tajemnic pisali o

nim najwięksi, średni i mali - wszyscy w równym stopniu miotali się pod kamieniem jego indywidualności. Poddźwięki Dostojewskiego i wprawne ucho wylapuje u wszystkich pisarzy europejskich ostatnich lat. Egzystencjalizm wyrósł z niego. Jeśli nawet dzisiaj odchodzi się od niego w formie, w konwencji, zapożyczenia problemowe trwają nadal. Właściwie może tylko Amerykanie, których sztuka wyrasta z filmu, wolni są od jego wpływów. A skoro jesteśmy przy sztuce i Amerykanach, to przytoczę słowa pewnego światowej sławy artysty, który będąc w świetnym nastroju powiedział, że największym dziełem sztuki amerykańskiego społeczeństwa jest kanalizacja Nowego Jorku...

Las w górze był cichy, jakby wszelkie życie z niego uleciało. Powietrze odrobinę się ochłodziło, ale było bardzo przyjemne, łagodne, pełne nocy i zapachu wody. Niebo nade mną pokryły roje gwiazd. Teraz ich wielkie skupiska walczyły o pierwszeństwo z chmurami. Po prawej między drzewami od czasu do czasu pobłyskiwał księżyc.

Płynąłem w ciszy, od czasu do czasu mijając pogrążone we śnie wioski. Domy z bladymi dachami eternitów spały przytulone do siebie. W wyobraźni słyszałem spoza okien równomierne oddechy ludzi, którzy zapewne nie mieli w tym momencie żadnych kłopotów. Och, jak zazdrościłem im ciepłego łóżka. W oddali zauważyłem silne żółte światło, gdy podpłynąłem bliżej, twarz towarzysza Lenina popatrzyła na mnie swym mądrym, pełnym dobroci wzrokiem... Olbrzymia tablica stojąca na brzegu z wizerunkiem wodza narodów była niewzruszona, skąpana w świetle silnego reflektora. Była to miejscowość Zołotoj. Wpłynąłem ponownie w mrok nocy. Woda znów przybrała czarną, smolistą barwę, lecz po chwili na jej powierzchni zabłysły niedostrzegalne przedtem refleksy księżycowego blasku. Były coraz jaśniejsze, ale bardziej subtelne i różnorodne niż odbijające się przedtem brutalne żółte światło.

Powietrze zaczyna już drgać. Smugi chłodu płyną wysoko pod niebem szybując jak ptaki. Wkrótce nastanie dzień, kolejny upalny dzień. W osnuwającej wszystko srebrzystej pomroce błąkały się niebieskawe cienie, a dalekie jasnoszmaragdowe niebo wisiało nad zimną rzeką. Kilka komarów już się zbudziło i brzęczy gdzieś na brzegu. Czekają na pierwszy błysk jasności, który będzie dla nich sygnałem do odlotu na poszukiwanie codziennej porcji krwi. Chwytam więc za wiosła i oddalam się od niebezpiecznego brzegu. Wpłynąłem teraz w szary brzask, w przejmujący chłód, taki, kiedy dołem zalega jeszcze noc, a górą już wstaje dzień. Wreszcie rozwidnia się na tyle, iż mogę stwierdzić, że przez noc krajobraz znacząco się zmienił. Po prawej wysoki brzeg porośnięty gęstą tajgą świerkowo - modrzewiową, po lewej równina porośnięta jakimiś chaszczami. Było cicho, tylko z prawej strony dochodziło stukanie dzięcioła - dźwięki były głuche, tłumione przez pień.

Zrobiłem bilans. Całkiem nieźle - przepłynąłem sto trzydzieści kilometrów! Jak

wynikało z mapy, od ujścia Czai dzieliło mnie niespełna dziesięć kilometrów. Cieszyłem się na spotkanie myśliwych poznanych w Kireńsku i aby przypadkiem nie przeoczyć domku myśliwskiego, trzymałem się prawego brzegu. Ponieważ było jeszcze bardzo wcześnie, a myśliwi mogli jeszcze spać, postanowiłem dobić do brzegu, rozpaść ogień i zjeść porządne śniadanie. Wkrótce zauważyłem odpowiednie miejsce i skierowałem tam ponton. Brzeg okazał się bardzo grząski, widać niedawno dopiero opadła woda, znalazłem jednak, jak mi się wydawało, najmniej błotne miejsce, dobiłem, przywiązałem łódkę do leżącego opodal pniaka, a sam czym prędzej wdrapałem się nieco wyżej, gdzie wydawało mi się, że jest nieco bardziej sucho. Jednakże wszystko dookoła było mokre, wróciłem więc do łódki po siekierkę i wspiąłem się wyżej, by znaleźć i narąbać suchego drzewa. Ranek był cudowny. Słońce zaczęło już przygrzewać, powietrze pachniało Igliwiem; było mi wręcz cudownie. Piąłem się pod górę, stąpając po wilgotnym mchu jak po puszystym dywanie. Odwróciłem się na chwilę i aż głośno gwizdnałem z zachwytu. Z góry roztaczał się prześliczny widok; porośnięte tajgą góry, wijąca się w dole rzeka. Ponieważ teren ciągle wznosił się, postanowiłem wdrapać się jeszcze wyżej, aby dokładnie przyjrzeć się okolicy. Drewno na ogień obiecałem sobie zebrać w drodze powrotnej. Im wyżej się piąłem, tym krajobraz zdawał się być piękniejszy. Wreszcie dotarłem na sam wierzchołek i usiadłem zmęczony, ale jakże zadowolony. Roztaczał się stąd niesamowity widok na okoliczne góry i doliny mieniące się wszystkimi odcieniami zieleni. W dole ostrym błękitem przecinała zieleń wijąca się Lena. Piękna pogoda, całkowite bezludzie, wkoło budząca się do życia przyroda; czyż trzeba więcej, by być szczęśliwym? Oddałem się marzeniom - pomyślałem, że cudownie byłoby wybudować w tym miejscu dom. Jakież byłoby to romantyczne - dom z dala od cywilizacji i związanych z nią kłopotów. Żyje się przecież tylko raz - a tu jest wszystko co do tego życia niezbędne. W dole rzeka pełna ryb, wkoło potężna tajga, w której znajdziesz wszelkie dobra potrzebne człowiekowi do szczęścia. Polować, łowić ryby, zbierać runo leśne, gromadzić opał na zimę - to wszystko, co trzeba tu robić, aby żyć w spokoju.

i Raz do roku trzeba by udać się do Kireńska - sprzedać skórki, poroża i inne dary tajgi - a za pozyskane w ten sposób pieniądze kupić mąkę, sól, herbatę i cukier. Później załadować te dobra na tratwę i wrócić do domu. Marzeniom nie było końca. Później jednak wrócił głód, a za nim teraźniejszość, trzeba było zjeść śniadanie i czym prędzej wsiadać do pontonu - do Morza Łaptiewów jeszcze daleko...

Wstałem, by iść z powrotem, ale coś kazało mi się odwrócić. Spojrzałem do tyłu, lecz nic nie zauważyłem; czułem jednak na sobie czyjś natarczywy wzrok. W tym momencie jednak zorientowałem się, że przed chwilą za bardzo się rozmarzyłem i po prostu coś mi się ubzdurało. Roześmiałem się nawet i już zamierzałem ruszyć w dół, kiedy między drzewami

dostrzegłem jakiś niewyraźny ruch. Zamarłem na chwilę, wytrzeszczając w tym kierunku oczy, lecz w dalszym ciągu nic nie widziałem; drzewa, krzaki, jakieś powalone pnie - nic więcej. Pomyślałem więc, że mam już przywidzenia, takie, które się zdarzają czasami ludziom zbyt długo przebywającym samotnie w kniei. Przyznam jednak, że trochę się wystraszyłem, a może po prostu było mi trochę głupio. Odetchnąłem jednak ulgą, i aby dodać sobie animuszu, krzyknąłem coś głośno i zagwizdałem na palcach. To wystarczyło, abym w jednej sekundzie zrozumiał, że popełniłem największy błąd w życiu. Popatrzyłem jeszcze raz i dosłownie zdrętwiałem! Zza zew wyłonił się wielki niedźwiedź!

Stałem jak wryty, nie wiedząc co począć, stanął również niedźwiedź. To przecież niemożliwe, abym w tak głupi sposób miał teraz zginąć powalony przez niedźwiedzia - przemknęło mi przez myśl. Staliśmy tak chwilę, wpatrując się siebie.

W pierwszym odruchu chciałem szybko wskoczyć na drzewo, ale zaraz zrezygnowałem z tego zamysłu, gdyż uświadomiłem sobie, że co jak co, ale niedźwiedź doskonale potrafi wspinać się na drzewa. Nie pozostało nic, jak tylko bezpiecznie się ewakuować... Nie spuszczać drania z oczu ruszyłem wolno stronę rzeki. Niedźwiedź długo mi się przyglądał, po czym bez pośpiechu, spokojnym krokiem ruszył za mną.

Nie tak przecież atakują niedźwiedzie - pomyślałem; wie bestia, że i tak nie ucieknę; zostawia mnie sobie na później... Choć zdawałem sobie sprawę, że robię błąd, co chwila nerwowo oglądałem się za siebie i mimowolnie przyspieszałem oku. Pędziłem teraz na ukos w stronę rzeki, mając jeszcze nadzieję, że po pierwsze ten potwór za mną to nie jest niedźwiedź, a po drugie, że jest niedołączny i mnie nie dogoni. Łudziłem się też, że gdy mu zniknę z oczu, niedźwiedź zgłupieje i pójdzie sobie w swoją stronę. Miałem jeszcze nadzieję, że e ma żadnego niedźwiedzia, że to po prostu wspomniane wcześniej halucynacje. Trochę zwolniłem i obejrzałem się. Nic nie zobaczyłem. Jednak nie zdążyłem jeszcze odetchnąć z ulgą, kiedy ponownie zobaczyłem jego cień przesuwany się niedaleko po lewej mojej stronie. Cwana bestia, chce mi odciąć drogę - myślałem i pędem wystrzeliłem do przodu. Biegłem teraz po skosie na prawo, co pozwoliło mi nieco oddalić się od drania, ale jednocześnie zdałem sobie sprawę, że to i tak nie może skończyć się dobrze. Nie jestem przecież kobyłą wyścigową... nie mam nawet się czym bronić, bo jak można obronić się przed niedźwiedziem zwyczajną siekierą... Gdzie ja właściwie ostatni raz widziałem niedźwiedzia? Na Imię? W cyrku? Już wiem, na podłodze u pewnego myśliwego...

Kierowałem się ku rzece, licząc na to, że jakimś cudem ocaleję; sam jednak nie wiedziałem co zrobić. Stać przeciwko niedźwiedziowi z nożem do konserw nie będzie ani trochę lepiej niż bronić się przed nim siekierą - strzelby żadnej nie miałem...

Przed oczyma stanęło mi wydarzenie, które opowiedziano mi przed miesiącem w

Surowie, kiedy to niedźwiedź jednym ruchem łapy urwał pewnemu Sybirakowi głowę - oj, rola ofiary nie należy do atrakcyjnych... 1 Po dalszych pięciuset metrach nie mogłem już złapać tchu i znowu się obejrzałem. Teraz nie było już żadnych wątpliwości. To był najprawdziwszy, najstraszliwszy niedźwiedź.

Zdałem sobie sprawę, że tu, w tajdze on jest panem, nie mogłem też liczyć na żadną pomoc - do znajomych myśliwych było jeszcze daleko. Skąd się wziął tu niedźwiedź? Trochę niepotrzebnie i trochę głupawo zadawałem sobie to pytanie, chociaż mogło mi to być absolutnie obojętne, nie znajdowałem się przecież w tej chwili na ulicach Watykanu... Wiałem dalej, a byłem tak wystraszony, że słyszałem za sobą potężny tętent i sapanie, co było oczywiście kompletną bzdurą, gdyż sam sapałem tak głośno, że nie usłyszałbym nawet armatniej salwy.

W przeciwieństwie do słuchu wzrok mnie nie mylił. To draństwo biegło teraz jakieś parę metrów za mną. Boże - żeby już dotrzeć do brzegu, żebym mógł czym prędzej wskoczyć na ponton! Chyba niedźwiedzie nie potrafią wiosłować... Ale brzeg był jeszcze daleko, a to bydlę zbliżało się do mnie z każdym skokiem, aczkolwiek powoli.

Bestia była wyrafinowana i chciała mnie zadręczyć albo... - nie chciałem nawet dokończyć tej myśli, żeby nie zapeszyć - albo też nie była zbyt mocna w nogach.

Blżej wody drzewa się nieco przeredziły, więc zacząłem kluczyć. Pomyślałem, że jak już będzie blisko, to zacznę biegać wkoło drzewa, może w głowie mu się zakręci. Wtem w ciszy tajgi rozległ się głuchy ryk. Prawdę mówiąc, było to raczej buczenie i do głosu niedźwiedzia jakoś mi to nie pasowało. Ach, żeby okazało się to baranem. Nie wiedziałem, co miał oznaczać ten odgłos, ale wtem niedźwiedź ukazał się znowu jakieś parę metrów za mną i zrozumiałem, że tym razem naprawdę jest już bardzo źle ze mną.

Byłem już u kresu sił. Odrzuciłem siekiere, i tak zresztą by mi przeszkadzała.

Byłem tak wyczerpany, że nawet nie uniósłbym jej nad głowę, a co dopiero rąbnąć nią w łeb niedźwiedzia z jaką taką nadzieją, że go zabiję czy choćby zamroczę. Kiedy zamierzałem już z wyczerpania przystanąć, bestia ryknęła ponownie, więc jeszcze kawałek pobiegłem. Można uznać to za śmieszne, ale cholernie się bałem.

Niedźwiedziowi nie można nic wytłumaczyć, nie można z nim pertraktować, nie można się z nim targować. Człowiek nie ma szans na jakiegokolwiek manewrowanie. Trzeba się bronić siłą, nie głową, a w tym on jest na pewno lepszy.

Żyje sprawiedliwie i uczciwie, na ile może żyć pianista - podróżnik i rozumiem, że i tak kiedyś umrzeć muszę. Ale akurat teraz tu, na Syberii nie bardzo miałem na to ochotę. Nie mam jakiegoś specjalnego bzika na punkcie ojczystej ziemi, lecz mimo to wierzyłem, że kiedyś w niej legnę na wieczny spoczynek, nie że jakieś zwierzę rozwłóczy moje szczątki po

tajdze i okolicznych skałach.

Wreszcie między drzewami ukazała się rzeka, więc przyspieszyłem kroku nowym zapalem. Ale jak to już bywa, właśnie kiedy zacząłem myśleć, że wygrałem, potknąłem się o jakiś korzeń i jak długi runąłem na ziemię. Twarz cisnąłem w miękki mech, a ręce skrzyżowałem za głową. Było to całkiem zbyteczne, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. W uszach mi szumiało i tylko jakby z oddali usłyszałem, że to bydlę gdzieś blisko zawyło. Prawdopodobnie miała to być uwertura do zbliżającej się biesiady. Oddech rozrywał mi płuca, serce czułem gdzieś w gardle i miałem jedynie cichą nadzieję, że pęknie mi ono, mim ta bestia wbije we mnie swe kły. Jak struś chowający głowę w piasek, ciskałem nos w mech w instynktownej ufności, że może mnie bydlę nie zauważy. Zamieniłem się w słuch, wstrzymałem oddech, ale nic nie usłyszałem, wkoło panowała złowroga cisza. Trwało to chyba wiek.

Powoli zacząłem jako tako oddychać, ale poruszyć się nie miałem odwagi. resztą nawet nie mogłem, bo byłem cały zdrętwiały ze strachu. Po szyi łążyły mi rowki, ale przynajmniej miałem pewność, że jeszcze żyję. W następnej chwili odwróciłem trochę głowę i rozejrzałem się dookoła.

Niedźwiedź leżał trzy kroki ode mnie. Głowę położył między przednimi parni, język wywalił na trawę i dyszał tak samo jak ja. Czy mam patrzeć u w oczy, czy też na nasadę nosa? Gdzie to ja czytałem, że to pomaga?

O tak, tylko tam chodziło o psa, a nie o niedźwiedzia. A może udawać, że go nie widzę? On widział mnie z całą pewnością. Ja jego też i muszę przyznać, że nie był to krzepiący widok. Zdecydowanie przyjemniej jest patrzeć na niedźwiedzia w kinie i świetnie rozumiem, że przy takim nieoczekiwanym spotkaniu myśliwemu strzelba wypada z ręki. Co do mnie, to nie trafiłbym do ego nawet z odległości trzech kroków. Tak więc na siebie patrzyliśmy, aż zrobiło i się trochę głupio i spróbowałem powolutku dźwignąć się na kolana. Co też tego wyniknie? Nie wynikało nic, tyle że kolana wyraźnie pode mną dygotały.

Niedźwiedź podniósł głowę i znowu tak jakoś raczej smutno niż groźnie zaryczał. Oczy miał całe przekrwione, wybałuszone, z pyska ciekła mu ślina, po bokach widać mu było wszystkie zębra.

Pewnie dawno nie żarł - pomyślałem i uznałem to za niedobry znak. Nie odniosłem wprawdzie wrażenia, żeby miał zdecydowanie złe zamiary, ale podobnych wypadkach jestem zawsze jakiś taki nieufny.

Podniosłem jedno kolano i znowu nic. Popatrzył tylko na mnie i sapał. Wstałem i prostowałem się powoli. Wystrzegałem się jakiegoś gwałtownego ruchu, a co dopiero

kroku. Raptem - Święty Boże! On wstał także. Nie był zbyt wielki. Głowę trzymał raczej smętnie opuszczoną, miał pomarszczone, wyliniące futro i jakieś wrzody na brzuchu. Sadząc z tego jak oddychał, widać przychodził do siebie z większym trudem niż ja. Zrobiłem następny kroczek, potem jeszcze jeden. Ruszył za mną. Szybko się zatrzymałem - on też. Po chwili spróbowałem znowu. Szedł za mną pomału, utrzymując między nami tę samą mniej więcej odległość. Jak na mój gust - za małą. Nie czułem się nadzwyczajnie, ale nie odczuwałem już tak potwornego strachu i mogłem przynajmniej trochę zebrać myśli. Wtem wpadłem na pomysł: rozpalę ognisko! Ze też od razu o tym nie pomyślałem. Rozpalę ogień. Drapieżniki tego nie lubią, i w ten sposób go przepędzę. Ale gdzie siekiera? Ruszyłem z powrotem do lasu. Stawiałem drobne rozważne kroki, bo uparcie szedł za mną. Ale doprawdy nie wydawało mi się, aby miał na mnie specjalną ochotę. Pewnie wyczuł, że już stare mięso... Nawet kiedy schyliłem się po siekierę i gwałtownie wyprostowałem, nie zareagował. Zacząłem podejrzewać, że boi się mnie tak samo jak ja jego, ale nie przestawałem być czujny. Porąbałem trochę suchych gałęzi i dopiero wtedy znowu się do mnie zbliżył. Patrzył przy tym na mnie z takim oddaniem, że wyglądało na to, iż boi się, żebym go gdzieś nie zostawił...

Dowlokłem gałęzie i siebie do rzeki. Oczywiście niedźwiedzia także. Mimo wszelkich przypuszczeń co do jego pokojowych zamiarów, muszę przyznać, że trzymałem suche badyle po tej stronie, po której on maszerował.

Teraz powstał kolejny dylemat - w jaki sposób rozpalic ogień? Potrzeba zapalkę, przestraszy się i już mam go na sobie. Naraz wszystko to wydało się tak nierzeczywiste i absurdalne, że o mało nie zacząłem się śmiać. W tajdze, z dala od siedlisk ludzkich, wśród drzew i chaszcz - w tym oto lesie mam nagle przed sobą upiora w postaci niedźwiedzia. To chyba w ogóle nie może być prawda... Ale to była prawda. I miałem się o tym jeszcze dokładnie przekonać.

W końcu potarłem jednak zapalkę. Nic się nie stało, rozpalilem więc ogromne ognisko. Niedźwiedź jak gdyby nic wyciągnął się przy nim i położył wyliniąły łeb na łapach. Dobra, może zaśnie, to wtedy po cichu odpłynę. Nic z tego. Po chwili wstał i poszedł napić się wody z rzeki. Kiedy szedł z powrotem, oczy paskudnie mu błyszczały. Zastanawialem się, co będzie jak przetrzyma mnie tu do nocy. I przetrzymał, nawet nie spostrzegłem się, jak dzień cały zleciał. Pociemniało i wreszcie zwierz zasnął. Postanowiłem za wszelką cenę dać dyla. Ledwo się poruszyłem, otwierał oczy i podnosił głowę. Udawałem wtedy, że się tylko ot tak po prostu rozglądam i on też zaczynał się rozglądać.

Podrzuciłem od ognia resztę gałęzi, w nadziei, że ogień go wypłoszy, ale on miast uciec, przysunął się jeszcze bliżej. Leżał tak, żeby mnie widzieć. Nigdy nie odwrócił się do

mnie tyłem. Poczekalem aż zamknie oczy, a kiedy wydawało i się, że głęboko zasnął, zacząłem się cicho podnosić. Rzeczywiście spał. Ale ledwie się wyprostowałem, już stał na czterech łapach i jakoś paskudnie mi się przyglądał. Stał nieruchomo i patrzył na mnie. W jego oczach przeskakiwały omyki, a mnie zaczął ogarniać strach. Pierwszy raz poczułem zimny pot spływał mi ciurkiem po plecach.

Przed chwilą skłonny byłem sądzić, że to jakieś stare bydlę, bezzębne dychawiczne, które w Kireńsku porzucił jakiś cyrkowiec, aby go nie grzebać i własny koszt. Ale teraz, kiedy widziałem, że łypie na mnie swym błyszczącym wzrokiem i wciąga powietrze w nozdrza, wcale nie odnosiłem wrażenia, że blisko mu do śmierci. Prawdę powiedziawszy, w tej chwili bliżej do śmierci było mnie. Bałem się nawet ponownie usiąść. Nie wiem dlaczego wydawało mi się, że tej pozycji mam większe szansę się bronić, gdyby na mnie skoczył.

W pewnej chwili o mało nie uległem panice i nie puściłem się biegiem do rzeki. Ale strach sparaliżował mi nogi, a poza tym było dla mnie absolutnie jasne, że zrobi dwa susy, oprze się o moje plecy i wgryzie mi się w kark. Wreszcie niedźwiedź ponownie się położył, kładąc swój durny łeb na wyciągnięte łapy.

Całkiem uczciwie przyznaję, że przez tych dziesięć minut, kiedy tak nieruchomo na mnie patrzył, dygotałem ze strachu. Z wysiłkiem oderwałem wzrok od niedźwiedzia i rozejrzałem się ukradkiem. Zobaczyłem leżącą siekiere, ale zaraz łem sobie spokój... Zdałem sobie sprawę, że choćbym nie wiem jak wyteżał mózg, nic rozsądnego prawdopodobnie nie przyjdzie mi do głowy.

Wtem olśnienie! Czemu by nie spróbować po prostu wejść do pontonu ruszyć z silnym nurtem rzeki. Wiem, że niedźwiedzie świetnie pływają, a nawet nurkują, ale ten nie wyglądał na takiego, co mógłby kilometrami za mną płynąć. Postanowiłem plan od razu wcielić w życie. Podniosłem ostrożnie siekiere, po czym powolutku zacząłem się cofać w stronę pontonu. Kiedy dotarłem do wody, niedźwiedź podniósł łeb, popatrzył obojętnie w moją stronę, po czym ponownie puścił swój kudłaty łeb na przednie łapy. Rozzuchwalony jego obojętnością na moją ucieczkę, powoli usiadłem okrakiem na łódce, odwiązałem sznurek i lekko nogą odepchnąłem się od brzegu. Natychmiast porwał mnie silny nurt. Byłem szokowany łatwością, z jaką udało mi się uwolnić od tego potwora.

Wpłynąłem w mrok nocy. Teraz widziałem jak na dłoni malejący z każdą chwilą jasny punkt ogniska i leżącego przy nim niedźwiedzia. Uszczypnąłem się ucho, aby sprawdzić czy to aby nie sen - ucho zabolalo, więc jednak to nie sen jeszcze przed chwilą siedziałem razem z niedźwiedziem przy ognisku...

Rzeka zakręcała wielkim, szerokim łukiem w prawo. Kiedy wypłynąłem na prostą, z daleka zobaczyłem palące się na brzegu ognisko. W chwilę później, gdy byłem już bliżej, z

mroku tajgi wyłoniła się jakaś chatka stojąca na skraju lasu, zauważyłem również postacie siedzące przy ogniu. Nie było wątpliwości, tu do Leny wpadała Czaja, przypuszczałem więc, że siedzący przy ogniu mężczyźni są myśliwymi z Kireńska. Zdziwiłem się bardzo, że to tak blisko miejsca, gdzie miałem przygodę z niedźwiedziem - myśliwi bowiem uganiaли się za misiami po tajdze, nie wiedząc, że mają jednego pod samym domem. Zastanawiałem się nawet, czy im opowiedzieć o swojej przygodzie, ale w tym momencie żal mi się zrobiło chorego bądź co bądź niedźwiedzia, lecz z drugiej strony lepiej chyba będzie dla biedaka, gdy jutro go wytropią i zastrzelą...

Myśliwi byli już pod dobrą datą i oczywiście przywitali mnie jak starego znajomego. Nie zdążyłem jeszcze wyjść z łódki, kiedy dzierżyłem już w rękach stakan wódki i kawał pieczystego na zagrychę. Kiedy wreszcie wyszedłem na brzeg, wiano we mnie jeszcze „karniaka” i świat w jednym momencie zrobił się różowy.

W chwilę później opowiedziałem swoją przygodę z niedźwiedziem. Zapytali o jego wygląd, a gdy go opisywałem, nie zdążyłem skończyć, kiedy oni już tarzali się po ziemi ze śmiechu. Rychło okazało się, że mój prześladowca to ich własny, oswojony niedźwiedź o dźwięcznym imieniu Gorbi, który od lat przebywa tu z myśliwymi.

- Zaraz go tu zawołamy - powiedział jeden z łowców i zagwizdał na palcach.

- Zobaczysz, nie minie kwadrans, jak się zjawi, nauczyliśmy go, że reaguje na gwizd.

Wie szelma, że jak przyjdzie, to dostanie trochę cukru...

Teraz dopiero stało się dla mnie jasne, że gdyby nie moje pogwizdywanie dla otuchy, to nigdy by nie doszło do spotkania z tym kudłaczem.

Rzeczywiście, niebawem zjawił się mój stary znajomy. Tym razem jednak w ogóle nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Myśliwi dali mu trochę cukru, po czym misio położył się przy ognisku i długo oblizywał swój pysk jęzorem.

Myśliwi wyjaśnili, że początkowo mieli nawet dwa misie, ale jeden padł od kuli nieorientowanego myśliwego, który myślał, że go niedźwiedź atakuje. Niedźwiadki zostały sierotami po tym jak ich matka rzuciła się na polujących w tajdze myśliwych. Cóż było robić? Trzeba było zabrać małe, gdyż same nie dałyby sobie rady w tajdze - wyjaśnili.

Nasz kudłaty jest upośledzony, tak jak każde dzikie zwierzę będące na utrzymaniu człowieka. Sam nie dałby sobie rady w tajdze, gdyż w dzieciństwie zatracił już swe podstawowe instynkty. Teraz, po zimie jest nieco chudszy - podobno niezbyt dobrze sypia - ale niebawem będą jagody, to się nieco wypasie, jesienią zaś przyjeżdżają tu na całą zimę myśliwi, więc kiedy się obudzi, to go dokarmiają. Są lata, że w ogóle nie zapada w sen zimowy.

Po północy przenieśliśmy się do domku myśliwskiego. Kiedy weszliśmy do środka,

oniemiałem z wrażenia. Domek nie był takim sobie zwykłym domkiem, jakich jest na Syberii setki, a może tysiące. Z zewnątrz niczym specjalnie się nie wyróżniał, ale za to w środku... Obszerna izba myśliwska z najprawdziwszym kominkiem i zamontowanym weń różnym, barek z wysokimi stołkami, pomieszczenia kuchenne, a nawet sypialnie. Na ścianach wisiały trofea myśliwskie, a na podłodze leżał najprawdziwszy perski dywan.

Musiałem mieć nietęgą minę, widząc to wszystko, gdyż myśliwi byli wyraźnie im widokiem rozbawieni, dopiero po chwili wyjaśnili mi skąd tu ten dobrobyt.

Za czasów ZSRR było na Syberii kilka miejsc, gdzie wożono zagranicznych polityków i różnych dygnitarzy. Władza sowiecka dbała o to, aby tworzyć jak lepszy wizerunek kraju. W tym celu w głuszy syberyjskiej pobudowano kilkadziesiąt ekskluzywnych dacz, które miały świadczyć o dobrobycie miejscowej ludności. Tu na przykład zatrzymywali się zagraniczni goście polujący w górnym biegu Czai, gdzie ponoć roi się od niedźwiedzi. Opodal domku znajdowało się nawet swego czasu lądowisko dla helikopterów. Teraz już zagraniczni goście tu nie przyjeżdżają, więc domek zabrał zarząd miasta Kireńska i przeznaczył na zimownię dla mieszkańców miasta żyjących z łowiectwa. I tak mamy tu Amerykę, śmiali się myśliwi.

Obudziłem się dopiero około południa, gdyż jak przystało na prawdziwą gościnę, piliśmy i jedliśmy pieczone aż do białego rana. Na nieco spóźnione śniadanie - jak zwykle - szklaneczka i zimne mięso. Kiedy zbierałem się do drogi, jeden z myśliwych zaprowadził mnie na tyły domu, gdzie znajdował prowizoryczny budynek gospodarczy. W środku na ogniu skwierczał tłuszcz niedźwiedzi, a w rogu leżała sterta niedźwiedzych skór. Przez całe pomieszczenie ściągnięty był drut, na którym suszyły się niedźwiedzie woreczki żółciowe, kształtem do złudzenia przypominające duże figi.

- To niecały tydzień pracy, a to co tu widzisz, jest najcenniejsze z całego niedźwiedzia - wyjaśnił, wskazując na suszące się woreczki żółciowe.

Dowiedziałem się, że jeden woreczek żółciowy, wysuszony, pokrojony i zapakowany, można sprzedać w Japonii lub Chinach za cenę ponad około dziesięciu tysięcy dolarów! Suszony nie psuje się, może więc leżeć latami i czekać na dobrego kupca.

Półprodukty wytwarzane z organów niedźwiedzi mają tam zastosowanie medycynie oraz przemyśle farmaceutycznym i kosmetycznym. Japończycy na przykład na bazie żółci niedźwiedziej produkują lekarstwa na raka wątroby, sklerozę i inne trudno uleczalne choroby.

Chińczycy są podobno jeszcze bardziej pomysłowi, gdyż organy niedźwiedzie przerabiają między innymi na kryształki z żółci, które to z kolei dodają do różnych specyfików, między innymi do wina.

Niedźwiedzią żółć można pozyskać w dwojaki sposób: kupując woreczek żółciowy z zabitego zwierzęcia lub ekstrakt z żywego zwierzęcia... Podobno w tym celu założono w Chinach fermy niedźwiedzie. Hoduje się w nich około czterdziestu tysięcy sztuk! Zwierzęta poddawane są operacji, w której wszczepia się im rurkę, przez którą wycieka żółć. Chińczycy wykorzystują ekstrakt z żółci żywych zwierząt do produkcji specjalnych szamponów, maści na hemoroidy i win, czyli generalnie do produktów mających właściwości lecznicze. Cóż tak niezwykłego jest w żółci? Żółć pochodząca z woreczków żółciowych zawiera pewien kwas, który nosi łacińską nazwę *urso*. Kwas ten, zdaniem Azjatów, ma bardzo wyjątkowe działanie i nie można go niczym innym zastąpić. Choć jest na rynku tani odpowiednik wytwarzany z krwi żółci, to Chińczycy i Japończycy nie wierzą, że tani substytut jest równie dobry jak prawdziwa niedźwiedzi żółć. I w tym tkwi cały niedźwiedzi problem...

Pełne drzemiących wulkanów i gejzerów tereny nad Morzem Beringa były jeszcze do niedawna, bo za czasów ZSRR, zamieszkiwane przez najliczniejszą populację niedźwiedzi brunatnych na Ziemi. Było ich tam około dwunastu tysięcy sztuk! Doktryna komunistyczna broniła symbolu związkowej ziemi i nieskazitelnego rezerwatu zamieszkanego przez niedźwiedzie. Teraz nie ma już komuny, jest Rosja i demokracja - niedźwiedzi więc już nikt i nic nie broni. Identycznie ma się sytuacja w sercu Kamczatki, gdzie znajduje się dziewicza kraina gejzerów. Tam do niedawna w tysiącach sztuk żył unikalny gatunek - wielkie rosyjskie niedźwiedzie brunatne. Teraz podobno pozostało ich tylko kilkaset!

- To głównie politycy i wojskowi - my nie dopuścimy do takiej sytuacji, aby strzelać do niedźwiedzi z helikopterów - obiecywał myśliwy. - My jesteśmy uczciwymi Sybirakami i szanujemy mateczkę tajgę.

Kiedy żegnałem się z myśliwymi, radzili mi nocować w miarę możliwości w wioskach albo ostatecznie na wyspach. Niedźwiedzie są niebezpieczne tylko do czasu, kiedy w tajdze nie ma jagód - upominali. Już niedługo się zaczną, ale na razie chroń swoje życie i pamiętaj, kiedykolwiek w głuszy spotkasz niedźwiedzia, co nigdy nie odwracaj się do niego plecami...

Pomny uwag dotyczących zachowania się podczas spotkania z niedźwiedziem odepchnąłem ponton od brzegu i ruszyłem w dół rzeki. Chata z woreczkami żółciowymi oddalała się coraz bardziej, coraz mniejsi stawali się ludzie krzątający się wkoło obozu.

Osobiście nie wierzyłem w zapewnienia myśliwego o jego miłości do „tajgi mateczki”, byłem przekonany, że to, co zobaczyłem, to czyste kłusownictwo, tyle że usprawiedliwione przez samych kłusujących, przez nich samych zalegalizowane. Oby misie nie podzieliły losu innego wspaniałego mieszkańca Syberii - tygrysa syberyjskiego,

wytopionego już prawie przez zidiociałych, żądnych wrażeń ludzi. Ten zamieszkujący Syberię kot potrafi mknąć po śniegu z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę; wspaniały, tajemniczy, wielce niebezpieczny i wielce zagrożony śmiertelnym niebezpieczeństwem. Tylko pomyśleć, że porastająca Syberię przepastna tajga stanowi jedną czwartą leśnych zasobów Ziemi; tylko pomyśleć, że jeszcze przed stuleciem tygrysy licznie zamieszkiwały cały jej obszar; tylko pomyśleć, że jeszcze w latach pięćdziesiątych widziano je w okolicach Jakucka! Teraz jest ich tylko kilkaset - tyle zostało z gatunku, ale może być jeszcze gorzej...

Do końca lat osiemdziesiątych tygrysy miały się jeszcze dobrze. Pod ścisłą doktryną komunistyczną wiodły spokojny żywot. Obecnie - podobnie jak niedźwiedzi - prawo już ich nie chroni. Szerzące się kłusownictwo przyczyniło się do drastycznego zmniejszenia ich populacji. Na azjatyckim rynku lekarstwa wytwarzane z ich ciał uważa się za niezwykle cenne ze względu na przypisywaną im legendarną moc leczniczą. Za ich skórę dostać można dziesięć tysięcy dolarów - jest więc powód, aby na nie polować. Ale nie tylko kłusownicy zagrażają tygrysom. Ich naturalne środowisko - największy naturalny las na świecie - gwałtownie się kurczy. Każdego roku wycina się około czterech milionów hektarów tajgi - tygrysy nie będą żyły na pustyni...

Niewiele się jednak robi, aby ochronić tego kota. Gdy władza wpada na trop kłusowników, jedyne co robi - to odbiera trofea. Później pali tygrysie skóry, aby przypadkiem nie dostały się na rynek... Ta sytuacja przywodzi na myśl słowa pewnego rosyjskiego poety: „tygrysie, spalasz się jasno w lasach okrytych nocą”...²² Dziś wierzyć się nie chce, że tygrysy przemierzały niegdyś swobodnie kontynent azjatycki, że ich stada liczyły tysiące osobników. Obecnie na niewielkim górskim obszarze nad Morzem Japońskim przetrwało trzysta tygrysów! Jeżeli nie stanie się jakiś cud, to wszystko wskazuje na to, że los tego gatunku jest już przesądzony.

Rzeka z dnia na dzień jest coraz szersza. Coraz rzadziej oglądam małe miściny - po prostu są bardziej oddalone od siebie. Dziś minąłem wioseczkę Mutina, w której stały dosłownie cztery domy. Nieco za wioską zauważyłem ruinę drewnianej cerkwi, o której ścianę oparto duży znak nawigacyjny - przyznam, że żałośnie to wyglądało. Po południu dopłynąłem do miejscowości Korszunowo. Wieś znajdowała się na wysokim piaszczystym brzegu i już na pierwszy rzut oka odróżniała się od innych mijanych wiosek - widać było wiele nowych, starannie wykończonych domów, a w obejściach lśniło czystością.

Jak nakazuje syberyjska gościnność, mieszkańcy wioski przyjęli mnie z wszystkimi

²² W rzeczywistości cytat pochodzi ze słynnego wiersza brytyjskiego XIX - wiecznego poety Williama Blake'a „Tyger” (Tyger, tyger, burning bright. In the forests of the night”. „Tygrysie, błysku w gaszczach mroku...”; przekł S. Barańczak)

obowiązującymi honorami. Podczas gościny dowiedziałem się, że pięćdziesiąt kilometrów dalej zobaczą jedno z najpiękniejszych miejsc na Lenie, zwane przez miejscowych *Szchioki*²³.

Są na Syberii miejsca osobliwe, dające dużo do myślenia. Zabytki stanowiące istotną część historii, miejsca szamańskich obrzędów religijnych, pozornie niezrozumiałych i dziwacznych, w szczególności zaś niepowtarzalne nigdzie indziej cuda przyrody, wyróżniające się pięknem, owiane mitami swoiste klejnoty natury. Różnorodność i w pewnym sensie nienaturalność tych ostatnich pobudza wyobraźnię i skłania do refleksji dotyczących praw, które rządzą światem.

Pod wieczór przekonałem się, że Sybiracy nie przesadzali, a miejsce, o którym mówili, okazało się jednym z najpiękniejszych, jakie w życiu widziałem.

Rzeka przetacza się tu wąską szczeliną między kilkusetmetrowymi pionowymi skałami, których kolory zdumiewają różnorodnością barw, od żółtej, różowej, fioletoworóżowej, po czystą czerwień. Częste zakola odsłaniają coraz to nowe formy skalne, przypominające gigantyczne postacie ludzkie czy fortyfikacje. Wszystko to połączone z błękitem wody jest tak bajecznie kolorowe, że sprawia wrażenie, że rzeka płynie przez tajemniczą czarodziejską krainę, jaką spotyka się tylko w marzeniach.

Miejsce to, choć bardzo piękne, jest również niezwykle niebezpieczne. Żegluga w tym miejscu wymaga nie lada umiejętności, gdyż rzeka zwęża się znacznie, a jej porywisty nurt rozbija wodę o ściany skalne. Ponieważ dochodziło w tym miejscu do wielu wypadków, na pierwszej skale ustawiono semafor regulujący ruch statków na tym niebezpiecznym kilkunastokilometrowym odcinku. Góra ta - zwana pierwszą szchioką - ma ponad trzysta metrów wysokości i z jej wierzchołka roztacza się widok na całe zakole - doskonale więc widać statki płynące w dół i w górę rzeki. Jeszcze do niedawna na szczycie tej góry mieszkał i pracował człowiek zwany *semaforczykiem*, którego zadaniem było regulowanie żeglugi na tym niebezpiecznym odcinku rzeki. Siedział więc sobie facet na czubku góry i patrzył, skąd nadpływa statek. Jak płynął statek z góry, to wywieszał czerwona flagę dla płynącego z dołu, gdyż w pierwszej kolejności przepuszczał statek płynący z prądem, czyli idący w dół rzeki. Opowiadano mi później, że gość był człowiekiem niezwyklego humoru. Jak sobie wypił - a robił to często - to siadał na czubku trzystumetrowej skały i jak gdyby nic grał na harmonijce - przy czym nogi zawsze mu zwisały... Pozdrowiał w ten sposób przepływających dołem marynarzy. W połowie lat osiemdziesiątych - podobno za sprawą niedźwiedzia - nie dokończył swojego koncertu i poszybował w dół prosto do wody. Od tego czasu na szczycie góry zainstalowano silną antenę radiową, a zbliżające się do skał statki porozumiewają się ze sobą za pomocą

23 W jęz. rosyjskim - policzki.

radiostacji.

Również na tym niebezpiecznym odcinku znajduje się najślynniejsza rosyjska skała. Nazywają ją „Pijanym Bykiem” - a nazwę swą zawdzięcza odległym czasom, kiedy to transportowano jeszcze towary na *karmazach*²⁴ Na jednej z nich wieziono w dół rzeki bydło i wino. Jak można się domyślić, załoga była trunkowa i akurat znajdowała się w odlotowym stanie. Marynarze nie podołali zadaniu i barka rozbiła się na skale, którą na pamiątkę wydarzenia nazwano „Pijanym Bykiem”.

Na liczącej cztery i pół tysiąca kilometrów rzece jest niezliczona ilość dużych skał. Każda z nich ma jednak swoją nazwę - to swoiste punkty orientacyjne - dlatego też często ta sama skała posiada kilka nazw oraz kilka różnych wiążących się z nią legend. Inaczej bowiem nazywają ją Jakuci, inaczej Eweni czy Rosjanie. Wiadomo, że nie sposób ich wszystkich wymienić, ponieważ same nazwy i ich pochodzenie dałyby pracę grubości książki telefonicznej...

W ostatnich dniach opanował mnie dziwny pogodny nastrój. Był koniec czerwca, tajga mieniła się wszystkimi odcieniami świeżej, soczystej zieleni. Późne wieczory tchnęły nastrojem impresjonistycznych obrazów. Spałem teraz po cztery godziny na dobę, a kilometry tak szybko ubywały, że bałem się myśleć o tym, by cudownego zrządzenia losu nie zapeszyć. Postanowiłem nadrobić czas, który straciłem w górnym biegu rzeki, kiedy to praktycznie z powodu stojącej wody tylko a pomocą wiosł poruszałem się do przodu. Rzeka coraz bardziej rozsuwała swe brzegi. Teraz płynęła wśród wygładzonych wiatrem wielobarwnych pionowych skał, które wyskakiwały pod niebo ponad soczystą skłębioną zieleń lasu.

Słońce, wiatr i woda to wielcy artyści, którzy światłem malują syberyjskie brązy. Zależnie od nastroju i miejsca iluminują syberyjską przyrodę pełną paletą szarnobarwnych odcieni. Najpiękniejsze jednak są wschody słońca. Najpierw a niebie pojawia się nieśmiałe lśnienie, zapalające pierwsze barwne smugi, które przesuwają się szybko od południowego zachodu, przyozdabiając purpurą kopułę całego zachodniego nieba. Ta ceremonialna szata, mieniąca się tęczo wszytkimi kolorami, od liliowego poprzez zieleń i żółć, sprawia, że po chwili cały świat oblewa jaśniejący z każdą chwilą szafirowy, połyskliwy blask nie dający cienia. Wkrótce gwiazdy zaczynają blednąć, a jaśniejące z każdą chwilą niebo prawią, że opadają nocne zasłony i cała ziemia spowija się w tajemniczej, przepięknej, kolorowej poświacie.

Czasami jednak i noc jest cudowna, trzeba tylko się w nią wpatrzeć. Ciemność zapada jak silnie skręcony nieprzejrzysty woal i tylko trupi blask księżycy światłem znaczy na wodzie swą drogę. Właśnie wtedy nad Syberią można zobaczyć niebo usiane gwiazdami,

24 Drewniane wiosłowe barki.

które wyglądają jak sypiące się iskry z ogniska. Droga Mleczna, obłoczny zwiastun dalekich i zimnych obcych światów, wygląda jakby w osobliwy sposób skupiła się w niej nieskończona przestrzeń. Jej daleki blask unoszący się nad Ziemią sprawia wrażenie, jakby miniaturowe gwiazdy wisiały tuż nad pasmem wyłaniających się z mroku pokrytych tajgą gór, jakby ich światło było świeże, a nie przesiane przez setki tysięcy lat świetlnej wędrówki poprzez międzygalaktyczny i międzygwiazdny pył...

Już tylko niecałe sto kilometrów dzieli mnie od Jakucji. Przepływam koło miejscowości Czajka, gdzie jeszcze do niedawna mieściła się olbrzymia kopalnia soli. Teraz tylko widać resztki sztolni i pozostałości po prowizorycznych nabrzeżach. Za wioską, na brzegach drewno przygotowane do spławu, ale prędzej zgnije, niż popłynie w dół rzeki, gdyż już od dawna koszty transportu przewyższają jego wartość.

Nazajutrz docieram do Jakucji. Jakucja zajmuje całą północną i wschodnią część Syberii wschodniej. Jej powierzchnia wynosi grubo ponad trzy miliony kilometrów kwadratowych, czyli tak jakby dwie zachodnie Europy. Jakucja powstała w kwietniu 1922 roku. Podobno Lenin w pijackim widzie zakreślił ten wielki obszar na mapie, mówiąc: ...a tu zrobimy Jakucję, bo mieszkają tam Jakuci.

Na tych ogromnych terenach mieszka obecnie około pół miliona ludzi, z czego około trzystu tysięcy Jakutów. Życie na tych terenach nie jest łatwe, zważywszy że ponad czterdzieści procent republiki leży za kołem polarnym. Najbardziej charakterystyczną cechą tutejszych warunków jest ich surowość, odzwierciedlająca się we wszystkim: w bardzo krótkich okresach wegetacyjnych, w długich i mroźnych zimach, w górzystym terenie i wreszcie w tym, że kraj leży na wiecznej marzłoci. Jakucja jest najzimniejszym regionem półkuli północnej. To właśnie tu, pomiędzy Jakuckiem a Ojmiakonem znajduje się sławetny biegun zimna.

Rzeka ma już dobrze ponad kilometr szerokości. Miejsce skał, które ciągnęły się prawie dwa tysiące kilometrów, zajmują teraz słupy skalne - ostańce. Sterczące na zielonych stokach wzgórz niczym kamienne pnie, z oddali do złudzenia przypominają wielki grzebień.

Rzeka wypłynęła na długą prostą, jest głęboka i szeroka. Znikły boje wytyczające szlak wodny, widoczne są tylko białe nabieżniki - wielkie tablice widoczne z bardzo daleka.

Paręnaście kilometrów dalej do Leny dwoma oddalonymi od siebie ujściami wpada rzeka Witim. Przez lata z jakuckiego zwana Betem. Naprzeciw jej ujścia, po lewej stronie, na wysokim płaskim brzegu znajduje się miejscowość Witim i port o tej samej nazwie. Nie zatrzymuję się w Witimiu, mijam znajdującą się a wysokim wzgórzem białą - czerwoną antenę przekaźnikową i ponownie oddalam się w głąsę.

Wpadająca do Leny rzeka Witim zasilila Lenę ogromną ilością wody pochodzącej z wiosennych roztopów - wodę tę określa się mianem czarnej, ponieważ niesie cały wiosenny bałagan, czyli niezliczone ilości drewna oraz wszelkiego rodzaju brudu zebranego z brzegów rzeki i jej dopływów.

Niedaleko stąd, nad Witimem znajduje się miejscowości Mama. Jest tam największa w okolicy kopalnia złota. Ciekawe, jak mają się tam ludzie? Zresztą musi być to ciekawa robota - kopanie złota. Licząca parę tysięcy mieszkańców wioska nie ma nic innego do roboty, tylko kopie, kopie i kopie...

Parę godzin później rzeka wielkim płaskim łukiem zakręca w prawo, więc dwie godziny płynę tylko w prawo... Po lewej wpada do Leny rzeka Peleduj, również po lewej duża miejscowość i port o tej samej nazwie, czyli Peleduj. Tuż za miastem, na wysokiej skale zauważam jakiś nienaturalny kształt. Po chwili rozpoznaję wysoki wyrzeźbiony pomnik jakiejś damy. Później dowiaduję się, że to pomnik Jakutki, która przed laty uszczęśliwiła ludzkość skacząc właśnie z tej skały... To co się tu stało, tak naprawdę bywa tylko w baśniach, a te opowiadają o zamierzchłych czasach. Jednak ta tycząca się „latającej” Jakutki wydarzyła się niedawno - niecałe dwadzieścia lat temu.

A było to tak: Za górami, za lasami, za siedmioma rzekami żyli sobie chłopak dziewczyna, i jak w baśniach bywa - mieli się ku sobie. Lecz jak również i w baśniach bywa, na tę miłość niechętnie patrzyła rodzina dziewczyny. Chłopak był Buriatem, ona Jakutką, więc należeli do różnych rodów. Ale nie o to w końcu chodziło - chodziło w głównej mierze o tradycyjny wśród tych narodów *kdałym*²⁵. Dawniej płacono kdałym bydłem, teraz sprawa jest jeszcze prostsza, bydło bowiem zastąpiły pieniądze, z tym że przy obrzędzie recytuje się dawniej przyjętą formułkę - „bydło przyjąłem”. Zdanie to jest nie tylko pokwitowaniem za córkę, ale również oficjalną zgodą na małżeństwo. Jak mi później opowiadano, chłopak był biedny, a ojciec dziewczyny nieugięty i w ten prosty sposób doszło do tragedii. Pewnego wieczoru zakochana Jakutka po prostu z miłości odebrała sobie życie, skacząc w przepaść z wysokiej skały. Przyznać trzeba, że było to bardzo romantyczne z jej strony. Niedoszły pan młody również chciał za ukochaną pofrunąć w dół, ale w rezultacie zabrakło mu odwagi, co niezbitcie, dowodzi, że nie aż tak bardzo kochał swoją wybrankę. Później, aby odkupić swe tchórzostwo, przez pół roku rzeźbił jej postać w twardej granitowej skale. Teraz każdy, kto płynie Leną, może już z daleka podziwiać dzieło rzeźbiarza i ze łzami w oczach wspomnieć tę niespełnioną, ale jakże romantyczną miłość...

Nurt wydaje mi się bardziej wartki, brzegi przesuwają się teraz jakby nieco szybciej. Wysoki stan wody bardzo utrudnia mi znalezienie dogodnego miejsca na rozbicie namiotu. Brzegi są zalane lub zavalone górami kry, a liczne w tym rejonie wyspy są jeszcze pod

25 Wykup za żonę należny ojcu dziewczyny.

wodą. Nie mając innego wyjścia, płynę więc na okrągło, posypiając w pontonie.

Noc bez księżycy miała swoją miękką poświatę, która srebrzyła lekkie opary, stwarzając jakieś bajeczne, nieruchome przestrzenie w oddali. Płynąłem wzdłuż prawego, porośniętego tajgą brzegu. Raz po raz jakiś nocny ptak wydawał przeraźliwy krzyk, rozrywając uroczystą ciszę. Z podmuchem zachodniego wiatru szły w moim kierunku ciepłe, upojne zapachy.

Kilometry bardzo szybko lecą, ale nastrój mam nie najlepszy, występują już objawy zmęczenia i wyczerpania. Od czterech dni nic nie jadłem, popijałem tylko wodę. Miejscowości są coraz bardziej oddalone od siebie, a po zarobionych w Kireńsku kartofelkach dawno nie pozostało śladu. To, że jeszcze żyję, zawdzięczam gościnności ludzi, a przede wszystkim zwyczajowi syberyjskiemu, który nakazuje nakarmić ludzi będących w podróży. Może ktoś w przepelnionej chrześcijańskimi wartościami Polsce nazwać to żebractwem, ale tu, na Syberii, choć nie katolickiej, pomaganie ludziom będącym w drodze jest tak normalne i ogólnie przyjęte, jak znany już fakt, że Ziemia jest okrągła i kręci się wokół swojej osi...

Piszę o tym z pewnym sarkazmem, gdyż jest mi niezmiernie przykro, że my Polacy zdziczeliśmy już do tego stopnia, że zatraciliśmy wręcz ludzkie odruchy. Myślę tu o szacunku dla drugiego człowieka. Jakże mało już nam go pozostało. Żyjemy tylko modnymi w danym czasie hasłami: raz jest to kochana PZPR, innym razem ukochana „Solidarność”, jeszcze innym - fundamentalizm religijny. Ale na szczęście (lub nieszczęście) to tylko hasła, gdyż życie pokazuje, że żadni z nas partyjniacy, żadni związkowcy dbający o klasę pracującą, a tym bardziej żadni katolicy, gdyż wiara ta uczy zupełnie czego innego niż to, co spotykamy na co dzień. Ale gęby mamy pełne frazesów - w tym naprawdę jesteśmy dobrzy.

Siedzę sobie na tym gumowym pontonie i patrząc na Lenę zastanawiam się, czy udałoby mi się spłynąć Wisłą, nie mając pieniędzy. Chciałbym zobaczyć tę wieś, w której przyjęto by mnie z honorami, chciałbym zobaczyć tę chatę, w której otwarto by mi drzwi o drugiej w nocy... Jestem pewien, że ponton ukradliby mi już w świętym mieście Krakowie!

Dziś powietrze znieruchomiało, jest straszliwy upał. Płynę, płynę, zakręt, później kolejna długa prosta. Daleko na horyzoncie wznosi się wysoka góra. Jej wysokość zdaje się zwisać prosto z nieba. Odnosi się wrażenie, że niebo powoli opuszcza czerwonawą skałę w falującą zieleń drzew. Zewsząd otacza mnie las. Tajga jest na tyle rzadka, że słońce dociera aż do mchu i trawy, dociera też do wystających korzeni, które nabrzmiewają w ziemi, niczym żyły na starczych rękach.

Byłem głodny. Chciało mi się jeść, potwornie chciało mi się jeść... Niestety, nie miałem nic do jedzenia, popijałem więc wodę z rzeki, marząc jednocześnie, że lada chwila

pojawi się na horyzoncie jakaś bogata wieś, taka oczywiście, przy której pasą się krowy... Ale wsi nie było ani w zasięgu wzroku, ani nawet na mapie. Popijałem więc dalej wodę z rzeki i aby zapomnieć o dręczącym mnie głodzie, sam sobie opowiadałem kawały. Wysilałem się na różne warianty urozmaicenia sobie czasu i wesołość moja ustała dopiero po bardzo długim czasie. Potem, wyczerpany durnym śmiechem, zapadłem w miły bezwład senny, któremu nie stawiałem oporu.

Wieczorem ciemność zgęstniała, lekki wiatr wzburzył perlistą toń rzeki. Skały w kształcie słupów rysujących się na niebie przybrały wygląd czarnych potworów, noszących sierść, czyhających na mnie. Nic mi nie było, głód przycichł, zamiast niego czułem miłą pustkę, nie doznawałem żadnych wrażeń, byłem szczęśliwy, że jestem tu sam, że nikt mnie nie widzi. Położyłem nogi wysoko na burtach, tej pozycji najlepiej delectowałem się poczuciem osamotnienia. Było mi dobrze, umysłu nie przesłaniał mi żaden cień. Leżałem z otwartymi oczami, nie czując samego siebie, daleki wszystkiemu i szczęśliwy, nie przeszkadzał mi żaden dźwięk - to naprawdę fajne uczucie. Wreszcie łagodna ciemność skryła świat przed moimi oczami i pogrzebała w pełnym ukojeniu. Zapadłem w sen, z którego zbudziło nie nagle szarpnięcie, przywołujące niemiłosiernie do życia i głodu. Zdziwiłem się głupekowato, że oto siedzę na pontonie pod gołym niebem, potem, kiedy znów przypomniałem sobie, że jestem głodny, ogarnął mnie smutek, że jeszcze żyję... Było tak ciemno, że z trudnością mogłem dostrzec skały. Poczulem ostry chłód, więc natychmiast wszedłem w śpiwór.

Dopiero rano powróciłem do życia. Powrót był cudowny. Wokół rozciągała się rozległa piękna okolica, trochę surowa, trochę nieprzyjemna. Słońce wypłynęło już nad góry i zabarwiło na turkusowo równą jak stół wierzchnie rzeki. Na brzegach w długich cieniach trwały jeszcze resztki nocy. Parę godzin później zobaczyłem na lewym brzegu osiedle jednakowych małych domków. Nie były to typowe dla Syberii budowle, tylko małe domki, jakby zbudowane z tektury. Kiedy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem wysoki płot wykończony u góry drutem kolczastym. Od razu domyśliłem się co to za obiekt. Ma się rozumieć, minąłem osiedle nie zatrzymując się wcale.

Około pięciu kilometrów dalej, za zakrętem rzeki zobaczyłem kolejną mieliznę. Ponieważ nie była ogrodzona drutem kolczastym, dobiłem do brzegu. Wieś nazywała się Jarosławskij. Tu dowiedziałem się, że poprzednia miejscowość to nie więzienie, jak początkowo myślałem, lecz kolonia zeków, coś między więzieniem a wolnością. Miejsce to spełniało rolę ostatniego etapu, przystosowującego delikwentów do życia na wolności. Pensjonariusze tego przytuliska w ramach daleko pojętej resocjalizacji karczowali las oraz wyrabiali jakieś półprodukty drzewne, a za swoją pracę otrzymywali nawet wynagrodzenie,

co jak na warunki rosyjskie jest rzeczą raczej niezbyt często spotykaną. Choć kolonia zeków nie była zaznaczona na mapie, to jednak miała swą oficjalną nazwę - Pierwojmajskij.

Lena codziennie rozszerza swe brzegi, jest już wielką rzeką, usianą setkami zielonych wysp. Brzegi są bardzo zróżnicowane. Skały, tajga, góry, niziny, jednym słowem, wszystko. Istnieje jednak w ukształtowaniu terenu pewna reguła: jeśli na przykład wzdłuż prawego brzegu ciągnie się łańcuch górski, to przeciwna strona rzeki jest płaska, ewentualnie porośnięta tajgą. Kilkanaście kilometrów dalej góry łagodnym stokiem opadają w dół, a przeciwny brzeg zaczyna jakby automatycznie rosnać w górę, aby wreszcie po iluś tam kilometrach przekształcić się w regularny, długi łańcuch górski. W ten sposób zawsze po którejś stronie rzeki kilometrami ciągnęły się góry.

Otoczające rzekę zbocza przeważnie porasta gęsta tajga, ponad którą od czasu do czasu przebijają się wysokie masywy skalne, sterczące samotnie ponad drzewami, niczym ruiny średniowiecznych zamków z ocalałymi od zniszczenia basztami. Niekiedy jednak ponad las przebijają się tylko pojedyncze słupy - to wspomniane wcześniej ostańce - one z kolei do złudzenia przypominały skamieniałe ludzkie postacie.

Wszystko to da się wytłumaczyć. Każda skała wystająca na powierzchni ziemi, niszczone przez powietrze i erozję, przyjmuje charakterystyczne dla siebie formy. Są one zależne od materiału, z którego jest zbudowana dana skała oraz przebiegających w niej szczelin, jak też od warstw ich ułożenia i kierunku przebiegu. Wszystko to związane jest z warunkami jej powstawania jak i późniejszymi procesami, którym podlegała. Gdy wiatr, woda i lód przystępują do dzieła zniszczenia, nie jest im łatwo rozprawić się z twardą skałą granitową. Tymczasem miękka kreda poddaje się niemal bez walki. Stąd też pełno tu słupów, tak zwanych ostańców, które sterczą jako świadectwo destrukcyjnej działalności wiatru, wody i mrozu.

Od czterech miliardów lat, odkąd lądy wynurzyły się z oceanów, natura dokonuje cudów, rzeźbiąc niewiarygodne wprost krajobrazy. Niemal każda forma rzeźby na powierzchni naszej planety jest efektem rywalizacji dwóch procesów: wewnętrznych i zewnętrznych. Pierwsze biorą się z wnętrza ziemi, drugie z atmosfery i od słońca. Celem pierwszych jest wypiętrzanie gór, tworzenie głębokich pęknięć i wysokich uskoków; drugie starają się niwelować nierówności terenu, niszcząc formy wypukłe i zasypując wklęsłe. Właśnie te wszystkie działania naszej planety tworzą widoczne tu przepiękne krajobrazy.

Tego popołudnia było piękne światło do robienia fotografii. Znajdowałem się właśnie za miejscowością Hamra, leżącą na lewym brzegu rzeki. Po prawej roztaczały się przepiękne widoki na różnorodne formy skalne i piaskowe, przy czym ich ułożenie było tak symetryczne, jakby powstały za sprawą ludzkich rąk. Mijany właśnie trójkątny piaszowiec

pokazuje warunki, jakie towarzyszyły sadzaniu się piasku. Tu wszystko można odczytać. I tak, ciemniejsze jego warstwy powstały podczas panowania gorącego i suchego klimatu, a jaśniejsze podczas chłodniejszego.

Niemale znaczenie w powstaniu tych form miała również woda. Podobnie jak inne czynniki zewnętrzne, woda potrafi niszczyć, transportować, a nawet budować. Woda niepostrzeżenie, lecz skutecznie oddziałuje na skały, rozpuszczając je i formując chaotyczny krajobraz kresowy, pełen popękanych bloków, urwisk, półek skalnych i stromych ścian wystających pośród łagodnych wzgórz, których tu wręcz pełno. Właśnie przeważnie takie krajobrazy skrywają pod powierzchnią ziemi tajemnice nie zbadanych jeszcze jaskiń - można by na ten temat pisać księgi.

Czerwone słońce ześliznęło się poza kontury poszarpanych górskich grzbietów, ale jego ciepło wciąż jeszcze było odczuwalne na gumie, z której zbudowano mój ponton. Góry wyglądały pięknie, ale czy głodny człowiek może się cieszyć z jakiegokolwiek piękna? Po jakimś czasie góry stały się nieco surowsze i jakby trochę sfiolowały; wreszcie zrobiły się całkiem fioletowe, a na jasnoblękitnym niebie przebiły się gwiazdy. Zwiastowało to, że już za kilka dni rozpoczną się jasne noce.

Zbliżając się do Leńska, ma się wrażenie, że wpływa się do jakiegoś wielkiego mitycznego portu. Wrażenie to sprawiają rozmieszczone po obu stronach rzeki dwie olbrzymie góry, które swym kształtem przypominają główki portowe. Kiedy odpłynąłem bliżej, na środku rzeki spod wody wynurzyła się duża okrągła wyspa, do złudzenia przypominająca rondo samochodowe. Po prawej wynurzyły się z ciemnej otchłani lasu trzy białe skały, wreszcie długa prosta, na końcu której zauważyłem migoczące światła miasta.

Patrzyłem na statek jak urzeczony. Rzęsiście oświetlony stał na redzie Leńska. W jaskrawym blasku żarówek połyskiwał pokład pełen rur i zaworów. Był to tankowiec. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że statek jest pełen jedzenia i jest jedyną w tej chwili szansą, aby przynajmniej najeść się do syta.

Walcząc z silnym nurtem, podpłynąłem pod jego niskie burty i zajrzałem w jasno świecące bulaje. Trafiłem na mesę. Załoga siedziała przy zastawionym jedzeniem stole i oglądała jakiś film na wideo.

Widok jedzenia oraz atmosfera pomieszczenia sprawiły, że nie mogąc się oprzeć, zapukałem pięścią w grube szkło bulaju. Gdy siedzący zorientowali się, skąd dochodzi hałas, natychmiast kilku z nich wybiegło na pokład. Nie musiałem wiele tłumaczyć; natychmiast zaproszono mnie na pokład.

Nie jestem w stanie opisać szczęścia, które dało mi siedzenie przy stole... Nie muszę chyba również dodawać, że natychmiast nakarmiono mnie do syta. Podczas rozmowy

dowiedziałem się o szczegółach tragedii powodzi, o której słyszałem już w Kireńsku. Miasto Leńsk przeżyło bowiem niespotykany do tej pory kataklizm powodzi. Zator lodowy, który utworzył się poniżej miasta koło miejscowości Batamaj, spowodował, że stan wody w przeciągu dwudziestu minut podniósł się o kilkanaście metrów, zatapiając doszczętnie miasto. Pełnej tragedii dopełnia fakt, że działo się to nocą. Płynąca wraz z wodą olbrzymia kra niczym spychacz zmiatała z powierzchni ziemi stojące opodal rzeki domy. Działo się to tak błyskawicznie, że ludzie wytrąceni ze snu zdołali zaledwie siebie uratować. Bardzo ucierpiały również urządzenia portowe, z tego też powodu tankowiec już od kilkunastu dni czekał na rozładunek. Marynarze opowiadali, że wielkie, kilkupiętrowe holowniki klasy SK zostały przez falę powodziową wyniesione aż siedem kilometrów w tajgę. Woda opadła, wraz z wodą opadły statki, tyle że siedem kilometrów od rzeki...

Później rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Kiedy marynarze dowiedzieli się, że pierwszy raz płynę Leną, radzili mi abym się koniecznie ochrzczył nad rzeką Ura. - To na szczęście, abys dopłynął do celu - upominali. Tak jak marynarze pływający po oceanach chrzczą się na równiku, tak leńscy marynarze robią to nad Urą. Pamiętaj, na dziesiątym kilometrze za wioską Tinnaja wpada do Leny mała rzeczka. To Ura. Oj! Zimna tam woda! Siedziałem i gaworzyłem z wachtowymi całą noc, odpływałem nad ranem z takim zapasem żywności, jakiego jeszcze w tej podróży nie miałem.

Rano miasto nie wyglądało już tak romantycznie, jak w świetle świateł odbijających się w wodzie. Ruiny domów, poprzewracane dźwigi portowe, wszędzie zgliszcza i wszechobecna kra, dochodząca do rozmiarów domów! Bryły lodu stłoczyły się jedne na drugich, tworząc całe łańcuchy górskie ciągnące się wzdłuż brzegu - wyglądało to jakby alpejskie szczyty strzaskał jakiś straszliwy kataklizm. Nic dziwnego, że kiedy taka masa lodu przetoczyła się przez miasto, to zmiotła z powierzchni ziemi wszystko, co napotkała na swojej drodze. Dopiero teraz, widząc to na jawie, zrozumiałem powagę katastrofy - miasto Leńsk rzeczywiście spotkało wielkie nieszczęście. Nieco dalej zauważyłem stojące na brzegu cztery wieżowce - na wysokości pierwszego piętra rysował się świeży ślad po wodzie - szczerze mówiąc, wydawało się nieprawdopodobne, aby woda mogła tak wysoko podejść. Dziś, w trzy lata później, kiedy oddaję tę książkę do druku, miasto Leńsk już nie istnieje - przynajmniej tak zapowiadają władze Rosji. W tym roku kolejna powódź nawiedziła Leńsk. Na niespotykaną dotychczas skalę przetoczyła przez miasto olbrzymia fala powodziowa - tym razem tak ogromna, że przesądziła o istnieniu miasta. Woda niosąca zwały lodu tym razem nic nie zostawiła powierzchni ziemi! Władze Rosji z czysto ekonomicznego punktu widzenia stanowią odbudować miasto, z tym że w innym, bardziej dogodnym miejscu, Leńsk musi istnieć, a to dlatego, że jest ważną bazą przeładunkową.

Leńsk jeszcze do niedawna nosił jakucką nazwę Machtuja. Miasto i port powstało z myślą o odległej o trzysta kilometrów stąd kopalni diamentów w Mirnym. Czym jest diament dzisiaj? Jest jednym z najważniejszych surowców przemysłowych, witaminą A przemysłu maszynowego i narzędziowego, techniki lotniczej, nacierstwa, geologii i kilkunastu innych gałęzi przemysłu. Bez diamentów nie sposób sobie wyobrazić cięcia, polerowania, wiercenia, toczenia metali, krajania bardziej twardych kamieni szlachetnych. Bez diamentów nie może istnieć przemysł szlifierski, w ogóle śmiem twierdzić, że bez diamentów nie ma nowoczesnej techniki. Diament jest surowcem nie tylko przemysłowym, lecz i strategicznym.

Na przykład w Stanach Zjednoczonych wszystkie diamenty wielkości ponad dziesięciu karatów²⁶ podlegają państwowej ewidencji. Pierwsze informacje o diamentach docierają do nas z zamierzchłej przeszłości. W zbiorach British Museum przechowywana jest brązowa statuetka grecka ozdobiona zamiast oczu dwoma nieoszlifowanymi diamentami. Pochodzi ona z piątego wieku p.n.e. Wynika stąd, że diamenty były przed dwudziestu sześciu wiekami znane starożytnym Grekom, otrzymywali je najprawdopodobniej z Indii, Indie bowiem należy uważać za najstarszą ojczyznę diamentów. Owym Grekom znana była zapewne niezwykła twardość diamentów - nie darmo bowiem słowo diament²⁷ pochodzi od greckiego *adamas*, co oznacza niezłomny, niezwyciężony, niezniszczalny. Dodać należy, po raz pierwszy znaleziono rosyjski diament czwartego czerwca 1829 roku na Uralu w pobliżu fabryki Bissera. Stało się to podczas podróży po Uralu i Ałta - ekspedycji naukowej pod kierownictwem barona Aleksandra von Humboldta, który był jednym z pierwszych entuzjastów poszukiwań diamentów w Rosji.

Mirnyj jest największą kopalnią odkrywkową diamentów na świecie. Odkrywka zwana *trubq*²⁸ - to wielka na trzysta metrów dziura w ziemi, skąd wielkimi ciężarówkami wywozi się do dalszej obróbki urobek. Z Leńska można dojechać tą drogą, najlepiej oczywiście jeżeli ma się odpowiedni samochód terenowy. Mirnyj to jedno z tych młodych syberyjskich miast, które nie ma jeszcze legend, zna natomiast historię swojego powstania, którą warto w tym momencie przypomnieć.

Nazwa Mirnyj pochodzi na pamiątkę pewnej tajnej depezy, którą nadali tajni geolodzy poszukujący diamentów. Ale po kolei. Od dawna wiadomo było, że tereny leżące pomiędzy Wilujem a Leną są bardzo zasobne w różne surowce, w tym diamenty. Należało więc tylko znaleźć ich złoża, aby móc rozpocząć eksploatację. W tym celu w miejscowości Niurba nad Wilujem założono ekspedycję, która nazwano amakińską, od eweńskiego słowa

26 Waga jednego karata wynosi 0,2 grama.

27 Po rosyjsku - алмаз.

28 Po rosyjsku - фая, фая.

amakin - niedźwiedź. Nie należy doszukiwać się w tej nazwie niczego szczególnego, po prostu niedźwiedzi w tym rejonie było po równo z komarami, więc geolodzy mieli od czego się opędnąć. Tak więc z Niurby, gdzie pobudowano prymitywne baraki i laboratoria, we wszystkie strony wyruszyły liczące po kilkudziesięciu ludzi ekipy poszukiwawcze.

Na Syberii do dziś najpewniejszym ogólnodostępnym środkiem łączności jest prosta, ale za to mająca duży zasięg radiostacja. Stąd też w pobliżu baz i osiedli zamieszkanymi przez ludzi w krajobrazie syberyjskim roi się od anten. O określonych godzinach można połączyć się z macierzystą bazą lub z najbliższą miejscowością, skąd na przykład można wezwać lekarza. System ten przetrwał dziesiątki lat i nic nie zapowiada w tej materii rychłych zmian. Ma się rozumieć, dziś Rosjanie porozumiewają się również za pomocą satelity, ale w głównej mierze dotyczy to skupisk miejskich - na wsiach dalej najpewniejszym środkiem łączności jest radiostacja.

Pewnego dnia do bazy w Niurbie dotarła z tajgi radiowa depesza: *Zakurił trubk mira - tabak adlicznyj. Chabeńda*²⁹. W Niurbie należycie zrozumiano treść depeszy: brygada majstra Chaberidy, prowadząca poszukiwania niedaleko osady Machtuja nad Leną, znalazła diamenty. Kto żyw, wyruszył z Niurby w bezimienne miejsce, które momentalnie na cześć treści depeszy nazwano Mirnyj. Dziś Mirnyj jest dużym miastem oraz największym ośrodkiem wydobywania diamentów. W Niurbie nadal znajduje się Centralna Baza Amakińskiej Ekspedycji, jak przed laty wyruszają stąd w tajgę kolejne grupy geologów. Czy znajdują podobne znaleziska - trudno powiedzieć. Sądzę jednak, że gdyby nie znajdowały, nie byłoby już w Niurbie Centralnej Bazy Amakińskiej Ekspedycji.

Niesiony silnym nurtem opuszczam Leńsk, czy też Machtuję jak kto woli.

Mijam wielką bazę paliwową ze srebrnymi, świecącymi w porannym słońcu zbiornikami, nieco dalej dace i znów wpływam w piękno i ciszę. Mirnyj ze swoimi diamentami pozostaje daleko za mną. Teraz rzeka płynie szeroką i płaską doliną, porośłą gęstą zdrową tajgą. Rzeka spieszy ku północy szybko, bezustannie i uporczywie. Nurt w tym miejscu jest bardzo silny, wydaje mi się, że przemieszczam się z prędkością przynajmniej dwudziestu kilometrów na godzinę! W dali jak okiem sięgnąć szarozielona gęstwina, bez najmniejszego śladu obecności człowieka. Później do rzeki znów dochodzą zalesione góry - teraz znów na przemian towarzyszą rzece, raz wzdłuż jednego brzegu, raz wzdłuż drugiego.

Okolo południa dopływam do miejscowości Batamaj. Tu olbrzymia wyspa dzieli rzekę na dwie wąskie przetoki. Właśnie w tym feralnym miejscu zrobił się olbrzymi zator, który w rezultacie spowodował tę katastrofalną dla Leńska powódź. Jak się później dowiedziałem, problem pojawiał się w tym miejscu co roku, co roku też wojsko w ramach ćwiczeń udrażniało rzekę bombami oraz nowoczesnymi raketami. Jednak tego roku kryzys

²⁹ Zapaliłem fajkę pokoju - tytoń znakomity. Chaberida.

i w wojsku dał się we znaki, lotnictwo z braku pieniędzy po prostu nie przyleciało.

Powodzie na Lenie nie są żadną nowością i w większym lub mniejszym stopniu występują co roku. Rzeka ma swoją szczególną specyfikę; jest zamarznięta przez sto osiemdziesiąt dni w górnym biegu; dwieście siedemdziesiąt dni dolnym. Jak logika wskazuje, poziom wody gwałtownie się podnosi, gdy z gór spływa już woda, a w dole trzyma jeszcze lód. Rzeka wtedy wylewa, albo po prostu rozlewa się szerzej, nie czyni jednak większych spustoszeń niż te, które co roku się zakłada. Jednak tego roku warunki klimatyczne były odmienne, na pozór nie różniące się od poprzednich lat. Wystarczyło to jednak, aby równowaga się zachwiała i w rezultacie powstała gigantyczna katastrofa, niosąca spustoszenie i odcinku paru tysięcy kilometrów.

A sprawa ma się tak: Wszystko zależy od tego, kiedy i jak stopnieje kilkumetrowa warstwa ubitego śniegu, leżącego wysoko w górach. Normalnie śnieg położony w niższych poziomach spływa do rzeki trzy tygodnie wcześniej, gdyż zaczyna topnieć śnieg położony na obszarach górskich. W tym roku z powodu niezwykle - nawet jak na tę szerokość geograficzną - opóźnionej wiosny, spływy górnych i dolnych rejonach zbiegły się ze sobą, a stało się to w rejonach, gdzie zasady rzeka sunie do swego ujścia już powoli i szeroko. Powstały więc zatory czyli wielkie pola lodowe. Ma się rozumieć, że oczywiście nie sama warstwa śniegu woduje powódź; czynnikiem decydującym o tym jest przede wszystkim lód, rezultat ośmiomiesięcznych ciężkich mrozów. To właśnie dzięki niemu zostaje zatrzymany przepływ i woda, gromadząc się, tworzy kolejne pola lodowe, które spiętrzają napływającą z góry wodę. Wreszcie dochodzi do głosu prawo ciężenia, woda żłobi sobie w lodzie inny kanał i znów zaczyna płynąć, ale tylko po to, by niskie temperatury ponownie zatrzymały ją nieco dalej w doje koryta. Później, jak to bywa na Syberii, z dnia na dzień nastają upały, lody topnieją w mgnieniu oka, a powstałe w wyniku tego olbrzymie masy wody zalewają wszystko wkoło. Sam kilkakrotnie byłem świadkiem, jak w ciągu nocy woda podniosła się o kilka metrów, zatapiając wyspę, na której nocowałem.

Nastaly dni monotonii. Kilometry wloką się za kilometrami. Krajobraz wydaje się być stały; wysokie brzegi, góry porośnięte tajgą, zakręty rzeki pełne topniejących zwałów lodu. Czuć już lato - wieczorami pachnie wodą, wystygłym słońcem i nocnym kwieciem. Cieszy każdy mijany statek, każda chata na brzegu, gdyż są jedynym urozmaiceniem widoku. Tych ostatnich jest coraz mniej, bowiem wody rzeki muszą przebyć setki kilometrów, by znów dotrzeć do jakiejś wsi, która w rezultacie okazuje się niezamieszкана.

Na prawym brzegu spotykam drzewa o niesamowitych kształtach. To efekt występowania wiecznej marzłoci, zjawisko tak zwanych pijanych drzew. Dziwny jest widok drzew, które dosłownie jakby przysiadaly, pełzną po ziemi, zwiłając się jak węże. Jednak

szczególnie silne wrażenie wywiera widoczny gdzieś spalony las - jest cichy i muzealny. Wydaje się, że każde zeszpecone drzewo wyraża jakiś sens, natarczywie ogarniający myśli. Przesuwają się wzdłuż brzegu wielorękie postacie, czarownicy i szkaradne, obrzydliwe staruchy - dowolnie wybrane drzewo jest tak wymowne, że wydaje się być żywym stworem.

Zauważyłem, że od chwili, kiedy jestem w Jakucji, nie rozumiem znaczenia większości nazw na mapie. Później dowiedziałem się, że nazwy miejscowości wywodzą się z języka jakuckiego. Pisane rosyjską cyrylicą często są nazwy niezrozumiałe, bezsensowne i trudne do wypowiedzenia, jak na przykład miejscowość Sanyjachtach, która akurat znajduje się nieco niżej w dole rzeki.

Na rzece ruch praktycznie nie istnieje. Do chwili obecnej, nie licząc przepraw promowych, minęło mnie około pięciu jednostek; trzy szły w górę rzeki, dwie w dół. Opowiadano mi, że przed laty, za dobrych starych czasów ZSRR, statki szły z widocznością, czyli jeden za drugim, żegluga odbywała się nawet nocą. Teraz największa na świecie flota śródlądowa stoi w portach i rdzewieje, i tak naprawdę nikt nie wie, jak się to stało, wszyscy natomiast wiedzą, że się wszystko rozpieprzyło.

A rozpieprzyło się i to na dobre - nawet widać to z mojego pontonu. Na przykład w Niui, dużej pięknej miejscowości, leżącej przy ujściu rzeki Niui, tysiące metrów sześciennych wykarczowanego lasu leży na brzegu przygotowane do spływu i po prostu gnije. Widać tutejszy sowchoz kiedyś zajmował się wyrębem lasu. To samo widzę na brzegach w Turukcie i Czapajewie - wszędzie tysiące metrów niechcianego przez nikogo drzewa.

Nie sposób w tym momencie nie wspomnieć o milionach metrów sześciennych niczyjego drewna, dryfującego, leżącego na brzegach. Myślę tu nie o gałązkach na ognisko, lecz o okorowanych zdrowych pniach, nadających się prosto do tartaku. Tak marnotrawi się majątek, którego w skali kraju nikt nie jest w stanie obliczyć - tylko pomyśleć, ile rzek płynie na Syberii...

Odnalazłem wpadającą do Leny Urę i za radą leńskich marynarzy wykapałem się w jej lodowatej wodzie. Posiedziałem trochę na brzegu wśród ruin jakiejś wioski, która rozłożyła swe domy po obu stronach rzeczki. Swoją drogą, pięknie tu mieszkali ludzie przed laty...

Słońce prześlizguje się tuż nad horyzontem, nie zajdzie przez kolejne cztery miesiące. Na północy dzień po dniu przejmuje władzę nad lodem w dorocznej walce lata z zimą. Co prawda, pokrywa lodowa jeszcze strzeże dostępu do morza, ale już za miesiąc ta kryształowa forteca zacznie pękać, przez jej ściany przenikną pierwsze promienie słońca, aż

wreszcie na jej powierzchnię wypłynie woda.

Przed Macza opływam kilka wielkich wysp, zaraz za nimi otwiera się przede mną jeden z piękniejszych krajobrazów, jakie w życiu widziałem. Przyroda jest w tym miejscu tak piękna, że nawet doświadczony podróżnik zdaje sobie w tym momencie sprawę, że tak naprawdę dotychczas niewiele widział... Błękitna woda tocząca się szerokim korytem, żółte piaszczyste brzegi, olbrzymie czerwone góry, soczysta zieleń tajgi; całość w pastelowych spokojnych kolorach - wszystko odbija się w wodzie. Nieco dalej znów kamienne kolumny tworzące baśniowe kompozycje - te przypominają starożytne zamki, fortyfikacje, inne monumentalne rzeźby mocarzy, sfinksów i postaci ludzkich.

Kiedy pokazuję znajomym fotografie tej części Rosji, wszyscy mówią, iż nigdy by nie przypuszczali, że tak przepiękne krajobrazy można spotkać na Syberii.

Nie staram się tego dokładnie opisać, gdyż nie jestem na tyle zdolny, aby na papierze dostatecznie oddać piękno otaczającej mnie przyrody - może zrobią to fotografie?

Wieś Macza również niepodobna do innych; czysta, bez typowego syberyjskiego bałaganu. Stojące na wzgórzu schludne domy, kolorowe ławeczki, pełne zieleni przydomowe ogródki. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że domy w jakuckich wsiach stoją oddalone nieco od siebie, co zapewnia mieszkańcom większe poczucie prywatności. Typowe zaś rosyjskie wioski zbudowane są w charakterystycznych ciągach - zagroda łączy się z zagrodą sąsiada, nie ma więc należytej intymności. Miałem ochotę zatrzymać się we wsi, ale trochę było mi żal czasu, a po drugie obawiałem się gościny, po której jutro, zamiast podziwiać krajobrazy, popijałbym wodę z rzeki...

Wydaje mi się, że każdego dnia jestem w piękniejszych miejscach. Różnokolorowe skały, zalesione góry z przebijającą czerwienią pagórków - całkowita dzicz, w promieniu setek kilometrów żadnego śladu obecności człowieka. Tak właśnie można by wyobrazić sobie biblijny raj, bez autostrad i fabrycznych kominów.

Syberia to trudno wyobrażalne przestrzenie, to miliony kilometrów kwadratowych tajgi, jeziora, rzeki, stepy, pustynie i tundra. To miejsce, gdzie jeszcze osiemdziesiąt lat temu odkrywano góry, porównywalne swą wielkością do Alp. Na Syberii są jeszcze miejsca, gdzie nie dopłynął żaden statek, gdzie nie stanęła ludzka stopa. Syberia jest w dalszym ciągu krainą wiecznego milczenia, śpiącą, tajemniczą ziemią. Inspirowała pisarzy i poetów, powstało na jej temat mnóstwo książek, jednak autorzy tych pozycji zdawałoby się zapomnieli o jednym, że Syberia to nie tylko mroźna zima, gułagi i miejsca zesłania, lecz także lato z precudowną przyrodą i niespotykanymi nigdzie indziej krajobrazami. Brak infrastruktury turystycznej sprawia, że Syberia jeszcze długo uchowa się przed ludzkim spojrzeniem.

Z jednej strony trochę mi żal, że sam oglądam to dziewicze piękno, z drugiej myślę, że niewiele z tego osobliwego piękna pozostanie, jak zjadą się tu zewsząd turyści. Krajobraz już nie będzie taki jaki jest, popsują go betonowe hotele i reklamy śmierdzącej coca - coli. Ale co zamartwiać się na zapas, to sprawa przyszłych pokoleń, tymczasem jeszcze dużo wody upłynie w Lenie, zanim ktokolwiek postawi tu hotel. Dlatego też namawiam wszystkich - korzystajcie, póki możecie. Jestem pewien, że każdy, kto szuka prawdziwego piękna, znajdzie je tu, na Syberii, zareczam też, że jest to ostatnie miejsce na naszej planecie, gdzie z całkowitym poczuciem wolności można się do woli cieszyć darami Ziemi.

Rekompensuje to czasy radzieckie, kiedy to Rosja była praktycznie zamknięta dla obcokrajowców. Otworem stały tylko miasta: Leningrad, Moskwa i parę innych. Można było wówczas pod czujnym okiem przewodnika (pracownika KGB) trochę zobaczyć, a nawet sfotografować. Organizowano nawet, a jakże, wycieczki na Syberię, z tym że w bardzo określone miejsca, jak jezioro Bajkał, Irkuck, rejs po rzece Jenisej - to wszystko. Inne strony tego przepięknego kraju były ściśle strzeżone i dla turystów zagranicznych zamknięte. Nawet obywatele ZSRR mogli poruszać się po własnym kraju na podstawie wydawanych na określony czas przepustek, do dziś zresztą do niektórych miast własnym obywatelom wjechać nie można. Po zmianie ustroju Wielka Rosja stanęła otworem - teraz każdy może jeździć tam, gdzie chce - no, może poza paroma miejscami. Lecz jak to w życiu bywa - stary problem zniknął, pojawił się nowy: brak jakiegokolwiek bazy i zaplecza turystycznego ponownie zamknął kraj przed turystami. Ale nie przed prawdziwymi, gdyż otwarcie granic dało początek nowej formie turystyki - turystyce niekonwencjonalnej. Fakt, że nie jest to turystyka dla wszystkich. Ci, którzy muszą nocować w motelach i jadać w restauracjach, odpadają w przedbiegach. Ale jednak większość normalnych ludzi nadaje się do takiej turystyki, wszystko bowiem zależy od psychiki, konkretnie od nastawienia psychicznego. Nie trzeba wcale być specjalnie odpornym na niewygodę, silnym psychicznie - to mity. Trzeba po prostu być normalnym - to wszystko. Z idiotą nigdy nie zajdzie się daleko.

Dobrze natomiast znać się na mapie i kompasie, wskazana jest również umiejętność łowienia ryb, poza tym ceniona jest chęć obcowania z ludźmi i skłonność choćby w podstawowym zakresie do picia wódki... Kto jest abstynentem, niech dupy nie zawraca i niech lepiej siedzi w domu. Jeżeli jednak niektóre z tych punktów spełniamy, śmiało możemy jechać powłóczyć się po Syberii. Naprawdę tego, co przeżyjemy, nie jesteśmy w stanie przeżyć z żadnym biurem podróży.

Spotkamy tu wiele - dla każdego coś milego, więc każdy znajdzie tu coś dla siebie: góry, równiny, stepy, pustynie, rzeki, morza, tajgę, tundrę i lody Północy. Komu mało

ziemi, niech jedzie w pełne jaskiń Góry Ałtajskie czy Wierchojańskie. Spotkamy nieznaną nam dotychczas narody, których jest na Syberii około stu, w tym miejscu jednak drobna uwaga dla panów - w niektórych plemionach gospodarz na noc oddaje gościowi własną żonę.

Nie należy jednak zapominać, że Syberia to potężny obszar o bardzo zróżnicowanej budowie i klimacie, że gdziekolwiek się udamy, odległości będą mierzone nie w setkach, lecz w tysiącach kilometrów. Należy też pamiętać, że każda wyprawa będzie pewnego rodzaju ekspedycją w nieznaną - ale czyż nie o to w tym wszystkim chodzi? Słowo „Syberia” w językach ludów mongolskich oznacza „Śpiąca Ziemia”. Osobiście jestem zdania, że nie należy zbyt wcześnie jej budzić, gdyż najpiękniej wygląda właśnie we śnie...

Dzień i noc spędzam na wodzie. Na brzegu panuje nieziemski upał, więc spędzam tam tylko tyle czasu, ile wymaga zagotowanie wody na herbatę, ewentualnie upichcenie czegoś na ogniu. Dzień do dnia podobny, krajobraz jakby jednolity: szeroka na kilka kilometrów rzeka, zbliżające się, to oddalające góry - nic więcej. Pewnego jednak dnia góry stanęły w poprzek rzeki, niby strażnicy, wysokie i wyprężone; z daleka zdawało się, że rzeka w nie wpływa, dopiero gdy znalazłem się bliżej, gwałtownie skrzyła, a one dalej stały wyprężone z wbitymi w ciemnobłękitne niebo szczytami.

Rzeka spieszy na północ, pędzi ku ujściu - robi niesamowite wrażenie ta przesuająca się masa wody. Nurt jest tak silny, że nawet wiejący przeciwny wiatr niewiele przeszkadza mi w żegludze. Żałuję tylko, że dryfkotwa jest takiej małej średnicy. Gdyby była większa, bez problemu płynąłbym nawet pod silny wiatr. Zasilona wodami innych rzek Lena stała się teraz potężną, szeroką na parę kilometrów rzeką!

Jak już wspomniałem, coraz mniej czasu spędzam na brzegu. Rano przyrządzam herbatę i piekę kartofle, które w czasie dnia zjadłem ze smakiem - jakoś nie widzę, aby kartofle tuczyły... Ataki ewentualnego głodu zaspokajam odrobiną słodkiego skondensowanego mleka, które otrzymałem od załogi stojącego w pobliżu Leńska tankowca. Najbardziej jednak daje się we znaki brak ruchu, coraz częściej też odczuwam nieprzyjemne drętwienie ciała. Staram się temu zaradzić, od czasu do czasu chwytając za wiosła, w rezultacie jednak niewiele to pomaga, ale przynajmniej miałem wrażenie, że trochę rozprostowałem kości. Płynie rzeka, płynę ja. Dobowe osiągi przekraczają niekiedy dwieście kilometrów. Jestem umęczony podróżą, ale szczęśliwy, gdyż mój powrót do domu staje się z dnia na dzień coraz bardziej realny.

Niekiedy ogarnia mnie przerażające uczucie. Dzieje się to przeważnie wtedy, kiedy biorę do ręki mapę. Patrzą na prawo od rzeki - parę tysięcy kilometrów tajgi, całkowite bezludzie, żadnej miejscowości, tylko przecinające zieloną głuszę rzeczki, jeziora i las.

Spoglądam na lewo - tajga, tajga, bagna i znów tajga, na oko dwa tysiące kilometrów. Cóż czuje człowiek w tym bezkresie dziewiczej przyrody? Czuje i to dużo czuje. Właśnie w tym momencie człowiek zdaje sobie sprawę, że jest na tym świecie tylko małym, nic nie znaczącym epizodem. Rzeka pośród otaczającej mnie zewsząd zieleni wygląda jak niebieska żyła, którą płynie błękitna krew - wraz z nią płynę ja, a ze mną marne, nic w tym momencie nie znaczące moje życie... Czy doprawdy trzeba się tu znaleźć, aby to zrozumieć?

Niepostrzeżenie nadeszła noc. Nie można jej było nazwać białą - nie było jej w ogóle. Słońce zaszło nieco za widnokrąg posuwało się za nim zupełnie płytko. Mimo braku tradycyjnej ciemności, księżyc i gwiazdy punktualnie zajęły swe posterunki - ledwo je można było dostrzec na bladopopielatym niebie. Później blada noc odeszła i znów wyraźnie było widać rosnąca na brzegach tajgę. Największym bogactwem tych terenów jest właśnie syberyjski las zwany tajgą. Otaczający mnie zewsząd szeroki pas tajgi syberyjskiej podzielić można na kilka stref: tajgę północną, środkową i południową oraz niewiele znaczący obszar lasów liściastych. Przypominam - tajga syberyjska to jedna czwarta leśnych zasobów Ziemi! Naukowo stawiając sprawę, wygląda to tak: W strefie północnej tylko około trzydziestu procent powierzchni zajmują lasy, w których przeważają sosny i modrzewie syberyjskie; resztę stanowią porośnięte chaszczami torfowiska i błota pokryte mchem. To typowa tajga Północy, pełna komarów, meszek i innego gryzącego robactwa. Znam ją od czterech lat i nie życzę najgorszemu wrogowi znaleźć się w niej bez ochrony na ciało - komary zjedzą człowieka. Jest ich tak dużo, że się nimi dosłownie oddycha. O jakimkolwiek skutecznym sposobie odganiania ich od siebie nie ma w ogóle mowy. To naprawdę piekło na ziemi, po tej tajdze się nie chodzi, przez tę tajgę się przedziera.

W pasie środkowym, a więc w tym, w którym się obecnie znajduję, przeważają lasy, głównie bory sosnowe; występuje też świerk, jodła i limba syberyjska zwana kedrem oraz niektóre drzewa liściaste. To tak zwana zdrowa tajga w odróżnieniu od tajgi jakuckiej jest dobrze nasłoneczniona, bez nadmiernych ilości komarów. Tajga południowa, to przeważnie brzoza, lasy sosnowe zajmują tylko niewiele ponad dwadzieścia procent ogólnej powierzchni. Szerokość strefy lasów liściastych rzadko przekracza sto kilometrów, przy czym same lasy zajmują połowę powierzchni, a resztę bagna, ciągle bagna z niewielkimi płatami pól uprawnych i łąk, zwykle w dolinach rzek. W lasach najczęściej rośnie brzoza i osika, chociaż spotyka się także inne gatunki drzew.

Warto jeszcze raz wspomnieć o faunie tajgi. Jest w niej czego dusza zapragnie - z niedźwiedziami i bobrami włącznie. Na drzewach ponad dwieście gatunków ptaków, w rzekach i rzeczkach niespotykane nigdzie indziej gatunki ryb, jak na przykład tajmień, dochodzący do dwóch metrów długości i siedemdziesięciu kilogramów wagi. Smaczna ta

ryba występuje tylko na Syberii, co prawda zahacza o europejskie rubieże w wodach rzek Peczory i górnej Wołgi, ale generalnie jest rybą typowo syberyjską. Również lenok to ryba występująca tylko na Syberii, nie przekracza jej granic. Nie jest ona taka wielka jak tajmień, gdyż jej waga nie przekracza pięciu kilogramów, jest za to smaczna i traktowana przez Sybiraków jako delikates. Smaczna nie oznacza wcale pożyteczna. Dziś lenok tępiony jest jako chwast rybny, podobnie jak u nas sumik karłowaty. Nienasycona żarłoczność lenoka, który niszczy olbrzymie ilości ikry innych gatunków, w szczególności łososiowatych, jak ich narybku spływającego do morza, sprawia, że jest tępiony przez rybaków. Ktoś może w tym momencie zapytać: Dobrze wiemy jak tępić chwasty, owady czy wilki, proszę jednak powiedzieć, w jaki sposób na Syberii tępi się ryby? Odpowiem: To bardzo proste - w danym rejonie zasiedla się andatrę...

Za Olekmińskiem całkowite bezludzie. Człowiek jest zwierzęciem stadnym, więc trochę mi brakuje widocznych niekiedy z oddali sylwetek rybaków, blasku płonącego na brzegu ognia. Podróż, jak każda trwająca długo, staje się powoli męczarnią. Po horyzont rozpościera się nuda - opatrzone już krajobraz: wysokie brzegi, góry, skały, niekończące się „długie proste” - nic poza płynącą szerokim korytem wodą. Aby urozmaicić sobie czas, płynę niedaleko brzegu, jego bliskość pozwala mi ocenić prędkość, daje też poczucie bezpieczeństwa. Kiedy płynę środkiem rzeki, oddalone od siebie brzegi dają złudzenie stania w miejscu, co nie wpływa dobrze na samopoczucie. Generalnie jednak wszechobecna nuda - nic się nie dzieje. Dopiero przed osadą Urickoje krajobraz nieco się zmienia - góry odchodzą od rzeki, są jednak z daleka zawsze widoczne. Teraz jest jeszcze bardziej nudno, bowiem oba brzegi porasta jednolita gęstwina.

Dokładnie piętnaście kilometrów za miejsciną Sinsk na prawym brzegu rzeki znajduje się prawdziwy cud przyrody - Leńskie Stołby. Jest to unikalne skupisko skał o niezwykle fantastycznych kształtach. Przez dwadzieścia siedem kilometrów w jednym olbrzymim ciągu podziwiać można niespotykaną nigdzie indziej na świecie precudowną rzeźbę krajobrazu.

Wiszące nad horyzontem przez całą dobę słońce barwi grą światłocieni pełne dziur i otworów ściany skalne. Kiedy nocą słońce przesuwa się tuż nad horyzontem, cienie wydłużają się, zmieniając oblicze tego baśniowego świata - jakże barwne są jakuckie jasne noce.

Znalazłem się wśród lasu, prawdziwego lasu oblanych purpurą skał. Są tu iglice, kolumny, dzwonnice kościołów i dziwne postacie wyrzeźbione przez czas, żrące wichry, mrozy i nadleńskie mgły; wysokie, spiczaste, zaokrąglone, powykrzywiane, haczykowate, nieforemne o kształtach nieprzewidywanych i fantastycznych. Te zadziwiające urwiska

przypominały drzewa, rośliny, zwierzęta, posągi ludzi, mnichów w habitach, rogate diabły, ptaki nadnaturalnej wielkości, monstrualny i lwiąt, koszmarną menażerię skamieniałą na rozkaz jakiegoś kapryśnego boga. Zlewające się ze sobą barwy nieba i rzeki zdają się pochodzić z malarskiej palety największego mistrza.

Skąły zbudowane są z granitów i porfirów. Zaskakującą żywą barwę zawdzięczają skaleniom. Głębokie szczeliny dzielące na bloki skalne, te zaś wskutek i piętrzenia zaokrąglają się i tworzą chaotyczne stesy. Skąły przekształcają się także pod wpływem bardzo szczególnej erozji - tafonu. Cały proces zaczyna się od małego otworu, czyli ubytku powstałego wskutek wypłukania kryształu; proces ten toczy się od środka. To dziwne zjawisko jest spowodowane ciągłym naprzemiennym nasiąkaniem i wysychaniem. Skąła stopniowo zaczyna się łuszczyć. Niewielki *t* początkowo ubytek z czasem zamienia się w dziurę, wnękę, a później często i w głęboką jamę. To właśnie przyczyna powstawania tak bajecznych kształtów.

Jestem oczarowany. Co prawda, podobne słupy widziałem już paręset kilometrów wcześniej, jednak przyznam, że te stojące w grupie wyglądają bardziej majestatycznie. Wraz z leńskimi stołbami znikły wszelkie skąły, by pojawić się ponownie nad Leną dopiero tysiąc kilometrów dalej.

Do Jakucka pozostało niecałe dwieście kilometrów! Czymś krańcowo odmiennym jest Nizina Jakucka. Na pierwszy rzut oka stanowi zaprzeczenie tego wszystkiego, co oglądałem dotychczas. Całkowity brak jakiegokolwiek kształtu, brak rzeźby, wreszcie brak ściśle określonej tożsamości. Okolica to ani rzeka, ani łąd - coś jakby jedno duże bagnisko. Lena rozlała się teraz szeroko wśród płaskich brzegów, płynie wieloma odnogami, tworząc liczne wyspy, porośnięte gęsto drzewami. Krajobraz jest więcej niż monotony, ponadto nic ulega już żadnym zmianom. Kilometr za kilometrem granice pomiędzy wodą a łądem zacierają się i nieustannie przemieszczają. Wysoka woda, niczym na szkolnej tablicy, wyciera i rysuje coraz to nowe wzory linii brzegowej. W porze wiosennej woda wdziera się w głąb łądu czasem na odległość kilkunastu kilometrów, zalewając wyspy, łąki i pola. Wycofując się w myśl zasady, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pozostawia za sobą niezliczone formy życia roślinnego i zwierzęcego, które przystosowały się do tego niezwykłego środowiska. Woda przemieszcza osady. Te najbardziej miłkie gromadzą się nieco dalej od linii brzegowej, tam gdzie prędkość przepływu wody jest mniejsza, tworząc mulisty obszar. Bakterie rozwijające się w ubogim w tlen mule rozkładają substancje organiczne, stąd unoszący się nad nim odór zgniłych jajek i jego niebiesko - czarne zabarwienie. Usytuowane na przeciwnym końcu łańcucha pokarmowego ptaki znajdują w tym niezwykle żyznym i bogatym biotopie prawdziwą ostoję - żerują tu setki przeróżnych

gatunków ptaków.

Powoli zbliżam się do Jakucka. Uważam to za wielki sukces, niezmiernie cieszę się, że aż tu dotarłem. Gdyby ktoś mi powiedział, że można bez żywności i pieniędzy podróżować po Syberii, powiedziałbym mu, że jest głupi. A jednak! Przepłynąłem już ponad dwa i pół tysiąca kilometrów, pozostało jeszcze prawie dwa i choć wiem, że będzie to najbardziej niebezpieczny odcinek, to jednak mam nadzieję, że szczęście w dalszym ciągu mnie nie opuści i z pomocą Stwórcy dam sobie jakoś radę.

Brzegów nie widać, płynę między zalanymi wyspami, kołysany długą martwą falą; notabene nie mam pojęcia, skąd się tu taka fala bierze; sama rzeka ma w tym miejscu prawie szesnaście kilometrów szerokości! Wreszcie po lewej, w oddali dostrzegam jakieś duże zabudowania, spoglądam na mapę - to leżące opodal Jakucka miejscowości Bestiach i Pokrowsk. W chwilę później mijam stojący na środku rzeki olbrzymi słup wysokiego napięcia - przyznam, że pierwszy raz w życiu widziałem słup takich rozmiarów, później leżąca na lewym brzegu miejscowość Tabaga, po niej w oddali wyłaniają się już nowoczesne zabudowania Jakucka. Wierzyć mi się nie chce, że zdołałem tu dopłynąć.

Mało brakowało, bym minął miasto. Jakuck bowiem nie leży przy głównym nurcie rzeki. Aby dostać się do portu, trzeba w pewnym miejscu skrócić o dwieście siedemdziesiąt stopni w lewo, przy czym droga wodna nie jest w ogóle oznakowana. Widocznie władze portu uważają, że obcych tu nie ma, a swoi drogę znają. Nie wiem jak by się sprawy dalej potoczyły, gdybym nieświadomie minął miasto, a bardzo silny nurt poniósłby mnie w dół rzeki. Jak przeżyłbym na Północy bez zapalek i żywności? Na żadną pomoc liczyć bym już nie mógł, gdyż w dole rzeki nie ma już prawie żadnych wiosek. Na mapie co prawda jest zaznaczonych parę miejscowości, zaznaczono je wyraźnie - tłustym drukiem, ale jak do nich dotrzeć, to już zupełnie inna sprawa, niektóre bowiem oddalone są aż o parę kilometrów od koryta rzeki.

Sytuacja moja nie była tragiczna, ale też nie przedstawiała się najlepiej. Prawie od tygodnia nie miałem już nic do jedzenia, byłem lekko wyczerpany. Jak się później okazało, ważyłem tylko pięćdziesiąt osiem kilogramów! Bóg więc raczy wiedzieć, co by było, gdyby nurt poniósł mnie dalej w dół rzeki. Opatrzność jednak chciała inaczej, to ona sprawiła, że dosłownie w ostatniej chwili coś mnie tknęło i wbrew logice wpłynąłem w nieoznakowaną przetokę, która okazała się kanałem prowadzącym do portu i centrum miasta!

Jakuck jest jednym ze starszych miast Syberii. Jest stolicą największej republiki, której obszar porównywalny jest do dwóch Europ. Właściwą historię i osadnictwa na Syberii można by zacząć już od połowy XVI wieku, tj. od czasów, gdy Rosjanie zaczęli podejmować wyprawy za Ural. Co prawda, wcześniej i niezmierzone tereny rozciągające się

między Uralem i Oceanem Spokojnym były areną różnych procesów migracyjnych, to jednak dopiero u schyłku XVI wieku powstały pierwsze stałe osady, początkowo spełniające rolę zimowisk kozackich, z czasem przeobrażające się w mniej lub bardziej liczebne miasta. W 1586 r. powstał ostróg Tiumeń, w 1632 r. Jakuck, w 1652 r. Irkuck. Powoli nieuchronnie postępowała kolonizacja Syberii, a wraz z nią liczba skupisk ludzkich. Jednak dopiero okres radziecki przyniósł pod tym względem zmiany prawdziwie rewolucyjne. Ekspedycje geologiczne doprowadziły do odkryć wielkich bogactw wnętrza ziemi, w związku z czym doszło do istotnych urbanistycznych przeobrażeń w różnych rejonach Syberii. Tak też na przestrzeni wieków z zimowiska kozackiego Jakuck zamienił się w duże, tętniące życiem miasto.

Pierwsze wrażenie jest zawsze najsilniejsze. Do dziś pamiętam dom tak zapadnięty w ziemię, że okna drugiego piętra znalazły się na parterze. Podmiejskie osiedla z szeregami identycznych bezdusznych domów, z bezludnymi skwerkami, trwającymi w martwocie. Rozklekotane autobusy z dyktą w miejscu szyb, przyćmione latarnie, które już od kilku miesięcy nie przygasły ani na chwilę. Kombinaty i miasto zabudowane piętrowymi budynkami na palach, ściśnięte wokół zakładów pracy, chaotycznie i niepozornie. Bez wyrazu wydawały się twarze nielicznych przechodniów, ich widok i sam fakt, że przebywali w tym mieście, wydawał mi się wtedy absurdem. Nieco za centrum wznosiło się kilka nowoczesnych pięciopiętrowych budynków z cegieł. Terkotały koparki, wgrzyzając się w skamieniałą ziemię, ryczały buldożery, kołysały się w porywach wiatru ramiona portowych dźwigów. Tak było przed czterema laty. Dziś widzę, że niewiele się tu zmieniło - te same zapadnięte domy, ta sama wszechobecna szarość. Z drugiej jednak strony dla ludzi tu żyjących to codzienność, oni nie znają innego świata, ja natomiast mimo wszystko patrzę przez pryzmat swojej europejskiej kultury.

Jestem w upragnionym Jakucku i nie bardzo wiem co z tym faktem zrobić...

Żar leje się z nieba, zastanawiam się więc, czy od razu podplłynąć pod centrum miasta, czy dobić do brzegu i gdzieś w cieniu przeczekać tą duchotę. Kilkadziesiąt metrów dalej, dokładnie u wejścia do właściwego portu, zauważyłem wrak dużego statku pasażerskiego o nazwie „Rosja”... Cumuję więc przy jego białej nadbudówce, aby zastanowić się co robić dalej. Zadaję sobie podstawowe pytanie - co robić dalej, gdzie i po co się udać? Jakuck to nie wioska, gdzie wszyscy witają obcego - to wielkie miasto i obcych tu wielu. Tu, w stolicy diamentów trzeba już mieć pieniądze i to wcale niemałe. Posmutniałem jeszcze bardziej, kiedy przypomniałem sobie, jak przed czterema laty zapłaciłem w tym mieście około dwudziestu dolarów za kilogram cukru... Zdawałem sobie sprawę, że od tego czasu niewiele tu pewnie potaniało. Nic nie przychodziło mi do głowy.

Co prawda, miałem w mieście znaczących znajomych, ale nie byłem pewien, czy przez ostatnie cztery lata przypadkiem się nie pozabijali, nie wiedli oni bowiem anielskiego żywota. Faktem jednak było, że cztery lata temu naprawiali mi w Jakucku samochód. Przypomniałem również sobie, że znam tu jeszcze pewną jakucką rodzinę, gdzie gościłem przed laty, znałem wreszcie kapitana, który przed laty przeprowadził mnie przez rzekę Aldan - znajomych więc było wielu, należało ich tylko odnaleźć. Najbardziej jednak przyczepiłem się myśli o kapitanie. Nie miałem jego adresu, ale byłem przecież w porcie, w miejscu jego pracy. Zaraz, zaraz, jak on się nazywał? Po chwili dotarło do mnie, że mam przecież w swojej książce jego fotografię, a książkę „Pojedynek z Syberią” miałem schowaną w nieprzemakalnej torbie na dnie pontonu.

Postanowiłem natychmiast wprowadzić swój pomysł w czyn. Zobaczyłem opodal stojący przy kei holownik, podobny do tego, na którym pracował mój kapitan, więc niezwłocznie podpłynąłem pod jego burtę i stojącym marynarzom pokazałem zdjęcie z książki.

- *Job twoju mat'! Smatri! Wiktor Łarinorow popal w knigu*³⁰ - usłyszałem głos jednego z nich i natychmiast fala szczęścia spłynęła po mnie, bowiem zdałem sobie sprawę, że już za pierwszym podejściem kapitan został rozpoznany.

- Gdzie mogę go znaleźć, czy pływa jeszcze na „Czaroidzie”? - zapytałem.

- Tamten holownik już na złomie, teraz Witka pływa na „Amossowie”, to taki stary statek pasażerski, wozi ludzi na drugą stronę rzeki. Dzisiaj chyba nie pracują. Jak popłyniesz parę kilometrów w dół, to ich spotkasz - pamiętaj duży biały statek.

Zacząłem się zastanawiać co robić. Jak popłynę w dół, to pies pogrzebany. Nurt jest zbyt silny i o siłach mięśni już tu nie wrócę. Co będzie, jeśli nie odnajdę „Amossowa”? Może lepiej dopłynąć do przystani pasażerskiej? A co z pontonem? I tak źle, i tak niedobrze. Coś jednak mi szeptało: - płyn w dół - szukaj kapitana.

Płynę ostrożnie wzdłuż piaszczystego brzegu, mijam stojące przy nim barki, tankowce i inne jednostki, dziwię się, że stoją tak bezpośrednio przy plaży. Widocznie w porcie przy kejach nie ma miejsca. Zresztą porty na Lenie są tylko na mapie, prawie przy każdej nazwie miejscowości dorysowana jest kotwica, ale w rzeczywistości nabrzeża widziałem tylko w Osietrowie, Witimie, Leńsku i tu, w Jakucku. W innych miejscowościach statki podpływają po prostu do brzegu.

Rozglądam się za białą nadbudówką, płynę czujnie, pilnując, by nie zniósł mnie za daleko silny nurt. Wtem w oddali widzę odpływający od brzegu duży statek. To zapewne „Amossow” - przemknęło mi przez myśl i natychmiast zacząłem wiosłować w tym kierunku. Po chwili jednak dotarło do mnie, że moje szanse na to, by dogonić statek, są żadne. Nie

30 Kurwa! Zobacz! Wiktor Łarinorow jest w książce.

zastanawiając się wiele podpłynąłem pod pierwszy stojący holownik, na którym widziałem ludzi i poprosiłem, aby przez radio zawołali „Amossowa” i powiedzieli, że do kapitana jest gość.

Po chwili słyszałem już, jak marynarz z holownika rozmawia przez radio. Nie wiem, skąd mu się to wzięło, ale krzyczał do mikrofonu, że do kapitana jest tu jakiś Niemiec...

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Zauważyłem, że „Amossow” zmienił kurs i zaczął płynąć w górę rzeki. Podziękowałem marynarzom za pomoc i całą siłą ramion powiosłowałem w dół rzeki. Po chwili odległość między statkiem a mną tak zmaląa, że zobaczyłem stojącego na mostku kapitana patrzącego przez lornetkę. Pokiwałem mu, nie będąc do końca pewny, czy to Wiktor. Odwzajemnił f pozdrowienie, ale zrobił to bez entuzjazmu. Wnioskowałem więc, że też jeszcze mnie nie rozpoznał. Pewnie moja broda - pomyślałem. Po paru minutach kamień spadł mi z serca - na mostku stał Wiktor Łarinorow! Teraz „Amossow” stanął w miejscu, a ja wolno podpłynąłem do jego burty. Kapitan stał już przy ringu, ale jeszcze mnie nie poznawał, wreszcie kiedy byłem już blisko, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- *Job twoju mać*, co ty tu robisz? - wymknęło się kapitanowi.

- Ano was szukam, i to od czterech lat, od czasu jak wysadziliście mnie Chandydze na Aldanie... - powiedziałem, śmiejąc się z jego zdziwionej miny. Widząc, że jest bardzo zaskoczony i zdziwiony, ciągnąłem dalej.

- Od tamtego czasu pływam po rzekach Syberii i was szukam, przecież jestem winny wam dolara, którego nie dałem wam przed czterema laty. Miałem

I go i chciałem wam go wreszcie oddać, ale przez te cztery lata jak was szukałem, znów go straciłem. Wreszcie wiosną tego roku powiedzieli mi na Jeniseju, że spotkam was w Jakucku - ot i jestem...

A w ogóle szukam was, aby powiedzieć, że nie mam tego dolara i żebyście jeszcze parę lat poczekali...

Tego było już za dużo. Kapitan zgłupiał i nie wiedział co począć, wreszcie wymamrotał, że przerosło go to, że nie pojmuje tego... Przez moment patrzył nawet na mnie jak na wariata, ale po chwili zrozumiał chyba, że żartuję, zaprosił mnie na pokład, a załozde kazał wciągnąć mój ponton na statek. Uśmiechał się teraz zadowolony i widać było, że jest przejęty moją wizytą, cały promieniał z zadowolenia, że się spotkaliśmy.

- Płyniemy tylko na drugą stronę, za dwie godziny będziemy z powrotem. Dawaj z nami, odwalimy robotę, a później będziemy się gościć - taka dziś niespodzianka...

Na statku prócz załogi było kilkunastu ludzi, pasażerów płynących na drugą stronę rzeki. Stali i przypatrywali się całemu wydarzeniu, widać że nie bardzo rozumieli o co

chodzi, gdyż mieli bardzo poważne miny, a na mnie spojerali jak Tunguzi na kosmitę... Statek wreszcie drgnął i brzeg zaczął się wolno przesuwać.

Lena na wysokości Jakucka ma około szesnastu kilometrów szerokości, więc podróż na drugą stronę pod prąd miała potrwać około godziny. Poszedłem z Wiktozem do sterówki, gdzie przedstawiono mnie załodze.

Wiktor promieniał ze szczęścia, co chwila mnie poklepywał i na gorąco wspominał pamiętną przeprawę. Zauważyłem, że pamiętał wszystko z detalami, a najbardziej utkwiła mu w pamięci przygoda, w której to wioząca mnie i samochód barka urwała się od składu i podryfowała z nurtem Aldanu... Wspomnieniom nie było końca.

Opowiedziałem Wiktorowi, jak przed laty dojechałem do Nowego Jorku, jakie przygody miałem po drodze. Powiedziałem wreszcie, co naprawdę tym razem robię na Syberii i jakie mam najbliższe plany.

- To szalony pomysł, lepiej nie płyn dalej, tam już i tak nic nie ma. W dole rzeki, przy wysokiej wodzie błądzą kapitanowie z trzydziestoletnim stażem. Tam już nie rzeka, a morze - ostrzegął.

Na dowód tego kazał marynarzowi przynieść dokładne mapy, po chwili przede mną leżała locja Leny od Jakucka do Zigańska.

- Zabierz ją z sobą, jak będę płynął w dół rzeki, to jakąś sobie znajdę - powiedział Wiktor, mrużąc porozumiewawczo oko.

Po chwili przyszedł marynarz i zaprosił nas na obiad do mesy. Wiktor przekazał mu ster i zeszliśmy pod pokład. Nie muszę chyba pisać, co czułem, kiedy po tygodniach głodnej wędrówki zobaczyłem stół i stojące na nim talerze z dymiącą zupą.

- Jutro o świcie zaczyna się *yssyah*, jakuckie święto powitania lata. Pewnie będziesz chciał zrobić parę fotografii, zawiozę cię na plac, gdzie odbywać się mają uroczystości i tam cię zostawię, a po pracy przyjadę po ciebie i pojedziemy do mnie na daczę. Będziesz miał cały dzień na fotografowanie - powiedział Wiktor, zadowolony, że mógł mi zaproponować pożyteczne spędzenie czasu.

Ucieszyłem się bardzo wiadomością o mającym odbyć się święcie. Zauważyłem też, że mam niesamowite szczęście, gdyż przed czterema laty również przybyłem do Jakucka w dniu powitania lata.

Po obiedzie wyszedłem na pokład i popatrzyłem na rzekę. Jakże inaczej wyglądała ona z pokładu płynącego statku - poczułem się jak bogaty turysta i wcale nie powiem, żeby mi się to specjalnie podobało. Niebawem dopłynęliśmy do przeciwległego brzegu. Pasażerowie wysiedli, inni wsiedli i ruszyliśmy z powrotem. Teraz płynęliśmy szybciej, gdyż poruszaliśmy się z nurtem. Wieczorem usiedliśmy wszyscy w mesie. Opowiadaniom nie

było końca. Jedliśmy i piliśmy, świat okazał się przepiękny. Myślę, że warto się trudzić dla takich chwil, które pozwalają uwierzyć, że daleko, daleko stąd są znajomi, H przyjaciele, którzy zawsze na Ciebie czekają. To nie było typowe chłanie wódki, to był ceremoniał - uczczenie starej, wspaniałej znajomości. Jakże fajnie było choć i przez chwilę poczuć się bezpiecznie i bez troski.

Nim się spostrzeżliśmy, był już ranek, nie było więc sensu kłaść się spać. Ponieważ byliśmy po alkoholu, Wiktor poprosił kolegę z cumującego obok statku, by ten zawiózł nas na miejsce uroczystości. Około trzeciej nad ranem dojechaliśmy w okolice miejscowości Marcha, gdzie tego roku odbywały się uroczystości powiązane z powitaniem lata.

Ludzie nie mogą żyć bez swoich korzeni, to zasadnicza różnica między ludźmi a zwierzętami. Jukagirzy, Koriacy, Chakasi, Jakuci i Ewenkowie to tylko nieliczni przedstawiciele około stu narodowości zamieszkujących Syberię. Plemiona zamieszkujące syberyjską tajgę i tundrę nigdy nie stworzyły prawdziwej organizacji państwowej, niemniej do dziś, pomimo procesów integracyjnych, zachowały swoją całkowitą odrębność strojów, języka i zwyczajów. Podobnie jak przed setkami lat tradycyjnym zajęciem ludów Syberii jest myślistwo i rybołówstwo połączone z hodowlą reniferów na północy.

Literatura o Ewenach, Ewenkach czy Jakutach jest niewielka. W zeszłym stuleciu osobne fakty z ich życia opisywali: Polak Wacław Sieroszewski oraz Rosjanie: A. E. Stiepanow, M. F. Kriwoszapkin i A. F. Middendorf. Za naszych i czasów Jakutów badali A. A. Popów i B.O. Dołgich.

Powszechnie uważa się, że przodkami tych Ewenów i Ewenków byli paleoazjaci, myśliwi polujący na dzikiego północnego rena. Żyli w tych okolicach i długo przed przybyciem Jakutów z południa. Jakuci zasymilowali rdzenną ludność i przekazali jej swój język. Później przeniknęli na północ i wmieszali się w miejscową ludność. W rzeczywistości kultura Ewenów i Ewenków jest jeszcze niedostatecznie zgłębniona. Polują oni i pasą renifery najdalej na północ ze wszystkich narodów, toteż nic dziwnego, że wiele z ich życia uszło oczom badaczy. Później, kiedy znalazłem się wśród przedstawicieli tych plemion, przypadkowo podczas rozmowy dokonałem pewnego maleńkiego odkrycia, o którym nigdzie dotychczas nie słyszałem i nie czytałem. Dotyczy ono sensownego wyjaśnienia, co oznaczają ornamenty na eweńskich futrzanych kurtkach z kapturem.

Powszechnie wiadomo, że dla nas Europejczyków przedstawiciele tych narodów są bardzo podobni do siebie, trudno ich wręcz odróżnić. Również my, Słowianie skośnookim dżentelmenom wydajemy się wręcz identyczni. Ale nie o to chodzi. Wnikliwy obserwator, patrząc na tłum Ewenków, zauważy różnice nie tyle w urodzie, co w odmiennym sposobie noszenia ubioru. U Ewenów i Ewenków można to poznać po kroju odzieży i ułożeniu na

nich ozdób. Zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet ozdoby naszyte są w postaci pionowych pasów na plecach i piersiach, i takich samych poziomych po bokach. Ubiór taki podobny jest do pizamy albo do więziennego pasiaka, jak kto woli. Odzież żonatych posiada zupełnie odmienne ozdoby niż osób stanu wolnego. Tak więc według ornamentów o skomplikowanym wzorze wyszytych z jasnego lub ciemnego futerka można, podobnie jak po odznakach w wojsku, określić status społeczny każdego człowieka. Czy panienka, czy wdowa, czy rozwódka - wszystko jasne, nie ma więc nieporozumień. Przyznać trzeba, że to bardzo praktyczne rozwiązanie, które w prosty sposób zapobiega różnym nieprzewidzianym, kłopotliwym sytuacjom. A przeróżnych sytuacji może być bez liku, zważywszy że Syberia to niespotykana nigdzie indziej różnorodność narodów ras i obyczajów. Dla przykładu - jakże kłopotliwą sprawą jest miłość w tundrze... W Europie czy też Ameryce, w mieście lub na wsi można do woli nacieszyć się narzeczoną, choćby tylko spacerując po ulicy. Można pójść do parku lub w ostateczności na cmentarz - gdziekolwiek bądź. Tymczasem za kołem podbiegunowym wszystko jest bardziej skomplikowane - człowiek nie ma gdzie się podziać z ukochaną. Poza tym nie można przebywać na dworze ze swą dziewczyną dłużej niż dziesięć minut, gdyż całą miłość wywieje zimny wiatr. Jednym słowem, jest kiepsko, jakkolwiek by kombinował, nie schowa się człowiek przed rodzicami. Szczególnie źle jest na wiosnę, właśnie wtedy, kiedy najbardziej dają o sobie znać hormony. Noc wtedy jasna jest jak dzień, a tundra gładka jak stół i wszystko widoczne jest na wiele kilometrów. Oj, kiepsko mają ci kawalerowie. Sprawa nie jest jednak beznadziejna, jeśli będzie się przestrzegać pewnych określonych reguł, polegających między innymi na tym, aby nie zwracać uwagi na starców i po prostu przy nich robić te najpiękniejsze ludzkie sprawy. Cóż, podróże kształcą, a co kraj, to obyczaj...

Trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, ile grup etnicznych żyje na Syberii. Na liczącym kilkanaście milionów kilometrów kwadratowych obszarze nic nie jest łatwe, więc i takich obliczeń dokonać nie można.

Osadnictwo rosyjskie i procesy z tym związane, zakładanie sowchozów, baz wojskowych i kopalń dewastujących środowisko, wreszcie przekształcenie olbrzymich terenów w obozy pracy doprowadziło do tego, że rdzenni mieszkańcy Syberii szybko zaczęli tracić poczucie przynależności etnicznej, narody się pomieszały, dominację przejęli Rosjanie. Jednak rosyjskiemu imperium kolonialnemu nigdy do końca nie udało się wynarodowić syberyjskich plemion. Więzy rodzinne oraz poczucie przynależności społecznej okazały się silniejsze od polityki. Można co

prawda mówić obecnie o powszechnym użyciu języka rosyjskiego, lecz przedstawiciele poszczególnych grup etnicznych są w znacznej większości dwujęzyczni. Posługują

się zarówno językiem rosyjskim, jak i swoim językiem macierzystym. Dziś nieliczne już syberyjskie plemiona podtrzymują tradycje przodków, pielęgnują stare obyczaje i co roku z należytą oprawą obchodzą swoje święta narodowe. Tu, w Jakucji hucznie obchodzi się *yssyah*, czyli święto powitania lata, zwane przez niektórych „świętem zielonej brzoźki”.

Na wielkiej polanie obok jeziora ustawiono wielkie rzeźbione słupy oraz olbrzymie jurty. Właśnie w tej scenerii lada chwila miały rozpocząć się uroczystości powitania lata. Zebrani przedstawiciele różnych narodowości przybyli tu, aby w trakcie uroczystości poprosić bogów przyrody, żeby ci ostatni byli łaskawi i nie żalowali plonów tego roku. Ponieważ święto zapowiadało się na kilka dni, przybyli zaopatrzeni byli w odpowiednią ilość alkoholu i żywności - bo co jak co, ale głodnym i spragnionym w trakcie zabawy być nie można.

Pomimo wczesnej pory na placu było już bardzo ludnie. Poubierani w ludowe stroje Jakuci, Eweni, Ewenkowie tłumnie okupywali pootwierane już niektóre kramy. Czekano teraz na oficjalny wschód słońca - oficjalny dlatego, gdyż o tej porze roku pod tą szerokością geograficzną słońce praktycznie nie zachodzi, jednak około 3.40 następuje przesilenie i słońce znów wędruje nad horyzont - na ten właśnie moment wszyscy w tej chwili oczekiwali.

Ponieważ Wiktor musiał jeszcze wytrzeźwieć przed kolejnym dniem pracy, pojechał z powrotem na statek. W ten sposób zostałem sam z tłumem skośnookich Azjatów...

W jakuckich wierzeniach są trzy główne miejsca na świecie. Na górze jest odnośnik biblijnego raju, gdzie mieszkają dobrzy bogowie. Następnie jest ziemia, na której mieszkają Jakuci, i którą czczą jako przedsionek właściwego raju, znajdującego się u góry. Wreszcie ciemne podziemia, zamieszkane przez okrutnych, złych bogów.

Właśnie tych ostatnich najbardziej się obawiano, gdyż jak sama nazwa wskazuje, bogowie ci są źli i na pewno zrobią wszystko, aby dzisiejsze święto zbezczęścić. W związku z tym kategorycznie zabroniono w dniu dzisiejszym wprowadzania na teren uroczystości psów wszelkiej maści, gdyż właśnie najczęściej w psy wcielają się źli bogowie. Wczoraj - w przeddzień święta - wszystkie jakuckie środki masowego przekazu ostrzegały przed wszelkimi kontaktami z tymi czworonogami.

Chrześcijaństwo w Jakucji nie zakorzeniło się nigdy. Co prawda, pojedynczy misjonarze odnosili na tym polu pewne sukcesy, ale były one spowodowane bardziej tym co oferowali za przyjęcie wiary, niż rzeczywistym przekonaniem tych ludów o istnieniu Jezusa Chrystusa. Za przyjęcie chrześcijaństwa swego czasu dawano bowiem pół litra, kilogram mąki, koszulę i krzyżek... Nic więc dziwnego, że całe plemiona raptem „uwierzyły”.

Dziś, jak przed wiekami, chrześcijańscy misjonarze, również z Polski, dalek z różnym

skutkiem próbują z Jakutów zrobić głęboko wierzących chrześcijan, z tym, że nie oferują już mąki, tylko pokazują lepsze, dostatnie życie, które to na przykład kandydaci na chrześcijan mogą zobaczyć w ekskluzywnym centrum chrześcijańskim przy ulicy Lermontowa w Jakucku. Budowla ta wyróżnia się spośród innych w tym mieście nowoczesnością i bogactwem, wygląda niczym w latach osiemdziesiątych sklep Peweksu przy pustym samie, w którym na półkach stał ocet z musztardą. Ale widocznie dla skośnookich to jeszcze za mało, gdyż ośrodek praktycznie świeci pustkami i poza kilkoma potomkami słowiańskich zesłańców nikt z Jakutów tak naprawdę tam nie przebywa.

Mieszkańcy tych ziem mają bowiem swojego własnego boga, a nawet siedmiu, i obcy są im w tym momencie zbędni. Doszli więc do wniosku, że ósmy, i to w potrójnej postaci, jest już im niepotrzebny.

Według ich wierzeń historia świata inaczej się przedstawia, niż głoszą to inne religie - w tym chrześcijańska. Jakuci oraz inne narody zamieszkujące tę wielką republikę, która swym obszarem dwukrotnie przewyższa Europę, wierzą, że Ziemia jest praktycznie płaska, a nad nią po siedmiu trajektoriach jak satelity krąży siedmiu najważniejszych bogów...

To bardzo osobliwy panteon. Najważniejszy z nich - Urüing Ajut Tojon to bóg najwyższy, krąży on po najwyższej, najdalej oddalonej od Ziemi orbicie.

Nieco niżej krąży Ułu Tojon - bóg sędzia, to on dał ludziom doczesność, wyposażył ich w ogień i rozum. Ułu Tojon dał również ludziom szamana - odnośnika biskupa w kościele katolickim - aby za jego pomocą kontaktować się z nim. Szaman ten dodatkowo może pracować w przychodni lekarskiej, gdyż ma on moc uzdrawiania.

Trzecim co do ważności bogiem jest Dziohügej, który ma tę właściwość, że często występuje w postaci konia jasnej maści. Tego boga często słyhać, gdyż jego rzenie słyszalne jest w Jakucji pod postacią burzy. Gorzej bywa jednak, gdy prycha, wówczas lecą z nieba błyskawice... Nie ma przekazu dotyczącego jego podków, chyba dlatego, że Jakuci nie podkuwają koni...

Ci trzej pierwsi bogowie są najważniejsi w wierzeniach. Ma się rozumieć, są dobrzy i przyjaźni ludziom.

Kolejnym, czwartym bogiem jest Czyłta - chan - to bóg odpowiedzialny za to, co ma nastąpić, czyli bóg przeznaczenia.

Jakuci mają również odpowiednik Matki Boskiej w postaci bogini Ajysut. Wierzą bowiem w jej niewieścią dobroć i często do niej wzdychają.

Po szóstej orbicie krąży Jejechsit, pełniący rolę anioła stróża. Bóg ten widzi każde nienormalne zachowanie człowieka i w niebezpieczeństwie mu pomaga - oczywiście jeśli nie ma jakichś innych instrukcji...

Ostatni bóg, to właściwie nie bóg, tylko coś w rodzaju szarej eminencji. To Süng - chan. Bóg ten oficjalnie pełni funkcję „pierwszego sekretarza” boga - konia, znany jest też jako bóg gromu, bóg siejący zamęt. Tak jak podobne postacie w świecie polityki, bóg ten jest najmniej szanowanym bogiem.

To jeszcze nie koniec prezentacji tego, co święte w Jakucji. Tak jak kościół katolicki ma prócz Boga Ojca armię różnych świętych, tak Jakuci mają armię przeróżnych duchów. Ma się rozumieć, dobrych, jak i niedobrych, kojarzonych M szatanem. Zacznijmy jednak od dobrych. Duch Ziemi Alach Katun opiekuje pasterzami. To jeden z najważniejszych duchów, ponieważ znaczne grono mieszkańców tej ziemi trudni się pasterstwem.

Drugą największą grupą społeczną są myśliwi. Ma się rozumieć, także oni mają swojego ważnego ducha, który troszczy się o nich i o zwierzęta łowne. To duch tajgi Bajanał.

Kolejny ważny duch, to duch rybaków Ukan Ogoniur. Patronuje on wodzie, jak i wszystkim stworzeniom w niej żyjącym.

Wreszcie pora przedstawić szatana. To bóg podziemi i ciemności - Arsan Duołan. Ma się rozumieć - tak jak komuniści - jest on odpowiedzialny za wszelkie nieszczęścia, jakie kiedykolwiek nawiedziły matkę ziemię.

Oczywiście świat jakuckich wierzeń nie kończy się na przedstawionych tu bóstwach i duchach. Jest ich o wiele więcej i po dziś dzień tylko szamani potrafią z nimi nawiązać kontakt. Potrafią nawet ich przywołać lub nakazać im, by się wyniosły tam, gdzie pieprz rośnie... Nie sposób tych duchów zliczyć, tak jak nie sposób zliczyć naszych świętych.

Proszę mi nie brać za złe, że piszę o tak świętych sprawach z pewną dozą humoru, ale wynika to z części mojej prześmiewczej osobowości. Pragnę jednak w tym miejscu zaznaczyć, że jestem zagorzałym zwolennikiem twierdzenia, iż mądrością i dojrzałością człowieka jest jego tolerancja w stosunku do wyznawanych przez bliźnich poglądów politycznych, filozoficznych i religijnych. W moim przekonaniu nie ma lepszej lub gorszej wiary, są tylko różnice wynikające z tego, że są mądrzejsi lub bardziej głupi ludzie.

Tak naprawdę mało kto orientuje się, jak bogate duchowo jest życie Jakutów. Jak mało o tym w ogóle wiemy. Należy jednak przypomnieć, że w badaniu tego narodu wielkie zasługi mają nasi rodacy Wacław Sieroszewski i Edward Piekarski. Zesłani do Jakucji zajęli się badaniem języka i kultury duchowej Jakutów. Edward Piekarski wydał nawet trzutomowy słownik jakucki, którego pojawienie się przyniosło mu sławę w światowych kręgach naukowych. Jest to bardzo osobliwe dzieło, gdyż słownik ten oparty jest na rosyjskim alfabecie, ponieważ nigdy nie przyjął się żaden z kilku proponowanych alfabetów. A prób podobno było dużo.

Pierwszą podjął Otto Böhlingk, który w 1848 roku opracował pierwszy słownik. Ciekawostką jest fakt, że zrobił to na odległość, bowiem Böhlingk nigdy nie był w Jakucji i przy opracowaniu opierał się tylko na przekazach Afanasjewa Uwarowskiego, który z kolei znał doskonale język rosyjski, a jeszcze lepiej jakucki, jako że miał matkę Jakutkę.

Kolejne próby również spełzły na niczym. W roku 1917 stworzono na bazie alfabetu łacińskiego kolejny wzór alfabetu. Nic z tego, po prostu się nie przyjął. Wreszcie ktoś mądry powiedział: Po co szukać, kiedy mamy alfabet rosyjski. I tak powstała tak zwana grażdanka, do której dodano po prostu trochę innych znaków, by się nieco różniła od rosyjskiego alfabetu.

Wszystkie te nieudane próby stworzenia własnego alfabetu wcale nie przeszkodziły Jakutom w stworzeniu okazałej literatury narodowej. Ma nawet ona swoją własną nazwę - *oiancho*. To swoisty zbiór podań ludowych, bajek i opowiadań historycznych. Zapisy te w znacznym stopniu pomogły w powstaniu swego rodzaju mitologii jakuckiej, prawdziwego jakuckiego Olimpu z bogami, potworami i duchami w rolach głównych.

Ciekawym zpleciem jest mowa jakucka. Ustalono bowiem, że około pięćdziesięciu procent stanowią elementy mowy tureckiej, dwadzieścia mongolskiej, a reszta od rdzennych mieszkańców tych terenów - Ewenków, Ewenów i Jukagirów. Nasuwa się więc pytanie, skąd w ogóle na tych terenach wzięli się Jakuci? Wy tłumaczono mi to w prosty i jasny sposób: Jakuci początkowo zamieszkiwali na południu. Za czasów Dżyngis - chana byli jego wojami. Jednak już wtedy Ludzie dzielili się na lepszych i gorszych. Jakuci byli tymi gorszymi i w armii Dżyngis - chana spełniali rolę mięsa armatniego - walczyli zawsze na pierwszej linii. Pewnego dnia zbuntowali się i uciekli na północ - to wszystko. Później nastąpiły czasy walk z rdzenną ludnością, wspomnianymi Ewenkami, Ewenami i innymi narodami. Z walki tej wojowie jakuccy wyszli zwycięsko i po niedługim czasie zagarnęli praktycznie całe dzisiejsze terytorium. Podbite plemiona migrowały dalej na północ, wreszcie po latach przyjęły kulturę jakucką.

Bardzo różnorodny i ciekawy jest folklor jakucki, chociaż w sposobie życia Jakutów jest jeszcze wiele prymitywizmu. Jeszcze do niedawna Jakuci mieszkali w jurtach, mieszkali tam, gdzie można było znaleźć karmę dla bydła; w zimie natomiast przenoszono się na miejsca, w których wcześniej zgromadzono zapasy siana. Wtedy ludzie wraz z bydłem przebywali pod jednym dachem. Ale nie to stanowi o dorobku kulturalnym Jakucji, kto z kim mieszkał w juncie, tylko szeroko rozumiana przynależność etniczna i związane z nią sprawy.

Tymczasem na polanie zawrzało. Czerwona tarcza słońca zaczęła unosić się nad horyzontem - to sygnał do rozpoczęcia uroczystości. Czekające na ten moment młode -

odziane w białe szaty - dziewice wyciągnęły swe wątle ręczki ku wschodzącemu słońcu. W chwilę później wszyscy obecni zwrócili się ku niemu i zaczęli śpiewać modlitwę. Jakuci wierzą bowiem, że w dniu dzisiejszym wraz ze słońcem przybywają do nich wspomniani wcześniej dobrzy bogowie.

W chwilę później, kiedy słońce ukazało się w całej krasie, rozpoczęła się główna uroczystość, którą prowadził sam szaman - odpowiednik naszego biskupa. Teraz wymachiwał jakąś świętą kitą zrobioną z końskiego ogona - rozdawał błogosławieństwo na prawo i lewo.

Szaman ubrany był w piękny stylizowany strój ludowy, ale nieco niekompletny, ponieważ na nogach miał żółte kalosze, a zamiast tradycyjnych spodni ze skóry rena ubrany był w pospolite dżinsy. Wyglądało to nieco śmiesznie - nasi biskupi takich numerów nie odważają.

Żadna uroczystość w Jakucji nie może się odbyć bez Kujtnysu, który jest narodowym napitkiem Jakutów. Jakucki kumys jest wytwarzany dokładnie na wzór mongolski. Kobyle mleko wlewa się do worka z krowiej skóry i zawiesza się przy ścianie wejścia do domu lub jurty. Dlaczego u wejścia? Mleko kisię, a zawarty w nim cukier fermentuje, wytwarzając alkohol. Ważne jest, aby fermentujące mleko często mieszać. Czynność ta wytworzyła swoisty rytuał, polegający na tym, że każdy wchodzący do domu lub jurty zamiast pozdrowienia miesza specjalną łopatką fermentujące mleko.

Teraz szaman święci kumysem ogień, ziemię, konie, bydło oraz inne rzeczy codziennego użytku. Kumys różni się od wody święconej tym, że zawiera alkohol, który co prawda nie jest wysokoprocentowy, ale zawsze przy odrobinie wytrwałości można urżnąć się nim na amen.

Po tych oficjalnych obrzędach rozpoczyna się kilkudniowa zabawa, na którą wszyscy przez cały rok czekali. Rozpoczynają się tańce. Jakuci nie tańczą bolera, tanga czy walca, tańczą swój jedyny ulubiony taniec o nazwie *johar*, zwany również *osuchaj*. Jest to barwny korowodowy taniec tańczony w olbrzymim kole. Tańczący w rytm śpiewu drepczą raz w lewo, raz w prawo, to szybciej, to wolniej, w zależności od tego, co wyśpiewuje w danym momencie solista. Wszyscy tańczący co chwila powtarzają kilkakrotnie refren. Dla przeciętnego widza to po prostu jakucka odmiana bluesa...

Wraz z tańcami rozpoczynają się najróżniejsze zawody sportowe. Na wstępie *kapsarchaj* - tradycyjne jakuckie zapasy, do złudzenia przypominające znane w świecie sumo, następnie biegi z workiem piachu na sto metrów i jakaś zabawa polegająca na wyrzucaniu sobie z rąk dużej kości... Na końcu tradycyjne *sraczki*, czyli wyścigi konne. Uwagę moją przykuwa ciekawy okaz antropologiczny - jakucki zapaśnik. Właśnie rozciera

w dłoniach skamieniały talk. Człowiek ten przypominał kapłana przygotowującego się do ważnego obrządku. Budowę ciała miał wręcz fenomenalną. Była to żywa piramida lub kupa mięsa, jak kto woli. Fałdy olbrzymiego brzucha podpirały potężny biust, na którym leżał jeden podbródek, na nim drugi, na drugim trzeci, a na trzecim dolna szczęka. Piramidę wieńczyła łysa szyszkowata głowa. Jego twarz wprost prosiła się o pracownię rzeźbiarza kubisty: kwadratowe czoło, masywne łuki nad brwiami, głęboko osadzone oczy oraz duży, przyplaszczony nos, na dodatek jeszcze złamany. Jednym słowem, coś obrzydliwego. Było jednak coś czystego w tej twarzy - twarz ta nie była skażona myślą...

Zabawa trwa już w najlepsze, nie wiadomo na co patrzeć; tu zawody, tu występy artystyczne, tu dają kumys do picia, tam częstują mięsem renifera i gorzałą. Stoję długo niezdecydowany, wreszcie ruszam do stoiska, gdzie dają gorzałę, gdyż tam zauważam świętego szamana wlewającego w siebie święte trunki. Po dwóch szklankach zostajemy już przyjaciółmi i wspólnie komentujemy przebieg dzisiejszego święta.

Przyjaźń z szamanem była dla mnie bardzo istotna, bowiem od kogo jak od kogo, ale od samego szamana spodziewałem się uzyskać bardzo dużo ciekawych informacji na temat Jakutów, ich wierzeń, folkloru i rytuałów. Ponieważ gwar panujący na polanie nie pozwalał na dłuższą spokojną rozmowę, umówiliśmy się na wywiad za kilka dni u szamana w domu, jako że szaman od dawna mieszkał w Jakucku. Zapisałem jego adres, po czym szaman zaprosił mnie do swego wigwamu, aby zgodnie z tradycją napić się porządnie wódki. Próbowałem oponować, ale szaman pogroził mi świętą kitą, więc posłusznie podreptałem za nim do jego prowizorycznego namiotu.

Butelka pomagała nawiązywać coraz to nowe znajomości. Do biesiady przyłączali się najrozmaitsi - istne zbratanie się narodów. Obok rosłych, wyraźnych, wielkich Rosjan podchodzili wężowato niewyraźni Rosjanie, bardziej o jakuckim wyglądzie. Wszyscy brali do ręki stakan wódki i siadali na ziemi. Czegóż tu nie było; obok surowych typów Północy otwarte twarze Południa; Jakuci, Buriaci, Eweni, Ewenkowie - wszyscy związani wspólną nędzą ciężkiego bytu i złudnym upojeniem chwili.

Narodowości syberyjskie żyją w zgodzie, czerpiąc siły ze zgodnego współżycia, odwiecznych zwyczajów i zasad. I od kiedy sięgnąć pamięcią, dzięki owym zasadom, owej wspólnej tarczy ratowali się i uratowali w czasie wojny i w ciężkich powojennych latach, kiedy to za dziesięć kłosek zboża skazywano na dziesięć lat. Wtedy właśnie trzeba było trzymać się razem i obmyślać sposoby przetrwania.

Po południu odnajduje mnie na polanie Wiktor. Tłumaczy, że urwał się wcześniej z pracy, ponieważ dziś i tak nie ma ruchu na rzece, gdyż cała Jakucja świętuje. Poza tym stwierdził, że już niemal całe życie pływa po Lenie, więc dziś, kiedy ma gości, odpuszcza

sobie pracę.

Pożegnałem więc szamana i kompanów od kielicha, po czym udaliśmy się za miasto na daczę Wiktora. Po drodze jeszcze wstąpiliśmy na pocztę, skąd zadzwoniłem do znajomych mafiosów, z którymi umówiłem się na pojutrze wieczorem. Na razie jedziemy na daczę - to naprawdę trudne do opisanie, co mnie teraz czekało, ale po kolei:

Bardzo dawno temu, kiedy Rosją jeszcze rządili carowie, co ważniejsi obywatele kraju mieli za miastem daczę. O rosyjskich daczach pisali wielcy rosyjscy pisarze. Dacze były bardzo ekskluzywne, było ich mało, tak mało, jak mało było dobrych rosyjskich pisarzy.

Później była komuna, były i daczę. Było ich nawet nieco więcej, gdyż zasłużonych dla państwa sowieckiego było więcej niż dla carskiego. Dacze były, a jakże, mało tego, były coraz bardziej ekskluzywne.

Później padła komuna i wnet każdy zapragnął mieć daczę. Cóż, narodowi się należy, więc nowa władza pozwoliła wszystkim mieć daczę... I tak kto tylko zapragnął, mógł sobie w określonym miejscu wybudować własną daczę. Wzięto się rychło do roboty i niebawem wszyscy chętni stali się posiadaczami własnego letniskowego domku. W ten sposób narodziła się nowa forma spędzania wolnego czasu. Teraz każdy każdą chwilę spędza na daczę, a większość po prostu mieszka na niej całe lato. Własna daczę to nie to co państwowe mieszkanie - daczę jest własna i w tej własności tkwi jej siła.

Pobyć na daczę, uważany przez rosyjskich przyjaciół za odpoczynek, jest dla człowieka z zewnątrz nie lada mordęgą. Siedzi się w niegustownie urządzonej klitce, często na prowizorycznych ławach zrobionych ze skrzynek i słucha się wyjącego na cały regulator radia. Jest ogólnie przyjętą zasadą, że radio gra na całą parę; dziwię się więc bardzo, że Rosjanie do dziś montują potencjometry w tych urządzeniach.

Kiedy nie pada deszcz lub śnieg przeważnie siada się na zewnątrz na świeżym powietrzu. Radio, ma się rozumieć, zabiera się wówczas ze sobą... Rosjanie to naród niezwykle muzykalny, więc na okrągło gra muzyka. Repertuar wykonywanych utworów jest niezwykle szeroki. Od disco - polo do klasyki. W większości jednak są to piosenki śpiewane po rosyjsku; wykonują je rodzime zespoły, które śpiewają światowy repertuar, z tym że oryginalne angielskie teksty przetłumaczone są na język rosyjski. Muszę przyznać, że niektóre szlagiery dziwnie brzmią w tym języku - to coś jakby na ekranie telewizora Winnetou mówił do Apacza po niemiecku...³¹

Kolejna straszliwa zmora to komary. Są dosłownie wszędzie, ale i na nie niezawodni Rosjanie wynaleźli sposób - dym z palonej trawy i wilgotnej kory.

31 Nieprzypadkowo jednak znana w Polsce ekranizacja filmu o Winnetou powstała w NRD - Karol May był Niemcem i nigdy w życiu nie odwiedził Ameryce Północnej.

Siedzisz więc „na świeżym powietrzu” i powoli zamieniasz się w wędzoną makrełę... To nie szkodzi, że się kaszle i Izy ciekną od gęstego dymu - odpoczywamy przecież na daczy...

Czterdziestostopniowy upał, komary, brak bieżącej wody sprawiają, że miejsce gościny staje się dla przybysza miejscem kaźni. Przypomnę jeszcze, że latem w Jakucku nie zachodzi słońeczko i wysoka temperatura powietrza utrzymuje się przynajmniej do godziny jedenastej wieczorem.

Jest jednak jeden sposób, aby to przeżyć - należy natychmiast w trupa się upić i odejść w tak zwany niebyt... Niestraszne wówczas śpiewane po rosyjsku szlagiery Beatlesów, niestraszne słowa Winnetou wypowiedane po niemiecku, komary i meszki to pryszcz, a nawet duszący dym z palonych opon wydaje się wtedy jakże przyjazny. To jedyny sposób dla Europejczyka - uchlać się jak świnia. Alternatywy nie ma.

Następnego upalnego ranka, kiedy spotkasz na ulicy milicjanta, będziesz błagalnym wzrokiem patrzył na przywieszony przy jego boku pistolet, będziesz marzył o tym, aby ten wyjął go z kabury i cię po prostu zastrzelił - to luksus w porównaniu z jakuckim kacem...

Dzisiaj - choć na niemiłosiernym kacu - pierwsze kroki skierowałem do władz miasta. Za namową Wiktora, przepustką do wszelkich urzędów stała się moja książka o Syberii, którą od tej chwili miałem zawsze przy sobie. To nieważne, że została wydana w języku polskim - były w niej kolorowe fotografie i właśnie one - jak żaden dokument - świadczyły o mnie i wykonywanej przeze mnie profesji.

Mając już doświadczenie we wszystkich formach żebractwa, udałem się do samego mera i beczelnie poprosiłem o pomoc. Oświadczyłem przy tym, że jestem pisarzem i zamierzam coś napisać o Jakucku. W związku z powyższym proszę przewodnika z pieniędzmi i samochodem...

Mer Jakucka, Anatolij Nikołajewicz z uwagą obejrzał moją książkę, po czym bez słowa podniósł słuchawkę telefonu i przywołał swego sekretarza. - Dajcie pisarzowi, co potrzebuje i niech redaktor Jurij Pawłowicz pokaże mu całe miasto. Niech wezmą mojego dzipa - zarządził.

Parę minut później jechałem luksusową, klimatyzowaną toyotą przez skąpane w słońcu miasto. Jurij Pawłowicz Siemionow okazał się redaktorem miejscowej gazety, a przy okazji kapitalnym facetem. Nie po raz pierwszy woził obcokrajowców. Przede mną jeździł z nim po Syberii sam mistrz Jacek Pałkiewicz ze swoją szkołą przetrwania... A przetrwać z redaktorem na pewno nie było łatwo...

Ponieważ Jurij również wczoraj świętował i dziś zdychał, na początku postanowiliśmy na konto mera napić się piwa. Mer stawia, trzeba pić - śmialiśmy się.

Podjechaliśmy więc pod najdroższą knajpę i tam na konto magistratu zamówiliśmy jakieś amerykańskie piwo. O dziwo, podano zimne. Jurij wytłumaczył mi, że w lokalach tej klasy trzymają napoje pod ziemią...

Później uświadomiliśmy sobie, że jeździmy po mieście służbowym samochodem samego mera. Wiadomo, że taki samochód jest jakuckiej milicji dobrze znany i nie podlega żadnej kontroli - zamówiliśmy więc kolejne piwa. Czas upływał świetnie. Po jakimś czasie zdecydowaliśmy, że należy jednak coś zwiedzić, pojechaliśmy więc do jeszcze innej knajpy, nieco mniej ekskluzywnej, ale za to bardziej ludnej. Tu wszyscy z wszystkimi pili wódkę prosto z butelki. W lokalu panowała swojska atmosfera i niczym niezakłócona jedność... Po godzinie ruszyliśmy na właściwe zwiedzanie.

Ponieważ na dworze panował straszliwy upał, Jurij zaproponował, aby i najpierw udać się do instytutu badającego wieczną marzłość. - Tam mają chłodne piwnice - dowodził.

Przeciskaliśmy się teraz zatłoczonymi, skąpanymi w spiekocie ulicami Jakucka; po kilkunastu minutach dojechaliśmy do miejscowości Siergielach, która pomimo że nosiła inną nazwę, w praktyce była dzielnicą Jakucka i mieściła się w zwartej zabudowie miasta. Właśnie tu znajdował się Instytut Badań Wiecznej Marzłoci.

Zatrzymaliśmy się przed dużą rzeźbą mamuta stojącą przed wejściem do instytutu. Kiedy weszliśmy do środka, czekała mnie bardzo miła niespodzianka - szefem instytutu okazał się wnuk polskiego zesłańca, Stanisław Iwanowicz Zabołotnik. Kiedy dowiedział się, że pochodzę z Gdańska, posmutniał na chwilę, po czym wyjaśnił, że powodem jego smutku jest fakt, że jego ojciec zginął, wyzwalając Gdańsk. Dodał przy tym, że dopiero po trzydziestu latach wiadomość o miejscu śmierci ojca dotarła do jego matki. Sam nie pamięta ojca, był bowiem dzieckiem, kiedy wyruszył on na front.

Był przejęty, kiedy powiedziałem mu, że jest w Gdańsku duży cmentarz żołnierzy radzieckich i że po powrocie postaram się odnaleźć grób jego ojca.³²

Teraz Stanisław Iwanowicz z powagą wykładowcy akademickiego najpierw opowiedział mi o wiecznej zmarzlinie i historii badań nad nią, po czym polecił jednemu z naukowców, aby ten sprowadził mnie pod ziemię i pokazał to, o czym przed chwilą była mowa.

Zeszliśmy ostrożnie po pokrytych lodem schodach. Wenecja zbudowana jest na wodzie, a Jakuck na lodzie. Tak wyglądałaby piwnica, gdybyś w Jakucku sobie ją wybudował - powiedział młody naukowiec, pokazując pokryte grubą warstwą lodu betonowe ściany.

- Jaka utrzymuje się tu temperatura? - zapytałem, kiedy szliśmy w głąb sztolni.

³² Chodzi o cmentarz w pobliżu ul. Giełguda notorycznie odwiedzany przez wandalów, znajduje się on nieopodal twierdzy na Biskupiej Górze.

- Około minus pięciu stopni. To wystarcza, aby dobrze wszystko zamrozić. Jak widzisz, w Jakucku ciężko byłoby handlować zamrażarkami...

Kiedy zesliśmy jeszcze niżej, zobaczyłem leżącą pod ścianą dużą prostokątną bryłę lodu, a w niej zamrożonego małego mamuta...

- To relikty dalekiej przeszłości. Przywieziono go tu z Wysp Nowosyberyjskich, gdzie dawniej żyło mnóstwo tych wielkich ssaków - wyjaśnił naukowiec. - Wyspy Nowosyberyjskie dosłownie leżą na mamucich kościach; w lodzie znajdują się ich tysiące ton.

- Najcenniejsze są kły, z nich właśnie Jakuci wyrabiali początkowo broń, a później ozdoby. Dziś wykonują z nich rzeźby, które później sprzedają w miastach. Kość mamucia po namoczeniu w wodzie staje się bardzo miękka i łatwo ją obrabiać.

- Waga tych stworzeń dochodziła do dziewięciu ton! - kontynuował naukowiec.

- Starsze osobniki miały bardzo zniszczone kły, widać kopały nią ziemię. Dziś odnajdujemy całe szkielety - kości są w pozycjach, w jakich mamuty zdechły. Jakuci powiadają, że mamuty miały cechy ludzkie, ponieważ pomagały sobie wzajemnie. Świadczą o tym coraz to nowe odkrytki, gdzie odnajdywane są po dwa szkielety w jednym dole - prawdopodobnie jeden chciał pomagać drugiemu.

- Początkowo mieliśmy tu więcej zamrożonych mamutów, ale czas pierestrojki sprawił, żeśmy je odmrozili i po prostu zjedli - śmiał się naukowiec, a ja nie wiedziałem, czy to prawda, czy też żart.

- Na początku opowiem ci, jak powstał nasz instytut. Wszystko rozpoczęło się prawie półtora wieku temu od pewnego bezczelnie bogatego kupca, który był tak bogaty, że zapragnął mieć na swym podwórku studnię... Może to śmieszne, ale wówczas nie bardzo zdawano sobie sprawę z tego, że Jakuck leży na wiecznej zmarzlinie, wiedziano co prawda, że pod cienką powierzchnią ziemi znajduje się lód, ale uważano, że jest to efekt długich srogich zim. Ma się rozumieć, nikt też nie miał pojęcia, jak gruba jest pokrywa lodowa, panowało przekonanie, że pod cienką warstwą powierzchniowego lodu znajduje się miąższość piasek.

- Wspomniany kupiec opływał w zbytki i do całkowitego szczęścia brakowało mu tylko studni. Zlecił więc jej wykonanie. Robotnicy dziarsko przystąpili do pracy. Wykopali pięć metrów, ale wody nie znaleźli, wykopali dalsze pięć metrów, to samo - wody ani krzty. Kupiec był uparty, kazał kopać dalej. Kopano więc coraz głębiej. Przedsięwzięcie kupca obserwowało z ciekawością całe miasto, czyniono nawet na tę okoliczność zakłady; licytowano - znajdzie, czy nie znajdzie?

- Kiedy dokopano się do głębokości około trzydziestu metrów, kupca o mało szlag

nie trafił - wody jak nie było, tak nie było - była tylko zamarznięta ziemia.

- Kupiec widocznie należał do grupy nowobogackich i tak jak współcześni jemu równi myślał, że wszystko można mieć za pieniądze, nakazał więc kopać dalej...

Nie wiedział biedny, że niestety świat jest tak urządony, że tego, co najcenniejsze i najwartościowsze, nie można nabyć za pieniądze, i w swej głupocie płacił dalej, a ludzie dalej kopali...

- W trakcie tych robót przybył do Jakucka Aleksander Middendorf, słynny podróżnik, badacz syberyjskiej ziemi. Usłyszał o nieudanej studni i wraz z prątkującymi przy niej robotnikami opuścił się na jej dno. To, co zobaczył, opisał i tak rozpoczęła się nowa dziedzina badań naukowych, tak zwana geokriologia - i dziedzina badań nad wieczną zmarzliną której warstwa w samym Jakucku sięga na głębokość około trzystu - metrów...

- Instytut, w którego podziemiach się obecnie znajdujemy, wybudowano opodal niefortunnej kupieckiej studni, którą obejrzymy, jak wyjdziemy na zewnątrz - skończył swój wykład naukowiec.

Na dworze panował ponad trzydziestostopniowy upał. Powietrze stało w miejscu, odnosiło się wrażenie, że nie ma czym oddychać.

Weszliśmy do małego drewnianego domku, stojącego opodal murowanego budynku instytutu. Właśnie tu, w środku znajdowała się wspomniana pechowa studnia, którą nazwano Szargińską Szachtą.

Naukowiec odsunął deski zasłaniające otwór w ziemi. Zobaczyłem ciemny głęboki otwór, od którego wiało przyjemnym chłodem. Pomyślałem o bogatym kupcu, o jego pragnieniu posiadania wody i o tym, że tak naprawdę każdy z nas ma coś, czego w życiu nie dostanie, choćby nie wiadomo jak głęboko kopał... Później pomyślałem, że nieciekawie byłoby wpaść w tę ciemną dziurę i czym i prędzej wyszedłem na zewnątrz.

Kiedy żegnaliśmy się, Stanisław Iwanowicz nie dał za wygraną i jak przystało na prawdziwego naukowca, jeszcze raz objaśnił mi, co to jest Wieczna Marzłość i jakie stwarza ona problemy.

Otóż marzłość nie jest wszędzie jednakowa i sama w sobie nie stwarza poważnych problemów, gdyż jako zlepek piasków i glin jest twarda i wytrzymała jak beton. Niebezpieczeństwo polega na tym, że w marzłoci znajdują się różnej wielkości soczewki lodu oraz małe i wielkie sople lodu. Niektóre z nich na powierzchni mają kilkanaście milimetrów średnicy i kilkaset metrów wysokości.

Z niezbadanych jeszcze dotychczas powodów niektóre z nich zaczynają się topić - powstaje wówczas jezioro. Tysiące znajdujących się w Jakucji jezior w ten właśnie sposób powstało. Miejscami podziemne sople wystają z ziemi, tworząc nietopniejące nigdy lody.

Najczęściej jednak są one przykryte warstwą próchnicy i porośle tajgą modrzewiową. Właśnie w związku z tymi soplami i soczewkami lodu wszystkie domy, w tym i wysokie wieżowce, budowane są w Jakucji na betonowych palach, tak aby pomiędzy domem a powierzchnią ziemi była duża szczelina. Takie konstrukcje umożliwiają przepływ powietrza pod budowlami i przez to zapobiegają rozmrażaniu gruntu. Nawet małe, stosunkowo lekkie chaty postawione na ziemi, stopniowo, lecz nieuchronnie pogrążają się w ziemię. Dzieje się to dlatego, że każdy dom wydziela ciepło, które po prostu topi lód. Generalnie nie jest łatwo mieszkać na wiecznej zmarzlinie, bo jak na przykład poprowadzić wodociąg lub kanalizację w ziemi, której temperatura nigdy nie jest wyższa niż minus pięć stopni? Stąd też wychodki na zewnątrz, zresztą przykłady można by długo jeszcze mnożyć. Gaworzyliśmy jeszcze chwilę, po czym zwiedzanie instytutu zostało zakończone. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy z powrotem w stronę miasta.

- Słuchaj Jurij, nieczęsto jestem w diamentowej stolicy, podjedziemy do fabryki, gdzie szlifuje się diamenty - powiadam.

- Dobre sobie - ale masz zachciankę. Sam chciałbym wiedzieć, gdzie ona jest, ale nie wiem - naprawdę nie mam zielonego pojęcia, to cały czas ściśle tajna sprawa - my dziennikarze nie mieszkamy się w to.

- Zaraz, zaraz - Jakuck to nie Nowy Jork. Ty, stary dziennikarz, nie wiesz, gdzie w tej dziurze mieści się zakład szlifujący diamenty?

- Ano nie wiem i nie chcę wiedzieć, to nie moja sprawa, a w sumie tak właściwie oficjalnie nie ma tu takiego zakładu...

- Jak to nie ma oficjalnie takiego zakładu? Wszyscy na całym świecie wiedzą, że w Jakucji jest pełno diamentów...

- Wiedzą i co z tego - sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myślisz i naprawdę o miejscu, gdzie szlifuje się diamenty, wie niewiele osób. Ja naprawdę nie wiem.

- A prezydent Republiki Jakucji wie?

- Oczywiście, że wie, ale on ci nie powie.

- Powie, powie - dawaj, jedziemy pod pałac prezydencki, zaraz z nim pogadamy - śmieję się.

- Tobie chyba naprawdę słońce zaszkoziło - po co chcesz jechać pod pałac prezydencki? Tam nas nawet nie wpuszczą na korytarz.

- Wpuszczą... a do tego dostaniemy zgodę na zwiedzanie fabryki z brylantami ...

- Ty naprawdę jesteś chory umysłowo, trzeba z tobą jechać do psychiatry, a nie pod pałac prezydencki.

- Jedź, nie marudź - powiadam. - Już moja w tym głowa, zaraz pogadamy z tym

panem...

Po chwili podjechaliśmy pod okazałe szklane gmazysko, które okazało się nie tyle pałacem prezydenckim, co jakby prywatnym hotelem władcy bądź co bądź rządzącego terytorium dwa razy większym od Europy Zachodniej.

Gmach w żaden sposób nie pasował swą architekturą do pozostałych zapadających się w ziemię starych drewnianych chałup, idealnie za to wkomponowałby się w dowolną ulicę nowojorskiego Manhattanu.

- Dzień dobry - ja do pana prezydenta - powiadam do uzbrojonego po zęby osiłka strzegącego wejścia do budynku.

- Proszę o zaproszenie - powiada wartownik, wpatrując się w moją torbę fotograficzną.

- Niech się kolega wyluzuje - nie posiadam bomby ani żadnego ostrego narzędzia. To tylko aparat fotograficzny. Rozumiem, kolega jeszcze nie widział takiego... A co się tyczy zaproszenia, to takowego nie mam, ale proszę przekazać dalej, że przyjechał do prezydenta znany pisarz z Zachodu...

Wartownik nie spuszczać oka z mojej torby wziął słuchawkę i gdzieś zadzwonił. Męczył się teraz biedaczysko, gdyż nie umiał wytłumaczyć swemu rozmówcy, kto i po co przyszedł do pana prezydenta, bez przerwy też wpatrywał się w moją torbę od aparatu fotograficznego i powtarzał jak w transie, że to obcokrajowiec. Po chwili jeszcze raz zapytał, skąd przyjechałem, a ja mu na to odparłem, że z Trzebieszyna koło Berlina i już było po nim. Odłożył bezradnie słuchawkę i kazał mi czekać. W chwilę później przysłano kogoś, kto z wyglądu wydawał się bardziej rozumny i wreszcie mogłem wytłumaczyć cel mojej wizyty.

- Jestem pisarzem, który pisze o Syberii. Obecnie zbieram materiały do książki o Jakucji. W związku z tym chciałbym zobaczyć się z panem prezydentem, byłby to miły akcent w treści mojej książki... - mówię, uśmiechając się życzliwie.

- Proszę o pana akredytację - powiada przybyły urzędnik.

- Nie mam takowej, gdyż nie reprezentuję żadnej organizacji - jestem wolnym, niezależnym pisarzem, stąd ta cała niespodzianka...

- Myślę, że nie będzie możliwe pańskie spotkanie z prezydentem. Takie sprawy umawia się na parę miesięcy wcześniej - powiedział urzędnik. - Może pan ewentualnie porozmawiać z rzecznikiem prasowym...

- Rozumiem, ale pan nie rozumie, co znaczy w świecie książka o Jakucku... Poza tym nie wie pan, jakim środkiem transportu się tutaj dostałem. Oj, gdy o tym się dowie prezydent...

- Proszę zaczekać - odparł urzędnik, po czym ponownie oddalił się w głąb budynku,

pozostawiając mnie znów w towarzystwie wartownika wpatrującego się w moją torbę...

Ponieważ urzędnik długo nie wracał, postanowiłem pobawić się nieco z wartownikiem... W tym celu poruszyłem się niespokojnie, po czym wolnym ruchem zacząłem odpinać torbę... Kątem oka spostrzegłem, że pilnującemu prezydenta wartownikowi gwałtownie podskoczyło ciśnienie. Podświadomie jego ręka namacała kaburę, od tej chwili już nie spuszczał mnie z oczu. Po chwili znów pojawił się na horyzoncie inteligentny urzędnik, tym razem w towarzystwie jeszcze bardziej inteligentnego urzędnika. Ten ostatni wydawał się nawet nieco normalniejszy, gdyż się nawet uśmiechał. Po chwili jednak nie był już tak inteligentny, przestał się uśmiechać i poprosił mnie o dokumenty. Zaraz sobie poczytasz - pomyślałem i podałem mu paszport. Przeglądający długo udawał, że umie czytać, dopiero kiedy przewrócił kartkę, gdzie była przyklejona fotografia, zorientował się, że trzyma paszport do góry nogami... Aby formalnościom stało się zadość, groźnie popatrzał jeszcze na mnie i na fotografię w paszporcie, po czym kazał iść za sobą.

Szliśmy teraz długim obszernym korytarzem, wyłożonym mileńkim dywanem koloru niebieskiego, prawdopodobnie symbolizującym barwy narodowe Jakucji. Korytarz był wyjątkowo przestronny i dobrze oświetlony halogenami zamontowanymi w suficie. Wyłożone kremowymi panelami ściany lśniły czystością i odbitym niebieskawym światłem, tworząc kompozycje bajecznych cieni rozciągających się od podłogi po sam sufit. Wszystko to było jakieś niejakuckie, byłem pewien, że nie projektował tego jakucki architekt. Maszerowaliśmy w milczeniu. Prowadzący mnie urzędnik od czasu do czasu badawczo spoglądał w moją stronę, siedł jednak jak automat, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po jakimś czasie doszliśmy do dużych drzwi, które rozsunęły się przed nami bezszelestnie. Za drzwiami znajdował się posterunek, przy którym siedział kolejny uzbrojony wartownik. Ten jednak nie zwrócił na nas szczególnej uwagi, gdyż był zajęty wpatrywaniem się w ekrany monitorów, na których widać było kilkanaście korytarzy i pomieszczeń pałacowych. Nieco dalej znajdowała się ogromna wnęka, gdzie ustawione były kanapy i fotele. Prowadzący mnie urzędnik gestem zaprosił mnie do zajęcia miejsca, a sam zniknął za kolejnymi bezszelestnie otwierającymi się drzwiami. Domyśliłem się, że dopiero tu, za drzwiami znajdował się właściwy sekretariat prezydenta. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, które do złudzenia przypominało muzeum etnograficzne. Pod ścianami ustawione były manekiny ubrane w narodowe jakuckie stroje. Teraz ich mądre, młode, zarumienione twarze spoglądały z zainteresowaniem w moją stronę. Jedna plastikowa dama, jak mi się wydawało, mrugnęła nawet do mnie okiem... Ściany zdobiły również piękne olejne obrazy, których głównym motywem były sceny ukazujące szczęśliwe życie jakuckiego

narodu... Wszędzie obecne było niebieskie niebo, słońce i uśmiech...

Po chwili podszedł do mnie facet z wykrywaczem metalu, który natychmiast zaczął piszczeć, gdyż miałem przy sobie sporej wielkości nóż. Dopiero gdy go odpiąłem, urządzenie się uspokoiło. Urzędnik przejrzał jeszcze moją torbę reporterską, skłonił się i odszedł bez słowa. Wiedziałem już, że zostanę przyjęty. Prezydent Michaił Jefimowicz Nikołajew nie kazał długo na siebie czekać. Wielkie drzwi otwarły się na oścież i po chwili zostałem wprowadzony do środka. Na początku były tradycyjne w takich wypadkach ukłony, uściski dłoni, uprzejme uśmiechy i przyjazne gesty.

Na wstępie przeprosiłem prezydenta za niespodziewaną wizytę oraz całe związane z nią zamieszanie. Następnie przedstawiłem się i pokrótce opowiedziałem o swoich wyprawach. Aby być bardziej wiarygodny, pokazałem książkę streszczającą moje przygody w drodze do Nowego Jorku. Prezydent długo ją oglądał, widać bardzo podobały mu się fotografie, gdyż zainteresował się, jaki mam aparat fotograficzny... Kiedy mu go pokazałem, długo mu się przyglądał, po czym polecił swojemu sekretarzowi, aby zapisał nazwę aparatu, a nawet go sfotografował ... Chwilę jeszcze rozmawialiśmy o fotografii oraz dobrach z nią związanych. Wykorzystałem ów moment i wprost zapytałem, czy aby pan prezydent nie ma nic przeciwko temu, abym właśnie sfotografował jakuckie diamenty... Michaił Jefimowicz Nikołajew chwilę się zawahał, po czym zapytał, po co mi owe fotografie. Wyjaśniłem, że moim rodakom - i nie tylko - Jakucja kojarzy się przede wszystkim z diamentami, w związku z czym, skoro mam pisać o tej ziemi, nie mogę pominąć tych minerałów, gdyż to tak samo, jakbym pisał o Rzymie, nie wspominając o papieżu... Prezydent pomyślał, po czym wyjaśnił, że w chwili obecnej nie ma w Jakucku jako takiej fabryki szlifującej diamenty. Są co prawda eksperymentalne laboratoria obróbki diamentów i gdybym chciał jedno z nich zobaczyć, to proszę, czemu nie, choć - jak przyznał - niechętnie, gdyż my, dziennikarze mamy czasami zbyt długie języki... Ale cóż, skoro przyjechałeś z tak daleka... Michaił Jefimowicz Nikołajew polecił sekretarzowi, aby ten uprzedził laboratorium o naszej wizycie oraz wyjaśnił mojemu przewodnikowi, gdzie mamy jechać. W tym czasie prezydent wyciągnął z barku gruziński koniak i nalał do szklanych naczyń, które w niczym nie przypominały znanych nam koniakówek. - Za spotkanie - powiedział prezydent i wypił do dna. - Za spotkanie - odpowiedziałem i też wypilem do dna...

Eksperymentalne laboratorium obróbki diamentów mieści się w starym biurowcu przy ulicy Czeluskina 42. Dyrektor Piotr Stiepanowicz nerwowo oczekiwał gości od samego prezydenta. Kiedy zjawiliśmy się, ukłonił się nisko i oznajmił, że zakład jest już gotowy do inspekcji... Źle coś biedak zrozumiał, albo źle mu przekazano. Kiedy wyjaśniłem mu właściwy cel mojej wizyty, odetchnął z ulgą i natychmiast przywołał swojego zastępcę, i

polecił, aby ten oprowadził mnie po całym zakładzie, sam zaś natychmiast wsiadł do samochodu i gdzieś się ulotnił - był widocznie zdania, że lepiej z tym nie mieć nic do czynienia. Makarow Wiktor Nikolajewicz Nikolajew - długie to nazwisko, ale właśnie tak przedstawił się zastępca, który teraz miał pokazać mi zakład.

- Możesz śmiało fotografować, prezydent pozwolił - powiada. Wiem, fotografowałbym nawet gdyby nie pozwolił - pomyślałem.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od magazynu z surowcem, czyli od pomieszczenia, gdzie znajdowały się diamenty. Była to mała ciemna klitka z drewnianą półką pod ścianą, na której stało kilka emaliowanych garnków do gotowania zupy, wypełnionych po brzegi różnej wielkości diamentami.

Diament staje się rzeczywiście kosztowny dopiero po oszlifowaniu - nabiera wówczas istic królewskiego blasku. W stanie surowym, bez szlifowania diament wygląda bardziej niż skromnie. Powierzchnia jego jest chropowata, półprzezroczysta, pokryta jak gdyby prążkowaną korą o ołowianoszarym odcieniu. Diamenty mają różne zabarwienie: żółtawe, zielonkawe, niebieskawe, a nawet czarne. Oczywiście zawsze najbardziej ceni się kamienie zupełnie przezroczyste. Mimo niepozornego wyglądu zewnętrznego diament kryje w sobie - jak mówili starożytni - "ogień wewnętrzny", tj. niezwykłą właściwość załamania i rozpraszania promieni światła. Wiadomo, że gdy światło załamuje się w pryzmacie, następuje rozszczepienie go na barwy składowe: czerwoną, pomarańczową, żółtą, zieloną, niebieską i fioletową. Szlifowanie polega właśnie na tym, aby kamień składał się z jak największej ilości pryzmatów, które rozszczepiają białe światło przenikające do wnętrza brylantu. Czym większy diament, im bogatsza dzięki szlifowi kompozycja pryzmatów, tym bardziej tęczo i oślepiająco lśni kamień.

Następnie przeszliśmy do pomieszczenia, gdzie z pomocą komputera segregowano surowiec. Zdziwiło mnie bardzo, że to nie człowiek, a maszyna decyduje co z czego zrobić, bowiem komputer za pomocą specjalnej lupy określał szlif, a nawet wytyczał linie do skomplikowanego cięcia. Wnet zrozumiałem, że całe to szlifowanie nie jest artystycznym zajęciem, lecz masową produkcją bezdusznym brylantów. W tym wypadku fachowość skośnookiego szlifierza ograniczała się do zamocowania kamienia w specjalnym imaku... Przyznam, że byłem bardzo zawiedzony tą szlifiernią diamentów. Kiedy zapytałem przewodnika, kto jest odbiorcą tego wyrobu, ten bez entuzjazmu powiedziała Izrael. Kto wyposażył fabrykę we wszystkie urządzenia? - Izrael. Niech żyje Izrael! Później dowiedziałem się, że tylko w samym Jakucku jest aż dziesięć podobnych eksperymentalnych zakładów - niech więc żyje Izrael!

Właściwego olśnienia doznałem dopiero w magazynie wyrobów gotowych.

Wszystkie brylanty były zapakowane w specjalne etui, na których widniał napis, że diamenty zostały oszlifowane w Antwerpii... Niech żyje Izrael!!! Nie jestem, broń Boże, antysemitą, wręcz walczę z wszelkimi formami nacjonalizmu i pogardy dla drugiego człowieka, ale w tym wypadku sam widziałem - niezwykle pomysłowy to naród...

Na zakończenie poprosiłem o parę brylantów na pamiątkę... Tym razem nikt już się nie uśmiechnął, nie zrozumieli mojego dowcipu i patrząc na mnie jak na idiotę, powiedzieli tylko - *nie nada...*

Tego dnia po południu szwendałem się bez specjalnego celu po mieście. Opodal centrum, koło zabytkowej drewnianej wieży zobaczyłem stojący namiot cyrkowy. Ogromny napis głosił, że to nie zwykły cyrk, a prawdziwe warietes i do tego wstęp jest wolny, gdyż sam prezydent Nikołajew zapłacił swym poddanym za dzisiejszy występ. Dzięki ci, Panie - pomyślałem i wszedłem, skoro darmo...

Przedstawienie składało się z różnych numerów: akrobata balansował na drążku opartym na ramionach partnera; dwie gimnastyczki wirowały na trapezach Z taką szybkością, że z dołu sprawiały wrażenie zielonych amfor, choć ich cienie na kurtynie zachowały ludzki kształt. Tak urozmaiconego programu nie da się streścić w jednym zdaniu. Był też człowiek o odrażającej powierzchowności, który najpierw wykonywał akrobację, trzymając w zębach dwudziestokilogramowy ciężarek, a potem podnosił zębami trzy czy cztery masywne, związane ze sobą krzesła. Mnie, człowiekowi o bardzo kiepskim uzębieniu, nie podobało się to.

Najzabawniejsi byli rowerzyści: krążyli po scenie, opierając się tylko na tylnych kołach swoich wehikułów, po czym zjechali za kulisy na jakichś obręczach, zjechali bez pośpiechu i w dodatku grali na trąbkach. Jakuckie dzieci były zachwycone...

Potem występował zespół bałajek; tańczyli rosyjscy aktorzy; rysownik na dużej tablicy kreślił od ręki karykatury. Narysował komersanta, takiego nowobogackiego, potem okrutnik dorysował mu kratę... Śmiechu było co niemiara.

Poruszył mnie w tym warietes całkowity brak związku między poszczególnymi numerami, ale chyba na tym polega warietes. W Rosji istnieją dwie koncepcje sztuki: pierwsza polega na tym, że dzieło traktuje się jako okno na świat. Polega to na tym, że słowami i obrazami pragnie się wyrazić to, co leży poza słowami i obrazami. Twórców tego rodzaju można nazwać tłumaczami. Druga koncepcja sztuki - to traktowanie jej jako świata rzeczy samoistnych, czyli słowa, związki między słowami, myśli, ironia myśli, ich różnorodność są treścią sztuki. W obu przypadkach jeśli sztukę można porównać z oknem, to jedynie z narysowanym, gdyż wynika to z faktu, że tzw. momenty są już w tym czasie zużyte i wyeksploatowane. Jednakże podczas recenzji należy bacznie uważać, aby nie

skrzywdzić artysty czy autora, on i tak sam się skrzywdzi, ale to już jego sprawa.

Weźmy na przykład rodzimych artystów z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych - niszczą się sami, a właściwie po trochu my ich niszczymy, i to na różne sposoby. Najpierw ekonomicznie. Robią pieniądze... I tak na przykład piosenkarze tylko przypadkowo robią pieniądze, chociaż dobre piosenki zawsze je w końcu dają. Później, kiedy nasi piosenkarze zarobią trochę pieniędzy, podnoszą swoją stopę życiową i już w tym momencie są skończeni. Muszą śpiewać, żeby utrzymać dom, swoje żony czy mężów i tak dalej. Nawet nie wiedzą, od którego momentu zaczynają śpiewać szmirę. Śpiewają szmirę nie z rozmysłu, ale przez pośpiech, gdyż śpiewają wtedy, gdy nie mają już nic do zaśpiewania, albo kiedy im brak wody w studni... Są jednak przy tym straszliwie ambitni. Potem, kiedy już zdradzą sami siebie, usprawiedliwiają to i znów wychodzi szmira. Zdarza się często, że czytają krytyków. Jeżeli wierzą krytykom - kiedy ci mówią, że są wielcy - to muszą im wierzyć i wtedy, kiedy mówią im, że są do niczego, i wtedy jest już całkiem po nich - tracą bowiem ufność w siebie. Nie muszę dodawać, że podobnie sprawa ma się nie tylko z piosenkarzami, oni mi posłużyli tylko za przykład. W życiu bowiem jest tak, że raz się jest, potem prędzej czy później jest koniec. Byli wielcy i odeszli, i dziś pies z kulawą nogą o nich wspomni.

Po przedstawieniu spotkałem się ze znajomymi, którzy przed laty pomogli mi naprawić samochód. Nie byli już w komplecie, część z nich gryzła już ziemię. Cóż - takie ryzyko zawodowe - gdzie wielki pieniądz, tam i śmierć częściej zagląda. Sami zaś mówią, że trzeba od czasu do czasu pomyśleć o śmierci, żeby żyć lepiej...

Mafiosi bardzo się ucieszyli ze spotkania, najbardziej jednak cieszyli się z książki, w której o nich napisałem, żalowali tylko, że nie są na kolorowych fotografiach... Zapraszali mnie na daczę, lecz nie miałem tyle czasu, więc aby choć chwilę porozmawiać, zaprosili mnie na kolację do najdroższego w mieście lokalu.

Dziwne są ekskluzywne lokale w Jakucku. Sala zwyczajna jak stołówka zakładowa, betonowa posadzka, na ścianach wiszą stare fotografie. Czuć porządnie kuchnię. Słysząc przytłumione dźwięki bałajki. Skośnooki skrzypek popiskuje na dziwnych skrzypcach z wyciętymi dekami. Publiczność jest milcząco pijana. Przygasa na chwilę światło; wychodzi naga kobieta w czarnych pończochach i tańczy, niewprawnie poruszając ramionami; potem pojawia się druga, bez pończoch. Skrzypek obchodzi stoliki, zbiera pieniądze. Podchodzi do siedzącego w kącie posepnie pijanego człowieka; tamten coś do niego mówi i wręcza pieniądze. Skrzypek bierze swoje pozbawione piersi skrzypce i po chwili w powietrzu zawisa cieniutkie, cichutkie „Boże, Caria Chrani”. Teraz to bardzo modne - dawno nie słyszałem tego hymnu. Kobieta odtńczyła swoje, włożyła przygotowaną dość elegancką suknię i

usiadła przy sąsiednim stoliku, coś zaczęła jeść. Zwróciłem uwagę, że nawet umiała trzymać widelec, a umiejętność ta w Jakucji jest raczej mało powszechna.

Poszedłem do toalety, obsługiwała ją jakaś kobieta. Podsuwam jej papierosy, gdyż nie mam pieniędzy i wpatruję się w jej twarz. To ona przed chwilą tańczyła w pończochach, więc wszystko idzie składnie - wreszcie i tu dotarł szeroko rozumiany kapitalizm.

Moi mafiosi bardzo spowaźnieli - teraz są już szanowanymi biznesmenami. Szkoda, bo jeszcze kilka lat temu tak ładnie, głośno śpiewali. Teraz kultura: proszę, dziękuję, pan pozwoli... Jakoś dziwnie nie było o czym rozmawiać - pomyśleć, że to tylko cztery lata... Przed północą się rozstajemy, są uściski, lecz już nie tak szczere jak przed laty. Jakiś dziwny niesmak mam po dzisiejszym dniu. Co się dzieje? - trochę pieniędzy i już nie ma ludzi...

Brzegiem wzdłuż rzeki idę w kierunku portu. Mijam młodzież siedzącą na brzegu przy ogniskach. Siedzący pragnęli jak najszybciej schwytać życie, ale nie znali słów, myśleli, że kobietę można wziąć jak rzecz - za rączki. Czulem powietrze napelnione pragnieniami, pragnienia płynęły niebem nad rzeką, obłoki były pierzaste. Chcieli poznać życie pod różnymi postaciami, widać byli wśród nich i tacy, którzy aby przytulić w tańcu, potrafili przeciąć linię wysokiego napięcia... Młodzież pod każdą szerokością geograficzną jest zdania, że życie można przeżyć przy akompaniamencie gitary - ja też tak kiedyś myślałem.

Prawdę mówiąc, miałem już dość miasta, dość tej wykrzywionej jakuckiej cywilizacji, pomieszania folkloru, banału z wszechobecnym brudem i starymi japońskimi samochodami. W sumie mógłbym rano popłynąć dalej, lecz chciałem jeszcze nieco rozejrzeć się po mieście, odwiedzić szamana oraz zorganizować nieco żywności na dalszą drogę. Poza tym wypadało jeszcze dzień gościć u Wiktora, który proponował, abym był u niego przynajmniej miesiąc! Na razie dowlokłem się do „Amossowa”. Załoga jeszcze nie spała, wszyscy siedzieli w mesie i oglądali telewizję. Leciał jakiś portugalski tasiemiec beznadziejnie czytany po rosyjsku. Film był jak każdy tego typu - z tym że bez umiaru co chwilę przerywany reklamami. Pięć minut filmu - piętnaście reklamy!

Nijak do rzeczywistości mają się reklamy emitowane przez telewizję rosyjską. Pamiętam, że kiedyś krótko gościłem w syberyjskiej chacie, było to bodajże koło Kireńska. W izbie połączonej z kuchnią stał duży telewizor kolorowy. Reklamowano akurat jakiś tam płyn do mycia zlewów. Gospodyni, która akurat zajęta była przyrządzaniem kolacji, przerwała pracę, usiadła wygodnie i bacznie przyglądała się filmowym scenom. Na filmie reklamowym widać piękną, młodą, zadbaną gospodynię, kręcącą się po równie pięknej, czystej kuchni, w której tylko jakby przez przypadek zlew był bardzo brudny... Film oczywiście nakręcony był na Zachodzie. Później parę kropel cudownego płynu i zlew lśni jak nowy, lśni również uśmiech zadowolonej z płynu gospodyni... Dla oglądającej to kobiety

taki zlew to czysta abstrakcja, gdyż w domu nie miała nawet żeliwnego, jednak przez cały czas trwania reklamy jej uwaga była tak napięta, że nie słyszała nawet popłakujących z głodu dzieci.

Po emisji reklamy odruchowo spojrzałem na stół pełen przechadzających się much, spojrzałem na metalowe poobijane kubki i powyginane aluminiowe sztućce. Wreszcie spojrzałem na złotozębną zaniedbaną gospodynię i pomyślałem, że bardzo niedobrze się stało, że w tej części kraju Rosjanie mają odbiór satelitarny... Z drugiej strony efekt reklamy zapewniony, ponieważ gospodyni podczas najbliższego pobytu w mieście kupi owy cudowny płyn do czyszczenia zlewów, nie dlatego że ma brudny zlew, gdyż go w ogóle nie ma, ale dlatego, aby choć w mikronie utożsamić się z oglądaną przed chwilą sceną... Ludzie pod każdą szerokością geograficzną chcieliby bardzo żyć tak, jak pokazuje to telewizja.

Młodość, mercedesy i telefony komórkowe to najczęstsze rekwizyty współczesnych reklam. Lepiej przecież być młodym i bogatym, niż starym i biednym... Dlatego też dowolny produkt reklamowany w Rosji sprzedaje się nieźle. Jest to zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że przez wiele lat oczy i uszy Rosjan karmione były wyłącznie hasłami, których jedynym celem było sprzedanie miłości do partii i całego systemu komunistycznego.

Stare przysłowie mówi: Na dobrym winie nie ma etykiety. W Rosji jest odwrotnie. Tu uważa się, że na złym winie nie ma etykiety... Faktem jest, że w chwili obecnej Sybiracy są na etapie etykietek samoprzylepnych oraz kalkomanii - najchętniej naklejanej na meblach.

Głównym zadaniem reklam jest przytępienie systemu intelektualnej kontroli, który zawsze szwankuje, kiedy do głosu dochodzi libido, dlatego też twórcy reklam używają potężnego oręża, jakim jest seks. Reklama z seksem sprzedaje wszystko. Młode, na pół rozebrane panienki zachwalają od pasty do podłogi do wybielacza, który wyprał im porządnie gacie... Seksem polewa się wszystko, co jest na półkach sklepowych. Jednym słowem, seks przyklejony do dowolnego produktu sprzedaje się nieźle. Za przebój seksualnych prowokacji uważa się w Rosji telewizyjną reklamę batonów. Baton, jeżeli ktoś jest zorientowany w psychoanalizie, uchodzi za symbol falliczny. Niewykorzystanie tego oczywistego faktu w reklamie byłoby niewątpliwie grzechem głównym. Malowanymi ustami aktorki kojarzony ze smakiem rajy z jednej strony, a z drugiej z męskim przyrodzeniem, do którego wstająca z łóżka młoda żona zapłonęła nocnym pożądaniem i które zaspokaja głośnym „chrup - chrup”, doprowadzając się do jelitowej ekstazy... Tak więc baton stał się nowym symbolem w nowej reklamowej rzeczywistości. Dodać jednak trzeba, że owe reklamy trafiają do określonej grupy społecznej. Najczęściej kupują rzeczy z reklam neurotycy i osoby mające złe kontakty z płcią przeciwną, krótko mówiąc, załęknieni

kompleksiarze. Reklamy doskonale wykorzystują naturalną potrzebę bycia seksownym i kochanym. Myślę, że o wiele prościej byłoby napisać: Chcesz mieć orgazm? - popsikaj się dezodorantem „Fa”.

U nas w Polsce też pod tym względem nie lepiej. Króluje bezmyślność i aż pachnie głupotą. Ostatnio oglądałem jakiś program reklamowy, w którym występowała znana, niestety odstawiona już na bocznicę artystyczną piosenkarka. Występująca w charakterze gospodyni domowej, zachęcała potencjalnych idiotów do zakupu urządzenia służącego do suszenia ryb... Ogromnie jestem ciekaw, w którym polskim domu jada się suszoną rybę. Chciałbym również poznać nazwę dostępnego w Polsce gatunku nadającego się do suszenia. Mało bowiem kto wie, że z kilkuset gatunków ryb tylko niektóre się do tego nadają. Życzę smacznego wszystkim, którzy się nabrali...

Dzień zapowiadał się bardzo upalnie. Na „Amossowie” krzatali się już marynarze, przygotowując statek do kolejnego dnia pracy. Chcąc jak najszybciej „miasto” mieć z głowy, postanowiłem wcześniej wyjść na ląd i pozalać, co można, tak abym mógł jutro wyruszyć w dalszą podróż. Umówiłem się z kapitanem, że gdybym w trakcie dnia nie dosiadł się na przystani, to zobaczymy Psie dopiero wieczorem.

Dzisiejsze przedpołudnie postanowiłem spędzić duchowo, tzn. odwiedzić znajomego szamana, a tym samym dowiedzieć się nieco więcej o jego tajemnej mocy i tajnych praktykach religijnych.

Jakuck jeszcze spał - to normalne. W porze letniej życie w mieście toczy się do wczesnych godzin rannych. To nie chowające się za horyzont słońce ustala taki tryb życia. Przechodzę wąskimi błotnymi uliczkami dzielnicy portowej. Mijam stare, pochylone domostwa, powalone w ciszy, konające bez ruchu, bez dźwięku. Czuć ich starczy zapach, ich gorącą stęchliznę, woń błota i gnijącego drewna. Przebijam się przez niewidoczne, stale następujące po sobie ściany gorąca, wygląda na to, że dziś będzie żar nie z nieba, lecz pochodzący z piekła...

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jak gorąco może być na Syberii, bowiem kraina ta z reguły kojarzy się wszystkim z mrozem i śniegiem. Syberię okrywa legenda krainy wiecznych lodów. W rzeczywistości w niektórych lasach panuje temperatura umiarkowana, a nawet subtropikalna. Utkwiło mi w pamięci moje pierwsze spotkanie z tą upalną letnią aurą. Było to przed laty na południu Rosji. Kamienny upał. Wioski, ich białe dachy, rozpalona ziemia i martwa zieleń krzewów, nieruchomych, bezszelestnych. Pamiętam, jak któregoś dnia chowałem się pod drzewem, aby w jego cieniu znaleźć trochę chłodu. Pamiętam moje zdziwienie i przerażenie, które ogarnęło mnie wtedy, kiedy stanąłem już pod zieloną koroną drzewa, gdzie nie było ani odrobinę chłodniej. Stałem spocony w cieniu

pełnym suchego szelestu wyschniętych liści, który stawał się coraz głośniejszy wraz z narastającym gorącym wiatrem. Jak mogą tu żyć ludzie? - pomyślałem wtedy. Teraz już nieco przywykłem do warunków tu panujących i traktuję nieziemskie gorąco jako normalny składnik syberyjskiego lata.

Na miejsce dotarłem dopiero około dziesiątej, gdyż miałem niemało kłopotu ze znalezieniem miejsca zamieszkania szamana, bowiem cudotwórca mieszkał w dzielnicy zbudowanej dwieście lat temu i domy w tym uroczym zakątku nie miały już numerów - zżarła je po prostu rdza.

Chata szamana stała mocno pogrążona w ziemi. Jej okna dotykały ciągnącej się wśród domostw błotnistej ścieżki, kiedyś będącej zapewne chodnikiem. Zbutwiały dach, pochylony, szczerbaty parkan oraz gnijące wkoło drewno dopełniały scenerii zniszczenia i totalnego rozkładu. Czy dusza szamana też jest w podobnym stanie? - pytałem sam siebie.

Zastukałem w okno, lecz nikt mi nie odpowiedział. Furtka była uchylona, zaryta w ziemię - również jej, jak wszystkiemu wkoło, skończył się czas świetności. Wszedłem na podwórze. Kiedy znalazłem się w środku, stwierdziłem, że szaman nie mieszka sam. Przy jakiejś spróchniałej skrzyni, spełniającej rolę budy, uwiązany był stary kudłaty pies. Wyglądał gorzej niż żałośnie, aż dziw, że jeszcze tliło się w nim życie - widać było, że biedaczysko dogorywa z pragnienia i gorąca. Pies na mój widok uniósł nieco głowę, chcąc zaszczekać, ale panującą spiekota sprawiła, że z gardła, zamiast ostrzegawczego dźwięku, wydobywało się tylko krótkie przeraźliwe charczenie. Zrezygnowany opuścił głowę i teraz tylko na wpół otwartymi oczami przypatrywał się mojej osobie.

Stwierdziwszy, że ze strony szamańskiego psa nic mi nie grozi, podszedłem do drzwi i głośno zastukałem. Opowiedziała mi cisza, słychać było tylko dalekie odgłosy miasta oraz latające wkoło duże muchy. Zapukałem powtórnie, a ponieważ z chaty nie dobył się żaden dźwięk, pchnąłem niedomknięte drzwi i wszedłem do środka. W izbie panował półmrok spowodowany zaciągniętymi na okna brudnymi szczątkami zasłon. Na szczęście zasłony były stare i dziurawe, dzięki czemu do izby wpadało co nieco światła. W całym domu pachniało stęchlizną, dymem papierosowym, a przede wszystkim wyziewem nie przetrawionego jeszcze alkoholu - smród był godzien poważnej meliny. Po chwili wzrok przyzwyczał się do mroku i ujrzałem szamana. Leżał na budowli składającej się ze starych skrzyń, tak przemyślnie ułożonych, że zastępowały mu łóżko. Widok ten nie zdziwił mnie wcale, wiadomo bowiem było mi, że asceci, eremici oraz inni wielcy tego świata żyją w spartańskich warunkach, w ogóle nie przywiązując wagi do życia doczesnego. W pomieszczeniu oprócz ascetycznego łoża znajdowała się również ascetyczna szafa. Szafa była wiekowa i nie posiadała już zawiasów. Ich miejsce pomysłowy szaman zastąpił metalową

taśmą, którą przybił do politory kilkucalowymi gwoździami. Chyba było to dawno temu, gdyż artystycznie pozaginane gwoździe porządnie już zardzewiały. Pod oknem na szerokim parapecie stały jakieś skrzynki z ziemią, co mogło oznaczać, że szaman hodował w nich jakieś cudowne zioła potrzebne mu do jego tajemnych praktyk. Skrzynie były puste, domyśliłem się więc, że nie nadszedł jeszcze czas siewu. Po środku izby stał duży drewniany stół, na którym gromadnie przechadzały się muchy, zainteresowane resztkami wczorajszej - zapewne świętej - biesiady. Możliwe, że właśnie wczoraj gościł tu „czarny szaman” i właśnie wczoraj między nimi dwojga doszło do historycznego porozumienia, oznaczającego, że nie będzie już więcej zła na tej ziemi... Koło szamańskiego łoża zauważyłem walające się po podłodze czcigodne szaty, a wśród nich cudowną świętą różdżkę obrzędową, wykonaną z pięknego, końskiego ogona. Nieświadome profanacji muchy spacerowały po niej tam i z powrotem. Muchy to straszne świnię, za nic bowiem mają wszelkie świętości i na każdym kroku obrażają czyjeś uczucia religijne. Byłem właśnie świadkiem, jak wielka czarna mucha wylądowała na czole szamana... Niespiesznie, jakby niezdecydowana, przemaszerowała w dół i zatrzymała się przy szamańskiej dziurce w nosie. Później chyba upiła się szamańskim wyziewem, bo zaczęła kręcić się w koło, co chwila przystawała i z nie ukrywaną radością zacierała swe obrzydliwe przednie łapki. Wreszcie odleciała - widać było, że z trudem odnajduje drogę na sufit...

Chrząknąłem, aby obudzić szamana, lecz bez rezultatu. Leżał dalej pogrążony w śnie i strasznie ciężko oddychał. Początkowo skłonny byłem sądzić, że znajduje się on w jakimś szamańskim transie, ale wydobywające się z szamana opary gorzały utwierdziły mnie w przekonaniu, że to zwykły pijacki sen. Parokrotnie jeszcze próbowałem przywrócić szamana do życia - niestety bez skutku. Raz tylko na chwilę otworzył swoje mądre oczy i popatrzył na mnie. Niestety, pomimo malującego się wysiłku na twarzy, nie zrozumiał, gdzie jest i co się wkoło dzieje.

Podreptałem w kierunku portu. Idąc pomyślałem, że niewiele dowiedziałem się o tajemniczych obrzędach szamańskich, ale za to byłem pewien, że nie jest grzechem od czasu do czasu w tajemnych celach napić się alkoholu...

Dziś ostatni wieczór w Jakucku. Wiktor już zapowiedział, że wcześniej schodzi na ląd. Skądinąd wiem, że nie przeszedł jeszcze na chrześcijaństwo, więc będzie chciał dzisiaj w celach tajemnych napić się gorzały... Cóż, to jest rosyjska tradycja, a bez tradycji człowiek podobno żyć nie może.

Są miejsca, gdzie pierwotne piękno przeradza się w okrucieństwo. Miejsca, gdzie kończy się władza człowieka, miejsca, w których ludzie są bezsilni wobec potęgi przyrody. To dolna Lena - zimno, bezludzie, okrutna, bezwzględna matka natura. Tu trzeba być

ostrożnym, przemyśleć każdy krok, przede wszystkim się nie spieszyć, bowiem w życiu człowieka pośpiech rozbija naturalną zależność pomiędzy drogą do celu a celem. Raz osiągnięty cel - jakkolwiek by on był - nie ma innej wartości niż wartość drogi przebytej dla jego osiągnięcia, a człowiek spieszący się nie osiągnie nigdy celu, ponieważ nie doświadcza dróg, które do niego prowadzą. Spieszący się przemierza w nieskończoność bezkresną pustynię. Pod jego spojrzeniem wszystko obraca się w piasek, tak że w swojej szalonej gonitwie, pozbawiony jakiegokolwiek punktu oparcia, właściwie stoi w miejscu... A ja zamierzałem powrócić cały do domu.

Mijam ostatnie dzielnice Jakucka: Marchę i Zataj ze swoją wielką stoczną rzeczną. Tutaj Lena szerokim korytem ostro zakręca w prawo. Jestem szczęśliwy, jest mi wręcz wesoło. Jeszcze tylko tysiąc siedemset kilometrów i już do domu... Z zadowoleniem patrzę na zapas żywności, który dostałem od przyjaciół. Jest tu kilka puszek skondensowanego mleka, trochę kartofli, pięć świeżych chlebów oraz torba sucharów. Są też delikatesy: słoje marmolady oraz poważny zapas herbaty, soli i cukru. - Rybę sam sobie złapiesz - śmiali się, kiedy mnie odprowadzali.

Brzeg przesuwa się szybko, prędkość wręcz kosmiczna - na oko około ośmiu kilometrów na godzinę. Mijam ostatnie zabudowania miasta, domy z każdą chwilą stają się mniejsze, aż wreszcie wtapiają się w linię brzegową. Jestem na powrót w dziczy! Połykam świeże powietrze z uczuciem, że całe ciało wypełnia mi się czystą lodowatą wodą, płynącą aż z Gór Bajkalskich... Z lekkim niepokojem patrzę na północ, podobno błędzą tam kapitanowie z trzydziestoletnim stażem... Prawdą jest, że w Jakucku odradzano mi tę podróż. - Tam już nie rzeka, tam morze - powiadali. Zapewne mieli rację, lecz nie rozumieli, że z powodu braku pieniędzy nie mam innej drogi do domu. Zresztą nie będzie tak źle, na początku podróży w Irkucku też mówiono, że nikt nie potrafi przeżyć na Syberii w pojedynkę. A ja wiem, że potrafi. Potrafi, panowie.

Poniżej Jakucka charakter rzeki zmienia się znacząco. Rzeka wypływa na obszerną nizinę. Jej szesnastokilometrowe koryto dzieli się na mnóstwo dopływów tworzących olbrzymie wyspy. Wyspa od wyspy różni się tylko ilością powalonych drzew i moczających się w wodzie koron - są po prostu takie same. Miejscami rzeka jest już tak szeroka, że przy słabej widoczności nie widzę już skrawka lądu i gdyby nie bystry nurt, myślałbym że znajduję się gdzieś na oceanie. Nie sposób

dostrzec jakkolwiek miejscowość, choć są wyraźnie zaznaczone na mapie, też nie jestem pewien, czy widoczny skrawek lądu jest brzegiem rzeki, czy też wyspą. Płynę w pewnym sensie po omacku, wierząc w to, że nurt i tak niesie mnie we właściwym kierunku. Następne skupisko ludzkie to miejscowość Sangar. Myślę, że w przeciągu czterech dni tam

dopłynę. Osada leży na prawym brzegu, staram się więc płynąć prawą stroną rzeki.

Zauważam ścielący się po koronach drzew dym - gdzieś daleko stąd plonie tajga. Nie jest to coś niezwykłego, bowiem na Syberii rokrocznie pali się las. Wiktor opowiadał, że parę lat wcześniej dym rozpościerał się wzdłuż rzeki od Ust - Kut do Jakucka, czyli prawie trzy tysiące kilometrów. Wspominał, że dym ten niczym mgła sparaliżował kompletnie żeglugę i statki chcąc nie chcąc stały na kotwicach.

Często zastanawiałem się, skąd bierze się ogień na tych odludziach? Kto go zaprósza? Dopiero później wyjaśniono mi, że tak właściwie to tajga zapala się sama z siebie - tak zwany samozapłon. Latem, gdy promienie słoneczne są bardzo intensywne, pod pewnym gatunkiem mchu następuje proces biochemiczny, w wyniku którego powstaje gaz palny. Oczywiście nie występuje on w takich ilościach i pod takim ciśnieniem, aby eksplodował, ale w pewnych warunkach zbiera się go pod mchem bardzo dużo. Pod wpływem ciśnienia mech pęcznieje niczym balon, wówczas wystarcza jedna duża kropla deszczu lub szyszka strącona przez wiewiórkę, aby gaz wydostał się na zewnątrz. Właśnie gwałtowne połączenie tego gazu z powietrzem powoduje reakcję, w wyniku której powstaje ogień.

Po prawej i lewej strome brzegi porośnięte modrzewiem. Drzewa z trudem trzymają się zbocza, mimo to jakimś cudem rosną zawsze prosto w górę, jak świece, z których nie kapie воск. Swoją drogą, dziwnie układa się tu drzewostan. Przed Jakuckiem widać było sporo sosny i modrzewia, w samym Jakucku tylko iwy, za Jakuckiem znów sosny i modrzewie, jednak z przewagą tych ostatnich. Czyżby w Jakucku wycięli wszystkie drzewa?

Na lewym brzegu miejscowość Namcy. Niestety, nie widać jej z rzeki i gdybym nie zauważył królującej nad wsią wielkiej anteny telewizyjnej, to nie wiedziałbym wcale, że minąłem jakąś miejscowość. Spokojnie tu i cicho, tylko plusk wody, zielone wyspy i ptaki szybujące po niebie. Przede mną wielkie, ciągnące się kilometrami piaszczyste łachy. Trzeba uważać, gdyż są bardzo zdradliwe, gdy się po nich stąpa. Szczególnie niebezpieczne są ich krańce obmyte wodą. Raz chciałem pospacerować po żółtym ciepłym piasku, podpłynąłem więc i wysiadając postawiłem nogę na brzegu. W efekcie nie zdążyłem postawić drugiej, ziemia się zapadła i pół piaszczystej wyspy wraz ze mną odpłynęło w dół rzeki. Po chwili piasek opadł na dno i nie było po wyspie już śladu. Szybki nurt przemieszcza olbrzymie ilości piasku, tworząc piaszkowe wyspy. Aby jednak mogły się one utrzymać, konieczna jest roślinność; gdy jej nie ma, to prędzej czy później pękną pod własnym ciężarem i w rezultacie się rozmyją.

Po południu wiatr zmienił kierunek i dymy z pożaru zalegające nad tajgą szybko się rozeszły, powietrze na powrót stało się klarowne.

Ciekaw byłem dalszych przygód. To że będą, nie ulegało wątpliwości, pytanie było tylko, czy wszystkie szczęśliwie się zakończą. Wiedziałem, że to co robię, jest wielkim wyzwaniem. Płynę na „koniec świata”, nie mam zapasu żywności, nie mam broni ani pieniędzy - zresztą te ostatnie w tym miejscu na nic by się zdały. Zdawałem sobie sprawę, że od tej chwili mogłem liczyć tylko na siebie. Byłem świadom, że jeśli mi się coś przytrafi, to nikt nawet się o tym nie dowie - tu nie odnajduje się ciała... Z drugiej strony wiem, że chyba nigdy nie wyzbędę się pociągu do bardziej zielonych pastwisk, jaśniejszych światła, piękniejszych miejsc, w których jeszcze mnie nie było. Czemu więc się bać, martwić się na zapas? Cieszę się każdą chwilą - po prostu cieszę się życiem.

Pogrążony w myślach nawet nie spostrzegłem, że zbliża się już wieczór. Skierowałem więc ponton ku najbliższemu piaszczystemu brzegowi, który zapewne był wyspą. Piszę „zapewne”, gdyż nigdy do końca nie byłem pewien, czy widoczny, ciągnący się kilometrami piaszczysty brzeg to stały ląd, czy też uformowana przez silny nurt wody ciągnąca się kilometrami, porośnięta tajgą wyspa.

Rozbiłem namiot, rozpałem ogień i usiadłem, patrząc na rzekę. Trochę dokuczały mi komary, więc aby je spłoszyć dorzuciłem do ognia nieco trawy i zielonych gałązek, powstał dym i przez dłuższy czas miałem spokój. Wkoło panowała błoga cisza, tylko zielone gałęzie trochę w ogniu skwierczały. Obudził się lekki wiaterek, powietrze napełniło się niepowtarzalną wonią lasu, o zupełnie innym zapachu niż ten, który wydzielają drzewa... Czulem przyjemne znużenie, nie broniłem się i po chwili obraz mi się rozmył. Ocknąłem się dopiero, kiedy ogień całkiem wygasł. Zadowolony, że jeszcze cała noc przede mną, z radością powlokłem się do namiotu. Noc była nad podziw ciepła, więc nawet nie przykrywałem się śpiworem.

Obudziłem się nad ranem. Na dworze nie można długo spać, bo poranki są chłodniejsze niż wieczory, a powietrze dużo ostrzejsze i powiedziałbym - bardziej przenikliwe. Po chwili słońce wyjrzało zza drzew i oświetliło szary dotychczas brzeg. Również rzeka zmieniała barwę, teraz w zależności od tego pod jakim kątem padało na nią światło, połyskiwała i mieniła się na przemian kolorami srebra i zieleni. Zgodnie z zasadą, że nie należy się spieszyć - dziś nie było mi nigdzie spieszenie. Rozpałem ogień, zwinąłem namiot, postawiłem garnek z wodą na ogniu i poszedłem na brzeg. Wyciągnąłem się na białym piasku. Był już przyjemnie nagrany, ale jeszcze niegorący. Dopiero kiedy wwierciłem palec głęboko pod jego powierzchnię, poczułem jak chłodna była noc.

Przed południem rzeka przypominała mi, gdzie jest moje miejsce w tym szeregu... Dopiero niedawno żółtozielonkawa woda łagodnie srebrzyła się i igrała pod promieniami nisko wiszącego słońca, a nagle nie wiadomo skąd napłynęła gęsta jak wata mgła. W chwilę

później nadleciał szalony wiatr, wzniecił falę i mgła rozrzedziła się. Fale rzucały pontonem, bawiąc się nim jak łupiną. Wreszcie wiatr przycichł i choć po rzece hulały jeszcze duże fale, to wiedziałem, że niebawem się uspokoją. Co to było? To był cyklon zrodzony w Arktyce - wiedziałem, że tu, na Północy to rzecz normalna, tu zmiany pogody następują w ciągu kilku minut.

Do ujścia Ałdanu pozostało około czterdziestu kilometrów, dopłynę więc tam jeszcze przed wieczorem. Poniekąd znam Ałdan, może nie tak dobrze jak Lenę, i ale jest mi ta rzeka znajoma, gdyż przed czterema laty spędziłem nad nią kilka ładnych tygodni. Właśnie nad Ałdanem, jakieś pięćset kilometrów stąd utknęła moja podróż samochodowa przez Syberię do Nowego Jorku. Właśnie tam Wiktor, kapitan „Amossowa”, wówczas szwyzer na holowniku, podjął mój samochód na barkę i przetransportował w górę rzeki. Oj, działo się tam, działo! Teraz okres ten wspominam jako najpiękniejszy, żałuję nawet, że nie mogę odwiedzić mojego jakuckiego przyjaciela Siergieja - dźwigowego, z którym sporo czasu spędziłem na brzegu rzeki.

Po prawej stały brzeg i rosnąca na nim modrzewiowo - brzoźowa tajga. Spiczaste czuby modrzewi wyraźnie rysują się na tle niebieskiego nieba, po lewej liczne wyspy porośnięte iwami. W chwili obecnej właśnie roślinność mówi mi o tym, co jest wyspą, a co stałym brzegiem. Na wyspach iwy, na brzegach tajga. Później na powrót będzie to trudne do odróżnienia, bowiem zarówno na lądzie, jak i na wyspach rosnąć będzie gęsta jakucka tajga.

Ałdan wpływa do Leny trzema potokami. Naprzeciw ujścia wielka wyspa porośnięta drzewami. Nie wiem dokładnie, jak szeroka jest w tym miejscu Lena pewien jednak jestem, że ma więcej niż dwadzieścia kilometrów. Przyznam, że te wielkości nieco mnie przygniatają. Co będzie dalej?

Wieczorem przepływam koło miejscowości Batamaj leżącej na prawym brzegu. Osada położona jest na wysokim stoku i wygląda bardzo malowniczo, domy bowiem wybudowano tu jeden nad drugim, na specjalnych tarasach. W dole zabudowania sowchozu, prowizoryczny port oraz kanał pozwalający wypłynąć w dół rzeki. Niestety, kanał ten dojrzałem za późno, w przeciwnym wypadku na pewno zajrzałbym do wioski. Za wioską rzeka rozlewa się jeszcze szerzej.

Lewy piaszczysty brzeg jest teraz tylko cienką żółtą kreseczką, oddzielającą niebo od wody, prawy pionowo wznosi się do góry i przez kilkanaście kilometrów tworzy niedostępną stromiznę. Płynę szybko w dół niesiony silnym nurtem, to niewyobrażalna poruszająca się masa wody.

Na horyzoncie zamajaczyły Góry Wierchojańskie. Początkowo były blado -

niebieskie z żółtawym odcieniem w żlebach, potem zaczęły rosnać i nabierały wyrazistych barw o wszelkich odcieniach skał, drzew, porostów i cieni. Powietrze było czyste i przez to góry wydawały się dużo bliższe, niż były w rzeczywistości. Coś jest za tymi górami, idź zobacz - chyba takie motto mieli dawni odkrywcy. Myślę, że to krajobraz był ich siłą, która pchała ich w dal...

Od tej chwili Wierchojany³³ będą się ciągnęły wzdłuż prawego brzegu praktycznie aż do Morza Arktycznego, raz przy samym brzegu, raz nieco oddalone od niego.

Czym dalej na północ, tym dzień dłuższy. Jest już grubo po dziesiątej wieczorem, a tu słońce stoi wysoko nad horyzontem jak gdyby nigdy nic. Dopiero około północy zaczęło powoli chować się za szczyty oddalonych Wierchojanów. Niebo długo czerwieniało, gdy na dalekim północnym wschodzie wystrzeliły pierwsze zorze pomarańczowej barwy. Po chwili wszystkie obłoki na niebie płonęły. Wreszcie zjawilo się słońce. Wszystko trwało dwadzieścia minut, w ciągu których słońce zaszło i wyszło z za horyzontu ponownie. Oczywiście cały czas było widno.

Dzisiejszą jasną noc spędzę na pontonie - zdążyłem pomyśleć, kiedy w chwilę później daleko przede mną wyłoniła się wielka góra. Domyśliłem się, że to Sangar. - święta góra Jakutów. Według starych wierzeń jakuckich przebywają na niej duchy tajgi i tundry, dobre i złe. Na szczycie podobno znajduje się jezioro, w którym się kąpią... O górze oraz miejscowości o tej samej nazwie leżącej u jej stóp opowiadano mi już w Jakucku. Według zakorzenionej od wieków tradycji, myśliwi oraz pasterze spotykają się jesienią u podnóża góry, aby złożyć duchom ofiarę za obfite polowanie i nakarmione stada. Dawniej zarzynano w ofierze co piękniejsze okazy bydła, teraz ogranicza się do składania *lendyczek*, czyli kawałków f kolorowych tkanin, ewentualnie skórki niebieskiego lisa lub gronostaja.

Sangar - Chaja w tłumaczeniu oznacza śpiewającą górę. Podobno na jednym ze stoków znajdują się czarne skały, a w nich otwory, przez które złe duchy wychodzą na ziemię, by krzywdzić ludzi. Ze też Jakutom nie wpadło do głowy, aby te dziury po prostu zalać betonem...

Miejscowość Sangar to osada zdecydowanie nieprzytulna i niechlujna. Kiedyś wydobywano tu węgiel kamienny. Do dziś jego resztki leżą w pobliżu olbrzymiego taśmociągu, który transportował urobek nad rzekę. Za czasów pierestrojki kopalnię zamknięto, gdyż była nierentowna jak wszystko w tym kraju. Ludzie stracili pracę, a osada swoją tożsamość. Trudno określić, czym jest teraz Sangar. Ni to miasto, ni to wieś, miejscowość raczej przypomina biwak, gdzie przenoszący się z miejsca na miejsce koczownicy zatrzymywali się, aby przeczekać niepogodę życia. Wszyscy utknęli tu w oczekiwaniu na sygnał do dalszej wędrówki, zdawałoby się, nigdy nie zapuścili tu korzeni,

nie martwili się o sprawy codzienne i nie urządzali się z myślą o dzieciach i wnukach; byle tylko jakoś spędzić lato i przetrwać zimę. Tymczasem dzieci rodziły się, wyrastały i sprawiały sobie własne dzieci, a obok zamieszkanego „obozowiska” rozrosło się drugie, gdzie wszyscy przenosili się na wieki... Ale do dziś wszyscy uważają, że Sangar to tylko przystanek - zarobić i gdzie indziej ułożyć sobie życie. Jeszcze czekają, łudząc się, że kopalnia na powrót ruszy. Teraz wegetują i nie mają nawet pieniędzy, aby się stąd gdziekolwiek ruszyć. Cóż pozostało - pozostały wspomnienia...

Kiedyś na ulicach Sangaru pachniało smołą. Wszystko było tu drewniane: domy, płoty, jezdnie i chodniki. Kamienia w okolicy nie ma, na przywożenie jest za daleko, a budowanie z cegły jest i drogie, i zbyt skomplikowane. Chodniki i jezdnie lśniły żółtym odcieniem jak wyszorowane na święta podłogi w domu. Na ulicy zabronione było palenie papierosów, gdyż było to niebezpieczne; od nieostrożnie rzuconego niedopałka mogła zapalić się jezdnia, a od niej cała wieś. Czegóż tu nie było: sklepy, domy towarowe, kina i teatry. Nawet lotnisko tu było i własny browar. Zarabiano się trzy razy tyle co w Moskwie, dla pracujących na Północy były specjalne honory i uposażenia. Chcący szybko się czegoś dorobić zjeżdżali tu z najdalszych zakątków ZSRR, nawet z Białorusi i Ukrainy. I rzeczywiście, ci, którzy w dobrych sowieckich czasach tu pracowali, oszczędzali, nie pili, szybko się dorabiali, każdy z nich w rok zapracował na samochód. Jednak tych było mało, bo do dziś panuje tu głupie przekonanie, że kto nie pije, ten nie Ruski... Teraz ci nieoszczędni, nie mając pieniędzy, zostali tu, na Północy, żyją w wybudowanym przez swoje postępowanie więzieniu, nie mając nic innego do roboty, piją, a potem skacowani siedzą przed domami i opędzają się przed gryzącymi komarami. Nie mają pieniędzy, aby zaleczyć kaca, więc piją klej zmieszany z solą, gdyż ta ostatnia wytrąca zeń spirytus. Swoją drogą, tu, na Północ przyjeżdżał specjalny gatunek ludzki - w większości nieudaczników, którzy wcześniej w swoich miejscach zamieszkania przepijali wszystko, później chcieli w krótkim czasie wszystko odrobić, ale znów im nie wyszło - choć tak naprawdę mieli tu szansę. Teraz szwendają się po osadzie, a że wszystkie ulice schodzą się w pobliżu portu, nad rzeką jest najgwarniej. W porcie stoją łodzie i pomnik lotnika, który ileś lat temu zakończył żywot, uderzając samolotem w pobliską górę. Wrak maszyny do dzisiaj sterczy wbity w zbocze. Patrząc na to wszystko dochodzi się do wniosku, że niestraszna jest sama bieda, ale stopniowe, systematyczne dochodzenie do niej, powolne, nieuchronne staczenie się. Szkoda tylko marnującego się tu ludzkiego życia. Życie jest jak wagon kolejowy... Wagon pędzi w dal i życie pędzi w dal. Tylko że wagon jest

kolejowy, a życie jest ludzkie. Wagon - kiedy jest na bocznym torze - nie szarpie, a człowiek odstawiony na boczny tor szarpie się bardzo w sobie... Tacy ludzie to wspinała

pożywką dla rozmaitych oszołomów politycznych. W epoce pełnej hysterii i strachu gromkie słowa, niezależnie od tego, czy padają z prawa, czy lewa, są chętnie przyjmowane przez masy. Ludzie dają im wiarę, byle tylko uwolnić się od ciężaru myślenia i obarczającej ich osobistej odpowiedzialności, której się obawiają i której uniknąć nie mogą. W końcu ślepo szukają ratunku w jakimś jednoosobowym przywództwie, mając nadzieję, że właśnie ten jeden człowiek, ten polityk sprawi, że odmieni się ich nędzne życie. Niestety, jak dowodzi historia, nigdy tak się nie stało.

Nie zagrzałem długo miejsca w Sangarze. Po dwóch godzinach byłem już ponownie na rzece. Czułem jakiś niesmak, autentycznie żał było mi tych ludzi. Po godzinie widziałem jeszcze Sangar. Jakże pięknie wyglądał z daleka: góry, woda, las, czyste niebo i piaszczyste brzegi...

Im dalej na północ, tym szersza staje się rzeka, tym więcej wchłania w siebie dopływów, które po przedarciu się przez tajgę krętymi serpentynami przytulają się do niej niczym zabłąkane dzieci. Ona zaś przyjmuje je do swej wielkiej, obfitej w wodę rodziny. Lena za Sangarem jest bardzo szeroka, ale to jeszcze nie szczyt jej możliwości. Sto kilometrów dalej, tuż za ujściem rzeki Wiluj rozlewa się na szerokość pięćdziesięciu kilometrów! Odcinek ten oficjalnie według locji nazwany jest „odcinkiem czterdziestu wysp”. Rozpoczyna się tuż za ujściem Wiluja, kończy sto kilometrów dalej, w pobliżu osady Bestiach. Jakuci powiadają, że tak właściwie to w tym miejscu jest czterysta wysp... Ale bez przesady, zostańmy przy nazwie geograficznej, choć tak naprawdę dziecko widzi, że wysp jest więcej niż tylko czterdzieści. Faktem jednak było, że już nie płynąłem rzeką - a morzem z rozsianymi w bezkresie wyspami.

Krajobraz kilometrami utrzymuje się taki sam. Po prawej Góry Wierchojańskie, po lewej niziny omotane oparami. Zbocza gór są trawiaste, dalekie ich szczyty pokryte wiecznym lodem. Nurt niesie mnie różnymi szerokimi korytarzami, wymijając zadrzewione wyspy i piaszczyste łachy. Tu dopiero widać, że Lena jest jedną z największych rzek świata. Wrażenie ogromu potęguje fakt, że nigdzie na brzegach nie zobaczy się śladu osady. Później góry oddaliły się od rzeki i po godzinie już nie wiedziałem, gdzie znajdują się brzegi. Wokół była tylko woda!

W chwilę później, wysoko nade mną zły wiatr odniósł zwycięstwo nad dobrym. Dobry południowy: rozigrany, promienny i radosny, drugi północny: posępny, smutny, niezdrowy i zły, zawsze w towarzystwie nieodłącznych sprzymierzeńców: niskich, czarnych chmur. Całe niebo jest ciemne, smutne, złowrogie. Spokojna dotychczas rzeka zamieniła się teraz w wielkie kłębowisko spienionych nieregularnych fal. Wydawało mi się, że z każdą chwilą wiatr przybiera na sile.

Ponton ciężko przewalał się z fali na fale, aż wiatr się na tyle wzmógł, że nie dałem już rady ustawiać go wiosłami dziobem do fali, podskakiwał teraz jak piłka pingpongowa na stole do gry. Pomyślałem, że wkrótce stanę się tylko rzeczą na dnie rzeki. Nie mając wyjścia, złożyłem wiosła, starając się zachować równowagę ukląknę, zapierając się rękoma o burty. Sztorm szalał, trwało to dosyć długo. Po chwili zauważyłem, że znajduję się w pobliżu niedużej wysepki gęsto porośniętej iwami. Wysepka była całkowicie zalana wodą, lecz wystające ponad powierzchnię wody drzewa wydawały się dobrym schronieniem. Ponownie wiosła w dłonie. Walcząc z wiatrem i falą, skierowałem ponton w kierunku wyspy, ustawiłem się po stronie zawietrznej, po czym gnany wiatrem i falą z impetem wpłynąłem między zielone korony drzew. Czepiając się gałęzi, wciągnąłem się w środek tej zielonej oazy, gdzie fale nie miały już tak rażącej siły. Po kilkunastu minutach byłem już w miarę bezpieczny, przywiązałem łódkę do gałęzi, ułożyłem się wygodnie i jak w kołysce przeczekałem sztorm.

Kolejnym razem miałem troszeczkę mniej szczęścia. Znajdowałem się jeszcze na wspomnianym „odcinku czterdziestu wysp”, kiedy pod wieczór zniecka rozpętała się burza.

Z pogodnego przed chwilą nieba z nieprawdopodobną szybkością runęły na rzekę tony deszczu niesione wiatrem z przełęczy ciągnących się wzdłuż gór. Kapryśny wiatr co chwila zmieniał kierunek, deszcz zamienił się w grad, niebo zasnuło się czarnymi chmurami. Fala utworzona przez wiatr dochodziła do paru metrów wysokości - jak okiem sięgnąć widać było tylko biel łamiących się grzywaczy. Zdałem sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, bo cóż w tym momencie znaczyła moja łupina napełniona powietrzem. Gdy nie powiodły się próby ustawienia dziobu pod fale, zrozumiałem, że dalsze robienie jakichkolwiek małych ruchów pogarsza tylko i tak złą sytuację. Wyciągnąłem czym prędzej wiosła z wody, wyrzuciłem za burtę to, co wydawało mi się najcięższe, po czym położyłem się na dnie pontonu i nakryłem szczelnie pokrowcem. Leżałem teraz uwięziony, a wkoło srożył się sztorm i wszystko w tym momencie stało się nieważne. Nie miałem już żadnych kłopotów, interesowało mnie tylko zachowanie ciągłości życia. Po godzinie ustał opad, ale wiatr, jak mi się wydawało, jeszcze bardziej przybrał na sile i nic nie wskazywało na to, że rychło się uspokoi. To był prawdziwy horror. Pamiętam, że przestałem już wierzyć, że cało wyjdę z tej przygody. Sztorm trwał wieki - przeleżałem na dnie łodzi trzydzieści osiem godzin!

Później wszystko ustało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Odsloniłem zakrywający ponton pokrowiec i zobaczyłem niebieskie niebo. Wysoko nade mną wiatr mlił chmury i wyrzucał za siebie mąkę obłoków. W tym momencie zrozumiałem, że

urodziłem się na nowo... Usiadłem i rozejrzałem się wkoło, po prawej bezkres wody, po lewej kędzierzawa czupryna tajgi. Odkryłem porażające piękno świata...

Dobilem do brzegu tuż przy maleńkim potoku i wkroczyłem do milczącego lasu. Pamiętam niezmaconą żadnym dźwiękiem ciszę. Nie było widać żadnego ptaka, żadnego stworzenia. Wydawało się, że nawet woda w Lenie płynęła spokojniej. Rozprostowałem kości i zacząłem wynosić z pontonu trochę rzeczy, które będą mi potrzebne. Przy okazji sprawdzałem, co zostało po sztormie, po tym jak ze strachu wyrzucałem na oślep co cięższe rzeczy. Już na początku ze smutkiem stwierdziłem, że nie ma słoja z marmoladą; nie wiem natomiast, dlaczego została w łodzi łopata...

W potoku była doskonała woda. Chłodna i czysta, zauważyłem w niej ryby. Byłem wykończony do tego stopnia, że nawet nie rozpałałem ogniska, marzyłem tylko o śnie. Namiot rozbiłem w miejscu, z którego słychać było potok na tyle, żeby człowiek mógł delektować się snem aż do bólu. Położyłem się tak jak stałem, chyba tylko zdjąłem buty. Przez chwilę słyszałem jeszcze tylko wodę uderzającą miarowo o brzeg oraz daleki głos kruka. Wszystko dzwoniło w powietrzu niczym dzwonki wiejskiego kościółka.

Obudziło mnie targanie namiotem i zawroźnienie wiatru. Uderzenia wichury niemilosernie szarpały namiotem. Uniosłem niespokojnie głowę i uważnie wsłuchiwałem się w przybierający z każdą chwilą na sile wiatr. Nie byłem w stanie określić, jaka była pora dnia, gdyż podczas snu stanął mi zegarek. Wychyliłem się na zewnątrz i zobaczyłem spienioną rzekę i uginające się od wiatru drzewa - był to kolejny huragan z północy.

Wybiegłem zobaczyć, czy przypadkiem wiatr nie porwał pontonu; na szczęście był na miejscu. Nakryłem wszystko pokrowcem, sprawdziłem wiązania i kuląc się pod naporem wiatru pędem, wróciłem do namiotu. Namiot zapewniał świetne schronienie, a ciepły śpiwór kusił, aby ponownie się w niego zagrzebać. Przyznam, że nie bronilem się, zresztą po ostatnich bezsennych nocach czułem się nieco połamany, nawet nie odczuwałem głodu. Po chwili już byłem na powrót przykryty po nos, pomyślałem też, że dobrze, że nie jestem teraz na rzece.

Kiedy obudziłem się ponownie, nie łopotało już tak namiotem, niemniej wiało jeszcze porządnie. W dalszym ciągu nie miałem pojęcia, która jest godzina. Czy jest noc, czy dzień. W namiocie było mrocznie, więc wiedziałem, że niebo jest zachmurzone, niemniej wychyliłem głowę z namiotu w nadziei, że zobaczę choćby cień słońca za chmurami. Niestety, niebo było pokryte ciemną, gęstą powłoką chmur, więc w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, która jest godzina, czy jest noc, czy dzień. Rzeka przedstawiała jedną wielką kipieli. Nieregularne wielkie fale przewalały się jedna przez drugą, z impetem uderzając o brzeg. Nakryty pokrowcem ponton ociekał wodą z piaskiem, nie wiem, jakby

wyglądało jego wnętrze, gdyby nie ten szczelny pokrowiec.

Poczułem głód, więc wygrzebałem się z namiotu. Postanowiłem znaleźć osłonięte od wiatru miejsce, rozpałić ognisko i z posiadanych ziemniaków ugotować sobie „kartoflanke”. Nie miałem co prawda wielu składników potrzebnych do wspomnianej zupy, ale miałem tak wielką ochotę na rozgotowane kartofle, że o niczym już więcej nie myślałem. Miałem nieco kłopotu z wyszukaniem odpowiedniego miejsca na ognisko, wszędzie niemiłosiernie wiało, nie było więc sensu rozpalać ognia, gdyż całe zeń ciepło ulatywałoby wraz z wiatrem. Wreszcie znalazłem idealną wręcz nieckę, która znajdowała się za piaszczystym osuwiskiem powstałym w wyniku osunięcia się brzegu. Miejsce było tak idealnie osłonięte od wiatru, że postanowiłem również przenieść tu namiot. Przeciągnąłem też ponton i po chwili całe obozowisko było już gotowe, a ja mogłem się zająć gromadzeniem drewna na opał, którego wkoło było bardzo dużo. Po godzinie miałem zapas wystarczający na kilka dni. Zbierając drewno, tuż koło obozowiska znalazłem dużo dzikiej cebuli. Mam więc nawet swój przydomowy ogródek - pomyślałem.

Odzyskałem dobry nastrój. Nie jest źle. Mam wszystko. Zapalki, chleb, sól i nóż. Mam nawet cukier i herbatę! Cóż mi więcej trzeba, co może w tej chwili przedstawiać dla mnie większą wartość? No, może odrobina słoniny...

Ogień przyjaźnie trzaska, w powietrzu unosi się wspaniały zapach kartoflanki z cebulą. Cóż mi więcej trzeba, mam schronienie, mam co jeść i jest mi ciepło. Dodatkowo, żyję bez niepokojących wieści z zewnątrz. Kto wie o czym się dowiem, kiedy znów spotkam ludzi...

Ponieważ nic nie wskazywało na to, że wiatr niebawem ustanie, po posiłku postanowiłem zbadać okolicę, zobaczyć gdzie to wstrętne wietrzysko mnie zagnało. Aby wiatr nie narobił szkód w obozowisku, dodatkowo zabezpieczyłem sznurem namiot i ponton, wziąłem siekierkę, przypiąłem nóż do pasa i ruszyłem przed siebie, aby zobaczyć co może mi zaoferować tych paręset hektarów okolicznych bagien.

Jak już wspominałem, tajga jakucka zasadniczo różni się od tajgi występującej na południu Syberii. Południowa, doskonale prześwietlona, składa się z wysokich smukłych drzew, jakucka zaś z niskich, gęsto rosnących koło siebie. W tajdze jakuckiej występują liczne bagna i chaszczce, co sprawia, że poruszanie się po tym lesie wymaga wiele trudu. Ponadto tajga jakucka obfituje w meszki i komary, które występują w trudnych do opisania ilościach. I tak, wśród komarów można żyć, ale z meszkami nikt jeszcze nie wygrał. Ta mała, wielkości owocówki muszka tnie o wiele boleśniej niż komary. Występuje w miliardowych ilościach, nie można przed nią uciec, wchodzi do oczu i uszu - meszką się po prostu oddycha. Na nic zdają się wszystkie zabezpieczenia skuteczne przeciw komarom,

bowiem meszka przedostaje się nawet przez drobną siatkę, która z powodzeniem zabezpiecza przed innymi insektami. Dziś wieje wiatr, więc owady pochowały się, ale nie daj Bóg chodzić tu przy bezwietrznej pogodzie.

Tajga przede mną gęstniała. Las przypomina zgliszcza. Mnóstwo wiatrolomów, drzewa powywracane z korzeniami. To normalne. Pod tymi szerokościami, gdzie występuje wieczna zmarzlina, drzewa nie mogą zapuścić w głąb korzeni, są więc niestabilne i byle wiaterek potrafi je powalić. Większość drzew pozbawiona jest wierzchołków. Spaliły je mrozy. Gołe, sękaty konary drapieźnie bodą niebo - te zdrowe wiatr bez przerwy dogina do ziemi. Wszystkie wyglądają jak „pijane” - ich pnie od wiecznych wiatrów przypominają pocieszne korkociągi. Nieco dalej olchy, dziwacznie skarłałe, zdeformowane z gałęziami przyciśniętymi do ziemi. Najlepiej mają się modrzewie i wierzby rosnące na bagnach, widać najlepiej są przygotowane genetycznie. Życie jest tu prawdziwe. Kto słaby - ten umiera. Tu albo się jest, albo nie, tu nie ma środka.

Na wywróconym przez wiatr modrzewiu usiadły dwa wielkie kruki. Wrzeszcząc ochryple, kotłowały się chwilę, walcząc z wiatrem, potem, kiedy siedziały już pewnie na swych łapach, tępymi dziobami poczęły czyścić pióra; płaskie łby ptaków lśniły niby posmarowane smołą. Nieco dalej zobaczyłem głęboko wydeptaną ścieżkę zwierzyny, biegnącą wzdłuż brzegu, tuż przy ścianie lasu. Szkoda, że nie mam przy sobie strzelby - pomyślałem. Nie mając jednak nic innego do roboty, postanowiłem zabawić się w myśliwego. Wietrzna aura jak najbardziej się do tego nadawała, bowiem tajga pod naporem wiatru huczała i trzeszczała, stałem się więc niesłyszalny dla zwierząt. Podskoczyłem kilka razy, sprawdzając czy aby coś mi nie dzwoni w kieszeniach, po czym jak stary Indianin ruszyłem wzdłuż ścieżki. Nieco dalej, na skraju zarośli wąski klin młodych modrzewi wcinął się między starsze drzewa i dobrze udeptana ścieżka rozdzielała się na dwie płytsze urywające się gdzieś po drugiej stronie młodnika. Ruszyłem prawą stroną, aby iść cały czas pod wiatr. Pół kilometra dalej, pod gałęziami karłowatego modrzewia, dostrzegłem duże świeże legowisko. Prowadzące stamtąd ślady nie świadczyły o spokojnej, leniwej wędrownicy zwierzęcia - w istocie nie były to nawet odciski racic, lecz głębokie rowy wyżłobione podczas skoków. Był to wielki łos. Niestety, nie wiedziałem jak wielki, gdyż ze śladów to nie wynikało. Odciski racic łosia są podobne w kształcie do odcisków sarny, oczywiście wielokrotnie większe, ale niepodobne do odcisków jelenia, którego tropy są owalne. Tropy łosia są wielkości racic krowy, są jednak od nich węższe. Odciski szpil łos pozostawia tylko wtedy, gdy biegnie kłusem, dlatego też doskonale widoczne w błocie chaotyczne ślady wskazywały najdobitniej, że zwierzę biegło po błocie w popłochu, w trwodze o własną skórę. Łosie z natury nie są płochliwe, mają słaby wzrok i słuch, natomiast dobry węch;

dziwiłem się więc, co łosia tak wystraszyło, czy to możliwe, aby wyczuł mój zapach? Szedłem przecież pod wiatr. Ruszyłem jego tropem. Niestety, jakiś kilometr dalej raptem polowanie się skończyło, gdyż chytre zwierzę wbiegło na grząskie bagna, tak jakby wiedziało, że tam już za nim nie pobiegnę. Nie chciałem dać za wygraną, więc zacząłem obmyślać, jakby łosia z bagien przegonić. Najpierw upewniłem się, że łoś jest w domniemanym miejscu, obszedłem dookoła bagnisko, a gdy żadnych świeżych śladów nie przeciąłem, doszedłem do wniosku, że miałem rację - zwierzę postawiło na gęsto porośnięte bagno.

Łoś jest największym ssakiem zamieszkującym Syberię. To urodzony wędrowiec. Nigdzie długo nie zagrzeje miejsca. Mimo swej masy z łatwością porusza się po gruncie bagnistym. Ma do trzech metrów długości, waży pół tony, czyli dwa razy tyle co jelen. Niektóre samce dochodzą do ośmiuset kilogramów wagi. Łoś jest wielkim amatorem wodnej roślinności, w szczególności pewnych gatunków lilii wodnych, stąd jego częsta obecność w pobliżu wody i bagien. Łoś świetnie pływa, a nawet nurkuje, co należy do jego silnych stron. Latem potrafi całymi godzinami brodzić po wodzie w poszukiwaniu pożywienia, ponadto woda chroni go przed ukąszeniami owadów. W bezwietrzne dni muchy i komary tną jak diabli, więc łosie i inna zwierzyna płowa leżą w wodzie i tylko łby im widać. Latem tylko woda umożliwia im ucieczkę przed nękającymi muchami. Leżą w rzece czy bagnie całymi prawie dniami, i zaledwie chrapy i uszy im wystają. Dopiero kiedy cienie zaczynają się wydłużać i wieczorne powiewy zaczynają rozpraszać dotkliwy upał, odchodzą znad wody i wracają do lasu, aby się popaść. Najbardziej mocną stroną zwierzęcia są jego rozmiary, zapewniają bowiem doskonały zasięg widzenia. Zimą, kiedy zamarza woda i śnieg pokryje ziemię, łosie odżywiają się pędami, korą z miękkich drzew oraz gałęziami świerka czy modrzewia. Kiedy na świat przychodzą młode, samice oddzielają się od samców, by całkowicie poświęcić się wychowaniu potomstwa. Młode są przy matce aż dwa lata. Młoda samica z pierwszej ciąży rodzi tylko jedno młode, wraz z wiekiem zwierzę ma szansę urodzenia dwóch, a wyjątkowo trzech. Samica nie pozwala zbliżyć się do młodych innym łosiom. Gdy młode są w niebezpieczeństwie, potrafi być bardzo groźna, jej kopyta stanowią straszliwą broń. Młode są bardziej niż głupie, pobiegną bowiem za każdym stworzeniem, które posiada cztery nogi...

Tymczasem mój łoś siedział sobie na bagnach i grał mi na nosie... Postanowiłem jednak za wszelką cenę go stamtąd wykurzyć. Zbadałem kierunek wiatru i tak się ustawiłem, aby mój zapach z pomocą wiatru doleciał na bagnisko. Później zacząłem głośno krzyczeć i uderzać kijem o drzewo. Byłem pewien, że odniesie, to oczekiwany skutek. Następnie pobiegłem na drugą stronę bagna i z uczuciem ulgi stwierdziłem, że się nie

myliłem - zobaczyłem głębokie tropy umykającego łosia. Ślady prowadziły w głąb gęstego młodnika. Zwierzę natrafiło na wydeptaną ścieżkę i mknęło teraz bez przeszkód, a ja za nim. Biegając powoli, lecz uparcie, przepędzałem łosia z jednej ścieżki na drugą. Zauważyłem, że zabawa powoli zaczyna go nudzić, gdyż dawał susy coraz krótsze, zastanawiałem się nawet, co zrobię, gdy zatrzyma się w miejscu i zaczeka na mnie... Łoś w miarę możliwości biegł gęstymi chaszczami. Były momenty, że gdy przystawałem i wstrzymywałem oddech, to słyszałem przed sobą trzask łamanych gałęzi i setki kilogramów świeżego mięsa przedzierającego się przez krzaki.

Zbieg skręcał na północ, południe, wschód i zachód, ilekroć jednak drzewa zaczynały się przerzedzać, wracał po własnych śladach i znajdował kolejną ścieżkę zdolną udźwignąć jego ciężar. Popelniał jednak gruby błąd i dał mi upragnioną szansę. Być może zbyt mu dreptałem po piętach, może też moje okrzyki wyprowadziły go z równowagi, bo zaczął się denerwować i prosto jak strzała pognał w kierunku spienionej rzeki, która była dla niego przeszkodą nie do przebycia. Skoki wskazywały ponad wszelką wątpliwość, że starczy mu tchu jeszcze na parę metrów pościgu. Teraz, gdybym miał byle karabin, byłoby po nim. Spokojny już o swą zdobycz wyszedłem z gęstwiny i przede mną rozpostarła się nieprzerwana płaszczyzna wzburzonej rzeki. Łoś jakby zapadł się pod ziemię. Dopiero kiedy zszedłem nieco w dół, zauważyłem jego tropy biegnące prosto do wody... Spojrzałem na rzekę, ale łosia ani śladu, czyżby się utopił? Gdzież, do diabła, podziało się moje mięso? - pomyślałem. Stałem jeszcze chwilę ogłupiały, jednak mało prawdopodobne wydawało mi się, aby łoś dał nura, przecież nie jest batyskafem... Dopiero po chwili dotarło do mnie, że łoś jest mądrzejszy, niż myślałem. Po prostu nie chciał więcej zostawiać śladów, pobiegł więc dalej brzegiem rzeki. Pytaniem teraz było, czy podążył w lewo, czy w prawo? Chciałem już dać spokój, ale przebiegłość łosia była tak wyzywająca, że postanowiłem go jeszcze podenerwować. Zastanawiałem się, w którą stronę umknął. Rozumowałem, że skoro jest na tyle cwany, to również nie bez znaczenia dla niego będzie wiatr. Wiem, że gdybym był gonionym łosiem, to chciałbym wiedzieć, gdzie obecnie znajduje się mój prześladowca, do tego służyłby mi węch. Nie zastanawiając się długo ruszyłem więc na prawo, z wiatrem. Szedłem dość długo i już myślałem, że tym razem łoś już na dobre mnie przechytrzył, kiedy zobaczyłem odcisk racicy na piasku. W miejscu tym leżał w wodzie wielki pień i zwierzę, aby biec dalej, musiało go ominąć lub przeskoczyć, łoś był na tyle chytry, że wybrał drugą możliwość, lecz przy manewrze nieopatrznie pozostawił na piasku ślad. Spostrzegł chyba swój błąd, gdyż nieco dalej wyszedł z wody i wspiął się na dosyć strome zbocze. Zbocze było wypalone i u stóp wzgórza znajdowała się połać spalonego runa. W popiele widniały ślady łosia, pozostawione kiedy zwierzę opuściło wodę. Wiatr hulał, a powiew roznosił popiół

wypalanej ziemi. Skoro ślady były widoczne, wnioskowałem, że zwierzę przechodziło tędy dosłownie przed chwilą. Łoś to cwane zwierzę, nieprzypadkowo bowiem wybrał trasę ucieczki przez popiół. Rozumował, że prześladowca, czyli ja, również kieruje się węchem... Gdyby tak rzeczywiście było, już w tym momencie straciłbym jego trop. A tak dalej dreptałem mu po racicach...

Las przede mną gęstniał, kępy młodych drzewek i jakieś cierniste krzaki wyrastały w parowach i na bagnach. Odszedłem już ładny kawał od rzeki, znów wkraczałem w ciemną krainę komarów, wilgoci i błota. Łoś wyprzedzał mnie i o kilka minut. Zauważyłem, że przestał się spieszyć, chyba zrozumiał, że nie i stanowią dla niego zagrożenia. Z tropów wynikało, że szedł już spacerkiem, wachając pewnie kwiatki po drodze... O ty gnojku - pomyślałem i choć czułem już zmęczenie, to jednak dla przekory ruszyłem za nim biegiem. Kilkaset metrów dalej zauważyłem wyraźniejsze tropy - był to dowód, że jednak zmusiłem rogacza i do biegu. Po chwili jednak dotarło do mnie, że łoś najzwyczajniej w świecie bawi się ze mną; kiedy maszeruję za nim, on się nie spieszy, kiedy zaś biegnę, rusza i on, z tym że już nie ucieka jak na początku, tylko lekko od niechcienia kłusuje, i tak jakby chciał przez to powiedzieć, że lepiej od wariata trzymać się z dala... Tego było już za dużo, żeby byle rogacz grał mi na nosie... Postanowiłem go i przechytryć. W tym celu pobiegłem łukiem i ustawiłem się pod wiatr, tak aby stracił mój zapach. Postanowiłem zaczekać, zobaczyć co łoś teraz zrobi. Usiadłem i pod drzewem i zamieniłem się w słuch. Nie słyszałem wiele, gdyż w dalszym i ciągu wiatr strasznie zawodził, po jakimś czasie chciałem już zakończyć tę zabawę i wracać do obozu, jednak coś kazało mi jeszcze pozostać na miejscu. W chwilę i później wiedziałem już co. W gęstwinie prawie zawsze najpierw się widzi, a potem dopiero słyszy. Tak też było i tym razem. Łopaty wyłoniły się pierwsze, potem zobaczyłem nos, za nim głowę i szyję. Zastygłem wpatrzony w zarośla. Sylwetka łośia niewyraźnie zamajaczyła w krzakach, a później przybrała ostrzejsze kontury. Po chwili poroże, głowa i wszystkie cztery nogi wychyliły się zza zielonego parawanu. Z zadartym łbem, wciągając chrapami powietrze, łoś sztywno zmierzał w moją stronę. Wiatr wiał od niego, wiedziałem, że mnie nie zwęszył, a ponieważ, jak już wspomniałem, łośie słabo widzą, więc nie mógł mnie zauważyć, nawet jakbym się poruszył. Widziałem niejednokrotnie łośie, ale nigdy równie potężnie zbudowanego. Automatycznie wstałem i chyba z przerażenia krzyknąłem. Łoś stanął w odległości kilkunastu kroków i patrzył na mnie z uwagą, najwyraźniej nie przestraszony. W jego oczach najwyraźniej błyskał zbrodniczy zamiar. Teraz to się dograłem - pomyślałem. Czytałem kiedyś, że gdy łoś szykuje się do walki - a dość często mu się to zdarza - wygląda dość nieprzyjemnie... Łoś, podobnie jak koń, kładzie uszy po sobie, jeży grzywę i błyskają mu białka w oczach. Zwykle wydaje jeszcze jedno ciche,

ostrzegawcze chrząknięcie i rzuca się do ataku. A robi to ponoć błyskawicznie. Łoś walczy bardzo dzielnie, atakuje bardziej przednimi nogami niż łopatami, które co prawda odgrywają dużą rolę, jednak tylko w czasie rykowiska, w pozostałych porach roku właśnie przednie nogi zadają większość śmiertelnych ciosów... Przez chwilę ścielił mi się przed oczyma widok pędzącego do ataku byka, przyznam, że była to bardzo nieprzyjemna, wręcz piekielna wizja. Byk w dalszym ciągu nieprzyjaźnie patrzył na mnie i spodziewałem się już najgorszego, raptem coś musiało się wydarzyć z tyłu za nim, gdyż byk odwrócił ode mnie oczy i gniewnie popatrzył na coś w głębi lasu. Spojrzał jeszcze raz na mnie, przeczyścił nozdrza, podrapał się tylną nogą za uchem, otrząsnął cały, po czym powoli odszedł w zarośla. Minęła jeszcze dobra chwila, zanim odważyłem się poruszyć. Byłem ogłupiały i sam dobrze nie wiedziałem co dalej robić. Jedno było pewne - polowanie było nadzwyczaj udane...

Ruszyłem w kierunku obozu, szedłem, wydawało mi się, tam, skąd przyszedłem, lecz po pewnym czasie tajga jakby zgęstniała, stanąłem niezdecydowany, rozejrzałem się dookoła i stwierdziłem, że nie jestem pewien, czy idę w dobrym kierunku... Jeszcze tego brakowało, abym pobłądził - pomyślałem i przyznam, że wcale nie było mi do śmiechu. Na dodatek wiatr przygonił skądś mgielkę, niebo pociemniało złowrogo i z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej. Zateknąłem za namiotem i ciepłym śpiworem, pomyślałem też, że już nigdy nie będę polował na łosie...

Nie miałem kompasu, lecz nie miałem też problemu z odnalezieniem właściwego kierunku, gdyż mech porastający drzewa od północy był aż nadto dobrze widoczny. Przyjmując więc, że Lena płynie na północ, aby dojść do obozu musiałem przyjąć azymut dziewięćdziesiąt stopni, należało więc iść w kierunku na prawo, prostopadle do północy. Mgła stawała się z każdą chwilą gęstsza, okoliczne drzewa wyglądały jakby stały w dymie. Idę i idę, a brzegu jak nie widać, tak nie widać. Zacząłem już wątpić, czy aby obrałem właściwy kierunek. Przystaję co chwila, błędząc po tym więzieniu z waty. Wstrzymuję oddech, zamieniając się w słuch, chcę już wreszcie usłyszeć szum płynącej wody, lecz nie słyhać nic prócz zawodzenia wiatru w górze. Oj, zachciało mi się zabawy z łosiem, zachciało...

Kiedy człowiek jest w głuszy z dala od innych ludzi, wszechobecność niebezpieczeństwa uświadamia sobie w większym stopniu niż ci, którzy przepychają się przez życie potrącani łokciami przez bliźnich. Tu śmierć czai się wszędzie. Wystarczy zwichnąć czy złamać nogę, niefortunnie się skaleczyć i już może być po tobie. Jest tysiąc powodów, w wyniku których odchodzisz na zawsze. Może to być walące się drzewo, pokryta śniegiem dziura, gotowa pochłonąć każdego, kto w nią wpadnie. Śmierć nadlatuje też z podmuchem

arktycznego wiatru, bo straszliwe zimno osłabia wolę i pozbawia sił tych, którzy muszą walczyć o przetrwanie.

Śmierć ukazała mi się na piaszczystym osuwisku. Długo, uważnie i z namysłem patrzyłem na trop niedźwiedzia, który niedawno tędy przeszedł. Więc jest nas tu więcej - pomyślałem i wnet pojąłem, co odwróciło niedawno uwagę losia. W pobliżu kręcił się duży niedźwiedź, pewnie bardzo głodny, a ja znajdowałem się na jego terytorium... Niewesoło to wszystko wyglądało. Och, jak bardzo zapragnąłem być na rzece, jednak na razie nie wiedziałem, gdzie jest, a mgła stawała się coraz gęstsza. Ponieważ zaczęło mi się wydawać, że chodzę w koło, postanowiłem dla bezpieczeństwa rozpałić ogień i poczekać, aż wszędobylska mgła opadnie.

Nawet w czasie mgły i przy bardzo niskiej temperaturze obozowisko bez piecyka czy namiotu można uczynić znośnie ciepłym i wygodnym, jeśli się oczywiście umie. W gęszy człowiek szybko uczy się samodzielności. Jakucka tajga, na pozór niegościnna w swej jesiennej szacie, kryje w sobie dość materiału, który przy odrobinie pomysłowości zmniejsza niewygodę i grymas zamienia w uśmiech. Oczywiście najważniejszy z najważniejszych jest ogień, bez niego na Syberii po prostu się ginie. Dlatego rozsądny wędrowiec zawsze ma przy sobie trochę suchego drwa na rozpałkę - ot, garść suchych drobnych gałązek, z których w każdych warunkach pogodowych można w parę sekund rozpałić ogień. Jeżeli jest zimno, a na dodatek jest wietrznie, nie pozostaje nic innego, jak powtykać pionowo w ziemię co większe gałęzie, skutkiem czego powstanie ekran cieplny i nagrzane powietrze nie będzie natychmiast ulatywało z wiatrem. Bardzo ważne również jest posłanie. Doświadczenie mówi, że nie ma lepszego niż materac z jodłowych gałęzi. Gdy takie jest gotowe, można w parę sekund wygodnie zasnąć, oczywiście jeśli jest się odpowiednio wyczerpanym. Przy dostatecznej ilości suchego drewna wewnątrz ogrodzenia, pozwalającej utrzymać ogień przez całą noc, obozowisko będzie całkiem wygodne, niezależnie od temperatury i pogody. Podczas mrozów zaleca się wykonanie ścian z kilku rzędów choinek. Drzewka, jako swoisty reflektor ciepła, ochronią nas przed zimnem i wiatrem. W ogóle przebywanie w niskiej temperaturze nie tylko zaostrza apetyt, lecz także otępia. Przy ogniu w parę sekund głowa się kiwa, należy jednak pamiętać, aby w miarę możliwości zagrzebać się w cokolwiek.

Godzinę później ogień stawał się już rdzawy, więc podrzuciłem parę suchych gałęzi. Na moment prawie zgasł, po czym znowu buchnął płomieniem. Było bez zmian, szaro i mglisto. Chociaż nie wiedziałem, która jest godzina, instynktownie podejrzewałem, że już jest noc. Skąd to wiedziałem - nie wiem. W ogóle tu, na odludziu odżywają w człowieku uśpione instynkty. Człowiek lepiej słyszy, lepiej widzi i ma tak zwanego czują, jest koło

ciebie coś, co ci podpowiada - to coś jest nieuchwytnie, należy się jednak bezwzględnie tego czegoś słuchać. To nie banalne frazesy, to szczerza prawda.

Minęła noc wypełniona zimnem i nasłuchiowaniem. Mgła wyraźnie się rozrzedziła, wiatr jakby nieco zelżał, jednak o dalszej podróży na pewno nie mogło być mowy, może w ciągu dnia się wypogodzi. Zgasilem ogień i ruszyłem w kierunku rzeki. Mając na uwadze wczorajsze doświadczenia, zachowywałem się głośno, aby przypadkiem nie zaskoczyć jakiegoś zwierza, który w obronie własnej lub swego potomstwa ściągnie mi skalp z głowy... Szedłem więc pogwizdując głośno, a dodatkowo obijałem kołkiem pniaki mijanych drzew. Tu, w tajdze jeśli nie masz broni, nie udawaj bohatera. Po jakiejś godzinie dotarłem do rzeki, a później brzegiem do obozu. Kiedy zastałem wszystko w porządku, odetchnąłem z ulgą, bowiem obawiałem się o ponton, na którym były zapasy żywności. Cóż by z nich zostało, gdyby misio wyczuł te smakołyki? Na szczęście wiatr wiał na południe, więc zapach moich delikatesów drażnił nozdrza niedźwiedzi zamieszkujących tajgę w okolicach Jakucka...

Zjadłem śniadanie, a ponieważ wiało dalej, nie mając nic innego do roboty, zabrałem się za wędkowanie. Nazwa wędkowanie nie jest stosowna do sposobu w jaki łowiłem ryby. Sposób ten jest bardzo prosty i nie wymaga żadnych umiejętności ani zdolności myślenia. Miejscowi zwą to „na zakiduszkę”. Koniec żyłki wiąże się do patyka, który będzie stanowił rękojeść wędki. Na drugi zakłada się błysk lub coś świeżącego z hakiem. Następnie rzucamy błysk z nurtem i pociągając za żyłkę, podciągamy go pod prąd. Kiedy błysk jest już blisko, popuszczamy żyłkę, błysk niesie się wraz z nurtem, po czym ponownie ją ściągamy. Jeżeli przy drugim podciągnięciu nic się nie złapie, oznacza to, że ryb w tym miejscu nie ma. Nie jestem wędkarzem, więc nie mam skłonności do przesady w mierzeniu długości ryb, napiszę tylko, że nie łowiłem tu ryb ważących mniej niż kilogram. Nie miałem wagi, ale jeden z okoni złowionych tego dnia ważył kilka kilogramów. Ciekawostką jest, że wszystkie ryby wyciągnąłem tuż przy brzegu z bardzo mętnej, zapiaszczonej wody.

Na obiad była zupa ucha³⁴ oraz pieczone filety z grilla!. Całość była doprawiona soloną czeremszą³⁵ oraz ługiem, czyli dziką cebulą. Wszystkie produkty potrzebne do obiadu pozyskałem kilka metrów od namiotu. Pozostała jeszcze kwestia deseru, w tej sprawie zamierzałem po południu udać się w tajgę. Wczoraj, goniąc nieszczęsnego łosia, widziałem owoce czerwonej porzeczki, rosnącej na niewysokich krzaczkach. Znając syberyjskie realia, byłem pewien, że znajdę tu również czarną porzeczkę.

W niespełną godzinę później zajadałem się już wspomnianymi owocami, które, jak się okazało, rosły niedaleko od obozu, tyle że w przeciwnym kierunku, niż wędrowałem

34 Ucha - rosyjska zupa sporządzona z ryb i warzyw.

35 Czeremszą - dziki czosnek.

wczoraj. Na koniec biesiady narwałem jeszcze cały garnczek owoców, z których po powrocie ugotowałem najsmaczniejszy na świecie kompot. Życie nie umierać - tylko ten niedźwiedź tu niepotrzebny... Niebo pojaśniało tak gwałtownie, jak się zachmurzyło. Po chwili na niebie ukazało się słońce.

Teraz wzburzona rzeka skrzy się od jego promieni. Komary i meszki kłębiły się chmarami, nie sposób było się przed nimi ochronić. Ciskały się do oczu i uszu, wślizgiły w rękawy i za nogawki spodni. Kark i ręce paliły ogniem, kąśliwe owady piły moją krew.

Ustawiłem zegarek na godzinę szesnastą, ciekaw byłem, czy wiele się i pomyliłem. Niestety, wiatr dalej hulał i o spływie nie mogło być mowy. Stałem się więźniem, brakowało tylko, aby ląd, gdzie byłem, okazał się wyspą... niestety okazał się nią. W dwa dni później zdeterminowany ciągle wiejącym wiatrem postanowiłem pójść w dół rzeki, aby dokładnie obejrzyć miejsce przymusowej zsyłki. Po jakimś czasie zorientowałem się, że kilka kilometrów dalej brzeg ostro zakręca na południe. Wynikało z tego, że prawdopodobnie znajdowałem się na wyspie. Tego dnia wróciłem do obozu z postanowieniem, że następnego dnia wezmę trochę zapasów i sprawdzę tę sensację. Kiedy następnego dnia późno i w nocy doszedłem brzegiem do namiotu z przeciwnej strony, byłem pewien, że wylądowałem na wyspie. Momentalnie przed oczami stanął mi niedźwiedź i wielki łos - teraz było pewne, że jesteśmy bliskimi sąsiadami. Na nowo odżył strach, gdyż, prawdę mówiąc, do końca łudziłem się, że jestem na stałym lądzie i niedźwiedź z łosiem dawno poszli sobie w siną dal, zapominając o mnie. Prawdą jednak było, że jedno i drugie to stworzenie świetnie pływa, lecz wąpiłem, aby przy tak dużej fali chciało im się stąd umykać. Przypomniało mi się też, jak mi opowiadano, że niedźwiedź całymi dniami z bardzo bliska potrafi obserwować człowieka, a robi to tak sprytnie, że nie usłyszy się nawet gałązki łamanej pod jego łapą...

Od tej chwili zacząłem intensywnie myśleć jak wydostać się z wyspy. Ma się rozumieć, nie oddalałem się już od brzegu. Straciłem nawet ochotę na kolejny kompot z porzeczek...

Słońce obiega północny horyzont i tylko na krótko znika mi z oczu. Prawdziwa czarna noc nigdy nie zapada, trwa za to długi zmierzch, który często przybiera pastelowe barwy. Ciszę wieczoru zakłóca tylko szum wiatru i plusk rozbijających się o brzeg fal. Jestem już cztery dni na wyspie, już cztery długie dni wieje z północy, wiatr nawet na chwilę nie słabnie. Sytuacja staje się trochę uciążliwa, najgorsze jest to, że człowiek jest całkowicie bezsilny - to chyba najbardziej boli. Krzyczą na mnie drzewa, zwalone pnie nie pozwalają abym na nich usiadł... Mój problem powoli zaczyna tkwić już nie w smutku, którego można się pozbyć, ale w depresji.

Większość ludzi ma jakieś problemy, bez względu na to, czy są one związane z prowadzonymi przez nich interesami, życiem zawodowym, osobistym, seksualnym lub rodzinnym. Problem, jakikolwiek by był, zawsze umiejscowiony jest w pewnym momencie dramatu, który - jak wszystko w życiu - ma swój początek, środek i zakończenie. Nie ma tu reguły, ludzie mogą się w niego zaplątać na początku, w środku, a także wtedy, gdy daleko już zajdą. Tak czy inaczej, mają problem i nie potrafią przestać o nim myśleć, nie potrafią się z niego wykaraskać, tkwią w dziurze, w tunelu, są pogrzebani u stóp wysokiej góry. Jednakże, jak już wspomniałem, wszystko ma swój początek, środek i zakończenie - tyczy się to również problemów. To tak jak w filmie, w którym bohater i bohaterka znajdują się w podziemnej jaskini, w której spadają na nich odłamki skał, następują wybuchy, więc najważniejsze to się wydostać. Ile filmów w stylu „Bonda” kończy się sceną, kiedy wszystko się na ciebie wali, a ty uchodzisz z życiem - zwykle w miłym towarzystwie. I mamy szczęśliwe zakończenie... Tak jest i w życiu - ileż to każdy z nas miał sytuacji, które zdawały się w danym momencie sytuacjami bez wyjścia. Co było dalej? Dalej doświadczyliśmy jednego, mianowicie gdyby nie ta - zdawałoby się tragiczna - sytuacja, nie byłoby tego, co jest teraz, mianowicie czegoś lepszego! Teraz tylko ta dewiza podtrzymywała mnie na duchu.

Horyzont z każdą chwilą ciemniał zapowiedzią nadciągającej burzy. Nic więc nie wskazywało na to, abym mógł szybko opuścić wyspę. Nawałnica nadeszła szybciej aniżeli mogłem się spodziewać. Z pogodnego wręcz nieba lunęły na ziemię tony deszczu. Na pogodnym jeszcze południu utworzyły się dwie szerokie tęcze, które nachodziły na siebie. Pierwszy raz oglądałem takie zjawisko. Jednak w chwilę później zrobiło się jeszcze ciemniej, lało teraz jak z cebra. Tajgę raz po raz rozświetlały błyskawice. Siedziałem w namiocie i z niepokojem patrzyłem na szarpane porywami wiatru płótno. Nade mną przewalała się prawdziwa kanonada. Czy namiot wytrzyma to piekło? Raptem wszystko ucichło. Chciałem już wyrzeć, ale w tym momencie znów rozpętała się burza. Tuż nad wyspą przechodziła kolejna nawałnica. Później jeszcze jedna i jeszcze jedna, wreszcie padał tylko deszcz. Powoli nastawała cisza. Z trudną do opisanego ulgą słuchałem cichnących pomruków oddalającej się burzy. Powietrze stało się świeże, czułem zapach ozonu. Cały krajobraz zmienił się nagle w wielką niebieską płaszczyznę i błękit nakrapiany obłokami. Wiatr ustał, tylko rzeka kołysała się jeszcze, jednak z każdą chwilą fale były mniejsze. Wreszcie stała się gładka jak stół i jak od setek lat znów odbijało się w niej niebo.

Kilka dni później minąłem Bestiach, małą jakucką osadę leżącą na lewym brzegu. Sama osada, podobnie jak wcześniejsze, nie była widoczna z rzeki. Daleko po lewej słychać było tylko hałas kręcących się koło wsi motorówek, zauważyłem też prowadzącą do wioski

szeroką odnogę rzeki. Bardzo chciałbym zobaczyć tę wieś, porozmawiać z jej mieszkańcami, ale silny nurt niesie mnie zbyt szybko, więc nawet gdybym się bardzo starał, nie dałbym rady na wiosłach tam dopłynąć. Jakiż bezsilny jest człowiek w konfrontacji z siłą przyrody.

Najszerszy odcinek rzeki mam już poza sobą. Nie znaczy to, że rzeka jest teraz wąska, bowiem w dalszym ciągu nie widzę dwóch brzegów jednocześnie. Według mapy jej szerokość w tym miejscu wynosi około osiemnastu kilometrów! Krajobraz bez zmian: woda, wysokie brzegi, porośnięte tajgą wyspy, piaszczyste łąchy, od czasu do czasu dochodzące do samej wody wysokie skaliste góry.

Płynę trzymając się prawego brzegu. To bardzo bezpieczne i wygodne. Ma to jeszcze jedną zaletę, gdyż widzę przesuwający się brzeg, świadczący o tym, że naprawdę przemieszczam się na północ. Dziś znów wieje z północy - słabo, ale wieje. Nie muszę co prawda czekać na brzeg, aż wiatr się uspokoi, jednak płynę o wiele wolniej. Widzę to dokładnie po leniwie przesuwającym się brzegu. I Następują dni monotonii. Noce spędzam na pontonie, gdyż w nocy rzadko wieje wiatr. Rankiem dobijam do brzegu, rozpalam ogień, gotuję wodę na herbatę i się posilam. Później cały dzień leżę wyciągnięty na pontonie, obserwuję chmury na niebie, ptactwo wodne i mijane wyspy - ogólnie trochę się nudzę. Wieczorem znów na brzeg, ognisko, posiłek i dalej na rzekę, póki wiatr nie przeszkadza w podróży.

Co pewien czas natrafiam na wypaloną tajgę, gdzie pachnie jeszcze dymem. Czarne, zwęglone drzewa smutnie rysują się na tle szarego nieba, wyciągając w niemym proteście obsypane popiołem gałęzie. Czasami gdzieś z pogorzelska z oddali jękliwie kwili jakiś ptak. Często jednak napotykam miejsca, gdzie las wita mnie dwoma kolorami: w dole czarnym, a wyżej zielonym. Oznacza to, że ogień przeszedł tu „parterem” i prawdopodobnie został ugaszony przez deszcz. Gdzieniegdzie tajga pełna jest popiołu; spłonęły mchy i poszycie. Dymiące kupki popiołu zachowują kształt dawnych kęp traw czy pagórków mchu, ale wystarczy głośniejszy krzyknąć, by rozsypały się natychmiast. W pewnym miejscu uderzył mnie niezwykle widok. Na znajdującym się niedaleko brzegu pagórku spostrzegłem zagajnik złożony z czarnych, opalonych świerków. Krzyknąłem głośno i czarny zagajnik znikł jak kamfora - drzewa rozsypały się w proch. Gdy później opowiadałem o tym zjawisku, wyjaśniono mi, że potworny wał ognia nadleciał na zagajnik nagle i spopielił drzewa w ciągu sekundy ewentualnie dwóch. Zmiana temperatury była tak wielka i nastąpiła w tak krótkim czasie, że świerki nie zdążyły się rozsypać i zastygły do pierwszego głośnego dźwięku. Ale mimo że krajobraz pogorzelski w tajdze jest niewesoły, to jednak nie budzi on ponurych myśli. Życie, które ustąpiło chwilowo pod gwałtownym naciskiem

ognistego żywiołu, szybko znów powraca na czarną pustynię. Widać wszędzie, jak spod popiołu wydostają się zielone liście traw, jak obok zwęglonych staruszków pną się ku górze młode zielone pędy.

Płynę sobie i rozmyślam nad tym, że ta walka życia ze śmiercią we wszystkich jej gwałtownych i okrutnych przejawach jest właśnie najbardziej charakterystyczną cechą syberyjskiej przyrody. Tu, daleko od ludzkich mieszkań, zeszyły się ze sobą te dwie potężne siły, aby stoczyć decydującą walkę i zostawić na tym olbrzymim obszarze ślady przejawów swych dzikich, nieokiełzanych namiętności.

Choć miałem mapę, to jednak często traciłem orientację geograficzną. Brak charakterystycznych punktów sprawił, że od kilku dni nie miałem pojęcia, na którym odcinku rzeki obecnie się znajduję. Jednakowe brzegi, także zakręty, wyspa do wyspy podobna. Po południu zauważam na wysokim brzegu jakieś szczątki zabudowań, ale na mapie nie było to zaznaczone, więc dalej nie wiem, w którym dokładanie miejscu jestem.

Wyszedłem na brzeg i wspiałem się po stromym zboczu. Jakaś dziwna tęsknota za człowiekiem sprawiła, że chciałem z bliska zobaczyć to opuszczone siedlisko.

Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że ludzie opuścili osadę nie tak dawno temu, lecz Północ nie próżnowała i zdołała zrobić już wiele. Okna i drzwi stały otworem - na pewno zimą do pomieszczeń nawiewało śniegu. Widać przyroda stara się jak może zatrzeć ślady bytności ludzkiej. Wszystko co jej obce z premedytacją zagrzebuje pod ziemię, niszczy mrozem, wiatrem i wodą. Opustoszałe budynki osiadły już w ziemi. Gniło drzewo jak gąbka przesycona wodą. Wszystko, co z metalu, pokryło się strupami rdzy.

Chodzę od baraku do baraku; rozpadające się stoły i krzesła, pordzewiałe łóżka na sprężynach, puste puszki z odklejającymi się pożółkłymi nalepkami. W jednym z pomieszczeń znalazłem mnóstwo książek naukowych, pełnych wykresów i tabel. W innym porozkładane na podłodze części jakiegoś silnika, dalej pomieszczenie z długimi, brudnymi od smaru stołami - zapewne był to warsztat. Na ścianie wisiały jeszcze nie ruszane od lat pojedyncze pordzewiałe narzędzia, na jednym z krzeseł zauważyłem tabliczkę znamionową, z której wynikało, że mebel należał do jakiegoś ministerstwa.. - . Wyglądało na to, że znajdowałem się na terenie jakiejś opuszczonej bazy geologów. Jasne stało się więc, czemu osady nie zaznaczono na mapie.

Następnego dnia około południa przekroczyłem koło podbiegunowe. Jestem tego pewien i o pomyłce nie może być mowy. Tego dnia płynąłem z mapą w ręku, gdyż za wszelką cenę chciałem dowiedzieć się, w jakim miejscu obecnie się znajduję. Wreszcie na którejś z kolei rzeźbie terenu wznowiłem orientację geograficzną. Przypominam sobie, że aż zawyłem z radości, bowiem z locji wynikało, że lada chwila przekroczę koło

podbiegunowe. To bardzo charakterystyczne miejsce, bowiem równoleżnik 66°33' przebiega mniej więcej przez środek długiej wyspy o nazwie Agrafiona, leżącej dokładnie na środku rzeki. Wyspa jest w kształcie płaskowyżu, po jej lewej stronie stoi drewniana wieża geologiczna wskazująca 66° szerokości geograficznej, więc o żadnej pomyłce nie może być mowy. Obyczaj nakazuje, aby w tym miejscu wrzucić jakąś monetę do wody, ponoć przynosi to szczęście i gwarantuje powrót w to miejsce. Żał mi było jak biednemu dziecku przed cukiernią, ale niestety nie miałem żadnej monety...

Teraz płynąłem wzdłuż lewego brzegu, ponieważ czterdzieści kilometrów dalej znajdowała się osada Zigańsk, a tej nie zamierzałem przegapić. Rzeka wyraźnie się zwężała, nawet miejscami było widać jej obydwie brzegi; lewy wysoki, piaszczysty, prawy porośnięty tajgą, pełny powalonych drzew. Piękne przejrzyste powietrze - „długa prosta”. Przedemną jak okiem sięgnąć bezmiar wody, na końcu którego zza horyzontu wyłania się jakiś obraz, z daleka do złudzenia przypominający wysadzoną drzewami drogę... To kulistość Ziemi sprawia, że ; przy dobrej widoczności najpierw widać czubki, później dopiero całe drzewa. Kiedy podpływam bliżej, okazuje się, że moja droga to nic innego jak porośnięta tajgą kolejna wyspa. Ciekaw jestem, kiedy na horyzoncie zobaczę autobus... Nieco później zaczynam mieć już wątpliwości, co do sprawności mojego umysłu. Daleko przedemną, na lewym wysokim brzegu wyraźnie widzę dwa olbrzymie kolorowe bloki mieszkalne... Przecieram oczy - budynki - choć niewyraźne - są widoczne dalej. Kiedy podpływam bliżej, wyraźnie widzę szerokie, długie, panoramiczne okna... Po godzinie jestem już całkiem blisko, teraz widzę, że kolorowe bloki mieszkalne, to nic innego jak olbrzymie białe - czerwone tarcze radarowe... Parę kilometrów dalej ujrzałem srebrzące się w słońcu wielkie zbiorniki paliwowe, tym razem to nie fatamorgana - dopływam do Zigańska.

Zigańsk leży bardzo malowniczo, a zarazem ciekawie, gdyż wpadająca do Leny niewielka rzeka utworzyła duże rozlewisko, kształtem przypominające jezioro. Po obu jego stronach wybudowano domy, co w rezultacie sprawiło, że Zigańsk podzielony został na dwa osiedla: północne i południowe. Osiedla nie są ze sobą połączone - nie ma tu mostu czy choćby kładki, jest natomiast prom samochodowy, który kursuje wahadłowo pomiędzy brzegami. Prom nie kursuje według określonego rozkładu, pływa na zawołanie, więc aby odwiedzić znajomego mieszkającego na przeciwległym brzegu, należy umieć głośno gwizdać... Oczywiście określenie prom jest lekką przesadą, jest to po prostu barka i doczepiony do niej niewielki holownik. Koszt przeprawy - pięć rubli - sprawia, że nie ma specjalnego tłoku na przystani. Kiedy później, podczas rozmowy z mieszkańcami zapytałem, dlaczego dotychczas nie pobudowano mostu, dowiedziałem się, że mieszkańcy nie odczuwają takiej potrzeby, ponieważ i tak przez dziesięć miesięcy w roku jest tu sroga

zima, a co za tym idzie, rzeka wraz z zatoką jest zamrznięta.

Zigańsk dogorywa, podobnie jak Sangar. Tyle że z tego ostatniego łatwiej uciec, gdyż leży bliżej cywilizacji. Za kołem podbiegunowym pies pogrzebany, teraz już nawet statki tu nie zawijają, gdyż w związku z kiepską gospodarką nikt już nic na Północ nie wozi.

Nie udało się ujarzmić Arktyki. W latach trzydziestych Rosjanom niezmiernie *zależało* na rozwoju terenów za kręgiem polarnym. Planowano zagospodarowanie terenów, stworzenie bazy surowcowej dla całego świata. Jak grzyby po deszczu powstawały obozy przymusowej pracy. Później, wraz z przemianami politycznymi zaczęli przyjeżdżali tu również wolni ludzie. Jednak to nie sława przywiodła tu tych ostatnich, ale trzykrotnie większa pensja. Okres złudzeń nie trwał długo i wszystko co zostało z tych planów, to pozostawieni samym sobie ludzie i wspomnienia wielkich bohaterów przeszłości. Dziś dawni pionierzy Północy trzymają swoje rzeczy w kontenerach, gotowi w każdej chwili, przy nadarzającej się okazji opuścić tę niegościnną ziemię. Lecz okazja jak nie nadchodzi, tak nie nadchodzi, pozostaje codzienność zdominowana przez handel wymienny i starania utrzymania się przy życiu. Niestety, od końca ery radzieckiej życie na Dalekiej Północy określa tylko bieda i cierpienie. Wiadomo już, że jeśli nie wydarzy się jakiś cud, to za kilka lat wszystkie osady na Północy opustoszeją, ludzie odejdą ku kolejnej niewiadomej i tylko ślady ich bytności pozostaną na wieki w tej lodowej ziemi.

Jestem trochę zawiedziony wizytą w Zigańsku, choć tak naprawdę nie była to żadna wizyta. Ot, po prostu wpłynąłem do portu i to wszystko. Nawet nie było z kim porządnie porozmawiać; odniosłem wrażenie, że ludzie jakby mnie omijali. A może mi się tak wydawało. Koniec końców zamieniłem kilka słów z przechodzącymi brzegiem ludźmi, po czym zawiedziony odpłynąłem w dół rzeki. Później robiłem sobie wyrzuty, że zachowałem się jak obrażona panienka, na którą nikt nie zwrócił uwagi. Zakładałem bowiem jednodniowy pobyt w Zigańsku, chciałem posiedzieć w jakiejś chacie, porozmawiać do woli z ludźmi. Ale tak się złożyło, że żadna orkiestra nie witała Koperskiego na nabrzeżu, więc obrażony niczym panienka popłynął dalej... Cóż, czasami mi odbija. Sam nie rozumiem niektórych swoich zachowań. Później zawsze żałuję, a winę zwalam na swój bardzo złożony charakter...

Już jako dziecko w swym najbliższym otoczeniu, wśród kolegów i dorosłych nie dostrzegałem nikogo, kogo mógłbym nazywać pokrewną duszą, towarzyszem. Zastanawiałem się oczywiście, czy coś jest nie w porządku ze mną lub otaczającym mnie światem. A może to coś odczuwają wszyscy, ale o tym nie mówią? Często jednak myślałem, że to jednak ja jestem inny i tak dalej. I pewnie przez całą młodość myślałbym tak, gdyby nie muzyka, gdyby nie gra na fortepianie. Muzyka bardziej niż cokolwiek innego stała się

dla mnie początkiem połączenia z drugim człowiekiem. Dzięki niej uświadomiłem sobie, że są gdzieś ludzie, którzy czują tak samo jak ja. Właśnie dzięki tym, którzy komponowali lub wykonywali jakieś utwory, rozpoznawałem uczucia, jakie z nimi dzieliłem. Gdyby nie muzyka, nigdy bym się o tym nie dowiedział i pewnie uważałbym się za lekko stukniętego.

Zresztą w świetle psychiatrii i tak jestem stuknięty, gdyż to co robię, nie mieści się w kanonach normalności, śmiało można to zakwalifikować jako objaw choroby psychicznej.

Jedną z cech charakterystycznych naszej kultury jest coś, co można by umownie nazwać psychofobią. Jesteśmy psychofobami, inaczej wariatami. Czasami przeraża nas własny umysł, własna psychika. Dlaczego? Dlatego, że każda myśl, każde niezwykle doświadczenie - jak na przykład jasnowidzenie - odbierane jest przez psychiatrów jako kryterium zaburzenia umysłowego. Nie masz prawa mieć poczucia, że inni wiedzą, co na przykład czujesz, kiedy znajdujesz się w pokoju zmarłego. Bo według psychologów i ich mądrych tabel wszyscy mamy doświadczać i przeżywać to samo i w tym samym czasie! Nikomu więc nie wolno doświadczać niczego inaczej, nie tak jak przeżywają to inni. Nie wolno postrzegać ci lekko szarego nieba, gdy inni widzą je jako szare, gdyż zmiana ta postrzegana będzie jako kryterium diagnostyczne poważnego zaburzenia. Trzeba więc widzieć i czuć wszystko tak jak widzą i czują inni...

Przede mną nieco z dala od brzegu ukazuje się miraż. Widzę rzędy słupów z przymocowanymi doń skrzyniami. Domyślam się co to jest - to stary jakucki cmentarz. Widać zapomniany, niektóre sarkofagi, szczególnie te wyższe, powywracane, niższe stoją prawie wszystkie, widać Jakuci grzebali tu też swoje dzieci. Grzebano je w skrzyniach. Właściwie nie grzebano, tylko ścinano na odpowiedniej wysokości drzewa, po czym na pniakach stawiano owe prymitywne trumny ze zmarłymi, aby były wyżej, bliżej bogów. Dzieci umierało najwięcej. Człowieka ogarnia zdumienie, że przy tak wielkiej śmiertelności dzieci naród ten zdołał przeżyć. Proszę sobie wyobrazić zadymioną zimną jurkę. Na zewnątrz mróz dochodzący do pięćdziesięciu stopni. W namiocie odrobinę cieplej, o tyle tylko, że nie ma wiatru. I oto rodzi się maleństwo. Wytrą je popiołem, zawiną w zajęczą skórę i żyj nowy człowieku. Fakt - mało z nich pozostało przy życiu. Oto teraz stoją te żalosne pomniki tego, co przeminęło; słupy z dziecięcymi kołyskami i naprędce skleconymi z gałęzi trumienkami.

Zbieracko - łowiecki tryb życia i skrajnie trudne subarktyczne środowisko przyrodnicze zawsze ograniczały liczbę mieszkańców tych rozległych terenów. Brak higieny oraz podstawowych środków medycznych sprawiał, że umieralność wśród zamieszkujących Syberię autochtonów była wielka. Każde zaniedbane skaleczenie mogło spowodować gangrenę. Tu szaman ze swoimi ziołami i głośnym śpiewem niewiele mógł pomóc.

Następna sprawa - to inwalidzi. Wyobraźmy sobie skomplikowane złamanie leczone domowym sposobem...

Dla koczujących myśliwych brak fizycznej sprawności jest ogromnym nieszczęściem. Pierwotne społeczeństwo nie mogło mieć większej liczby osób na swoim utrzymaniu. Jeżeli człowiek okaleczony od razu nie umrze, to i tak długo nie pociągnie, gdyż nie będzie w stanie pracować na równi z innymi. Jeszcze jakieś pół wieku temu u niektórych północnych plemion zniedołężniali starcy opuszczali ten świat przy pomocy swoich krewnych. Starość jest nieunikniona, a wraz z nią niezdolność do pracy. Przede wszystkim właśnie niezdolność pchała starców do dobrowolnego żegnania się z życiem. Na pierwszy rzut oka wydaje się to paradoksem, bowiem dążenie do zachowania życia jest silniejsze od wszystkiego, nie mówiąc już o tym, co dyktuje rozum. Ustosunkowanie się do swego rodu jak do świętości i świadomość tego, że wraz z pozbyciem się zbytecznych osób, które trzeba żywić, rodowi będzie żyło się lepiej - wpływały na konieczność skracania życia starcom. Na tym świecie pozostają ich dzieci, oni sami zaś przenoszą się do innego świata, w którym znów będą młodzi. W każdej bowiem wierze w krainie umarłych wszyscy na powrót stają się zdrowi i młodzi...

Do naszych czasów zachowały się podania o dawnych zwyczajach Ewenów i Ewenków, według których starcy nie umierali śmiercią naturalną, a z bliźniąt zostawiano tylko jedno, gdyż kilka niemowląt nie mogło razem wyżyć. Dobrze pamięta się również o tym, jak jeszcze niedawno ludzie umierali z powodu drobnego uszkodzenia ciała i jak trudne dzieciństwo czekało tych, którzy pozostali przy życiu. Małe dzieci wносиły swój wkład w gospodarstwo już od siódmego roku życia. Pomagały kobietom zbierać opał, nosić lód. Parę lat później były już prawdziwymi myśliwymi - stawiały sidła na kuropatwy i zające, pomagając w ten sposób w zdobywaniu pożywienia. Młodzi dorastali, polowali na coraz to grubszego zwierza, wreszcie stawali się starcami, a gdy byli już tak starzy, że zaczęli zawadzać swojemu ludowi, sami lub z pomocą współplemieńców odchodzili drogą wszystkich...

Nam, ludziom cywilizacji brutalne może wydawać się uśmiercanie zniedołężniałych, często obłożnie chorych starców, ale z drugiej strony ileż w tym jest ludzkiego odruchu i mądrości, która oszczędza ludziom cierpienia. Konstruujemy superszybkie komputery, latamy w kosmos, ale nieuleczalnie chorym pozwalamy umierać śmiercią zwierzęcą, w męczarniach, pozostawiając ich samym sobie z okrutnym cierpieniem.

Kiedy jesteśmy zdrowi i funkcjonujemy w społeczeństwie, jeden drugiemu pomaga, jednak gdy śmierć zastuka, człowiek raptem widzi, że jest sam, sam jak to zwierzę gasnące, od którego stado oddala się w mroczną noc zimową...

W ciągu tysiącleci nie tknięto tego dzikiego tabu! Uważamy się za cywilizowanych, a ciągle umieramy dziko. Zdarza się czasami, że nieśmiała strzykawka lekarza po kryjomu skróci męki zwiększonymi dawkami morfiny. Wstydlivy, ale jaki ludzki zabieg, zbyt drobny jednak jak na powszechność umierania w mękach. Cóż, człowiek tak naprawdę żyje sam, cierpi sam i umiera sam.

Nasuwa się pytanie - dlaczego śmierć ludzka jest wciąż jeszcze taka sama jak śmierć zwierzęca? Dlaczego nasza agonია jest tak osamotniona i tak prymitywna? Dlaczego my, uważający się za mądrych, nie zdołaliśmy jeszcze ucywilizować śmierci? Niestety, głosy mądrych w tej sprawie giną jeszcze w głośnym bełkocie tłumu.

Przed laty Witold Gombrowicz w swoich dziennikach domagał się domów śmierci, gdzie każdy miałby do dyspozycji nowoczesne środki lekkiego zgonu, gdzie można by pod opieką lekarza umrzeć gładko, bez konieczności rzucania się pod pociąg lub wieszania na kłamce. Gdzie człowiek znużony, zniszczony, skończony mógłby oddać się przyjaznym ramionom specjalisty, aby mu zapewniona została śmierć bez tortury i hańby. Czyż nie jest to humanitarne? Kto nam broni ucywilizować śmierć? Religia? Ach, ta religia - dziś zabraniająca samobójstwa, wczoraj nie mniej gromko zakazująca środków znieczulających, przedwczoraj zezwalająca na handel niewolnikami, gnębiąca Kopernika i Galileusza, sama uśmiercająca w czasie inkwizycji, wreszcie milcząca wobec holokaustu i zbrodni hitlerowskich. Kościół potępiający z piorunowym hukiem wszystko co jest nowoczesne, a wycofujący się potem dyskretnie, po cichu. Jakąż mamy gwarancję, że dzisiejsze kościelne potępienie samobójstw za kilkadziesiąt lat nie zmięknie wraz ze śmiercią któregoś z papieży? Ale na razie na życzenie tejże religii mamy umierać jak psy, w drgawkach i rżeniu, cierpliwie mamy czekać, ścieląc tę powolną drogę milionami okropnych konań, aby później czytać w nekrologach - „po długich i ciężkich cierpieniach”.

Wydaje się, że rachunek za te interpretacje świętych tekstów jest za wysoki. Lepiej byłoby, aby kościół wyrzekł się scholastyką zbyt arbitralnie wjeżdżającej w życie ludzkie. Ostatecznie, jeśli wierzący katolicy chcą umierać w cierpieniu, to ich sprawa. Dlaczego jednak ateści czy luźnie związani z kościołem muszą umierać po staremu - metodą zdychania, przez głupią lekkomyślność z jaką się znosi umieranie? Wniosek jest jeden - człowiek jest wolny i powinien mieć zapisane w konstytucji prawo do umierania. Niestety, nie wiedzą o tym współcześni mędracy - pomyśleć, że wiedzieli już o tym dzicy.

Temat jest szerszy od Leny, ale tak na marginesie, skoro największe autorytety tego świata uważają, że ponad wszystko nie wolno zabijać człowieka, to po co miliardowe wydatki na wojsko, po co armia z kapelanami pozwalającymi na zabijanie, po co fabryki broni?... A po to, że tak właściwie wszystko jest tylko obłudą i jak najbardziej można

uśmiercać i to nie tylko starców, ale młodych, także kobiety i dzieci. I żadna religia nie zaprotestuje przeciwko produkcji karabinów, granatów i bomby wodorowej, może tylko zakazać ukrócenia mąk cierpiącemu bliźniemu - więcej zakazać nie może i w tym tkwi cała obłudza kościoła.

Skoro jesteśmy przy temacie, należy jeszcze wspomnieć o innej śmierci - samobójczej, śmierci zdrowych młodych ludzi, tak zwanej śmierci na pokaz. To już zupełnie inne zagadnienie. Samobójstwo w ich wykonaniu tak naprawdę nie jest, jak mogłoby się zdawać, sposobem rezygnacji z życia, lecz najwyższą formą manifestacji urazu tych, którzy uznali się za odtrąconych przez życie.

Życie wydaje się samobójcom piękne i logiczne, pragną więc to nieosiągalne - w ich przekonaniu - piękno zniszczyć. W stadium, w którym samobójstwo jest zemstą zawiedzionych, przekształcić się ono może w spektakl tragiczny. Rzadkie są samobójstwa ukryte pod pozorami wypadku. Zazwyczaj samobójcy chcą, aby o ich czynie wiadano, aby stał się on czyjąś obsesją - chcą prowokować wyrzuty sumienia. Chcą wywołać w poszczególnych osobach lub całych zespołach kompleks winy. Oczywiście wykluczam tutaj bardzo rzadkie w naszych czasach samobójstwa z poświęcenia, które mogą stanowić jedną z form męczeństwa. Samobójca utwierdza się w przeświadczeniu, że staje się arystokratą tragizmu, że cała jego egzystencja rozpatrywana przez pryzmat jej finału osiąga najwyższy sens, że jego postać będzie aureolą mitu, uosabia jedno z wcieleń samouwieblenia. Ostatecznie ileż to ludzi kokietuje ideą samobójstwa, ileż to wciela się w najrozmaitsze groteskowo sentymentalne sytuacje, aby wreszcie znaleźć małą pociechę, małą i słodką oazę w samym centrum życia...

Cyklony kręcą się w koło, fronty ciskają nimi po przełęczach. Rzeka jest spieniona, wiatr wieje coraz to z innego kierunku. Gdybym był głęboko wierzącym katolikiem, pomyślałbym, że to kara boska za moje heretyckie rozmyślania, których dopuściłem się, będąc na starym cmentarzu jakuckim. Kłamałbym, gdybym powiedział, że w ogóle w nic nie wierzę. Wierzę, ale inaczej. Nie dociera bowiem do mnie teza kościoła głosząca, że Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy tyczy się to również neandertalczyka...

Po południu ustala się kierunek wiatru, od czasu do czasu spoza chmur wygląda słońce. Wieje z południa, płynę więc dość szybko. Rzeka przestała być bezwładną kipiela, zaczyna tworzyć się długa, przychylna mi fala. Po prawej góry, po lewej szybko przesuwany się brzeg - nie wiem czy to wyspa, czy stały ląd, zresztą nie ma to znaczenia, zamierzam bowiem płynąć tak długo, jak długo będzie wiał sprzyjający wiatr.

Po prawej skały dochodzą do wody. Chwilami w rozstępach między jedną a drugą

pada na rzekę słońce, przesłaniając góry purpurowym oparem. Rozsiadłem się wygodnie i delektowałem się myślą o domu. Wierzyć mi się nie chciało, że już niedługo najem się do syta, że wejdę do gorącej kąpieli, że będę spał

w czystej pościeli, spokojnie, bez nadśluchiwania, co dzieje się na zewnątrz. Pomyślałem, że człowiek niepotrzebnie szarpie się w sobie, a powinien każdy dzień przeżyć tak, jak miałby być dniem ostatnim. Myślę, że gdyby szczęście miało głos, okolica rozbrzmiewałaby krzykiem.

Chyba teraz tu, na tym małym pontonie dopiero zrozumiałem tak naprawdę, dlaczego podróżuję. Jak wielu innych myślących chcę dowiedzieć się, co tu robimy, skąd przyszedliśmy i dokąd zmierzamy. Chciałbym poświęcić czas, który mi jeszcze pozostał do śmierci, na cieszenie się tymi studiami. Podróże bowiem nauczyły mnie pokory do życia, pokazały mi wartości, które wcześniej były poza zasięgiem mojej świadomości. Bo cóż żaba ze studni może wiedzieć o oceanie?...

Przez te eskapady czuję się spełniony, widzę cel życia, jest mi po prostu łatwiej egzystować. Ludzie różnie o mnie mówią. Uważają, że mam zapewne błyskotliwy umysł, lecz jestem niezrównoważony, zbikowany. Niech tak myślą. Ja patrzę na to inaczej. Nie możesz być nieszczęśliwy, jeśli cieszysz się życiem, wiele więc przemawia za tym, aby tak czynić i to bez poczucia winy. Życzyłbym sobie, aby wszyscy się uspokoili i zaczęli cieszyć sobą. Dlaczego tego nie robią? Bo każdy człowiek jest inny i inaczej pojmuje otaczający go świat. Oklepana równość to tylko slogan, dobry w czasie kampanii wyborczych. Gdyby ludzie byli jednakowi, świat byłby nieciekawym, a może nie miałby prawa istnieć. Musi być bogaty i biedny, mądry i głupi, ładny i brzydki, wreszcie musi być światło i cień - inaczej nie powstanie żaden obraz. Niektórzy ludzie wierzą w Boga, a niektórzy nie wierzą. Część kobiet pragnie aborcji, a inne są temu przeciwnie. To jest osobista sprawa każdego. Mówię to w kontekście, abyśmy zachowywali się w zwykły, przyzwoity, cywilizowany sposób. W życiu większość prostych spraw to sprawy najtrudniejsze. Przeżycie dnia nie jest łatwe, a najtrudniejszą sprawą w życiu - jest życie. Mam tu na myśli życie naprawdę. Często jesteśmy tu i teraz, ale myślimy o przeszłości, lub snujemy plany na przyszłość. Omija nas chwila obecna, choć powinniśmy uczestniczyć w każdej chwili bieżącej. Jeśli to osiągniemy, stanie się to zdrowiem, scaleniem i czynnikiem uzdrawiającym. Dlatego sam usiłuję tak żyć i nakłonić innych, by żyli w ten sposób, jeśli tylko potrafią.

Jak często wspominam, zawsze chciałem zostać badaczem, lecz przez długie lata uważałem, że urodziłem się przynajmniej dwieście lat za późno. Teraz, patrząc na tę wielką ziemię, na ten bezmiar wody, na to otoczenie wyzwajające niesamowitą energię, wiem, że to nieprawda, do odkrycia bowiem pozostało bardzo dużo - wiem, że na pewno wystarczy

jeszcze tego dla mnie i przyszłych pokoleń. Bez znaczenia jest fakt, że skończył się wiek odkryć geograficznych, że zobaczono już całą naszą planetę za pomocą satelity. Widzieć a przeżyć - to wielka różnica, wkładaj więc człeku plecak i ruszaj w drogę... Pamiętaj jednak, że nie zwyciężasz dzięki temu, co masz w plecaku, ale dzięki temu, co masz w sobie.

Syberia bowiem to niezbadana do końca ziemia, to kawał świata, gdzie rządzą się jeszcze prawa natury. I albo wyjdiesz z tajgi mocny jak stal, albo złamany - niczego pośredniego tu nie ma. Jedno jest jednak pewne - z Syberii wrócisz inny...

Wieczorem ostatnie podmuchy wiatru uleciały na północ, a wraz z nimi moje zadowolenie z racji szybkiego przemieszczania się w dół rzeki. Płynąłem beztrosko jeszcze jakiś czas, później poczułem wilczy głód, któremu nijak było się oprzeć. Postanowiłem spędzić noc na brzegu, nabierać dzikiej cebuli i porzeczek, których w tajdze jakuckiej jest bardzo dużo. Te dzikie owoce i warzywa, pospolite na całej Syberii, od wieków podtrzymywały zdrowie i ratowały od śmierci z wycieńczenia różnych rozbitków losu, mających nieszczęście znaleźć się na Syberii wbrew swojej woli. Z daleka zobaczyłem sporą wysepkę tu i ówdzie porośniętą drzewami. Skierowałem więc w tym kierunku łódkę.

Przyjemne miejsce. Kilka zamkniętych jezior z niewielkimi kępami osik i brzoź. Kiedy chodziłem po wysepce, szukając odpowiedniego miejsca na obóz, na niedalekim cyplu zauważyłem jakiś dziwny ruch. Kiedy się dokładnie przyjrzałem, ze zdziwieniem zobaczyłem stadko najprawdziwszych zajęcy baraszkujących w wysokiej trawie. Zajęce na mój widok skuliły uszy, przywarły do ziemi, próbując stać się niewidocznymi. W pierwszej chwili zdziwiło mnie to bardzo, bo co jak co, ale zajęcy na tak małej wyspie nie spodziewałem się zastać. Momentalnie jednak wpadła mi do głowy pewna myśl - aby więc ich nie płoszyć, odwróciłem głowę i pomaszerowałem w drugą stronę. Natychmiast też przed oczami zobaczyłem pachnące pieczone mięso... Już poczułem jego smak, odczułem też niespodziewany napływ radości... Spokojnie, jak gdyby nigdy nic, wróciłem do pontonu i wyładowałem na brzeg swój skromny dobytek. Myślami jednak byłem przy zajęcach, świat wirował mi przed oczami. Uśmiechając się chytrze sam do siebie, spokojnie rozkładałem namiot. Jednego w tym momencie byłem pewien - dzisiejsza kolacja mi nie ucieknie, zajęce bowiem nie miały motorówki, a mostu też w okolicy nie widziałem... Przez chwilę zastanawiałem się, jak gryzonie się tu dostały. Ponieważ nie znalazłem żadnego logicznego wytłumaczenia, zacząłem zastanawiać się, jak skutecznie dobrać im się do futerka. Pamiętam, że wzrokiem szukałem już odpowiednich gałęzi, z których zamierzałem zrobić ruszt. Kiedy obozowisko było już gotowe, postanowiłem ruszyć na łowy. W tym celu udałem się w przeciwny koniec wyspy, gdzie rosły dosyć wysokie brzozy, zamierzałem bowiem z ich gałęzi wystrugać narzędzie zbrodni - dużą pałkę, którą mógłbym celnie miotać i zabijać

zające. Piszę zające, ponieważ kilka upieczonych sztuk zamierzałem zabrać z sobą. Idąc podskakiwałem z radości, że będę miał taki zapas żywności.

Wystrugałem pałę i żądny krwi ruszyłem w kierunku siedzących w trawie zajęcy. Będzie rzeź niewiniątek - myślałem, zbliżając się do miejsca, gdzie stadko na mój widok zamarło w bezruchu. Gryzonie nie miały żadnych szans ucieczki. Znajdowały się bowiem na cyplu, z trzech stron otoczone płynącą wodą. Przez chwilę zastanawiałem się nad etyką łowiecką, doszedłem jednak do wniosku, że i tak wiele z nich da dyla, a te, które oberwą latającą pałą, po prostu będą miały pecha - tak niestety w przyrodzie bywa. Kiedy pewny zdobyczy zbliżyłem się na odległość około dziesięciu metrów, stała się rzecz niesłychana, w którą nigdy bym nie uwierzył. Zające jeden po drugim zaczęły wskakiwać do wody! W lot pojąłem, że zaraz wszystkie zwieją, ruszyłem więc pędem do przodu, ruszyło też spłoszone stadko, jak na komendę jeden za drugim wskakiwał w silny nurt rzeki. Po chwili desant był już w bezpiecznej odległości, a ja jak idiota stałem na skrawku cypla, z pałą zdolną zabić niedźwiedzia. Długo stałem, patrząc na to niecodzienne widowisko - płynące szeroką tyralierą zające.

W sekundę wszystkiego mi się odechciało. Choć przed chwilą czułem jeszcze głód, teraz byłem już syty... Wmówiłem również sobie, że tak właściwie to nie lubię pieczonego mięsa, lubię tylko ryby... Poczłapałem do obozu, wyciągnąłem wędkę i pogrążony w myślach o rychłym powrocie do domu siadłem na brzegu.

Czuć było już jesień. Na niebie tłok jak na ruchliwym skrzyżowaniu. Setki dzikich kaczek i gęsi nadciągają z północy, kwacząc i krzycząc nade mną. Na wyspie wyraźnie słychać ich silny łopot skrzydeł, świadczy to, że ptaki są dopiero na początku drogi. Głowy ich skierowane są na południe, ogony zaś na północ, gęsi nigdy nie oszukują - tak nadeszła już jesień. Ptaki wydawały mi się znajome, przypomniało mi się bowiem, jak wczesną wiosną widziałem je lecące w kierunku łęgowsk. Teraz pewnie wracają ze swymi młodymi. Chciałem krzyknąć: Do zobaczenia za rok! W porę jednak ugryzłem się w język... Pustoszeje ta wielka ziemia, niedługo pewnie i ja odjadę, kaczki, gęsi na południe. Tylko wiejący wiatr tu pozostanie.

Tego wieczoru dosyć długo łowiłem ryby - jeśli nie ma pieczonych zajęcy, wezmę zapas upieczonych ryb. Jest ich naprawdę dużo - nie wszystkie zdołałem przyrządzić. Kilkanaście ze złowionych widziałem pierwszy raz w życiu, miały wygląd potworów, więc z obrzydzeniem czym prędzej wypuszczałem je z powrotem do wody. Na łowieniu czas leci szybko; była już głęboka noc, kiedy poczłapałem do namiotu.

Budzę się niespokojny. Coś przerwało mi sen, tylko nie wiem co. Po wyraźnie zielonym kolorze płótna namiotu poznaję, że jest już jasny dzień. Coś jednak nie gra, coś

wyraźnie mnie niepokoi. Zrywam się i jednym susem wyskakuję na zewnątrz. Jest mglisto, ale mgła już się podnosi; wąski, czarny, poprzecinany jasnymi smugami pas to brzeg rzeki. Pędzę tam, aby zobaczyć czy ponton jest

na miejscu. Po chwili stoję jak wryty - ponton jest, ale rzeki nie ma! Przecieram oczy ze zdumienia, szczypię się w ucho - chyba śnię - rzeka nie mogła przecież wyparować. A jednak jej nie ma, gdzieś gdzie pozostał po niej tylko ciemny wilgotny ślad. Mgła szybko podnosi się, czuję że wraz z mgłą podnosi mi się ciśnienie krwi. Wkoło tylko pustka - gdzie u diabła podziąła się rzeka? Szybko zwijam obóz, nie wiem, po co ten pośpiech, różne myśli przelatują mi przez głowę, coś każe mi się bardzo spieszyć, ale po co? - przecież nie dogonię rzeki. Co się stało? Czy to już jest koniec świata?... Po chwili jestem już spakowany, wystarczy wsiąść do łódki i w drogę... Nie wiem co robić, po chwili jednak się opanowuję i postanawiam ruszyć i poszukać rzeki. Nie jest to trudne zadanie, bowiem odpływająca woda pozostawiła wilgotny ślad po sobie, pytanie tylko, jak daleko jest jej główny nurt. Idąc zastanawiałem się, co spowodowało tak nagły spadek wody. Po chwili jednak przypominam sobie, jakimi prawami natury rządzi się ten rejon. Jak już wspominałem na początku, Lena ma dość ciekawą specyfikę. Jest w ciągu roku przez prawie dziesięć miesięcy zamarznęta. Sto osiemdziesiąt dni w górnym swym biegu, prawie trzysta w dolnym, oczywiście w zależności od roku. Latem lód smagany wiatrem i falami, ogrzany przez słońce i ciepłe prądy pęka i zaczyna się kruszyć. Z moich domysłów wynikało więc, że ostatni południowy wiatr definitywnie przegnał blokujące ujście rzeki pole lodowe i w ten sposób „odkorkował” rzekę. Teraz mogła już swobodnie wpływać do Morza Łaptiewów, a co za tym idzie wysoka woda gwałtownie opadła. Teraz już wiedziałem, skąd na wyspie wzięły się zające... Jednak nie zające miałem teraz w głowie, lecz ważący kilkadziesiąt kilogramów załadowany ponton. W chwilę później z radością zauważyłem wodę. Radość moja jednak była przedwczesna. Kiedy podszedłem bliżej, woda okazała się długim jeziorkiem, które pozostało w wyniku cofania się rzeki. Gdzie u diabła podziąła się rzeka? Postanowiłem wrócić na moją wyspę, która ostatniej nocy przestała być wyspą, i wspiać się na któreś z rosnących na wzgórzu drzew, skąd spodziewałem się dojrzeć rzekę. Pomysł okazał się trafny, bowiem po chwili w odległości około kilometra zobaczyłem ciemnoniebieski szeroki pas wody znajdujący się po przeciwnej stronie nieszczęsnej wyspy... Aby się jednak upewnić, że nie jest to kolejne podłużne jezioro, poszedłem zobaczyć z bliska zbawczą wodę. Szedłem z trudem po grząskim błocie, ale nie narzekałem, gdyż wiedziałem, że to błoto ułatwi mi transport pontonu do wody. Kiedy byłem już blisko rzeki, ze zdziwieniem zauważyłem mnóstwo olbrzymich jesiotrów leżących w błocie, niektóre z nich jeszcze się ruszały. Pomyślałem, że to durne ryby, gdyż nie potrafiły odpłynąć razem z wodą. Kiedy

jednak dobrze im się przyjrzałem, zobaczyłem, że wszystkie mają jakieś rany, nieco dalej ujrzałem tylko głowę i część ogona. Zastanowiło mnie to bardzo i dopiero w tym momencie zobaczyłem złowrogie ślady. Nogi ugięły się pode mną, wynikało bowiem z tego, że na tej niewielkiej wyspie mieszkała ze mną niedźwiedzica z dwoma małymi niedźwiadkami... To odkrycie sprawiło, że w dwadzieścia minut później płynąłem ponownie w dół rzeki. Jestem pewien, że gdyby istniała dyscyplina sportu „ciągnięcie pontonu po błocie”, w konkurencji tej miałbym zapewne złoty medal...

Od kilkunastu dni nie widziałem śladu bytności człowieka, kiedy więc z daleka ujrzałem na brzegu łódź, ucieszyłem się bardzo. Gdy podpłynąłem bliżej, zauważyłem na pobliskim stoku zabudowania składające się z domu mieszkalnego oraz budynków gospodarczych. Dostrzeżono również mnie, świadczyły o tym dzieci zbiegające z góry na spotkanie. Kiedy znalazłem się już blisko, zauważyłem, że były to dziewczynki, śliczne skośnookie Jakutki. - Tata zaprasza do nas - powiedziały nieco speszone i czym prędzej pobiegły z powrotem. Gdy wgramoliłem się na górę, w drzwiach przywitał mnie mężczyzna, na oko osiemdziesięcioletni starzec.

- Zapraszam w gościnę - powiedział, wyciągając przyjaźnie dłoń na powitanie. Weszliśmy do obszernej izby. Pomieszczenie spełniało rolę kuchni, pokoju, magazynu, warsztatu i sypialni. Na ścianach wisiały narzędzia oraz różne przybory łowieckie; stare, zardzewiałe sidła, sieci i haki do przenoszenia lodu. Panował ogólny bałagan, jednak było w tej graciarni coś wspaniałego, nieuchwytnego, czuć było ciepło ogniska rodzinnego. Gdy usiedliśmy, weszła młodziutka kobieta i na stole postawiła pokrojony chleb oraz dużą misę po brzegi wypełnioną czarnym kawiozem. Zrazu pomyślałem, że bardzo ładną córkę ma staruch. W chwilę później ku mojemu wielkiemu zdziwieniu gospodarz przedstawił ją jako swoją żonę. Widać musiałem mieć głupkowatą minę, gdyż, jak mi się wydawało, dziewczyna lekko się zarumieniła, a ja poczułem się trochę skrępowany sytuacją, w której jak grom z jasnego nieba spadł na mnie fakt, że stary Jakut może być mężem bardzo ładnej młodej kobiety. Zdałem sobie w tym momencie sprawę, jak bardzo jeszcze jestem staroświecki... W chwilę później ogłupiałem już zupełnie. Dowiedziałem się bowiem, że młoda para ma już dwoje dorodnych dzieci. Patrząc na zażyłość tych dwojga, widać było, że młoda Jakutka domyśla się tylko jego wielkich uczuć - żyje natomiast, marząc ciągle o wypełnionych czułościami wieczorach i upojnych jakuckich nocach.

Moje nienaturalne zachowanie nie uszło uwagi starca. Uśmiechnął się, po czym powiedział łamanym rosyjskim, abym się nie krępował, gdyż gościna u Jakutów to nie taka jak u Ruskich... - Tu dla gościa wszystko... Znałem już to „wszystko” z autopsji. Kiedy cztery lata temu jechałem przez Syberię, na trasie spotkałem grupę nomadów. Byli to Ewenkowie,

lud mający podobne zwyczaje jak Jakuci. Przyjęto mnie bardziej niż z honorami, gdyż gościnni Ewenkowie posunęli się tak daleko w swej dobroci, że oferowali mi na noc żonę gospodarza, który mnie podejmował. Owa dama nie była tak młoda - dobiegała siedemdziesiątki. Cóż, taki w tych stronach dobry obyczaj... Gwoli ścisłości dodam, że tego rodzaju gościna nie dotyczy tylko mężczyzn. Również pleć piękna będąca w gościnie może liczyć na wyrozumiałość męską...

Będąc jeszcze w Jakucku, podczas święta *yssyah* rozmawiałem z pewnym jakuckim szamanem, który ubolewał nad młodymi, którzy, jego zdaniem, nie szanują tradycji i bezwstydnie się całują. Zapytany przeze mnie, co widzi w tym sprośnego, odparł, że jakuccy zakochani zamiast czułych tradycyjnych całusów wzajemnie powinni się wachać...

Wspomniany szaman wydawał się być erotomanem, gdyż przesadnie dużo opowiadał o tych ważnych, lecz delikatnych rzeczach. Od niego między innymi dowiedziałem się, że czyste rasowo Jakutki nie mają piersi i owłosionego wżgórka łonowego. Szaman, jako doskonały znawca kobiecej anatomii, wymieniał jeszcze wiele innych cech odróżniających wspaniałe Jakutki od reszty żeńskiej populacji na świecie. Ubolewał, że hołdujących tradycji Jakutów jest już bardzo mało, dodał jednak, że można ich jeszcze spotkać na Północy. Nie wiem dlaczego, ale mój gospodarz właśnie na takiego konserwatystę wyglądał...

Z rozmowy wynikało, że ludzie ci mieszkają nad rzeką od niedawna. Wcześniej żyli w jurcie, włócząc się za stadem reniferów po tundrze. Kilka lat temu były jakieś waśnie w rodzie, więc powędrowali w górę rzeki i tu osiedli na stałe. Najpierw wybudowali dom, później letnik*, aby było gdzie zamrozić mięso i ryby. Żyją w szczęściu, łowią ryby, polują, w tajdze zbierają owoce. Głodu nie ma, ale też się nie przelewa.

Raz do roku, późną jesienią przyplływają barką rosyjscy biznesmeni. Przywożą cukier, sól, mąkę, herbatę i tytoń - wszystko za jesiotry i kawior. Według starego Jakuta Rosjanie to głupi naród, gdyż za sto kilogramów kawioru dają czasami aż dziesięć kilogramów cukru... Na rybie jeszcze lepiej się zarabia - w zeszłym roku za tonę jesiotra dostał worek mąki...

Opowiedziałem nieco o swojej przygodzie i celu podróży. Jakut wysłuchał relacji z uwagą, o nic nie pytał, niczego nie komentował. Teraz w ciszy dopiliśmy herbatę. Wreszcie zapytał, jak długo zamierzam u niego gościć. Kiedy odpowiedziałem, że zaraz płynę dalej, nie krył swego zdziwienia. Polecił żonie, aby przygotowała mi na drogę chleb i wędzoną rybę. Podziękowałem za gościnę, a stary Jakut, odprowadzając mnie do drzwi, radził abym płynął teraz wzdłuż prawego brzegu, mówił, że jak dobrze pójdzie, to za dzień powinienem dopłynąć do Dżardzan. Pokiwałem na pożegnanie i odepchnąłem ponton od brzegu. Byłem

już daleko na środku rzeki, a jeszcze widziałem malutkie postacie dzieci i bawiących się na brzegu. Zastanawiałem się, co ci ludzie robią w zimie, jak i wygląda ich powszedni dzień. Myślałem też, jak to się stało, że taki staruch był mężem tak młodej dziewczyny, wręcz dziewczynki. Byłem rozbawiony, gdy wyobrażałem sobie tych dwoje podczas małżeńskich harców... Później, będąc już w Kjusjur, przypadkowo dowiedziałem się co nieco o tych dwojgu. - Otóż w społeczeństwie nomadów Północy wiek mężczyzny liczy się według lat jego żony. Jeśli na przykład ktoś ma żonę staruchę, to w społeczności przysługują mu prawa ludzi w tym samym co ona wieku. Jeśli jest na odwrót i jest się już niemłodym, ale żona jest młoda, wtedy trzeba pokornie przyjąć postawę obowiązującą młodych. Właśnie ta tradycja zaważyła na tym, że staruch z młodą żoną odłączył od pozostałych i powędrował w górę rzeki. Osobiście też nie pozwoliłbym, aby do roboty gnał mnie jakiś piętnastolatek... Od tej chwili napotykanie jakichkolwiek rzeczy niezwykłych nie robiło już na mnie najmniejszego wrażenia.

Pogoda wydawała się w kratkę. Co raz zza chmur wychodziło słońce, wiatr co chwila zmieniał kierunek. Góry to się zbliżały, to oddalały. Wreszcie stanęły w poprzek niby strażnicy północy, wysokie i wyprężone wbiły się w ciemniejące i niebo. Rzeka szerokim łukiem zakręcała w lewo. Teraz Góry Wierchojańskie dochodziły do samego brzegu.

Płynąłem dość szybko. Aby urozmaicić sobie czas, co godzina odliczałem pozostałe do ujścia rzeki kilometry. Pozostało ich już niewiele - niecałe pięćset. Pod wieczór zaczęło wiać już tylko z północy, wiedziałem, że niczego dobrego to nie wróży. Nie myliłem się, po chwili niebo zaciągnęło się i słońce znikło. Było wiadomo, że nadchodzi sztorm, więc czym prędzej chwyciłem za wiosła i skierowałem łódkę w kierunku brzegu. Kiedy zobaczyłem w jakim kierunku przyszło mi wiosłować, zrobiło mi się bardzo nieswojo, cały widnokrąg po tej stronie rzeki zasłonięty był potężną górą o kształcie olbrzymiego czarnego trapezu. Góra była tak wielka i stroma, że przytłaczała wszystko wkoło. Upiorny był to widok - zresztą wśród skał pod ponurym, zasnutym chmurami niebem wszystko było wrogie. Ledwo wyszedłem na brzeg, kiedy z północy wzdłuż rzeki przetoczyła się potężna nawałnica. Trwała około pięciu minut, po czym nastąpiła błoga cisza. Rzeka uspokoiła się, po chwili na niebie znów uśmiechało się słońce. Chcąc jak najszybciej uwolnić się od przytłaczającej góry, czym prędzej wsiadłem do pontonu i popłynąłem dalej w dół rzeki. Postanowiłem, że teraz choćby nie wiadomo jaki sztorm nadciągnął, to na ląd wysiądę dopiero w Dżardżan.

Nastał wieczór, później pogodna jasna noc. Wszystko zamarło w ciszy, od czasu do czasu słychać było tylko lekki plusk wody ocierającej się o ponton.

Ułożyłem się w pozycji półleżącej i patrzyłem na wolno przesuwane się brzegi. Nuda rozciągała się jak niebo - wszechobecna, prawomyślna i bezpieczna. Była jak gruba

materia, krępująca każdy gwałtowny ruch, utkana z wody, tajgi i gór. A młodość chce przecież ruchu... Czym dalej na północ, tym drzewa porastające brzegi stawały się coraz niższe; nie tworzyły już zespołu, jakim jest las; stały karłowate, powyginane w różnych kierunkach - miało się wrażenie, że prowadzą walkę o byt. Rozglądając się wkoło, zastanawiałem się, czy krajobraz ten wyglądał tak samo przed milionami lat, kiedy władcami tej krainy były mamuty. Czy spacerowały wzdłuż rzeki, popijając wodę... Zastanawiałem się też, jak dużą stanowiły populację, skoro tu na każdym kroku odnajdujemy ich szczątki. Pewnie było ich sporo, gdyż jedynym naturalnym wrogiem był tylko człowiek, dlatego zwierzęta te nie niepokojone przez nikogo doskonale mogły się rozwijać. Dziś okres ich panowania obliczono na blisko sto tysięcy lat! Człowiek nie mógł zrobić im większej krzywdy - ludzi wówczas było mało i jest pewne, że nie polowali dla sportu - zważywszy że jedno udane polowanie dostarczało kilku ton świeżego mięsa, domniemać się można, że małemu plemieniu wystarczało to na długie miesiące. Faktem jednak jest, że mamuty wyginęły.

Dziś wszyscy zastanawiają się, dlaczego one wyginęły, a na przykład słoniom udało się przetrwać. Hipotez jest wiele. Po latach zlodowaceń następowały gwałtowne zmiany klimatyczne. Po okresie zimna nastąpiło ocieplenie. Odegrało to wielką rolę w zniknięciu tych zwierząt. Dziś na podstawie wykopalisk udowodniono, że kiedy liczebność ich malała, odbijało się to na ich psychice, były wręcz zrozpaczone. Świadczą o tym pozycje ciała, w jakich zakończyły życie. Wiele z nich zginęło podczas długich migracji, większość prawdopodobnie utonęła. Przed laty - daleko stąd na brzegu Ałdanu - widziałem wielkie cmentarzysko tych zwierząt. Najnowsze badania poświadczyły tezę, że podczas ery zlodowaceń poziom morza tak opadł, że Syberię i Alaskę połączył most lądowy. Mamuty przeszły suchą nogą do Ameryki w miejscu gdzie obecnie znajduje się Cieśnina Beringa. Kiedy dostały się na nowy kontynent - mamuty zwane już amerykańskimi - ruszyły na południe i dotarły aż na Florydę i do Meksyku. W nowym łagodniejszym klimacie zmieniły się w największych przedstawicieli swojego gatunku na Ziemi. Obecnie najbardziej kompletny zapis ich amerykańskiej odysei leży na dnie dawnego mokradła w południowej Dakocie. Okryto tu świetnie zakonserwowane szczątki wielu tych zwierząt, na podstawie których przeprowadzono stosowne badania naukowe, stuprocentowo potwierdzające ich syberyjski rodowód! Rodzi się jednak kolejne pytanie - dlaczego mamuty wyginęły wśród takiego bogactwa pokarmu? Niestety, na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jedni mówią, że bezpośrednio przyczynił się do tego człowiek, inni, że wyginęły wskutek jakiejś choroby lub nieznaney nam jeszcze katastrofy naturalnej. W związku z powyższym, z powodu braku jakichkolwiek wyraźnych wskazówek, pytania te na zawsze mogą zostać bez

odpowiedzi, a nam pozostaje tylko cieszyć się dotychczasową wiedzą o nich, a na otarcie łez postawić na biurku rzeźbę wykonaną z kości mamuciej, którą bez problemu można nabyć nawet w Moskwie.

Ludzie zamieszkujący północne rejony Syberii od wieków wykorzystują znalezione szczątki tych wielkich ssaków. Jakuci potrafią nawet określić wiek znalezionego zwierzęcia, określają to na podstawie narośli na trzonowym zębie, podobnie jak można określić wiek drzewa na podstawie słoju. Dawniej ze szkieletów robiono część uprząży dla reniferów, guziki, ozdoby i przybory łowieckie, współcześnie z kości wykonuje się przepiękne rzeźby, przedstawiające nawet całe sceny łowieckie. Kość mamuta można doskonale kroić nożem - należy ją tylko zamoczyć na kilka godzin w wodzie. Biorąc pod uwagę, że ciosy tych zwierząt często mierzą ponad pięć metrów, można sobie wyobrazić jego całą sylwetkę. Przypomnę, że waga dorosłego osobnika często przekraczała dziesięć ton, czyli dwa razy tyle, ile waży największy słoń.

Dziś mekką wiedzy o tych zwierzętach jest już nie tylko Daleka Północ, lecz także bliski St. Petersburg, a konkretnie muzeum paleontologiczne kierowane przez profesora Nikołaja Wereszanina, który większą część swego życia poświęcił badaniom mamutów włochatych. Dziś wiemy już, że na podstawie dobrze zakonserwowanych znalezisk, przy odrobinie woli i środków jesteśmy stanie klonować. Może by tak jako rekompensatę za wyniszczone gatunki odtworzyć mamuty i na złość Rosjanom znów zasiedlić nimi Syberię...

Znużony myślami o mamutach przysnąłem nad ranem. Jakiś czas później obudziłem się i ze zdziwieniem zobaczyłem przed sobą las kontenerów stojących na brzegu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dopłynąłem właśnie do Dżardżan. Był jeszcze wczesny ranek, ale koło łodzi stojących na brzegu kręcili się już rybacy. Kiedy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem, że to skośnoocy Jakuci lub Ewenkowie. Rybacy początkowo nieśmiało spoglądali w moją stronę, kiedy jednak przemówiłem po rosyjsku, stali się nieco rozmowniejsi. Dopiero gdy opowiedziałem, skąd się tu wziąłem, lody zostały przełamane. Zapraszali mnie do chaty, ale szkoda było mi dnia i ładnej, bezwietrznej pogody, chciałem zaraz płynąć dalej, więc im serdecznie podziękowałem. Wówczas jeden z rybaków dobył z łódki butelkę alkoholu - był to mocny samogon - i kawał wielkiej wędzonej ryby. - Wypijmy za gościa - powiedział i najpierw sam wychylił małą szklaneczkę. Następnie nalał mi i pozostałym rybakom. Tak się zaczęło. Później drugi rybak sięgnął do swej łódki, później następny. W tym czasie doszli inni rybacy i każdy z nich sięgał do łódki... Pamiętam, że ktoś rozpałił ognisko na brzegu, że głośno złorzeczono Gorbaczowowi. Jeden nawet demonstrował, co by z nim zrobił, gdyby Gorbaczow przez przypadek znalazł się w Dżardżan - oczywiście bez obstawy... Było wesoło, świat promieniał szczęściem.

Odpłynąłem około południa kompletnie pijany, ale zadowolony, gdyż uważam, że od czasu do czasu należy wziąć coś na odrobaczenie. Poza tym - jakby mogło się wydawać - nie był to czas całkowicie stracony, gdyż wiele się dowiedziałem o okolicy i żyjących tu ludziach.

Jeszcze nie tak dawno Dżardżan świetnie egzystował, gdyż swego czasu stacjonowało tu wojsko. Znajdowała się tu ściśle tajna baza wojskowa. Trzymali coś metalowego pod ziemią i opiekowali się wielkimi radarami rozmieszczonymi wzdłuż rzeki. Jeden z nich widziałem niedaleko Zigańska. Były to dobre czasy dla osady - niczego we wsi nie brakowało, gdyż wojsko na swój sposób opiekowało się miejscowymi. Do dziś w skośnym oku łezka się kręci na wspomnienie darmowej benzyny i smacznego wojskowego chleba. Kiedyś wieś żyła - były kioski, utwardzone drogi, była też sala taneczna. Młodzież miała gdzie się podziać. Pewnego lata wieś ustawiła nawet budki z wodą sodową... Kiedy mieszkali tu Rosjanie, we wsi rosły nawet drzewa, były nawet przydomowe ogródki. Dziś Rosjan mieszka tu niewielu - odeszli, pozostali tylko Eweni, Ewenkowie i Jakuci. Teraz po koszarach pozostały tylko ruiny, we wsi nie ma paliwa, nie zawsze jest mąka, by upiec chleb. Jednak nie do końca jest tragicznie - kilkanaście kilometrów dalej w dół jedzenia jest w bród, bowiem znajdują się tam wielkie magazyny żywnościowe. To tajne rezerwy państwowe na wypadek „W”, ale co tu ściemniać - w razie nagłej potrzeby są tam również odpowiednie znajomości. Osada z jedzeniem nazywa się Przyleńsk, lecz z wiadomych względów próżno szukać na jej mapie. Personel składu jest cywilny, paru miejscowych ma tam pracę, mieszkają tam jak burżuje - w dwupiętrowych składanych domach, importowanych specjalnie dla nich aż z Czech. Nie trzeba chyba dodawać, że pracownicy magazynów wśród miejscowych piękności budzą wielkie pożądanie... W samym Dżardżan na razie z głodu nikt nie umiera. Najgorsza jest wiosna, latem jest już lepiej, zaś jesienią jest Ameryka, gdyż właśnie o tej porze roku przyplývają tu statki skupujące ryby. Właśnie już od kilku dni wszyscy w Dżardżan z niepokojem patrzą w górę rzeki - czy aby biznesmeni w tym roku nie zapomną o nich. Oj, biedna byłaby zima bez mąki, cukru i herbaty...

Wieczorem dochodzę do świadomości po wizycie w Dżardżan. Nawet specjalnie nie bolała mnie głowa, za to strasznie chciało mi się pić. Ze smutkiem stwierdziłem, że znów jestem sam. Wkoło mnie tylko nierozłączni przyjaciele: kac, czas i przestrzeń - na nich tu zawsze mogę liczyć. Niby to nic nowego, bo tak właściwie to wszędzie gdzie jestem - jestem jakby na postoj. Także dom jest stacją. Jest on potrzebny, żeby leczyć rany, na dłuższą metę może jednak stać się więzieniem. Żyje się wtedy, kiedy się podróżuje, nawet jeśli jest to podróż bez wyraźnego celu. Taki głupi mam charakter.

Na prawym brzegu dostrzegam jakieś prymitywne domostwo, widać zamieszkane, gdyż dym unosi się z komina. Ogromnie ciekaw jestem, kogo i dlaczego wyniosło tak daleko

w głusze. Swoją drogą, dom był bardzo malowniczo położony, stał na wzgórzu oparty o ścianę lasu, tuż przy nim wpadała do Leny jakaś bystra rzeczka - może nawet było w niej złoto.

Początkowo zamierzałem wstąpić do tych pustelników, lecz szczerze powiem, że jeszcze nie za dobrze się czułem po porannej wizycie u dżardzańskich rybaków. Teraz robiłem sobie wyrzuty, że na pusty żołądek wypilem tak dużo mocnego samogonu. Nie najlepszy to był pomysł, ale był pomysł i to jest najważniejsze...

Niektórzy ludzie, do których również należę ja, zawsze mają dużo wspaniałych pomysłów. Wciąż coś zaczynają i zawsze są na początku. Codziennie jest dla nich nowy dzień. Nigdy do niczego nie dochodzą, bo każdy dzień jest nowy i stanowi początek czegoś innego. Nigdy nie dochodzą do środka i nie docierają do końca. Są już na łożu śmierci, ale nigdy jeszcze niczego nie zaczęli. Są szczęśliwi, bo każdy dzień jest dla nich nowym wyzwaniem.

Wielu ludzi natomiast czuje, że są martwi, w takiej są kondycji psychicznej i na takim znajdują się etapie. No cóż, skoro jesteś martwy, musisz wystartować z tego właśnie punktu. Musisz powrócić do życia, ale niestety nie możesz przeskoczyć od śmierci do narodzin, bowiem zanim można się narodzić, trzeba zostać najpierw poczętym, a później przejść przez cały proces inkubacji. Wniosek - trzeba zacząć od nowa, musi się więc zrodzić jakiś nowy cel.

Na przykład masz jakiś pomysł, przychodzi ci on do głowy. Coś wisi w powietrzu, ale jeszcze nie zostało to zlokalizowane. Musisz się do tego zabrać, musisz w to wejść, a wówczas to zaczyna tkwić w tobie. Potem następuje okres „ciąży” - pracujesz nad tym, ale nie jesteś gotów jeszcze zaprezentować tego światu. Potem wreszcie jesteś gotów i pomysł się rodzi. Pomysł nigdy by się nie - narodził, gdyby nie zasiano ziarna, które przeszło wiele przemian, a każdy kryzys psychiczny jest również taką przemianą. To proces, który na nas wpływa - od niego się to zaczyna, bowiem wszystko ma początek, środek i koniec. Każdy z nas już tego doświadczył, świadomie lub nie. Ileż to razy mieliśmy sytuację w życiu, że świat się nam zawalił, znaleźliśmy się w pułapce bez wyjścia. Później, jak , się okazało, jakoś wszystko wróciło do normy, mało tego, doświadczyliśmy, że gdyby nie to, co w danym momencie wydawało się nam katastrofą, nie byłoby tego, co jest teraz - tego dobrego. Każdy człowiek zatem posługuje się tym prostym schematem - tą mapą, za pomocą której potrafi określić, gdzie w danym momencie się znajduje i jak ma się sam do siebie zwrócić. W ten prosty sposób wiem, że choć jeszcze dręczy mnie kac, to już jutro będzie lepiej, będę widział świat w barwach piękniejszych niż dziś...

Nastąpiła chłodna noc. Choć noc - wkoło widno jest jak w dzień. Zrywa się wiatr,

wiejący tutaj stale, tak że drzewa mają korony zwrócone w stronę lądu, jakby chciały uciec od nieprzyjaznego podmuchu. Odnosi się wrażenie, że drzewa wyciągają konary po ratunek do stwórcy, który je tu posadził.

Nie mam dziś ochoty na nocną żeglugę, chcę się wyspać, wreszcie dojść do siebie po ostatniej milej wizycie. Chwytam więc za wiosła i kieruję ponton w stronę górzystego brzegu.

Przede mną piętrzy się rumowisko głazów, które stoczyły się z gór do wody, widać też kilka potężnych skał, jakimi jest najeżony brzeg. Płynę ostrożnie, ale wcale nie jest to łatwe, nurt jest silny i muszę bardzo uważać, aby nie nadziać się na jakąś ostrą skałę. Przez pół godziny daremnie szukam jakiegoś możliwie płaskiego miejsca, na którym dałoby się ustawić namiot, gdzie można by w miarę wygodnie się położyć - ale brzeg usłany jest tylko głazami i ostrymi kamieniami. Wreszcie udaje mi się znaleźć odpowiednie miejsce. Co prawda, nie jest to wyściełana kwiatami łąka, jednak po krótkich oględzinach stwierdzam, że można się tutaj zatrzymać i w miarę wygodnie rozgościć. Mój mały namiot trzepocze w silniejszych porywach wiatru. W ogóle dziś wyjątkowo wieje w nocy, dotychczas poza kilkoma szkwałami noce były z reguły bezwietrzne. Wsuwam się do śpiwora, ciesząc się, że mam dach nad głową. Skromny, ale zawsze dający schronienie.

Spałem chyba bardzo długo. Niestety, nie wiem jak długo, gdyż wczoraj zapomniałem nakręcić zegarek, który teraz stale wskazywał godzinę piątą. Wyjrzałem na zewnątrz, brak słońca, dookoła szary blask i mgła, nie mam zielonego pojęcia, która może być. Żeby choć było słońce, a tu tylko szara wata.

Gdy mieszka się w głuszy, stale w tym samym miejscu, na przykład tu nad Leną, wówczas łatwo jest określić czas. Pod wieczór słońce zawsze zbliża się bardziej do ziemi - to pierwsze. A po drugie - zawsze się wie, że rano wisi ono nad, na przykład, przetoką. We dnie wędruje od strony prawego brzegu, wieczorem widoczne jest nad wierchami. Ponieważ latem na Północy w ogóle nie zachodzi, wędruje tuż nad horyzontem wzdłuż lewego brzegu rzeki. Jakie to proste. Można rozdzielić drogę słońeczka według punktów orientacyjnych na kilka odcinków i operować nimi jak dusza zapragnie. Umówimy się na przykład, że ktoś popłynie przejrzeć sieci w czasie, kiedy słońce znajdzie się nad „tą oto polaną”. Wszystko jest zrozumiałe i pomylić się nie można - słońce wie, co robi. Ale w moim wypadku szkopał w tym, że nie mieszkam tu na stałe, więc w tej chwili trudno jest mi określić, która jest godzina.

Zdrętwiały jeszcze od długiego snu ubieram się na leżać. Namiot jest tak ciasny, że z trudem mogę w nim usiąść. Wszystko co wczoraj schowałem do śpiwora, jest teraz suche i ciepłe, tylko kufajka i buty są nieco wilgotne. Biorę się

w garść i żwawo wyskakuję z namiotu. W biegu zbieram suche drewno dryfowe, którego tu pełno, rozpalam ogień, nastawiam wodę na herbatę.

Mgła powoli się podnosi z każdą chwilą ukazując coraz to większe fragmenty srebrzących się w oparach szczytów gór. Nieco dalej po prawej wylania się z mgły stroma góra, szczytu jeszcze nie widać, tylko pionową ścianę niknącą gdzieś w niebie. Robi to potężne wrażenie. Z drugiej strony z doświadczenia wiem, że widziane z daleka pionowe ściany przedziwnie spłaszczają się, kiedy się do nich bliżej podejździe. Gdyby nie to doświadczenie uważałbym tę górę za barierę nie do pokonania.

W chwilę później powiało z północy, mgła gwałtownie uniosła się, odsłaniając tym samym cały krajobraz. Teraz słońce prześwitywało przez unoszącą się mgłę, nadając okolicy prześliczną pastelową barwę. Jestem zachwycony tym zjawiskiem, przez moment zapominam o niewygodach. Cudowna wręcz wydaje mi się dalsza droga, więc czym prędzej dopijam gorącą jeszcze herbatę. Ale jak mawia przysłowie, od radości do zmartwienia jeden tylko krok.

Tego samego dnia wieczorem rozbiłem obozowisko w odległości pięćdziesięciu metrów od ujścia jakiejś rzeczki do Leny. Ostatnimi czasy zawsze rozbiłem obóz przy ujściach strumieni, w które często wpływałem, jeśli pozwalał nurt. Tak było i tym razem. Niczego nie podejrzewając, nie przeczuwając zbliżającego się nieszczęścia, rozbiłem namiot na brzegu strumienia, wyciągnąłem łódź na brzeg, rozpałem ogień i po zjedzeniu kolacji poszedłem spać. Tego wieczoru pogoda była normalna: nad rzeką kłębiła się mgła, wiał lekki wiaterek. Byłem bardzo zmęczony, nie chciało mi się więc wyladowywać zawartości pontonu. Cały swój dobytek, w tym sprzęt fotograficzny, pozostawiłem więc w łodzi, przykryłem go tylko brezentem. Zmęczenie spowodowało, że nie usłyszałem, kiedy o północy rozpętała się prawdziwa jesienna ulewa. Gęsty deszcz zaczął padać koło północy i lał bez przerwy aż do rana. Płótno namiotu nie przepuściło ani kropelki, spałem więc spokojnie aż do rana. Obudziłem się o szóstej. Słyszac szum, w pierwszej chwili pomyślałem, że to wiatr. Przewróciłem się więc na drugi bok i zamierzałem spać dalej, kiedy nagle dotarło do mnie, że to deszcz! Zaczynało tak, że z namiotu nie można było wytknąć nosa. Siedziałem skulony z zimna i spoglądałem przez szparkę na niemal jednolitą ścianę wody spadającą z nieba. Nie wyobrażałem nawet sobie, że takie zjawisko można zaobserwować na tej szerokości geograficznej. Żadna tropikalna ulewa nie jest porównywalna z polarnym deszczem. Zdawało się, że wszystkie lody i śniegi Oceanu Lodowatego przekształciły się w chmury, które teraz z łoskotem spadają mi na głowę. Nagle olśnienie. Ponton! Wychyliłem głowę i spojrzałem na brzeg: był pusty. W miejscu, gdzie przywiązałem do pniaka łódkę, kotłowała się wezbrana fala strumienia. Zresztą nie był to

już strumień, ale burzliwa górską rzeka. Niosła ona całe pnie drzew, podmyte gdzieś w górze lub zwalone zimowymi wichrami. Jakaś niepojęta siła wyrzuciła mnie w mgnieniu oka z namiotu. Pólnagi, sieczony ulewą popędziłem wzdłuż biegu strumienia w nadziei, że ponton nie został jeszcze zniesiony do koryta rzeki. Był to potwornie szaleńczy bieg - bieg o życie.

Przy ujściu strumienia powstał zator. Woda przynosiła coraz to nowe pnie drzew oraz wielkie gałęzie, które nie znajdując przejścia, gromadziły się jedne na drugich, spiętrzały, kotłowały się jak żywe. Z daleka zauważyłem, że wewnątrz zatoru coś czerwieniało - były to napisy umieszczone na moim pontonie! Fala ulgi, jednocześnie zgrozy. Jak dotrzeć do łodzi? Stałem, namyślając się co robić, wreszcie w afekcie dobiegłem do zatoru i balansując na pniach skierowałem się ku łodzi. I wówczas stało się nieszczęście. Drzewa, które jak gdyby oczekiwały, że ktoś je popchnie, pomoże im wyjść z ciasnej gardzieli, nagle drgnęły, rozsypały się pod moim ciężarem i cały zator porwany wyzwoloną falą z hukiem i rykiem runął do szerokiego koryta rzeki. Dalej wszystko potoczyło się w ułamku sekundy - straciłem równowagę i z głośnym krzykiem znikłem, jak wszystko, w odmętach rozszalałej rzeki. Wypływając uderzyłem głową o jakiś pień, cudem nie straciłem przytomności. Po chwili poczułem grunt pod nogami i przeskakując przez dryfujące pnie, wydostałem się na brzeg. Jeszcze dobrze nie ochłonałem, kiedy opodal brzegu zobaczyłem dryfujący w dół rzeki ponton. Nie namyślając się dogoniłem go brzegiem, po czym rzuciłem się do wody i po chwili trzymałem go już za uchwyt. Nawet nie wiem, kiedy się nań wdrapałem. Dzisiaj, prawie trzy lata po katastrofie, mogę już pisać spokojnie i ustalać szczegóły, ale wówczas przerażenie mnie sparaliżowało. Pamiętam, jak po dobieciu do brzegu stałem długo w okropnej ulewie, a woda ściekała ze mnie jak z rynny. Wcale nie reagowałem na chłód. Później wyciągnąłem łódź daleko na brzeg, a sam powlokłem się po błocie do obozowiska. Woda już zatapiała namiot i gotowa była lada chwila go porwać. Z najwyższym wysiłkiem przeciągnąłem go na suche miejsce i dopiero teraz mogłem sobie zdać sprawę z powagi sytuacji. Deszcz nie ustawał, nie była to już ulewa, ale potoki wody spadające z nieba niemal przez okrągłą dobę. Dopiero wieczorem nieco przejaśniało, ustał deszcz, a ja rozpałiłem ogień i prawie całą noc suszyłem przemoczony dobytek.

Dzień później po raz kolejny zobaczyłem, jak jest się bezsilnym wobec potęgi żywiołu. Byłem poruszony tym, co działo się na rzece. Pływałem już po różnych akwenach, również po morzu, bywało tak, że woda morska swym słonym smakiem sięgała mi do gardła. Ale dziś zobaczyłem nieskrępowany niczym ocean. Żywioł potężny, wielki i czysty. Zrozumiałem te wszystkie zachwyty poetów i cudowności przemian dokonanych w człowieku przez szalejącą wokół niego wodę. Pomyślałem, że przy tym żywiole jestem mały

i nic nie znaczę, że może za chwilę nie być po mnie śladu. Nurt jest zawsze gotów porwać ludzkie

życie, dopiero tu po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z własnej śmiertelności. Zrozumiałem, że świat nie kręci się wokół mnie, tak jakbym sobie życzył, zrozumiałem, że tak naprawdę każdy człowiek jest niczym, żyje, ma swoje zmartwienia i radości, które tak naprawdę zauważają tylko najbliżsi, nikogo więcej to nie obchodzi. Co więc ludziom po materialnym bogactwie, wszystko jest ulotne, chcemy zawojować kosmos, a nie jesteśmy w stanie zrozumieć potężnego rytmu żyjącej natury. I tak długo będziemy ubodzy, póki nie zrozumiemy do końca piękna szalejących fal, które biją i biją w skalny niedostępny dla mnie brzeg...

Nie jestem pewien, czy walcząc z żywiołem nie minąłem Siktiach, sporej osady leżącej po lewej stronie rzeki. Staram się wznowić orientację geograficzną, ale okolica jest tak jednakowa, że szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, w którym miejscu jestem. Obecnie wiem na pewno, że żyję i jeszcze znajduję się na rzece. Po paru godzinach jednak się upewniam, że Siktiach pozostało z tyłu. Następna miejscowość znajduje się na prawym brzegu w odległości około stu kilometrów, wnioskuje więc, że jeśli pogoda dopisze, to za dwa dni powinienem tam dopłynąć.

Widok osrebrzonych mgiełką Gór Wierchojańskich, ciągnących się wzdłuż prawego brzegu oraz wszechobecna cisza pochłonęły mnie bez reszty. Płynąłem zadowolony, rozkoszując się tą wiekiustą pieśnią przyrody. Zdałem sobie sprawę, że to co obecnie czuję, może się przytrafić tylko z dala od ludzi, zgiełku miast, huku, jaki niesie za sobą cywilizacja. Teraz wiem już na pewno, że w głuszy leśnej nawet najbardziej trzeźwo myślącym umysłem zdarza się mieć na pozór dziwne myśli i marzenia. To nie halucynacje, myślę, że to coś normalnego, świadczącego tylko o tym, że pomimo iż jesteśmy tak bardzo cywilizowani, to jednak zachowała się jeszcze ta niewidzialna nić łącząca nas z naturalnym środowiskiem.

Wyraźnie czuję już chłodne, arktyczne powietrze. Także niebo wydaje się być inne. Wieczorami spogląda już innymi gwiazdozbiorami. Zauważyłem, że czym dalej na północ, tym Wielka Niedźwiedzica - przyjaciółka podróżników, ucieka bardziej w kierunku zenitu, Merkury zaś - patron złoczyńców - wychodzi dopiero z czeluści ciemności i nieśmiało tuż nad horyzontem zaczyna świecić. Na południu Jowisz i Saturn okręcają się wokół siebie niby tańcząca para. Na wschodzie i zachodzie niestety nie rozpoznaję już żadnej gwiazdy. Spokojnie mijają dwa dni. Było cicho, groźnie i wspaniale.

Kolejnego dnia wczesnym rankiem daleko na horyzoncie dostrzegam wyciągnięty na brzeg duży statek. Kiedy podpływam bliżej, zauważam stojące przy brzegu łodzie - domyślałem się, że dotarłem do Kjusjur, ostatniej osady leżącej nad rzeką.

Wieś rozciąga się parę kilometrów wzdłuż rzeki. Z brzegu nie widać domostw, choć znajdują się niedaleko wody. Osłania je wysoki naturalny wał, na którym stoją oddalone od siebie o kilkadziesiąt metrów rzeźbione słupy szamańskie, strzegące domostw przed groźną rzeką, a przede wszystkim przed złymi duchami i Wszystkimi nieszczęściami z nimi związanymi. Ponoć duchów w okolicy Kjusjur nie brakuje...

Nie brakuje też tu wszelkiego rodzaju przestępców, gdyż żyje tu podobno dziwna społeczność: wygnańcy i wyrzutki społeczne. Co ciekawe dowiedziałem się o tym w Kireńsku, oddalonym od Kjusjur o ponad trzy tysiące kilometrów. Ciekaw bandytów wspiąłem się na wysoki brzeg. Wieś jeszcze spała. Kilkanaście białych domów, las różnego rodzaju anten, zabudowania kołchozu „Arktyka” - ponoć jedyne w Jakucji, gdyż reszta to sowchozy. Spacerkiem ruszyłem do wsi. Kiedy wszedłem między zabudowania, uwagę moją przykuł duży napis znajdujący się na jednym z budynków, z treści którego wynikało, że znajduje się tu szkoła muzyczna, która w tym roku obchodzi setną rocznicę powstania! Zgłupiałem do reszty, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Wyobraziłem sobie bowiem orkiestrę symfoniczną i grających w niej Jakutów. To było straszne - Jakuci grający Mozarta... Na samą myśl o tym koncercie postanowiłem czym prędzej wrócić nad rzekę. Żle ze mną, trzeba płynąć dalej, trzeba płynąć dalej - powtarzałem w myślach... Kiedy wracałem, spotkałem człowieka, którego zachowanie wskazywało na to, że właśnie mnie szuka. Przedstawił się jako Jura i zapytał, czy stojący na brzegu ponton należy do mnie, gdyż zamierza go ode mnie nabyć. Zaznaczył przy tym, że co prawda pieniędzy nie ma, ale rozliczy się ze mną kawiozem i rybą. Dodał też, że na pewno nie będę miał krzywdy.

Wy tłumaczyłem skośnookiemu, co tu robię i czym jest dla mnie ponton, po czym zamierzałem już odejść, kiedy on zapytał, czy byłem już u pasterzy... Nie wiedziałem o czym mówi, ale po chwili Jura wszystko mi wytłumaczył.

Latem w tundrze w okolicach Kjusjur zatrzymują się nomadowie wraz ze swoimi stadami reniferów. Letnia pora nie wymaga od nich stałego wędrowania przez tundrę w poszukiwaniu nowych pastwisk. Choć stada ich często liczą parę tysięcy sztuk, to pokarmu w okolicy wystarcza dla wszystkich zwierząt. Stąd coroczna obecność pasterzy w okolicy wioski.

Zainteresowałem się tą wiadomością, ale zaraz szczerze wyznałem, że nie mam na taką wycieczkę pieniędzy. - Chcąc, by się facet odczepił, dodałem, że oczywiście byłbym rad, gdyby mógł mnie za darmo zawieźć w tundrę. Jura przez chwilę kręcił głową, ale wreszcie machnął ręką i powiedział: - jedziemy. W chwilę później byliśmy już w drodze.

Jura świetnie mówił po rosyjsku, twierdził, że jest byłym wojskowym. Dowodem na to miała być jego rozklekotana ciężarówka, którą dostał odchodząc z armii zamiast

rocznego uposażenia. Jura twierdził, że pierwszy raz w życiu ma kurs za darmo, zawsze płacą mu rybą, kawiozem lub samogonem, raz nawet za daleki kurs w tundrę dostał na własność młodą Jakutkę, którą po jakimś czasie przehandlował dalej za bimber innym Jakutom. Nie dziwiło mnie to bardzo - co kraj, to obyczaj.

Niebawem wjechaliśmy w tundrę. Obszar tundry zajmuje ponad dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych i choć jest to strefa bardzo surowego klimatu, to jednak można tu spotkać wiele okazów roślin i zwierząt, które w przedziwny sposób przystosowały się do tak mało sprzyjających warunków. Północna tundra to miejsce gdzie ziemia styka się z lodem. Niedaleko stąd znajduje się sławny biegun zimna, gdzie temperatura często spada poniżej siedemdziesięciu stopni Celsjusza. Latem słońce budzi tu do życia piękny, dziwny świat, bowiem arktyczne lato to krótka, wspaniała pora życia - to cud i zmartwychwstanie na krawędzi lodu.

Po drodze minęliśmy stare baraki zamieszkałe kiedyś przez geologów i jakichś innych naukowców. To temat na osobną książkę; w pikowanych waciakach i gumowych butach, z czarnymi siatkami przeciwkomarowymi na twarzach maszerowali oni po bagnach i wertepach, ciągnąc za sobą objuczone konie i reny. Docierali do brzegów bezimiennych rzek, wyrąbывali w tajdze przejścia. To właśnie ci ludzie zapoczątkowali życie na dalekich polarnych błotach, pewnie i oni wytyczali w tundrze tę właśnie drogę, którą teraz jedziemy.

Na pozór wydawałoby się, że tundra i kwiaty to pojęcia wykluczające się zdecydowanie, a tymczasem starym, zdezelowanym ziłem jedziemy po prawdziwym dywanie usłanym z różnorodnych kwiatów, które swymi przepięknymi kolorami ożywiły posępny krajobraz tundry. Czegóż tu nie ma - żółty mak polarny, wysokie turzyce, krzewinki, niezapominajki polarne oraz kuropatocznia trawa, odznaczająca się dużymi, pięknymi kwiatami koloru kremowego. Okres wegetacji w tundrze nie jest zbyt długi, ale za to bardzo intensywny. Gwoli ścisłości tundra nie wszędzie jest jednakowa - różni się podłożem i wilgotnością gleby. Nie jestem specjalistą, ale wyróżniłbym jej dwa rodzaje - porostową i trawiastą. Roślinność tej ostatniej jest znacznie bogatsza, są tam bowiem krzewy, karłowate brzozy, różne trawy, jagody, oczywiście mchy i porosty, które występują wszędzie. Dlatego też renifery, ptaki oraz masa innych zwierząt zamieszkujących te tereny znajduje tu wystarczającą ilość pożywienia nawet przez cały rok.

Ponad godzinę zajął nam dojazd do pasterzy i ich stada. Z Kjusur nie było zbyt daleko, ale stary radziecki wehikuł ledwo trzymał się na kołach i przez całą drogę a to kichał, a to strzelał, nie mówiąc już o tym, że cały czas przeraźliwie zgrzytał. Do końca nie wierzyłem, że dojedziemy w całości, jednak kiedy z oddali zobaczyłem jaśniejące na tle nieba charakterystyczne jakuckie jurty, odetchnąłem z ulgą. Byliśmy na miejscu. W chwilę

później dojrzałem wielkie stado renów, które tak doskonale zlało się z szarozielonym tłem tundry, że z daleka było niewidoczne. Pasterze z żonami i dziećmi już nas oczekiwali, śmiali się przy tym, że co najmniej od godziny słyszeli, że ktoś do nich jedzie...

Jura był doskonale znany pasterzom, przedstawił mnie i zapytał o starszego przewodnika. Zgromadzeni gestem wskazali na dość dziwną, dużą jurtę znajdującą się w centralnym miejscu obozowiska. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy starszego rodu stojącego u wejścia. Kiedy Jakuci go ujrzeli, od razu ścichły rozmowy, zamilkł śmiech, w stronę wodza pobiegły pytające, zdumione spojrzenia. Natychmiast przebiegło mi przez myśl, że obowiązują tu jeszcze tysiącletnie tradycje.

Wódz miał płaszcz wojskowy, wiatrem podszyty i mocno wytarty. Przytrzymał go ręką pod szyją, a w tym geście było chyba tyleż lęku przed utratą ciepła, ile wstydu przed obnażeniem jeszcze większego ubóstwa. Na głowie miał jakąś starą, wyliniałą czapę, trudno było określić, z jakiego zwierzęcia była wykonana. W przedziwnym tym stroju wyglądał jak stary żołnierz tatarski służący w Armii Radzieckiej. Trwał tak przez chwilę bez ruchu, siwiuteńki, wyprostowany, pełen niezamierzonego a tragicznego patosu. Potem powoli, bez słowa podszedł do mnie i się przywitał. Odniosłem wrażenie, że podeszło do mnie wielkie cierpienie, jakiś dramat ludzki, nieznany, ale na pewno straszny. Piekła mnie myśl, kim jest ten dziwny człowiek o twarzy patriarchy, wyglądający jak nędzarz pomazany szlachetnością.

Milczący dotychczas Jura w kilku słowach przedstawił mnie i zapytał, czy mogę pokreć się trochę po obozie i dowiedzieć co nieco o życiu w tundrze i hodowli renów.

- Jak najbardziej. Zapraszam na herbatę, przy okazji co nieco opowiem - odparł wódz i ruszył przodem w kierunku swojej jurty.

Białe plamy jurt, czy czumów³⁶ jak kto woli, od wielu stuleci są nieodłącznym akcentem północnego krajobrazu. Pomyślałem, ileż to modnych stylów budowania powstało w tym czasie na świecie. Powstało i przemijało. Jurtą była i jest wciąż taka sama, bo czy trzeba ulepszać coś, co w konkretnych warunkach tajgi i tundry sprawdziło się i osiągnęło doskonałość? Pomyślałem, że w rozstawianiu jurty jest coś jakby z podróży w przeszłość.

Czумы letnie różnią się od zimowych. Zimą pasterze są praktycznie w ciągłym ruchu, podążając za stadem, dlatego też jurty używane w zimie są proste w konstrukcji, można je złożyć, a następnie rozłożyć w bardzo krótkim czasie. W trakcie podróży konstrukcję przewozi się w ciągniętych przez renifery balokach - prostych domach na saniach, wykonanych z drewna, brezentu i skór. Latem, kiedy stado praktycznie pasie się w jednym miejscu, obozowisko zakłada się na dłużej, dlatego też niektórzy, bardziej

36 Czum - przenośny namiot koczowniczy.

nowocześni, w miarę potrzeb rozbudowują swoją przestrzeń życiową, dostawiając do tradycyjnych budowli coraz to nowe elementy wykonane z najrozmaitszych materiałów. Powstają z tego precudowne konstrukcje... Starszy rodu widać nie był zagorzałym konserwatystą, gdyż właśnie do takiej przebudowanej jurty podążaliśmy.

Nowatorskie mieszkanie wodza wyposażone było w kilkumetrowy korytarz wejściowy. Żeby doń się dostać, trzeba było się schylić, po prostu zgiąć wpół, a następnie szorując plecami o nieszczelne płyty, z których ułożony był dach, wolno przesuwać się do przodu. Potem bucha ci w twarz kłęb rozgrzanego powietrza. Prostujesz się i już jesteś w pałacu...

Jurta była przedzielona ogniskiem na dwie połowy. W jednej rozkładali się gospodarze, w drugiej dzieci ewentualnie goście. Tradycyjnie po lewej stronie było męskie miejsce do siedzenia. Pod ścianami i wokół paleniska stały jakieś niskie stoły, na ścianach pośród innego sprzętu wisały siekiery. Do rozmiarów tego mieszkania stanowczo byłem za duży. Kiedy zająłem miejsce, w żaden sposób nie udało mi się odciągnąć nóg od ognia. Głową opierałem się o skórę namiotu, a buty znajdowały się bliżej żarzących się węgli, niż tego pragnąłem.

W jurcie panował nie lada bałagan. Na stołach i rozchwianych płytach podłogi walala się cała masa najrozmaitszych naczyń i puszek od konserw, starych imbryków, blaszanek bez dna, wiader, nocników, garnków pełnych najrozmaitszych rzeczy, od zapasu mięsa i krwi, aż do sfermentowanego moczu, w którym garbuje się skóry. Jest chyba jasne, że niczego w tym momencie nie pragnąłem bardziej niż ponownego znalezienia się na pontonie. Ale cóż mogłem zrobić - chcesz się czegoś dowiedzieć, trzeba się pomęczyć, a nawet wypić śmierdzącą zdechłym kotem herbatę. Tu, na Północy za wiedzę też się płaci...

Wódz okazał się świetnym mówcą, gadane miał nie z tej ziemi, nie dziwił więc mnie fakt, że wybrano go starszym rodu. Posiadał wiedzę i umiał się nią podzielić - ładnie, obrazowo opowiadał. I byłoby wszystko fajnie, gdyby nie ta śmierdząca starym zdechłym kotem herbata.

- Według starych eweńskich podań, dawno, dawno temu ziemię tę zamieszkiwali Sirtowie - rozpoczął opowiadanie starszy rodu.

- Nie znali oni metalu, nie mieli namiotów, nie pasali renów. Gdy przybyli tu Ewenkowie, zeszedli pod ziemię i teraz tam mieszkają. Oczywiście dziś nikt już w to nie wierzy, ale jeszcze nasi ojcowie z głęboką wiarą o tym opowiadali, a że w każdym wierzeniu jest ukryta jakaś część prawdy - to już inna sprawa. Czasy jednak generalnie się zmieniły. Od lat oficjalnie nie ma u nas szamana, ale skądinąd wiem, że jak coś niedobrego się dzieje, to niektórzy kilka razy dziennie biegają do starego Paszy - syna ostatniego wróżbity.

- Poza tym robimy to, co robili nasi dziadowie. Przemierzamy tundrę, polujemy na dzikie renifery. Część zjadamy, inne oswajamy, zupełnie jak to robili przed wiekami nasi przodkowie. Nawet w systemie radzieckim mieliśmy to samo zajęcie, pracowaliśmy jako pasterze scentralizowanych stad reniferów... Jednak tak naprawdę nigdy nie było tu żadnej różnicy, zawsze jedliśmy to samo, to co pozyskiwaliśmy z tundry.

I tak na przykład surowe mięso ma dziesięciokrotnie więcej witamin niż gotowane - dowodził. - To właśnie surowe mięso ratuje żyjących tu ludzi przed szkorbutem i innymi chorobami. Witamin dostarcza także nie przetrawiona trawa pozyskiwana z żołądków renów. Znaleźć tu można również prawdziwy przysmak Arktyki ukryty pod skórą renifera - zimujące w niej tłuste larwy gzów bydłęcych, bogate w białko i witaminy. To na pozór niezbyt apetyczne menu jest wysoko cenioną dietą ludów Północy.

- Zimą nasze baloki znajdują się daleko od najbliższej osady, wiele dni drogi zaprzęgiem ciągniętym przez reny. Mieszkamy w całkowitej izolacji, w pozbawionej drzew arktycznej tundrze, zimą staramy się obozować w pobliżu rzek, łowiąc ryby w przeręblach i wykorzystując lód do otrzymywania pitnej wody.

- Nie pijemy kawy, rzadko używamy cukru. Tundra daje nam tylko ryby i renifery, a mimo to nikt nie chce przenosić się do miast, nikt z naszych nie chce być częścią cywilizacji. Wolimy mieszkać w tundrze, kochamy ten świat, niebo i ziemię, poza nami nie ma tu nikogo innego. Jesteśmy jedynymi przedstawicielami gatunku ludzkiego w tej wspaniałej surowej krainie. Zawsze też podstawą naszej egzystencji były i są reny.

- Renifer jest zadziwiającym stworzeniem, jak rzadko które przystosowanym do życia w tych surowych okolicach. Jest szybki, wytrzymały, nie wymaga pomieszczenia ani przyrządzonego pożywienia. Kochamy te zwierzęta, gdyż one są dobre i bez nich w tundrze byśmy nie żyli.

- Na renach jeździmy, jemy ich mięso, pijemy ich mleko, szyjemy z ich skóry ubrania, namioty, robimy obuwie, a nawet nici - wszystko z rena. Dlatego kochamy te zwierzęta - dodał.

- Zimą przemierzamy się w ślad za stadem w myśl zasady, że nie należy zwierzętom przeszkadzać, gdyż instynkt pozwala im znaleźć wystarczającą ilość pożywienia dla całego stada, natomiast na początku lata pędzi się stado na północ według ściśle opracowanej trasy, zmienianej każdego roku. Chrobotek reniferowy, podstawowy pokarm renów, rośnie powoli, więc gdyby się przeszło w tym roku trasą zeszłoroczną, stado praktycznie pozostałoby bez paszy. Idąc na północ, deptając po piętach ustępującej zimie, chronimy zwierzęta od niezwalczonych rojów komarów zadręczających zwierzęta. Tam, bliżej morza, ostry, zimny wiatr nie pozwala zagnieździć się tym paskudnym owadom.

Później, kiedy nieco się ochłodzi, corocznie podchodzimy ze stadem pod Kjusjur, aby nieco odpocząć i przygotować się do kolejnej srogiej zimy. I tak od wieków pałętamy się po tundrze - zresztą nie my sami. Na Północy wiele narodów hodzi reny, więc

czasami spotykamy się z nimi na szlaku, najczęściej z Dołganami po zachodniej stronie Leny. Dlatego w tundrze też obowiązują przepisy, swoisty kodeks drogowy napisany przez naturę...

- Wszyscy koczujemy, polujemy na dzikie reny, prowadzimy swoje stada. Latem idziemy na północ, na zimę wracamy na granicę lasu na południu.

- Mchy - pożywienie renów - szybko się wyczerpują. Na to, by mech znów wyrósł na miejscach, gdzie pasły się przez kilka dni reny, potrzeba kilku lat. Dlatego letni szlak nie powinien pokrywać się z zimowym. Nigdy nie wolno wracać tą samą drogą, tu zwierzęta ze swym instynktem nie mają już nic do powiedzenia. Temu, kto poprowadzi reny śladami poprzedniego stada, grozi śmierć głodowa. Dawny zwyczaj pasterski nakazywał wcześniejsze wyznaczenie wędrownego szlaku. Jeśli ktoś natrafi na inny ślad, w żadnym wypadku nie powinien go przecinać, jak również nie powinien go wyprzedzać, gdyż tą drogą mogli ludzie powracać. Jeśli czyjeś ślady naruszyły „otwartą drogę”, oznaczało to, że przyszli obcy, a obcy nie przychodzą w celach pokojowych - tak było tu od niepamiętnych czasów. Obecnie nadal obowiązuje jedno zasadnicze prawo: pod żadnym pozorem nie wolno „zamykać drogi”.

Nastąpiła krótka przerwa, w trakcie której wypadło wziąć do ust śmierdzącą zdechłym kotem herbatę. Jakuci chętnie ją popijali, tylko Jura i ja maczaliśmy usta, spoglądając porozumiewawczo na siebie. Po chwili stała się jeszcze gorsza rzecz - ktoś podał jeszcze bardziej śmierdzący, tłusty samogon - przed oczami stanęły mi larwy gzów bydlęcych zimujących pod skórą renifera... Zamknąłem oczy, wyobraziłem sobie czystą wyborową i śmierdzącą maź przełknąłem. Jura ochoczo stwierdził, że jest kierowcą i w związku z tym nie pije... Na nic zdały się przekonywania, że nie ma po drodze milicji - Jura, choć cuchnęło od niego wczorajszym alkoholem, okazał się nieprzejednany...

- Aby być dobrym przewodnikiem stada, nie wystarczy być dobrym mówcą. Trzeba posiadać wiedzę, trzeba wiedzieć coś o życiu zwierząt, które się hodzi - ciągnął dalej starszy przewodnik.

- Dla nas hodowców utrapieniem są dzikie reny, to one wyciągają nam ze stad co lepsze osobniki, ale z drugiej strony obserwacja ich pozwala nam osiągnąć najlepsze wyniki w hodowli. Trzeba jednak pamiętać, że geny zawsze będą mądrzejsze od pasterza, i dzikie stada będą zawsze wykradać nam najlepsze sztuki. Znając obyczaje dzikich reniferów, można temu zapobiegać, nawet trzeba, gdyż w innym wypadku wszystkie nasze stada w

przebiegu dwóch sezonów zdziczeją.

- Stada dzikich reniferów migrują z tajgi do tundry i odwrotnie, w zależności od pory roku. Renifery zaczynają swoją wędrówkę, jak tylko ich młode potrafią za nimi nadążyć. Kiedy rozpoczynają swój marsz, nic już nie może ich zatrzymać.

Największym ich wrogiem jest wilk, który wytrwale podąża za stadem. Dla wilka stado renów to wędrowna restauracja... Wszystkie cielęta rodzą się w jednym czasie, w pierwszych dniach czerwca. Ten czas nie jest przypadkowy i ma swoje uzasadnienie. Jest kilka ważnych powodów, dlaczego początek czerwca jest najbardziej optymalnym czasem przyjścia na świat młodych:

Pierwszym jest tempo wzrostu zwierząt. Lato jest bardzo krótkie i młode mają w ten sposób wystarczająco dużo czasu, aby nabrać sił przed konfrontacją z nadciągającą zimą. Jeśli jakieś młode przyjdzie na świat zbyt późno, będzie za słabe, aby przetrwać zimę.

Drugim uzasadnieniem jest obfitość pożywienia. Młode przychodzą na świat około miesiąca przed pojawieniem się roślinności. Będzie jej pod dostatkiem, kiedy młode będą coraz mniej potrzebowały mleka matki.

Trzecim powodem jest migracja. Renifery muszą osiągnąć pastwiska jak najszybciej. Z przyczyn bezpieczeństwa renifery przemieszczają się w grupach. Młode muszą być zdolne do wędrowania, czekanie na maruderów nie wchodzi w rachubę.

Renifery od wieków wędrują tą samą trasą. Trasa ta przecina się z naszymi szlakami. Samice poruszają się pod wiatr, który dostarcza im ważnych informacji. Ostrzega stado o obecności wilków, przynosi też zapach pastwisk, do których zmierzają. Samce podczas wędrówek odizolowane są od reszty stada. Powodem tego jest fakt, że ich nowe rogi zaczęły dopiero odrastać, a bez nich nie sposób dominować nad stadem. Rogi odgrywają ważną rolę w hierarchii w stadzie. W tym czasie samice mają jeszcze rogi, które później zrzucają. W ten sposób samce i samice na przemian rządzą stadem - ten sposób dzielenia władzy jest charakterystyczny tylko dla reniferów.

Można godzinami opowiadać o życiu zwierząt i jeszcze wszystkiego się nie powie, ale teraz chodźmy na zewnątrz, dziś będziemy ubijali jedną sztukę.

Wcale nie chciałem oglądać egzekucji, ale nie miałem wyjścia. Z dwojga złego lepszym rozwiązaniem było patrzenie na śmierć rena niż wachanie śmierdzącej zdechłym kotem herbaty, lub nie daj Bóg raczenie się tłustym, wydzielającym odór samogonem, od którego odbijało mi się teraz jak starej prostytutce po komunii...

Według zwyczaju, domowego rena nie wolno zarzywać, należy go zadusić. Ten sposób uboju podyktowany jest nie tylko obyczajem, ale i chęcią zachowania krwi, która jest pożądanym przysmakiem ludów Północy.

Również pasterz, oprawiając tuszę, pracuje jak doświadczony chirurg. Każdy jego ruch jest dokładny. Kolejność działania wypracowana latami. Całe oprawianie nie trwa nawet dziesięciu minut. Miarowym ruchem prowadzi nóż po brzuchu, dookoła głowy i nóg. Nacisk noża jest tak idealnie obliczony, że na podskórnych tkankach nie widać nawet najdrobniejszego cięcia. Tak samo szybkimi i precyzyjnymi cięciami oddzielone zostają nogi, głowa oraz otwarta jama brzuszna. Tu ręce muszą pracować szczególnie ostrożnie. Małe zadrażnienie na ogromnym żołądku i cała zawartość, czyli przetrawiona zielona masa mchu, rozleje się po tuszy, mieszając się z krwią, a do takich strat nie można dopuścić. Nic jednak takiego się nie wydarzyło i po chwili na placu egzekucji pozostały tylko psy zjadające ze smakiem pozostawione dla nich wnętrzności.

Zgodnie z tradycją zostaliśmy z Jurą zaproszeni na świeżą krew i wątrobę. Pewnie byśmy się od tej biesiady nie wyłgali, gdyby nie daleko idąca pomysłowość Jury, który raptem przypomniał sobie o jakiejś bardzo ważnej sprawie, którą musiał jeszcze dziś załatwić w Kjusjur. Nie było wyjścia, trzeba było natychmiast wracać... Niestety, gościnni nomadowie na odchodnym nalali mi jeszcze kubek śmierdzącego samogonu. Nie było zmiłuj się - musiałem to świństwo wypić.

Powrót do Kjusjur wydłużył się do prawie dwóch godzin. Stary ził ledwo trzymał się kupy. Kichał, prychał, strzelał, zgrzytał. Przy którejś próbie pokonania wzniesienia urwała się dźwignia zmiany biegów. Od tej chwili wlekliśmy się cały czas na drugim biegu. Pomyślałem wówczas, że życie Jakutów jest proste, ale i zarazem ciężkie, podobnie jak droga prowadząca do ich jurt...

Arktyka to jedno z najbardziej wietrznych miejsc na Ziemi. Wiatr reguluje tutaj wszystkie czynności, ustala swój porządek, zagraża życiu, nie pozwala opuścić domu. Tu, na samej końcówce mojej podróży również jestem od niego zależny. Podobnie jak na początku, tak tu, niedaleko delty Lena zamienia się w stojące jezioro lub morze jak kto woli. Nurt jest bardzo leniwy i przy najmniejszym przeciwnym wietrze łódka w najlepszym przypadku stoi w miejscu. Chcąc płynąć dalej, trzeba od czasu do czasu chwycić za wiosła. Bywa jednak, że zawieje - i to nie z tej co trzeba strony. Właśnie dzień później od wizyty w Kjusjur Północ obdarowała mnie jedną ze swych zwykłych niespodzianek. Dopiero niedawno zielonkawa woda łagodnie srebrzyła się i igrała pod promieniami nisko wiszącego słońca, a nagle nie wiadomo skąd napłynęła mgła gęsta jak wata. Potem błyskawicznie nadleciał szalony wiatr, wzniecił falę i mgła rozrzedziła się. Fale rzucały pontonem, bawiąc się nim jak łupiną. Kurczowo trzymałem się burt, modląc się, aby wreszcie wietrzysko się uspokoiło. Burza jak prędko się pojawiła, tak prędko znikła. Wreszcie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wiatr przycichł i choć po rzece hulały

jeszcze duże fale, to wiedziałem, że niebawem się uspokoją. Po chwili zza chmur wyłoniło się słońce. Do końca rzeki, a więc mojej szalonej podróży, pozostało niewiele ponad dwieście kilometrów. Człowiek sam nie wie, czego chce - z jednej strony chciałbym być już w domu, z drugiej żal mi tej arcyciekawej włóczędzy.

Na zachodzie i wschodzie wznosiły się góry. Na północy kraina była szeroko otwarta, rzadko można było już spotkać porośniętą niebieskawym modrzewiem wyspę. Na brzegach tu i ówdzie położyły się przy ziemi poszarzałe zarośla, podczas gdy sosny i modrzewie pozostały daleko w tyle. Płynąłem teraz tak zwaną *trubą** zewsząd otoczony górami - po prawej wysokie Góry Wierchojańskie, po lewej nieco niższe Góry Czekanowskiego. Coraz mniej roślinności, w górach występuje już tylko w żlebach, tam gdzie wilgotniej ze względu na dłużej leżący śnieg. Nieco dalej po lewej stronie obszar lasotundry. To taki pas, którego nie można jeszcze nazwać tundrą, ale nie jest już tajgą, bowiem drzewa nie stanowią tu już zwartego kompleksu, jakim jest las. Myślę, że dotarłem do miejsca, gdzie nie sięga wyobraźnia, do miejsca, gdzie siły natury kształtują przeznaczenie. Tu można być kim się chce, kim się jest z natury. Po raz kolejny czuję przytłaczającą mnie siłę przyrody, potężną rzekę oraz - jak zapewniali geolodzy - pełne diamentów Góry Wierchojańskie.

Przestrzeń jest darem natury, jest bogactwem - państwu i narodowi może zapewnić siłę i zamożność, ale problem zaczyna się, kiedy tej przestrzeni jest aż tyle. Kto nie widzi tej syberyjskiej nie zagospodarowanej przestrzeni, nie jest w stanie pojąć tego uczucia. Często myślę o ludziach od renów. Zastanawiam się i chyba rozumiem, co ich tu trzyma. Przez wiele lat izolowani od świata nadal pędzą swój surowy żywot w zespoleniu z przyrodą. Podstawą ich przetrwania jest pomaganie sobie. Zachowali wiele obyczajów i obrzędów gdzieś dawno już zapomnianych. Życie tubylców na skraju cywilizacji pomogło mi odszukać pierwotną naturę wokół mnie i we mnie samym. Dziki świat to wolność - wolność by zrobić wszystko na co nas stać - to piękny styl życia. Natura na pewno podnosi na duchu, lecz wielu ludzi tego nie rozumie. Dziwi ich na przykład tryb mojego życia, a ja wcale nie jestem taki dziwny. Niech tam sobie inni chwala uroki tropików, lazurowe wybrzeża, koralowe wyspy - dla mnie wielkie atrakcje Południa wobec majestatu surowej przyrody Północy bledną i tracą gdzieś swoje pawie pióra. Ludzie jeżdżą na biwaki, a wieczorem wracają do swych ciepłych gniazdek i niby też kochają naturę, pod warunkiem, że w przeciągu dziesięciu minut na powrót znajdą się w zgiełku cywilizacji. Tutaj nie myśli się o wygodach, tutaj nie wiadomo, czy w ogóle się wróci. Jedno jest jednak pewne - przetrwanie w tych warunkach wzmaga pracę hormonów, wzmaga różne zainteresowania.

Dziś nocowałem na lewym brzegu dlatego, gdyż zauważyłem, że można znaleźć tam więcej drewna dryfowego. Drzewa praktycznie już tu nie rosną, chłód Północy daje się we

znaki, więc sprawa ognia urasta pomалу do rangi nie byle jakiego problemu. Ponadto leżące na brzegu drewno ma istotną wadę, jest

W dowolnym tłumaczeniu z rosyjskiego - rura. od spodu bardzo wilgotne. Jest na to sposób, korzystają z niego przebywający od czasu do czasu w tych stronach jakucy myśliwi, którzy znalezione drewno ustawiają w tak zwane kozły po to, aby wiejący wiatr je osuszył. To dobry sposób, ale tylko w przypadku kiedy przebywa się w jednym miejscu. Ja tego wieczoru też miałem szczęście, bowiem nieco wyżej znalazłem olbrzymi suchy konar, który wiosenna wysoka woda tak daleko od brzegu wyniosła. W nocy miałem nie lada przygodę: zdawało mi się, że słyszę szelest, jakieś skradające się kroki, później nastąpiła cisza. Długo, długo było cicho, nie było słychać nawet płynącej wody, zdaje się, że już przysnąłem, kiedy obudził mnie hałas. Wytknąłem głowę z namiotu i ze zdumieniem zobaczyłem wilka - przypatrywał mi się z uwagą. Kiedy podniosłem rękę, uciekł. Był duży, jasno podpalany. Rano ponownie go zauważyłem - siedział na niedalekim wzgórzu i przypatrywał mi się. Ruszyłem w jego stronę. Siedział jeszcze chwilę w bezruchu, po czym jednym susem skoczył i zniknął na pagórkiem. Mogłem już wracać, ale skoro już byłem blisko, wspiąłem się na ten pagórek, aby przy okazji zobaczyć okolicę. Wilka ani śladu, za to widok był urzekający. Pierwszy raz sponad wody patrzyłem na góry. Ich grzbiety otwierały się całymi kilometrami, oświetlone porannym słońcem drżały nad taflą wody. Pomyślałem, że cudownie byłoby wybudować w tym miejscu dom i do końca życia podziwiać ten widok. Powietrze było czyste, poczułem nieznaną mi dotychczas jego świeżość. Zdałem sobie sprawę z tej świeżości i przypomniałem sobie o glonach - podobno wszystko się od nich zaczęło. Według tej teorii pierwsze pojawiły się glony. Przetwarzały one promienie słoneczne na tlen; produktem ubocznym były niewielkie ilości ozonu, powstające w procesie fotosyntezy. Po około sześciu milionach lat z tlenu i ozonu wytworzonego przez prymitywne organizmy powstała pierwsza, bardzo cienka warstwa atmosfery, która mogła już stanowić jako taką ochronę przed promieniami słonecznymi. Dzięki niej na Ziemi pojawiły się rośliny i zaczęło rozwijać się życie. Ale dopiero siedemset milionów lat później atmosfera stała się wystarczającym filtrem, aby możliwe było pojawienie się dinozaurów, wielkich lasów, ptaków i innych, bardziej złożonych form życia. Pięćset milionów lat później pojawił się pierwszy człowiek - było to zaledwie trzy miliony lat temu. Tak więc przez ostatnie sto milionów lat wszystkie gatunki życia zgodnie korzystały z atmosfery ziemskiej, chronionej niewidoczną warstwą ozonową. Niestety, było tak do momentu, kiedy ostatni wytwór ewolucji - człowiek - złamał prawa natury. Jest pewne, że nie jesteśmy zbyt mądrymi żyjątkami na tej planecie.

Od dzisiaj płynąłem już cały czas lewą stroną rzeki. Po prawej góry nie odchodziły

już od brzegu, tylko skały i skały. Po lewej też rozciągały się góry, ale były nieco oddalone od wody, gdzieniegdzie przedzielone pasem skąpej roślinności. Później po lewej stronie zobaczyłem skupisko wyciosanych wiatrem kamiennych słupów, podobnych do tych, które widziałem przed Jakuckiem.

Co jakiś czas z oparów rzeki wystrzelają gigantyczne kamienne zamki o ponurych wieżach i bastionach. Stare ściany skalne wyrastają wprost z wody, tworząc głębokie, wąskie wąwozy ciągnące się dziesiątki kilometrów. Później do rzeki doszły góry. Około południa znów powiało z północy, nie był to silny wiatr, ale zrobił krótką falę, która znacznie spowolniła tempo podróży. Znów przyszło mi chwycić za wiosła, co prawda bez przekonania, gdyż z doświadczenia wiedziałem, że za chwilę nasili się wiatr i będę musiał wylądować na brzegu. Na razie pełen obłudy wiosłowałem dalej.

Nieco dalej po lewej koło olbrzymiej skały zauważyłem sporą rzeczkę uchodzącą do Leny. Rzeczka była szeroka na jakieś pół kilometra i nazywała się Tigije. Jej nazwa wskazywała, że nazwali ją Jakuci, ale nie to w tym momencie było ważne - ważne było, że wpadała do Leny rzeczka osłonięta wysoką skałą, doskonale chroniącą od przenikliwego wiatru. W chwilę później stałem już na brzegu opodal pionowej skały. Dopiero teraz spojrzałem na drugą stronę rzeczki i oniemiałem z wrażenia. Na niezbyt wysokim brzegu wtulona w niewysoki zagajnik stała sobie nowusieńka chata. Czego jak czego, ale chaty, do tego nowej, nie spodziewałem się tu zastać. Dom był solidny, wykonany z grubych pni, które ktoś spławił z góry rzeki, dwa szerokie okna z okiennicami, na zewnątrz, z boku duża zadaszona drewnutnia. Chałupa tak zmyślnie była usytuowana, że nie sposób było jej dojrzeć z Leny i gdyby nie nagła potrzeba schronienia się przed wiatrem, popłynąłbym dalej nieświadom obecności w okolicy drugiego człowieka. A człowiek siedział sobie spokojnie w chacie, o czym świadczyła stojąca opodal na brzegu motorówka. Siedział i nie był świadom, że jego domostwu przygląda się drugi człowiek - świat jednak jest bardzo mały.

Burza rozszalała się na dobre, z nieba lunęły gnane porywistym wiatrem strugi wody, nie było więc mowy o przeprawie. Wyciągnąłem łódkę z wody, a sam schroniłem się pod nawisem skalnym. Dłuższą chwilę siedziałem i przypatrywałem się domostwu, nic jednak się nie działo, żadnego ruchu. Wiatr nawiał kołtun arktycznego powietrza i momentalnie zrobiło nieco chłodniej. Zacząłem już rozglądać się za jakimś drewnem na ognisko, kiedy raptem zobaczyłem dym unoszący się z komina. Nie tylko mi chłodno - pomyślałem.

W chwilę później drzwi otworzyły się i ktoś z łoskotem wygramolił się z chaty. Skulony przed wiatrem pobiegł na brzeg, aby sprawdzić cumowanie łodzi, następnie wyszedł drugi mężczyzna, weszli razem do drewnutni, nabrali naręcze drewna i pędem

powrócili pod dach.

Pewnie dzisiaj już nie wyjdą na zewnątrz - pomyślałem i postanowiłem przepawić się na drugą stronę. Kilkanaście minut później, gnany silnym wiatrem przycumowałem przy burcie ich łodzi. Postanowiłem, że najpierw po cichu zajrzę przez okno, aby przekonać się, co to za jedni. Po chwili jednak śmiałem się ze swojego pomysłu, gdyż co jak co, ale przez okno niewiele można się dowiedzieć o ludziach. Najbardziej jednak zdziwiłem się, kiedy zbliżyłem się do okna i zobaczyłem stojącego w nim mężczyznę, który gestem pokazywał mi kierunek, gdzie mam się udać, aby trafić do drzwi wejściowych...

Kiedy znalazłem się w środku, okazało się, że mężczyźni o mojej obecności wiedzieli co najmniej od godziny...

Mieszkańcy chaty okazali się prawdziwymi traperami jakich mało - polowali, łowili ryby, handlowali skórami. Było ich trzech; dwóch młodych Ewenków i jeden starszy Jukagir. Ten ostatni rzeczywiście okazał się prawie ostatnim, ponieważ na całej Północy Jukagirów pozostało niewiele ponad dwustu! Myśliwi zabierali się właśnie do przyrządzania jedzenia - na stole zobaczyłem jakąś dużą, nieznaną mi wcześniej rybę. Zaprosili mnie, bym usiadł i zapytali, co właściwie tu robię. Opowiedziałem trochę o swojej podróży, zauważyłem jednak przy tym, że geograficzna wiedza myśliwych kończyła się w okolicach Jakucka, o którym, jak się okazało, wiele słyszeli... Dopiero teraz uważnie rozejrzałem się po domu. Chata składała się z jednej wielkiej izby, w której spano, gotowano, oprawiano zwierzynę i Bóg wie jeszcze co robiono. Panował tu nieziemski bałagan, zresztą czegoż się spodziewać? Tylko na amerykańskich filmach jest porządek w traperskich chatach, sami zaś traperzy ubrani są w nieskazitelnie czyste białe koszule... Ale wracając do tematu - na środku znajdował się długi metalowy piec - taki, do którego z powodzeniem można włożyć ponadmetrowe polana. Wkoło pieca wały się jakieś skóry, które zapewne służyły mieszkańcom jako posłanie. Pod oknami stały masywne stoły, a przy nich szerokie ławy. Szaf żadnych nie było, wszystko co potrzebne było do życia w tych warunkach, wisiało na ścianach - także trzy gotowe do strzału strzelby. Myśliwi mieli jeszcze kilka pytań dotyczących mojej narodowości, po czym zadowoleni, że goszczą obcokrajowca zabrali się za oporządzanie leżącej na stole wielkiej, dziwnej ryby.

Kiedy zapytałem, co to za stwór, zdziwieni myśliwi popatrzyli na mnie z minami świadczącymi o tym, że wiedzą już, że mają do czynienia z wariatem - bo jakże można o tak oczywiste rzeczy pytać?

- To jasne - ta ryba nazywa się cir! Po chwili starszy Jukagir odezwał się do młodszych w nieznanym mi języku, a ci ochoczo przetłumaczyli mi, że zaraz po obiedzie zabiorą mnie do letnika i objaśnią, jakie ryby jak się nazywają.

Trochę mnie to rozśmieszyło, gdyż większość syberyjskich stworzeń jest mi znana, ale wrodzony takt nie pozwolił mi zaprotestować i oczywiście na naukę przystałem.

Obiad składał się z ryby i dzikiej cebuli, po obiedzie tradycyjna herbata z jakimiś konfiturami. Przy herbacie myśliwi zaproponowali, abym wraz z nimi wieczorem zaczął się na sochatego. Obiecali przy tym, że dostanę karabin i sam go ustrzelę.

Bardzo spodobała mi się ta propozycja, więc ochoczo na nią przystałem, gdyż zdałem sobie sprawę, że będę polował z najlepszymi syberyjskimi myśliwymi, którzy co jak co, ale łowiectwo na pewno wyssali z mlekiem matki. Na razie jednak trzeba było w letniku odwalić lekcję ichtiologii...

Poszliśmy we trzech, stary Jukagir pozostał w chacie. Wejście do myśliwskiej lodówki znajdowało się z tyłu za drewnianą. Nie było tu schodów, tylko prowizoryczna drabina, po której się schodziło w głąb ziemi. Wyposażeni w lampę naftową weszliśmy do środka. Był to długi na około dwadzieścia metrów tunel, wysokość jego ocenilem na trzy, szerokość na pięć metrów. Można było więc się swobodnie po nim poruszać. To co zobaczyłem, znacznie przerosło moje oczekiwania. Na całej długości pod lodowymi ścianami leżały zamrożone na kość wielkie jesiotry - długość niektórych przekraczała dwa metry. Pomiedzy ścianami na stalowych linkach wisiały kolejne syberyjskie kolosy - kilkumetrowej długości tajemnie. Dalej stos błyszczących sig - ryb wielkości makreli - oraz na oko kilka ton lenoka - ryby z rodziny łososiowatych, posiadających - jak łosoś - czerwone mięso. Koło wejścia zauważyłem trzy wielkie ryby podobne do naszych sumów. Dowiedziałem się, że to nalim - ryba co prawda niejadalna, lecz użyteczna, bowiem jej tłuszcz świetnie pali się w kagankach. Wreszcie dojrzałem ciry, które widziałem w chacie. Dowiedziałem się, że jest to bardzo smaczna ryba i żyje tylko w syberyjskich jeziorach, w rzekach raczej niespotykana. Domyślałem się więc, że myśliwi łowią nie tylko w rzece, ale też w pobliskim jeziorze.

W letniku znajdowały się również zamrożone zwierzęta - rozpoznałem izubra³⁷, łosia i renifera. Wszystkie były wypatroszone, lecz nie oporządzone ze skóry. Było zimno jak diabli, więc lekcję zakończyliśmy szybko. Ciekawy jeszcze byłem, jaka temperatura panuje w letniku. Niestety, myśliwi tego już nie wiedzieli. Kiedy wróciliśmy do chaty, na stole stała gorąca herbata oraz duży słój jakiegoś mętnego napoju. Od razu domyśliłem się, co można w tak dużych słojach trzymać na Syberii. Była to braszka³⁸, straszliwie mocna - później na gardło ocenilem ją na jakieś siedemdziesiąt procent. Nawet nie pytałem, z czego została zrobiona... Popatrzyłem na słój i pomyślałem, że dziś mogą się czuć bezpiecznie okoliczne łosie... O tym, że byłem w błędzie, przekonałem się parę godzin później. Około ósmej

37 Izuber - azjatycki jeleń.

38 Z jęz. rosyjskiego - bimber, samogon.

Ewenkowie odstawili słój - wzięliśmy karabiny i wyszliśmy z chaty. Myśliwi nie bardzo byli zdecydowani dokąd się udać, głośno się nad tym zastanawiali, nie rozumiałem o co dokładnie chodzi, gdyż gaworzyli w sobie znanym języku. Wreszcie doszli do porozumienia, namierzyli wiatr, po czym ruszyliśmy gęsiego w kierunku szarzejącej na wzgórzu lasotundry. Kiedy tam dotarliśmy, myśliwi kazali pozostać mi na miejscu i zachować ciszę, sami zaś oddalili się w kierunku zarośli. Pomyślałem, że bardzo ładnie z ich strony, że poszli nagonić mi łosia. Odbezpieczyłem więc broń i czekałem w pogotowiu. Nie zdążyłem jeszcze dobrze się usadowić, kiedy usłyszałem pierwszy strzał. Później w kilkusekundowych odstępach drugi, trzeci, czwarty. Niestety, żaden łos nie wybiegł na polanę. Słaba nagonka - pomyślałem. Po chwili zobaczyłem uśmiechniętych Ewenków wyłaniających się z zarośli. Okazało się, że polowanie jest już zakończone - właśnie przed chwilą padły cztery łosie! Chodź, zobaczysz

- kiwali na mnie. Spojrzałem na zegarek - wszystko trwało około dziesięciu minut! Poszliśmy obejrzeć pokot. To cztery dorodne sztuki, na oko każda po jakieś siedemset kilogramów wagi. Będą mieli mięso na całą zimę - pomyślałem. Nie doceniałem jednak najlepszych myśliwych na świecie... Kiedy wróciliśmy do chaty, trudno było mi ukryć oburzenie. Nie chodziło o to, że nic nie upolowałem, lecz o to, że - jak się okazało - myśliwi zastrzelili zwierzęta dla czystego zbytku

- nawet nie zabrali upolowanej tuszy, obcięli tylko języki i chrapy, które później gotowali w słonej wodzie. - To jest najsmaczniejsze z łosia - przekonywali. Reszta dobra dla wilków i niedźwiedzi...

Później siedzieliśmy w chacie i popijaliśmy brzoszkę. Ewenkowie przekonywali mnie, że mimo ich apetytu na łosiowe języki zwierzęta te nie wyginą - jest ich w okolicy jak krów w sowieckim kołchozie... Później jeszcze wyszło na jaw, że w górze rzeczki Tigije mają jeszcze jedną - większą - zimową chatę. Tam to dopiero są skarby - tony kawioru i kilkaset zwierzęcych skórek. Opowiadali też o polowaniach, połowach ryb. Zauważyłem, że w miarę wypitego samogonu upolowane zwierzęta i złowione ryby stawały się coraz większe... Najbardziej jednak cieszyli się, że już niedługo przybędą barką *komersanci*³⁹ - którym z zyskiem sprzedadzą kawior, ryby i zwierzęce skóry.

- Rosjanie to głupki - przekonywał jeden. - Za pięć beczek kawioru dają cały worek cukru! To naprawdę są głupki, którzy nie rozumieją, że my tu mamy kawior za darmo...

- Tak samo z rybą - powiada drugi. Za dwie tony jesiotra w zeszłym roku dostali bez targowania aż dwa worki mąki. - Żyć nie umierać - cieszyli się myśliwi! Dopiero nad ranem brzoszka właściwie zadziałała. Odeszliśmy w niebyt, pokładając głowy na stole. Tylko stary Jukagir zdążył ułożyć się pod piecem - zasnął momentalnie, chrapiąc niemiłosiernie.

39 W tłum. z rosyjskiego - handlowiec, biznesmen.

Dopiero dziś mogę wyobrazić sobie, jaki paskudny smród musiał panować w tej chacie.

Ranek był taki, jakie bywają ranki po pijaństwie. Ewenkowie ledwo powłóczyli nogami, ja też byłem nie za bardzo rześki... - *Podchmielić nada* - przekonywali. Bez tego daleko nie dopłyniesz. Wypiliśmy więc po jednym, a podczas kurażu nie wiadomo skąd temat zszedł na rosyjskich milicjantów. Po kolejnym stakanie doszliśmy do wniosku, że w Jakucji trudno jest żyć milicjantom. Za Boga nie zrobisz tu kariery - możesz na pysk padać, a w żaden sposób nie uda ci się wyróżnić. Kradzieży, bandytyzmu lub chuligaństwa nie ma. Nawet jakiegoś marnego włamania się nie wykryje, bo od wieków nigdzie nie ma zamków... Zamykane są jedynie magazyny i składy. Co prawda, klucz do składu dawno już zgubiono i do pomieszczenia wchodzi się, rozsuwając deski w ścianie, ale oczywiście strat żadnych nie ma. Dla milicji to wprost bieda, gdyż etaty są tu wręcz śmieszne. Od Jakucka na północ jest ich aż czterech, a terytorium wielkie - tylko nieco mniejsze od Europy... - A rabować jest tu co - przekonywali - bowiem niedaleko stąd, nad niepozorną rzeczką Łunny znajduje się prywatna kopalnia diamentów, której właścicielem jest nie kto inny tylko sam prezydent Jakucji Nikołajew. Oczywiście wieść tę opowiedziano mi w wielkim sekrecie, na dodatek przyciszonym głosem. Później, podczas wizyty w innej miejscowości, równie cicho potwierdzono tę wiadomość, dodając oczywiście wiele nowych szczegółów, z których wynikało, że biada tym śmiałkom, którzy pojawią się w okolicy.

Dobre sobie - na terytorium równym Europie aż czterech stróżów prawa, którzy w dodatku nie mają co robić. To naprawdę tragiczna sytuacja - pomyślałem.

Około południa opuściłem domostwo najlepszych na świecie myśliwych. Dzień był pochmurny, ale za to bezwietrzny, dlatego też radowałem się, chciwie pokonując ostatnie kilometry dzielące mnie od Morza Łaptiewów.

Do dziś jest sprawą sporną, gdzie właściwie rozpoczyna się delta Leny. Geografowie uważają, że deltę rozpoczyna wyspa o nazwie Stołb, miejscowi zaś, że właśnie wyspa Tit - Ary, za którą to na zawsze rozdzielają się wody rzeki. Ja co do delty nie mam konkretnego zdania, niemniej kiedy z daleka ujrzałem wyspę, zacząłem wrzeszczeć z radości, wyrażając w ten sposób swoje zwycięstwo. Uważałem bowiem, że już prawie dotarłem do celu.

Kiedy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem stojące przy brzegu łodzie. Był to nieomylny znak, że wyspa jest zamieszкана. W chwilę później, gdy znalazłem się na brzegu, dowiedziałem się, że rzeczywiście dotarłem na wyspę Tit - Ary, na której obecnie znajduje się duża baza rybacka.

Skośnoocy mieszkańcy wyspy od razu zauważyli, że przybywam z daleka, o nic nie pytali, tylko od razu poprosili mnie do chaty, gdzie poczęstowali wędzoną rybą, chlebem i gorącą herbatą.

Tit - Ary w języku Jakutów oznacza „liściasta wyspa”, nie wiem, skąd ta nazwa, ale jest pewne, że w chwili obecnej nie uświadczą się tam najmniejszego listka. Wyspa jest piaszczysta i poza widocznymi gdzieś kępami jakichś porostów żadna inna roślinność tam już nie występuje.

Wyspa ma swoją niechlubną historię, bowiem już za cara służyła jako miejsce odosobnienia, jednak najstraszniej zapisała się w latach czterdziestych. Znajdował się tu bowiem najcięższy z sowieckich gułagów. Opowiadano, że tuż po wojnie przywieziono tu aż cztery tysiące więźniów. Byli to niemieccy jeńcy wojenni, Litwini, Łotysze, byli też Polacy. Pomimo że była jesień, nie ustawiono na wyspie baraków. Zesłańców pozostawiono po prostu pod gołym niebem. Ponoć do wiosny przetrwało tylko osiemset osób. Więźniowie ratowali się jak mogli - w zmarzniętym piachu rękoma kopali ziemianki, a kiedy umierali w nich z głodu i zimna - inni po prostu zasypywali ich schronienia. W ten sposób nieszczęśnicy sami grzebali siebie. Do dziś wiejący z północy wiatr przemieszcza po wyspie sypki piasek, coraz to odsłaniając ludzkie szczątki. Pomyśleć - cóż może człowiek zrobić z drugim człowiekiem.

Opowiadano, że na początku lat dziewięćdziesiątych przybyły tu delegacje z różnych krajów. Odprawiano msze, ekshumowano i zabierano do swych krajów znalezione szczątki. Z tego co wiem, z Polski niestety nikogo nie było. Trzy lata temu na jednym końcu wyspy postawiono krzyże i tablice pamiątkowe. Niestety, również i tu polskiego śladu nie ma. Jak się okazało, nie był to jedyny obóz w okolicy - pięćdziesiąt kilometrów dalej na północ, niedaleko wspomnianej wyspy Stołb, znajdował się kolejny łagier o dźwięcznej nazwie Mogilna Wyspa. Ten z kolei był obozem śmierci, którego żaden więzień nie przeżył...

Po śmierci Stalina obóz na wyspie Tit - Ary zlikwidowano, a na jego miejscu założono kołchoz rybacki; wybudowano sporą wieś. Oczywiście nikomu nie przeszkadzał fakt, że domy postawiono na cmentarzu... Chaty prawdopodobnie stałyby do dziś, lecz przyroda sama upomniała się o należną cześć zmarłym i w wyniku wielkiej powodzi, jaka nawiedziła wyspę w latach siedemdziesiątych, na powrót uczyniła wyspę niezamieszkaną - po prostu woda i kra zmiotły z powierzchni wyspy wszystkie zabudowania.

Później postawiono tu kilka baraków wspomnianej bazy rybackiej, ale de facto od czasu wielkiej powodzi wyspa w dalszym ciągu jest niezamieszkaną. Ludzie przebywają tu tylko w sezonie, czyli podczas krótkiego syberyjskiego lata.

Załogę bazy corocznie stanowią miejscowi myśliwi, którzy tak sobie życie ułożyli, że zimą polują w tajdze, latem zaś łowią ryby. Dodam, że w większości są to przeważnie skośnoocy Jakuci i Ewenkowie.

Ku mojemu zdziwieniu całym tym szemranym towarzystwem dowodziła młoda,

ładna Rosjanka, która pełniła tu funkcję pełnomocnika kołchozu, posiadającego licencję na odlów ryb w tym rejonie. Nazywała się Galina Starcewa i do dziś nie wiem, jak to robiła, ale wśród mężczyzn miała ogromny autorytet i posłuch. W związku z powyższym na wyspie panował jako taki ład i było widać dyscyplinę. Aż nasuwa się przysłowie, że gdzie diabeł nie może...

Jak już wspomniałem, w bazie przyjęto mnie z wielkimi honorami. Ponieważ po południu zaczęło wiać z północy, zaproponowano, abym się rozgościł, pocieszono mnie przy tym, że mogę tu zakotwiczyć na dłużej, gdyż wiatry w delcie rzeki wieją przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku. Ma się rozumieć, są kilkugodzinne przerwy...

Galina zarządziła więc, aby przygotować mi do zamieszkania pustą chatę. Poleciała również przygotowanie bani oraz ułożenie mnie do snu, gdyż, jak twierdziła, po podróży muszę być bardzo zmęczony. Oczywiście o żadnym proteście z mojej strony nie mogło być mowy. Ponieważ w chacie trzeba było posprzątać i napalić w piecu, w tym czasie zaproszono mnie na zwiedzanie bazy. Wydawałoby się, że nic ciekawego się tu nie zobaczy - ot, kilka łódek, sieci, ewentualnie jakąś wędzarnię. Jednak pokazano mi coś, czego w życiu jeszcze nie widziałem; zaprowadzono mnie bowiem do letnika - podobnego do tego, jaki widziałem przed kilkoma dniami - jednak tak olbrzymiego, że aż przetarłem oczy ze zdumienia.

Każdy, kto kiedykolwiek zwiedzał kopalnię soli w Wieliczce, wie co to za niesamowite wrażenie, kiedy znajdzie się człowiek kilkadziesiąt metrów pod ziemią w olbrzymiej komorze, przewyższającej wielkością największą zamkową salę. Coś podobnego zobaczyłem tu, na niewielkiej wysepce położonej w delcie Leny, z tym że ściany w kopalni są z soli, a tu były z lodu.

Prawdziwy lodowy labirynt; różnej wysokości pokłady, ciągnące się korytarze, przeróżne pomieszczenia i lodowe komory - wszędzie ślisko jak diabli.

Dookoła ryby, ryby, wszędzie gdzie spojrzeć poukładane na olbrzymich stosach ryby. Setki ton kilkumetrowej długości jesiotrów, setki ton ważących kilkadziesiąt kilogramów tajmieni - przyznam, że nigdy nie widziałem takiej ilości zamrożonych stworzeń. Jak mi objaśniono, wszystko to było przygotowane dla głodnej stolicy... Ktoś bowiem bzdur im naopowiadał, że w Moskwie głodują... Teraz wszyscy na wyspie czekają na chłodniowiec, który jak co roku przywiezie mąkę, cukier, herbatę i inne ważne rzeczy, zabierze natomiast ryby i kawior - taki jest tu od lat niezmienny porządek.

Gdy patrzyłem na ten majątek, wierzyć mi się nie chciało, że ludzie ci praktycznie pracują za mąkę, cukier i herbatę... Po wyjściu z letnika długo jeszcze przed oczami miałem setki ton zamrożonej ryby - tego nie da się zapomnieć.

W drodze powrotnej zwiedziliśmy jeszcze mieszczącą się w baraku starą solnicę, z długimi stołami do patroszenia ryb i olbrzymimi kadziami na solankę. Tu z kolei dowiedziałem się, że w sezonie dziennie przerabiają około stu dwudziestu ton ryby! Pomyśleć tylko, że taka produkcja ma miejsce na maleńkiej wysepce Tit - Ary. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Ile normalności jest w tych ciepłych chatach, ile przyjaźni dla każdego tułacza. Zapach pieczonych kartofli, smażonej ryby, aromat parzonej herbaty - po prostu zapach domu. Jest wieczór, siedzę przy oknie, patrzę na szeroką rzekę, na leżące po przeciwnej stronie porośnięte zielonym mchem Góry Wierchojańskie. W tym momencie uświadamiam sobie, że tak naprawdę to do końca nie myślałem, że uda mi się aż tutaj dopłynąć. Spoglądam na ludzi kręcących się między zabudowaniami, których poznałem zaledwie przed chwilą, a którzy zachowują się tak, jakbyśmy przyjaźnili się od wieków - ileż niezniszczalnej siły dobra jest w tych prostych ludziach. Teraz wiem, że tak naprawdę tylko dzięki nim wierzę jeszcze w ludzkość i człowieczeństwo. Jednocześnie teraz tu, w tej skromnej chacie odczuwam straszliwy wstyd - wstyd za niektórych moich rodaków, którzy poniesieni falą idiotyzmu, z krzyżem w ręku i modlitwą na ustach burzyli pomniki i groby poległych w Polsce żołnierzy radzieckich. Czy zdawali sobie oni sprawę, czyją cześć burzą? Czyż w większości polegli nie byli właśnie tymi prostymi, Bogu ducha winnymi ludźmi? Każda krew jest krwią. Nie ma rzeczy na świecie, której by nie uczynił człowiek drugiemu człowiekowi w imię polityki, w imię religii. Po tym wszystkim, ile dobroci doznałem na Syberii, mam uczucie, że gdyby to ode mnie *zależało*, skreśliłbym tych burzycieli z listy człowieczeństwa; nie potrafię nawet znaleźć słów, jakimi mam ich określić. Najgorsze, że właśnie ci bezczeszczący cudze groby na co dzień obnoszą się ze swoją nieskazitelnością, przesadną religijnością - dziwi mnie przy tym fakt, że kościół katolicki nie zajmuje w tej sprawie żadnego stanowiska. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę fakt, że kanclerz Adolf Hitler też był katolikiem, nie należy się już niczemu dziwić⁴⁰. Stosunek do miejsc pochówku ludzi - bez względu na to jakim mówili językiem i w co wierzyli - to jeden z wykładników kultury danego narodu.

Leżałem już w łóżku, kiedy usłyszałem zgiełk dochodzący z dworu. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem kilku ludzi gorączkowo biegających od chaty do chaty. Coś się wydarzyło, nie wiedziałem tylko co - ktoś coś wykrzykiwał, wszyscy byli podnieceni. Ubrałem się szybko i wyszedłem na zewnątrz, aby dowiedzieć się co się stało. Gdy tylko znalazłem się między domami, dowiedziałem się, że ktoś w bardzo ważnej sprawie zarządził zebranie wszystkich myśliwych, którzy już zgromadzili się w którejś z chat. Czując że dzieje

⁴⁰ Istnieje do dziś spór, czy deklaracja Hitlera "Obecnie, tak jak zawsze, jestem katolikiem. I takim pozostanę" była faktycznym wyznaniem wiary, czy jedynie kolejnym chwytem reklamowym.

się coś bardzo ważnego, pospiesznie dołączyłem do idących na naradę. Tu okazało się, że mój pośpiech był nieuzasadniony, gdyż rozmowy, które zamierzałem podsłuchać, niestety prowadzono w języku jakuckim, więc dalej nie miałem pojęcia, co się właściwie wydarzyło. Dopiero kiedy do chaty weszła zaniepokojona hałasem szefowa, jak na komendę natychmiast zaczęto rozmawiać w języku rosyjskim. Po chwili było już jasne, co wzburzyło krew najlepszym na świecie myśliwym. Okazało się, że polujący w Górach Czekanowskiego Ewenkowie wytropili wielkie stado śnieżnych baranów wędrujących w stronę oddalonej o kilkanaście kilometrów Góry Lenina. Nic dziwnego, że wiadomość ta wywołała wśród myśliwych wielkie podniecenie, gdyż jak niebawem się dowiedziałem, barany śnieżne, a w szczególności osobniki martwe, stanowiły dla rybaków dodatkowy zarobek, bowiem ich skóry i rogi były poszukiwanym na rynku towarem - miały więc dobrą cenę. Ponadto spodziewano się, że przybywający po ryby na pokładzie chłodniowca biznesmeni natychmiast skóry te nabędą, jednym słowem szykował, się łatwy, szybki i czysty zarobek.

Myśliwi byli jednomyślni: rano wszyscy posiadający broń wyruszają na polowanie. Zapytałem, czy mogę z aparatem fotograficznym towarzyszyć tej ekspedycji. Ależ oczywiście, nie ma problemu - usłyszałem w odpowiedzi.

Nastrój na wyspie panował świąteczny. Stało się wiadome, że tej nocy nikt nie zmruży oka. Wykorzystując ten fakt, kilku młodych Jakutów usilnie prosiło szefową, aby pożyczyła im telewizor i wideo! Byłem bardzo zdziwiony, że taki sprzęt się na wyspie znajduje. Zobowiązywali się przy tym, że w razie awarii urządzenia wszystkie straty pokryją skórami z baranów - dzielili więc skórę na baranie... Zapewniali przy tym, że do agregatu prądotwórczego mają nawet swoją prywatną benzynę.

Szefowa początkowo się wzbraniała, lecz pod presją usilnych błagań wreszcie uległa i niebawem Jakuci zaprosili wszystkich chętnych na projekcję. Wiedziałem, że podobnie jak rybacy nie zasną tej nocy, więc poszedłem z wszystkimi na film.

Leciał jakiś amerykański tasiemiec, traktujący o pięknych i mądrych amerykańskich biznesmenach - szmira nad szmirą! Podczas projekcji zauważyłem jednak jedną ciekawą właściwość z życia miejscowych myśliwych. Wielu z nich ani razu nie widziało samochodu, parowozu czy murowanego budynku, w odróżnieniu od samolotu i helikoptera. Gdy wyświetlano film i na ekranie pokazywało się miasto, wielopiętrowe domy, trolejbusy, autobusy, samochody i tramwaje, myśliwi wpadali w zachwyt i cmokali. Natomiast gdy pokazywano samolot czy helikopter, którym latali piękni i mądrzy amerykańscy biznesmeni, przyjmowano to jako coś zwykłego, właściwego tundrze, coś jakby stworzonego przez nią. Wiadomo - tu, na Północy jeszcze niedawno helikopter pełnił rolę tramwaju, dlatego u myśliwych uzasadniony brak należnego szacunku dla tej maszyny.

Po filmie pozostałem z Jakutami, którzy nie mając nic lepszego do roboty, prześcigali się w swych myśliwskich opowieściach. Sądzę nawet, że nie były one zbyt przesadne, gdyż znających się na myśliwskim rzemiośle było w chacie zbyt wielu.

Opowiadano o baranach śnieżnych i ich corocznych wędrówkach, wspomniano, że dawniej było łatwiej je wytropić, ponieważ piloci helikopterów opowiadali o kierunku ich marszu. Teraz trzeba wysłać zwiadowców i bardzo umiejętnie je śledzić, gdyż jak ujrzą coś podejrzanego, natychmiast zmieniają kierunek wędrówki, a co za tym idzie - dalekim kołem omijają wyspę. Na razie jednak szczęście myśliwym sprzyja i rokrocznie mają dodatkowy dochód.

Później myśliwi z lisimi uśmiechami na twarzach zapytali mnie, czy uwierzę w to, że mały gronostaj może zabić dorosłego łosia. Odparłem - ma się rozumieć - że nie wierzę. Teraz skośnoocy wybuchli głośnym śmiechem i jeden przez drugiego przekrzykiwali się nawzajem, udowadniając, że rzeczywiście zabija i to nawet często.

Według ich relacji, mózg łosia stanowi wielki przysmak tego zwinnego rabusia. Aby zapolować na łosia gronostaj zaczyna się na drzewie, a gdy ten przechodzi pod nim, niespodziewanie spada mu na kark, później przedostaje się do głowy i po prostu wgryza się przez ucho do mózgu. Oczywiście łos nie jest z tego zadowolony, szaleje więc, wściekle wałąc głową w co popadnie, lecz jest już za późno - ostre pazury gronostaja wczepione w sierść uniemożliwiają łosiowi zrzuć intruza z głowy. Z minuty na minutę walczące zwierzę słabnie i wówczas dopiero gronostaj dobiera mu się do mózgu. Ponoć dla zwinnego gronostaja jest to tak proste, jak wejście do wąskiej ptasiej dziupli...

O świcie wyszliśmy z chaty i zaczęliśmy się piąć po stromym zboczu. Skierowaliśmy się w górę rzeki w kierunku białej skały, której nazwa wzięła się stąd, że rankiem jako pierwsza oświetlana jest promieniami wschodzącego słońca. Ledwie dostrzegalna ścieżka wydeptana przez zwierzęta wiła się między zwałami olbrzymich kamiennych płyt. Szliśmy przez cmentarz zwietrzałych skał. Kiedyś, przed milionami lat wznosiły się tu ku obłokom niedostępne szczyty górskie. Minęły wieki i z olbrzymich szczytów pozostały tylko płyty grobowe - pamiątki dawnej wielkości. W ciągu całego marszu przez ten skalny cmentarz nie mogłem się wyzbyć dziwnego uczucia tajemniczości. Zdawało się, że wystarczy podnieść jedną z takich płyt, a ujrzy się pod nią szkielet jakiegoś jaszczura lub coś - bardziej niezwykłego. Grunt był usiany wybielonymi, kruchymi kośćmi baranów, które przechodziły tędy ostatniej jesieni. Ileż nagromadziło się ich tu w przeciągu wieków? Wyżej już nie spotykało się kości, rósł mech i chrobotek reniferowy, biały, miękki, wysoki, przez nikogo nie naruszony, przez nikogo nie zdeptany. Im wyżej, tym trudniej było się wspinać - tu nie ma turystycznych szlaków. Na szczycie spotkał nas zimny, ostry wiatr, jakby duchy

baranów postanowiły zrzucić w dół zuchwałych ludzi. Dookoła stały kamienne słupy o dziwnych kształtach, wyciosane przez wiatr i wodę. Niektóre przypominały ludzi w różnych pozach, inne - zwierzęta. Rozejrzałem się dookoła - widok roztaczał się stąd niezwykle. W dole płynąca rzeka, brązowo - zielona z białymi piaszczystymi plamami łąch

- dalej już tylko zielona tundra bez końca. Daleko na północy zauważyłem niebieskawy pasek Morza Łaptiewów obejmujący wąską wstęgą połowę horyzontu. Na południu czarne, nagie stoki Gór Czekanowskiego, po drugiej stronie zielone od mchu Góry Wierchojańskie. Dookoła niebieskawe, zielonkawe lub ciemnobrązowe lustra niezliczonych jakuckich jezior oraz srebrzyste żyłki rzeczek. Rozległe przestrzenie nie do ogarnięcia; tak szerokie i pociągające, że chciałoby się unieść ramiona jak skrzydła, wznieść się nad tundrą i lecieć, lecieć dopóki starczy sił. W sercu miałem jakąś świąteczną radość. Moja zaduma nie trwała jednak długo, ponieważ niebawem znów ruszyliśmy, tym razem w dół, w kierunku widocznego na horyzoncie niewielkiego wąwozu. Po półgodzinnym marszu idący przodem wywiadowcy raptownie przystanęli, dając całej grupie znak, że zauważyli podążające w naszym kierunku śnieżne barany. Jak na komendę myśliwi rozbiegli się na boki i skryli się za skałami, zajmując dogodne pozycje strzeleckie.

Nie chcąc przeszkadzać, również czym prędzej skryłem się za pobliskim wyłomem, a zrobiłem to tak szybko i usłużnie, że pośliznąłem się i upadłem na ziemię, robiąc przy tym wiele szumu i zamieszania. Upadek należał do typu kontrolowanych, gdyż lecąc na pysk, trzymałem wysoko w górze sprzęt fotograficzny. W rezultacie wyrznięłem głową o skałę, skaleczyłem lekko nogę, ale aparat fotograficzny ochroniłem. Polało się nieco krwi, którą wytarłem ręką. W chwilę później o sprawie zapomniałem. Znajdujący się w pobliżu myśliwi patrzyli na mnie wzrokiem pełnym troski i uwagi, jaką na ogół poświęca się różnym debilom i kretynom. Wniosek - nie rób niczego zbyt usłużnie. Ledwo doszedłem do siebie, kiedy wzdłuż linii zasadzki dało się słyszeć narastający szmer - powtarzano, że barany są już blisko.

To, czego za chwilę miałem być świadkiem, nie mieści się w żadnych regułach łowiectwa, uświadamia doskonale jednak, skąd się wzięło powiedzenie „ty baranie”. Ale od początku. Czubuku - bo tak po jakucku nazywany jest baran śnieżny - ma taką niezwykłą domenę, że bardzo słabo słyszy, za to świetnie widzi. Wzrok jego równy orła - mawiają Jakuci.

Jednakże również ten świetny wzrok ma pewien feler, bowiem baran świetnie widzi na wprost i do góry - z patrzeniem w dół ma pewne kłopoty, dlatego też patrząc do dołu, dziwnie przekrzywia głowę. Ponadto ma jeszcze jedną poważną wadę: w ogóle nie posiada podzielności uwagi i właśnie ten ostatni barani feler najchętniej wykorzystują syberyjscy

myśliwi.

W chwilę później barany były już widoczne. Wielkie ich stado prowadzone przez ogromnego samca - nieświadome zasadzki - schodziło wolno w dół, w sam środek matni. Kiedy już myślałem, że zaraz zacznie się kanonada, stało się coś niezrozumiałego: daleko za mną zobaczyłem na środku wąwozu młodego myśliwego. Szedł naprzeciw stada i głośno śpiewał... Przepłoszy całe stado - pomyślałem.

Później młodzieniec jak gdyby nigdy nie położył się na plecach i zaczął wywijać nogami, imitując jakby jazdę na rowerze...

Facet zwariował - przemknęło mi przez myśl i odruchowo spojrzałem na reakcję kryjących się za pobliską skałą Jakutów. Jakież było moje zdziwienie, kiedy ujrzałem ich w alegorii szczęścia, ich rozpromienione twarze zdawały się być zachwycone przebiegiem akcji...

- To chyba nie myśliwi, tylko idioci - pomyślałem. Tymczasem głuchy jak pień przywódca stada maszerował dalej, a za nim setki baranów, które swą masą wypełniły już niemal cały wąwóz. Nieświadome swej zguby zwierzęta obojętnie wchodziły pomiędzy ukrytych za skałami myśliwych.

Raptem baran przywódca stanął jak wryty. Zauważył bowiem przed sobą kręcącego rowerek Jakuta. Pozostałe barany nie od razu wyhamowały, w wyniku czego wąwóz się zakorkował. Po chwili jednak stado znieruchomiało - barany dziwnie powykręcały łby i z ciekawością przyglądały się kręcącemu rowerek.

Na tę właśnie chwilę czekali myśliwi. Teraz wyszli ze swych kryjówek i jak gdyby nigdy nie podchodzili do baranów, przystawiali im lufy do głów i strzelali. Bummm - baran pada, a sąsiad baran faktu tego nie zauważa, gdyż - jak wspomniałem - nie ma podzielności uwagi! Bummm - kolejny baran leży, a reszta stada dalej wpatruje się w kręcącego rowerek. Bummm, bummm, bummm - barany padają jak muchy, a reszta z samcem przywódcą na czele w dalszym ciągu z nieukrywanym zaciekawieniem patrzy na młodzieńca kręcącego rowerek...

Chciałoby się w tym momencie krzyknąć: Ty głupi baranie!!!

Rzeź trwała około dziesięciu minut. Zabito ponad setkę zwierząt, przy życiu pozostawiono ponad połowę stada - w tym przywódcę.

Później ktoś głośno gwizdnął i na ten sygnał kręcący rowerek wstał z ziemi i odszedł w bok, znikając baranom z oczu. Dopiero teraz zwierzęta zobaczyły ludzi i w panice rozpierchły się na wszystkie strony, a baran przywódca najdzielniej pierwszy zwiewał.

- Do zobaczenia za rok! - krzyczeli za nim Jakuci.

W chwilę później myśliwi zajęli się oprawianiem zwierząt - brano tylko skory i

poroże, z kilku młodych sztuk wzięto również tusze.

Objuczeni powoli schodziliśmy w dół. Na placu boju pozostały tony mięsa. Jutro już nie będzie po nim śladu - przekonywali myśliwi. U podnóża Jakuci przycichli - czy duchy gór i tundry aby nie ukarzą zuchwalców, czy na pewno zostawią ich w spokoju?

Po południu docieramy na wyspę. Wszyscy są zmęczeni, ale jakże zadowoleni. Wieczorem zaczyna się bal... Wszyscy piją ze wszystkimi - nawet szefowa Galina Urcewa nie wylewa za kołnierz, gdyż na bal przyszła bez kołnierza.

Spieszno mi do domu, więc szybko idę spać i nazajutrz wcześniej rano opuszczam wyspę. Odpływam żegnany przez najbardziej wytrwałych biesiadników.

Ostatnie 150 kilometrów zamieniło się w istną mordęgę spowodowaną opuchniętą nogą, którą zraniłem na skałach podczas wspólnego polowania z Ewenkami. Noga była opuchnięta i bolała, w szczególności gdy trzymałem ją w normalnej pozycji. Chcąc nie chcąc automatycznie zadzierałem ją do góry, Płynąłem więc w pozycji półleżącej. Jednakże nie dane było mi beczynnienie siedzieć, bowiem nurt rzeki bardzo osłabł. Musiałem więc - choć bardzo niechętnie - chwycić za wiosła. Do niewygód i bólu doszła świadomość, że jeśli się w tym miejscu zgubię, to wyprawa ta będzie moją ostatnią podróżą - oczywiście nie licząc tej do nieba.

Niedaleko za wyspą, na lewym brzegu zauważyłem niewielką wioskę o nazwie Tababastach⁴¹. Jak tłumaczyli mi Rosjanie, ponoć wioskę zamieszkiwali na pół dzicy Eweni i Ewenkowie. Początkowo chciałem nawet tam zajrzeć, ale boląca noga sprawiła, że odeszła mi ochota na wszelką gościnę. Minałem więc osadę nie zatrzymując się.

Lena uchodzi do Morza Łaptiewów deltą, której szerokość wynosi około stu kilometrów. Generalnie wpływa do morza trzema szerokimi przetokami: Bykowską, Trofimoską, Oleniecką. Pomiedzy tymi głównymi ujściami znajduje się kilkadziesiąt innych, mniejszych przetok, a pomiedzy nimi tysiące wysepek - trudno więc nie pobłądzić. Wiedziałem jednak, że abym mógł dotrzeć do celu Podróży, należało wpłynąć w przetokę Bykowską i płynąć nią do końca, czyli do miejscowości Bykowskij, leżącej na półwyspie o tej samej nazwie.

Właśnie dokładnie przy tej miejscowości Lena wpada do Morza Łaptiewów. Jednym ułatwieniem był fakt, że omawiana przetoka była jedyną zakręcającą ostro w prawo - nie musiałem się więc martwić, czy uda mi się ją odnaleźć, wystarczyło bowiem tylko trzymać się prawego brzegu.

Wkoło żywego ducha, tylko ptactwo, meszki i komary - te ostatnie czują się tu Panami i nieprzerwanie atakują. Po jakimś czasie na widnokręgu zamajaczyła olbrzymia góra, kształtem przypominająca sylwetkę kobiety. Z daleka wydawało się, że stoi w

41 W jęz. jakuckim - głowa renifera.

poprzek, zagradzając drogę ku morzu. To wyspa Stołb; jednak stąd praktycznie rozpoczyna się delta rzeki.

Nakładające się prądy rzeczne i przyływy powodują naprzemienne ruchy wody. Przy sprzyjającym wietrze woda morska dociera czasami aż 70 km w głąb lądu! W przypadku gdy siła pływów jest niewielka, a rzeka dostarcza dużo osadów - powstaje właśnie delta.

Delta Leny roi się od mokradeł. Zajmują więcej miejsca niż kilka naszych województw. Z daleka wygląda jak wielka pustynia, lecz w rzeczywistości są to mokradła. Człowiek normalnie nie przywiązuje do nich wagi, ale przecież wieczność ewolucji właśnie tutaj przetrwała. Mokradła to zapas żywności Ziemi - tu żyją mikroorganizmy, którymi odżywiają się insekty, a nimi z kolei odżywiają się ptaki i ryby. Dzięki mokradłom żyje natura, żyjemy i my. Ujście Leny to naturalne środowisko migrujących ptaków z całego kontynentu - przylatują ich tu miliony, właśnie przed chwilą opodal jakies wylądowały na wodzie ptasim deszczem... Notabene właśnie tu, gdzieś w delcie znajduje się międzynarodowa stacja ornitologiczna „Szelt” zwana również z angielska Lena Norden. Stację założyli Amerykanie, badania zaś prowadzą naukowcy z całego świata.

Już na pierwszy rzut oka widać, że teren różni się od dotychczas spotykanego - nawet błoto ma tu inny kolor i konsystencję. Nie jest to błoto w naszym pojęciu, czyli takie, które tworzy tu i ówdzie suche wysepki i oazy twardego gruntu, gdzie można chwilę się zatrzymać, odsapnąć i otrząsnąć z błota. Tutejsze błoto ciągnie się na setki kilometrów we wszystkie strony. Jest to raczej nie błoto, lecz odtajała pod promieniami słońca górna warstwa wiecznie przemarzłej ziemi - jednolite mięsiwo rozrzedzane przez słońce i ulewne deszcze.

Słaby nurt powoli niesie mnie ku morzu - na szczęście pogoda jest bezwietrzna. Teraz wystarczy tylko trzymać się prawego brzegu, a już niedługo dotrę do celu. To ostatni odcinek rzeki, niedługo nastąpi od dawna oczekiwane spotkanie z morzem.

Krajobraz zdaje się być księżycowy; po prawej jak okiem sięgnąć płaska zielona tundra, po lewej również tundra, tyle że bardziej księżycowa, gdyż górzysta. Brzeg przesuwa się bardzo wolno, opuchnięta noga coraz bardziej boli.

Różne myśli przychodzą mi do głowy, analizuję ostatnie dni, przebytą dotychczas drogę. Dziś jestem pewien, że w życiu znalazłem to, czego szukałem. Nie chodzi tu o pieniądze i wygody, wszak nigdy nie kroczyłem przez życie łatwymi drogami. Zawsze twierdziłem, że prawdziwe życie to niezależne życie - to walka, to przewyciężanie, to radosne upajanie się zwycięstwem po surowej próbie sił. Wszystko co dotychczas robiłem, robiłem do utraty tchu i chyba w tym tkwi jakiś drobny sukces.

Przed laty przyjechałem na Syberię w poszukiwaniu przygód, odnalazłem tu kawałek nieba. Wiem też, że nie można zostawić Syberii - zawsze zabiera się ją ze sobą. W głuchej tajdze jakuckiej, we włóczędze po dzikich ostępach Syberii znalazłem swe szczęście.

Jednak moje szczęście nie jest jak w romansie. Pachnie ono dymem puszczańskich ognisk, jego oblicze jest osmalone wiatrami, nogi zaś pokaleczone są na ostrych kamieniach.

Niejednokrotnie myślałem, że nie wyrwę się stąd już nigdy; przestałem wierzyć, że istnieje gdzieś miasta, ulice, prawdziwe domy. Wiem też, że wielu stało już ze świecami przy moim łóżku...

Moje szczęście nie wszystkim odpowiada. Jest ono trudne, często wpina się w ramiona, choć przywykłem chodzić w życiu z pustym plecakiem. Dziś jednak jestem szczęśliwy, tym szczęściem jest rychły powrót do domu. Po ciężkiej wyprawie wracam do siebie, do pokoju rozjaśnionego żółtym światłem. Płynę w kierunku morza, za mną pozostała rzeka, tajga, góry - teraz kieruję się tylko na to światło i wiem, że za kilka chwil spędzonych w jego blasku ponownie jestem gotów iść miesiącami i latami.

To prawda, zmęczyła mnie droga i leśna samotność, ale teraz, kiedy cel podróży prawie już widoczny, śmiało mogę mówić o wszystkim, nawet o tym, do czego dawniej przed samym sobą bałbym się przyznać. Myślę, że Syberia zmienia ludzi. Wszyscy mają o niej swoje wyobrażenia - kraina ta wydaje się tajemnicza, wielu z nich chce zmierzyć się z tymi wyobrażeniami, chcą zobaczyć jak to właściwie jest. Myślę, że warto to zrobić, gdyż z Syberii wraca się innym człowiekiem. Polecam wszystkim tę krainę.

Zadowolony z faktu, że płynę we właściwym kierunku, postanawiam wcześniej rozłożyć obozowisko, odespać zaległości z Tit - Ary. Niestety, od dziś muszę obywać się bez ognia - w tundrze bowiem nie uświadczysz kawałka drewna. Jak okiem sięgnąć tylko bezkresne połacie mchów i porostów.

Nie narzekam jednak - nie ogień bowiem w tym momencie najważniejszy. Zjadam na zimno wędzoną rybę i czym prędzej układam się do snu. Sen jednak nie nadchodzi - strasznie rwie mnie noga, układam ją wysoko. Wreszcie obolały i zmęczony zasypiam.

Budzę się o świcie w przytulnym cieple namiotu pokrytego już zmarzniętą rosą, którą przez noc wiatr nawiał znad morza.

Dzisiaj czuję, że z nogą jeszcze gorzej - żałuję więc, że lekkomyślnie za wcześnie oddałem Jakutom wszystkie opatrunki i lekarstwa. Może pomógłby jakiś antybiotyk? Powoli, z grymasem, pakuję wszystko do pontonu i ruszam w nadziei szybkiego dotarcia do celu. Około południa ku wielkiemu zdziwieniu dostrzegam na prawym brzegu dwa domy. W chwilę później dowiaduję się, że dotarłem do bazy o nazwie „Sokół”, która jest niczym

innym tylko stacją meteorologiczną. Pytam o lekarstwa, ale prócz aspiryny nic w bazie nie mają. Radzą czym prędzej dostać się do wioski Bykowskij; tam podobno urzęduje jeszcze lekarz. Ból staje się nie do wytrzymania, ruszam więc czym prędzej dalej.

Słońce świeci przez rzadkie chmury, niebo znów jest białe i lśniące, toteż rozradowany pogodą po tylu ciemnych tygodniach przez chwilę zapomniałem o bólu i troskach. Pocieszałem się przy tym myślą, że nieraz było mi gorzej i jakoś wszystko dobrze się skończyło. Po południu zrywa się wiatr, nie jest zbyt silny, ale słaby nurt sprawia, że aby posuwać się do przodu, muszę chwycić za wiosła. Och, jak bardzo mi niewygodnie wiosłować z nogą uniesioną do góry. Cóż jednak zrobić - zaciskam zęby i macham wiosłami. Staram się nie myśleć o swoim nie najlepszym położeniu, jednak podświadomie czuję, że dość szybko opadam z sił. Później robi mi się chłodno, dochodzą dreszcze - zdaję więc sobie sprawę, że zaczynam gorączkować. Staram się obliczyć, ile dzieli mnie od końca rzeki. Wiem, że już niedużo, ale mam obawy, gdyż wkoło po horyzont widzę tylko zieleni tundry.

Pod wieczór umordowany wychodzę na brzeg, ostatkiem sił rozkładam namiot i momentalnie zasypiam. Rano stwierdzam, że z nogą jest jakby lepiej - co prawda jest jeszcze opuchnięta, ale już tak mocno nie boli. Spiesznie ładuję się do łódki i dopóki starcza sił - dalej w drogę.

Rzeka kołysała się leniwie, statek żłobił skiby w ołowianej powierzchni, odrzucając na prawo i lewo pasma wody. Łomot maszyn tętnił głucho w wilgotnym, zimnym powietrzu. W górę rzeki płynie jakiś spory statek. Wygląda na taki, co wszystko przewozi. Na pokładzie walają się jakieś kontenery i drewniane skrzynie. Pewnie płynie do Jakucka.

Widok statku nieco mnie pocieszył, gdyż dowodził, że Północna Droga Morska jednak funkcjonuje; zakładałem bowiem, że przy odrobinie szczęścia załapię się na jakiś statek płynący do Europy. *Siewiernyj Morskoj Put*⁴² - to żegluga arktyczna trasa wzdłuż północnych wybrzeży Eurazji, rozpoczynająca się w Karskich Wrotach, kończąca się w porcie Prowidiennija. W mojej sytuacji była to najkrótsza i najtańsza droga do Europy.

Perspektywa szybkiego powrotu do domu sprawiła, że wstąpiły we mnie nowe siły. Ponownie z werwą chwyciłem za wiosła i brzegi zaczęły nieco szybciej się przesuwać. Około południa opływam trzy porośnięte tundrą wyspy, w chwilę później zauważam jakiś niepasujący do otoczenia kształt. Z minuty na minutę kształt rośnie w oczach. Jeszcze nie wierzę, przecieram oczy. Tak - to nie fatamorgana - na horyzoncie wyraźnie widzę jakąś fabrykę z dwoma wysokimi kominami. Po chwili dociera do mnie, że to miejscowość Bykowskij! Hurra! - darłem się wniebogłosy, skacząc na pontonie jak wariat. Dopłynąłem - tu przecież kończy się rzeka! Teraz wiosłowałem już jak opętany. Kiedy podpłynąłem bliżej,

zauważam jakichś ludzi kręcących się na brzegu. Kieruję łódkę w ich kierunku. Po chwili, manewrując pomiędzy wystającym z wody złomem, dobijam do stojącego przy brzegu wraku wyglądającego na jakąś pływającą latarnię morską. W tym momencie na dobre opuszczają mnie siły. Mam łzy w oczach, nie wiem, co się stało - bezwład nie pozwala mi wysiąść z łódki. Siedzę oszołomiony i tak naprawdę bardzo wolno do mnie dociera, że właśnie zakończyłem podróż! Nie dowierzam jednak i smakuję wodę. Tak - woda jest słona, jest bardzo słona!!!

Alegoria szczęścia nie trwa jednak długo, gdyż po chwili dowiaduję się, że owszem, to koniec rzeki, ale nie koniec podróży, bowiem wieś praktycznie już nie istnieje i nie ma jak się stąd wydostać. Zlikwidowano sowchoz oraz zakład przetwórstwa rybnego, nie ma sklepu ani lekarza. W ogóle poza kilkoma starszymi, dogorywającymi ludźmi w wiosce już niczego nie ma - wszyscy wynieśli się do Tiksi.

- Musisz tam dopłynąć, tutaj nic nie załatwisz - radzą.

Więc nie koniec jeszcze morderczej podróży, nie koniec tułaczki - do celu pozostał jeszcze sześćdziesięciokilometrowy odcinek morski.

Nie zastanawiam się długo i jak w transie chwytam za wiosła i po chwili wpływam na wody Morza Łaptiewów.

Morze Łaptiewów zostało nazwane na cześć wojów kozackich - braci Łaptiewów, Charytona i Dymitra, którzy w roku 1736 sporządzili pierwsze mapy tego wybrzeża. Bracia Łaptiewowie nie byli pierwszymi kozakami na tych terenach, sto lat przed nimi byli już tu kozacy atamana Jermaka, znanego zdobywcy Syberii.

Nazwa morza w pewnych kręgach do dziś jest sporną sprawą i gdzieś tam morze to zwą Morzem Nordenskiölda.

Nordenskiöld - szwedzki baron, z zamiłowania geolog i badacz polarny, w dziewiętnastym wieku zorganizował wyprawę wzdłuż północnych wybrzeży Syberii do Cieśniny Beringa. Właśnie jemu jako pierwszemu udało się przebyć na statku „Vega” całe Przejście Północno - Wschodnie, następnie opłynąć Azję i powrócić do kraju przez Kanał Sueski. Właśnie za ten wyczyn jego imieniem nazwano morze, zwane obecnie Morzem Łaptiewów.

Płynę powoli wzdłuż wybrzeża. To Zalew Niecejelowa. Jego wielkość porównałbym do Zalewu Wiślanego. Jest bardzo płytko. Nawet gdy znajduję się daleko od brzegu, cały czas widzę dno morza pod sobą. O ironio, teraz płynę na południe, więc północny wiaterek mi nie przeszkadza - dziś nieświadom przez parę godzin popychał mnie w stronę celu.

Dookoła pełno pni powiązanych w tratwy. Jak okiem sięgnąć tylko drewno, drewno i jeszcze raz drewno. Zastanawiam się, ile tego może być? Na oko wygląda, że wybudowałyby

z tego spore miasto. Warto w tym momencie wspomnieć co nieco o rosyjskim przemyśle drzewnym, który - delikatnie mówiąc - kuleje, a właściwie brak mu jednej nogi, to znaczy że w przemyśle tym brakuje kogoś, kto ma rozum w głowie. A sprawa ma się tak:

Jest rzeczą powszechnie znaną, że wszystkie większe rzeki Syberii płyną z południa na północ. Wszystkimi tymi rzekami w okresie nawigacji - a więc kiedy są wolne od lodu - spławia się drewno. Każde dziecko wie, że na Syberii jest pełno drewna, w związku z czym Rosja chętnie je eksportuje. Drewno rośnie daleko na południu. Aby je sprzedać, trzeba je ścinać i przetransportować na północ. Do tego celu najlepiej nadają się syberyjskie rzeki, które z racji swych właściwości transportują to drewno za darmo. Tak więc powiązane ze sobą pnie spływają z nurtem na północ, gdzie są sprzedawane. Do niedawna wszystko grało - w górnym biegu każdej z rzek pracowały specjalne kolchozy, których zadaniem było wycinanie lasu. Następnie drzewa pozbawiano gałęzi i transportowano w pobliże rzeki. Tam spuszczano je na wodę i wiązano w długie kilkuwarstwowe tratwy. Wiosną każdego roku spuszczano tratwy do wody i dalej już same podążały na północ.

U ujścia rzek do Morza Arktycznego pracowały inne kolchozy. Ich zadaniem było wyłowienie przybyłych z północy tratw, posortowanie ich oraz bezpośrednia sprzedaż. Syberyjskie drewno jest dobre i tanie, nic więc dziwnego, że w portach Północy panował spory międzynarodowy ruch - praktycznie drewno kupowali tu wszyscy. Interes kwitł należycie. Niestety, później pojawił się kryzys rosyjski, gospodarka runęła i w sprzedaży nastąpiła kilkuletnia przerwa. Przerwa jak przerwa, nie wszyscy jednak się o niej dowiedzieli. W rezultacie kolchozy w górze rzek dalej ścinały i spławiały tysiące hektarów lasu, w dole zaś nikt drewna nie przyjmował, zlikwidowano też punkty sprzedaży. Jak każdy się domyśla, delty rzek powoli zaczęły zatykać się drewnem.

Na północy Syberii lato nie trwa długo, już w październiku zamarzają płytkie zatoki. Wraz z nimi zamarza powiązane również drewno. Przyroda rządzi się swoimi prawami, przeto wiosną następnego roku jako pierwszy od taje lód znajdujący się blisko brzegu. W ten właśnie sposób tworzą się olbrzymie pola lodowe, które popychane morskimi prądami co roku ruszają w daleką drogę. Wraz z nimi oczywiście odpływa smukłe syberyjskie drewno. Pod północnymi szerokościami geograficznymi dominują prawoskrętne prądy morskie; skute lodem drewno dryfuje więc w stronę Kanady. Nieco dalej dostaje się pod działanie cieplejszego prądu morskiego, który roztapia powoli lód i kieruje go tym razem na lewo - w stronę Europy. Później to już tylko kwestia czasu, kiedy lód całkowicie uwolni powiązane w paczki drewno. Dla domyślnych los drewna jest już znany: na międzynarodowych wodach czeka nań flota z całego świata, której jedynym zadaniem jest wyławianie bezpłatnego rosyjskiego drewna, które jak na ironię jest już zapakowane -

gotowe więc do załadunku i dalszej drogi.

Hen bardzo daleko na północ zauważam szlak wodny prowadzący do Tiksi⁴³. W odległości kilkuset metrów od siebie połyskują w słońcu kolorowe nawigacyjne boje. Wieje lekka bryza, ale morze jest spokojne. Opuchnięta noga znów daje znać o sobie, są jednak chwile, że przestaje całkiem boleć. Dwa dni później opływam półwysep Mysmoostah i wpływam na zatokę Tiksi. Teraz już wiem, że to naprawdę kres mojej podróży. Z daleka bowiem widzę rząd dźwigów portowych, w oddali miasto. Wreszcie w bólu docieram do celu!!!

W Tiksi nie czeka na mnie orkiestra, czeka za to kordon złożony z wojska i milicji. Natychmiast zostaję aresztowany. Zarzut: dywersja i szpiegostwo... Po chwili okazało się, że przez czysty przypadek wpłynąłem do rosyjskiej bazy atomowej... Od tej chwili sprawy potoczyły się błyskawicznie.

Kilka łuf kazało mi podnieść ręce wysoko do góry, następnie zakuto mnie w kajdanki i pod silną eskortą przewieziono do aresztu mieszczącego się w koszarach straży granicznej. W areszcie natychmiast zabrano mi wszystkie rzeczy, dokładnie zrewidowano i wtrącono do pojedynczej celi. Nikt ze mną nie zamienił słowa.

Cela nie była urządzona zbyt gustownie: metalowe drzwi z dużym kwadratowym judaszem, brudne zakratowane okno, przy ścianie drewniana prycza zamknięta na kłódkę, pośrodku zabetonowany żelazny taboret - wszechobecny okropny smród tranu.

Przez pierwszych parę godzin nikt do mnie nie zachodził i nie zaglądał. Domniemałem, że nie bardzo wiedzieli co ze mną zrobić. Dopiero późnym popołudniem przez judasz zaczęli zaglądać do mnie podoficerowie i szeregowi żołnierze. Od nich też dowiedziałem się, że po mieście rozniosła się wieść, że w Tiksi patrol straży granicznej złapał niebezpiecznego amerykańskiego szpiega.

Początkowo zainteresowałem się sprawą bardzo, gdyż myślałem, że rzeczywiście żołnierze kogoś złapali, dopiero później dotarło do mnie, że tym niebezpiecznym amerykańskim szpiegiem byłem po prostu ja...

Nazajutrz rano wzięto mnie na pierwsze przesłuchanie. Przesłuchiwało mnie dwóch oficerów straży granicznej. Dokładnie opowiedziałem, jak tu się znalazłem, co robiłem po drodze. Oczywiście skrzętnie to zapisywano. Najbardziej jednak zainteresowała oficerów książka mojego autorstwa, traktująca o mojej wyprawie dookoła świata. W książce było wiele kolorowych fotografii, pokazujących piękno Syberii i właśnie one najbardziej podobały się oficerom.

Spisano zeznania, sporządzono stosowne protokoły i ponownie zamknięto mnie w celi. Na obiad dostałem kaszę gryczaną polaną jakimś rybim śmierdzącym tłuszczem.

43 W jęz. eweńskim - miejsce spotkania.

Byłem w błędzie, sądząc, że na tym sprawa się zakończy i niebawem odzyskam wolność. Po południu ponownie wzięto mnie na przesłuchanie. Tym razem moim rozmówcą był inny oficer. Ten zauważył w moim paszporcie amerykańską wizę i bardzo się interesował moim ostatnim pobytem w USA...

Po przesłuchaniu i podpisaniu stosownych protokołów - znów do celi. Kolacja - kasza gryczana polana rybim tłuszczem i kawałek ciemnego chleba.

Rano bardzo rozboleła mnie noga, więc poprosiłem o wizytę lekarza. Przybyły obejrzał moją nogę, po czym oświadczył, że sprawa raczej wygląda poważnie, a on jedyne co może zrobić, to może mi tę nogę naciąć, pod warunkiem, że znajdzie jakieś bandażę do wygotowania... Później zapytał za co siedzę, a gdy mu wyjaśniłem jakie ciężą na mnie zarzuty, powiedział, że zapewne zawiozą mnie do więzienia w Jakucku, a tam mają nowy miejski szpital...

Później znów wezwano mnie na przesłuchanie. Tym razem przesłuchiwał mnie ktoś, kto na spotkanie ze mną przyleciał aż z Moskwy. Był to bardzo ważny facet, w dodatku mówił czysto po polsku... Zawsze uważałem, że Rosjanie mają najlepsze służby specjalne...

Później był obiad - kasza z rybim tłuszczem - po obiedzie znów wzięto mnie na przesłuchanie. Pod wieczór oficjalnie postawiono mi zarzuty:

- szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa,
- nielegalny pobyt w specjalnej strefie wojskowej,
- wtargnięcie do bazy wojskowej,
- nielegalny pobyt w Republice Jakucji⁴⁴,
- nielegalny pobyt w strefie nadgranicznej.

Ponadto oświadczone mi również, że jutro przed południem odbędzie się rozprawa sądowa. Później odprowadzono mnie do celi, życząc dobrej nocy.

Na kolację kasza polana rybim tłuszczem...

Nazajutrz przewieziono mnie na salę rozpraw, gdzie umieszczono mnie w specjalnej klatce, podobnej do takich, w jakich sądzi się włoskich mafiosów. Orzekło aż trzech sędziów. Dostałem obrońcę, który również był zachwycony moimi książkowymi fotografiami... Rozprawa nie trwała długo, chociaż akt sprawy było tak dużo, że wystarczyłoby na kilka sesji sądowych.

Pytano mnie, dlaczego jeżdżę po Syberii, kto płaci za moje wyjazdy, itd.

Odpowiadałem, że kraj ten mnie urzekł, że prócz obecnych tu na sali wszyscy dotychczas mi pomagali...

Później ogłoszono przerwę, po której ogłoszono werdykt:

⁴⁴ W Republice Jakucji obowiązują wizy - moje dokumenty uprawniały mnie tylko do pobytu w mieście Magadan (przyp. R. K.).

- zarzut dotyczący szpiegostwa - niewinny;
- zarzut dotyczący nielegalnego pobytu w specjalnej strefie wojskowej - winny;
- zarzut dotyczący wtargnięcia do bazy wojskowej - niewinny;
- zarzut dotyczący nielegalnego pobytu w Republice Jakucji - winny;
- zarzut dotyczący nielegalnego pobytu w strefie nadgranicznej - winny.

W mowie końcowej podkreślono, że sąd znalazł wiele przesłanek przemawiających na moją korzyść, w związku z powyższym odstąpił od wymierzenia kary pozbawienia wolności, zasądził natomiast stosowną grzywnę w wysokości tysiąca pięciuset rubli.

Ponadto sąd zobowiązał mnie do rychłego opuszczenia miasta, jednocześnie zabronił oddalania się powyżej trzech kilometrów w tundrę. Kategorycznie zabronił podglądania jakichkolwiek obiektów wojskowych.

Objaśniono mi, że wolno mi tylko przebywać na terenie tak zwanego Tiksi I, mieszkalnego, a w kierunku Tiksi III, gdzie znajdują się koszary i lotnisko, nie wolno mi było nawet patrzeć... Później utworzono klatkę, w której mnie przetrzymywano i zaprowadzono do kasy...

Tu dopiero zaczęła się chryja na całego, gdyż okazało się, że w ogóle nie posiadam pieniędzy. Natychmiast wezwano do kasy sędziów, aby tę delikatną sprawę wyjaśnić, ewentualnie zmienić orzeczenie...

Przybyli nie kryli oburzenia. Okazało się bowiem, że wszystko odbyło się w trybie doraźnym, zostało już zaprotokołowane i wyroku w żadnym wypadku nie da się już zmienić.

- Cóż robić? - głowili się sędziowie.

- Dlaczego nic nie mówiłeś, że nie masz pieniędzy - byśmy sprawę inaczej rozegrali - pomstowali.

Wreszcie, aby jak najszybciej zakończyć tę farsę, sędziowie złożyli się po pięćset rubli i wpłacili do kasy zasądzoną przez siebie grzywnę! Byłem wolny!!!

Kiedy wreszcie znalazłem się na ulicy, podszedł do mnie jakiś facet i powiedział, że jest mężem Galiny Starcewej, szefowej bazy rybackiej z Tit - Ary. Przedstawił się jako Sasza i powiedział, że żona prosiła, aby się mną zaopiekował. Ucieszyłem się bardzo, bo szczerze mówiąc nie wiedziałem, co mam dalej z sobą począć - a tu takie wybawienie.

Wieczorem przy wódeczce wszystkiego się dowiedziałem. Okazało się, że wieść o aresztowaniu szpiega dotarła aż na wyspę. Tam łebska szefowa w lot połapała się o kogo chodzi i natychmiast wysłała kuter do miasta, aby zaświadczyć o mnie i pomóc w uwolnieniu. Sasza zaś telefonicznie interweniował w tej sprawie u znajomego polityka z Jakucka. Polityk podobno interweniował u komendanta straży granicznej, ten z kolei

rozmawiał z facetami ze służb specjalnych.

Kiedy więc siedziałem i ze smakiem zajadałem kaszę polaną tłuszczem z ryby, cały sztab bądź co bądź obcych ludzi robił wszystko, aby sprawę wyjaśnić i uwolnić mnie od tych bzdurnych zarzutów.

Jakże żałuję, że nic o tym nie wiedziałem - na pewno kasza polana rybim tłuszczem smakowałaby mi bardziej.

Następnego dnia Sasza zrobił mi nie lada frajdę. Zaraz po południu zawiózł mnie do oddalonego o siedem kilometrów Tiksi III - tego samego, w kierunku którego nie wolno mi było nawet patrzeć...

Cóż tam było - na pierwszy rzut oka wielkie nic! Lotnisko, koszary, bloki mieszkalne... A tak właściwie to Tiksi jest bardzo ciekawym miastem. To jedno z tych, które do niedawna były jeszcze tak młode, że nie miały cmentarza.

Miasto położone jest na siedemdziesiątym drugim stopniu szerokości geograficznej. To Daleka Północ - nie rosną już nawet krzaki. Domy z betonu ustawione na kamieniach, kilka przecinających się ulic.

Oficjalnie Tiksi jest portem przeładunkowym Północnej Drogi Morskiej, nieoficjalnie - silnie strzeżoną wielką bazą wojskową. Nawet stali mieszkańcy nie bardzo dobrze wiedzą, co się w Tiksi właściwie mieści. Wiedzą tylko, że jest Tiksi I - tak zwane obywatelskie oraz Tiksi III - wojskowe. Wiedzą również, że istnieje jeszcze jedno miasto - Tiksi II, które znajduje się pod ziemią.

Właściwie to przeznaczenia miasta i tak nigdy nie dałoby się ukryć, bowiem na górze, u stóp której leży miasto, rozmieszczono cztery olbrzymie plansze radarowe - każda wielkości dziesięciopiętrowego budynku. Wszystkim było wiadomo, że nie są to anteny telewizyjne.

To, o czym tu piszę, od dawna nie jest już żadną tajemnicą, bowiem już od kilku lat na wojskowym lotnisku w Tiksi III ćwiczą amerykańscy lotnicy... Fakt ten jednak nie przesądza sprawy - Tiksi do dziś jest miastem zamkniętym. Nawet rodowity Rosjanin nie ma prawa tutaj przebywać bez specjalnego zezwolenia, a takowe otrzymywali tylko ludzie zatrudnieni w porcie.

Jeszcze nie tak dawno w porcie było gwarno - pracowano pełną parą. Kręciły się tu kutry, barki, lodołamacze oraz wielkie statki przyplływające po drewno. Wraz z kryzysem ustała praca. Miasto się wyludniło, setki mieszkań stoi pustych. Opowiadano mi, że w Tiksi nigdy nie było starców i ludzi w starszym wieku. Większość dziadków i babek tutejszych dzieci mieszkała na „kontynencie” - tysiące kilometrów stąd. Określenia, że znajduje się na „kontynencie” używają wszyscy w tym mieście, chociaż Tiksi nie leży na wyspie.

Wiąże się to z tym, że przez dziewięć miesięcy w roku miasto jest odcięte od świata, z resztą kraju łączy je tylko łączność przez radio i lotnictwo.

W mieście nigdy nie żyło się lekko. W zimie, która trwa dziesięć miesięcy, były dni, kiedy po silnej burzy śnieżnej Tiksi zostało dosłownie sparaliżowane i przez wiele dni było zasypane śniegiem aż do drugiego piętra. Mobilizowano wówczas do odśnieżania wszystkich mieszkańców. Miasto ochraniały specjalnej konstrukcji płoty, których łączna długość przekraczała dwieście kilometrów! Można sobie wyobrazić ile zatrzymywały one śniegu.

Zastanawia więc - co trzymało tu ludzi na tej nieludzkiej ziemi? Trzymały pieniądze. Pracujący na Północy byli elitą wśród elit - traktowano ich niemal jak kosmonautów...

Mieli specjalne świadczenia, zarabiali czterokrotnie więcej niż w Moskwie. Podobno jeszcze nie tak dawno dokerzy składali się po pięćdziesiąt rubli i wysyłali jednego samolotem po piwo do Moskwy... Życie nie umierać.

A cóż ja? Życie jak życie. Początkowo znalazłem się w Tiksi w atmosferze osamotnienia, obecności powszechnej obojętności wobec drugiego człowieka, która pociąga za sobą strach i biedę. Tu, na skraju świata o wszystkim decydował paszport z tajemniczą liczbą „3”, która uprawniała posiadacza do oddychania arktycznym powietrzem.

Teraz, w parę dni później, jest już inaczej. Spaceruję po mieście jak bohater. Dookoła roi się od nowych twarzy, po raz pierwszy od kilku miesięcy stykam się z tyloma ludźmi naraz. Niektórzy podchodzą do mnie na ulicy i pytają, czy to ja jestem tym szpiegiem, którego złapali żołnierze? Inni zapraszają na wódkę, a oficerowie, którzy mnie aresztowali i przesłuchiwali, kłaniają się teraz na ulicy. Może docenili mój trud w podróżowaniu po Syberii. Och, jak czasami dobrze być gwiazdą - w życiu każdy ma swoje pięć minut...

Obdarowuje wszystkich wszystkim, co mi zostało - tutaj nawet metalowy kubek ma wartość. Tydzień później samolotem odlatuję do Moskwy. Na lotnisku zegnają mnie żołnierze, którzy nie tak dawno mnie aresztowali.

Jest mi smutno i w sumie sam nie wiem, co na końcu o tym napisać. Wiem natomiast jedno, że tylko głupcy myślą, że prawdę o drugim człowieku można opowiedzieć za pomocą papieru...

Wracam na kredyt, pokaleczony i poobijany. Lecz do końca nie jest mi dane cieszyć się powrotem. Zamiast w domu, ląduję na ostrym dyżurze w szpitalu; cudem ratuję zakażoną nogę.

Ale wiem, że warto było. Udało się po raz kolejny pokonać Syberię.

Przez parę miesięcy chciałem poznać tę chwilę, którą właśnie przeżywam. Smak powrotu do życia. Tymczasem nie czuję żadnej radości. Chwila ta nie daje mi nic, prócz

głębokiego *rozczarowania*. Ogarnia mnie bezgraniczny smutek. Tęsknię do namiotu, szumu wody, do swoich codziennych czynności. Życie naprawdę jest idiotyczne!

Romuald Koperski - muzyk pianista, podróżnik, dziennikarz, pisarz, fotograf, nurek oraz pilot samolotowy. Przemierzył Syberię wzdłuż i wszerz. Kolejno - terenowym land - rowerem podczas podróży z Zurychu do Nowego Jorku, następnie gumowym pontonem płynąc Leną od jej źródeł w Górach Bajkalskich do Morza Łaptiewów.

Trasa pierwszej eskapady wiodła przez Skandynawię, Syberię, Alaskę, Kanadę oraz prawie całe terytorium Stanów Zjednoczonych. Owocem tej wyprawy jest książka autorstwa Romualda Koperskiego pt. „Pojedynek z Syberią”. To relacja z najtrudniejszego etapu, biegnącego przez tereny byłego ZSRR. Nie brakuje w książce opisów niesamowitych przygód, które musiały przytrafić się w kraju niedającym szans przetrwania przeciętnemu turyście.

Kiedy na granicy rosyjskiej Romuald Koperski mówił żołnierzom, że jedzie do Nowego Jorku, ci śmiali się, że ma dobre poczucie humoru, ale słabo zna geografę. Tymczasem Koperski świadomie wybrał trasę swojej szalonej wyprawy...

Książka „Przez Syberię na gapę” jest relacją z kolejnej wyprawy autora przez Syberię. Tym razem Romuald Koperski niewielkim gumowym pontonem płynie syberyjską rzeką Leną od jej źródeł w Górach Bajkalskich do ujścia w Morzu Arktycznym (4500 km). Tytuł książki „Przez Syberię na gapę” nawiązuje do okoliczności w jakich autor odbył tę niecodzienną podróż. Romuald Koperski zmierzył się bowiem z Syberią nie posiadając odpowiedniego wyposażenia, zapasu żywności i pieniędzy. Za tę szaloną podróż jury w konkursie „Za Dokonania Roku” przyznało Koperskiemu nagrodę „Kolosa” oraz tytuł Podróżnika Roku 1999.

„Przez Syberię na gapę” jest opisem dzikiej przygody, pięknej przyrody oraz egzotycznej kultury. Sporo osobistych przemyśleń, które jak sam autor mówi - mogły mu się tylko przytrafić z dala od zgiełku cywilizacji i innych ludzi. Książka bezsprzecznie jest dowodem na to, że w dalszym ciągu nie brak ludzi, u których instynkt wędrowania jest silniejszy od nich samych i chyba w tym tkwi ich ogromna siła.

Z fotografii, które wykonał autor podczas swych syberyjskich wypraw, powstał album na CD - ROM pt. „1001 obrazów Syberii”, który jest również do nabycia za naszym pośrednictwem.